

Operacja "Prometeusz"

James Hogan



calibre 0.9.27

James P. Hogan

Operacja Proteusz

Przełożył: GRZEGORZ WOŹNIAK

EMPIRE

Tytuł oryginału: THE PROTEUS OPERATION

Copyright © 1985 by James P. Hogan

MICH ABLOWI ROBERTOWI

wspaniałemu towarzyszowi, który zjawił w połowie książki

— powieść tę dedykuję

PODZIĘKOWANIA

Za współpracę i pomoc autor składa wyrazy wdzięczności:

Edwardowi Tellerowi, Eugene'owi Wignerowi i Isaacowi Asimovowi — za wyrażenie zgody na „gościnny” występ na kartach tej książki.

Bibliotece imienia Franklina D. Roosevelta w Hyde Parku w Nowym Jorku— za zezwolenie na przedruk listu Einsteina.

Robertowi Samuelsowi z Wydziału Chemii Georgia Institute of Technology.

Markowi Looperowi. Mike'owi Sklarowi i Bobowi Grossmanowi z Uniwersytetu Princeton.

Brentowi Warnerowi z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Stanowego w Ohio.

Steve'owi Fairchildowi z Moaning Cavern w Murphys w Kalifornii.

Lynxowi Crowe'owi z Berkeley w Kalifornii.

Charleyowi, Gary'emu i Rickowi z księgarni Charleya w Sonorze w Kalifornii.

Ralphowi Newmanowi i Jackowi Cassinetto z Sonory w Kalifornii.

Dorothy Alkire z Manteci w Kalifornii.

Dickowi Hastingsowi i zespołowi Biblioteki Tuolumne w Sonorze w Kalifornii.

US Navy z bazy na Treasure Island w San Francisco.

US Air Force z bazy Langley w Wirginii.

I, oczywiście, Jackie.

PROTEUSZ

Starzec Morski z greckiej mitologii znał przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, miał dar wieszczenia i przeobrażania się.

Chcąc otrzymać jego przepowiednię, trzeba było go schwytać w czasie snu i przytrzymać, aż wróci do własnej postaci... co dziwnie przypomina zjawisko zaniku funkcji falowej, znane mechanice kwantowej.

PROLOG

Była niedziela, 24 listopada 1974 roku. Wybrzeża Wirginii spowijał posepny świt. Krople deszczu opadały z brzemienych chmur skrywających niebo. Niecierpliwe mewy muskały białą fale oceanu wzburzonego i ciemnego jak ołów. Pienisty pas zoranego morza, ciągnący się prostą linią od mgieł przysłaniających horyzont na wschodzie, wskazywał drogę przebytą przez USS Narwahl — szturmowy okręt podwodny o napędzie nuklearnym — który zmierzał do macierzystej bazy w Norfolk, widocznej już na horyzoncie. Nad okrętem unosiło się leniwie stado mew, towarzysząc jednostce na ostatnich milach rejsu i przepełniając otoczenie krzykliwym jazgotem. Złowieszczą czerń kadłuba okrętu, brudnawa biel mew i grzywaczy — wszystko jawiło się barwami rozmokłej szarości.

Szarość bardzo do tego wszystkiego pasuje — pomyślał komandor Gerald Bowden. Obok niego, na mostku Narwahla, na szczycie ponad sześciometrowej nadbudówki, która na kształt żagla wznosiła się nad kadłubem, dyżurowali jeszcze: pierwszy oficer nawigacyjny i sygnalista. Żywe barwy przystoją dzieciom i kwiatom, kojarzą się ze słonecznymi porankami i wiosną, kiedy wszystko zaczyna się na nowo. Natomiast zwłoki nie mają koloru, chorzy mają cerę jak popiół, wyczerpani są bladzi z wysiłku. Jak siła i życie — również kolory znikają z rzeczy i zjawisk dobiegających swego kresu, a więc świat, dla którego już nie było przyszłości, także powinien jawić się niczym bezbarwna przestrzeń.

Nie miał przyszłości wolny świat Zachodu, a właściwie resztką, która zeń pozostała, chyba, że nastąpi jakiś cud. On Gerald Bowden — ślubował tego świata bronić. Ostatnie japońskie prowokacje na Pacyfiku pozwalały przypuszczać, że właśnie szykuje się spodziewana od dawna operacja na Hawajach, obliczona na strategiczne odizolowanie Australii. Wykluczone było, aby tym

razem Stany Zjednoczone pokornie przystały na akt jawnej agresji, jak zdarzyło się pięć lat wcześniej, gdy imperialna Japonia zajęła Filipiny. Wojna zaś oznaczała, że trzeba będzie rzucić wyzwanie całej potędze nazistowskiej Europy i jej azjatyckim i afrykańskim koloniom. Faszystowskie państwa Ameryki Południowej bez wątpienia również przystąpią do akcji, licząc na udział w podziale łupów.

Nie mogło być też wątpliwości, co do ostatecznego rezultatu starcia z wszechpotężnym

przeciwnikiem. Niemniej jednak Ameryka i garstka pozostałych jeszcze sojuszników zdecydowani byli walczyć, jeśli zajdzie taka konieczność. Prezydent John F. Kennedy wyrażał powszechne uczucia zapowiadając, że nie pójdzie już na „jakikolwiek dalsze ustępstwa”.

Bowden oderwał oczy od wejścia do portu i przeniósł wzrok na czwartą postać na mostku. Rosyjska futrzana czapka z opuszczonymi nausznikami, chroniącymi od wiatru i zimna, i kombinezon

spadochroniarza, narzucony na podniszczony mundur polowy wojsk lądowych, wyraźnie odbijały od marynarskich granatów oficerów USS Narwahl. Strój skompletowano z resztek zalegających

magazyny okrętu i kapitan Harry Ferracini, z Oddziałów Specjalnych Sił Zbrojnych, nosił go od chwili, gdy przybywszy na pokład Narwahla, zrzucił z siebie łachy robotnika. Zaokrętowanie

nastąpiło kilka dni wcześniej, w rejonie wybrzeża południowo-zachodniej Anglii. Kapitana, jego czterech ludzi i grupę cywilów podjęto z łodzi rybackiej. Bowden nie wiedział, na czym polegała misja kapitana, kim byli cywile i w jakim celu sprowadza się ich do Stanów, lecz wiedział, że o takie sprawy nie powinno się pytać. Ale oczywiście było, że przynajmniej dla pewnych oddziałów wojsk Stanów Zjednoczonych wojna przeciwko III Rzeszy i jej wasalom już się rozpoczęła.

Ferracini był mężczyzną przystojnym, proporcjonalnie zbudowanym, o wyraźnych, ciągle jeszcze młodzieńczych rysach. Miał gładką skórę i delikatne usta, a cerę ciemną. Jego oczy były duże, brązowe i zatroskane, jakby zgodne z treścią imienia, które nosił. Słowo harry oznacza przecież udręczenie. Jeśli jednak targały nim jakieś obawy związane z upadkiem demokratycznego świata, z losem narodu, to nic w jego postawie o tym nie świadczyło. Uważnie patrzył na niewyraźne jeszcze zarysy Norfolku, nie pomijał niczego, przenosił wzrok z jednego szczegółu na drugi, z pozorną niedbałością, jak ktoś nawykły do zachowania, które nie może wzbudzać podejrzeń. Bowden

przypuszczał, że kapitan dobiega trzydziestki, choć aura powagi, jaką Ferracini tworzył wokół

siebie, i nieskora do uśmiechu twarz były raczej charakterystyczne dla kogoś starszego, kto doświadczył cynizmu podczas lekcji życia.

Rzeczywiście profesja, którą uprawiał Ferracini, nauczyła go ostrożności i dyskrecji, sprawiła, że stał się małomówny. A jednak w toku paru krótkich rozmów Bowden odkrył, że jest w postawie tego młodego żołnierza coś, co wykracza poza zawodowe nawyki, jakaś emocjonalna przepaść, która jego i jemu podobnych miała izolować od świata osobistych doznań i zwykłych ludzkich uczuć. A może w ten sposób odcinali się tylko od tego świata, który już nic nie znaczył i nigdzie nie zmierzał —

zastanawiał się Bowden. Może to sposób, w jaki reaguje całe pokolenie, instynktownie chroniąc się przed nieuniknionym, a więc przed tym, że przyszłości już nie ma?

„Witamy Narwahla w domu” — Melvin Warner, oficer nawigacyjny głośno odczytał świetlny sygnał nadawany z posterunku kapitanatu portu na skraju zewnętrznego falochronu. „Pilot już w drodze. Przykro nam, że pogoda jest podła”.

— Wcześniej się obudzili — powiedział Bowden. — Albo oczekują kogoś ważnego, albo wojna już wybuchła. — Obrócił się w stronę sygnalisty. — Nadaj odpowiedź: Dziękujemy, gratulujemy szybkości działania. Pogoda mimo wszystko lepsza tu niż trzysta metrów pod powierzchnią.

— Motorówka z prawej burty — zameldował Warner, jak tylko sygnalista zaczął nadawać. Gestem ręki wskazał na smukłą sylwetę okrętu zakotwiczonego w awanporcie. — Jeden z wielkich lotniskowców, Gerry. Chyba Constellation.

— Zredukować prędkość, otworzyć luki dziobowe, przygotować się do przyjęcia pilota — rzekł Bowden. Zwrócił się do Ferraciniego, podczas gdy Warner powtarzał komendę i wydawał stosowne rozkazy załodze. — Pan i pańscy ludzie, kapitanie, zejdziecie na ląd pierwsi. Wysadzimy was tak szybko, jak tylko się da.

Ferracini potaknął.

Byli jeszcze w połowie Atlantyku, gdy z nadajnika marynarki wojennej w Connecticut, pracującego na skrajnie długich falach, a więc takich, które mogą odbierać okręty podwodne w zanurzeniu, przekazano im depezę informującą, że kapitan Ferracini oraz sierżant Cassidy mają się pilnie zameldować i że natychmiast po przybyciu do portu otrzymają następne rozkazy.

— Nie oszczędzają was — skomentował Bowden. — Żałuję, że opuścicie nas tak szybko. Mam nadzieję, że nie zawsze tak się dzieje.

— Nie za każdym razem — odparł Ferracini.

— A już zaczęliśmy się poznawać nawzajem.

— No cóż, tak czasami bywa.

Bowden obserwował młodego oficera jeszcze przez chwilę, po czym z westchnieniem i ledwo widocznym wzruszeniem ramion zrezygnował z dalszych prób nawiązania rozmowy.

— Okay, za kilka minut będziemy cumować. Powinien pan teraz zejść na dół i dołączyć do

pozostałych w mesie oficerskiej. — Wyciągnął rękę na pożegnanie. — Miło było gościć pana na pokładzie, kapitanie. Cieszę się, że mogliśmy pomóc i życzę powodzenia na przyszłość, bez względu na to, co tam dla pana wymyślili.

— Dziękuję, komandorze — odparł Ferracini zgoła oficjalnie. Uścisnął rękę Bowdena, a następnie Warnera. — Moi ludzie prosili, aby wyrazić wdzięczność za okazaną im gościnność. Chciałbym dołączyć także moje osobiste podziękowania.

Bowden uśmiechnął się i, miast odpowiedzieć, skłonił głowę. Ferracini opuścił mostek i przez luk w kiosku zaczął schodzić do wnętrza okrętu.

Z przedziału znajdującego się tuż pod kioskiem Ferracini przeszedł przez następny luk do pomieszczenia mieszczącego się już w wewnętrznym kadłubie okrętu, a potem przez jeszcze jeden luk i kolejny trap, w dół do przedziału dowodzenia wypełnionego wskaźnikami, pulpitemi

kontrolnymi i urządzeniami, z których większość stanowiła dlań niewiadomą. Przy stanowiskach manewrowych, po obu stronach przedziału dowodzenia, i z tyłu za podwójnym peryskopem i stołem nawigacyjnym, uwijali się członkowie załogi. Po lewej stronie stały dwa skórzane fotele otoczone instrumentami na podobieństwo kabiny pilota w samolocie. Kojarzyły się bardziej ze stanowiskiem kierowania lotami na lotniskowcu niż z miejscem, z którego steruje się okrętem podwodnym. Oba fotele wyposażone były w pasy bezpieczeństwa, co świadczyło o zdolności manewrowej Narwahl.

Sterowanie szybkimi okrętami podwodnymi, takimi jak Narwahl, bardziej przypomina manewrowanie w powietrzu aniżeli żeglugę w tradycyjnym pojęciu.

W dalszej drodze przez zakamarki okrętu Ferraciniemu towarzyszył pierwszy oficer — zastępca Bowdena — i kilku marynarzy. Kierowali się ku dziobowi, idąc korytarzem między kajutą dowódcy a pomieszczeniem dla chorych, aż do mesy, w której zakwaterowano pasażerów na czas rejsu.

Cassidy z dwoma żołnierzami — Yorkoffem i Breugo-tem — kończyli pakowanie sprzętu i pomagali ośmiu cywilom, którzy przybyli wspólnie z nimi z Anglii. Na obliczach kilku z nich malował się wyraz zmęczenia i przebytych trudów, choć po czterech dniach wypoczynku, stosownej opieki lekarskiej, a nade wszystko bogatej diety okrętowej, twarze ich zaczynały nabierać rumieńców.

— Już kończymy, Harry — powiedział Cassidy, dopinając ostatni z plecaków, które pakował. — Jak się sprawy mają na zewnątrz? Dopływamy?

— Wchodzimy do portu. Właśnie przyjmują pilota na pokład — odparł Ferracini.

— A jak wygląda ukochana ojczyzna?

— Mokro, zimno i wietrznie. Wszyscy gotowi?

— Tak jest.

Mikę Cassidy — przydomek „Kowboj” — był wysokim, chudym mężczyzną. Nosił się nonszalancko, co wielu wprowadzało w błąd. Miał jasne niebieskie oczy, grube blond włosy i postrzępione wąsy.

Żołnierzy oddziałów służb specjalnych szkolono do działań parami, i już od z górą trzech lat Cassidy pracował z Ferracinim. Pod względem temperamentu i charakteru, a więc cech wyróżnianych przez psychologów, stanowili bardzo niespójną parę, ale obaj uparcie odmawiali pracy z kim innym.

Marynarze wynieśli sprzęt. Ferracini przyglądał się ludziom zgromadzonym w mesie. Nie było wątpliwości, że po raz ostatni spotykają się w tym zespole. Podróż dobiegła końca w chwili, gdy po czterech wspólnych dniach w ciasnych pomieszczeniach okrętu właśnie się zaczęli poznawać.

Wkrótce każdy z nich zostanie odprawiony w swoją drogę. Jak to w życiu — nic stałego, nic trwałego, nic takiego, gdzie można by zapuścić korzenie. Ferracini poczuł się zmęczony ową ciągłą pustką.

Dwaj naukowcy, Mitchell i Frazer, w dalszym ciągu odziani byli w uszyte ręką amatora mundury Oddziału Służby Więziennej Brytyjskiej Policji Bezpieczeństwa, czyli angielskich oddziałów SS utworzonych spośród miejscowych. Dzięki tym właśnie mundurom udało im się zbiec z obozu koncentracyjnego w Dartmoor. Wcześniej jeszcze Mitchell — chemik, specjalista od korozji w warunkach wysokich temperatur — został przymusowo wyznaczony do udziału w pracach badawczych związanych z pierwszą niemiecką wyprawą na Księżyc w roku 1968. Frazer zajmował się bezwładnościowymi systemami sterowania komputerowego, gdy Berlin nakazał jego aresztowanie pod zarzutem wykroczeń przeciwko ideologii.

Smithgreen — z całą pewnością nie było to jego prawdziwe nazwisko — był Żydem węgierskiego pochodzenia, matematykiem. W nieprawdopodobny sposób udawało mu się uniknąć aresztowania przez całe lata, które upłynęły od kapitulacji Anglii przed Niemcami na początku 1941 roku.

Maliknin był zbiegłym rosyjskim więźniem-robotnikiem, który pracował przy niemieckich wyrzutniach ICBM — międzykontynentalnych rakiet balistycznych — w północnej Syberii. Pearce — też zapewne pseudonim — uczynił wszystko, aby uniknąć zagłady, jaką w latach

sześdziesiątych zgotowano ludności murzyńskiej w Afryce. Wyprostował i utlenił kędzierzawą czuprynę, rozjaśnił skórę na rękach i twarzy.

Była wśród nich także kobieta. Nosiła imię Ada. Siedziała teraz bezwolna na krześle na końcu stołu w mesie i wpatrywała się pustym wzrokiem w grodz, co zresztą czyniła przez całą podróż. Anglia co prawda skapitulowała w 1941 roku, ale Ada nigdy się nie poddała. Przez ponad trzydzieści lat prowadziła jednoosobową wojnę przeciwko nazistom. W 1941 roku była młodą nauczycielką w Liverpoolu i zapamiętała, jak jej męża, ojca i dwóch braci wzięto jako przymusowych robotników i deportowano na Kontynent. Ślad po nich zaginął i zemsta stała się jedynym celem jej życia. Zeszła do podziemia, posługiwała się fałszywymi papierami, udawała z tuzin różnych postaci i występowała pod różnymi nazwiskami. Powiada się, że uśmierciła stu sześćdziesięciu trzech nazistów, włączając w to gubernatora Rzeszy, trzech komisarzy dystryktów, szefów Gestapo w dwóch miastach i licznych brytyjskich kolaborantów zasiadających we władzach lokalnych. Wielokrotnie ją więziono,

przesłuchiwano, bito i torturowano. Sześciokrotnie skazywano ją na śmierć. Cztery razy udało jej się zbiec przed egzekucją, dwa razy natomiast ocalała, gdyż wzięto ją za nieżywą. Dziś zaś, mając pięćdziesiąt parę lat, odczuwała wyłącznie pustkę — w sobie i wokół siebie. Lata nienawiści, walki i cierpienie - wypaliły ją do cna. Blizny na prawej dłoni, zniszczone tkanki w miejscu, gdzie znajdowały się kiedyś paznokcie, były świadectwem losu, jaki ją spotkał. Jej walka dobiegła już kresu, ale wiadomości, które miała do zakomunikowania, mogły być bezcenne.

Na koniec Ferracini spojrzał na młodego mężczyznę z wąsami i towarzyszącą mu blondynkę.

Wiedziano o nich tylko tyle, że mieli imiona Polo i Candy. Oboje byli amerykańskimi agentami i wracali obecnie po wykonaniu zadania. Ferracini nie miał pojęcia, na czym owo zadanie polegało, i tak właśnie powinno być, jeśli chodzi o sprawy tego typu.

Kadłub zawibrował, gdy wyłączano silniki, i po chwili zapanowała cisza. Nikt z zebranych nie okazywał zbędnych sentymentów i nikt nikogo nie zapewniał o wiecznej pamięci i trwałych więzach przyjaźni. Podziękowano sobie krótko i pożegnano się. Ferracini i Yorkoff poprowadzili całą grupę korytarzem do zejścia na niższy pokład. Następnie skierowali się ku dziobowi, w stronę przedziału torpedowego, gdzie już otwarto główny luk prowadzący na zewnątrz. Jeszcze tylko pożegnali się z oficerami pełniącymi służbę przy trapie, wspięli się na górę i wydostali na wąski zewnętrzny pokład okrętu, nad którym rozpostarto już osłonę z brezentu. Ferracini od razu skierował się do trapu, dołączając do marynarzy, którzy wyładowywali sprzęt. Yorkoff zatrzymał się przy luku, żeby pomóc pasażerom i dopilnować, aby posuwali się z należytą ostrożnością po wilgotnej stali poszycia okrętu.

Cassidy i Breugot zamykali orszak.

Po zejściu na ląd Ferracini zobaczył najpierw wojskowy autobus i porucznika marynarki, który oczekiwał na pasażerów, a następnie dostrzegł oliwkowego forda z wojskową rejestracją. Stał

zaparkowany jakieś kilkanaście metrów dalej. Za kierownicą siedział kierowca w mundurze, a z tyłu, w kabinie pasażerskiej, zauważył jakąś niewyraźną postać. Choć przez zawilgocone od deszczu szyby nie można było rozpoznać, kto jest owym pasażerem, to jednak okrągła jak księżyc twarz i przekrzywiony, pognieciony kapelusz nie budziły wątpliwości. Mógł to być tylko Winslade. I nie miał

znaczenia fakt, że na samochodzie powiewał generalski proporczyk, choć Winslade był cywilem.

Ferracini wcale nie był zaskoczony. — To typowe dla Winslade'a i właściwie powinienem spodziewać się takiego powitania — pomyślał. Nie zdarzało się bowiem, żeby kogoś wyznaczano do następnego zadania przed oficjalnym i formalnym zakończeniem poprzedniej misji. Ale właśnie wszędzie tam, gdzie rzeczy i sprawy miały się nieregularnie, zwykle pojawiał się Winslade.

Porucznik, który czekał przy autobusie, nie miał upoważnienia do przyjęcia dokumentów

dotyczących cywilnych pasażerów. Polecono mu tylko przewieźć całą grupę na lotnisko, gdzie już czekały samoloty, którymi mieli dotrzeć do celu. I właśnie na lotnisku oczekiwały kompetentne władze, które formalnie miały się zająć cywilami.

— Sprawdzę, co się tu dzieje — powiedział Ferracini Cassi-dy'emu — a ty musisz pojechać na lotnisko załatwić formalności, a później zabierzemy cię stamtąd.

Cassidy skinął głową na potwierdzenie.

— Byłoby głupio, gdyby ich wszystkich odesłano tylko dlatego, że nie dopilnowaliśmy papierków.

— A wy zabierzcie się z Cassidem — Ferracini zwrócił się do Yorkoffa i Breugota — na lotnisku złapiecie jakieś połączenie do bazy.

Pożegnali się z Ferracinim i wsiedli do autobusu razem z grupą cywilów. Ostatni wsiadł porucznik marynarki i autobus ruszył. Ferracini obejrzał się. Z mostka Narwahla spoglądał nań komandor Bowden, dając znak dłonią na pożegnanie, Ferracini odpowiedział tym samym gestem, następnie zarzucił na ramię swój worek z rzeczami i ruszył przez nabrzeże w kierunku forda.

Kierowca, który oczekiwał przed samochodem, umieścił worek w bagażniku. Winslade otworzył

drzwi, Ferracini rozsiadł się wygodnie na siedzeniu pasażerskim i przymknął oczy. Chłonoł zapach skórzanej tapicerki, otaczającego go luksusu i ciepła, od czego odzwyczaił się w czasie zamorskiej misji.

— Rozumiem, że jeszcze musimy zabrać Cassidego — powiedział

Winslade, starannie, jak zwykle, artykułując słowa. — Zabieramy go z lotniska? — zapytał, gdy kierowca uruchamiał silnik.

Ferracini potaknął skinieniem głowy i, nie otwierając oczu, dodał:

— Ma do załatwienia jakieś papierkowe sprawy na lotnisku.

— Na lotnisko — polecił Winslade głośno. Samochód ruszył. — A więc, Harry, jak było tym razem?

— zapytał po chwili.

— Myślę, że w porządku. Wszystko poszło według planu. Dotarliśmy do nich i przywieźliśmy.

— Wszystkich? Naliczyłem tylko ośmiu.

— Trójka, która miała dotrzeć przez Londyn, nie zjawiała się. Nie wiemy, co się stało. Pluto jest zdania, że w Londynie musiała nastąpić jakaś wsypa.

— Hmm... to niedobrze. — Winslade milczał przez chwilę, analizując wiadomość. — Czy znaczy to, że Pluto został zdekonspirowany?

— Prawdopodobnie. Zamyka na wszelki wypadek placówkę w Londynie i przenosi się do Bristolu, gdzie zacznie do początku. Być może nastąpi to w ciągu miesiąca.

— Rozumiem. A nasz drogi przyjaciel Obergruppenfuhrer Frichter? Jak mu się teraz powodzi?

— No cóż, nie będzie już wieształ zakładników.

— Co za nieszczęście.

Ferracini otworzył oczy, poprawił się na siedzeniu i zsunął czapkę z czoła.

— Słuchaj, Claud, o co właściwie chodzi? — zapytał. — Jest przecież ustalony tryb postępowania podczas załatwiania kończących się operacji. Skąd więc twoja obecność tutaj i gdzie właściwie jedziemy?

W głosie Winslade'a nie było żadnej wskazówki.

— Przyjechałem po ciebie, bo byłem zwyczajnie ciekawy. Regulaminowy raport złożysz później, w normalnym trybie. Tymczasem są pilniejsze sprawy, którymi trzeba się zająć i właśnie jedziemy w stosowne miejsce.

Ferracini czekał, że może jeszcze coś usłyszy, ale Winslade milczał.

— Okay, rozumiem, a gdzie?

— No cóż, najpierw na lotnisko. Stamtąd polecimy do Nowego Meksyku.

— A dokładnie?

— Tajemnica.

Ferracini spróbował w inny sposób.

— Okay, a po co?

— Na spotkanie z pewnymi interesującymi, jak zobaczysz, ludźmi.

— Naprawdę, a z kim?

— A co byś powiedział, gdyby to był na przykład JFK: John Fitzgerald Kennedy?

Ferracini wzruszył ramionami. Znał Winslade'a i wiedział, że choć lubi on czasami żartować, to nigdy nie przekracza pewnych granic. Winslade tymczasem uśmiechnął się, w jego jasnoszarych, przysłoniętych okularami oczach zamigotały iskierki, a twarz wyrażała dumę.

Dobiegał sześćdziesiątki, miał krągłe oblicze, rumianą cerę i takiż nos. Średniego wzrostu, ze śladami siwizny na skroniach, przypominał jowialną postać Dickensowskiego Pickwicka, tylko że był

szczuplejszy niż jego powieściowy odpowiednik. Miał na sobie miękki filcowy kapelusz, solidne palto z futrzanym kołnierzem, ciemny jedwabny szalik i brązowe skórzane rękawice. Dłonie złożył na rękojeści bogato zdobionej laski, którą przytrzymywał kolanami.

O Winsladzie wiadano tylko tyle, ile trzeba, co oznaczało, że niewiele. Tyle, ile on sam uznawał za stosowne ujawniać. Ferracini na przykład, nie wiedział na pewno, kim właściwie jest Winslade i co naprawdę robi, wiedział natomiast, że Winslade porusza się bez ograniczeń po Pentagonie, ma swobodny dostęp do wszystkich departamentów i regularnie bywa w Białym Domu. Sprawiał też

wrażenie, że jest po imieniu z dyrektorami niemal wszystkich instytutów naukowo-badawczych w kraju. W ciągu tych wszystkich lat, w czasie których drogi obu mężczyzn wielokrotnie się

krzyżowały, Ferracini odbył z Winslade'em wiele rozmów i wydawało mu się, że dysponuje on sporą wiedzą na temat tajnych operacji i że nie jest to wyłącznie wiedza teoretyczna, ale bogate, osobiste doświadczenie wynikające z praktyki. Ferracini był przeświadczony — choć nie miał pewności, bo Winslade nigdy o tym nie wspominał — że był on kiedyś, może dawno temu, oficerem operacyjnym.

Zbliżali się do bramy wyjazdowej z portu i samochód zwolnił. Uniesiono barierę, kapral w mundurze żandarmerii marynarki wojennej dał sygnał wolnego przejazdu, wartownicy zaprezentowali broń.

Zaraz potem samochód przyśpieszył, kierując się w stronę bazy lotniczej.

Ferracini zdecydował, że nie będzie już kontynuować tej zabawy w pytania i odpowiedzi. Zaciśnął

zęby i przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy. Winslade wzruszył ramionami, uśmiechnął się i z aktówki, którą miał przy sobie, wydobyl małe tranzystorowe radio w czarnej obudowie, ze srebrnymi pokrętłami, chromowanymi ozdobami i odchylaną pokrywką z przodu. Jeśli nie liczyć pewnych

wojskowych instrumentów, Ferracini nigdy nie widział radia o tak niewielkich rozmiarach.

— Prosto z cesarskiej Japonii — skomentował Winslade, odchylając pokrywkę odbiornika. — Nie znajdziesz czegoś podobnego u nas, a tam bawi się tym każde dziecko. W dodatku wyposażone jest w odtwarzacz kasetowy. Chcesz posłuchać? — Wyjął z teczki miniaturową kasetę, wcisnął ją w

stosowne miejsce za odchylaną pokrywką, zamknął i nacisnął start. Położył następnie radio na kolanach, oparł się wygodnie i obserwował Ferracinięgo.

Ferracini ze zdumieniem słuchał czystego, silnego brzmienia swingu: prowadzącego klarnetu, akompaniamentu saksofonów i rytmu akcentowanego przez kontrabas. Nigdy nie słyszał czegoś podobnego. Muzyką lat siedemdziesiątych były głównie wojskowe i patriotyczne marsze, Wagner oraz minorowe koncerty propagowane przez tych, którzy uważali, że ratunkiem dla Ameryki może być tylko faszyzm, a także rozpaczliwe lamente na temat zagłady czekającej liberalnie nastawioną młodzież. Ta zaś muzyka... Była szalona, zupełnie nie przystawała ani do rzeczywistości, ani — tym bardziej — do nastroju Ferracini.

Po kilku taktach orkiestrowych z głośnika dobiegły słowa śpiewane przez solistę. Winslade kiwał głową do taktu i wybijał rytm palcami o oparcie siedzenia.

Pardon me, boy,

Is that the Chattanooga choo-choo? Yeah, yeah, track twenty-nine, Boy, you can give me a shine.

Ferracini zmęczonym ruchem przetarł czoło i poprosił:

— Daj spokój, Claud. Dopiero co zszedłem z tej łajby, na której sterczałem przez kilka dni... Sześć tygodni byliśmy po drugiej stronie... Oszczędź mi tego.

You leave the Pennsylvania Station 'bout a quarter to four,

Read a magazine and then you 're in Baltimore,

Dinner in the diner,

Nothing could be finer,

Than to have your ham and eggs in Carolina.

Winslade ściszył głośnik.

— Glenn Miller, nie uwierzysz, ale kiedyś to tańczyłem. Ferracini spoglądał na niego z niedowierzaniem. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy aby Winslade nie zwariował.

— Ty? Tańczyłeś?

— Właśnie. — W oczach Winslade'a pojawił się obraz odległych wspomnień. — Najlepszym lokalem było Glen Island Casino, tuż przy Shore Road w New Rochelle, pod Nowym Jorkiem. Występowały tam najlepsze orkiestry. Sala koncertowa była na pierwszym piętrze, a przez wielkie, francuskie okna można było oglądać brzegi Long Island po drugiej stronie zatoki. Chodzili tam wszyscy z Westchester County, bogatego przedmieścia Nowego Jorku, i z sąsiedniego stanu Connecticut. A grali tam: Ozzie Nelson, bracia Dorsey, Charlie Barnet z Larrym Clintonem... Nie

masz pojęcia, jaki to był świat przed upadkiem Europy i przed atakiem nuklearnym nazistów na Rosję.

Ferracini patrzył z powątpiewaniem na radio, przez chwilę słuchał jeszcze muzyki.

— To bez sensu — zaprotestował.

— Nie o to chodzi — odparł Winslade. — Ale posłuchaj, jest w tej muzyce coś pozytywnego, coś, co budzi zaufanie. Czy nie nastraja cię optymistycznie, Harry? To naprawdę szczęśliwa, swobodna, pełna życia muzyka, muzyka ludzi, którzy mają coś do zrobienia i wierzą, że to zrobią.... wierzą, że potrafią zrobić absolutnie wszystko, co tylko zechcą. Zastanawiam się, co się z tym wszystkim stało.

Ferracini pokiwał głową.

— Nie wiem, a szczerze powiem, że też mnie to specjalnie nie obchodzi. Słuchaj, Claud, jeśli już jesteś w takim sentymentalnym nastroju, to w porządku, ale mnie zostaw w spokoju. Wydawało mi się, że mamy porozmawiać o zadaniu, o którym mnie i Cassidy'emu sygnalizowaliście przez radio.

Powiedziałeś też, że ma to coś wspólnego z prezydentem. Czy możemy więc przejść do rzeczy?

Winslade wyłączył muzykę, obrócił się i spojrzał Ferraciniemu prosto w oczy. Przybrał bardzo poważny wyraz twarzy.

— Ależ ja przez cały czas o tym mówię — rzekł. — Oto twoje następne zadanie, czy też raczej nasze zadanie. Tym razem ja się też zabieram. W rzeczy samej, będę dowodził całą ekipą.

— Ekipą?

— Właśnie. Mówiłem ci przecież, że czeka nas spotkanie z interesującymi ludźmi.

Ferracini starał się połączyć te wszystkie szczegóły w jedną logiczną całość, na koniec potrząsnął głową.

— A więc gdzie jedziemy? Do Japonii, a może gdzieś do japońskich posiadłości? Wzrok Winslade'a zaiskrzył.

— Słowo „gdzie” to niewłaściwe określenie, Harry. Nigdzie nie jedziemy. Zostajemy tu, w Stanach.

Pytanie natomiast brzmi: kiedy, w jakiej "epoce"?

Ferracini patrzył na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem. Winslade udał rozczarowanie i skinął głową w kierunku radia, jakby dawał do zrozumienia, że tam się mieści klucz do tajemnicy.

— Właśnie te lata! — wykrzyknął.

W dalszym ciągu nic nie rozumiejąc, Ferracini znów potrząsnął głową.

— To bez sensu, nie pojmuję. O czym, do diabła, mówisz?

— Rok 1939, Harry. Oto nasze zadanie. Wracamy do świata z roku 1939!

ROZDZIAŁ 1

Czterdzieści kilometrów na południe od Londynu, w pobliżu miasta Westerham, w południowym

Kencie, wznosił się zamek Chartwell. W mroku angielskiego lutowego popołudnia jawił się chłodny i wilgotny na tle otaczających go lesistych wzniesień, uprawnych pól i wiejskich gospodarstw.

Sielankowy krajobraz wyglądał tak, jakby od wieków nic się tu nie zmieniło, choć wśród

porośniętych lasem wzgórz wyrosły tymczasem nowe domy, a drogami, pod koronami drzew, gęsto przemykały samochody i autobusy, mosty i wiadukty zaś wyznaczały szlak kolei żelaznej, biegnący na południe, w kierunku wybrzeża.

Sam zamek to masywna, dwukondygnacyjna budowla z czerwonej cegły. Pewne jej fragmenty

pochodzą jeszcze z czasów królowej Elżbiety I, inne, późniejsze, reprezentują rozmaite style architektoniczne. Chartwell wznosi się pośrodku sporego parku, a od szosy wiedzie doń kręta, sypana żwirem droga. Z tyłu budynku, za trawnikiem, pobudowano liczne oficyny, w których

mieszczą się: letnia kuchnia, stajnie i cieplarnie. Dalej zaś, za nimi, wzniesiono altany otoczone krzewami, między którymi ułożono tarasy z piaskowca, ociekające wodą nieustannie pompowaną ze zbiornika na dole. Z góry strumienie opadają, tworząc liczne kaskady, stawy rybne oraz sadzawki, przepełniając całe otoczenie nieustannym szumem. Potężny i nie poddający się zmianom zamek, łą

wszystko co go otacza, symbolizuje jakby brytyjski ideał spokoju, dostatku i trwałości.

Dostojny Winston S. Churchill, poseł do parlamentu z okręgu Epping, siedział w gabinecie na piętrze i patrzył na rozpościerający się za oknem widok. Taki sielankowy obraz — pomyślał — nie powstaje z niczego, nie może być i nie jest wyłącznym dziełem natury. O taki stan rzeczy trzeba walczyć przez pokolenia, a następnie chronić go przed siłami zniszczenia i przemocy, które też nie powstają same przez się, ale tkwią w naturze człowieka od jego zarania. Wolność zdobywa się ciężkim wysiłkiem i trzeba ją nieustannie chronić, jeśli ma przetrwać. Wolność jest jak ten ogród rozciągający się za oknem: pod ręką ogrodnika kwitnie i daje owoce, opuszczony — pada ofiarą chwastów, jak cywilizacja wydana na pastwę barbarzyńców. Zanotował tę myśl sądząc, że może

kiedyś się przydać, a następnie zapalił cygaro od świecy, ustawionej specjalnie w tym celu na bocznym stoliku. Kłęb tytoniowego dymu spowił biurko i Churchill wrócił do lektury przemówienia, które był wygłosił do swoich wyborców przed pięcioma miesiącami, w sierpniu 1938 roku.

Jakże trudno nam, mieszkańcom miłującej pokój i szanującej prawo Anglii, zrozumieć pasję i zło targające Europą — mówił wtedy. — Czytacie w gazetach o tym, co się dzieje. Bywają tygodnie,

które przynoszą dobre wieści, częściej jednak wiadomości są złe, a jeszcze częściej po prostu przerażające. I powiadam wam, bo powiedzieć muszę, że Europa, a wraz z nią cały świat, zmierza ku przepaści i katastrofa wcale nie jest odległa.

Wypowiadał te słowa, nim jeszcze doszło do angielsko-francuskiej kapitulacji przed Hitlerem w Monachium, kiedy to na pożarcie nazistowskim wilkom rzucono Czechosłowację. Chwasty były pnieć się w ogrodzie, a ogrodników brakuje.

On zaś — Churchill — wraz z nieliczną grupą polityków, głównie z partii konserwatywnej, próbował

bić na alarm. Czynił tak od lat, choć uparcie wykluczano go z udziału w rządzie i nie dopuszczano tam, gdzie zapadały decyzje. Tymczasem wycofanie się Niemiec z Ligi Narodów i z Konferencji Rozbrojeniowej w 1933 roku, ledwie dziewięć miesięcy po dojściu Hitlera do władzy, powinno

stanować dostateczne ostrzeżenie. Nie zwracano jednak na to żadnej uwagi. Krwawe czystki, jakie naziści przeprowadzili w następnym roku, były wyraźnym świadectwem tego, że potężne i

uprzemysłowione państwo dostało się w ręce kryminalistów, że rządzą tam teraz prawa dżungli i uliczne gangi bez zasad, ale nawet to nie wywołało oburzenia — protestu, który wtedy wystarczyłoby do zduszenia w zarodku groteskowego, społeczno-politycznego eksperymentu kaprala Hitlera. I tylko zdecydowanej reakcji Mussoliniego, który dopiero później zmienił orientację, zawdzięczano to, że nazistom nie udało się zamach stanu w Austrii. Niemniej jednak w czasie zamachu doszło do zabójstwa kanclerza Austrii, Dollfussa.

W roku 1935, kiedy Niemcy otwarcie już naruszyły postanowienia traktatu wersalskiego, ogłaszając pobór do wojska i publicznie deklarując utworzenie Luftwaffe, cała reakcja aliantów sprowadzała się do zwołania konferencji w Stresie i uroczystego zgłoszenia formalnego protestu. Ale wkrótce potem Brytyjczycy okazali skruchę i pokorę, zawierając z Niemcami — bez konsultowania sprawy z

partnerami francuskimi — traktat morski, który znosił wobec Niemiec wszelkie ograniczenia dotyczące budowy okrętów wojennych, w tym także łodzi podwodnych.

Hasłem dnia stał się pokój za wszelką cenę, ale z jakim skutkiem? Zapłacono za to wysoką cenę.

Włochy zostały stracone dla aliantów, Abisynia legła pod ciosami otwartej, niczym nie sprowokowanej agresji, Japonii pozwolono na marsz przez całe Chiny bez żadnych ograniczeń,

Nadrenię remilitaryzowano, a dokonały tego trzy zaledwie bataliony niemieckie, maszerujące z całą ostentacją w zasięgu francuskich dział. Te milczały. Francuzi głosili również zasadę nieingerencji w Hiszpanii, co miało taki skutek, że z pomocą niemieckich bomb i włoskich kul zapanował tam reżim generała Franco. Austrię zajęto przemocą, a Czechosłowację opuścili wszyscy, gdy tylko pojawiła się groźba przemocy. Tak — cena była rzeczywiście wysoka.

A co zyskano? Dosłownie nic. Wojna nadejdzie, zanim ktokolwiek się opamięta. W tej kwestii

Churchill miał absolutną pewność.

W rzeczywistości na skutek dotychczasowej polityki poniesiono poważne straty. Jeśli już ma być wojna, byłoby lepiej, gdyby do niej doszło we wrześniu poprzedniego roku. Teraz, w roku 1939, Zachód stoi w obliczu znacznie bardziej niebezpiecznej sytuacji. Przed rokiem zaś istniała jeszcze Czechosłowacja i jej armia — jedna z najlepszych i najlepiej uzbrojonych w Europie. Churchill był

przekonany, że Francuzi powinni byli wtedy przystąpić do walki. Trzeba było rozpocząć działania we wrześniu 1938 roku, a więc wtedy, kiedy Czesi ogłosili mobilizację i odrzucili ultimatum, jakie Hitler przedstawił Chamberlainowi w Godesbergu. Wówczas też wszystko wskazywało na to, że rząd

brytyjski nie zgodziłby się na kontynuację polityki appeasement — ustępstw i łagodzenia sporów.

Rosja zgodziłaby się wtedy na traktat o współdziałaniu z Francją — Moskwa rzeczywiście gotowa była to zrobić — w konsekwencji zaś również Wielka Brytania przystąpiłaby do działań, nawet bez żadnego traktatowego zabezpieczenia. Żądałaby tego opinia publiczna. Tak — było wówczas wiele szans na pokonanie Hitlera.

Tymczasem Chamberlain, dzierząc w dłoni swój nieodłączny parasol, pokornie pośpieszył do

Monachium na wezwanie Hitlera. Tamże publicznie zadeklarował, że ufa dobrej woli i uczciwości Fiihrera, a jednocześnie złożył ofiarę, jakiej żądał ów szantażysta z wąsikiem.

„Ponieśliśmy całkowitą klęskę, której nikt i nic nie jest w stanie usprawiedliwić” — mówił Churchill w Izbie Gmin wkrótce po tych wydarzeniach. Jediną reakcją były jednak gwizdy i protesty. Oszalały tłum witał Chamberlaina po przylocie z Monachium i wiwatował, gdy ten, wymachując kawałkiem papieru, przyrzekał „trwały pokój”.

W Paryżu Francuzi łkali z radości na ulicach, kiedy ogłoszono, że groźbie wojny zdołano zapobiec.

„Głupcy” — mruknął premier Francji Daladier, jadąc z lotniska Le Bourget.

Churchill westchnął, uporządkował papiery na biurku i sięgnął po szklanekę szkockiej whisky z wodą. Musiał się zgodzić z faktem, choć przychodziło mu to z trudem, że jego kariera polityczna, która — owszem — kiedyś dobrze się zapowiadała, dziś dobiega kresu, a on sam — opuszczony —

staje się w wieku sześćdziesięciu pięciu lat symbolem porażki. Poniesie polityczną śmierć z rąk architektów polityki państwa, architektów, którzy hołdują przekonaniu, że tolerancja i ustępstwa sprawiają, iż dyktatorzy opanują swoje zapędy i zaoferują stosowne koncesje w zamian za takie właśnie kunktatorskie postępowanie. Ile to już razy każdy, kto umiał patrzeć, mógł się przekonać, że to tylko iluzja? Większość jednak była ślepa.

Śmierć polityczna nie jest równoznaczna ze zgonem — pomyślał filozoficznie. Zawsze i ze wszystkich sił starał się trwać przy tym, co uważał za słuszne, i nigdy nie odstąpił od moralnych zasad, które wyznawał. Niewielu ludzi mogło tak o sobie powiedzieć, nawet spośród tych, którzy pod koniec drogi życia szczylic się większymi sukcesami. Samo w sobie takie stwierdzenie było

dostateczną nagrodą.

Miał wspaniały dom i oddaną sobie rodzinę. Zamierzał teraz spróbować swoich sił w obrocie pewnymi obiecującymi akcjami. Czekala też, rozpoczęta przed dziesięciu laty, Historia ludów anglojęzycznych. I wreszcie — zawsze przecież może malować...

Nie. To wszystko bez sensu.

Wydał wargi i potrząsnął głową. Nie ma co udawać. Przepelniała go gorycz i smutek. I rzecz nie polegała na tym, że osobiście doznał niesprawiedliwości — ta nie omijała nikogo, kto decydował się na politykę. Cierpiał, widząc jak wolność i demokracja — ideały, którym poświęcił całe swoje życie, padają i giną pod naciskiem tyranii, przemocy i tego wszystkiego, co stanowi antytezę przyzwoitości i cywilizacji. Jeśli świat zmuszony będzie pogodzić się z taką lekcją, to skutek może być tylko jeden

— zagłada.

Ale właściwie dlaczego tak się dzieje? Nikt przecież nie może być aż tak zaślepiiony. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że ludzie po prostu nie chcą widzieć.

I ta myśl właśnie niepokoiła go najbardziej. Miał poważne podejrzenia co do motywów, którymi kierowali się ci, którzy skazywali go na polityczną banicję. Zachód zbyt pośpiesznie udzielał kredytów zbankrutowanemu Niemcom. Zbyt często też ustępowano pod lada jakim pretekstem w

sytuacji, w której wystarczała odrobina stanowczości, aby położyć kres działaniom Hitlera. Zbyt wiele nazistowskich materiałów propagandowych pojawiało się — i to bez żadnych ograniczeń — w licznych tytułach prasy brytyjskiej i francuskiej. I wreszcie zbyt wielu apologetów nazizmu działało we wpływowym kołach opiniotwórczych na Zachodzie.

Bogaci i wpływowi ludzie — rozumował Churchill — doprowadzili do odrodzenia i remilitaryzacji Niemiec, licząc, że Rzesza — choćby nazistowska — stanie się tarczą osłaniającą świat przed Rosją.

Sądzi, że uratują siebie i swoją progeniturę, wznosząc taką właśnie barykadę, która nie pozwoli, aby komunizm przemknął na Zachód.

On — Churchill — nie podzielał tego rozumowania. Nie ma uzasadnienia dla polityki, która polega na tym, że do ochrony przed złodziejem wynajmuje się mordercę. Bóg świadkiem, iż nie darzył

bolszewików sympatią i nie zamierzał zmienić poglądów, które wyznawał przez całe życie, ale też nie można jednej odrażającej ideologii zwalczać za pomocą drugiej, równie okropnej. Nic nie może usprawiedliwić wypuszczenia sfory Gestapo i SS na bezbronne, nieszczęsne i umęczone ludy Europy.

. Dźwięk telefonu na biurku przerwał te rozmyślenia. Podniósł słuchawkę, odłożył cygaro i zapytał:

— Tak?

— Pani Sandys dzwoni z Londynu — poinformowała sekretarka z dołu, gdzie znajdowało się jej biuro. Wiadomość dotyczyła najstarszej córki Churchilla, Diany. — Nalega, żeby ją połączyć — dodała.

— Ależ naturalnie, Mary. Proszę połączyć.

— Oczywiście, proszę pana. — W słuchawce rozległ się najpierw przeciągły ton, a później kilka trzasków.

— Tak? Tak?... Jest tam kto? Znów coś się dzieje z tym przeklętym telefonem.

— Już panią łączę, pani Sandys. — Trzask.

— Papa?

— A więc to ty, Diano. Co nowego? Coś się stało?

— Nie, nic. Tylko pomyśleliśmy z Duncanem, że skoro już jesteśmy w Londynie, to zrobimy jakieś zakupy, a wieczorem chcemy pójść do teatru. To znaczy, że nie wrócimy na kolację.

— Rozumiem. Dziękuję za wiadomość. Uprzedziłaś już Elsie?

— Mary obiecała to zrobić. A ty niczego nie potrzebujesz, bo skoro już idziemy na zakupy...

— Hmm... Chyba nic... Czy to wszystko? Po tym, co mówiła Mary, odniosłem wrażenie, że chodzi o coś ważniejszego. Diana zaśmiała się.

— Nie, to naprawdę wszystko. Chciałam tylko pogadać chwilkę i zapytać cię, jak się czujesz. Rano wydawało mi się, że jesteś trochę przeziębiony. Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz.

— Dla ciebie zawsze mam czas, moja droga. Czuję się dobrze, a za pamięć dziękuję. Nie jestem przeziębiony. Może tylko trochę zakatarzony. Życzę ci miłego wieczoru i do zobaczenia później.

— Wieczór chyba rzeczywiście będzie miły. Już ci nie przeszkadzam i do zobaczenia po powrocie.

— Do widzenia, Diano, i pozdrów Duncana.

— Pozdrowię. Do widzenia.

W słuchawce zaległa cisza i Churchill odłożył ją na widelki. Powrócił do rozmyślań na temat ponurych perspektyw Europy, która nieuniknienie zmierzała do katastrofy. Przypomniał sobie

wierszyk o katastrofie kolejowej. Wstał z fotela, podszedł do okna, mruczając półgłosem zapamiętaną strofę:

Pędzi po szynach lokomotywa, Wielka, ogromna, ale leciwa. Dudnią wagony, koła po torach, Kto ją

prowadzi? — To jakaś zmora. Mija semafor, pędzi przez stację, Prosto ku śmierci, więc macie rację, że nic gorszego być już nie może, Jeśli to zmora pędzi po torze.

Znalazł ten wierszyk dawno temu, kiedy jeszcze chodził do szkoły w Brighton, w zbiorze rysunków i tekstów z Puncha.

— Hmm — Mary dyskretnie dawała znać o swojej obecności.

Stała w drzwiach. Pełna godności niewiasta w średnim wieku, o jasnej cerze i brązowych włosach spiętych w kok na karku. Ubrana była w prostą czarną spódnicę i białą bluzkę z falbankami na ramionach. Churchill obrócił się do niej. W jednej ręce trzymała arkusz pogniecionego brązowego papieru, jakiego zazwyczaj używa się do opakowywania paczek, a w drugiej mały pakiet. Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

— Tak, Mary? — zapytał Churchill. — O co chodzi? Mary weszła do gabinetu.

— Przyniesiono to przed chwilą. Przesyłka polecona — powiedziała dość zagadkowym tonem. — To coś zupełnie niezwykłego, proszę pana. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

— A cóż to takiego, niech no zobaczę. Co w tym takiego dziwnego?

Churchill podszedł do niej, wziął pakiet, wrócił następnie do biurka, żeby dokładnie rzecz obejrzeć.

Pakiet był wielkości książki. Starannie opakowany w biały papier i jakby opieczętowany przezroczystą taśmą, która wyglądała jak przyklepiec. Jakiś nowy materiał biurowy — pomyślał Churchill. Na opakowaniu ktoś napisał wyraźnymi czarnymi literami:

DOSTOJNY WINSTON CHURCHILL POSEŁ DO PARLAMENTU DO RĄK WŁASNYCH

Obrócił pakiet w ręce. Nie było żadnych innych napisów.

— To rzeczywiście dość niezwykłe — mruknął. — Ale cóż, widzisz, Mary, co tu napisali, więc zastosujmy się do tego. Dziękuję, Mary, nie będziesz mi potrzebna. — Usiadł, przysunął fotel do biurka i jeszcze raz starannie obejrzał paczkę. Zauważył, że Mary zatrzymała się niepewnie pośrodku gabinetu. — Tak? — zapytał lekko poirytowanym tonem. — O co jeszcze chodzi?

Mary spojrzała na paczkę niespokojnym wzrokiem.

— Chodzi o to... proszę pana... a więc chodzi o to, że to może być niebezpieczne. Słyszysz się o takich różnych bombach i zamachach, których dokonują anarchiści. Może lepiej zadzwonić po policję, aby to zbadali?

Churchill przyglądał się pakietowi, minę miał gniewną. Wreszcie potrząsnął głową i machnął

niecierpliwie ręką.

— Bomby i anarchiści. Czytasz za dużo sensacyjnych książek, Mary, a to zapewne nic innego jak tylko dowcip wymyślony przez Bernarda Shawa albo jemu podobnych.

Mary wahała się jeszcze przez chwilę, po czym, skłoniwszy głowę, wyszła nie kryjąc niezadowolenia.

Churchill popatrzył na biurko, sięgnął do szuflady po nożyczki i zaczął rozpakowywać przesyłkę, reagując z zaciekawieniem i niecierpliwością, która jego samego zaskakiwała.

Pod kilkoma warstwami papieru znalazł niewielkie pudełko sporządzone z jakiegoś nie znanego mu, półprzezroczystego, białawego i dość elastycznego tworzywa. Owszem — widywał tego typu materiał

w pewnych eksperymentalnych urządzeniach elektrycznych, które mu pokazywano, ale nie zdawał sobie sprawy, że owo tworzywo jest już powszechnie dostępne. No cóż, postęp — pomyślał.

Pokrywka pudełka oklejona była dokładnie taką samą przezroczystą

taśmą jak cały pakiet, a pudełko wypełnione było po brzegi grudkami jakiegoś, również nie znanego mu, białego tworzywa lekkiego jak powietrze. Głębiej zaś znalazł kilka kolorowych fotografii, o zaskakującej ostrości i wyrazistości barw, oraz zestaw dziwnych przedmiotów, które na pierwszy rzut oka wyglądały jak miniaturowe urządzenia elektryczne. Znalazł także płaskie metalowe

pudełeczko, nie większe niż paczka papierosów, z całym zestawem przycisków opatrzonych symbolami matematycznymi i niewielkim okienkiem wmontowanym wyżej. Drugie, podobne do tego, pudełeczko było otwarte, ukazując wewnątrz pełne tajemniczych połączeń i detali. Obok znajdowała się złożona kartka papieru.

Z ciekawością obejrzał jedno ze zdjęć. Przedstawiało samolot sfotografowany w locie. Była to jednak maszyna, jakiej nigdy dotychczas nie widział. Miała wydłużony, ostro zakończony z przodu kadłub, skośne skrzydła i — co było najbardziej zaskakujące — nie miała śmigła. Napis na odwrocie fotografii głosił: naddźwiękowy, odrzutowy samolot myśliwsko-bombowy. Prędkość: 2,5 Ma — dwuipółkrotna prędkość dźwięku. Zasięg: 3 400 mil bez uzupełniania paliwa w powietrzu. Pułap: 90 000 stóp. Uzbrojenie: osiem kierowanych radiem i reagujących na źródło ciepła rakiet powietrze—powietrze o zasięgu 20 mil.

— Nadzwyczajne — mruknął wielce zdziwiony, a jego oblicze przybrało wyraz absolutnego

zdumienia.

Kolejne zdjęcie przedstawiało wysmukły, cylindryczny przedmiot, który przypominał wyglądem pocisk artyleryjski, z tą jednak różnicą, że ów przedmiot musiał być wysoki na kilka pięter, o czym można było wnosić na podstawie kilku postaci ludzkich stojących obok. Według objaśnienia na odwrocie fotografii, była to potężna rakietka. Pozostałe zdjęcia obrazowały niezwykle maszyny, budowle i trudne do określenia przedmioty. Jeden z napisów głosił: generator mocy wykorzystujący energię jądra atomu w przemyśle w wielkim zakresie. Paliwo: pierwiastek z grupy transuranowców o liczbie atomowej 239, otrzymywany przez syntezę. Moc: 800 MW.

Zadziwiony do ostatnich granic, Churchill odłożył fotografie i wziął do ręki ów niewielki przedmiot z rzędami guziczków. Znalazł mały przycisk oznaczony ON (włączyć) i OFF (wyłączyć). Przesunął dźwignię w kierunku znaku ON i w prostokątnym okienku ukazał się zestaw cyfr. Z kolei nacisnął przycisk z napisem CLEAR (wymaż) i cyfry zniknęły. Przekonał się następnie, że uruchamiając przyciski oznaczone cyframi, powoduje wyświetlanie odpowiednich znaków w okienku, a z dalszych prób z dźwigniami opatrzonymi znakami „+” i „—” wnioskował, że można za pomocą tego urządzenia przeprowadzać nieskomplikowane obliczenia. Z wolna też zaczął rozumieć, że urządzenie pozwala także na bardziej skomplikowane operacje matematyczne — rozwiązywanie zadań, z którymi miał do czynienia kiedyś w szkole, ale których już nie pamiętał, a w istocie nigdy specjalnie nie rozumiał, jak sam zawsze przyznawał.

Był tym wszystkim oszołomiony. Zaczynał pojmować znaczenie tego, co miał przed oczami. W porównaniu z tym, co leżało teraz na jego biurku, nawet najbardziej nowoczesne kalkulatory biurowe, jakie kiedyś mu pokazywano, były beznadziejnie prymitywne, ciężkie, hałaśliwe i uciążliwe w użyciu, z ową masą dźwigni, przekładni i przycisków, wielkich i niewygodnych jak w maszynie do pisania. A zapewniano go przecież, że są to najnowocześniejsze urządzenia, jakie w ogóle istnieją.

Skoro tak, to jakiej trzeba techniki i technologii, żeby stworzyć takie cuda, jakie właśnie trzymał w ręku? I skąd to się właściwie wzięło? Sięgnął po złożony arkusz papieru, rozłożył go i zaczął czytać:
Szanowny Panie Churchill

Zechce Pan wybaczyć, że uciekliśmy się do tej, raczej niekonwencjonalnej metody nawiązania kontaktu, ale też niezwykła jest cała sytuacja. Zakładam, że docenił Pan znaczenie przedmiotów przekazanych wraz z tym listem. Mamy niewiele czasu, a jest do omówienia sporo problemów dotyczących kwestii bezpieczeństwa i przyszłości zachodnich państw demokratycznych. Jeśli Pan pozwoli, to chciałbym się Panu osobiście przedstawić i zaprezentować także moich towarzyszy. Będę zaszczycony, jeżeli zechce Pan przybyć na śniadanie, które chcę wydać w najbliższą środę, 17 lutego, o godzinie 12.30, w prywatnych salach w hotelu Dorchester.

Będzie mi miło, jeśli zechce Pan przybyć w towarzystwie trzech wybranych przez siebie zaufanych osób, na których dyskrecji może Pan polegać.

Jeżeli odpowiada Panu czas i miejsce spotkania, proszę złożyć potwierdzenie przyjęcia zaproszenia na ręce pana Jeffriesa, zastępcy dyrektora hotelu, pod numerem telefonu MAYfair 2200. Z

wyrazami głębokiego szacunku

(Podpis) Winslade

— Nie do wiary — szepnął Churchill do siebie. Powtórnie przeczytał uważnie cały list i raz jeszcze starannie obejrzał całą przesyłkę, a następnie pogrążył się rozmyślaniach. Na koniec zebrał

wszystkie przedmioty i schował je głęboko w szufladzie biurka, po czym podniósł słuchawkę telefonu i nacisnął przycisk do sekretarki.

— Słucham pana? — zgłosiła się Mary, a w jej głosie brzmiała wyraźna ulga.

— Proszę zatelefonować do Oksfordu, odszukać profesora Lindemanna i poprosić go, aby przyjechał tu tak szybko, jak to tylko możliwe — zlecił Churchill bardzo poważnym tonem. — Proszę go poinformować, że chcę mu coś pokazać, co go... zafascynuje, właśnie... zafascynuje.

ROZDZIAŁ 2

Zapadał już zmierzch, gdy trzytonowa ciężarówka, dodge — model z 1929 roku, dojeżdżała do przedmieścia St. Louis w stanie Missouri. Kupiono ją na aukcji używanych samochodów w

Albuquerque, w stanie Nowy Meksyk, płacąc gotówką, którą uzyskano z nielegalnej sprzedaży złota.

Wyregulowano zawory, poprawiono zapłon, przeczyszczono gaźnik — silnik pracował teraz znacznie lepiej niż przed paru tygodniami. Z Nowego Meksyku ciężarówka wyjechała przed kilkoma dniami, w Nowym Jorku miała się stawić dopiero za jakiś czas. Już po raz trzeci teraz, czyli na początku 1939 roku, Harry Ferracini przemierzał szosy środkowych i wschodnich Stanów i miał już tego serdecznie dość.

— To epoka miłości i świetności, Harry, szaleństwa i wolności — zapewniał Winslade, gdy przez kilka miesięcy dwunastka uczestników Operacji „Proteusz” przygotowywała się do dematerializacji, a następnie do ponownego zaistnienia trzydzieści sześć lat wcześniej, stosując skomplikowany proces, którego elementami były wymiary, fale i pola, wielkości niezrozumiałe dla Ferracinięgo.

Stacjonowali w supertajnej bazie wojskowej w Tularosa, gdzie też zgromadzono cały potrzebny im ekwipunek. — Clark Gable i Greta Garbo. Cagney i Humphrey Bogart, filmy Walta Disneya —

entuzjasmował się Winslade. — Przenosimy się do czasów, kiedy legendarny Babę Ruth trenował

drużynę Brooklyn Dodgers, kiedy Orson Wells właśnie zrobił w radiu ów niebywały numer z

rzekomą inwazją Marsjan, kiedy Joe Louis nokautował po kolei wszystkich na ringu. A jednocześnie nie było nakazów pracy w przemyśle zbrojeniowym, nie było rządowej reglamentacji towarów — jak później w czasie wojny — i wolno było podróżować ze stanu do stanu bez żadnego zezwolenia.

Wszystko to prawda, zgadzał się Ferracini, ale zarazem podejrzewał, że albo Winslade cieszył się w owych czasach jakimiś szczególnymi przywilejami, albo po prostu nie dopisuje mu już pamięć. On —

Ferracini — nie dostrzegł niczego specjalnie sentymentalnego w państwie i społeczeństwie, które pogrążało się w marzeniach i niepamięci, podczas gdy po drugiej stronie oceanu zaczynały się pogromy, wyciągano z domów całe rodziny, bijąc je i rabując, a w miastach, w których przez całe stulecia życie biegło spokojnie, jedynym prawem stawało się to, co postanawiali bandyci w

brunatnych koszulach.

Minał już miesiąc od chwili, gdy ekipa „Proteusza” zjawiała się w 1939 roku. Upłynęło wystarczająco dużo czasu, by Ferracini zaczął dostrzegać nędzę i nędzarzy, których Wielki Kryzys całej poprzedniej dekady pozbawił wszelkiej energii i nadziei na coś więcej niż na jeszcze jeden dzień życia. Widział

klasy średnie, które co prawda świadome były świata objawiającego się im na łamach gazet, ale które jednocześnie chroniły swoją nowo uzyskaną godność, izolując się, jak w skorupie, w swoich domach kupionych na raty i w kinach, gdzie zdążano, by pogrążyć się w filmowej fantazji.

Przyglądał się dzieciom bogaczy zamykających się w błyszczącym i elitarnym kręgu majątku i sławy

— świecie róż, jedwabnych sukien, białych smokingów i wieczorów przy świetle księżyca — i

wydawało mu się, że odcinają się oni od rzeczywistości jakby w nadziei, że rzeczywistość pozostawi ich w spokoju.

Ale byli też inni, choć nieliczni, jak na przykład ów kombatant z wojny światowej, którego spotkali z Cassidyem w pewnym barze w New Jersey. Krytykował on Ustawę o neutralności i chwalił

Roosevelta i jego politykę odbudowy marynarki wojennej i rozbudowy armii. Pewna kobieta ze

znaczką „Przede wszystkim Ameryka” zaczęła wtedy pokrzykiwać na niego i nazwała go

podżegaczem wojennym, a towarzyszący jej mężczyzna pośpieszył z pogrózkami. Na to barman

wyrzucił z baru... nie... nie pacyfistę, który szukał okazji do rozróby, ale właśnie biednego weterana Wielkiej Wojny. Typowe — pomyślał Ferracini — typowe dla świata, w którym narody chcące się bronić, oskarża się o brak rozsądku. Oto tu — myślał — rodzi się świat taki, jaki znam, świat, który zaistnieje za trzydzieści kilka lat.

Lecz właśnie celem Operacji „Proteusz” była zmiana tego stanu rzeczy. Sam Ferracini miał jednak przekonanie, że wysiłek okaże się próżny.

Tymczasem zobaczył przed sobą jakieś światła. Latarnie zawieszane na słupach wyławiały z

ciemności zarysy przydrożnej restauracji i sylwetki kilku zaparkowanych ciężarówek, czerniejące w mroku na tle nieodległego już miasta. Cassidy, który siedział obok na miejscu pasażerskim, odziany w grubą kurtkę, wytarte dżinsy i wełnianą marynarską czapkę nasuniętą głęboko na uszy,

przeciągnął się w fotelu i rzekł:

— To właśnie jest miejsce, o którym mówiłem. Tu się zatrzymaliśmy w czasie poprzedniej podróży. A żołądek przypomina mi, że pora coś zjeść. Jak myślisz, zatrzymamy się?

— Nie powinniśmy robić postoju w tych samych miejscach — odparł Ferracini. — Będzie jeszcze parę knajp po drugiej stronie miasta.

— A czemuż to? Przypomnij sobie, jakie tu dają steki z cebulą, a poza tym jest to dokładnie miejsce, gdzie przebywa taka jedna ślicznotka... pamiętasz, ta z wielkim biustem i nogami do pasa. Jak ona na mnie spojrzała...!

— Właśnie, na tym to polega. Nie chcę, aby ktokolwiek nas zapamiętał.

Cassidy załamał ręce.

— Harry, przysięgam, zaczynasz być psychiczny... to znaczy, czy tobie naprawdę wydaje się, że wszędzie jest Gestapo, nawet tu, pośrodku stanu Missouri? Chłopie, oni są tam, po drugiej stronie tego wielkiego stawu, a my jesteśmy tu, u siebie.

— Daj spokój, Cassidy. Wiesz przecież, o co chodzi.

— Okay, Harry, okay — Cassidy ciężko westchnął i opadł na swój fotel.

Racja była oczywiście po stronie Ferraciniego. Wszystko mogło się jeszcze wydarzyć w ciągu dwóch miesięcy i kto wie, co mogłoby się stać, gdyby ktoś zapamiętał ciężarówkę, któregoś z nich, czy coś podsłuchał.

W czasie przygotowań wysłuchali wprawdzie kilku wykładów z teorii fizyki, miało to wyjaśnić im podstawy naukowe całego procesu, ale wszystko, co Ferracini zdołał pojąć, sprowadzało się do uświadomienia sobie, że owa maszyna, którą konstruowano w podziemiach bazy w Tularosa, zdolna była do przenoszenia ludzi i przedmiotów w przeszłość. I tym właśnie zajmował się Winslade, i w tym też celu odbywał długie konferencje z naukowcami.

Nigdy wcześniej nie przeprowadzano takich eksperymentów z ludźmi. Owszem, odbywały się jakieś wstępne próby, które naukowcy oceniali jako zachęcające, nie podając jednak żadnych szczegółów.

Tymczasem, na skutek gwałtownie pogarszającej się sytuacji na świecie, stało się oczywiste, że należy natychmiast przystąpić do operacji, nie czekając, aż uczeni wszystko do końca wyjaśnią.

W trzy miesiące po rozpoczęciu eksperymentów w olbrzymiej hali, głęboko pod ziemią w bazie

Tularosa, wielki pojemnik o kształcie i rozmiarach sterowca znikł z podtrzymujących go konstrukcji, które wraz z gmatwaniną kabli na chwilę rozbłysły niebieskawą poświatą, i pojawił się, trzydzieści sześć lat wcześniej, w tym samym punkcie, ale jakieś piętnaście kilometrów nad ziemią. Automat wypełnił helem zestaw elastycznych jak balony, specjalnych zbiorników i całe urządzenie łagodnie spłynęło na powierzchnię Ziemi. Tak oto Ferracini i jedenastu pozostałych uczestników Operacji

„Proteusz” znaleźli się na pustyni w Nowym Meksyku, w nocy, w styczniu 1939 roku. Podróżnicy w czasie, uczestnicy największego bez wątpienia osiągnięcia w dziejach fizyki, przybyli na Ziemię...

balonem.

Maszyna z Tularosa — wyrzutnia — była urządzeniem jednorazowego użytku, data zaś — styczeń

1939 roku — wyznaczała jej maksymalny zasięg podczas wyprawy w przeszłość. Aby powrócić do

współczesności, należało skonstruować nową maszynę, tak zwany projektor powrotny. Wszystkie potrzebne urządzenia i podzespoły przywieziono ze sobą na pokładzie wyrzutni. Na podstawie

wcześniejszych obliczeń i prób z atrapą pojazdu oceniano, że budowa projektora powrotnego zajmie cztery... może pięć miesięcy.

Pierwszym celem misji było po prostu doprowadzenie do dialogu między władzami Stanów

Zjednoczonych w obu epokach. Należało postępować tak, aby nie wywoływać żadnej sensacji, nim zadanie to zostanie wykonane. Zdecydowano więc — to znaczy tak zdecydowały władze z roku

1975 — że budowa projektora powrotnego będzie utajniona. Ustalono także, że stosowną bazę należy założyć gdzieś na wschodnim wybrzeżu, w okolicach Nowego Jorku, jako że taka właśnie lokalizacja gwarantowała dobrą łączność i zaopatrzenie. I tak oto Ferracini i pozostali uczestnicy misji, wyznaczeni do Grupy USA — kryptonim „Cukier”, rozpoczęli transport urządzeń i całego zaplecza technicznego z Nowego Meksyku na Brooklyn, gdzie w porcie wynajęto ogromny magazyn.

Najważniejsze podzespoły przewozili ciężarówkami sami. Chodziło o takie rzeczy, jak komputery i urządzenia elektroniczne, które miały wyraźnie futurystyczny charakter. Co większe elementy konstrukcji, które świadomie wykonano z materiałów osiągalnych już w roku 1939, jak również zdemontowaną wyrzutnię przewieziono najpierw samochodami do Albuquerque, a później wysłano

koleją.

Drugie zadanie polegało na podjęciu próby ingerencji w bieg spraw politycznych w Wielkiej Brytanii, bo właśnie tamtejsze wydarzenia z lat 1939—1940 zrodziły katastrofę, która obecnie zagrażała światu z epoki „Proteusza”. Realizacja tego zadania nie zależała od postępów w budowie projektora powrotnego. Tempo wydarzeń zachodzących w Europie dyktowało podjęcie natychmiastowych

działań ze strony przywódców państw Zachodu, aby nie dopuścić do powtórzenia się katastrofy. W

związku z tym Winslade i dwóch innych członków tzw. Brytyjskiej Grupy, kryptonim „King”, udali się niezwłocznie do Londynu. Samolotem DC-3 przylecieli najpierw do Nowego Jorku, skąd dalej popłynęli statkiem. Innej możliwości nie było. Rejsy „latających łodzi” Pan American do Lizbony zostaną uruchomione dopiero pod koniec tego roku.

Po przejechaniu przez most Eads nad Missisipi, zatrzymali się w czynnej dwadzieścia cztery godziny na dobę restauracji przy szosie w pobliżu Indianapolis. Parking był nie oświetlony, natomiast sama restauracja okazała się przytulna i ciepła, wypełniona aromatami jedzenia i błyskami od płonących na kominku węgli. Przy stolikach i w łóżach siedziało kilkunastu gości, w większości kierowców ciężarówek jeżdżących na dalekich trasach. Za bufetem, w kącie sali, królował tęgi kucharz.

Nakładał na talerze porcje szynki, jajek i pieczonych żeberek, a do kufli lał mocne piwo. Za barem stała kelnerka o meksykańskich rysach. Na ścianach widniały plakaty, wycinki z gazet i fotografie znanych zawodników baseballu. Z wielkiego radia w drewnianej obudowie, stojącego na półce,

dobiegła melodia, którą Ferracini potrafił już rozpoznać. Był to jeden ze standardów Duke'a Ellingtona. W czasie wolnym od zajęć, w okresie szkolenia, nadawano im muzykę i wyświetlano archiwalne filmy z tych lat.

Nikt nie zwrócił specjalnej uwagi, gdy po wejściu Ferracini i Cassidy otrzepywali śnieg i błoto z butów i zdejmowali kurtki. Podeszli do baru i zamówili dwa steaki z dodatkami. Wzięli po filiżance kawy i zasiedli przy pustym stoliku w kącie sali, obok pogrążonego w rozmowie towarzystwa

młodych i elegancko ubranych osób. Ze strzępków zdań, które słyszeli, mogli wnosić, że rozmówcy należą do bardziej wykształconej warstwy, niż wskazywałoby na to otoczenie.

— Ciepło — powiedział Cassidy zdejmując czapkę i wygładzając włosy palcami. — Chcesz, abym poprowadził, jak ruszymy po obiedzie? Ferracini przytaknął.

— Owszem, chętnie odpocznę, a może nawet się zdrzemnę.

— Cztery dni w jedną stronę, i to jadąc dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przydałoby się trochę autostrad. — Cassidy poprawił się na krześle, rozejrzał i pociągnął łyk kawy z filiżanki. — Ciągłe nie mogę się przyzwycząić, Harry. Żadnych zezwoleń, żadnych papierów — rozumiesz... Claud miał

rację, każdy robi to, co chce. A nie wierzyłem mu, wydawało mi się, że uprawia propagandę, żeby nas zachęcić.

— Uhm — mruknął Ferracini w odpowiedzi. Cassidy pochylił się i przeciągle spojrział na Ferraciniego. Zawsze tak robił, gdy miał jakiś pomysł.

— Wiesz co, Harry, czasami myślę sobie, że człowiek niekoniecznie musi siedzieć na miejscu, tam gdzie go poślą, rozumiesz mnie? Jak Claud będzie już miał maszynę i będzie mógł zrobić, co tylko chce...

— Oszalałeś? Przestań opowiadać głupstwa.

— Posłuchaj, mówię. Co nas czeka tam, skąd przyszliśmy? A zresztą, tam już będzie po wszystkim.

— Właśnie dlatego nas tu przysłali, żeby to zmienić. Będzie inaczej, rozumiesz?

— Mówisz, że wszystko się zmieni, a kiedy tą maszyną wrócimy do siebie, to świat będzie zupełnie inny? — Cassidy był wyraźnie nie przekonany. — Nic się nie dzieje w taki prosty sposób, Harry. A Claud i wszyscy ci uczeni chyba tylko udawali, że to się powiedzie, a tak naprawdę, jeśli dobrze się wsłuchać, to też niczego do końca nie byli pewni. Nie mieli i nie mają pewności, czy to naprawdę wypali.

Ferracini wzruszył ramionami.

— Daj spokój, Cassidy. Jesteśmy tu już dość długo — wystarczająco, by wiedzieć, jak się sprawy mają i jacy naprawdę są ludzie. Zależy ci na tym, żeby żyć między takimi kretykami? Mają wszystko i nie potrafią tego docenić. Widzą tylko koniec własnego nosa, nie chcą dostrzec tego, co się naprawdę dzieje. Są jak dzieci, rozumiesz?

Cassidy uniósł rękę.

— Okay, Harry, okay. Przestań gadać. — Nie chciał już wdawać się w dyskusję.

Ferracini wzruszył ramionami i zapadł w milczenie. Cassidy oparł się wygodnie i rozejrzał po sali.

Po chwili znów się pochylił, oparł łokcie na stole i rzekł:

— Myślę, że należy nam się trochę wytchnienia, jak dojedziemy do Nowego Jorku, jakiś wolny dzień, może dwa. Nie chciałbym się wykończyć od nadgorliwej służby albo, co gorsza, ze zmęczenia wypaść razem z ciężarówką z drogi i w rezultacie połamać to całe żelastwo Mortimera. Co o tym myślisz, Harry? Należy nam się chyba przepustka na czterdzieści osiem godzin?

Mortimer Greene, były dyrektor Badań i Rozwoju Systemów Uzbrojenia oraz Centrum Badawczego

Sił Powietrznych, stał na czele trzyosobowego zespołu naukowców-inżynierów biorących udział w Operacji „Proteusz”. Z racji stanowiska i funkcji odpowiadał za montaż projektora powrotnego, jednocześnie jako drugi człowiek w hierarchii dowodził Operacją „Cukier”, w czasie gdy Winslade przebywał w Londynie.

Ferracini uśmiechnął się niewyraźnie, zdjął kurtkę z ramion i powiesił ją na oparciu krzesła.

— Też sądzę, że coś trzeba będzie załatwić — powiedział. — Tymczasem jednak musimy dojechać z ładunkiem. Pogadam z Mortimerem, powiem mu, żeby nam dał dwa dni wolne.

Cassidy jeszcze bardziej pochylił się w stronę Ferracinięgo.

— Pamiętasz tych facetów, z którymi rozmawialiśmy w barze przy Trzydziestej Czwartej Ulicy

podczas poprzedniej podróży? — Zwilżył wargi i zaczął mówić cichszym, dyskretniejszym głosem:

—
Wszystko jedno. Ale mówili o tych eleganckich dziwkach, które można załatwić na stronie

wschodniej. Biorą półtora dolara... — Przerwał, bo właśnie meksykańska kelnerka przyniosła dwa talerze dymiącego jedzenia i koszyk z pieczywem.

Cassidy miał już podjąć wątek, gdy jego uwagę zwrócił podniesiony głos dobiegający od sąsiedniego stolika, przy którym siedziało owo liczniejsze towarzystwo. Głos należał do młodego człowieka o puciołowatej twarzy, wybrylantowanych włosach, ubranego w brązową marynarkę:

— Coughlin ma rację. Dlaczego właściwie mamy się wdawać w nie swoje wojny? Już raz ich ratowaliśmy, nieprawda? A oni nawet nie spłacili długów. Moim zdaniem to właśnie spowodowało krach w 1929 roku.

— Chciałam powiedzieć to samo — rzekła dziewczyna w błękitnym zakiecie, siedząca po drugiej stronie stołu. — Rządy w Europie są przegniłe, a wojny są ich cechą charakterystyczną. Co do mnie, to mam nadzieję, że Hitler weźmie się za to i zrobi z tym w końcu porządek. Przyda im się.

— No właśnie — zgodził się blondyn, który siedział obok niej. — A zresztą Hitler odbiera tylko to, co mu się należy, a poza tym przywraca porządek i dyscyplinę. Zgadzam się z Fioną. To tylko robi im dobrze. Nie mają wyboru.

— No cóż, jest jeszcze ten... jak mu tam... Chamberlain... — sarkastycznie dorzucił właściciel brązowej marynarki. Ktoś zachichotał.

Szczupły młodzieniec siedzący po drugiej stronie blondyna uniósł brwi, zrobił okrągłe oczy i przyłożył palec pod nos, imitując wąsy a la Hitler. Zaczął wymachiwać jadłospisem, jak Chamberlain swoją sławną kartką, i wykrzykiwał:

— Odbyłem wczoraj rozmowę z Herr Hitlerem — mówił, naśladowując nosowy brytyjski akcent. Całe towarzystwo wybuchło śmiechem.

Ferracini opuścił wzrok, wpatrywał się w talerz i w milczeniu przeżuwał kawałki steku.

— Czemu się tak przejmujesz, Harry? — rzekł Cassidy. — Oni i tak niczego nie rozumieją.

— Nie chodzi o nich, ale o coś więcej — mruknął Ferracini, kręcąc głową. — Również i ten kraj nie ma przyszłości. Wszystko skończone.

— Potrzebna jest silna władza — powiedziała dziewczyna w błękitnym zakiecie. — Zdają sobie z tego sprawę jedynie komuniści.

— Wszyscy wiemy, co to znaczy — dorzucił blondyn.

— Leniwi całego świata, łączcie się! — krzyknął szczupły młodzieniec, naśladowując tym razem rosyjski akcent.

Cassidy stracił cierpliwość. Obrócił się nagle na krześle i bez żadnych wstępów, wymachując ze złością widelcem, na którym tkwił jeszcze kawałek steku, zaczął mówić do zgromadzonego towarzystwa:

— Lepiej przestańcie tak gadać, jeśli nie chcecie draki — ostrzegł. Oczy mu się zwężyły, w głosie pobrzmiwały groźne nuty. Wskazał głową w kierunku Ferraciniego, nie odwracając wzroku. —

Widzicie tego faceta? Lepiej uważajcie. To ochotnik z Hiszpanii. Spędził dwa lata w Brygadzie imienia Abrahama Lincolna pod bombami faszystów i od tego czasu nie jest zupełnie normalny.

Wścieka się, jak słyszy takie gadki. Popatrzcie na jego oczy! Lepiej dajcie spokój, jeśli nie chcecie, żeby doszło do czegoś...

Ferracini westchnął cicho. Przez chwilę w powietrzu wisiała pełna zakłopotania cisza. Cassidy toczył

wzrokiem, ciągle jeszcze dzierżąc w dłoni widelec. Usta wykrzywiły mu się gniewnie pod wąsem. Po chwili, odwracając się z wyrazem pogardy i prychnięciem mającym świadczyć, że nic się takiego nie stało, jedna z dziewczyn powiedziała, pełnym wyższości tonem:

— Czytaliście Myszy i ludzie. Według mnie Steinbeck jest rzeczywiście naturalistyczny... —

Rozmowa znów potoczyła się jakby nigdy nic, Cassidy odwrócił się od towarzystwa z westchnieniem wyrażającym satysfakcję. Nikt inny w całej sali nie okazał żadnego zainteresowania i obiad dobiegł

końca bez nadzwyczajnych wydarzeń.

Przed opuszczeniem restauracji Ferracini poszedł jeszcze do toalety, a Cassidy miał czekać przy wyjściu. Gdy Ferracini wyszedł z ubikacji, Cassidy oczekiwał go w wąskim korytarzu na zapleczu, pełnym worków z kartoflami i pojemników z warzywami. Nie był rozluźniony — jak zwykle — lecz napięty i zaniepokojony.

— Co jest? — zapytał Ferracini.

— Jakiś facet szwendał się przy ciężarówce — odparł Cassidy półgłosem. — Dostrzegłem tylko cień obok auta.

— Może jakiś złodziejaszek?

— Może.

— Widziałeś jeszcze kogoś?

— Nie, bo jest ciemno.

— Co robimy?

Cassidy kiwnął głową w kierunku tylnego wyjścia z restauracji, za którym rozciągała się mroczna przestrzeń.

— Jeden z nas pójdzie na wabia, a drugi będzie go krył od tej strony. Co o tym myślisz?

Ferracini podszedł do oszklonych drzwi i uważnie obserwował otoczenie. Wrócił i potwierdził ruchem głowy.

— Kto idzie na wabia? — Na chwilę zapadło milczenie. Westchnął z rezygnacją. — Okay, ja pójdę.

Przygotuj się. Za pięć minut bądź na miejscu.

Cassidy ruszył ku tylnym drzwiom, a Ferracini wrócił do toalety, żeby ochłodzić twarz.

Po chwili, odświeżony, wszedł do sali, podszedł do baru i kupił kilka batonów. Założył kurtkę i wyszedł na zewnątrz, zagłębiając się w mrok parkingu. Okrążył ciężarówkę udając, że szuka w kieszeniach kluczy do stacyjki.

Gdy już zamierzał otworzyć drzwi kabiny, z mroku wyłonił się jakiś mężczyzna. W świetle dalekiej latarni ulicznej widoczna była tylko jego sylwetka — wysoka i barczysta, ale jakby zgarbiona.

Mężczyzna miał na sobie wyświechtany płaszcz i miękki, filcowy kapelusz. Ferracini spiął się w sobie. Mężczyzna zatrzymał się w odległości paru kroków.

— Przepraszam, przyjacielu — rzekł pokornym tonem — czy przypadkiem nie jedziesz na wschód?

Nie mógłbym się zabrać? Kobieta i dzieciaki czekają w Kansas... Muszę znaleźć jakąś robotę.

— Nie da rady, kolego — odparł Ferracini. — Przepisy. Szef sprawdza mnie cały czas. — Wyjął rękę z kieszeni i podał nieznajomemu banknot, jednocześnie pilnie nasłuchiwał, czy nie usłyszy czegoś za sobą, skradających się kroków czy głośniejszego oddechu, gdy ramię unosi się do zadania ciosu. W

takich właśnie sytuacjach wszystko zależało od partnera, od Cassidy'ego, któremu nauczył się całkowicie ufać. — Weź dolara, kup sobie coś do zjedzenia.

Mimo ciemności widział, że nieznajomy zrobił ogromne oczy.

— Cały dolar? Czy jest pan pewien, że...

— Weź i kup sobie coś do zjedzenia. Tam w środku jest jeszcze paru kierowców, więc może coś się

trafi.

Nieznajomy wziął banknot, wymruczał coś w podzięcie zaczął iść w kierunku restauracji. Cassidy bezgłośnie wyłonił się z ciemności.

— Coś się dzieje? — zapytał jakby lekko rozczarowany.

— Nie, nic. To tylko facet, który szuka pracy.

Lata doświadczeń sprawiły, że ostrożność stała się jakby ich drugą naturą. Ferracini rzucił

Cassidy'emu kluczyki i w parę minut później, znów pędzili szosą do Indianapolis.

ROZDZIAŁ 3

Wszelka manipulacja przeszłością pociąga za sobą konsekwencje, w których świetle najzupełniej normalne zjawiska wydają się dziwne. I rzeczywiście, w kategoriach zdrowego rozsądku, logiki i konwencjonalnej wiedzy nie da się pojąć wszelakich skutków związanych z ingerencją w przeszłość.

Otóż jedno z niezwykłych zjawisk, które było następstwem tego, że zaistniała możliwość sprzężenia maszyny zbudowanej w Tularosa w roku 1975 z projektorem powrotnym montowanym właśnie w

przeszłości, polegało na tym, że powstanie projektora powrotnego nie pociągało za sobą żadnych specjalnych skutków odnoszących się do przyszłości. Regulując odpowiednio zakres, czy też zasięg maszyny z roku 1975, można było nawiązać łączność z projektorem powrotnym funkcjonującym w

roku 1939, a jednocześnie działalność ekipy wysłanej w przeszłość nie wpływała w żaden sposób na bieg wydarzeń roku 1975. Sprawy miały się tak, jakby ekipa owa nigdy nie została wysłana.

Przy założeniu, że takie zjawisko jest zgodne z logiką owych niezwykłych sytuacji, było oczywiste, że kierownictwo eksperymentu przede wszystkim upewni się co do racjonalności całego

przedsięwzięcia, nim podejmie decyzję o rozpoczęciu operacji. I tak właśnie się stało. Jak tylko prace nad maszyną z roku 1975 osiągnęły stosowny etap zaawansowania, nawiązano łączność z rokiem

1939. Na tym etapie możliwa była tylko wymiana sygnałów. Wymiana ludzi i przedmiotów

wymagała jeszcze innych urządzeń, które dopiero budowano. Otrzymano więc wiadomość z maja

1939 roku, że transformacja w czasie odbyła się bez przeszkód i że trwają już prace nad montażem projektora powrotnego. Na tym zakończono próby, informując zainteresowanych, że dały one

zadowolający wynik.

Prezydent Kennedy podpisał ostateczną decyzję i jak tylko całe urządzenie było gotowe,

niezwłocznie przystąpiono do realizacji przedsięwzięcia. Zgodzono się jednocześnie, że bezcelowe jest kontynuowanie pracy nad teorią i objaśnianiem zjawiska w kategoriach fizyki. Tym niech się martwią inni — postanowiono. Nie zajmowano się również pozornie paradoksalnymi problemami, takimi jak: co by się stało, gdyby operacji zaniechano, skoro jej uczestnicy dotarli już do przeszłości. Najważniejsze było to, żeby rozpocząć operację i upewnić się, że jej uczestnicy bezpiecznie opuścili niepewny świat roku 1975.

— Tak, tak — rozumiem twój pogląd, Anno, niemniej jednak cała sprawa upewnia nas na tyle, na ile to w ogóle jest możliwe w tych warunkach. — Mortimer Greene, główny fizyk ekipy i szef

Brytyjskiej Grupy „Cukier”, wyprostował się i gestem ręki, w której trzymał żelazny drąg, podkreślił znaczenie wypowiedzianych przez siebie słów. Łomem podważał wieka skrzyń ze sprzętem, których dziesiątki piętrzyły się wokół. — Cała sprawa okazało się tak pilna, że nie było żadnej możliwości przeprowadzenia badań teoretycznych — dodał.

Greene miał pięćdziesiąt parę lat, wyrazistą twarz, gęste brwi, mocną szczękę i siwe, starannie przystrzyżone wąsy. Był średniego wzrostu, barczysty. Jego łysa krągła czaszka, okolona

wianuszkami włosów na skroniach i karku, była dokładnie taka, o jakiej marzą rzeźbiarze, gdy przyjdzie im tworzyć postać wyrażającą silną osobowość. Ubrany był w kolorową koszulę w biało-brązowo-czarne prążki, z podwiniętymi rękawami, na której tle jaskrawiły się czerwone szelki.

Anna Kharkiovitch — historyk z biblioteki kongresowej, specjalistka od wydarzeń politycznych epoki — popatrzyła z powątpiewaniem na rejestr, w którym sprawdzała przesyłki. Była drobnej budowy, miała siwiejące włosy i delikatne rysy, w których zachowały się ślady urody. Dawno już przekroczyła czterdziestkę. Pochodziła ze Związku Radzieckiego, skąd zbiegła przed rokiem 1950, kiedy państwo to zostało ostatecznie podzielone między Niemcy i Japonię.

— Oczywiście wiem, że sygnał, jaki otrzymaliśmy, to jest wszystko, na czym na razie możemy bazować — powiedziała — i nie twierdzą, że decyzja została podjęta pochopnie. Ale całe to gadanie o

„losowych perturbacjach statystycznych” niczego właściwie nie wyjaśnia. Stało się faktem, że w którymś momencie popełniono błąd.

Pracowali oboje w wielkiej hali po drugiej stronie budynku, który nosił kryptonim „Projektornia”.

Był to jeden z magazynów portowych w okolicach ulicy Van Brunt na Brooklynie w Nowym Jorku.

Wynajęli te pomieszczenia od Zarządu Portu i tu właśnie miano zmontować projektor powrotny.

Wejście do magazynu zakamuflowano solidnym zwałem bel i skrzyń. Okna i dodatkowe wejścia

zamurowano, a ponadto cały budynek zabezpieczono czujnikami i urządzeniami alarmowymi, które wzbudziłyby zachwyt wśród entuzjastów elektroniki z owych czasów. Każdy z nich gotów byłby wyłożyć krocie, żeby tylko móc obejrzeć te wspaniałe urządzenia.

— Błąd, owszem — zgodził się Greene. — Ale jakie to ma znaczenie. Ważne jest to, żeby projektor zafunkcjonował. Po to tu jesteśmy i na tym powinniśmy się obecnie skoncentrować.

— Mnie zaś chodzi o to — upierała się Anna — że skoro nastąpiło przekłamanie w depeszy, można przypuszczać, iż cały system okaże się wadliwy.

Greene uniósł wieko kolejnej skrzyni i zaczął wyciągać znajdujące się w niej kartony.

— Przecież odebraliśmy depeszę, a to oznacza, że system funkcjonuje — rzekł.

— Skąd jednak wziął się błąd dotyczący sprawy tak podstawowej, jak miejsce, w którym znajduje się maszyna. Stało się coś dziwnego i to mnie niepokoi.

Problem polegał na tym, że Brooklyn nie był tym miejscem, w którym powinni się znaleźć. Otóż sygnał otrzymany z połowy roku 1939 został nadany z innego miejsca i, żeby oszczędzić ekipie kłopotów związanych z poszukiwaniem stosownego pomieszczenia, zawierał szczegółowy opis

lokalizacji i budynku, który został już wynajęty. Miała to być fabryka w Jersey City. Według depeszy fabryka była nieczynna, a jej właściciele — dwaj bracia — chcieli ją możliwie szybko sprzedać, ponieważ mieli do spłacenia długi związane z hazardem. Ale kiedy Anna z Greenem przybyli do Jersey City, licząc na błyskawiczną transakcję, to okazało się, że fabryka pracuje pełną parą i nie ma mowy o sprzedaży. W pośpiechu załatwili wtedy pomieszczenie na Brooklynie, angażując w tę sprawę całą armię pośredników w obrocie nieruchomościami.

Skąd się więc wzięło przekłamanie? Nie było powodów — to oczywiste — aby uczestnicy Operacji

„Proteusz” wprowadzali w błąd samych siebie. Jeśli depesza rzeczywiście została nadana z Jersey City — jak głosiła — to dlaczego owo miejsce okazało się nie do załatwienia? Jeżeli zaś depesza nie została nadana z Jersey City — a taki był oczywisty wniosek — to dlaczego zapewniano, że nadano ją właśnie stamtąd?

— Zastanawianie się nad tym do niczego nie doprowadzi, Anno — rzekł Greene. — Powinniśmy

raczej skoncentrować się na tym, co jest do zrobienia, a nie przejmować się sprawą, do której jeszcze nie doszliśmy. — Popatrzył na rozpakowywaną skrzynię. — Cóż my tu mamy?... To chyba

rezonatory JSK-23. Czy masz tu listę? To powinno być pod numerem trzydzieści siedem.

— Chwileczkę, poszukam. Otóż i to — dwie strony.

— A co jest z podzespołami do rozruszników. Powinny być razem z tym. Anna przekartkowała

rejestr.

— Już sprawdzam. Według rozkładu są w innej przesyłce. Zapłonniki znajdują się w transporcie piątym, prowadzonym przez Ferraciniego i Cassidy'ego, który powinien być gdzieś na trasie do Indianapolis.

— Co oznacza, że obwody wtórne są jeszcze w Albuquerque, prawda? Transport szósty. Major Warren i sierżant Ryan?

— Tak jest.

— Dobrze. Wobec tego powinniśmy... — Wypowiedź Greene'a przerwał ostry dźwięk starego telefonu wiszącego na ścianie nie opodal. — Przepraszam — powiedział Greene, ruszając do aparatu. — Tak, Gordon?

Telefonował Gordon Selby, trzeci uczestnik ekipy, który znajdował się w budynku. Siedział w biurze, porządkując jakieś papiery. Selby należał do zespołu naukowców Greene'a. Pełnił także funkcję głównego inżyniera misji. Do jego zadań należało również zabezpieczenie budynku i nadzór nad personelem wojskowym w czasie prac montażowych nad projektorem powrotnym; wojskowi przeszli stosowne przeszkolenie techniczne.

— Czyżby naprawdę? — mówił Greene do słuchawki podnieconym głosem. — Czy to dobra wiadomość, Gordon? Okay, jaka jest treść?

Podczas gdy Greene słuchał, Anna zajęła się rozpakowaniem kolejnej skrzyni. Myślała o tym, że Greene jednak bardziej się martwił przekłamaniami w tekście depeszy, niż to okazywał. Jeśli jednak znalazł jakieś wyjaśnienie, to dlaczego o tym nie mówił? Jeżeli zaś nie był w stanie wytłumaczyć błędu, to jak może być pewien czegokolwiek?

Spojrzała pytająco na Greene'a, który właśnie odkładał słuchawkę, wyraźnie zadowolony.

— Gordon przed chwilą przyjął telegram — obwieścił — od Clauda z Londynu. Wygląda na to, że wszystko idzie zgodnie z planem. W środę mają spotkać się z Churchillem i trzema towarzyszącymi mu osobami na śniadaniu w hotelu Dorchester.

ROZDZIAŁ 4

Nie była to pierwsza wizyta Winslade'a w Londynie. W istocie był tu drugi raz w ciągu niespełna roku, jeśli przyjąć ową dziwną logikę, którą rządziły się wszystkie te wydarzenia. Był w stolicy Wielkiej Brytanii w sierpniu 1939 roku z delegacją wywiadu amerykańskiego, która odwiedzała wtedy kilka krajów europejskich, aby zapoznać się z informacjami przekazywanymi przez

naukowców — uchodźców z państw totalitarnych. Działo się to oczywiście w czasach „Proteusza”. I oto po dziesięciu miesiącach znów znalazł się w Londynie, ale starszy o trzydzieści siedem lat —

sprawa pozornie niemożliwa, ale prawdziwa dzięki misji „Proteusza”.

Bywał także w Londynie już po niesławnej kapitulacji Wielkiej Brytanii, 1 stycznia 1941 roku. Do roku 1960 prowadził w Anglii działalność wywiadowczą, posługując się paszportem dyplomatycznym pracownika Ambasady USA. Później jednak operacje te zostały przerwane, gdyż Heydrich zerwał

stosunki dyplomatyczne między Niemcami a Zachodem. Wcześniej Heydrich doprowadził do

zabójstwa Bormanna i zmusił liczącego już siedemdziesiąt jeden lat Hitlera do ustąpienia ze stanowiska z powodu niewydolności umysłowej, i sam objął władzę jako Führer. W późniejszych latach Winslade jeszcze kilkakrotnie wyprawiał się w tajnych misjach do Wielkiej Brytanii.

Zaowocowały one ostatecznie Operacją „Proteusz”.

Owe późniejsze podróże — z czego zdał sobie sprawę, przybywając z Ameryki z grupą „King” —

szalenie rzutowały na obraz Londynu, jaki zachował w pamięci. Pamiętał ponure, rozczarowane i pokonane miasto, gubernatora Rzeszy w pałacu Buckingham, nad którym powiewała flaga ze

swastyką i którego strzegli wartownicy w czarnych mundurach SS. Pamiętał niemieckie Parade-

Marschen przed budynkiem, w którym kiedyś rezydował pierwszy w świecie parlament. Pamiętał

godzinę policyjną, nocne aresztowania i zabite deskami sklepy. Zachował w pamięci obraz

przygarbionych, wyszarzałych kobiet, których mężów i synów zesłano na roboty przymusowe do

podbitej i pokonanej Rosji. Kobiety też zmuszono do ciężkich robót. Ciągnęły wózki ładowne

brukowcami i łatały dziury w jezdniach, podczas gdy dzieci biły się ze sobą o resztki na śmietnikach.

Był świadkiem łupienia skarbcza narodowego, żeby bogactwem napełnić kufry w Banku Rzeszy.

Widział, jak rabowano skarby sztuki narodowej i wywożono je do Niemiec na chwałę Hitlera lub tylko po to, aby dodawały splendoru Karinhall — reprezentacyjnemu pałacowi Goeringa pod

Berlinem. Pamiętał szarość, strach, beznadzieję i przejmujący smutek. I takie właśnie wspomnienia przesłoniły Winslade'owi obraz Londynu, jaki znał z wcześniejszych lat, a więc niedawno przecież, choć z drugiej strony — w czasach bardzo już odległych.

I oto znów otaczał go świat pełen barw i życia. Szedł właśnie z Kurtem Scholderem i Arthurem Banneriem przez Hyde Park dumny ze swego stroju — typowego „uniformu” oficera Gwardii po cywilnemu — melonika, sztuczkowych spodni i parasola, którego — jak nakazywał zwyczaj — nigdy się nie otwierało, nawet podczas deszczu. W parku było tłumnie. Kawalerzysci w mundurach khaki ujeżdżali swoje wierzchowce, pośród licznych cywilnych jeźdźców, którzy zapełniali Rotten Rów.

Zakochane pary i ci, którzy wybrali się na południowy spacer w przerwie na lunch, kroczyli alejkami wokół Wężowego Stawu. Młodzi chłopcy wodowali modele żaglowców, a wiekowe damy przysiadły

na drewnianych ławkach przy brzegu i sypały okruchy dzikim kaczkom. Na estradzie orkiestra dęta jednego z pułków Gwardii Pieszej grała koncertową wersję Człowieka, który obrabował bank w

Monte Carlo. Pobrzmiwały wysokie tony fletów i basowe umpa, umpa helikonów, zagłuszając

dalekie odgłosy gwaru ulicznego, a w słońcu błyszcząły szamerunki na mundurach orkiestrantów i wypolerowany mosiądz instrumentów.

Chłonał takie właśnie sceny od kilku dni i dawne wspomnienia znów ożyły. Krążył po Bloomsbury i Mayfair, pośród sklepów ze skromnymi wystawami, ale cieszącymi się renomą ugruntowaną przez pokolenia, przeto nie potrzebne im były bogate reklamy magazynów z nowojorskiej Piątej Alei czy rzymskiej Via Condotti. Odwiedzał wesołe i pełne radości życia bazyry przy Billingsgate i w Covent Garden, które tak kontrastowały z dostojnością alei Pali Mali, gdzie mieściły się kluby

uczęszczane przez dżentelmenów. Wdychał aromaty egzotycznych kuchni wokół restauracji na Soho.

Oglądał neonowe reklamy Guinnessa i Bovrila na Piccadilly Circus. Patrzył na czarne, dostojne taksówki i czerwone piętrowe autobusy z reklamami ginu Bootha i papierosów Gold Flake.

Zachodził na stacje metra, słuchając terkotu nadjeżdżających wagonów. Podziwiał rotundę Albert Hali i wykładane rdzawym piaskowcem budynki rządowe przy Trafalgar Square. Oglądał

Westminster i zachodził na pieczeń wołową do Simpsona na Strandzie. Odwiedzał puby, do których wiodły bogato dekorowane odrzwia z politurowanego drewna i matowego szkła i w których

podawano kufle mocnego piwa z browaru Charringtona i porter Watneya, a na zakąskę —

wieprzowy klops z tłuczonymi ziemniakami. Wszystko to, niczym w dzieciennych bajkach, wróciło jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Pomyślcie tylko, że tak jeszcze jest w wielu krajach Europy! — rzekł podniecony do swoich towarzyszy. — Paryż, Sztokholm, Bruksela, Amsterdam, Kopenhaga to ciągle wolne miasta.

Wczujcie się w tę atmosferę. To właśnie jest nasza misja. Jak się na to patrzy, to rodzi się w człowieku wola zwycięstwa.

— Być może, Claud — powiedział Arthur Bannering — ale wola zwycięstwa i zwycięstwo to dwie różne sprawy. Poczuję się lepiej, gdy usłyszę, co mają do powiedzenia Churchill i jego ludzie... choć może okaże się, iż będę się czuł gorzej.

Arthur Bannering był wysokim, dostojnym mężczyzną o pełnej godności sylwetce. Siwowłosa,

starannie uczesany, w czarnym płaszczu i meloniku kroczył obok Winslade'a, dzierżąc w dłoni krytą skórą aktówkę.

Bannering był Anglikiem i być może z tego powodu do wszystkiego odnosił się z dostojnym dystansem. Kiedyś pracował w Foreign Office — brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W ekipie „Proteusza” pełnił funkcję naczelnego dyplomaty. Do roku 1940 zajmował się polityką europejską, później zaś, gdy ministerstwo ewakuowano do Kanady, przeszedł do pracy w amerykańskim Departamencie Stanu. Wydawało się, że powrót do dawnych czasów i miejsc mniej go wzrusza niż Winslade'a. Może dlatego, że jako były mieszkaniec Anglii miał znacznie żywsze wspomnienia, a może dlatego, iż był właśnie pełen rezerwy, jak każdy Brytyjczyk.

Ale też od chwili gdy znaleźli się w Londynie, Bannering nieustannie obserwował przechodniów na ulicy, zwłaszcza w okolicach Whitehall, gdzie mieściło się brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Intrygowała go myśl o tym — zwierzał się rozbawionemu Winslade'owi — że przecież w każdej chwili może napotkać niewinną i nie zorientowaną kopię własnej osoby, siebie samego z owych lat. Choć to dziwne, a przecież było prawdopodobne w sytuacji, w jakiej się wszyscy oni znaleźli.

Kurt Scholder nic nie mówił, krocząc obok Winslade'a. W ekipie „Proteusza” pełnił funkcję zastępcy Mortimera Greene'a w pionie naukowym. Niewysoki, chudy, z ramionami i nogami jak patyki i krótko przystrzyżonymi włosami, od dwudziestu lat mieszkał w Ameryce, dokąd dotarł sprowadzony nielegalnie z Niemiec w czasie jednej z operacji wywiadowczych Winslade'a.

Park opuścili bramą Stanhope i aleją dotarli do hotelu Dorchester. Winslade szedł przodem, torując drogę parasolem jak orężem. Prywatna sala biesiadna była przygotowana, stół nakryty, barek, który Winslade specjalnie zamówił, zaopatrzone. Mieli jeszcze pół godziny oczekiwania. Winslade zaproponował aperitify i rozsiedli się w fotelach, czekając na przybycie Churchilla i towarzyszących mu osób.

Zadbano o to, aby w barze znalazło się pudełko z ulubionymi cygarami Churchilla — kupiono je w firmie Fribourg & Treyer na Haymarket — a także o to, by nie zabrakło brandy i porto. Scholder z zainteresowaniem obejrzał pozostałe butelki w barze, odnotowując zapas soków pomidorowych i owocowych.

— A więc jesteście zdania, że przyjdzie Lindemann? — skierował pytanie do dwójki pozostałych.

Odpowiadając Winslade uśmiechnął się lekko pod okularami w stylu pana Pickwicka.

— Nie zaszkodzi być przygotowanym — powiedział.

— Zakład o funta? — zaproponował Bannering Scholderowi.

— O pięć, jeśli wolno — odparł Scholder. — Churchill z całą pewnością uświadomił sobie wagę sprawy, a skoro tak, to raczej przedstawi ją rządowemu komitetowi ekspertów, a nie profesorowi uniwersytetu o rozległej, ale niespecjalistycznej wiedzy. Stawiam pięć funtów, że raczej będzie to Tizard.

— Przyjmuję — odparł Bannering, kręcąc głową. — Ciągle jeszcze myślisz jak Niemiec, Kurt. Raczej zapomnij o oficjalnych kanałach. Churchill bardziej polega na przyjaźniach niż na regulaminach.

Stawiam pięć funtów na Lindemanna.

— Wkrótce się przekonamy — mruknął Scholder.

Przyczyna, którą kierował się Winslade, decydując się na pozostawienie Churchillowi wolnego wyboru w doborze towarzyszących mu osób, sprowadzała się do tego, że chciał się przekonać, która z hipotez wysuwanych przez historyków „Proteusza” okaże się trafna i kto będzie miał rację. Trzeba jednak podkreślić, że lista nazwisk wymienianych przez ekspertów była stosunkowo skromna, co świadczyło o daleko idącej zgodności poglądów.

Na pierwszym miejscu wszyscy wymieniali Anthony'ego Edena, byłego ministra spraw

zagranicznych, a tym samym byłego szefa Arthura Banneringa. Eden podał się do dymisji w 1938

roku, protestując w ten sposób przeciwko decyzji Chamberlaina, odrzucającej ofertę Roosevelta w obawie przed reakcją Mussoliniego. Na drugim miejscu większość specjalistów wymieniała Alfreda Duff Coopera, byłego Pierwszego Lorda Admiralicji i jedyne go członka Gabinetu, który ustąpił ze stanowiska w związku z porozumieniem monachijskim. Pojedyncze głosy padały na Brackena,

Wigrama, Mortona i na Austena Chamberlaina — brata urzędującego premiera.

Więcej przypuszczeń dotyczyło specjalisty w zakresie spraw naukowo-technicznych, zakładano

bowiem, że Churchill zaprosi kogoś takiego do udziału w spotkaniu. Część naukowców

opracowujących plan misji uważała, że będzie nim F.A. Lindemann, dyrektor Clarendon Laboratory w Oksfordzie, profesor filozofii eksperymentalnej, jak w owych czasach określano fizykę. Z

Churchillem przyjaźnił się od lat, a wśród wielu spraw, w których był jego doradcą, udzielał mu także rad dotyczących projektu całego systemu obiegu wody w Chartwell. Słynął również jako

zaprzysięgły abstynent, przeciwnik palenia tytoniu i wegetarianin. To ostatnie wyjaśniało, dlaczego na lunch zamówiono wielką różnorodność dań. Inna grupa stawiała na Henry'ego Tizarda,

przewodniczącego rządowej komisji naukowej do spraw obrony przeciwlotniczej. W roku 1935 zespół

Tizarda rozpoczął badania nad zakłóceniami, jakie przelatujące samoloty wywoływały w falach radiowych. Z czasem doprowadziło to do opracowania urządzenia, które zasłynie kiedyś pod nazwą radaru.

Lista nazwisk była rzeczywiście szczupła i powstała niejako automatycznie, gdy już zadecydowano, że przede wszystkim należy nawiązać kontakt z Churchillem, dodać jednak trzeba, że wybór jego osoby wcale nie był oczywisty.

Historycy dziejów politycznych i dyplomacji, którzy brali udział w planowaniu Operacji „Proteusz”, toczyli zaciekle spory o to, do kogo właściwie grupa „King” powinna się zwrócić w Anglii i właściwie żadna z kandydatur nie uzyskała jednoznacznego wotum zaufania. W końcu Winslade osobiście

rozwiązał problem, zwracając się do żyjących jeszcze brytyjskich polityków i członków rodziny królewskiej, którzy w stosownym czasie wyemigrowali do Kanady i Stanów Zjednoczonych, z

następującym pytaniem: „Gdyby można było odwrócić historię i zapobiec upadkowi Wielkiej Brytanii w roku 1940, to — patrząc po latach — kto mógłby tego dzieła dokonać?” Większość zapytanych odpowiedziała: Winston Churchill, co było sporym zaskoczeniem, ponieważ w opiniach ekspertów

„Proteusza” nazwisko to nie pojawiało się ani często, ani prominentnie. Ich zdaniem na początku roku 1939 Churchill był już skończony jako polityk, choć, rzeczywiście, wcześniej zyskał pewną reputację i nieźle się zapowiadał.

Potomek pierwszego duke'a Marlborough, kapitana, wodza wojsk królowej Anny i zwycięzcy spod Blenheim, Ramille, Oudernarde i Malplaquet, Churchill zrazu też oddał się karierze wojskowej i służył w Indiach i Sudanie jako oficer 4 Pułku Huzarów. Później zaś był korespondentem wojennym lodyńskiego „Morning Post” w czasie konfliktu w Afryce Południowej. Stał się sławny, gdy uratował

obleżony pociąg i gdy brawurowo zbiegł z niewoli burskiej. Po powrocie do Anglii w roku 1900 zajął

się polityką i przed rokiem 1914 piastował wiele funkcji rządowych, dochodząc do stanowiska Pierwszego Lorda Admiralicji tuż przed wybuchem Wielkiej Wojny. Ale w roku 1915 zaczęto

obwinać go — może niesłusznie — za nieudaną kampanię w cieśninie dardanelskiej i za klęskę pod Gallipoli. Złożył dymisję i zaciągnął się do wojska. Walczył we Flandrii.

Po wojnie ponownie nabrał znaczenia jako polityk, ale w związku ze zjadliwą krytyką rządu

premiera MacDonalda na początku lat trzydziestych, na tle postępowania wobec Indii, nie wszedł w skład Gabinetu, późniejsze zaś wykluczenie go z rządu premiera Baldwina, ostatecznie pozbawiło Churchilla wszelkich wpływów i tak to już trwało aż do upadku Anglii. Po inwazji niemieckiej, co nastąpiło pod koniec roku 1940, razem z podobnie myślącymi przyjaciółmi zdecydowanie odmówił

wykonania rozkazu władz o złożeniu broni. Przystąpił do zbrojnego oporu i wraz z innymi zginął,

ostrzeliwując ogniem z karabinów maszynowych, pistoletów i moździerzy pierwszy oddział

Wehrmachtu, jaki pojawił się u wrót jego rezydencji. Naziści od lat dążyli do wyeliminowania Churchilla. Po swoim triumfalnym przybyciu do Londynu, Hitler osobiście wybrał się do Kentu, aby nasycić wzrok widokiem zgliszcz pałacu Chartwell.

Mimo że Churchill rzeczywiście wykazał się zdecydowaniem, nie-złomnością zasad, a także odwagą i mógł zanotować na swoim koncie pewne sukcesy, nic nie wskazywało na to, że właśnie on może

odegrać rolę zbawcy narodu, o co chodziło tym, którzy kreślili plany Operacji „Proteusz”. Churchill był porywczy, czasami zbyt sentymentalnie podchodził do najprzeróżniejszych idei, które, owszem, wychwalał, ale nie potrafił wcielić w życie. Konserwatyści starej szkoły widzieli w nim

zbuntowanego liberała, zdaniem innych kierował się przestarzałymi ideami imperialistycznymi. I oto swoje twórcze lata miał już za sobą i był obecnie politycznym wygnańcem.

Niemniej jednak dalsze analizy i ciągłe dyskusje Winslade'a z Banneriem i Anną Kharkiovitch rzuciły nowy snop światła na cały ten problem. Świeże jeszcze wspomnienia okropności z lat 1914—

1918 i „czerwone” zagrożenie ze Wschodu sprawiały, że Anglia przez całe lata pogrążała się w płonnych marzeniach i naiwnej wierze, ufając, że dobra wola może odmienić rzeczywistość. Ta Anglia nie życzyła sobie prawdy, bo prawda rujnowała mity, na których wspierały się wiara i marzenia. W imieniu takiej Anglii głos zabierali inni, nie Churchill.

Ale oto Anglia zaczynała nareszcie otwierać oczy i trzeźwo oceniać sytuację. Euforia po układzie monachijskim trwała krótko, a społeczeństwo zaczynało rozumieć, że Monachium wcale nie

gwarantowało pokoju i że ustępstwa nie wymażą ani wstydu, ani winy. I choć społeczeństwo

zachowywało się jak gdyby nigdy nic, albo przynajmniej czyniło takie pozory, zajmując się swoimi codziennymi sprawami, i choć gazety niewiele o tym pisały, to zaczęto obywatelom wydawać maski przeciwgazowe, w miastach budować schrony przeciwlotnicze, na wybrzeżu pojawiły się dziwne

stalowe wieże, a fabryki, w których produkowano samoloty myśliwskie typu Hurricane i Spitfire, zaczęły pracować na trzy zmiany.

Naród zaczął w końcu zważać na sygnały ostrzegawcze, które do tej pory lekceważył. Domagano się faktów, a nie legend, dokładnie wytyczonych celów, a nie zapewnień bez pokrycia. Było też

oczywiste, że w imieniu nowej budzącej się z letargu Anglii przemawiać będą nowi ludzie, których stara drzemiąca Anglia do tej pory odrzucała. I tak oto zaczynała pojawiać się gwiazda Churchilla, w miarę jak wokół jego osoby skupiało się coraz więcej wiary i nadziei.

Winslade i jego koledzy zaczęli rozumieć też, że polityczny ostracyzm, jaki otaczał Churchilla w ostatnich latach, może się stać atutem, a nie obciążeniem, jak mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Być może rzeczywiście należało postawić na kogoś, kto ze względu na reputację i publiczny wizerunek nie kojarzył się z polityką ostatnich lat, a więc na kogoś, kto nie mógł ponosić

odpowiedzialności za skutki tejże polityki. W tym kontekście opinia wyrażana przez weteranów okazywała się rozsądna, wręcz oczywista, tak że w końcu kandydaturę Churchilla zaakceptowano jednogłośnie. Po dłuższej pogawędce Bannerling spojrział na zegarek.

— Powinni już wkrótce nadejść — powiedział.

— Właśnie, Churchill słynął z punktualności, czyż nie. — Winslade zaciągnął się cygarem i otoczył kłębem dymu. Starał się robić wrażenie zrelaksowanego, ale oczy nie mogły ukryć podniecenia.

— Bardzo liczysz na to spotkanie — kontynuował Bannerling, obserwując Winslade'a.

— No cóż, Churchill nie ma żadnych cnót, których nie znoszę, ma natomiast wszystkie wady, które uwielbiam — przyznał Winslade. Znów zaciągnął się cygarem i zamyślił się przez chwilę. — A poza tym raduje mnie świadomość faktu, że znów jesteśmy tu i teraz. Rozumiesz, Arthur — cały problem Ameryki polega na tym, że era dekadencji nastąpiła tam bezpośrednio po epoce barbarzyństwa, z pominięciem tego, co zazwyczaj następuje między tymi dwoma okresami, a mianowicie: cywilizacji.

— Hm, powtarzasz to za Churchillem — Bannerling wytoczył oskarżenie — czytałem to gdzieś w jego pismach.

— Naprawdę? No, może rzeczywiście wzięłem to z Churchilla. Tylko powiedz mi, jak przedstawia się prawna strona tego zagadnienia w sytuacji, gdy plagiatu dokonuje się w warunkach istnienia dwóch różnych światów.

Kurt Scholder wpatrywał się w swoją szklankę, mieszając jej zawartość najpierw w jedną, a następnie w drugą stronę.

— Z Niemcami sprawa ma się jeszcze inaczej — mruknął. — Niemcy przeszli od cywilizacji do barbarzyństwa, całkowicie pomijając dekadencję.

Rozległo się pukanie i w drzwiach zjawił się maitre d'hotel.

— Pańscy goście, Mr Winslade — ogłosił — pan Winston Churchill z trójką towarzyszących mu osób.

— Wspaniale — powiedział Winslade, wstając z krzesła. — Proszę niezwłocznie panów wprowadzić.

Maitre d'hotel szerzej otworzył drzwi, przepuszczając tęgiego, mocno zbudowanego mężczyznę o rzadkich rudych włosach i prowokującym podbródku. Churchill miał na sobie garnitur z kamizelką i muszkę w kropki. Oczywiście ludzie „Proteusza” doskonale znali jego sylwetkę z wielogodzinnych studiów nad dokumentami i fotografiami. Tuż za nim do sali wkroczył Eden. Wysoki, przystojny, o ciemnych falujących włosach i gęstych wąsach. On również miał na sobie garnitur z kamizelką.

Obok Edena siedł Duff Cooper. Niższy, łatwo było go zapamiętać po szczególnie wysokim czole. Miał

wyraźne usta, otwartą, szczerą twarz i spokojne, mądre spojrzenie. Orszak zamykał wysoki osobnik z ciemnym wąsem. Wydawał się znacznie bardziej niedostępny i jeszcze bardziej staroświecko

ubrany niż Eden. Wchodząc rozglądał się podejrzliwie po otoczeniu. Bannering dyskretnie

uśmiechnął się, spoglądając z satysfakcją na Scholdera. W charakterze eksperta techniczno-

naukowego przybył Lindemann. Bannering z Scholderem odstawili szklanki, podnieśli się i stanęli po obu stronach Winslade'a, aby powitać gości.

ROZDZIAŁ 5

Kelnerzy skończyli zbierać nakrycia i wyszli, zostawiając dwa naczynia z gorącą kawą na bocznym stoliku. Winslade odesłał barmana i przekreślił klucz w drzwiach. Nie wrócił na swoje miejsce, ale zaczął przechadzać się po saloniku, z rękami założonymi na plecach.

W czasie lunchu prowadzono wyłącznie towarzyską konwersację, ot tak sobie, aby biesiadnicy mogli się zaznajomić. Mimo oczywistego zaintrygowania, także okolicznościami spotkania, goście

powstrzymywali się od zadawania pytań w obecności służby hotelowej, ale oto teraz nadeszła pora na rozpoczęcie poważnej rozmowy. Churchill zapalił cygaro, rozsiadł się wygodnie i z uwagą

obserwował Winslade'a. W salonie zapanowała cisza.

— Mr Churchill — rozpoczął Winslade bez większych wstępów, nie przerywając zresztą spaceru wzdłuż pokoju. — Jak słyszałem, wśród innych zajęć z upodobaniem oddaje się pan także lekturze książek H.G. Wellsa.

— To prawda — potwierdził Churchill. Podniósł pękaty kieliszek brandy i chłonął bukiet trunku. —

Muszę przyznać, że w ciągu ostatnich kilku lat miałem sporo wolnego czasu, który mogłem poświęcić również na lekturę. Tak, Mr Winslade, rzeczywiście lubię przepowiednie i spekulacje Wellsa.

Zdolność przewidywania przyszłości to sztuka, którą cenią sobie politycy i którą również uprawiają, z mieszanymi zresztą skutkami. Politycy wszakże muszą także mieć umiejętność wyjaśniania,

dłaczego przewidywania, które snuli, nie sprawdziły się. Ale, na Boga, dlaczego podnosi pan taki temat?

Winslade dał wymijającą odpowiedź.

— Zna pan jego powieść Wehikuł czasu! Czytał pan? A jeśli tak, to co pan o niej myśli? Czy to, co Wells prorokował, jest możliwe, wyobrażalne, czy też zbyt fantastyczne, żeby traktować to

poważnie?

Churchill z namysłem smakował trunek, a następnie wzruszył ramionami. Lindemann usztywnił się na swoim krześle, sznurując usta. Eden i Duff Cooper wymienili pełne zdziwienia spojrzenia, i w tej krótkiej chwili stało się oczywiste, że jednak rozważali i taką możliwość. O to chodziło Winslade'owi.

Po wysłaniu przesyłki do Churchillilla odczekał był kilka dni właśnie po to, aby mogli się zastanowić również nad tego rodzaju możliwością. W ten sposób oszczędził sobie sporo czasu. Gdyby nie dał im wcześniej do myślenia, musiałby teraz poświęcić wiele godzin na przekonywanie swoich gości, by mimo niewiary zechcieli go jednak wysłuchać.

Obrócił się i stał teraz zwrócony w stronę stołu. Ręce złożył na oparciu pustego krzesła.

— Zakładam, że zdołaliśmy upewnić panów, iż nie jesteśmy oszustami i nie jest naszym zamiarem wywołanie jakiejś afery — powiedział. Mówił poważnie i z przekonaniem, bez owej jowialności, którą manifestował w czasie posiłku. — Aby nie nadużywać więcej cierpliwości panów, od razu powiem, że właśnie... właśnie jesteśmy przybyszami z przyszłości, a ściśle rzecz biorąc, przybyliśmy ze Stanów Zjednoczonych, z roku 1975.

Odpowiedzią było kompletne zaskoczenie. Winslade ciągnął dalej.

— Trzeba panom wiedzieć, że w tym to roku demokratyczny świat Zachodu obejmuje już tylko

Amerykę Północną, Australię i Nową Zelandię. Pastwą totalitarnych reżimów, których narodzin są panowie dziś świadkami, padła cała Europa, Azja i Afryka. Taki jest rezultat trzydziestu lat okrutnych i brutalnych zmagających o panowanie nad światem. Dodam, że ku podobnej totalitarnej

ideologii skłaniają się państwa Ameryki Południowej, dawny Zachód zaś, a ściślej, to co zeń zostało, stoi obecnie w obliczu ostatecznego wyzwania, wojny, w której użyta zostanie broń o

niewyobrażalnie niszczycielskiej sile. Mało kto teraz, w roku 1939, potrafi sobie uzmysłowić moc tej broni. W tym starciu Zachód ma niewiele szans i niewiele też nadziei na przetrwanie. Jedyne, co nam pozostało, to z godnością stawić czoło nieuniknionemu. — Winslade przerwał, obserwując

zgrupowanych przy stole, a po chwili znów przemówił, już niemal szeptem: — I właśnie dlatego przybyliśmy, żeby to wszystko zmienić, jeśli to w ogóle jest możliwe.

Zapadła cisza. Bannerling i Scholder czekali cierpliwie, podczas gdy zaskoczeni goście zastanawiali się nad znaczeniem tego, co okazało się prawdą, której istnienia nie chcieli uznać.

Wreszcie Lindemann rzekł, kręcąc głową:

— Nie wiem, zaiste, nie wiem. — Rozglądał się w lewo i prawo, jakby oczekując wsparcia ze strony swych towarzyszy. — Proszę panów — powiedział — nie jestem w stanie podważyć żadnego

z

dowodów, jakie panowie nam przedstawili. Bóg jeden wie, ile czasu spędziłem nad nimi, gdy tylko Winston mi je pokazał... ale też nie muszę podkreślać jak bardzo to, co panowie mówią, jest nieprawdopodobne. — Poirytowany wzniosł ramiona. — Jeśli to, co usłyszeliśmy od panów jest prawdą, to gdzie jest miejsce na zdrowy rozsądek i normalny porządek rzeczy? Jak to może być, że przybywacie z przyszłości, którą, jak twierdzicie, chcielibyście zmienić?

Eden z wolna przychodził do siebie. Zaskoczony tym, co usłyszał, popadł w rodzaj transu.

— To naprawdę nie ma sensu — powiedział wyniośle. — Załóżmy, że rzeczywiście zdołają panowie zmienić sytuację w roku... jaki to był rok?... 1975... to w konsekwencji przyszłość, czy też świat, z którego panowie przybywają, przestanie istnieć, prawda?

— Skąd więc wtedy będziecie przybywać? — dokończył, podejmując wątek, Duff Cooper, również zaintrygowany jak Eden.

Winslade jakby oczekiwał takich właśnie pytań, bo odpowiedział z prostotą:

— Obawiam się, że nie jesteśmy w stanie wyjaśnić wszystkiego do końca. Maszynę, z której skorzystaliśmy, budowano pośpiesznie i nie było po prostu czasu na wyczerpujące studia teoretyczne nad całym tym zagadnieniem.

Lindemann niecierpliwie poprawił się na krześle.

— Właśnie — powiedział — maszyna. Zgodnie z jakimi właściwie zasadami fizyki ona funkcjonuje?

Czy można opisać ów pojazd?

Z rozmowy w czasie śniadania wynikało, że specjalistą od spraw naukowych jest Scholder. Winslade skinął teraz niego, dając znak, żeby podjął temat, a sam odwrócił się, kierując wzrok na drzewa w Hyde Parku, który rozpościerał się za oknami salonu. Scholder chrząknął, złożył ręce na stole i zaczął:

— Fale kwantowo-mechaniczne to w istocie tylko czasoprzestrzenna składowa znacznie bardziej złożonego układu, który funkcjonuje w stanie ciągłej transformacji między modułami wyższego rzędu. Zanik funkcji falowych oznacza w istocie umiejscowienie zjawiska w danym momencie owej nadrzeczywistości.

Churchill zerknął na Edena i gestem ramion dał do zrozumienia, że nic z tego nie rozumie, zaciągnął się cygarem i w dalszym ciągu milczał. Widząc to, Lindemann przerwał wywód Scholdera.

— Przypominasz sobie, Winstonie, naszą rozmowę na temat nowoczesnej teorii dotyczącej struktur atomu? Otóż funkcja falowa to wzór matematyczny, który pozwala obliczyć, gdzie i w jakim czasie można eksperymentalnie stwierdzić obecność danej cząstki. I jeśli eksperyment przynosi oczekiwany

rezultat, mówimy wtedy, że funkcja falowa zanika. W innym wypadku miejsce i ruch cząsteczki pozostają niewiadomą. Churchill skinął głową, ale jego wzrok wciąż wyrażał zakłopotanie.

— A co to jest ów bardziej złożony układ, o którym wspomniał Kurt? — zapytał.

— No cóż, wygląda na to, że funkcja falowa, tak jak ujmują ją nasze prawa fizyki odnoszące się do czasoprzestrzeni, tak ja my to postrzegamy, jest w istocie częścią czegoś znacznie większego... a więc funkcji hiperfali, która ustawicznie oscyluje między nami a modułami wyższego rzędu... wymiarami, myślę, że tak można to nazwać. Zaznaczyć trzeba, że ową funkcję hiperfali da się umiejscowić w formie kwantu energii, który jest częścią naszego, a zarazem większego, nadrzędnego układu.

Umiejscowienie zaś jest równoznaczne ze wspomnianym zanikiem fali.

Scholder przytaknął.

— I okazuje się, że istnieje możliwość wywołania zjawiska relokalizacji, przenoszenia w obręb naszego układu albo zbioru. Inaczej mówiąc, można dokonać fizycznej transformacji. Takie zaś transformacje wiążą się ze skoordynowanymi zmianami na osiach czasu i przestrzeni. W

konsekwencji możliwa staje podróż w wymiarze czasu, a zarazem podróż na ogromnych dystansach.

— Chwileczkę, niech się zastanowię — powiedział Lindemann. Zapadła cisza, którą przez moment zakłócała jedynie nieokreślona melodia, jaką Winslade nucił z cicha przez zęby, patrząc w okno. —

Ale — odezwał się wreszcie Lindemann — z tezy tej wynika, że cząstki elementarne są oscylującą, skondensowaną materią, która sięga innych m i e j s c, i że możliwe jest rozproszenie owej

kondensacji, a następnie jej ponowne zagęszczenie w innym miejscu. W tezie tej jednak nie ma nic o przenoszeniu obiektów w skali makro z jednego miejsca na drugie. Jak to można zrobić?

— Czasami możliwe jest skorelowanie tych zjawisk tak, że obejmują jednocześnie większą liczbę kwantów — odparł Scholder — i w ten sposób efekt się potęguje. Przykładem może być zagęszczenie materii, jakie obserwuje się po przejściu pojedynczej cząstki, powiedzmy, przez chmurę dymu. Inny przykład to zharmonizowane drgania atomów, które pozwalają na uzyskanie skupionej wiązki

promieniowania w laserze.

— Laserze?

— Przepraszam, zapomniałem. To coś, co objaśnię innym razem. Zostańmy na razie przy tym, że spójna wiązka fal funkcjonuje w taki sposób, który umożliwia jednoczesną relokalizację ciał w skali makro. Inaczej mówiąc, możliwa jest koherentna transformacja ciał między różnymi układami.

Dyskutowali jeszcze przez dłuższą chwilę. Scholder zakończył temat opisem urządzenia, z którego korzystano podczas eksperymentu. W miarę jak pytania Lindemanna stawały się coraz bardziej

dociekliwe, odpowiedzi Scholdera nabierały coraz bardziej enigmatycznego charakteru. Na koniec Lindemann rzekł:

— Bez obrazy, doktorze Scholder, ale muszę przyznać, że zaskakująco niewiele wiadomo o prawach fizyki, które mają zastosowanie w całym tym przedsięwzięciu. Dziwi mnie więc, że w ogóle zdołano zbudować taką maszynę. Zakładam, że był pan jednym z jej twórców?

Scholder rozłożył ręce i przecząco kręcił głową.

— Przepraszam, jeśli odniósł pan takie wrażenie. Nie, nie byłem. Co najwyżej pełniłem funkcję jednego z techników montażystów biorących w tym udział. I niewiele wiem o teoretycznej stronie zagadnienia.

— Mechanice kwantowej? — wtrącił Churchill, śmiejąc się do siebie.

— To dziwne — mruknął Lindemann. — Wydawało mi się, że ci, którzy podejmowali decyzje o przedsięwzięciu, powinni raczej przysłać kogoś, kto potrafiłby wyjaśnić całą teorię. A proszę mi powiedzieć, czy w grupie nowojorskiej, zajmującej się montażem urządzenia powrotnego, jest jakiś teoretyk?

— Nie. Okazało się to niemożliwe — odparł Scholder. — Nie było nikogo takiego w roku 1975, kogo można by posłać. Chodzi o to, że maszyna jeszcze wtedy nie istniała. Co więcej, jej projekt nie pochodzi z naszego świata. Został opracowany w zupełnie innym czasie, po odkryciach, które nastąpiły, albo nastąpią, dopiero w pierwszym trzydziestolecu dwudziestego pierwszego wieku.

Lindemann był całkowicie oszołomiony.

— Nie rozumiem — powiedział — jak więc zdołaliście w roku 1975 zbudować coś, co powstało dopiero w dwudziestym pierwszym wieku. To absurd.

— Maszyna z 1975 roku nie była pierwsza — odparł Scholder. — Pierwszą zbudowano w roku 2025 i współdziałała ona z projektorem powrotnym skonstruowanym w Niemczech w roku 1926.1 projektor ten, panowie, funkcjonuje w Niemczech w dalszym ciągu, do dzisiejszego dnia.

Winslade odwrócił się od okna.

— I na tej podstawie, mimo nielogiczności, na które panowie słusznie zwrócili uwagę, mamy prawo nabrać przekonania, że przeszłość można odmienić — powiedział. — Otóż, jak się wydaje,

podejmowano już kiedyś takie próby. Właśnie dlatego świat, który roztacza się za tymi oto oknami, jest taki, jaki jest, ze wszystkimi jego problemami i zagrożeniami, z których panowie zdają sobie sprawę. Ingerowano weń i odmieniono, tworząc coś zupełnie różnego od tego, co istniało poprzednio.

Zapadła pełna napięcia cisza. Eden przysłonił twarz dłonią i z wolna kręcił głową.

— O mój Boże — wzdychał.

Churchill wyduł dolną wargę, przez co jego oblicze nabrało wojowniczego wyrazu, i obrzucił twardym przeciągłym spojrzeniem najpierw Winslade'a, a następnie Scholdera. Na koniec zaczął mówić

wolnym i wyważonym tonem:

— Jeśli zamiarem panów było zagmatwać sprawy i wprawić nas w absolutne zakłopotanie, aby w ten sposób zyskać pewność, że wysłuchamy wszystkiego, co macie do powiedzenia, to gratuluję, w tej mierze osiągnęliście sukces. Ufam, że obecnie zechcecie wyjaśnić sprawy dokładnie. Proponuję, abyśmy zaczęli od początku, gdziekolwiek znajduje się ów początek w tym niebywałym poplątaniu chronologii, a następne kroki podyktuje nam zwykły logiczny porządek rzeczy. Myślę, że przemawiam w imieniu nas wszystkich.

Winslade przytaknął, jakby spodziewał się takiego obrotu spraw.

— Kurt, który jest tu z nami, pochodzi w istocie z dwudziestego pierwszego wieku — rzekł — i zacznijmy może właśnie od niego. — Lindemann milcząco oparł się na krześle. Eden siedział bez ruchu, wciąż skrywając twarz ręką. Winslade uśmiechnął się. — Ale może zanim powiem więcej, napełnijmy kieliszki, jeśli panowie pozwolą.

Podszedł do baru, przygotował trunki i podał je siedzącym przy stole. Duff Cooper oparł się łokciami o stół i splótł dłonie. Krzaczaste brwi miał potargane, okręcał je bowiem bezwiednie palcami, starając się zrozumieć istotę tego, o czym była mowa. Zebrał się w sobie i zapytał krótko i rzeczowo:

— Właśnie, zacznijmy od początku. Panie doktorze Scholder, gdzie i kiedy pan się urodził?

— 15 lipca 1990 roku w Dortmundzie, w Niemczech — odpowiedział Scholder bez zwlekania.

— Ile pan ma lat?

— W tym roku skończę sześćdziesiąt dziewięć.

— Przy założeniu, że wraca pan z roku 2025?

— Tak.

Duff Cooper zastanowił się przez chwilę.

— Ale różnica między rokiem 1990 a 2025 wynosi tylko trzydzieści pięć lat.

— Owszem. Ale nie zjawiłem się w roku 1975 bezpośrednio. Wróciłem do roku 1941, a następnie,

w roku 1975, a więc po upływie trzydziestu czterech lat, znów przeszedłem tę samą procedurę i zjawiłem się tu i teraz. Trzydzieści pięć plus trzydzieści cztery to sześćdziesiąt dziewięć. Tyle właśnie lat przeżyłem.

— Och! — Duff Cooper stracił pewność siebie. Oparł się na krzesło i kręcąc głową, bezradnie spoglądał na swoich towarzyszy. Scholder nie zdołał ukryć rozbawienia.

— Może lepiej będzie, jeśli zacznę od paru słów na temat świata, z którego pochodzę —

zapropomował. Nie było sprzeciwu, więc mówił dalej: — Historia tego świata nie różniła się od waszej aż do połowy lat dwudziestych. A więc, w 1918 roku zakończyła się Wielka Wojna, ogłoszono zawieszenie broni, a następnie podpisano traktat wersalski. Niemcy odrodziły się jako państwo liberalno-demokratyczne, którego ustrój określała konstytucja weimarska. W 1925 roku zawarto pakt w Locarno, w którym Wielka Brytania i Włochy udzielały gwarancji Niemcom i Francji, a w 1926 roku Niemcy przystąpiły do Ligi Narodów.

Eden poprawił się na krzesło, słuchając relacji Scholdera.

— Później jednak wydarzenia potoczyły się inaczej? Chce pan powiedzieć, że nastąpiło coś, co nadało inny kierunek wydarzeniom?

— Chwileczkę — uprzedził Arthur Bannerling — idźmy po kolei, żeby nie mieszać następstwa

wydarzeń. — Mówił sporo w czasie lunchu, rozmawiał zwłaszcza z Edenem na temat polityki zagranicznej. Później jednak, gdy rozmowa zaczęła dotyczyć spraw technicznych, milczał nie mając nic do dodania. — To, o czym Kurt mówi — rzekł — odnosi się do toku wydarzeń, tak jak

przedstawiły się one pierwotnie. Później zaś coś zmieniło ich bieg, a rezultatem jest świat, w którym obecnie się znajdujemy.

— Hm, tak... — powiedział Eden — nie myślałem o tym w ten sposób. Scholder wrócił do przerwane go wątku.

— A więc, w latach dwudziestych Europa odbudowywała się ze zniszczeń. Krach na giełdzie w roku 1929 wywołał rzeczywiście ogólnoswiatową recesję gospodarczą, ale w porę zapanowano nad sytuacją, ograniczając skutki kryzysu.

— Ciekawe — rzekł Eden — chce pan przez to powiedzieć, że nie było tego głębokiego kryzysu, z którego dopiero teraz zaczynamy wychodzić. A jak to się właściwie stało?

— Recesja wcale nie była głęboka — powiedział Bannerling. — Kanclerzem Niemiec w roku 1930 był

Heinrich Brüning, przywódca katolickiej partii Centrum. Wszedł w koalicję z przemysłowcem

Hugenbergiem, z Narodowej...

— Ależ nie. Byłem w Niemczech w tym czasie — przerwał Lindemann. — Ma pan na myśli Hitlera i jego sojusz z Hugenbergiem, mam rację?

Scholder przecząco pokiwał głową i uważnie spoglądał na Lindemanna.

— Nie, panie profesorze. W świecie, z którego przybywam, Hitler nigdy nie był niczym więcej niż mało znaczącą figurą działającą na obrzeżach niemieckiej polityki. I w tym, o czym mówię, nie brał udziału.

Lindemann chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Churchill uciszył go gestem dłoni.

— Pozwólmy mu skończyć, profesorku — mruknął. Bannerling mówił dalej:

— Otóż koalicja rządowa z Brueningiem i Hugenbergiem zainicjowała całą serię śmiałych kroków, jeśli chodzi o politykę fiskalną. Na ich podstawie opracowano europejski program współdziałania na rzecz odrodzenia gospodarczego. W generalnych zarysach program ów obejmował: spore środki przeznaczone dla uboższych klas, poważne inwestycje w nowoczesną technologię w przemyśle, system bodźców na rzecz ożywienia międzynarodowego handlu, zwłaszcza z krajami Azji i Dalekiego Wschodu. Pod rządami premiera Inukaia Japonia wyrosła na potęgę gospodarczą.

— Inukai! — wykrzyknął Eden. — Przecież go zamordowano? Zabójcami byli jacyś prawicowi bojówkarze niezadowoleni z faktu, że premier podpisał układ morski.

— Owszem, tak działo się w tym waszym... świecie — delikatnie zauważył Scholder — ale nigdy to się nie zdarzyło w świecie, który przedstawiam.

Bannerling odczekał, aby do słuchaczy dotarła uwaga Scholdera i mówił dalej:

— Administracja prezydenta Hoovera w Stanach Zjednoczonych była pod wrażeniem japońsko-europejskiej inicjatywy i dokonała rewizji własnej polityki. W konsekwencji świat wkroczył na drogę współdziałania i rozwoju, odrzucając protekcjonizm i szkodliwą dla wszystkich rywalizację. W

połowie lat trzydziestych rozpoczął się okres wzrostu gospodarczego wsparty na bardzo solidnych podstawach.

— Hm... Jeśli uwzględnić bieżące dane dotyczące stanu ekonomii — zaczął Eden — to... — przerwał, widząc karcące spojrzenie Churchilla. — Ale o tym porozmawiamy może innym razem — dokończył, czyniąc wymowny gest ręką.

— Tak, Tony, słusznie, zrobimy to kiedy indziej — przytaknął Churchill i spojrzął na Scholdera. — I co? — zapytał. Scholder wzruszył ramionami.

— Konsekwencje tych wydarzeń były daleko idące. W 1935 roku podpisano w Warszawie takie „wschodnie Locarno” gwarantujące granice państw położonych między Rosją a Niemcami. Wobec oczywistej woli Zachodu, aby istniejące różnice rozwiązywać w sposób pokojowy, również Rosja zaczęła się z wolna otwierać na świat, natomiast wobec spadku międzynarodowego napięcia reakcyjne, prawicowe ruchy na Zachodzie zaczęły tracić rację bytu i upadały. Mussolini, na przykład, został odsunięty od władzy w roku 1937. Związek Radziecki zyskał status supermocarstwa na równi z Europą i Ameryką, a wyniku rywalizacji tych trzech potęg, doszło do stopniowego demontażu imperiów kolonialnych. I choć tu i ówdzie, owszem, wybuchały lokalne konflikty, to jednak, generalnie rzecz biorąc, przeważał idealizm lat dwudziestych, z jego filozofią: nigdy więcej wojny. Świat rzeczywiście przestał traktować wojny jako instrument rozwiązywania konfliktów.

— Brzmi to szalenie utopijnie — mruknął Duff Cooper.

— Poza wszystkim, broń, jaka pojawiała się w kolejnych dziesięcioleciach, sprawiła, że wojny straciły wszelki sens — wtrącił Winslade. — Świat musiał wybrać inną drogę.

Scholder ciągnął dalej:

— A więc, w późnych latach dwudziestych wszędzie i wszystko zaczęło się unowocześniać.

Podstawowym źródłem rozwoju stał się postęp techniczny. Pomyślnie dotarcie do ogromnych zasobów energii drzemących w jądrze atomu, rewolucja w elektronice i nowe sposoby przekazywania danych, automatyzacja, rozwój nauk biologicznych, a na koniec pierwsze próby podróży kosmicznych...

wszystko to ostatecznie rozwiało obawy, że wzrost gospodarczy może mieć swoje granice a zasoby naturalne mogą się wyczerpać.

— A więc możliwe jest praktyczne wykorzystanie energii atomowej, mam rację? — zapytał

Lindemann. — Często spieraliśmy się o to z Rutherfordem w laboratorium Cavendish. Ta broń, o której pan wspominał, to broń atomowa, prawda? Przeprowadziłem kiedyś obliczenia oceniając, że jeden ładunek atomowy może osiągnąć moc setek ton TNT.

— W rzeczywistości dziesiątków tysięcy ton, profesorze — odparł Scholder. — Jeśli zaś weźmie pan pod uwagę broń opartą na syntezie jąder atomu, to dziesiątków milionów ton.

— Wielkie nieba. Scholder podjął opowieść.

— Pod koniec dwudziestego wieku świat kapitalistyczny przyjmował pewne idee socjalizmu,

komunizm zaś z wolna otwierał się na grę wolnorynkową. Rywalizacja tych systemów sprawiała, że odcinano się od skrajnych doktryn po obu stronach. Pojawiła się cywilizacja globalna, podniósł się poziom życia. Każdy miał szansę. Powszechna oświata oznaczała wolność, niezależność myśli i swobody osobiste. Zanikały fanatyzmy... polityczne, religijne i rasistowskie, tak dobrze znane z poprzednich epok. Rozum zwyciężył emocje. Rozpoczęła się era Zwykłego Człowieka. — Scholder zakończył, unosząc ramiona dramatycznym gestem, jakby chciał zadać pytanie o sens tego

wszystkiego, co powiedział.

Zapadło pełne milczenie. Słuchacze zastanawiali się nad treścią opowieści. Ciszę przerwał Churchill:

— Brzmi to nader utopijnie — skomentował. — Ale powiedział pan też, że ktoś jednak manipulował przeszłością, chcąc to wszystko zmienić? Niech pan powie w jakim celu?

— Przeważająca większość nie życzyła sobie zmian — odparł Scholder. — Była jednak garstka, dla której ewentualność wprowadzenia zmian nie była utopią. Dawni oligarchowie i światowe elity rządzące zdali sobie sprawę, że tracą rację bytu, że nie są niezbędni narodom... a być może uświadomili sobie po prostu, że właściwie nigdy ich klasa nie miała sensu istnienia. W każdym razie, klasy te zaczęły tracić władzę i przywileje. Znalazły się w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

Duff Cooper kiwnął głową ze zrozumieniem, wyobrażając sobie dalszy rozwój wydarzeń.

— I wtedy to doszło do owych odkryć naukowych, o których wspomniał pan wcześniej — wtrącił. —

Oligarchowie zapanowali nad nimi i postanowili wykorzystać w taki sposób, aby zmienić bieg historii zgodnie z własnym interesem. Tak się działo?

Scholder potwierdził.

— Właśnie. Dostrzegli możliwość, szansę uratowania własnego świata: przywilejów i należnej im, oczywiście ich zdaniem, pozycji — powiedział. — Zrozumieli, że mogą nauczyć się na własnych błędach i skorygować to, co było ich pomyłką. Postanowili przejąć całą władzę i stawić opór przemianom, czyniąc to bezlitośnie, siłą i przemocą, którą stosować będą bez skrupułów. I to jest dokładnie celem systemu nazistowskiego.

Winslade odstał od krzesła, na którym się opierał, i przeszedł parę kroków, zajmując teraz miejsce u szczytu stołu.

— Faszyci stanowili stosunkowo nieliczną grupę, owszem, jeszcze wpływową, ale dożywającą kresu

— powiedział. — Tymczasem zaś zawiązał się międzynarodowy spisek różnych grup wywodzących

się z dziedzicznych klas panujących, które połączyło jedno jedyne pragnienie: chęć uratowania się za wszelką cenę. Stworzyli organizację, którą nazwali... dość stosownie: „Suzeren”. Korzystając z kontaktów, jakie nawiązali w środowisku naukowców, zbudowali w odludnych okolicach Brazylii specjalne laboratorium, w którym przystąpiono do pracy nad maszyną określaną kryptonimem „Organy”. Jej zasięg, jeśli chodzi o zdolność przenoszenia obiektów w przeszłość, wynosił około stulecia, a dokładnie do roku 1925.

— I tam właśnie, w tym laboratorium, pan pracował? — upewnił się Lindemann, spoglądając na Scholdera.

— Owszem.

— I naprawdę nikt poza wami nie wiedział nic o tym, co się tam dzieje? — ciągnął zaintrygowany Lindemann. — Przecież odkrycia naukowego tej miary nie da się utrzymać w sekrecie.

— Według tego, co głoszone oficjalnie na zewnątrz, laboratorium, w którym pracowano nad „Organami”, było ośrodkiem eksperymentalnym zajmującym się nowymi, rewolucyjnymi metodami przemieszczania ciał w przestrzeni — odparł Scholder. — Ukrywano natomiast wszystko to, co dotyczyło fizyki przemieszczania obiektów w wymiarze czasu.

— Ale co z ludźmi, którzy tam pracowali? Co z naukowcami? Ci przecież musieli znać prawdę.

— Tak — potwierdził Scholder — rzeczywiście znaliśmy istotę urządzenia, ale nie wiedzieliśmy nic o jego przeznaczeniu, o celu, jakiemu ma służyć. Mówiono nam, że ostatnie ogniwo systemu, a więc projektor powrotny, to tylko placówka badawcza ustanowiona wyłącznie po to, by poznać mechanizm przyczynowo-skutkowy przemieszczania w czasie. Tylko wąska grupa wtajemniczonych naukowców i kierowników przedsięwzięcia znała przeznaczenie „Organów”.

— No dobrze, a jak pozostałym wyjaśniano konieczność zachowania tajemnicy? — zapytał Lindemann.

— Argumentowano, że należy przede wszystkim dokładnie zbadać wszystkie konsekwencje czegoś tak niezwykłego jak podróże w czasie, nim podejmie się ryzyko ujawnienia sprawy — odparł

Scholder — i traktowaliśmy to jako zrozumiałą ostrożność.

— Rozumiem — odpowiedział Lindemann, najwidoczniej usatysfakcjonowany wyjaśnieniem.

Churchill z namysłem zaciągał się cygarem, kiwał głową, rozważając wszystko to, co usłyszał do tej pory.

— Ich celem było zniszczenie Związku Radzieckiego — powiedział. — Doszli do wniosku, że powstanie tego państwa stało się ostatecznym źródłem nieszczęść, które ich spotkały —

konkludował — i w tej sytuacji postanowili zniszczyć Związek Radziecki, a narzędziem, z którego pomocą chcieli osiągnąć ten cel, miały stać się Niemcy.

— Właśnie — potwierdził Winslade.

— Czy znaczy to — pytał zaintrygowany Eden — że ta organizacja, „Suzeren”, stworzyła nazistów...

Chwileczkę. To przecież niemożliwe. Partia nazistowska istniała przecież przed rokiem 1925.

— Nie tyle stworzyli, ile wykorzystali — rzekł Winslade. — Owszem, istniał załóżek partii

nazistowskiej w owym czasie, czyli w rzeczywistej przeszłości świata „Suzerena”, ale ruch nazistowski nigdy się nie rozwinął. — Mówiąc to, Winslade znów zaczął wędrówkę przy oknach. —

Otóż jak tylko „Suzeren” wszedł w posiadanie technologii, która umożliwia dotarcie do przeszłości

— wyjaśniał — natychmiast rozpoczęto badania nad wydarzeniami i procesami, które zaszły w

historii i które ewentualnie można by zmienić z myślą o oczekiwanych korzyściach. I natrafiono na takie wydarzenie. Uznano, że najbardziej sprzyjające okoliczności zaistniały po Wielkiej Wojnie, na początku lat dwudziestych właśnie w Bawarii.

— I oto pojawia się kapral Hitler — mruknął Churchill. Winslade przytaknął.

— Cały tamten region był siedliskiem politycznych ekstremistów wszelkiego autoramentu, a

zwłaszcza reakcyjnych prawicowych ruchów politycznych wrogich wobec Republiki Weimarskiej i wszystkiego, co ona sobą reprezentowała. Tam właśnie, w Bawarii, skupiali się wszyscy malkontenci ze zdemobilizowanej armii: bandy Freikorpsu, pod komendą starej pruskiej gwardii, walczące z komunistami. Wszyscy szczerze niechętni ustaleniom w Wersalu i oddani idei odbudowy starego konserwatywnego reżimu i silnej władzy.

Przerwał na chwilę, czyniąc wymowny gest ręką, jakby chciał podkreślić, że żadne inne wyjaśnienia nie są już potrzebne.

— W toku badań nad historią „Suzeren” odkrył pewną partię polityczną, określającą się mianem narodowych socjalistów, na której czele, od roku 1921, stał były kapral piechoty. W 1918 roku ucierpiał on w czasie brytyjskiego ataku gazowego pod Ypres, stracił wówczas wzrok na pewien czas.

Jego partia wielce się różniła od wszystkich innych: jako jedyna głosiła cele i ideały prawicy, działając jednocześnie metodami właściwymi lewicy. Sam Hitler zaś znakomicie pojmował arkania psychologii tłumu. Wznosił się na fali popularnych nastrojów antyrepublikańskich i udanie grał na

emocjach, jakże żywych w ówczesnych Niemczech, związanych z potrzebą znalezienia winnego za klęskę i poniżenie Niemiec. Rozumiał wrodzoną Niemcom cechę: ich uległość wobec autorytetów.

Zdawał sobie sprawę ze społecznej nośności takich haseł, jak: zdecydowanie, upór, przemoc.

Wiedział też, jak łatwo jest rozbudzić namiętności tłumu, posługując się pseudo-religijnymi rytuałami: manifestacjami i paradami, a nade wszystko symbolami. Być może jednym z przejawów jego zwichniętego geniuszu było to, że symbolem ruchu nazistowskiego uczynił czarną swastykę na białym polu umieszczonym na czerwonym tle. — Winslade zatrzymał się i rozłożył ramiona,

podkreślając wagę swych słów. — Był to godny podziwu pomysł, panowie. Niemniej jednak nie

wystarczający do tego, aby z tej małej, nieznanej w sumie garstki krzykaczy politycznych uczynić groźną siłę zdolną do opanowania całego narodu. Hitler głosił wiele rozmaitych idei, które „Suzeren”

mógł wykorzystać do własnych celów i, co ważne, Hitler także był absolutnie zdecydowany wcielić swe idee w życie... ale był impulsywny i nie miał doświadczenia. Podjęta przezeń próba zbrojnego przejścia władzy w Bawarii w roku 1923 zakończyła się totalną klęską. Aresztowano go i zamknięto na rok w Landbergu. Po wyjściu z więzienia okazało się, że jego partia była zdelegalizowana, jej przywódcy wzajemnie się zwalczyli, a masy członkowskie wykruszały. Jego zaś obowiązywał zakaz publicznych wystąpień przez dwa lata. Polityka kanclerza Stresemanna obliczona na łagodzenie stosunków z państwami alianckimi zaczynała przynosić powodzenie. Francuskie oddziały

okupacyjne wycofywały się z Zagłębia Ruhry. Doktor Schacht opanował inflację. Poziom życia ulegał

poprawie i nikt już nie dawał posłuchu hasłom nazistów. Ci, owszem, zyskiwali popularność, ale w gorszych czasach. Hitler był fanatykiem i właściwie nigdy nie zmienił swojej ideologii nienawiści i rasizmu. Nie potrafił jednak ani zbudować, ani tym bardziej umocnić struktury organizacyjnej, która mogłaby przetrwać. I w miarę jak w drugiej połowie lat dwudziestych warunki życia zaczęły się stabilizować, jego wpływy malały i przestawał się liczyć jako polityk. — Winslade westchnął i spojrzał na swoich słuchaczy z wyrazem udawanego smutku. — Marnował się samorodny talent!

Gdyby Hitler tylko wiedział, jak werbować zwolenników, jak ich organizować, jak umacniać partię, to doskonale potrafiłby wykorzystać pogorszenie sytuacji po wielkim krachu na Wall Street w październiku 1929 roku. Załamania na giełdzie nie mógł jednak przewidzieć... ale „Suzeren”

wiedział, że to nastąpi. Zaplanowali więc wszystko, co potrzeba, aby skorzystać z okazji. Pierwsi agenci z roku 2025 przybyli do Niemiec w roku 1925 i zajęli się kształceniem Hitlera. W następnym roku skonstruowano projektor powrotny, ustanawiając dwustronną łączność i to, co nastąpiło

później, przebiegało już według planów „Suzerena”. — Winslade przerwał, milczeli także słuchacze: wiadomości były zaiste zaskakujące. Po chwili podjął wątek: — A więc to, co w czasach „Suzerena”

było po prostu niegroźną recesją ekonomiczną, przemieniono, uciekając się do rozmaitych

podstępów, w kryzys o światowym zasięgu, taki jaki stał się udziałem waszego już świata. Nie

doszło więc do wspomnianego wcześniej sojuszu Bruening-Hugenberg. Miejsce tego pierwszego zajął

właśnie Hitler. Innym elementem sabotowania gospodarki stało się zabójstwo Inukaia w Japonii, czego dokonali trzej agenci z roku 2025 specjalnie wyznaczeni do tej misji. Odpłynęli do Tokio z Hamburga w lutym 1932 roku. — Odpowiadając na zdziwione spojrzenia czwórki słuchaczy,

Winslade z powagą pokiwał głową i dodał: — Tak, moi panowie, cała działalność nazistów, tak jak przedstawia się ona obecnie, została zainspirowana przez pewne siły w przyszłości odległej od nas o prawie stulecie, a dokonano tego za pomocą maszyny zdolnej do translokacji obiektów w czasie, maszyny, która w dalszym ciągu funkcjonuje w Niemczech. Trwa to od roku 1925. Efekty nie

wymagają żadnych już objaśnień. W tym świecie, z którym mamy dziś do czynienia, zjawisko

hitleryzmu nie skończyło się u schyłku lat dwudziestych. Kiedy krach na Wall Street wstrząsnął

światem, Hitler był gotów do realizacji drobiazgowo przygotowanej kampanii, obliczonej na

wykorzystanie społecznego rozczarowania i nastrojów klęski, nie mówiąc już o powojennych

obawach, resentymentach, poczuciu beznadziei i braku bezpieczeństwa w Niemczech. Myślę, że

zgodzicie się z opinią, iż kapralowi Hitlerowi, przy pomocy swoich niewidzialnych przyjaciół, za drugim razem rzeczywiście udało się wpłynąć na bieg wydarzeń znacznie lepiej, z jego punktu widzenia, niż za pierwszym.

ROZDZIAŁ 6

W chłodnym świetle poranka nocny klub jawił się jak kochanka bez makijażu i peruki, albo jak kino po skończonym seansie, bez tajemniczego czaru i gry pozorów, z całą natomiast surową rzeczywistością.

Harry Ferracini ziewał i popijał czarną kawę przy stoliku przed barem. Odtwarzał sobie w

wyobraźni ów wspaniały, iskrzący się, kolorowy świat, pełen roztańczonych postaci i roześmianych twarzy, jaki roztaczał się w tym miejscu jeszcze kilka godzin temu. Teraz zaś żółte światło żarówek bezlitośnie obnażało plątaninę rur i nagich przewodów pod sufitem oraz obłazącą farbę na ścianach, a więc wszystko to, co wcześniej skrywał dyskretny cień. Między stolikami, na których poskładano krzesła, wędrował posiwiały dozorca, z kłębem szmat w tylnej kieszeni spodni, i zmywał szczotką podłogę. Cassidy z paroma chłopakami siedział jeszcze przy barze, rozmawiając z Lou — barmanem, który ustawiał na półkach nowe butelki z trunkami. Janet stała na skraju parkietu i zachrypniętym, swingującym głosem nuciła — fałszując — melodię *Smoke Gets in Your Eyes* w takt dźwięków

pianina, przy którym siedział znudzony muzyk z papierosem w ustach. Zdażyła już przebrać się w sweter i spodnie... no właśnie — przypomniał sobie Ferracini — między drugą a trzecią nad ranem poszła do domu zdrzemnąć się nieco, ponieważ nazajutrz, przed południem, miała mieć próbę. A

więc — pomyślał — było już jutro i było przedpołudnie.

Reszta zaś tego, co w sumie stanowiło szaleńczą noc, układała się już tylko w sekwencję niespójnych obrazów. Zaczęli z Cassidym w lokalu przy Trzydziestej Czwartej Ulicy. Cassidy naraził się tam narzeczonemu jakiejś rudowłosej damulki w zielonej sukni. Bar był niewielki, w kącie siedział

akordeonista, znajdowało się tam też trzech Irlandczyków, były bokser, który żył już tylko

wspomnieniami dawnych sukcesów i dwóch marynarzy oraz dwie chórzystki z rewii w towarzystwie alfonsa, który usilnie zachwalał inny „lepszy bar tuż za rogiem”. Później poznali Janet i jej przyjaciółkę Amy, rozmawiali, a potem poszli do innego lokalu, tam gdzie cztery wieczory w

tygodniu Janet występowała jako refrenistka. Nazwy tego baru Ferracini nie potrafił sobie

przypomnieć. A zresztą wcale nie byłoby tak źle, gdyby nie urodziny Eda.

Ed, który tymczasem gdzieś znikł, był kumplem Maxa — właściciela lokalu — który siedział teraz z dwoma facetami przy stoliku obok i narzekał na podatki oraz koszty utrzymania knajpy. Max był

niski, krępy, miał wysokie ogorzałe czoło i kędzierzawą czuprynę. Siedział w rozpiętej kamizelce i poluzowanym krawacie, marynarkę przerzucił przez oparcie krzesła. Wydawało się, jakby wiecznie był czymś zmartwiony. Przedstawiała ich Janet, i Max od razu nabrał sympatii do Ferraciniego i Cassidy'ego, do tego stopnia, że zaprosił ich, aby zostali razem z nim i kręgiem przyjaciół już po zamknięciu lokalu. Niektórzy z tych przyjaciół spali teraz przy stolikach. Max, jak się okazało, miał

pewne problemy z okolicznym mafiosem, który go szantażował, domagając się pieniędzy za

„ochronę”, więc Max starał się, aby wśród bywalców lokalu było jak najwięcej mężczyzn, którzy potrafią sobie dawać radę w każdej sytuacji.

Nowy Jork z roku 1939 był zupełnie inny niż owa ponura, uboga i policyjna Ameryka, do jakiej nawykł Ferracini. Zwyczajny spacer po Manhattanie, oglądanie przewalających się tłumów i

podziwianie mnogości towarów na wystawach stanowiło dlań nie lada przeżycie. Po raz pierwszy czuł, że oddycha swobodnie właśnie tu, między ludźmi, którzy mogli pracować, gdzie chcieli, kupować wszystko, na co ich tylko było stać, podróżować, gdzie tylko im się zamarzyło, i robić kariery na miarę swoich zdolności. Naturalnie z bliska sprawy nabierały ostrości. Ale cóż, każdy medal ma dwie strony. W społeczeństwie, w którym każdy może robić, co zechce, zawsze znajdzie się ktoś, komu się nie powiedzie. Jeśli ocenić sprawę obiektywnie, to oczywiście dostrzeże się

krańcowości, po obu zresztą stronach.

Jednocześnie Ferracini odczuwał gniew i frustrację. Odnajdywał bowiem w tej właśnie Ameryce pokryzysowej — tej prawdziwej Ameryce — wśród farmerów i robotników rolnych, wśród górników i drwali, rzemieślników, sklepikarzy i kierowców ciężarówek, których spotykał i z którymi rozmawiał

na szlaku z Albuquerque, w Nowym Meksyku, do Nowego Jorku — otóż odnajdywał w tej Ameryce całą siłę ducha, moc, upór i dumę; wyszli z najgorszego bez uszczerbku dla ideałów, swobód obywatelskich i osobistych, co — z drugiej strony — było ceną, jaką zapłaciła Europa. Tu właśnie, w Ameryce, powinno powstać jądro światowego sojuszu, który stawiałby czoło Hitlerowi.

Tymczasem Ameryka traciła czas, bawiąc się nocami, podczas gdy Europa padała ofiarą nazizmu, gdy Japończycy opanowywali Azję, a Rosję czekała zagłada. Ameryka, owszem, obudzi się, ale po niewczasie, kiedy już będzie za późno. Wtedy też zgasną kolorowe światła i przestanie istnieć skrzący się świat pozorów, pozostanie tylko chłód, szarość i takie właśnie smutne poranki. Claud uważał, że można to jednak zmienić. Zdaniem Ferraciniego Claud był po prostu szalony.

— Nie mam racji, Harry? — zapytał Max od sąsiedniego stolika.

— O co chodzi? Zamyśliłem się.

— No, że będziecie tu teraz częściej bywać, ty i Kowboj. Wiecie przecież, że Max jest w porządku, że powie wam, gdzie najlepiej się zabawić, że u niego zawsze znajdzie się parę ekstradziwczynynek, rozumiesz? Max to dobry kumpel.

— Jasne. Będziemy w kontaktancji, Max.

— Widzicie, Harry ma łeb, nie mówiłem?

— A ty, Harry, z jakiej jesteś branży? — zapytał jeden z gości siedzących przy stoliku Maxa. Popijał drinka. Max powiedział wcześniej, że ma na imię Johnny.

Ferracini uczynił nieokreślony ruch ręką. W tej samej chwili od baru oderwała się blondynka, którą nazywano Pearl i usiadła przy jego stoliku. — Nic szczególnego — powiedział — kręcę się jak wszyscy... wiesz, jak to jest.

— A ostatnio? Co robiłeś ostatnio?

— Jeździłem na trasie ciężarówką, z Nowego Meksyku.

— A może byś popracował u mnie? Potrzebuję pomocnika. Niezły szmal. Pięćdziesiąt na tydzień, a może i więcej.

— Sid powiada, że byłeś w wojsku — wtrącił Max. — Sid zna się na tym. Ma rację, Harry? Ferracini wzruszył ramionami.

— Nie chodzi o wojsko — wtrąciła Pearl zachrypniętym głosem. — To szpiedzy. Brali udział w

jakiejś tajnej operacji, którą prowadzi nasza ambasada w Paryżu. Kowboj mówił nam o tym przy barze. Ewakuowali jakąś prawdziwą księżniczkę z Austrii, czy coś w tym rodzaju. Max, powinieneś

częściej zapraszać takich ciekawych facetów.

Ferracini westchnął cicho i zajął się swoją kawą. Tymczasem, nim jeszcze Pearl zdołała rozwinąć wążek, do stolika podeszła Janet, która właśnie skończyła śpiewać.

— Podobało ci się? — zapytała, patrząc na Maxa.

— Zaśpiewasz ten numer jutro?

— Jak chcesz. Czemu nie?

— I załóż tę niebieską sukienkę. Tę z koronkami i... co tam jeszcze, no wiesz, tę wyciętą, co to dużo pokazuje... rozumiesz? — Gestem obu dłoni Max zaznaczył, że chodzi mu o obfite piersi.

Janet potaknęła, wzdychając z rezygnacją.

— W porządku, założę tę niebieską — zgodziła się. Max kilkakrotnie kiwnął głową i machnął ręką.

— I oczywiście śpiewasz ten numer. To dobra piosenka.

— A dziś już jestem wolna? — zapytała Janet, a potem, zwracając się do Ferraciniego, powiedziała:

— Jeśli z Cassidym nie macie nic przeciwko podróży metrem, to mogę was zaprosić na śniadanie.

Umyjcie się i zapoznam was z Jeffem, zgoda? — Jeff był jej młodszym bratem. Zaczęła śpiewać między innymi po to, aby mu pomóc. Jeff był studentem chemii na Uniwersytecie Columbia i

korzystał ze skromnego stypendium stanowego. Mieszkali razem w okolicach Morningside Park, w północnej części Manhattanu: „na górze miasta” — jak powiadają nowojorczyki.

— Chętnie — powiedział Ferracini. Podniósł głowę znad stolika i krzyknął w kierunku baru: —

Cassidy, Janet zaprasza na śniadanie z bratem. Masz ochotę?!

— O co chodzi? Jakie śniadanie?

— Właśnie śniadanie, u Janet. Mamy poznać jej brata, Jeffa.

— Jeffa? Aaa, tego chemika. — Cassidy ostrożnie opuścił miejsce przy barze. — Mamy poznać Jeffa

— mruzczał — i zjeść śniadanie — mówił, jakby usprawiedliwiając się wobec towarzystwa, z którym debatował nad drinkami.

— Nie do wiary — westchnęła Pearl, zapalając papierosa. — Ile to ja muszę się nauganiać, nim trafi mi się jakiś facet, z którym chciałabym pójść do domu, a ona łapie od razu dwóch.

Ferracini wstał i pomógł Janet założyć płaszcz.

— Załatwione — powiedział — ale nie jedziemy metrem. Jeśli z nami, to taryfą, zgoda? Pearl wbiła wzrok w sufit.

— A nie cadillakiem? — zauważyła z pewną złośliwością. — Żal mi ciebie, Janet. Znów ci się nie trafiło.

— Nasz szofer ma dziś wolne — wtrącił Cassidy, dołączając do Ferraciniego. Max rozparł się na krześle i podnosząc wzrok, przypominał:

— Pamiętajcie, co wam mówiłem. Macie tu zachodzić i to jak najczęściej.

— Zobaczymy, co się da zrobić — przyrzekł Ferracini.

— Zadzwońcie do mnie, pogadamy o tej robocie — rzekł Johnny, podając Ferraciniemu wizytówkę.

Był na niej napis: „J. J. J. J. J. J. Harrington Enterprises" * (Grupa Przedsiębiorstw Harringtona), a obok numer telefonu.

— Dzięki, Johnny — skwitował uprzejmość Ferracini — będziemy pamiętać.

We trójkę skierowali się do drzwi, a następnie niewielkim korytarzem i schodkami wyszli na ulicę.

— Co to za firma? — zapytał Cassidy, który szedł z drugiej strony obok Janet. Wziął wizytówkę z rąk Ferraciniego.

— To nowojorski agent tej austriackiej księżniczki, którą nielegalnie wywieźliśmy z Europy.

Powinniście się więc znać — poinformował Ferracini.

Janet dobiegała trzydziestki. Miała pociągającą, choć wcale nie piękną twarz — drobną, krągłą, puciołowatą z wydatnym podbródkiem i zadartym, jak u dziewczynki, nosem. Oczy miała duże,

zielono-niebieskie z długimi rzęsami, puchate usta z dołeczkami w kącikach, gdy się śmiała — a czyniła to często. Kasztanowe, ciemne, długie, falujące włosy okalały jej twarz wesołymi lokami, jak nakazywała ówczesna moda, jakże inna od tej z lat siedemdziesiątych, gdy panie ciasno

przyczesywały smutno wyglądające fryzury. Przespała się nieco w nocy i była ożywiona, inaczej niż Ferracini i Cassidy, więc po drodze do jej mieszkania — a jechali Broadwayem, a następnie

zachodnią aleją przy Parku Centralnym — na niej spoczywał ciężar konwersacji.

— Nasz tata był inżynierem — mówiła. — Miałam piętnaście lat, gdy przeprowadziliśmy się do

Pensylwanii, gdzie dostał robotę w jakiejś stalowni. Wszystko to jednak padło, kiedy firma musiała ograniczyć produkcję i zaczęła zwalniać ludzi. Tata nie mógł znaleźć żadnej pracy, jak wszyscy zresztą, i skończyło się na tym, że przenieśliśmy się do mieszkania latarnika.

— Latarnika? — powtórzył Cassidy. — Znaczy to, że zamieszkaliście na wybrzeżu? Janet spojrzała na niego pytająco, niepewna, czy żartuje.

— No, wiesz przecież, mieszkanie latarnika, tak nazywają te ponure mieszkania w slumsach: kuchnia z dwoma palnikami, stara lodówka w spizarni, do której co drugi dzień przynoszą dwunasto-kilogramową bryłę lodu, wspólna łazienka na korytarzu, jedna na całe piętro, i to wszystko za siedem dolarów tygodniowo.

— No właśnie — wtrącił Ferracini potakująco. — Ale co się stało z twoimi starymi? Mówiłaś, że mieszkasz tylko z bratem.

— Mama umarła z przepracowania i zimna. Chorowała na gruźlicę — odparła Janet. — Nie było pieniędzy na lekarstwa i odeszła mając ledwie trzydzieści trzy lata. — Mówiła to bez żalu i emocji, jakby relacjonowała fakty, na które nie miała wpływu. — Mnie i Jeffa ojciec wysłał do Nowego Jorku, do kuzyna. Był on prawnikiem, nazywał się Stan. Tata zaś, z żoną, bo się ożenił powtórnie, wyprawił się na Zachód. Mówiono, że jest praca, gdzieś tam w Kalifornii albo Oregonie. Powiadał, że nas ściągnie, jak tylko sprawy się ułożą, ale skończyło się tylko na kilku listach i paru dolarach w kopercie — Janet wzruszyła ramionami lekko się uśmiechając. — Ostatni raz dał znać o sobie rok temu. Pisał, że zaciągnął się na statek w San Francisco i że będzie pływał do Japonii i gdzieś tam jeszcze.

— A co ze Stanem i jego żoną? — zapytał Ferracini.

— Żyją, ciągle w tym samym wielkim domu, w którym mieszkali od początku. Kiedy brat Staną musiał zamknąć interes w New Jersey, a jeszcze inny kuzyn stracił pracę u Forda w Michigan, to wtedy wszyscy zamieszkaliśmy razem. Cała dwunastka w siedmiu pokojach z jedną łazienką.

Trwało to parę lat. Niewiele było do jedzenia, hodowaliśmy króliki i ciągle czekaliśmy, że któreś z nas załapie się gdzieś na roboty publiczne, co to rząd organizował. Ale taka robota, wiecie, to tylko na parę miesięcy. Tak więc, jak tylko Jeff dostał stypendium, Jeff jest zdolny, to poszłam pracować do „Tęczy”, żeby mu jakoś pomóc...

— Tęczy? — zapytał Ferracini nie rozumiejąc.

— Właśnie, „Tęcza” — to lokal Maxa. Stamtąd jedziemy — kojarzysz?

— No tak, jasne.

— Nieważne. Właśnie Max znalazł nam mieszkanie przez jakiegoś znajomego. To zaraz obok Columbii, idealnie dla Jeffa, a ja też mam niezły dojazd do pracy w dół miasta. Pracuję w sklepie za dnia, a wieczorami śpiewam. Dziś mam wolne.

— Max załatwił ci mieszkanie? — Cassidy był zaskoczony.

— Max czasami jest nie do wytrzymania, ale to poczciwy facet — odparła Janet.

Mieszkanie znajdowało się na trzecim, ostatnim piętrze dość podniszczonej czynszówki, w zaułku między Siódmą Aleją a aleją St. Nicholasa, tuż obok Sto Szesnastej Ulicy, na skraju latynoskiej części Harlemu. Między budynkami, nad podwórkami wisiały sznury z suszącym się praniem. Na maleńkich dziedzińcach bawiły się tłumy dzieci, krążyły sfory psów i wały się śmieci.

Ostatnie schody na górę były ciemne i trzeszczące, ale samo mieszkanie, choć zatłoczone ogromnymi meblami — jakby zaprojektowanymi do bardziej przestronnego wnętrza i lepszych czasów, gdy bywała jeszcze służba domowa, która dbała o porządek — było ciepłe, przytulne, czyste i dość jasne.

Składało się z dwóch pokoi z kuchnią, miłego nastroju przydawały wesołe firanki i zasłony oraz całe mnóstwo bibelotów, pamiątek, fotografii rodzinnych w ramkach i oleodruków z górskimi widokami, pejzażami jezior oraz kwiatów. Wszystko to — bez wątpienia — znalazło się w mieszkaniu dzięki staraniom Janet.

Bezpośrednio z klatki schodowej wchodziło się do dużego pokoju, gdzie właśnie — przy stole — siedział Jeff, zastanawiając się nad rozłożonym tosterem. Grało radio, a refrenistka z zespołu 79

Wistful Yista właśnie wywrzaskiwała: Mc Gee, zamknij te drzwi przy akompaniamencie brzęczącej perkusji.

Jeff wyglądał na studenta. Szczupły, wręcz chudy, z potarganą czupryną zakrywającą czoło i bladym, zamyślonym, jakby sowim, obliczem przysłoniętym okularami w grubych oprawkach.

Ubrany był w kraciatą koszulę, włóczkowy bezrękawnik i sztruksowe spodnie. Na nogach miał płócienne pantofle. Siedział naprzeciwko półek pełnych książek i zapisanych papierów. Na ścianie obok wisiały jakieś techniczne wykresy, plan Nowego Jorku, notatki i kilka zdjęć samolotów powycinanych z magazynów ilustrowanych, oraz kolorowy przekrój pancernika. Nie pościelona kanapa pod oknem wskazywała, że Jeff sypia w tym właśnie pokoju. Drugi należał do Janet.

— Jeff, to jest Harry, a to Cassidy — przedstawiła gości Janet. — To ci dwaj, o których opowiadałam ci nad ranem. Poznałyśmy ich razem z Amy wczorajszego wieczoru. Siedzieli jeszcze u Maxa, kiedy pojechałam na próbę, zaprosiłam ich więc, żeby coś zjedli. Panowie, przedstawiam wam Jeffa.

— Cześć — powiedział Jeff nic nie wyrażającym tonem. Również na jego twarzy malował się

absolutnie obojętny wyraz. Janet zdjęła płaszcz i zniknęła w drugim pokoju. Wszyscy milczeli przez kilka chwil. Cassidy spojrział na przedmioty leżące na stole i zrobił wszyszkowiedzącą minę.

— Znacie się na testerach? — zapytał Jeff.

— Wiemy tyle, że najlepiej działają, kiedy się je złoży do kupy — odparł Cassidy, a Jeff kiwnął głową w zamyśleniu. — Twoja siostra mówiła, że jesteś chemikiem — rzekł Cassidy.

— Jeszcze niczym nie jestem. A czemu pytasz? Masz coś wspólnego z chemią?

— Niewiele. Poza tym, że trzeba się nauczyć tych wszystkich obcych słów, żeby rozmawiać o soli i cukrze jak chemik.

— Przypomina mi to... — Jeff odwrócił się w stronę drzwi do drugiego pokoju, wołając do Janet, że skończył się cukier, mleko i chleb. — Wziąłem pół dolara i zrobiłem zakupy w sklepie na rogu.

Reszta jest w puszcze.

Janet wróciła do dużego pokoju.

— Dzięki, zaoszczędziłeś mi wyprawy po schodach w dół i znów w górę. A teraz, Jeff, może byś trochę sprzątnął. Ja zrobię kawę i zajmę się śniadaniem.

Przy posiłku rozmawiali głównie o kinie, o przebojach muzycznych i ludziach — stałych gościach

„Tęczy”. Jeff raczej nie miał wysokiego mniemania o tych, których już poznał, twierdził z przekonaniem, że to włóczędzy i nic nie warci ludzie. Być może właśnie dlatego dość chłodno potraktował Ferracinię z Cassidym. Ferracini pytał Jeffa, czy zamierza po dyplomie specjalizować się w jakiejś konkretnej dziedzinie chemii. Jeff zastanowił się przez chwilę, a później zapytał:

— Słyszałeś o fizyce atomowej?

Ferracini machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: wiesz, jak to jest, i dodał:

— No, może trochę.

— W ostatnich dziesięciu latach — ciągnął Jeff — doszło do kilku wspaniałych odkryć w tej

dziedzinie. Według teorii można na przykład wyzwolić z niewielkiej ilości pewnej substancji tyle energii, że wystarczyłoby jej dla całego świata, tysiące razy więcej energii, niż zawiera jej na przykład benzyna. — Spojrzał pytająco na Ferracinię. — No i co, myślisz, że to głupie?

Ferracini postarał się o to, aby jego spojrzenie wyrażało brak wiary.

— No cóż, myślę, że nie ma rzeczy niemożliwych, chyba że ktoś udowodni, iż jest inaczej — rzekł.

—

Byli przecież tacy, co zapewniali, że maszyna parowa nigdy nie będzie pracować albo że samoloty nie mogą latać i w ogóle.

Cassidy potaknął i przyłączył się do rozmowy:

— Racja. Ja myślę, że trzeba stawiać na takich facetów jak Jeff i na to, że w końcu ktoś wymyśli atomową benzynę czy coś podobnego.

Odpowiedź jakby zachęciła Jeffa do kontynuowania wątku.

— Zdaje mi się, że jesteście bardziej otwarci na nowe idee niż inni — rzekł. Cassidy wzruszył ramionami i machnął dłońmi wielkodusznie.

— No wiesz, nie tylko włóczędzy i nieroby bywają w lokalach, także my, intelektualiści, ale tylko dlatego, żeby podnieść poziom towarzystwa, że tak powiem.

Jeff uśmiechnął się do Janet już bardziej na luzie.

— Ci dwaj — powiedział — chyba są w porządku. Wygląda na to, siostrzyczko, że z wolna uczysz się dobierać towarzystwo. Twój przypadek nie jest więc beznadziejny.

— Cieszę się. Jeff, że to dostrzegasz — odparła. Jeff znów zwrócił się do Ferraciniego i Cassidy'ego.

— Wiecie, ostatnio przybył do nas, na uczelnię, jeden z tych wielkich specjalistów od chemii atomowej — poinformował. — Enrico Fermi. Musiał wyjechać z Włoch, ponieważ jego żona jest

Żydówką. Słyszeliście o nim?

Ferracini zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał. Był pewien, że gdzieś słyszał już to nazwisko. Czy to właśnie nie za sprawą Fermiego Stany Zjednoczone przystąpiły pilnie do realizacji programu budowy bomby atomowej? Było to na początku lat czterdziestych, gdy on — Ferracini — właśnie przychodził na świat. Amerykanie rozpoczęli swój program, gdy Niemcy zaskoczyli świat własną bombą atomową w 1942 roku, w drugim roku wojny z Rosją. Sukces amerykańskich wysiłków zapewnił im dwadzieścia lat względnego spokoju.

Do końca lat czterdziestych państwa „osi” zajmowały się pacyfikacją i podziałem ziem sowieckich.

Ustanawiały nowe władze i przesiedlały ludność. Później zaś rozpoczęły się walki na Bliskim Wschodzie i w zachodniej Azji przeciwko islamskim powstańcom. W tym to czasie Amerykanie

zdołali nadrobić zapóźnienie technologiczne i stworzyć własną broń atomową, konsekwencją czego było to, że nie doszło do bezpośredniej napaści na Amerykę Północną. Państwa „osi” skierowały się na południe i pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych wkroczyły do Afryki, siejąc strach, zadając cierpienia i dopuszczając się ludobójstwa na czarnych społecznościach w imię

tworzenia faszystowskich, hiszpańskich i włoskich imperiów kolonialnych.

Cassidy z Jeffem i Janet rozmawiali o stypendiach i możliwościach pracy, Ferracini zamyślił się, patrząc na rozciągający się za oknem widok Manhattanu. Głosy rozmówców dobiegały doń jakby z oddali. Pogрузzył się w myślach o zadaniu, które mieli do wykonania i o własnej w nim roli.

Amerykańska bomba atomowa zaistniała dopiero pod koniec 1951 roku. Niemcy tymczasem zrzucili pierwszy ładunek atomowy na Rosję w lipcu 1942 roku. Jakże więc Misja Specjalna Kennedy'ego, oczekująca w 1975 roku na skompletowanie projektora powrotnego, ma powstrzymać Hitlera? Jak nakłonić Francję i Anglię do walki, jak sprawić, aby do wojny przystąpiły Stany Zjednoczone? Jeśli amerykańska bomba atomowa ma powstać dopiero za dwanaście lat i jeśli jednocześnie Ameryka

ma już dziś wystąpić przeciwko nazistom, to ostatecznym skutkiem będzie jej totalna klęska, zagłada podobna do tej, jakiej uległ Związek Radziecki. Jedyne wyjście — jakie przychodziło Ferraciniemu na myśl — sprowadzało się do tego, że Kennedy powinien udostępnić Zachodowi broń atomową z roku 1975 i tylko w ten sposób będzie można pokonać Hitlera. Ale taki obrót spraw —

gdy obie strony korzystać będą ze źródeł umiejscowionych w przyszłości — przyniesie w konsekwencji totalną katastrofę.

Chyba że tymczasem uda się uczynić coś, co sprawi, że naziści nie wejdą w posiadanie broni nuklearnej.

Ze względu na zwykłe zasady bezpieczeństwa nie ujawniono istoty zadań, które ma do wypełnienia kontyngent wojskowy biorący udział w Operacji „Proteusz” pod dowództwem majora Warrena.

Powiadano, że mają zabezpieczać „Projektornię” — a więc miejsce, gdzie budowano projektor powrotny, ale też nikt z żołnierzy i oficerów nie zakładał, że rola wojska ograniczy się wyłącznie do tego. Podczas szkolenia w Tularosa okazało się, że wszyscy należeli do oddziałów sił specjalnych i wszyscy mieli doświadczenie zdobyte w tajnych misjach w nazistowskiej Europie. Co więcej, okazało się także, że wszyscy — choć oczywiście w różnym czasie — brali udział w operacjach w okolicach Lipska w Niemczech, mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Berlina, a to już nie mogło być wynikiem zbiegu okoliczności.

A poza tym Ferracini dobrze wiedział, że to, w czym macza palce Winslade, nie bywa dziełem przypadku.

ROZDZIAŁ 7

Na pierwszy ślad, który w efekcie doprowadził do ujawnienia przez wywiad amerykański prawdziwej historii nazizmu, natrafiono właśnie w środowisku uczonych. Było to w latach trzydziestych, które dały początek fizyce atomowej.

Otóż u zarania owej dekady Enrico Fermi — profesor na Uniwersytecie Rzymskim — wystąpił z tezą, że można dokonać syntezy izotopów promieniotwórczych, bombardując odpowiednie substancje wiązkami neutronów — cząstkami jądra atomowego, odkrytymi właśnie przez Chadwicka w

Cambridge. Fermi przeprowadził wiele eksperymentów w tej dziedzinie i opublikował wyniki swoich doświadczeń. Pod koniec roku 1938 przerwał prace we Włoszech. Wyjechał do Sztokholmu na

uroczystość wręczenia Nagrody Nobla, której był laureatem, i skorzystał z okazji, aby zbiec na Zachód razem z żoną Laurą i dwójką dzieci.

W tym samym czasie podobne badania prowadzono także w kilku innych placówkach, zwłaszcza w Laboratorium Joliot-Curie w Paryżu i Instytucie Chemii imienia Cesarza Wilhelma w Berlinie.

Doświadczenia z bombardowaniem uranu wiązką neutronów przynosiły zagadkowe wyniki.

Mianowicie, analiza otrzymywanych tą drogą materiałów nie wykazywała obecności tak zwanych ciężkich pierwiastków, takich jak rad, a według teorii to powinno było nastąpić w wyniku

wymuszonego uaktywnienia ciężkich jąder atomowych. Wreszcie, w grudniu 1938 roku, Otto Hahn i Fritz Strassmann przeprowadzili w Berlinie eksperyment, który dowodnie wykazał, że w wyniku oddziaływania wiązki neutronów na uran wcale nie powstaje rad czy inne podobne pierwiastki, ale pojawia się gaz krypton oraz bar i jeszcze inne pierwiastki o lżejszej masie atomowej. Sprawa była zagadkowa i przez dłuższy czas specjaliści nie potrafili wypracować żadnej stosownej myśli na objaśnienie tego zjawiska.

Hahn opisał szczegóły doświadczeń i ich wyniki w liście do swojej byłej współpracownicy, austriackiej uczoney żydowskiego pochodzenia — Lisy Meitner — która zmuszona została do emigracji po aneksji Austrii przez Hitlera, a obecnie pracowała w Instytucie Nobla w Sztokholmie.

Tak się złożyło, że jej bratanek — Otto Frisch — który pracował z Nielsem Bohrem w jego Instytucie Fizyki Teoretycznej w Kopenhadze, przyjechał właśnie do Sztokholmu na Święta Bożego Narodzenia i w rodzinnym gronie oboje uczeni przedyskutowali istotę odkrycia Hahna.

Doszli do wniosku, że jądro uranu miast wchłaniać neutrony i tym sposobem przyjmować postać cięższych pierwiastków — jak zakładano w teorii — dzieliło się na mniejsze cząstki, jądra lżejszych pierwiastków, o masie odpowiadającej mniej więcej połowie masy atomowej uranu. Jednocześnie też, inaczej niż dzieje się to wówczas, gdy dochodzi do samoistnego wyzwalaania energii

promieniotwórczej, kiedy to następują stosunkowo niewielkie zmiany wewnątrz jądra atomu, które traci pojedynczą cząstkę, w uranie poddanym bombardowaniu neutronowemu zachodzi proces

rozbitcia jądra. Towarzyszy temu wyzwolenie znacznej energii.

Pod koniec ferii Frisch wrócił do Kopenhagi i podzielił się tymi przemyśleniami z Nielsem Bobrem, który właśnie wybierał się do Stanów Zjednoczonych na Piątą Waszyngtońską Konferencję Fizyki Teoretycznej. I na tym to forum, 26 stycznia 1939 roku, Niels Bohr przedstawił opisane tu wnioski, co miało taki efekt, że dziesiątki wyfraczonych naukowców spieszenie opuszczały salę obrad, by pilnie powtórzyć eksperyment Hahna w swoich laboratoriach na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w

Baltimore, na nowojorskiej Columbii, w Princeton, w Berkeley i gdzie tam jeszcze.

Eksperymenty potwierdziły, że rzeczywiście możliwe jest rozbitcie jądra atomu, ale wciąż pozostawał

ogrom problemów, które trzeba było rozwikłać, nim praktycznie uda się wykorzystać energię wyzwalającą się w tym procesie. Z wolna więc ustępowało podniecenie związane z nowym odkryciem i amerykańscy uczeni mobilizowali całą cierpliwość, na jaką było ich stać, i przygotowywali się na lata żmudnej pracy, nim wreszcie pojawi się możliwość skonstruowania praktycznie działającego urządzenia jądrowego: czy to broni, czy to reaktora atomowego.

Szok wywołała wiadomość, że Niemcy zastosowali broń atomową w wojnie z Rosją w roku 1942. Nikt z ekspertów nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Ale na tym tle prezydent Burton K. Wheeler zdecydował o radykalnej zmianie polityki USA wobec totalitarnych reżimów faszystowskich, a jednocześnie polecił wdrożyć w Stanach podobny program badań nuklearnych, nadając mu priorytet.

Wheeler wygrał wybory w roku 1940, szermując hasłami izolacjonizmu. Roosevelt wycofał się już z życia publicznego. Wdrażając program badań atomowych, prezydent Wheeler powołał jednocześnie grupę specjalistów wywodzących się z rozmaitych agend wywiadowczych z zadaniem zbadania

źródeł i przyczyn tak imponującego postępu Niemiec w fizyce atomowej. Tak oto zaistniała ekipa specjalistów w zakresie wywiadu naukowego, która z czasem rozrosła się i przekształciła w trwałą instytucję rządową, oczywiście z kategorii tych, o których niewiele mówi się publicznie. Grupę tę określano kodem „SI-7”.

Pracowała ona w trudnych warunkach: obiekt operacji był oddalony i w ogóle niełatwo było działać w nazistowskiej Europie. Innym czynnikiem utrudniającym prace była oczywiście konieczność

przestrzegania ścisłej tajemnicy. W końcu jednak poszczególne elementy mozaiki zaczęły układać się w logiczną całość i okazało się, że w niemieckim programie badań nuklearnych zaszło coś dziwnego i niezwykłego.

Po ogłoszeniu wyników badań Hahna i Strassemana, na początku 1939 roku, w czasopiśmie

naukowych ukazały się liczne publikacje pióra niemieckich autorów na temat możliwości

zbudowania broni i elektrowni atomowych. Zarząd Uzbrojenia Armii wspólnie z Ministerstwem

Oświaty Rzeszy zainspirował dalsze badania w Laboratorium Niemieckiej Poczty i w pracowniach rozmaitych prywatnych koncernów przemysłowych. Wysiłki te nie były jednakże skoordynowane.

Wprawdzie Niemcy dość szybko nałożyły embargo na eksport rudy uranowej z kopalń w

Czechosłowacji, które przeszły pod ich kontrolę, ale poszczególne niemieckie grupy badawcze ostro rywalizowały między sobą o dostęp do surowców uranowych i w ogóle do środków na badania. Nie informowały się też o wynikach badań, lecz przeciwnie, konkurowały o względy czynników

rządowych, przez co cały wysiłek nie przynosił spodziewanych owoców.

W takich warunkach raczej nie mogło być mowy o stworzeniu bomby atomowej przed upływem co

najmniej trzech lat. I rzeczywiście raporty „SI-7” ilustrowały całe zamieszanie towarzyszące budowie reaktora atomowego w Niemczech: niepraktyczne działania i błędy teoretyczne, z których zdano sobie sprawę dopiero po upływie pół roku. Jednocześnie „SI-7” nie raportowała o żadnym urzędzeniu na skalę przemysłową, niezbędnym do produkcji broni atomowej. Tymczasem jednak

taka broń zaistniała, pojawiła się jakby z niczego w lecie 1942. Jak do tego doszło — miało pozostać tajemnicą przez jeszcze długie lata.

Na początku lat sześćdziesiątych w wyniku dalszych prac operacyjnych realizowanych przez „SI-7”

ustalono, że podobne niezwykłości zaistniały także w innych dziedzinach niemieckiej technologii, na przykład w elektronice stosowanej w programach o znaczeniu militarnym i w badaniach przestrzeni kosmicznej, w technice komputerowej i lotniczej; Niemcy budowali samoloty o niezwykle

zaawansowanej konstrukcji. We wszystkich tych sprawach korzystano z wynalazków, których źródeł

nie dało się zidentyfikować, tak jakby pojawiały się w próżni, jakby wyprzedzały swój czas.

Sytuacja była niezwykle zagadkowa, tym bardziej że zupełnie nie zgadzała się z istotą systemu nazistowskiego. Jedyne jego celem jest umacnianie władzy rządzącej kliki, przeto system ten tłumi i wykorzenia wszelkie przejawy wolności słowa, przekonań i idei oraz wszelkie odstępstwa od doktryny. W zamian oferuje czcze hasła i puste dogmaty. Taki układ nie sprzyja swobodzie badań naukowych. Jest układem pasożytniczym. Podobnie jak nie potrafi sam przez się wytworzyć dóbr materialnych — umie je tylko grabić — tak z istoty swojej nie jest zdolny do tworzenia wiedzy, może tylko eksploatować to, co już zaistniało, lub to, co zdoła zdobyć siłą.

Stopniowo ów niespójny obraz jał się układać w pewną logiczną całość. Okazało się, że nowe

rozwiązania techniczne nie miały źródeł w jakichś generalniejszych odkryciach naukowych,

wynikały natomiast z nagłych i zadziwiających wielkich skoków naprzód w zakresie teorii i

zastosowań, które następowały we wszystkich dziedzinach nauk w ciągu kilku ledwie lat. Później zaś, równie niespodziewanie, krzywa wynalazczości straciła swoją dynamikę. Taki stan spraw

umożliwił Stanom Zjednoczonym nadrobienie opóźnień. Wyglądało to tak, jakby do dyspozycji

Hitlera pozostawiono pewien zasób informacji naukowych wystarczających na dwadzieścia z górą lat. Najważniejsze wszakże pytanie brzmiało: skąd właściwie brał się ów zasób informacji?

Odpowiedź przyniosły operacje, które prowadził Claud Winslade od czasu upadku Europy.

Nakładały się one na działania „SI-7”, choć prowadzono je zupełnie niezależnie od siebie. Przez ponad dwadzieścia lat Winslade i jego ludzie badali szczegóły innej sprawy, która również miała swoje korzenie w latach dwudziestych i trzydziestych i która z każdym kolejnym ujawnianym elementem stawała się coraz bardziej nieprawdopodobna i zadziwiająca. Łączyły się z nią, między innymi, dokumenty wykradzione z supertajnych archiwów niemieckich. W dokumentach tych

znajdowały się informacje o osobach, miejscach i instytucjach, o których nikt nigdy nie słyszał. Były w nich również opisy pojęć i teorii naukowych, nie znanych nawet najwybitniejszym ekspertom.

Powtarzały się tajemnicze nazwiska ludzi, których biografie zostały sfalszowane w taki sposób, aby stworzyć pozory, że są to zwykli Niemcy, podczas gdy w istocie osoby te pojawiały się jakby znikąd, dokładnie tak, jak niemieckie odkrycia naukowe, którymi zajmowało się „SI-7”. Najbardziej zaś niezwykłą sprawą było to, że w dokumentach wzmiankowano o datach i wydarzeniach, które nie

miały odniesień do żadnego okresu w przeszłości i teraźniejszości, natomiast wydawało się, że dotyczą dwudziestego pierwszego wieku.

I właśnie to było ogniwem zespalaającym wszystkie owe tajemnice — do takiego wniosku doszli

ludzie Winslade'a. Choć trudno było w to uwierzyć, to jednak wszystkie te zjawiska: nazizm, dojście Hitlera do władzy, ekspansja reżimów totalitarnych w pierwszej ćwierci stulecia — zostały

zainspirowane i kontrolowane przez ośrodki umiejscowione w dwudziestym pierwszym wieku.

Grupa Winslade'a odtworzyła nawet rysunki projektowe i dane „Organów”, a więc maszyny, za pomocą której zapoczątkowano komunikację w czasie, oraz „Walhalli”, czyli supertajnego urzędnika istniejącego w Niemczech nazistowskich, w którym zawierał się projektor powrotny. Pewne osoby, które z różnych przyczyn przetransportowano z przyszłości do ówczesnych Niemiec, ciągle tam przebywały, bez możliwości powrotu, jako że w połowie lat czterdziestych przywódcy nazistowscy nakazali likwidację „Walhalli”. Nawiązano kontakt z niektórymi z nich, a następnie — mimo że podlegali oni skrupulatnej ochronie — wykradziono ich z Niemiec i przewieziono do Stanów

Zjednoczonych. Oni właśnie zdali w Białym Domu źródłowe sprawozdanie z całej tej sprawy.

Jednym z nich był Kurt Scholder.

Z wniosków, jakie płynęły ze szczegółowego studium przeprowadzonego pod koniec lat

sześdziesiątych na zlecenie prezydenta, wynikało, że choć pewne teoretyczne zagadnienia pozostają

nie rozstrzygnięte, to Stany Zjednoczone dysponują wystarczającym potencjałem wiedzy i informacji, aby podjąć próbę zbudowania własnej wersji „Organów”. Być może więc istniała szansa odwrócenia groźby nieuniknionej zagłady, jeśli Zachód spróbowałby na własną rękę manipulować swoją historią.

Pojawiła się wszakże pewna trudność. Otóż zakres działania takiego urządzenia, zasięg, jeśli chodzi o dostęp w przeszłość, uwarunkowany był intensywnością źródeł energii koniecznej do napędu

machiny. W „Organach” stosowano wysoce wydajne procesy syntezy jądrowej. Pozwalało to na osiągnięcie zakresu stu lat, a więc transpozycji do roku 1925. Technologia ta nie była jeszcze znana na początku lat siedemdziesiątych. Wszystko, co można było zastosować to proces rozkładania atomów w warunkach wysokich temperatur. Jak oceniano, pozwalało to osiągnąć co najwyżej jedną trzecią zasięgu, jaki był możliwy w razie zasilania energią z syntezy jąder. A więc najdalej można było dotrzeć do końca roku 1938 lub początku roku 1939 zakładając, że budowa stosownej maszyny i przygotowanie elementów do projektora powrotnego potrwa około czterech lat.

Okresowi przed tą datą nadano miano „zamrożony” — nieosiągalny, co oznaczało, że jego dziejów nie da się już żadną miarą zmienić. Inaczej mówiąc, nie można już nic zmienić w historii świata do tego okresu, który obejmuje także dojście Hitlera do władzy, przyłączenie Nadrenii do Rzeszy, aneksję Austrii, wzięcie Czechosłowacji, układ monachijski, wojnę domową w Hiszpanii, przejęcie rządów we Włoszech przez Mussoliniego, podbój Abisynii, wojnę w Mandżurii. Te wydarzenia są nieodwracalne.

Każdy dzień opóźnienia sprawiał, że kolejne dwadzieścia cztery godziny historii świata ulegały

„zamrożeniu”. Prezydent Kennedy nakazał więc podjęcie absolutnie wszelkich wysiłków, aby urzeczywistnić plan, i misja „Proteusza” rzeczywiście wyruszyła cztery lata później, w 1975 roku, zgodnie z przyjętym programem.

ROZDZIAŁ 8

— Zdumiewająca historia! — wykrzyknął Anthony Eden, gdy Bannerling zakończył opowieść o

działalności wywiadu, działalności, której ostateczną konsekwencją był „Proteusz”. Jak zawsze nienagannie ubrany w ciemny garnitur z kamizelką i pilśniowy kapelusz, który kojarzono z nim tak, jak parasol z Chamberlainem, Eden obserwował ulicę przez okno taksówki. Policjant z wąsami jak u morsa, w typowym kasku londyńskiego hobby i mundurze zapiętym pod szyję, sprawnie rozwikłał

korek na rogu Trafalgar Square i taksówka ruszyła dalej.

— A co się stało z zapowiedzią Heydricha, że do roku 1968 Niemcy wylądują na Księżycu? —

zapytał. — Spełniła się? Bannerling pokiwał przecząco głową.

— Nazistowski program badań kosmicznych przeżywa kryzys, głównie na skutek braku nowych

rozwiązań technicznych, co zresztą przewidywano. Zużyli cały dostępny im kapitał. Ameryka natomiast skorzystała z napływu ogromnej fali uzdolnionych i wykształconych uchodźców z wielu krajów i łożyła na naukę. W 1970 roku oba kraje umieściły w kosmosie stałe załogowe stacje orbitalne, ale już wtedy Stany Zjednoczone zaczynały wyprzedzać Niemcy w wielu dziedzinach.

— Lecz nie w takim stopniu, aby odwrócić groźbę wojny — zauważył Eden.

— Postęp powstrzymał zapędy dyktatorów, ale oni zawsze kierowali się polityką siły i — co ważniejsze — korzystali z lwiej części światowych zasobów. Było więc oczywiste, że jak tylko uświadomią sobie, że czas zaczyna działać na ich niekorzyść... — Bannerling machnął ręką, nie kończąc zdania.

Eden palcami przygładził wąsa.

— Tak sobie myślę — powiedział — lądowanie na Księżycu... Brzmi to trochę jak powieść H.G.

Wellsa. Sądysz, że to w ogóle możliwe?

— Z całą pewnością — odparł Bannerling. — W istocie nastąpiło to w tym świecie, z którego wywodzi się Kurt. Jestem zresztą pewien, że Ameryka, ta którą znam, też by ten cel osiągnęła, gdyby nie to, że musiała skupić wszystkie wysiłki na obronie i stawianiu czoła nazistom.

— Więc to nastąpiło? Powiadasz, że rzeczywiście udało się wysłać człowieka na Księżyc?

— Owszem, pod koniec lat siedemdziesiątych.

— Zdumiewające! I cóż tam znaleźli?

— Skały i pył. Nie jest to dokładnie moja specjalność, Tony. Jeśli cię to interesuje, przepytaj Kurta, jak tylko wróci. Zawsze chętnie opowiada o takich sprawach... chyba że pytania Lindemanna zmęczą go definitywnie.

Kurt Scholder udał się na parę dni, pod przybranym nazwiskiem, do laboratoriów fizyki w Oksfordzie, Cambridge i Edynburgu. Zamierzał także odwiedzić kilka placówek rządowych, z którymi współpracował Lindemann, aby zapoznać się ze stanem prac nad nowymi rodzajami broni. Miał również nadzieję, że uda mu się nawiązać kontakty z niektórymi wybitnymi fizykami owej epoki, między innymi z Erwinem Schröningem i Maxem Bornem. Lindemann współorganizował ich ucieczkę z Niemiec w czasie swoich wcześniejszych wizyt w Berlinie.

Winslade odjechał z hotelu taksówką razem z Bannerlingiem i Edenem, ale wysiadł po drodze przy

Westminsterze, gdzie miał spotkać się z Churchillem, który tego ranka umówiony był na prywatną konferencję z premierem Chamberlainem. Usiłował uprzytomnić mu powagę sytuacji w Europie i

próbował zabiegać o energiczniejsze działania w celu wzmocnienia sił zbrojnych i zdynamizowania produkcji przemysłowej. Wszyscy uczestnicy pierwszego spotkania w hotelu Dorchester zgadzali się, że wtajemniczenie Chamberlaina w sekrety misji „Proteusza” wiązałoby się z ryzykiem. Znaczna część brytyjskiej elity sympatyzowała z nazistami i nie dostrzegała zagrożenia. Trudno też było powiedzieć, jakie są rzeczywiste zamiary Chamberlaina i wobec kogo lub czego jest on lojalny. Nie można więc było przewidzieć do kogo, w ostatecznym rachunku, mogą trafić przekazane mu informacje, a ostatnią sprawą, na którą misja mogła sobie pozwolić, byłoby ryzyko, że jakaś wiadomość przecieknie do Berlina.

W Nowym Jorku trwała budowa projektora powrotnego i w lipcu maszyna miała być gotowa.

Pozwoli to na nawiązanie bezpośredniego kontaktu między Administracją Roosevelta a prezydentem Kennedym i jego ekipą oczekującą w 1975 roku. W ten sposób wykonane zostanie podstawowe

zadanie misji „Proteusza”, a to, co stanie się później, nie będzie już ich sprawą. Tymczasem zaś mieli wpływać na możliwie maksymalne przyśpieszenie brytyjskich przygotowań do wojny. W tym celu

Eden zabiegał o poparcie przywódców politycznych, którzy opowiadali się za energiczniejszymi działaniami na rzecz wzmocnienia brytyjskiego potencjału obronnego. Rozmawiał między innymi z lordem Cecilem i lordem Lloydem, z sir Robertem Horne'em oraz z Griggem, Boothbym i

Brackenem. Duff Cooper spotykał się z wydawcami, apelując o poparcie na łamach prasy. Churchill wziął na siebie bezpośrednie kontakty z Chamberlainem i członkami Gabinetu. Tego przedpołudnia miał spotkać się z Winslade'em, a następnie wszyscy byli umówieni na lunch w klubie „Athenaeum”, żeby wymienić informacje o stanie spraw.

Do umówionej godziny było jeszcze trochę czasu i Bannerling zaproponował przekąskę w pewnym pubie przy ulicy Cockspur. Lubił tam zachodzić, gdy zamieszkiwał w Londynie, kiedyś, w innym czasie. Eden zgodził się. Taksówka zatrzymała się w stosownym miejscu.

— Dzięki, szefie — mruknął kierowca, otrzymując napiwek od Bannerlinga. Znajdowali się niedaleko siedziby Foreign Office i Bannerling z nawyku jął obserwować przechodniów, szukając znajomych twarzy.

— W tym tygodniu, Arthur, możesz to sobie darować — skomentował Eden z uśmiechem — nie znajdziesz siebie.

— Jak to? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Z prostej ciekawości pozwoliłem sobie zasięgnąć informacji o tobie u pewnego mojego przyjaciela, który pracuje z Halifaxem — odparł Eden. Halifax zastąpił Edena na stanowisku ministra

spraw zagranicznych, gdy ten podał się do dymisji w lutym 1938 roku. — I owszem, potwierdził, że pracujesz w ministerstwie, w departamencie czternastym u Saundersa-Blenkinsona, tak jak mi mówiłeś.

— Miło mi to usłyszeć — odparł Bannerling z nutą zniecierpliwienia w głosie.

— Ale w tym tygodniu nie ma cię w Londynie. Wyjechałeś do Paryża na rozmowy z ludźmi Bonneta, nie pamiętasz? Bannerling zastanawiał się przez chwilę, a następnie potwierdził:

— Masz rację, chodziło o francusko-niemiecki układ o przyjaźni. Wyjechałem w tym tygodniu?

— Tak. I masz wrócić dopiero w sobotę. Przez chwilę milczeli obaj.

— Wiesz co, Tony, szczerze powiem, że sam nie wiem, czy naprawdę wierzę w to wszystko. Weszli do pubu i udali się do sali na piętrze. Eden zamówił dwa giny z tonikiem w barze i zasiedli przy stole za przepierzeniem, w rogu sali, daleko od pozostałych.

— Nigdy tu nie byłem — rzekł Eden. — Ale to całkiem przyjemny lokal.

Układ o przyjaźni między Niemcami a Francją został zawarty w grudniu. Berlin liczył, że

doprowadzi on do osłabienia więzów Paryża z Londynem. Wcześniej, wykorzystując pakt o nieagresji z roku 1934, Niemcom udało się wyłuskać Polskę z sojuszu państw zachodnich. Eden ze swej strony wątpił, czy owe święte dokumenty, uroczyście przedkładane ufnyim partnerom, rzeczywiście miały takie znaczenie, jakie im przypisywano. „Tak naprawdę to nic nie ma większego znaczenia —

mawiał lord Balfour — a jeszcze mniej spraw w ogóle się liczy”.

— Słucham — rzekł Bannerling, pilnie obserwując Edena. Eden zdecydował się zmienić temat.

— Wczoraj wieczorem, u Winslade'a, zaczęłaś coś opowiadać o początkach kariery Hitlera — rzekł —

ale wtedy właśnie zjawił się Randolph i rozmowa zeszła na inny temat. Mówiliśmy o Wersalu...

Bannerling przytaknął. Upił nieco ginu i odstawił szklaneczkę.

— Mam wrażenie, że niewiele nauczyliśmy się w ciągu dwóch tysięcy lat. Rzymianie tymczasem nigdy nie powtarzali tych samych błędów.

— Właśnie. Ja też czytywałem Makiawela — odparł Eden.

Rzymianie stosowali bardzo prostą politykę wobec pokonanych wrogów. Kierowali się dwiema

zasadami: marchewki lub kija. Bywało, że pokonanych monarchów utrzymywali przy władzy; pozostawiali w pałacach, obdarowywali niewolnikami, wojskiem i końmi i czynili ich jeszcze bardziej potężnymi, niż mogliby sobie wymarzyć. W ten sposób zyskiwali oddanych obrońców, bezwzględnie lojalnych wobec Rzymu. Ale bywało też, że pokonanych władców, ich rodziny i sojuszników wycinali w pień. Argumentowali, że nie wolno dawać żadnej szansy dochodzenia swych praw ludziom, którzy mogliby żywić uczucia żalu i zazdrości. W Wersalu jednakże alianci złamali obie te zasady: nie tylko pozwolili, aby dyszący pragnieniem zemsty wrogowie zachowali siłę, ale także osłabili własny potencjał obronny.

— Reparacje wojenne były od początku błędnym pomysłem — powiedział Bannerling. — W

dzisiejszych czasach nie można liczyć na to, że się uda sfinansować koszty wojny łupami i rabunkiem. Gospodarki współczesnych państw uprzemysłowionych są zbyt uzależnione od siebie nawzajem. Reparacje zaś sprawiły, że światowy system finansowy znalazł się w stanie chaosu.

Ameryka odzyskała ledwie piątą część tego, co dostarczyła Niemcom w formie pożyczek.

— Wielu ludzi rozumiało to doskonale — zgodził się Eden — ale nikt nie miał odwagi powiedzieć o tym wyborcom, którzy przeżyli cztery lata wojny i domagali się zadośćuczynienia.

Bannerling przytaknął.

— Największy zaś błąd polegał na tym, że nie naruszono tradycyjnej, niemieckiej struktury władzy.

Pozostała ona w rękach konserwatystów i monarchistów, którzy nigdy nie zaakceptowali reżimu, jaki Zachód próbował zaprowadzić w Niemczech. Od początku tkwiły w tym załączki rewolucji. W niej to Hitler dostrzegł drogę do władzy, a „Suzeren” — oręż, który będzie można rzucić przeciwko Rosji.

Eden poprawił się na krześle i w zamyśleniu patrzył w sufit.

— Wrażenie musiało być oszołamiające — zauważył. — Wyobraź sobie, że Hitler i Goering spotykają się z wysłannikami z przyszłości, którzy oświadczają, że przybywają z pomocą. Jaka w ogóle może być na to reakcja?

Bannerling był zaskoczony.

— No cóż, akurat ty, Tony, możesz na to odpowiedzieć — rzekł. Eden zaśmiał się i obaj dopili swoje szklanki.

— Jeszcze po jednym? — zapytał Bannerling.

Eden wyciągnął zegarek z kieszonki kamizelki i otworzył pokrywkę.

— Owszem, mamy jeszcze czas, więc czemu nie.

— Tym razem ja stawiam. — Bannerling udał się do baru i wrócił po chwili z dwoma nowymi drinkami.

— A więc „Suzeren” przejął kontrolę nad pierwszym etapem działań Hitlera — rzekł Eden, namawiając w ten sposób Banneringa do podjęcia tematu.

— Tak. Określili pewne warunki, jakie naziści musieli spełnić, chcąc przejąć władzę. W gruncie rzeczy sprowadzały się one do jednego: zachowywania przynajmniej pozorów przestrzegania prawa.

Prawdziwa rewolucja miała nastąpić dopiero po umocnieniu się władzy drogą konstytucyjną.

Podkreślano także, że nie należy antagonizować wojska, a przeciwnie, przejąć nad nim kontrolę.

Kolejna sprawa dotyczyła poparcia uznanych instytucji finansowych i gospodarczych. Agenci

„Suzerena” w praktyce rządili w siedzibie nazistów, w Brunatnym Domu, w Monachium. Planowali strukturę organizacyjną, werbowali nowych członków, kreślili wizję nazistowskiego państwa w państwie, ze wszystkimi jego atrybutami: ministerstwami i biurami, tak żeby wszystko było gotowe do zastąpienia istniejących struktur władzy, gdy sprawy dojrzeją.

— Właśnie... i dokładnie tak było — rzekł wolno Eden. Zastanawiał się nad wydarzeniami, które mu już zrelacjonowano. — A więc kiedy w 1930 roku Miiller zrezygnował i kanclerzem został Bruening, Hitler porozumiał się z Hugenbergiem, aby nie dopuścić do koalicji Bruening-Hugenberg, która zaistniała w świecie Kurta i która przyczyniła się do stabilizacji sytuacji w Europie. Bruening w efekcie nie zdobył koniecznej większości w Reichstagu, prawda?

— Rozpisano przedterminowe wybory — rzekł Bannerling — i naziści zyskali sporo głosów, dzięki poparciu wojska, przed którym roztaczali wizję powrotu do wielkości. Jednocześnie straszili koła przemysłowe perspektywą tego, co się stanie, jeśli władzę przejmą komuniści.

— Musieli jednak mieć swoich ludzi w armii — zauważył Eden.

— Mieli — potwierdził Bannerling. — „Suzeren” nie tracił czasu w Berlinie, szukał stosownych kontaktów w sztabie Hindenburga. Ich człowiekiem był Schleicher, prawa ręka ministra obrony Groenera.

— A więc Schleicher spiskował z nimi? — Eden wolno pokiwał głową, jakby ta wiadomość wiele wyjaśniała. Generał von Schleicher kontrolował prasę i wydawnictwa we wszystkim, co dotyczyło spraw wojskowych. To urodzony intrygant polityczny. W latach dwudziestych obszedł ograniczenia nałożone na Niemcy traktatem wersalskim, wysyłając oficerów lotnictwa i artylerii na tajne szkolenia w Rosji.

Bannerling wyjaśnił, że agenci „Suzerena” przekonali Schleichera do idei zerwania z Brueningiem i Groenerem i do wcielenia Oddziałów Szturmowych, Brunatnych Koszul, do regularnej armii,

argumentując tym, że podporządkuje sobie nazistów, a następnie sam przejmie władzę. Schleicher załatwił wszystko z Hindenburgiem, a po odejściu Brueninga i Groenera wprowadził Papena jako tymczasowego, marionetkowego kanclerza. Jednocześnie usuwano ostatnie ślady rządów

konstytucyjnych. Zaraz potem pozbyto się również Papena.

— To znaczy, że otwierano drogę przed Schleicherem, a ten miał ją otwierać przed Hitlerem —

konkludował Eden. — Wielkie nieba, co za intryga. — Wziął głęboki oddech i ze zdumienia

potrzęsął głową.

— Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót — dodał Bannerling. — Schleicher zapewniał Hindenburga, że będzie w stanie zebrać solidną większość i że liczy na tę część nazistów, która opowie się za Stras-serem po oderwaniu się od Hitlera. Sprawa Strassera zaś była pułapką zastawioną na Schleichera.

Naziści wcale się nie podzielili i powstała sytuacja, o jaką zabiegał „Suzeren”. Berlin tętnił od intryg, a zewsząd domagano się teraz głowy Schleichera. Podał się do dymisji pod koniec stycznia 1933 roku i kiedy Blomberg potwierdził poparcie wojska, Hindenburg powierzył Hitlerowi misję utworzenia rządu.

Blomberga też zrobiono na szaro. Był przekonany, że naziści wystąpią tylko w roli koniunkturalnego czynnika, że na fali powszechnych nacjonalistycznych sentymentów osiągnie się jedność działania.

Eden westchnął ciężko, przypominając sobie, co nastąpiło, gdy Hitler został kanclerzem, gdy odsłonięto wreszcie cały mechanizm, który szykowano za kulisami. Natychmiast podporządkowano sobie i wprzęgnięto do służby partii cały aparat państwowy: prasę, radio, policję, naziści

zdelegalizowali opozycję, tych zaś, którzy odmawiali pokornej kapitulacji, uciszali przemocą. W

poszczególnych landach ustanowiono gubernatorów Rzeszy. Po raz pierwszy w historii

scentralizowano w Niemczech całą władzę i w dwa tygodnie uczyniono to, czego ani Bismarck, ani cesarz, ani nawet Republika Weimarska nie mieli śmiałości wprowadzić. W Reichstagu

zagwarantowano sobie absolutną większość, posługując się bardzo prostym zabiegiem, jakim było uwięzienie potencjalnych oponentów. Tę większość wykorzystano później do uchwalenia ustawy, na mocy której pełnię władzy przekazano w ręce Hitlera. Tak oto, za zgodą parlamentu i całkowicie legalnie, ustanowiono w Niemczech dyktaturę. Jeszcze w tym samym miesiącu otwarto pierwszy

obóz koncentracyjny w Dachau.

Eden pokiwał głową dumając, jak poszczególne elementy mozaiki zaczęły nabierać wyrazu. Na

przykład krwawe czystki, jakie Hitler przeprowadził w 1934 roku. Pozornie chodziło o zdobycie poparcia dowódców wojskowych poprzez eliminację ekstremistów, którzy dążyli do stworzenia z

Brunatnych Koszul drugiej, konkurencyjnej armii. Rzeczywistym zaś celem była eliminacja

Schleichera, Strassera i wielu innych obecnie już nieprzydatnych polityków lub takich, co za dużo wiedzieli.

Tak oto uporządkowano wewnętrzną scenę polityczną i wszystko było gotowe do rozpoczęcia działań na zewnątrz — do zainicjowania nazistowskiej polityki zagranicznej. Na początek przeprowadzono całą serię prowokacji, aby przekonać się, jaka będzie reakcja aliantów. Ci — owszem — zakładali protesty i wyrażali oburzenie, ale de facto nie uczynili nic. Tylko Włochy pozostały wierne danemu słowu, kiedy Hitler podejmował pierwsze ryzykowne działania na arenie międzynarodowej.

— A co z Austrią w roku 1934? — zapytał Eden. — Jak rozumiem, chodziło o to, aby się przekonać, kogo się uda sprowadzić do roli marionetki, a kogo nie. Ja i Winston, i jemu podobni staraliśmy się przekonywać, kogo się dało, ale nikt nas nie słuchał.

— Wtedy właśnie „Suzeren” zdecydował, że trzeba namówić Mussoliniego na zmianę sojuszników — odparł Bannerling.

— A więc to również była intryga „Suzerena”?

— Naturalnie. Namówili Mussoliniego, żeby napadł na Abisynię, roztaczając przed nim wizję nowego cezara. W rzeczywistości zaś zwyczajnie go wykorzystali, żeby sprawdzić, jak Wielka Brytania i Liga Narodów zareagują na niczym nie spowodowaną agresję. Wyniki tego eksperymentu były wielce wymowne.

— Później zaś była sprawa Nadrenii, prawda? — wtrącił Eden. Bannerling potwierdził z namysłem.

— Hitler był pełen obaw. Wydał wojsku tajny rozkaz, aby na pierwszy sygnał oporu ze strony

Francji natychmiast wracali za rzekę. Zdecydował się na całą tę akcję tylko dlatego, że „Suzeren”

groził, iż się go pozbędzie i zacznie wszystko od początku, ale już z kimś innym, jeśli Hitler się nie zgodzi. Te opowieści o jego żelaznej woli i o tym jak zmusił generałów do posłuszeństwa to zwykła bzdura.

Później zaś zajęto Austrię, a następnie — po sprawie monachijskiej — okręg sudecki w

Czechosłowacji. Dalej zaś Ribbentrop rozpoczął — zgodnie ze znanym już schematem — ofensywę dyplomatyczną przeciwko Polsce o Gdańsk i przeciwko Litwie o Kłajpedę.

Eden poczuł się przytłoczony zadaniem, jakiego się podjął. Ów złowieszczy proces wdrożony przez szatański geniusz i oszalałą naukę z czasów, których on — Eden — nie potrafił sobie nawet

wyobrazić, rozwijał się już przecież od lat. Jak więc oni, a była ich tylko garstka, mogli wpłynąć na bieg wydarzeń, nie mówiąc już o odwróceniu groźby? Jeśli nawet się uda w lipcu uruchomić maszynę, to na co się przyda poparcie roku 1975, podczas gdy faszyci mają dostęp do technologii z roku 2025?

A poza wszystkim było tak mało czasu. Eden i jego koledzy wiedzieli przecież, że pożoga, która doprowadziła do upadku Francji i Wielkiej Brytanii oraz do zagłady cywilizowanej Europy, rozpalila się w tym właśnie roku — w roku 1939. A początek wyznaczała niemiecka napaść na Polskę w

ostatnim tygodniu sierpnia. Właśnie dlatego, że było tak mało czasu, grupa Winslade'a przybyła prosto do Anglii, nie czekając na zakończenie budowy maszyny w Nowym Jorku.

Bannering dostrzegł ponury nastrój w oczach Edena i zrozumiał, o czym ten myśli. Dopił gin, odstawił szklanekę i powiedział cicho:

— Odwagi, Tony. Czas już na nas — dodał.

Również Churchill wyglądał na przygnębionego, gdy w kwadrans później spotkali się z nim i Winslade'em w „Athenaeum”. Eden zapytał, jak przebiegła rozmowa z Chamberlainem.

— Nie mam pojęcia, czy ten człowiek jest rzeczywiście szczerzy, czy tylko manifestuje pozory lojalności wobec tych, którzy jeszcze wierzą, że Hitler ich wybroni — powiedział Churchill. — W każdym razie nic do niego nie dociera. Wciąż uważa, że jego dobre osobiste stosunki z dyktatorami gwarantują, że wojna jest właściwie czymś nie do pomyślenia. W dalszym ciągu też wierzy w swoją rzekomą umiejętność oceniania ludzkich charakterów i jest przekonany, że Hitler to w gruncie rzeczy godny zaufania człowiek.

— A co powiedział, gdy wskazałeś na dotychczasową działalność Hitlera? — zapytał Winslade.

Churchill westchnął i ciężko pokiwał głową.

— Napotkałem mur krótkowzroczności. No, po prostu nie widzi obiektywnych faktów. Na chwilę zapadła przytłaczająca cisza. Przerwał ją Bannering:

— I co dalej?

Churchill przełknął kęs jedzenia i sięgnął po kieliszek wina.

— No cóż, przedstawiłem mu kilka prognoz, mając nadzieję, panowie, że nie zawiodę się na waszych opowieściach. Otóż przedstawiłem mu wizję zajęcia pozostałej części Czechosłowacji i obnażenia monachijskiego pustostrowia, podkreślając, że Hitler może to zrobić w ciągu miesiąca. To przecież nastąpiło w historii świata „Proteusza”.

— Dobrze — rzekł Winslade potakując — i jak na to zareagował?

— Powiedział — odparł Churchill — że taka sprawa w ogóle nie wchodzi w rachubę, ponieważ Hitler dał mu na to słowo. Gdańsk i Kłajpeda to ostatnie niemieckie żądania terytorialne w Europie.

W ciągu miesiąca jednak stało się tak, jak Churchill przepowiedział Chamberlainowi.

Naziści nasilili presję na zajęcie tego, co pozostało z dawnej Czechosłowacji. Na początku marca namówili Słowację do ogłoszenia niepodległości. Wiekowy prezydent Czechosłowacji, doktor Hacha został wezwany do Berlina i zmuszony do wystosowania prośby o protekcję ze strony Rzeszy. Wojska niemieckie, skoncentrowane na granicy, natychmiast wkroczyły do Czechosłowacji, aby udzielić owej

„ochrony”. 15 marca, po triumfalnym wjeździe do Pragi, Hitler oświadczył, że zawsze uważał, iż układ monachijski był spiskiem wymierzonym przeciwko Niemcom i ogłosił utworzenie Protektoratu Czech i Moraw. Z dawnej Czechosłowacji pozostał tylko niewielki obszar — Ruś Zakarpacka na jej wschodniej granicy — który ogłoszono niezależnym państwem pod nazwą Republiki Karpacko--

Ukraińskiej. Twór ów przetrwał zaledwie dwadzieścia cztery godziny. Został zajęty i wcielony do Węgier, którym zresztą Hitler przyznał tę ziemię w nagrodę.

W wystąpieniu w Izbie Gmin Chamberlain wyraził ubolewanie, ale też utrzymywał, że gwarancje udzielone Czechosłowacji w Monachium nie miały zastosowania, ponieważ odnosiły się tylko do ewentualnej agresji z zewnątrz, gdy tymczasem państwo to przestało istnieć na skutek procesów dokonujących się wewnątrz Czechosłowacji. Świat miał z czego drwić.

Grupa Churchilla-Winslade'a uznała z rezygnacją, że nie można liczyć na zmiany w postawie

Chamberlaina. Oczekiwali teraz z niepokojem jego przemówienia, które miał wygłosić w

Birmingham 17 marca. Nastąpiło jednak coś niespodziewanego. Otóż w Birmingham Chamberlain

okazał się zupełnie innym człowiekiem, jakby w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, które minęły od wystąpienia w Izbie Gmin, rozpadły się jego złudzenia. Odrzucając przygotowany tekst na temat spraw wewnętrznych, który rzeczywiście wygłosił w świecie „Proteusza”, Chamberlain ostro potępił

ostatnie poczynania i oskarżył osobiście Hitlera za pogwałcenie danego słowa. W zakończeniu przemówienia zarzucił Hitlerowi, że dąży on do wyłącznej dominacji w świecie. Dwa dni wcześniej, w parlamencie, Chamberlain powiedział, że „pod żadnym pozorem nie odstępimy od wytyczonego

kierunku”. Przemówienie w Birmingham oznaczało zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

W tej sytuacji misja „Proteusza” mogła pochwalić się tym, że w sprawach międzynarodowych zainspirowała przynajmniej jedną zmianę. Jednakże wobec ogromu innych zagadnień, które w

dalszym ciągu toczyły się własnym kursem, i wobec tego, że wydarzenia nieodwołalnie zmierzały do sierpnia, owoc dotychczasowych wysiłków był więcej niż skromny.

Jeszcze w marcu wojska niemieckie wkroczyły do Kłajpedy.

Pod koniec tego miesiąca Wielka Brytania i Francja ogłosiły gwarancje dla Polski.

ROZDZIAŁ 9

Jedną z przyczyn, które sprawiały, że Cassidy'emu podobało się w roku 1939, było to, iż w swojej własnej przyszłości miał narzeczoną. Nazywała się Gwendolen. Była skończenie piękna: szczupła, postawna, pełna cnót i zalet, kulturalna, mądra, wrażliwa i czarująca. W sposób absolutnie

doskonały łączyła w sobie przymioty kochanki, kompana, powierniczki i towarzyszki na całe życie.

Cassidy natomiast nie znosił jej widoku, a wizja „towarzyszki na całe życie” przerażała go. Myśl o tym, że pewnego dnia sam będzie musiał dostosować się do tego szacownego obrazu, napawała go strachem. Jej rodzina zbiła fortunę na nawozach sztucznych i spora część tego majątku miała przypaść jej w udziale, co miało nastąpić z początkiem następnego roku, zgodnie z wcześniejszym zapisem. Tymczasem zaś świat ery przednazistowskiej stanowił znakomite miejsce ukrycia przed narzeczoną.

— Rozumiesz, Harry, wszystko sprowadza się do tego, aby patrzeć obiektywnie i nauczyć się

chłodnej analizy spraw — rzekł Cassidy. Ferracini montował właśnie szkielet, w którym miały się znaleźć kolejne elementy urządzenia. Cassidy sprawdził ustawienie detali, zagryzł wąsa,

weryfikując dane, i sięgnął po pudełko z wkrętami. — Do spraw trzeba podchodzić w sposób

naukowy. Tak więc gdy tylko wykonamy zadanie, gdy wrócimy do domu, gdy Roosevelt z Kennedym zmienią jakoś historię i Hitler przestanie istnieć, zdemobilizują nas, ponieważ wtedy już w ogóle nie będzie wojska. Ja zaś zacznę bić w weselne dzwony, i tak dalej, i prześlę wam parę zdjęć z jachtu na Bahamach — dokończył z uśmiechem zadowolenia.

Ferracini przyklepał złącze gumowym młotkiem.

— Ach tak? Ale jeśli myślisz, że nastąpią aż tak wielkie zmiany, gdy wrócimy, to dlaczego wydaje ci się, że wszystko pójdzie dokładnie ,tak, jak to sobie wyobrażasz? Może się przecież okazać, że jak wrócimy, to narzeczoną nie będzie chciała cię znać. Co na ten temat powiada obiektywna nauka?

— Nie ma sprawy — odparł Cassidy, wzruszając nonszalancko ramionami. — Wiem przecież o jej

istnieniu, prawda? Będę więc mógł ją odnaleźć i zwyczajnie poderwać, jak to już raz zrobiłem, i wszystko ułoży się jak należy. Co właściwie z tobą jest, Harry? Czasami mam wrażenie, że szukasz dziury w całym.

— Ale przynajmniej jestem konsekwentny — odciął się Ferracini. — Miesiąc temu przekonywałeś mnie, że nic nie zmieni się tak łatwo, że może lepiej zostać tu i teraz. I oto zmieniasz poglądy o sto osiemdziesiąt stopni. Widzisz, Cassidy, twój problem polega na tym, że jesteś po prostu

niekonsekwentny. I jak można rozmawiać z kimś, kto bez przerwy zmienia zdanie?

— Ale musisz przyznać, że jestem konsekwentnie niekonsekwentny — odparł Cassidy.

Ferracini westchnął i sięgnął po następną formę.

Paddy Ryan, najstarszy spośród trzech sierżantów uczestniczących w misji, spojrzął w dół z

wysokości drabiny, na której właśnie stał. Montował przewody na wielkiej ramie. Ryan był niski, barczysty, miał krągłą, rumianą, wiecznie skrzywioną twarz, proste jasnobrązowe włosy tradycyjnie zaczesane z przedziałką po lewej stronie.

— Przy jego farcie, wszystko się może zdarzyć. Nawet jeśli po powrocie okaże się, że nic się nie zmieniło, że wybuchła Wielka Wojna, to on, Cassidy, da sobie radę i znajdzie sposób, żeby

wykorzystać swoje zdolności. Pamiętacie, jak to było przedwczoraj: dwa fule i trójka z ręki, słyszeliście o podobnym szczęściarzu?

— Już wam mówiłem, że dc wszystkiego trzeba podchodzić w sposób naukowy — powiedział Cassidy.

— Co masz na myśli? — zapytał Ryan.

— To proste, oszukuje w kartach — wtrącił Ferracini.

Zza kasety z kondensatorami, za którą Floyd Lamson, trzeci z sierżantów, spawał coś, rozsiewając wokół konstelacje iskier, dobiegł odgłos kroków. W chwilę później wyłoniła się szczupła sylwetka Anny Kharkiovitch z siwą czupryną. Miała na sobie brązowy fartuch roboczy i dźwigała jakieś pudło. Postawiła je na warsztacie pod ścianą i zaczęła zeń wyjmować zawory i manometry

hydrauliczne.

— Hej — szepnął Cassidy — zaproszenie jest wciąż aktualne. Moglibyśmy wybrać się razem wieczorem na miasto. Co ty na to?

Anna uśmiechnęła się do siebie i odpowiedziała, nie podnosząc oczu:

— Ccc... co za tempo! I to ma być dorosły człowiek. Nauczcie się panować nad sobą, sierżancie Cassidy. Wtedy zastanowię się, czy można wam zaufać. Ale wiesz, trudno się zdecydować, kiedy się ma tylu wielbicieli.

— Pobiję ich — zaoferował Cassidy.

— Wielkie nieba, co za pokusa!

— A później zwyczajnie cię zostawi — powiedział Ryan. — Ma inną, bogatą, rozumiesz? Wszystkich zresztą oszukuje.

— Nie wierzę, aby ten dzielny sierżant Cassidy...!

Przez chwilę pracowali w milczeniu. Ciszę przerwał Ryan:

— Wygląda na to, że przynajmniej jeden oszust dostanie nauczkę. Claud i chłopcy z „Kinga”

zaczynają coś tam robić z Anglikami. Najpierw Chamberlain nabrał rozumu i parę tygodni temu nazwał w końcu Hitlera bezczelnym kłamcą, a później Anglicy skrzyknęli się z Francuzami i

powiedzieli temu wodzowi z bożej łaski, że nakopią mu w tyłek, jeśli tylko miałby zamiar zrobić coś Polsce. A teraz udzielają gwarancji na lewo i prawo każdemu, kto tylko chce. Nie jest źle.

W pierwszym tygodniu kwietnia, gdy Churchill protestował przeciwko rozproszeniu floty brytyjskiej na Morzu Śródziemnym, wojska Włoch wylądowały w Albani, w krótkim czasie zajmując ten

niewielki kraj. Wkrótce potem weszły w życie francusko-brytyjskie gwarancje dla Grecji i Rumunii.

— Widzisz, Harry, już się wszystko zmienia — rzekł Cassidy. — Pewnie nawet nie dojdzie do wojny w sierpniu. Za trzy miesiące będziemy tędy przesyłać bomby atomowe od Kennedy'ego, żeby dać popalić Hitlerowi i tym jego faszystom. A potem... do domu. — Przesunął czapkę na tył głowy, drapiąc się po zmierzwionych słomianych włosach. Jednocześnie sprawdzał wykonaną robotę. —

Przynajmniej ja bym tak zrobił, gdyby to ode mnie zależało — poinformował każdego, kto chciał słuchać tego wynurzenia.

Ferracini potrząsnął głową i zaczął montować uchwyty przycisków.

— Niech ci się nie wydaje, że wszystko, o czym czytasz w gazetach, to sprawa Clauda i naszych ludzi

— powiedział. — Większość wydarzeń dzieje się tak jak w naszej własnej historii.

— Harry ma rację — rzekła Anna. — Gwarancje dla Polski i tak dalej, dano również w naszym świecie. To nie jest nowa sprawa i nic takiego, o czym moglibyśmy powiedzieć, że to my załatwiliśmy.

Cassidy obruszył się, ale nic nie powiedział. Ryan zszedł z drabiny, żeby sprawdzić rysunki techniczne i poszukać pewnych elementów konstrukcji.

— To nie ma sensu — rzekł. — Jeśli bogaci, wiecie... z tego przyszłego świata... chcieli, żeby Hitler ruszył na Rosję, to po co im właściwie te gwarancje? Po co podejmują te zobowiązania, że w razie czego przystąpią do działań?

— Nacisk opinii publicznej po Monachium — odparła Anna. — W naszej historii gotowi byli

zaryzykować przynajmniej pozór wojny, aby tylko zyskać opinię tych, którzy naprawdę próbują powstrzymać Hitlera. Gdy to się nie uda, będą mogli przynajmniej twierdzić, że chcieli dobrze, ale nie wyszło i wszystko obróciło się przeciwko nim. — Mówiła to z goryczą, lecz jednocześnie z odrobiną gorzkiej satysfakcji, której nie potrafiła opanować. W końcu należała do kraju, przeciwko któremu wszystko to było wymierzone.

— Mówisz tak, jakby oni naprawdę wiedzieli, że to się nie uda — zauważył Ryan.

— Bo tak było — odparła Anna. — Uzgodniono to w tajemnicy między bardziej wpływowymi arystokratami z Zachodu. W jakim innym celu Ribbentrop, ten ulubieniec utytułowanego tłumu, miałby jeździć do Londynu i Paryża? — Na jej twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia. — Właśnie dlatego Hitler mógł z taką pewnością siebie przystąpić do oczyszczania terenu między Niemcami a Rosją. Wiedział, że reakcja tylko z pozoru będzie zdecydowana, ot tyle, ile trzeba, żeby zachować twarz.

Anna nigdy nie opowiadała o swoim życiu w Rosji pod niemiecką i japońską okupacją. Patrząc na nią Ferracini miał wrażenie, że ów wyraz zdecydowania i uporu na jej twarzy był po prostu maską, którą świadomie przybierała, a pod którą skrywała inne oblicze: pełne łagodności i ufności, jak wtedy, gdy była młoda. Przywodziła mu na myśl inną kobietę, którą kiedyś spotkał... była

nauczycielkę z Liverpoolu. Przywiózł ją do Norfolku na pokładzie łodzi podwodnej, podczas ostatniej wyprawy do Europy przed misją „Proteusza”. Nie pamiętał już, jak się ona nazywała.

— I tak się dzieje w dalszym ciągu — powiedział jakby nie swoim głosem. — Po drugiej stronie Atlantyku są jeszcze wśród nas ludzie, którym wcale nie zależy na tym, aby zastopowano Hitlera.

Naprawdę jesteśmy teraz w tym punkcie czasu, kiedy to wszystko się zaczęło. — Nikt przed nim nie wyraził tego tak mocno i otwarcie.

— Właśnie dlatego Claud i chłopcy z „Kinga” są tam teraz — rzekła Anna. — Miejmy nadzieję, że wkrótce będziemy świadkami większych zmian w historii, a nie tylko werbalnych deklaracji.

Za ich plecami Cassidy montował ostatnie elementy wzmacniające konstrukcję.

— A ja uważam, że powinniśmy po prostu zrzucić na nich parę atomówek — mruknął stukając młotkiem.

Zadzwonił telefon z biura na froncie magazynu, Ferracini podniósł słuchawkę. Dzwonił major

Warren. Mówił cicho, ale zdecydowanie:

— Przyjdź tu zaraz z Cassidym. Tylko ostrożnie, bez wzbudzania podejrzeń. Mamy tu paru

niepożądanych gości. Reszcie powiedz, że ogłaszam alarm pierwszego stopnia. Możemy mieć kłopoty.

Ferracini potwierdził rozkaz i połączenie zostało przerwane.

— Major Warren — poinformował pozostałych, odkładając słuchawkę. — Są kłopoty na froncie.

Alarm. Cassidy, idziemy. Tylko spokojnie.

Cassidy i Ryan odłożyli narzędzia. Ze skrzynki z przyborami monterskimi Ferracini wyjął kolta — kaliber .45, automat — i wsunął go za pasek pod kombinezonem. Przeszedł za kasetę z kondensatorami, gdzie pracował Floyd Lamson. Lamson przerwał spawanie i pytająco spojrzął na Ferraciniego.

— Alarm — poinformował Ferracini, idąc dalej w kierunku wejścia do magazynu. Wszyscy obecni przygotowali broń i zajmowali wyznaczone stanowiska. Ryan i Anna — przy ukrytych przejściach wbudowanych w maskującą halę montażową stosy skrzyń i opakowań, które przemysłnie

wzmocniono stalą. Lamson przeszedł do drugiego wyjścia, gdzie zczekał na Gordona Selby'ego, który z kapitanem Payne'em odpoczywał w pomieszczeniu na zapleczu. Ferracini z Cassidym wyszli na podwórze przed magazynem.

Mortimer Greene, jak zwykle w kamizelce bez marynarki, rozmawiał z czterema mężczyznami na rampie załadowniczej, obok której stały dwie zaparkowane ciężarówki. Kilka kroków za nim, w drzwiach do biura, skąd telefonował po Ferraciniego, stał major Harvey Warren. Preżna sylwetka zdradzała zawodowego oficera i wprawnego obserwatora, i nikogo nie mogły zmylić ani brązowe sztruksowe spodnie, ani wyświechtany sweter i skórzana czapka, którą miał na głowie. Za bramą, po drugiej stronie parkingu, widać było fragment czarnej limuzyny, zapewne buicka.

Rozmowę prowadził jeden z czwórki, prawdopodobnie szef. Miał nalaną, miękką twarz, grube mięsiste wargi, szerokie nozdrza i ciemne złośliwe, jakby rybie źrenice. Ubrany był z krzykliwą elegancją. Miał na sobie jasnoszary kapelusz z błyszczącą wstążką, skórzany płaszcz i jedwabny szalik. Na nogach — pantofle z krokodyłowej skóry. Trzej pozostali — wysocy, barczyści, odziani, jak w mundury, w dwurzędowe garnitury i pilśniowe kapelusze — trzymali się parę kroków z tym.

Jeden z nich — z ustami pełnymi przeżuwanej gumy — obrzucił badawczym spojrzeniem

Ferraciniego i Cassidy'ego, jak tylko pojawili się w przejściu wiodącym z magazynu, a następnie znów wlepił wzrok w rozmówców nie przestając, nawet na chwilę, ruszać szczęką. Greene zaciskał

wargi i widać było, że jest wściekły. Warren pilnie obserwował gości, jak żołnierzy na zbiórce, i oceniał potencjalne niebezpieczeństwo.

— To niebezpieczna okolica, zresztą tak jest wszędzie, w całym porcie — mówił właściciel mięsistych warg. Gestykulował przy tym ręką, w której trzymał zapalone cygaro. Drugą ukrył w

kieszeni

plaszcza. Mówił niskim, leniwym głosem. Wzrokiem toczył dookoła, obserwując wszystko, co było w zasięgu oczu.

— Bez przerwy zdarzają się tu różne wypadki, na przykład wybuchają pożary i to dość niebezpieczne. Wiecie, jak to jest w magazynach portowych, gdzie walają się takie różne niebezpieczne rzeczy: beczki z ropą, farby, benzyna, rozumiecie mnie? — Pokiwał głową ze smutkiem i strzepnął popiół z cygara na ziemię. — Rozumiesz, tatusiu? To może zdarzyć się w każdym miejscu i nie wiadomo kiedy. Taki magazyn, jak ten, może po prostu zniknąć, spalić się.

Byłaby wielka szkoda, prawda? Tyle tu wszelkiego dobra... takie ładne ciężarówki... byłaby wielka strata, kupa forsy by się zmarnowała.

Greene zbladł aż po łysinę. Jego białe wąsy zdawały się ruszać pod nosem, jakby zaczęły żyć własnym życiem.

— Ile? — zapytał krótko.

Ferracini zerknął na Cassidy'ego. Było oczywiste, że Cassidy ciągle uważa, że wszystkich takich, jak ci goście, należałoby przyprowadzić do porządku z pomocą atomówki. Ale oczywiście Cassidy, żołnierz, znał swoje miejsce w szeregu.

— No cóż, za taki obiekt jak ten... — Właściciel mięsistych warg rozejrzał się dookoła i rzucił jakby od niechcienia: — Powiedzmy dwieście miesięcznie z tytułu ubezpieczenia przed pożarem, włączając w to specjalną premię za ochronę przed podpaleniem. Przyda ci się to, tatusiu. Jak mówiłem, szwendają się tu całe tabuny takich różnych zwariowanych typów.

Greene odetchnął głęboko, przytrzymał powietrze w płucach na sekundę i wykrzyknął:

— W porządku! A teraz wynoście się! Nie będziemy tracić czasu. Mordziasty odwrócił się na chwilę w stronę trzech pomagierów. Wskazując ruchem głowy na Greene'a, powiedział z uznaniem:

— To właśnie lubię... lubię mieć do czynienia z inteligentnymi ludźmi. Jak ktoś jest inteligentny i wie, jak postępować w interesach, to może nawet liczyć na rabat.

— Wynoście się! — powtórzył Greene. Jego twarz zaczęła odzyskiwać naturalne kolory.

Mordziasty patrzył teraz twardym wzrokiem, a w jego głosie nie było już udawanej ironii.

— Pierwszego każdego miesiąca — warknął. — Któryś z chłopców będzie się tu zjawiał po składkę. I żadnych żartów, tatusiu. Różne rzeczy tu się przytrafiają. Nie tylko towarom, ale i ludziom. — Dał

znak swoim pomagierom i ruszył rampą w kierunku schodów, w stronę, gdzie stały zaparkowane ciężarówki. Wyszli przez furtkę, zamykając ją za sobą. W sekundę później rozległ się dźwięk zatraskiwanych drzwi do samochodu i szum zapuszczanego silnika.

Ciągle jeszcze ciężko dysząc, Greene odwrócił się, patrząc na pozostałych, wyminął ich i przeszedł do biura, z hukiem zamykając za sobą drzwi. Zza bramy dobiegł odgłos zmienianych biegów w samochodzie i po chwili usłyszeli, jak auto odjeżdża. Ferracini powoli uspokajał się. Cassidy jednak nie wytrzymał.

— I mamy tak stać jak palanty i pozwalać, żeby paru cwaniaków ustawiało nam szefa? — wyrzucił z siebie, wymownie machając rękoma w stronę Warrena. — Trzeba ich wykurzyć. Przecież nie jesteśmy tu ze szkolną wycieczką.

— Profesor ma rację — odparł Warren. — Chodzi tylko o parę miesięcy, a kilkaset dolarów nie ma znaczenia. Jakiegokolwiek kłopoty przyciągnęłyby tylko uwagę, a na to nie możemy sobie pozwolić.

Cassidy też o tym wiedział. Odreagowywał tylko całe wydarzenie. Kiwnął głową z rezygnacją, odwrócił się, uderzając ściśniętą pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki.

— Powiedz pozostałym, że już po wszystkim — polecił Warren Ferraciniemu, wchodząc do biura.

— Spoko, Kowboju — rzekł Ferracini. — Przestań się zachowywać jak osioł i wracaj do roboty. —

Poszli w kierunku ukrytego przejścia między zwałami skrzyń i opakowań. — Mort powiedział, że jeśli skończymy montaż zasilacza, możemy wziąć wolne wieczorem. Może zabierzemy paru chłopaków do Maxa.

— Gołymi rękami załatwialiśmy znacznie gorszych przeciwników od tych cwaniaczków — mruknął Cassidy.

— Oszczędź to sobie na prawdziwą wojnę, jeśli taka się zdarzy — poradził Ferracini.

Wieczorem Greene zgodził się na trzy tylko przepustki dla chłopców z ochrony wojskowej. Ferracini z Cassidym zabrali ze sobą do „Tęczy” Floyda Lamsona. Z cywilów dołączył do nich Gordon Selby.

Dla Ferraciniego były to wręcz rodzinne okolice. Urodził się kilka kilometrów stąd na północ, na Queensie, a dorastał po drugiej stronie Hudsonu, w Hoboken w New Jersey. Kiedy przejeżdżali taksówką przez most brooklyński na Manhattan, zdał sobie sprawę, że panorama miasta, jaką

pamiętał, niewiele różniła się od tej, która obecnie roztaczała się przed jego oczami. Większość tego, co stanowi o wyglądzie Nowego Jorku, pochodziła z okresu dynamicznego budownictwa miejskiego

w latach trzydziestych. Później, gdy niebezpieczeństwo zza oceanu zaczynało grozić światową katastrofą, nikt nie miał ani czasu, ani chęci na wprowadzanie zmian.

Jego przodkowie przybywali do Ameryki z Włoch razem z kolejnymi falami imigrantów w pierwszych latach dwudziestego stulecia. Ojciec zabrał się razem z młodziutką narzeczoną, w latach trzydziestych. Ferracini urodził się dziesięć lat później. Stary Ferracini wolał emigrować, niż dać się wcielić do wojska, które słano nie wiadomo gdzie, by siać śmierć wśród tubylców ku chwale takich skretyniałych idiotów jak Mussolini. Ożenił się ze swoją włoską narzeczoną i nim jeszcze Ferracini urodził się w 1947 roku, spłodzili dwójkę synów i córkę. Wtedy zaś, w drugiej połowie lat czterdziestych, ojciec, który zawsze ciężko pracował, wszedł do spółki w sklepie żelaznym na Queensie i zyskał amerykańskie obywatelstwo, z czego był bardzo dumny, żywił bowiem patriotyczne uczucia wobec swojej drugiej ojczyzny. Nowe obywatelstwo uczcił w ten sposób, że synowi nadał solidne amerykańskie imię. Nie życzył sobie tradycyjnego „Antonia” lub „Romana”, jakich mnóstwo przewijało się w dalszych kręgach rodziny.

Harry jednak nie znał swoich rodziców. Matka umarła w okresie porodu, a ojciec zginął niespełna rok później w wypadku, porażony prądem. Dziećmi zajęli się różni krewni. Harry wychował się u ciotki i wuja w Hoboken.

Wuj Frank pracował jako monter — specjalista od wysokich konstrukcji. Wieczorami uprawiał boks w lokalnym klubie, wygrywając od czasu do czasu nagrody w meczach bokserskich w okolicy. Uczył

Harry'ego, że trzeba być przygotowanym do obrony siebie i wszystkiego, co ważne, bo „zawsze znajdą się tacy, co zechcą sięgnąć po nie swoje, jeśli tylko im się pozwoli”. I tak samo dzieje się z państwami

— powiadał Frank. Gdyby tylko Ameryka, Anglia, a może nawet Rosja miały tyle odwagi, żeby się skrzyknąć i wspólnie wojować z Hitlerem, kiedy jeszcze był na to czas, to sprawy mogły się potoczyć zupełnie inaczej. Podobnie myślał też ojciec Ferracini. „Byłby z ciebie dumny, Harry”

— powiedział Frank, gdy po skończeniu szkoły Harry oznajmił, że wstępuje ochotniczo do wojska.

Harry pamiętał, że będąc chłopcem i mieszkając z Frankiem, oglądał fotografie swoich rodziców, jakby chciał ich poznać. Próbował sobie wyobrazić ich życie w wolnej Europie i co się działo później, gdy nadejście dyktatury zmusiło ich do emigracji. Zasmucał go fakt, że po tylu wysiłkach i

poświęceniach, żeby znaleźć się w miejscu, gdzie można żyć swobodnie i bez przeszkód, gdzie można wychowywać dzieci wedle własnej woli, tak krótko tylko mogli się cieszyć tym, na co tak ciężko zapracowali. Winił za to faszystów i nazistów, i wszystko, co się z nimi wiązało. Zapewne dlatego też zdecydował się wstąpić do wojska.

Martwił go incydent, którego był świadkiem tego dnia. Martwił go, bo choć wszyscy byli wściekli, to

Mortimer Greene nie mógł przecież nic innego zrobić. Czy to ma znaczyć, że również demokracje są bezsilne wobec szantażu Hitlera? Jeśli tak, to ich misja skazana jest na fiasko.

Ferracini nie znał jednak takiego wypadku, żeby wizję i plany Winslade'a nie sprawdzały się. Teraz zaś chciał wierzyć, może jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, że wszystko to wspiera się na mocnych fundamentach. Ale ciągle nie mógł być niczego pewny.

ROZDZIAŁ 10

U Maxa było tłoczno. Janet miała śpiewać wieczorem. Jeff postanowił oderwać się od książek i kolegów z uniwersytetu i też się wybrał do miasta. Założył nawet marynarkę i krawat. Mimo

„uczonej” aparycji — grubych okularów i zmierzwionej czupryny — wyglądał całkiem na miejscu w śródmiejskim barze. W istocie, jak szczerze przyznał, nieźle się bawił. Jego przyjaciel z tego samego wydziału na uniwersytecie, niejaki Isaac Asimov, który nosił się z zamiarem zrobienia kariery wziętego pisarza powieści naukowo-fantastycznych, nie przyjął zaproszenia na wspólny wieczór, tłumacząc się tym, że musi rozpracować nowy pomysł na książkę. Jeff obawiał się więc, że raczej wynudzi się setnie w otoczeniu, jak mawiał, bezmyślności, gdzie nie będzie nikogo, do kogo warto otworzyć usta. Tymczasem zaś zapoznał się z Gordonem Selbym.

— Walter Zinn przeprowadza rozmaite doświadczenia. Pracuje z nim pewien facet nazwiskiem

Szilard, Leo Szilard, jeśli sobie dobrze przypominam — opowiadał Selby'emu. Z Ferracinim i Pearl siedzieli przy narożnym stoliku niedaleko baru. Cassidy i Floyd Lamson nauczyli się swinga i szaleli z jakimiś dziewczynami wśród tłumu na parkiecie. — Szilard to jeszcze jeden z tych Węgrów,

którym udało się wyrwać i przedostać do Anglii, a w zeszłym roku przeniósł się tutaj. Otóż prowadzą oni doświadczenia ze związkami berylu i radu jako źródłem neutronów, którymi bombardują tlenek uranu.

— I odkryli neutrony pochodzące z rozpadu jąder atomowych? — zapytał Selby. Jeff przytaknął.

— Właśnie tak. Słyszałem coś, że Szilard telefonował do Tellera i Merle'a Tuve'a w Waszyngtonie, informując ich, że taki właśnie otrzymali wynik. Stosują parafinę, żeby zwolnić te — jak je nazywają

— fotoneutrony i przemienić je w tak zwane neutrony termalne.

Selby zasznurował usta. Był szczupły, śniady, dobiegał czterdziestki, miał gęste czarne włosy, które zazwyczaj okalały falami całą jego głowę, ale teraz przystrzygł je na modę lat trzydziestych. Miał gęstą, ale też krótko przyciętą brodę. Nie był wylewny, trzymał się na uboczu i wiele czasu poświęcał

na wędrówki po nowojorskich księgarniach i galeriach. Ferracini przypuszczał, że Selby zamierza sporo zainwestować w obrazy pewnych, na razie jeszcze nieznanymi artystów, którzy w przyszłości będą się nieźle sprzedawać. Przepisy zabraniały takiego przemytu z przeszłości, ale Ferracini nie widział powodów, dlaczego miałby się w to mieszać.

— Zaskakuje mnie, że tak wiele wiesz na ten temat — powiedział Selby do Jeffa — nie

przypuszczałem, że studenci też w tym biorą udział.

Jeff uśmiechnął się.

— Oczywiście nie ma tego w programie studiów, ale ja się tym interesuję. Wiesz, na takim dużym uniwersytecie jak nasz zawsze się znajdzie ktoś, od kogo można się sporo dowiedzieć. Uczni niekoniecznie przestrzegają obowiązujących zasad tajemnicy badań atomowych.

— A rozmawiasz o tym z innymi? — zapytał Selby z obawą.

— Raczej nie. Rozumiem, dlaczego uważa się obecnie, że to bardzo delikatna sprawa, choć z drugiej strony artykuł Jolioty w ostatnim numerze „Nature” też sporo ujawnia. Słyszałem, że Zinn i Szilard pracują z Fermim i jeszcze innymi facetami nad własną publikacją w tej materii.

Selby zastanawiał się, czy na decyzję „Suzerena” o wyposażeniu Hitlera w broń atomową, gdy będzie przygotowywał się do kampanii przeciwko Rosji w 1942, nie wpłynęło przypadkiem przekonanie, że Stany Zjednoczone rozpoczęły własny, intensywny program badawczy w tej dziedzinie. Wiedział to, czego Jeff nie mógł wiedzieć, że właśnie wtedy trwały bardzo poważne debaty w otoczeniu George'a Pegrama — fizyka i dziekana studiów magisterskich na Columbi — w kwestii utajnienia

doświadczeń z uranem, prowadzonych na tejże uczelni. Wiedział też, że Szilard przekonał Pegrama, Fermiego i Tellera, że ewentualne konsekwencje tych doświadczeń są w takim stopniu poważne, iż należy poinformować o tym czynniki rządowe. W rezultacie Pegram wystosował w marcu list do

dowódcy marynarki wojennej, informując go o możliwości wyprodukowania nowego materiału

wybuchowego o nie spotykanej dotąd sile. Ale w czasie wizyt w Waszyngtonie, które przedsięwzięto później, żeby przedstawić dalsze szczegóły sprawy, Fermiego i Tuve'a potraktowano jak parę

szaleńców. I tak oto wyglądał oficjalny, amerykański program intensywnych badań atomowych.

— Ostatnio zaś słyszałem, że Fermi chce zbudować stos, czyli reaktor, wystarczająco potężny, żeby w nim wywołać reakcję łańcuchową — rzekł Jeff. — Nie wiem tylko, czy substancją zwalniającą będzie ciężka woda czy grafit.— Popatrzył na Selby'ego, oczekując jego reakcji. — Wydaje mi się

— dodał — że wiesz o tych sprawach więcej niż inni. Gdzie się tego uczyłeś.

— Pracowałem na Zachodzie, w Berkeley — skłamał Selby. Wymienił miejsce dość odległe, żeby uszło — przy cyklotronach.

— Z Lawrence'em? — zainteresował się Jeff. — Pewien mój kolega właśnie się tam przeniósł. Pisuje do mnie o tym, co tam się dzieje. A są to cudowne sprawy.

— Co do mnie, to byłem tam parę lat temu — wyjaśnił Selby pośpiesznie. — Później odziedziczyłem spadek i teraz mieszkam sam, robię co chcę, trochę czytam, rozmyślam i zastanawiam się, co zrobić z resztą życia. I nie mam pojęcia, co i gdzie dzieje się ważnego.

Pearl przerwała rozmowę z Ferracinim, zapaliła papierosa i przyglądała im się z drugiej strony stołu.

— Hej, wy dwaj. Nie zapominajcie o nas — powiedziała podniesionym nieco tonem, głosem, który brzmiał chrypliwie, ale wcale atrakcyjnie. — A może byście porozmawiali po angielsku. A ty, Harry, rozumiesz, o czym oni mówią?

— Nie mam pojęcia. Niech sobie gadają.

— Ona ma rację, Jeff — przerwał Selby z ulgą. — Powinniśmy już przestać.

— Chodź, Jeff, czas poznać parę dziewcząt — poradziła Pearl. — Jest tu dzisiaj kilka rzeczywiście bardzo przystojnych. Idź poproś którąś do tańca.

Jeff zmarszczył nos i przecząco pokiwał głową.

— Chyba nie, spasuję na razie.

— Czemu, na miłość boską?

— Bo, bo... te tańce to jakby substytut seksu, a ja nie potrzebuję substytutów, poczekam, aż się nadarzy okazja na coś prawdziwego.

— Jeff, co to ma znaczyć? To teraz tak się rozmawia z dziewczętami?

— Czy ja wiem... A myślisz, że są szansę? Pearl kiwnęła głową i roześmiała się rozbawiona.

— Być może, ale zbytnio na to nie licz. — Popatrzyła na Ferraciniego. — Wiesz co, Harry, ten chłopak da sobie radę. Słyszysz, Jeff? Dasz sobie radę.

— Dobrze o tym wiedzieć.

— Myślałam, że twoja siostra będzie teraz występować — powiedziała Pearl. — Co się z nią dzieje?

— zapytała rozglądając się p& sali.

Orkiestra zwolniła nieco rytm i zaczęła grać nastrojową wersję *When the Blue of the Night*. Tłum zaczął schodzić z parkietu. Pokazali się Cassidy z Lamsonem. Szli do stolika, prowadząc swoje partnerki. Cassidy eskortował drobną, jasnooką, energiczną dziewczynę, obejmując ją ręką w taliu.

Przedstawił ją całemu towarzystwu jako Molly. Jej koleżanka nazywała się Nell. Molly — jak się okazało — znała Pearl.

— Nie wiedziałam, że go znasz — mówiła podniecona. — Prawdziwy, żywy lotnik, Pearl! A może masz jeszcze kogoś w zanadrzu?

— Coś takiego, musiałam o nim zapomnieć. — Pearl spojrzała na Ferraciniego i wzruszyła z rezygnacją ramionami.

Floyd Lamson był prawie tego samego wzrostu co Cassidy, o podobnej szczupłej sylwetce. Nie nosił jednak wąsów, był bardziej śniady, miał wysokie kości policzkowe, cienkie usta, wąskie oczy i wydłużony owal głowy, co mogło wskazywać na odrobinę domieszki indiańskiej krwi w jego żyłach.

Lamson był specjalistą w walce na noże, pistolety i w innych, raczej mało dżentelmeńskich dziedzinach, takich jak: kradzieże, włamania, otwieranie zamków wytrychem i co tam jeszcze składa się na najmniej szlachetną formę stawiania czoła nieprzyjaciółom.

— A gdzie jest ta śpiewająca dama, którą mieliśmy tu poznać? — zapytał, patrząc na parkiet. — Wydawało mi się, że powinna teraz wystąpić.

— Nie podniecaj się, Floyd — rzekł Cassidy, siadając na krześle i wyraźnie nie przejmując się piskiem Molly, która zaczęła głośno protestować, gdy sadzał ją sobie na kolanach. — Harry ma pewne plany. Zaprzeczy, oczywiście, gdy go o to zapytasz, ale ja wiem. My, piloci, mamy nosa, rozumiesz. To wyrabia się w czasie nocnych lotów.

— Też się o nią pytałam — wtrąciła Pearl — nie widziałam jej od jakiegoś czasu.

Kiedy przy stole zaczęto rozmawiać w końcu o czymś innym, Ferracini wziął swoją szklankę, oparł się wygodnie na krześle i rozglądał się po sali, obserwując gości. George — pianista — który akompaniował Janet, siedział na stołku przy barze pochylony nad kieliszkiem. Wydawało się, że jest napięty i czymś zdenerwowany, widać było, jak drżą mu ręce, gdy podnosił kieliszek. Lou — barman

— podszedł do niego i coś mu powiedział, po czym cofnął się i patrzył na niego w niemym skupieniu, najwidoczniej zrozumiał, że George życzy sobie, aby zostawiono go w spokoju. Działo się coś złego.

Przez moment Ferracini zajmował się swoim drinkiem. Po chwili odstawił szklankę, mruknął jakieś słowo usprawiedliwienia i podszedł do baru, do George'a.

— Co się dzieje? — zapytał cicho, nie patrząc na rozmówcę. George przełknął drinka, nie podnosząc głowy.

— Nic takiego, co mogłoby ciebie dotyczyć, Harry. Ot... miejscowe problemy. Nie przejmuj się. — George był wyraźnie przestraszony.

— Co za problemy? — zapytał Ferracini i nagle sam poczuł niepokój. — A właściwie dlaczego jeszcze nie grasz? Gdzie jest Janet? George machnął ręką w kierunku wejścia do klubu.

— Coś tam się dzieje, sam nie jestem pewien... u Maxa w biurze...

Ferracini odwrócił się i spojrzał w stronę, w którą wskazał George. Jedna para z podwójnych drzwi była otwarta. W małym hallu jacyś goście odbierali z szatni płaszcze, inni właśnie wchodzili do lokalu.

— Co za prób... — zaczął Ferracini i przerwał, widząc trzech mężczyzn, którzy właśnie wychodzili z biura Maxa. Dwóch z nich dostrzegł tylko w przelocie, nim zniknęli na schodach prowadzących na ulicę, ale wystarczyło, by rozpoznał w nich Mordziastego i Przeżuwacza. — W porządku, George, wydaje mi się, że wiem, o co chodzi — mruknął pod nosem i odszedł od baru.

— Nic nie poradzisz! — krzyknął George, gdy Ferracini zaczął iść w kierunku wejścia.

— Zobaczymy — odburknął Ferracini.

Biuro Maxa, do którego dotarł po chwili, przedstawiało żalosny widok. Dekoracyjny zegar ścienny, wazon na kwiaty, maszyna do pisania, wszystko to leżało porozbijane na podłodze. Meble były połamane. Szuflady powyciągane z biurek i powywracane. Wszędzie wałały się papiery i dokumenty.

Max siedział oparty o biurko i przykładał czerwoną już od krwi chusteczkę do nosa i ust. Jedno oko miał opuchnięte, ubranie potargane. Nim jeszcze Ferracini zdołał cokolwiek powiedzieć, do biura —

zza drzwi łazienki, skąd słuchać było szum leżącej wody — zajrzała Martha, korpulentna księgowa w średnim wieku. Była blada i roztrzęsiona.

Wtedy usłyszał głos Janet.

— Dzięki, Martho, już dobrze. Kto tam jest?

Ferracini przeszedł bez słowa przez pomieszczenie, odsunął Marthę i zobaczył Janet stojącą nad umywalką. Włosy miała w nieładzie i przykładała wilgotną szmatkę do rany na policzku. Zobaczyła Ferracinię w lustrze i próbowała się uśmiechnąć.

— Cześć. Oglądasz mnie w najmniej korzystnym momencie. Błdy z wściekłości i niezdolny do wypowiedzenia nawet jednego słowa, Ferracini pogładził ją po ramieniu.

— Przyszli tu tacy faceci — zaczęła Martha.

— Widziałem ich.

— Urządzili tu kipisz i zaczęli bić Janet, żeby zmusić Maxa do uległości — mówiła Martha. — Max próbował dobrać się do tego goryla w pseudoeleganckim stroju, gdy...

Ferracini uściskał delikatnie ramię Janet i wrócił do biura.

— Nic ci nie jest? — zapytał Maxa. Max potaknął z wyrazem bólu na twarzy.

— Przejdzie. Martha, przynieś mi drinka, dobrze. Tylko bez wody. Otworzyły się drzwi i wszedł George. Stał jak wryty i rozejrzał się wokół przerażony.

— O mój Boże. Nie miałem pojęcia... Myślałem, że tylko pogadają, nie siedziałbym tam jak palant, gdybym tylko przypuszczał. Szczerze, Harry... myślałem...

— W porządku — odpowiedział Ferracini przez zęby. Do biura wszedł teraz Cassidy, zamykając za sobą bezgłośnie drzwi. W jednej chwili ocenił, co się tu naprawdę stało.

— Widziałem, jak tu idziesz. Pomyślałem, że może przyda ci się pomoc — powiedział do Ferraciniego.

— Znasz tych cwaniaków? — zapytał Ferracini Maxa. — Wiesz, gdzie się kręcą i w ogóle?

— Johnny ich zna, ale jeszcze nie przyszedł — odparł Max. — Właśnie dlatego zjawili się wcześniej.

To ci sami, co tu już nam robili pewne kłopoty.

Cassidy spojrzał na Ferraciniego i przestraszył się. Widywał już ten wyraz twarzy.

— Sekundę, Harry — ostrzegł, łapiąc go za rękę — uważaj, żeby cię nie poniosło...

W godzinę później znów znaleźli się w biurze Maxa, już nieco uładowym. Zjawił się Johnny Szóstka, pogadał chwilę i poszedł do baru, żeby przyprowadzić paru kumpli, którzy — jak orzekł — lepiej będą mogli odpowiedzieć na pytania Ferraciniego. Max poszedł do łazienki i przez chwilę Ferracini siedział sam na sam z Cassidym.

— To szaleństwo — szepnął Cassidy — przecież sam zawsze mówiłeś, że mamy tu ważne zadanie do wykonania i że nie wolno nam ryzykować. Wiem, że cię to korci, ale nie wolno nam nic zrobić z tymi cwaniakami. Człowieku, ty chyba przestałeś myśleć.

— Idziesz ze mną, czy nie? — zapytał Ferracini z kamienną twarzą. Był zdecydowany i Cassidy westchnął z rezygnacją. Harry pytał poważnie.

Zanim padło następne słowo, z łazienki wyszedł Max, obandażowany, cały w plastrach. W chwilę później do biura wszedł Johnny Szóstka i jeszcze ktoś. Pojawił się zaintrygowany Floyd Lamson.

Johnny usiadł obok Ferraciniego, na skraju biurka Maxa, i patrzył na niego z powątpiewaniem.

— Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, za co się bierzesz, Harry — powiedział. — Jaskiniowiec

Bruno siedzi cały czas w swojej melinie w dzielnicy Pelham. Chata jest spora i zawsze jest tam kilku goryli. To praktycznie twierdza. Nie dasz rady nawet wejść do środka.

— Naprawdę? — Ferracini nie był przekonany. — Opowiedz mi więcej, Johnny — zachęcił.

Tymczasem w magazynie, gdzie szykowano projektor powrotny, jak zwykle nocą paliły się światła.

Major Warren, kapitan Payne i sierżant Paddy Ryan montowali kable w maszynie. W biurze Anna Kharkiovitch pokazywała Mortimerowi Greene'owi wnioski z opracowania, które przygotowywała od kilku tygodni. Chodziło o studium porównawcze codziennych doniesień prasowych z zapisem wydarzeń pochodzącym z ich czasów. Odkryła wyraźne rozbieżności.

— Nie ma żadnych różnic w okresie przed naszym przybyciem, a więc przed styczniem — mówiła —

ale później zaczynają się pojawiać. Owszem, są to drobne rozbieżności, ale jednak są i nie wiem, jak je wytłumaczyć. — Przerwała na chwilę, czekając na reakcję Greene'a. Ten słuchał, patrząc uważnie na papiery, jakie rozłożyła na biurku. Anna znów wskazała na kartkę, którą trzymała w ręku. — Tu, na przykład. Informacja o walce Joego Louisa z Johnem Henrym na początku lutego. Według

naszych mikrofilmów Henry został znokautowany w drugiej rundzie. Tymczasem w Madison Square Garden walkę, owszem, przerwano w drugiej rundzie, ale Henry został wyliczony tylko do pięciu. A tu, na przykład: Papież Pius XI zmarł w lutym, ale w naszych zapisach nastąpiło to dzień wcześniej, niż podają doniesienia prasowe. A oto wycinki z prasy z tych samych dni. Nie są identyczne. — Anna rzuciła kartki na stos innych papierów. — Mogłabym jeszcze dalej tak wyliczać. Jest w tym

wszystkim coś zwariowanego, tak jakbyśmy byli w jeszcze innym świecie — rozumiesz mnie?... I powiedz, jak to się dzieje? Greene przez dłuższą chwilę patrzył w milczeniu na biurko.

— Zgadza się, że to dziwne... — powiedział w końcu, po czym wyprostował się i dodał normalnym, już zdecydowanym głosem: — Mimo wszystko nie wolno nam dopuszczać do żadnych opóźnień w

robocie. Muszę mieć trochę czasu, żeby przejrzeć te twoje materiały. Tymczasem wracaj do pozostałych i weź się za to, co masz do zrobienia. Przyjdę do was później.

Greene po wyjściu Anny jeszcze przez chwilę przeglądał jej notatki. Później wziął telefon i zamówił rozmowę z hotelem Hyde Park w Londynie, gdzie właśnie rozpoczynał się poranek. Telefonistka uprzedziła go, że na połączenie trzeba będzie czekać co najmniej godzinę. Greene zgodził się i tymczasem poszedł pomóc w robocie pozostałym.

Półtorej godziny później, już w biurze, rozmawiał z zaspanym Winslade'em.

— Staram się, jak mogę, żeby nikt tutaj się nie niepokoił — mówił — ale tak naprawdę, to myślę, że będziemy mieć kłopoty, Claud, i to poważne kłopoty.

W czasie kryzysu monachijskiego Churchill powiedział, że Europie nie zapewni się bezpieczeństwa zbiorowego bez otwarcia na Wschód, Wschód zaś nie może istnieć bez Rosji. Rosyjskie próby

zawarcia porozumienia przeciwko nazistom zostały jednakże przez Zachód odrzucone. Co więcej, mimo że wciąż był w mocy traktat zobowiązujący Rosjan do udzielenia pomocy Czechosłowacji, jeśli takiej pomocy pierwsza udzieli Francja, to Rosjan nie zaproszono na rozmowy monachijskie, podczas których pieczętowano los Czechów.

Któż jednak zapraszałby przyszłą ofiarę na wspólną naradę z oprawcą i tymi, którzy właśnie od całej sprawy umywali ręce?

Na początku lata 1939 pojawiły się dwie sprzeczne ze sobą orientacje na angielsko-francuskiej scenie politycznej. Według jednej, mającej swoje źródło w tradycyjnych elitach władzy, ewentualne starcie nazistów z komunistami wcale nie musiało być czymś złym, bo im bardziej dwa totalitarne systemy nawzajem się wykrwawiają, tym lepiej. Wyznawcy tej szkoły myślenia politycznego gotowi byli nawet przyjąć jakieś symboliczne zobowiązania wobec Polski, żadną jednak miarą nie zgadzali się na jakiegokolwiek paktowanie z Sowietami, w obawie, że takie rozwiązanie oznaczałoby głębsze zaangażowanie się w konflikcie po ewentualnym upadku Polski. Za wdrożeniem innej polityki

opowiadał się Churchill i jego zwolennicy inspirowani zza kulis przez ludzi Winslade'a, którzy dobrze wiedzieli, do czego dąży Hitler, i którzy uważali, że wszelkie spory Zachodu z Sowietami należy tymczasem odłożyć.

Podjęmowane na tym tle decyzje polityczne w Wielkiej Brytanii były co najmniej niespójne. I tak oto, nazajutrz po wojowniczym przemówieniu z 17 marca, premier Chamberlain odrzucił jako

niedojrzałą propozycję wysuniętą przez radzieckiego ministra spraw zagranicznych — Litwinowa —

w sprawie frontu antynazistowskiego. Tak zresztą stało się również w historii świata „Proteusza”. W

kwietniu Litwinów ponowił próbę, czyniąc formalną propozycję brytyjskiemu ambasadorowi w

Moskwie. I znów — jak w historii „Proteusza” — rząd brytyjski odpowiedział negatywnie. W maju na stanowisko Litwinowa Stalin wyznaczył Mołotowa, i to również okazało się zgodne z historią według „Proteusza”. Litwinów był najgorętszym w Rosji zwolennikiem polityki na rzecz

bezpieczeństwa zbiorowego w sojuszu z Zachodem i ludzie „Proteusza” zabiegali o reorientację brytyjskiej polityki w takim przynajmniej stopniu, aby sprzyjała ona utrzymaniu się Litwinowa na urzędzie. W tych działaniach Winslade z Churchillem musieli jednak uznać, że ponieśli całkowitą klęskę.

Niezależnie od wspomnianego biegu spraw Wielka Brytania ogłosiła niespodziewanie mobilizację rezerwistów, aby doprowadzić stany osobowe armii, marynarki wojennej i lotnictwa do etatów

przewidzianych na wypadek wojny. Takiej zaś decyzji nie notowała historia według „Proteusza”.

— Problem polega na tym — rzekł Kurt Scholder do profesora Lindemanna — że Chamberlain

próbuję osiągnąć dwa sprzeczne ze sobą cele. — Siedzieli w przedziale pierwszej klasy pociągu, który właśnie dojeżdżał do Chelmsford w hrabstwie Essex. Wracali do Londynu po wizycie w ośrodku

badawczym ministerstwa lotnictwa w Bawdsey Manor niedaleko Felixstowe, gdzie Scholder — pod odpowiednio przybranym nazwiskiem — konferował z Watsonem--Wattem, Henrym Tizardem i

innymi naukowcami pracującymi w aparacie państwowym na temat systemów radarowych,

identyfikacji i przechwytywania samolotów, systemu kontroli lotów i podobnych problemów. —

Zaczął wreszcie dostrzegać bezpośrednie zagrożenie, ale nie potrafi jeszcze pogodzić się z faktem, że Rosja stanowi znaczący czynnik w sprawach europejskich. Z jednej strony chce powstrzymać zapędy Hitlera systemem gwarancji dla innych państw, z drugiej natomiast wyklucza z tej polityki Rosję.

Tego się nie da pogodzić.

— To prawda, ale Anglia przynajmniej zaczyna manifestować stanowczość — rzekł Lindemann — i być może coś z tego dotrze do Moskwy i pozytywnie wpłynie na prowadzone tam rozmowy. — Tę

ostatnią tezę wygłosił bez głębszego przekonania.

— Być może — odparł Scholder podobnym tonem.

Tymczasem, natychmiast po objęciu urzędu, Mołotow jał słać sygnały na rzecz poprawy stosunków z Niemcami. Nie chcąc wypaść z gry, Chamberlain polecił brytyjskiemu przedstawicielowi w Moskwie

— późno co prawda, ale jednak — rozpoczęcie rozmów z Rosjanami. W świecie „Proteusza” rozmowy te prowadzono bez przekonania, co tylko pogłębiło podejrzenia Stalina, że Zachód chce

wmanewrować go w wojnę, w której sam nie weźmie udziału. Toteż w sierpniu, gdy Hitler napadł na Polskę i alianci wypowiedzieli wojnę, mając nadzieję, że zakończy się po miesiącu lub dwóch, Stalin się wycofał. Przyglądał się z boku rozwojowi wypadków: tygrys, którego rzekomo miano ujarzmić, zaczynał pożerać swoją ofiarę. Jego — Stalina — czas nadejdzie później.

— Masz za sobą rzeczywiście zadziwiającą historię, Kurt — rzekł Lindemann. Profesor znany był z tego, że bywał impulsywny i nie-tolerancyjny wobec idei i koncepcji, które różniły się od jego własnych. Zrozumiałe było jednak, że gościom z przyszłości Lindemann starał się okazywać

uprzejmość. — Po raz drugi przeżywasz te same wydarzenia, a lądujesz jeszcze dalej w przeszłości.

Wydaje mi się, że pewnie traktujesz siebie jak — że tak powiem — Wiecznego Tułacza w wymiarze czasu.

Scholder się uśmiechnął.

— Ale tym razem mam przynajmniej wrażenie, że coś się zmienia na lepsze. Widziałem już dostatecznie dużo zła w hitlerowskiej Rzeszy, w świecie, w którym już byłem. A w Rzeszy Heydricha było jeszcze gorzej.

— Trudno w to uwierzyć.

— A jednak. Pod totalnym naciskiem aparatu państwowego znaleźli się wszyscy razem i każdy z osobna. Nadzór, kontrola i władza państwa obejmowały absolutnie wszystko: to, co robiłeś, myślałeś, z kim się spotykałeś i z kim rozmawiałeś. O wszystkim trzeba było informować, nawet o tym, co się dzieje na przykład w klubach zbieraczy znaczków pocztowych, czy na boiskach, gdzie bawią się dzieci. — Scholder wymownie rozłożył ręce. — Właśnie, dzieci. Faktycznie dzieci odebrano rodzinom, poddawano je indoktrynacji, przymuszano, i to już od wieku przedszkolnego. Zgodnie z

obowiązującymi ustawowo nazistowskimi pseudoteoriami dotyczącymi czystości rasy i cech dziedzicznych, słabsze, mniej sprawne intelektualnie jednostki sterylizowano i szkolono w wykonywaniu prostych zadań, jeśli w ogóle uznawano, że mogą się jeszcze do czegoś przydać.

— A jeśli nie?

— Eliminowano je, stosując przymusową eutanazję. Lindemann patrzył w niemym przerażeniu.

— Tak nie może być — sprzeciwił się — jak można zmuszać do czegoś takiego? A jeśli rodzice nie wyrażali zgody? Scholder zaśmiał się sardonicznie.

— Nie odmawiali. Nie wyobrażasz sobie, jak to naprawdę było. Przestała istnieć rodzina. Jednostki nie miały żadnych praw i żadnych swobód. Żyły wyłącznie dla państwa. Do państwa należało wszystko i wszyscy. — Gestem ręki wskazał na malownicze miasteczko, które właśnie mijali, dojeżdżając do Chelmsford. — Ten świat jest zupełnie inny, profesorze, to świat cywilizowany i wolny. Może jeszcze mieć nadzieję na przyszłość. Owszem, jest trochę dziwaczny i staroświecki, ale pod najważniejszymi względami przypomina świat, z którego naprawdę się wywodzę.

— ...i który pewnie wydaje się tak odległy jak wieczność — wtrącił Lindemann. — A ile miałeś lat, kiedy opuszczałeś świat 2025 roku? Trzydzieści pięć? Dobrze mówię?

— Tak.

— Masz bliskich...

— Rodzinę? W tamtym świecie? No cóż, już o nich nie myślę. To niecelowe.

— Przepraszam.

— Byłem fizykiem. Zajmowałem się problemami rozwoju systemów napędów jądrowych do pojazdów

międzyplanetarnych — rzekł Scholder, zmieniając temat, aby ułatwić sytuację. — Dokonano właśnie odkryć w fizyce. Były interesujące same w sobie, a jednocześnie mogły mieć zastosowanie w mojej dziedzinie, więc się nimi zająłem. — Wzruszył ramionami. — Wtedy też pojawili się u mnie agenci

„Suzerena” z propozycją nie do odrzucenia pod względem finansowym. Wkrótce potem znalazłem się w Brazylii.

— A stamtąd przeniosłeś się do nazistowskich Niemiec, tych, które powstały w roku 1941.

— Tak.

— I brałeś udział w pracach nad bombą atomową, którą Hitler miał zrzucić na Rosję już w następnym roku.

— Tak właśnie było.

— Czy bomby produkowano w Niemczech?

— Nie. Montowano je tylko z gotowych podzespołów dostarczanych z przyszłości. „Suzeren” wolał nie wyposażać Hitlera w kompletny przemysł atomowy. Jak sądzę, chodziło o to, żeby Hitler nie zapominał, kto naprawdę rządzi.

Lindemann zmarszczył nos i potarł dłonią czoło.

— A czy... a czy nie miałeś żadnych problemów... no... natury moralnej? Nie miałeś wyrzutów sumienia, że współpracujesz przy czymś takim?

— W Brazylii nie mieliśmy właściwie pojęcia o tym, w jakim celu wysyła się ładunki nuklearne — rzekł Scholder. — Mówiono nam, że chodzi o jakieś najzwyklejsze przedsięwzięcia inżynieryjno-budowlane, niwelację terenu, przygotowanie gruntu pod fundamenty i tego rodzaju sprawy. Nie było w tym nic nadzwyczajnego.

— No dobrze, a jak już dotarłeś do ówczesnych Niemiec?

— Wszystko się zmieniło, ale też nie mieliśmy wyboru. Zatrudniali głównie te osoby, które pozostawiły rodziny w roku 2025 i w ten sposób zmuszali nas do pracy.

— To okropne.

— Nazistowskie metody postępowania, przynajmniej w większości, inspirował „Suzeren”. Sami naziści nie byli w tej mierze zbyt twórczy. Pamiętny pucz w roku 1923 doskonale ilustruje granice ich wyobraźni, a nie był przecież szczególnie wybitnym wyczynem.

Pociąg zatrzymał się na stacji i przez kilka chwil Lindemann obserwował, co się dzieje na peronie.

— A jak to się stało, że zostałeś tam na zawsze? — zapytał po chwili. — Nie miałeś innego wyjścia?

— Właściwie to nie wiem, jak to się stało — odparł Scholder. — Kilka lat później należący do nazistów projektor powrotny do komunikacji z rokiem 2025 został zniszczony. W konsekwencji wielu z nas, którzy przybyliśmy z przyszłości, znalazło się w pułapce. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, jak doszło do zniszczenia maszyny. Przypuszczaliśmy co najwyżej, że po pokonaniu Związku

Radzieckiego naziści uznali, że nie potrzebna im dalsza pomoc ze strony „Suzerena”. Sami w sobie stanowili już przeważającą siłę w swoim świecie, a droga do globalnej dominacji stała przed nimi otworem. Później zaś stało się tak, że zająłem się innymi sprawami.

— A „Suzeren”? Nie wysłał nowej ekipy, żeby sprawdzić, co zaszło? — zastanawiał się głośno Lindemann. — Nic nie stało przecież na przeszkodzie, żeby tak uczynić?

— No cóż, tego nie zrobiono... a jeśli nawet przysłali kogoś, to ja nic o tym nie słyszałem.

— Uhm... wygląda to dość dziwnie. — Obaj milczeli przez chwilę. — I oto naziści znaleźli się w sytuacji, która pozwalała na opanowanie świata bez żadnych przeszkód, i rzeczywiście zaczęli się szykować. A co się stało z przyszłością, z której pierwotnie przybyłeś? Jak owa przyszłość godziła się na to, co zaszło?

— Nie wiem — rzekł Scholder — być może przyszłość ta już w ogóle nie istnieje.

— Jeśli to prawda, to jak wytłumaczyć, że właśnie teraz w Niemczech funkcjonuje projektor powrotny do komunikacji z tą właśnie przyszłością? — argumentował Lindemann. — Sam mi powiedziałeś, że ten kanał łączności zostanie zerwany dopiero za kilka lat.

— Nie wiem — powtórzył odpowiedź Scholder. — Mnie też to zastanawia.

— No cóż, miejmy tymczasem nadzieję, że dziś lub jutro nadejdą jakieś dobre wiadomości z Nowego Jorku.

— Otóż to.

Zbliżał się koniec maja i zgodnie z informacjami, które były dostępne w roku 1975, jeszcze przed rozpoczęciem wyprawy „Proteusza”, właśnie w tym czasie miało dojść do pierwszej wymiany prostych sygnałów kanałem projektora. Trudności w łączności transatlantyckiej sprawiały, że w Londynie nie wiadano, kiedy nadejdzie potwierdzenie o nawiązanym kontakcie.

Drzwi wagonu otworzyły się i do przedziału weszła kobieta w strojnym w kwiaty kapeluszu z szerokim rondem. Dźwigała niezliczone torby, pakunki, walizki i paczki.

— Czy są wolne miejsca? — zapytała ciężko dysząc. — Wolne? Dzięki Bogu.

— Niech pani pozwoli — rzekł Lindemann, wstając z miejsca, żeby pomóc nowej pasażerce.

— Dziękuję, to bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Z tą paczką proszę ostrożnie. Mam w niej porcelanę.

Śladem kobiety do przedziału wszedł starszawy pastor, a za nim mężczyzna w typowym stroju biznesmena oraz mocno zbudowany człowiek o rumianej twarzy, ubrany w kraciatą, tweedową marynarkę i czapkę do kompletu — farmer zapewne — i jeszcze jakaś młoda para. Kręcili się, szukając miejsca, podczas gdy Lindemann umieszczał bagaż pasażerki na górnej półce. Później profesor zasiadł na swoim miejscu w rogu przedziału, wziął „Timesa”, żeby zrobić miejsce damie między nim a farmerem.

— Prezenty — powiedziała siadając.

— Naprawdę? — odparł Lindemann automatycznie.

— Głównie zabawki.

— Rozumiem.

— Właśnie jadę w odwiedziny do córki do Kensington.

— Ach tak? — W głosie Lindemanna zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. Przeraził się na myśl, że przypadkowa rozmowa może trwać całą podróż, aż dojadą do stacji przy ulicy Liverpoolskiej.

— Córka ma troje dzieci, to znaczy moich wnucząt.

— Jestem pewien, że wspaniała młodzież.

Pastor otworzył jakiś magazyn i próbował czytać, farmer i biznesmen wpatrywali się pilnie w przestrzeń, młoda para coś szeptała do siebie. Lindemann otworzył gazetę, szykując się do rozwiązania krzyżówki i wtedy właśnie jego sąsiadka wstała, żeby zdjąć płaszcz.

— Bardzo przepraszam, ale strasznie tu gorąco — powiedziała.

— Nic nie szkodzi — uprzejmie odpowiedział Lindemann.

Pasażerka złożyła płaszcz, umieściła go na półce wśród bagaży i usiadła. Lindemann znów zajął się

krzyżówką, a jednocześnie sięgnął po pióro do kieszeni. Wtedy jego sąsiadka zaczęła czegoś szukać w torebce, którą trzymała na kolanach i Lindemann musiał się skulić w sobie, żeby uniknąć jej łokci.

— Jezu Chryste — powiedziała — wydawało mi się, że włożyłam bilet do torebki, a tu go nie ma.

Musi być w walizce. — Znow wstała i zaczęła przeszukiwać bagaże na półce. Lindemann podkurczył nogi, żeby zrobić jej miejsce, zacisnął zęby, krzywo się uśmiechając w odpowiedzi na przepaszający gest pasażerki.

Śmiejąc się w kułak Scholder odwrócił się do okna i obserwował krajobraz. W jego oczach krył się jednak wyraz zaniepokojenia.

Ten oto naród poważnie mówił o konieczności stawienia czoła nazistowskiej machinie wojennej. We wsiach w hrabstwie Essex i w wielu innych miejscach Scholder widział pełne zdecydowania stare panny na rowerach, jeżdżące między zabudowaniami, aby na pocztowych tablicach ogłoszeń

wywiesić obwieszczenia na wypadek nalotu bombowego. Widywał, jak emerytowani pułkownicy z czasów Wielkiej Wojny ćwiczyli na boiskach do krykieta ochotników obrony cywilnej, z kijami zamiast karabinów i maskami przeciwgazowymi, w które niezdarnie usiłowali wcisnąć swoje

zdziwione oblicza. Oglądał niedzielne pokazy gaszenia pożaru piaskiem i ręcznymi pompami, a także ćwiczenia z bombami zapalającymi. Wszystko to było typowe dla Anglików, a jednocześnie ujawniało granice przygotowań do wojny. Oni naprawdę wierzyli, że takimi dziecinnymi zabawami zdołają stawić czoło Hitlerowi.

Nie znali jednak tego, co wiedział i co widział Scholder. Nigdy nie widzieli morza ruin w Moskwie po ataku atomowym, nie oglądali całych gór trupów w obozach zagłady w dawnej Polsce, czy filmów ukazujących czarnych mieszkańców Afryki pędzonych tysiącami do dołów, gdzie żywcem palono ich napalmem. Nie znali miejsc, które znał Scholder. Po prostu... nie rozumieli.

Na peronie stacji przy Liverpool Street oczekiwali już Winslade i Bannerling, co oznaczało, że musiało zajść coś nieoczekiwanego. Scholder i Lindemann zwolnili kroku, przechodząc obok

lokomotywy — ciągle jeszcze dyszącej parą i dymem — i z min oczekujących domyślali się, że wiadomości nie są pomyślne.

Ubrany w piaskowy trencz i filcowy kapelusz, Winslade odciągnął ich od tłumu wysypującego się z pociągu i bez żadnych wstępów oznajmił cicho:

— Mamy kłopoty. Dziś rano mieli uruchomić łączność z projektora powrotnego. Nie udało się. Nie ma sygnału z drugiej strony. Scholder patrzył nie dowierzając.

— Nic? Żadnej reakcji? Jesteś pewien, że kanał jest drożny i że wszystko zrobili, jak trzeba?

— Kanał był drożny — odparł Winslade — ale nie odnotowano żadnej aktywności z drugiej strony.

Innymi słowy, przekonywający rzekomo test, który przeprowadzono przed rozpoczęciem misji w 1975 roku, okazał się bezwartościowy.

Lindemann był zaskoczony.

— Co proponujesz? — zapytał Winslade'a.

— Natychmiastowy powrót do Nowego Jorku. Chciałbym, żebyś ty też pojechał, Kurt. Tutaj zostanie Arthur, żeby utrzymać kontakt z Churchillem i innymi. Przekonanie Rosjan może mieć teraz większe znaczenie, niż myśleliśmy.

— I znów cały tydzień na morzu — westchnął zrezygnowany Scholder. — Nienawidzę podróży statkami.

— Nie musisz się martwić — rzekł Winslade. — Eden załatwił dla nas bilety na clippera, na samolot pocztowy Pan American, który właśnie rozpoczął regularne rejsy nad Atlantykiem. Jutro wieczorem będziemy w Nowym Jorku. Mortimer zawiesił dalsze prace nad projektorem powrotnym.

Scholder poczuł, jak strach ściska go w gardle. Rozejrzał się wokół, patrząc na powitania i uściski na peronie, na rodziców prowadzących dzieci za rączkę, na bagażowych ładujących walizki na wózki.

Zwykli ludzie, zwykłe życie, nikt nikomu nie przeszkadza, żeby tylko zostawiono ich w spokoju.

Pomyślał o załamanych, wynędzniałych ludziach, jakich zapamiętał ze swoich podróży do Anglii po kapitulacji w roku 1941. Czy wszystko to naprawdę musi się powtórzyć? A może tego rzeczywiście nie da się zmienić.

Myśl, która przepełniała jego umysł, stała się jeszcze przykrzejsza, gdy zaczął sobie uświadamiać, co to wszystko oznaczać będzie dla niego osobiście. Spędził trzydzieści cztery lata w innym świecie, na własnej skórze poznał skutki nazistowskich podbojów. Czy ponownie zostanie uwięziony w pułapce bez wyjścia? Czy raz jeszcze będzie musiał przeżyć te wszystkie lata terroru i rozpacz?

ROZDZIAŁ 12

Wydarzenia w życiu toczą się inaczej niż w filmach, i nie da się po prostu zwabić i załatwić kawałkiem zatrutego mięsa wykorzystywanych przez niemieckie wojsko i policję psów

wartowniczych. Tresuje się je w taki sposób, że karmę przyjmują tylko z rąk swojego pana. Zakładali więc, że dobermanów za płotem okalającym rezydencję Jaskiniowca Bruna w dzielnicy Pelham, będą podobnie wyszkolone. Jeśli o sierżancie Floydzie Lamsonie powiadano, że zna się na swojej robocie, to także dlatego, że do wszystkiego podchodził zawsze z maksymalną ostrożnością i

minimalną brawurą. Rzucił więc na ziemię worek napełniony starymi szmatami i nasycony wyciągiem z

anyżku, a sam wspiał się na gałąź dębu rosnącego tuż przy płocie, w miejscu najbardziej odległym od domu. Uzbroił się w wiatrówkę z noktowizorem i po prostu strzelił do psów pociskami z płynem usypiającym, gdy tylko nadbiegły, żeby obwąchać znaleźisko. Zbadał wcześniej wszystko dookoła, przeprowadził obserwację nocną i dzienną i wiedział, że są tam cztery psy i że nie ma strażników.

Po dwóch zielonych błyskach latarki Lamsona, Ferracini i Cassidy przekazali sygnał dalej do Paddy'ego Ryana, który przycupnął w krzakach przy głównej bramie. Następnie wspięli się na mur okalający rezydencję, używając kotwic i lin. Szczyt muru zabezpieczony był drutem kolczastym i kablem elektrycznym pod napięciem. Najpierw więc zrobili dodatkowy obwód, żeby uniknąć uruchomienia alarmu, a następnie wycięli przejście między drutami. Ryan tymczasem przymocował do bramy niewielki ładunek wybuchowy, który eksplodując wyłamie zamek, zapewniając tym samym szybką — gdy zajdzie taka konieczność — drogę ucieczki. Zamontował splotkę, przerzucił końcówkę kabla detonatora na zewnątrz bramy i połączył wszystko w jedną całość. Następnie wycofał się znów w krzaki, a później przeszedł do tego miejsca przy murze, któredy przeszli Ferracini z Cassidym. Odszukał pozostawioną dla niego linę i dołączył do nich po drugiej stronie.

Poczekali jeszcze chwilę na Lamsona, który tymczasem zeskoczył z gałęzi i potraktował psy dodatkowymi zastrzykami, po których będą nieprzytomne aż do rana, a następnie całą czwórką zaczęli cicho posuwać się przez zarośla w stronę czerniejącej w oddali bryły domu.

Nie wyjaśnwszy powodów, Mortimer Greene zarządził przerwanie dalszych prac przy maszynie po sprawdzeniu jej działania za pomocą testów, które przeprowadzał z Gordonem Selbym w ciągu nocy i nad ranem. Okazało się również, że Winslade z Scholderem mają pośpiesznie przybyć z Anglii. Być może próba się nie udała? Co to wszystko miało znaczyć — Ferracini nie miał pojęcia. Tymczasem dla nich oznaczało to dodatkowy czas wolny i Ferracini przekonał pozostałych, że najwyższy czas złożyć wizytę Jaskiniowcowi, wizytę, na którą mieli ochotę już od pewnego czasu.

Obserwując przez całe popołudnie i wieczór wchodzących i wychodzących, oceniali, że w rezydencji jest w sumie dziewięciu mężczyzn, nie licząc Bruna Jaskiniowca, czyli Mordziastego, jak go nazywali między sobą, i nie licząc trzech kobiet. Okna na parterze i na piętrze były okratowane i zabezpieczone czujnikami alarmowymi. Z układu świateł w oknach zorientowali się, że ruch w rezydencji skupia się w pokojach na dole i od frontu. Było to dość korzystne, bo najprościej — jak podpowiedział Lamson — mogli się dostać do wnętrza przez okrągłe okienko na poddaszu, od podwórza. Nie było ono okratowane, bo nikt nie zakładał, że w ogóle można doń się dostać.

Ferracini i Cassidy okrążyli budynek, kryjąc się w cieniu od północnej strony, a następnie wspięli się na dach, korzystając z niewielkiego występu między ścianą a ozdobną kolumną z ciosanego

kamienia. Na nogach mieli buty o miękkich gumowych podeszwach, co ułatwiało wspinaczkę, a ze sobą stalowe haki i jeden z nich wcisnął w pęknięcie muru na szczycie, mocując linę, za pomocą której przeszli przez niebezpieczną pochyłość na skraju dachu, a dalej — korzystając z rzędu murowanych ozdób — przesunęli się, jak górskim trawersem, w miejsce tuż nad owym małym

okrągłym oknem. Przygotowali linę z węzłami, żeby łatwiej było się wspiąć, i zrzucili jej koniec na ziemię między klomby, gdzie już czekali Ryan i Lamson.

Ryan przytrzymał koniec liny, a Lamson jął się wspiąć na górę. Gdy znalazł się na wysokości okna, Ryan rozhuścił linę jak wahadło, tak aby przybliżyć go do okna pod nawisem z dachówek. Za

trzecim podejściem Lamson uchwycił drewniany parapet stalowym hakiem przymocowanym do

niewielkiej, kilkustopniowej drabinki, jakiej używają alpiniści, następnie stanął na niej i zajął się oknem. Dało się otworzyć bez większego trudu i Lamson wszedł do środka. Przymocował linę, tak aby Ferracini i Cassidy mogli przejść z dachu do wnętrza, a jednocześnie Ryan wspiął się z dołu.

— Tak, tak, rozumiem — rzucał do słuchawki Bruno Yerucin, zwany Jaskiniowcem ze względu na

dość prymitywne gusta i zamiłowanie do paciorków, jak nazywał brylanty. Siedział rozparty na fotelu za potężnym mahoniowym biurkiem i kiwał głową, tocząc rozmowę przez telefon. Wypuścił z ust wielki kłęb dymu, a kciuk ręki, w której trzymał cygaro, założył za szelki.

— Jak już mówiłem, Pete, cały ten pomysł polega na tym, abyśmy urządzili na wysokości Atlantic City mniej więcej to samo, co urządzono na zachodnim wybrzeżu. Ten statek, który Tony Stralla zamienił w pływające kasyno, niecałe pięć kilometrów od brzegu, tuż za pasem wód terytorialnych, daje trzysta kafli miesięcznie, wiedziałeś o tym? A tak, Pete, jak mówię, trzysta baniek. Właśnie tyle możemy spokojnie trafić, zgoda?

Freddie Numerek — totumfacki Bruna — siedział rozparty w fotelu w kącie, nogi oparł o barowy stółek i popatrzył znacząco na Connahana Boksera, który przysunął się do framugi i znudzony żuł gumę. Connahan nie reagował, nie zmienił wyrazu twarzy i dalej ruszał szczękami.

— Właśnie tak — ciągnął Bruno — wszystko zależy od tego, czy Szwab odpisze nam statek, załogę i całe to swoje przedsiębiorstwo bez żadnych warunków... Nazywa się Wally Fritsch. Ma pewne

trudności z długami, których nie spłaca, więc mogę go przycisnąć... Tak, tak, słyszę cię, Pete. Wally jest tutaj i właśnie próbujemy się dogadać... Nie, jeszcze nic nie jest ustalone, jeszcze rozmawiamy...

W porządku, zadzwonię, jak tylko do czegoś dojdziemy. Oczywiście, że tak. Możesz mieć do mnie zaufanie, mój drogi. Przecież nie zdarzyło się jeszcze, żebym czegoś nie załatwił.

Bruno odłożył słuchawkę i popatrzył na dwóch kompanów.

— Pete zaczyna się denerwować. Czas więc, żebyśmy zeszli na dół i zobaczyli jak idą., no te...

rozmowy. — Zaśmiał się z własnego żartu i wstał z fotela. Wstał również Numerek, a Bokser opuścił miejsce przy drzwiach. Obaj ruszyli za Brunem, który wyszedł z gabinetu.

Schodzili w dół schodami wyłożonymi grubym dywanem, przeszli następnie przez obszerny hali z wieloma drzwiami, dalej skierowali się korytarzem obok otwartego pokoju, gdzie kilku szeregowych członków bandy grało w bilard, a na koniec zeszli klatką schodową na najniższą kondygnację i zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami. Bruno zapukał dwukrotnie i drzwi otwarto od wewnątrz.

Pokój, w którym się znaleźli, był nader skromnie umeblowany: goły stół, szafka i kilka prostych, drewnianych krzeseł. Było tam dwóch osiłków Bruna, w koszulach mokrych od potu, i jeszcze ktoś

—
mężczyzna po pięćdziesiątce, podrapany i zmęczony. Siedział na krześle przy stole, z kącików ust sączyła mu się krew, oddychał ciężko, z widocznym wysiłkiem.

Bruno zamknął drzwi i podszedł do stołu, opierając się pięściami o blat. Spojrzał w dół i z litością pokiwał głową.

— Naprawdę szkoda, że nie jesteś tak inteligentny, jak myślałem, Wally — powiedział. — Wygląda na to, że zrobiłeś sobie krzywdę. Ale, jak mówiłem, ze mną można się dogadać. Miałeś czas, żeby przemyśleć sprawę?

— Idź do diabła, wypierdku — syknął Fritsch przez opuchnięte wargi. Miał twardy, niemiecki akcent.

Bruno spoważniał. Wymierzył Fritschowi mocny policzek.

— Jeszcze raz tak do mnie powiesz, to przypiekę ci pięty, rozumiesz? Moja cierpliwość już się kończy, ale masz jeszcze szansę podpisać te papiery, nim się za ciebie wezmę.

Fritsch przecząco kiwnął głową.

— Nyc takego ne zrobią. Wynoszą sze i wszadz sze te papieren do tyłka.

— Będzie ostro — mruknął jeden z oprawców. Zwano go Motylkiem, a to w związku z jego potężną wagą. Miał prawie sto czterdzieści kilogramów. Drugi oprawca — Charlie — zapalił papierosa i przyglądał się obojętnie całej scenie.

Bruno zastanawiał się jeszcze przez chwilę.

— Przeprowadźcie tu tę kobitę i zobaczymy, co się będzie dziać — warknął.

Bokser ruszył do wyjścia. Fritsch miał oczy jak spodki.

— Zostawcze ją w spokoju — błagał, wstając z krzesła. — Ona... Motylek usadził go na miejscu.

— Masz słuchać, kiedy szef każe.

— A jak myślisz, po co ją tu ściągnąłem, na herbatkę i partyjkę brydża? — wyrzucił z siebie Bruno.

— Już ci mówiłem, że nie mam czasu na zabawy ani na zbędne dyskusje.

Po raz pierwszy wyglądało, że Fritsch naprawdę się boi.

— Ale wszystko, co mam... lata pracy, wszystko to mam oddać? Według czebe mam to wszystko oddać? — Pokręcił głową. — Mówiłeś, że masz propozycje, no to powiedz... bo tak, jak to jest, to...

— znów pokręcił głową — ...to złodziejstwo.

— Aha! Ktoś tu jednak mówi o współpracy — rzekł Bruno, z uznaniem kiwając głową. — Czy mam rozumieć, że spróbujemy się dogadać, mój kochany Wally?

— Zawsze mówiłem, że możemy pogadacz. Ale nie było szans. Bo ty bez przerwy tylko: daj, daj, daj.

Bruno odwrócił krzesło i usiadł, wspierając się łokciami na oparciu.

— W porządku — westchnął — przedstawię ci całą sprawę jeszcze raz. Ale słuchaj uważnie, Wally, bo tym razem...

Bezmyślnie ruszając szczęką, Bokser Przeżuwacz wspiał się na schodki na zapleczu domu i

zatrzymał na podeście przed wejściem do pokoju, gdzie umieścili dziewczynę. Pilnował jej Chins Broda. Bokser zapukał i zawołał:

— Otwórz, Broda! To ja, Connahan — a następnie nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Nikt nie

odpowiadał z drugiej strony i do świadomości Boksera dotarła wreszcie osobliwa cisza i spokój.

Wtedy właśnie poczuł dotknięcie na ramieniu. Obrócił się automatycznie.

Ręka uderzyła w górę jak tłok, palce rozwarte, cios nasadą dłoni spadł jak piorun w splot nerwowy tuż powyżej nosa, powodując, że Bokser błyskawicznie się wyprostował. Jednoczesne uderzenie kolanem w krocze rozdarło mu wewnątrz paroksyzmem bólu. Zwinął się w kłębek, nie wydając głosu i stracił przytomność, nim jeszcze cios, wymierzony tym razem kantem dłoni w podstawę czaszki, wyeliminował go na dłużej.

Zamaskowana postać odziana w czerń przytrzymała go przed upadkiem. Z głębi pokoju wyłoniła się

druga — podobnie przebrana postać — i wspólnie przeniosły bezwolne ciało, tam gdzie miano je złożyć. Całą tę scenę, kiedy składano ciężkie ciało na podłodze za łóżkiem, obok Brody, oglądała dwudziesto-, może trzydziestoletnia kobieta, skromnie ubrana i skromnie wyglądająca. Przyglądała się temu wszystkiemu w niemym przerażeniu. Jedna z czarno odzianych postaci pochyliła się nad Bokserem, wyjmując z kabury jego rewolwer. Jeszcze sprawdziła, czy nie ma jakiejś innej ukrytej broni i wyprostowała się, zadowolona z roboty.

— Kimkolwiek jesteście, ja nie mam z tym nic wspólnego — powiedziała kobieta szeptem. — To nie moje sprawy, ja...

— Sza! — ostrzegła ją gestem jedna z zamaskowanych postaci i nakazała milczenie. Druga nadśluchiwała pod drzwiami, a po chwili dała znak głową.

Wyprowadziły ją do łazienki po drugiej stronie schodów. Jedna z nich wyjęła klucz z zamka, gdy delikatnie, ale stanowczo kierowano kobietę do wnętrza.

— Proszę tu zostać — mruknęła postać — wrócimy.

Drzwi się zamknęły i kobieta usłyszała dźwięk przekręcanego klucza. Zapadła cisza.

Fritsch potrząsnął głową i patrzył pełen wątpliwości.

— Nie wiem... być może. Ale jej nie mieszajcie. Bruno patrzył na niego z litością.

— Chyba ciągle nie możesz zrozumieć, że to ja, a nie ty, stawiam warunki — rzekł. — Masz dług, a termin spłaty został już dawno przekroczony.

— Mogę zdobyć te pieniądze — zaprotestował Fritsch. — Nie miałem ostatnio szczęścia... Ale jak mi dacie trochę czasu...

— Nie ma już czasu, a mnie ta łajba jest potrzebna. I to ja określam warunki. — Bruno przerwał i potoczył wzrokiem po pokoju, zaskoczony.

— Co, do cholery, z tym Bokserem? Mówiłem mu, że ma przyprowadzić kobitę. Numerek wzruszył ramionami.

— Może wstąpił się do łazienki.

— A po jakiego wała? Podziwiać się w lustrze? Motyl, idź zobacz, co się dzieje i przyprowadź ich.

Motylek kiwnął głową i ruszył do wyjścia. Właśnie miał otworzyć drzwi, gdy jeden z opryszków z pokoju bilardowego uchylił je z drugiej strony. Motylek wyminął go i znikł w głębi korytarza. Bruno zaczął się denerwować.

— O co chodzi, Arch? — zapytał przybysza. Arch machnął ręką w kierunku, skąd przyszedł.

— Telefony wysiadły, szefie. Pomyślałem, że lepiej pana uprzedzić. Bruno spojrział najpierw na Numerka, a później na Charliego.

— Jak to? Przed chwilą jeszcze rozmawiałem z Pete'em. Za chwilę znów muszę do niego zadzwonić.

Idźcie sprawdzić, co się dzieje. Arch wzruszył ramionami.

— Już to zrobiłem. Wszystkie wysiadły.

— A dodatkowy aparat w gabinecie? — zapytał Bruno.

— Nie jestem pewien. — Arch wysunął głowę z drzwi i krzyknął w głąb korytarza:

— Hej, Mack, czy ekstralinia w gabinecie też wysiadła?! — Nie było odpowiedzi. Zawołał ponownie, głośniej: — Mack! Co się z tobą dzieje? Ogluchłeś czy co? — Wzruszył ramionami i krzyknął jeszcze raz: — Motyl! Jesteś tam? — Cisza. Zajrzał z powrotem do pokoju. — Nie rozumiem! Przecież Motyl dopiero co tam poszedł.

Bruno i Numerk spojrzeli po sobie. Bruno wstał niepewnie z krzesła, obawa malowała się na jego twarzy.

— Coś tu jest nie tak — mruknął. Odsunął Archa i popatrzył w głąb korytarza i w górę schodów.

Cisza. Cały dom był dziwnie cichy. — Arch, Numerk — dał im znak ruchem głowy — pójdziemy zobaczyć, co się dzieje. Ty, Charlie, zostaniesz tu z Wallym, żeby mu nie przyszło do głowy, że może wyjść na spacer albo coś podobnego.

Poszli na górę śladem Motylka. Na ścianie w pokoju bilardowym wisiały marynarki, na skraju stołu stały nie dokończone drinki, a w popielniczce leżał palący się jeszcze papieros, ale nie widać było nikogo i nikt nie odpowiadał na wołanie Bruna.

— Masz gnata? — Bruno cicho zapytał Numerka. Numerk pomacał się pod ramieniem.

— Nie, cholera. Zostawiłem na krześle w gabinecie — odparł. Arch wyjął swój rewolwer i ostrożnie wyjrzał zza drzwi. Korytarz był pusty.

— Chodźmy do gabinetu po sprzęt — rzekł Bruno. — Coś tu śmierdzi.

Dał znak Archowi, żeby szedł przodem, sam ruszył tuż za nim, a orszak zamykał Numerk. Nie słyszeli żadnego dźwięku, gdy przechodzili przez hali, a następnie wchodzili schodami w górę.

Arch otworzył drzwi i wszedł do gabinetu. Gdy chwilę potem także Bruno wszedł do środka, Arch leżał już bez ducha na podłodze, a nad ciałem majaczyła jakaś czarno odziana postać. Jej twarz skrywała się pod kominiarką. Za pasem, nałożonym na ściśle przylegającą do ciała bluzę, Bruno mógł dostrzec pistolet, nóż, zwiniętą linę i parę innych jeszcze drobiazgów. Jęknął z przerażenia i

zaczai się wycofywać na podest. Numerka już nie było, natomiast jakaś druga postać w czerni właśnie odrywała się od balustrady schodów, podczas gdy z dołu dobiegał dźwięk ciężko padającego ciała i trzask łamanych mebli. Ręce pochwyciły Bruna za koszulę i wciągnęły z powrotem do

gabinetu, rzucając go jak worek na krzesło przy biurku. Jeden z napastników złapał Bruna za włosy, wymierzając całą serię ciosów dłonią na płask w lewy i prawy policzek, a następnie rąbnął pięścią w dołek, tuż pod żebrami, na skutek czego z Bruna wyszło całe powietrze i przez dłuższą chwilę nie mógł złapać oddechu.

Przychodził do siebie przez czas jakiś, ciężko łapiąc powietrze.

Starał się skupić wzrok na jednym z napastników, który właśnie rozsiadł się na fotelu przy barze; pił piwo z butelki i zajadał kawior, który wydłubywał z puszki długim, groźnie wyglądającym sztyletem o podwójnym ostrzu. Nie miał już na sobie kominiarki i na Bruna spoglądała szczupła twarz o łagodnych oczach, okolona jasnymi jak słoma włosami i ozdobiona sumiastymi wąsami.

Zerkał na Bruna z wyraźnym rozbawieniem. Drugi z napastników zajął miejsce między biurkiem a Archem leżącym bez przytomności na podłodze. Ten również zdjął już kominiarkę. Miał czujne, wąskie oczy, wystające kości policzkowe i wyglądał raczej groźnie.

— Iz dziesięciorga Murzyniątek zostało tylko jedno — rzekł Cassidy. Dobył resztkę kawioru z puszki, którą ustawił na biurku i mlasnął ze smakiem. — Uważam, tatusiu, że nie powinieneś mieszać się w sprawy, do których najwidoczniej nie dorastasz.

Bruno ruszył szczęką, jakby chciał coś powiedzieć, ale przez dłuższą chwilę nie był w stanie dobyć głosu. Był blady, a na jego czole błyszczały krople potu.

— Kim jesteście? O co chodzi? — zdołał w końcu wykrztusić z siebie. Przełknął, oblizał wargi i spoglądał to na jednego, to na drugiego z napastników. — Słuchajcie, jeśli rzeczywiście wlałem komuś w drogę, to nienaumyślnie, rozumiecie mnie? Wszystko da się załatwić. Nie będziemy się kłócić.

Cassidy skrzywił się z obrzydzeniem. Wrzucił pustą już butelkę do kosza na śmieci, wydobył zza pasa kolta, kaliber .45 i wycelował w głowę Bruna. Bruno trząsł się z przerażenia. Cassidy odwrócił

broń i jak gdyby nigdy nic wystrzelił w stronę fotografii: portretu, który wisiał na przeciwległej ścianie.

— Możemy założyć spółkę — zaoferował Bruno, gdy odłamki szkła opadły na ziemię. — Fifty-fifty albo jeszcze inaczej. Wszystko da się załatwić... Ze mną zawsze można się dogadać.

Tym razem Cassidy strzelił w kałamarz na biurku. Widać było, że Bruno znów mówi głupstwa.

Bruno przełknął ślinę i obrzucił Cassidy'ego pełnym zastanowienia wzrokiem.

— Skądś ciebie znam...

— Jesteśmy z Federalnego Zarządu Licencjonowania Towarzystw Ubezpieczeniowych — wyjaśnił

Cassidy. — Zajmujemy się zwłaszcza ubezpieczeniem na wypadek pożaru. Mieliśmy kilka skarg od twoich klientów. — Strzelił ponownie w stronę butelek za barem i jeszcze raz w lustro na ścianie, a na koniec w stronę zegara przy oknie, podczas gdy Bruno zwijał się ze strachu na odgłos

rozpryskującego się szkła i z powodu tego, co doń mówiono. — A to oficjalne zawiadomienie, że twój interes został zamknięty. Waszyngton przemyślał sprawę i doszedł do wniosku, że nie nadajesz się do tej roboty, rozumiesz, tatuśku?

Bruno w końcu przypomniał sobie.

— Ci nowi faceci w porcie na Brooklynie... ci, co wzięli stare magazyny Maloneya... to od nich jesteście?

— Widać, że jednak zaczynasz rozumieć — rzekł Cassidy.

W oknach odbiły się światła nadjeżdżających samochodów, co oznaczało, że Ryan otworzył już bramę. Następnie zza drzwi dobiegł dźwięk zbliżających się kroków i jakieś piski. Do środka wszedł

Ferracini prowadząc ze sobą Fritscha i kobietę z łazienki. Towarzyszyły im jeszcze dwie dziewczyny: blondynka z utapirowaną głową, odziana w szlafrok, i ruda, mocno umalowana dama w płaszczu

kąpielowym. Blondynka miała pełen przerażenia wzrok. To właśnie ona piszczała ze strachu na korytarzu.

— Harry zawsze znajdzie jakieś rury — mruknął Cassidy. Na widok Ferraciniego oczy Bruna zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe.

— On też tam był! Słuchajcie, jeśli weszliśmy w szkodę, to się wycofamy. Słowo... Nie wiedziałem, że...

— Wygląda na to, że popsuliśmy komuś romantyczny wieczór — rzekł Ferracini, gestem głowy wskazując blondynkę i rudą. — Wygląda na to, że one należą tu do inwentarza.

— A ta dwójka to kto? — spytał Cassidy. Kobieta z łazienki, wciąż przerażona, patrzyła na rany swego partnera.

— Oporni goście — wyjaśnił Ferracini. — Mieli się właśnie nią zajmować, kiedy nadeszliśmy. Masz swój styl, Bruno, prawda? Trzeba, żeby cię ktoś wreszcie nauczył, jak się postępuje z damami.

Oczy Cassidy'ego nagle spowaźniały.

— Coś mi się wydaje, że Bruno zaczyna mieć zmarszczki — zauważył — może mu je wygładzimy.

Jest tu pewnie prasownia z żelazkiem. — Zaśmiał się na myśl o czekających ich przeżyciach i wstał z fotela. Lamson ruszył do przodu ze złym wyrazem twarzy. Blondynka zapiszczała.

— Nie! — wrzasnął Bruno. Opadł z krzesła na kolana, złożył ręce w błagalnym geście jak do modlitwy. — Zrobię wszystko, co chcecie... Nikomu już nie będę szkodził, powiedzcie tylko, co chcecie, dam wam wszystko, co mam...

— A już myślałem, że nie dożyję takiej sceny — rozległ się nowy głos. — Nie wstawaj, Bruno, w tej pozycji bardzo ci do twarzy. — Do pokoju wszedł Johnny Szóstka z dwoma kolegami. Za nimi wkroczył Paddy Ryan. Johnny rozejrzał się po pokoju i gwizdnął z podziwu. — O rany, ci faceci znają się na robocie. Wykończyli całą twoją bandę, Bruno. A teraz lepiej słuchaj, bo jest parę spraw, o których musisz się dowiedzieć.

— Kim są ci faceci — zapytał Bruno niepewnym głosem. — Jak to się stało, że są z wami?

— Od zadawania pytań jestem ja — skarcił go Johnny. — Wystarczy, jak ci powiem, że na

Brooklynie wlałeś w większą szkodę, niż możesz sobie wyobrazić, i to się nie podobało. Nic więcej już nie powiedziano, wystarczyło. — Na zewnątrz rozblęły światła kolejnych nadjeżdżających samochodów. — Przyjeżdża reszta chłopców — rzekł Johnny do Ferraciniego — damy sobie radę

sami, jeśli wy musicie już iść. A zresztą na tym etapie, to już jakby nasza rodzinna sprawa.

— Tak chyba będzie najlepiej — powiedział Ferracini. Johnny popatrzył na trójkę kobiet i mężczyznę.

— Znam te dwie rury — rzekł, wskazując głową na blondynkę i rudą. — A ta dwójka to kto?

— W porządku. Klienci Bruna. Mamy ich zabrać?

— Jak chcecie i... dzięki.

— Zawsze do usług — odparł Ferracini. — Podwieźć was? — zapytał kobietę i mężczyznę.

— Tak...

— Chodźmy, odwieziemy was do domu.

ROZDZIAŁ 13

Na zapleczu magazynu, w którym montowano projektor powrotny, na kilku kondygnacjach znajdowało się kilkanaście pomieszczeń, które przysposobiono na pokoje mieszkalne, sale wypoczynkowe i dodatkowe biura. Anna Kharkiovitch pracowała przy dużym biurku w pokoju, w którym urządzono podręczną bibliotekę. Rozłożyła na stole cały zestaw gazet, tygodników i wycinków i — jak codziennie — analizowała materiały prasowe, szukając różnic między tym, co donosiła bieżąca prasa, a tym, co relacjonowano w przyszłości. Na podręcznym stoliku miała do dyspozycji czytnik i mikrofilmy z odbitkami gazet z przyszłości.

Pracowała w skupieniu, na jej twarzy malował się raczej posępny wyraz. Przeszłość, z którą obecnie obcowali, różniła się w pewnych szczegółach od zapisów dokonanych w przyszłości. Co prawda

Mortimer Greene podkreślał, że skoro celem misji jest zmiana przyszłości, to jest sprawą naturalną, że muszą pojawić się różnice w rozwoju obecnych wydarzeń, które wpływają na bieg historii, ale też — stosując nawet najbardziej liberalną interpretację — nie sposób znaleźć związku między dokonaniem ekipy „Proteusza”, a pewnymi zdarzeniami, które różniły się od zapisów w historii. Czy ich obecność tu i teraz może rzeczywiście wpływać na wszystko, co się dzieje? To bezsensowna teza.

Greene starał się utwierdzić ich w przekonaniu, że wszystko jest w porządku, ale, zdaniem Anny, czynił tak tylko po to, żeby nie wywoływać paniki w zespole. Zwierzyła się ze swoich wątpliwości Gordonowi Selby'emu, który, jak sam przyznał, też się martwił zaistniałą sytuacją.

Gazety z ostatnich dni zamieszczały relacje z wizyty króla Anglii Jerzego VI i królowej Elżbiety w Kanadzie. Królewskiej parze przedstawiono słynne kanadyjskie pięcioraczki, obchodzące właśnie piąte urodziny. Trwały też przygotowania do wizyty brytyjskiej pary królewskiej w Stanach

Zjednoczonych na zaproszenie prezydenta Roosevelta. Zarówno materiały „Proteusza”, jak i aktualna prasa donosiły, że na przyjęcie w prywatnej rezydencji prezydenta w Hyde Parku, w stanie Nowy Jork, zaproszono również czerwonoskórą księżniczkę Choctaw-Chickasaw, która miała

uświetnić uroczystość opowiadaniem indiańskich legend. Zapowiadano również, że w czasie przyjęcia odbędzie się koncert znanych artystów piosenkarzy: Kate Smith i Alana Lomaxa.

Anna zastanawiała się, czy rzeczywistym celem wizyty było zmanifestowanie angielsko-

amerykańskiej solidarności, a tym samym ostrzeżenie Hitlera. Jeśli tak, to autor tego zamysłu po prostu nie rozumiał istoty zjawiska, które zwało się Adolf Hitler. W gruncie rzeczy to nawet sami Niemcy nie rozumieli Hitlera. Rozmawiała z Kurtem Scholderem, gdy razem z Winslade'em wrócili do Stanów, i Scholder szczerze przyznawał, że jak na razie nie zdołali w istotny sposób wpłynąć na zmianę trybu i zakresu brytyjskich przygotowań do obrony. „Brytyjczycy postępują jak bohaterowie popularnej bajki i piosenki o złym wilku i trójce lekkomyślnych świnek, co to przed groźbą chcą się skryć w słomianym szałasie” — powiadał Scholder. I porównanie byłoby nader komiczne, gdyby nie

to, że tak przedstawiająca się rzeczywistość była po prostu przerażająca.

Winston Churchill, przysięgły monarchista, który z oddaniem wspierał brata obecnego króla, księcia Windsoru — Edwarda — gdy ten abdykował w 1936 roku, chciał, aby poinformować króla o misji

„Proteusza”, a przy okazji monarszej wizyty w Stanach, Jerzy VI osobiście przekazałby tę wiadomość prezydentowi Rooseveltowi. Winslade jednak zdecydowanie zaprotestował. Powoływał się na to, że zgodnie z otrzymanymi wyraźnymi rozkazami sprawą stosunków angielsko-amerykańskich zajmą

się odpowiedni funkcjonariusze, gdy tylko ustanowiona zostanie komunikacja z rokiem 1975.

W rzeczywistości — jak Scholder wyjaśniał Annie — Winslade kierował się względami

bezpieczeństwa. Co prawda rozmowy, jakie na początku lat siedemdziesiątych przeprowadzono w Kanadzie z córkami króla: Elżbietą i Małgorzatą, nie ujawniły niczego, co mogłoby rzucić

podejrzenia na osobę monarchy, ale Winslade nie chciał dopuszczać do tajemnicy nikogo spośród członków europejskich rodzin panujących czy arystokratycznych. Nie ufał całej tej skomplikowanej sieci powiązań rodzinnych i towarzyskich. Z drugiej strony nie chciał obrażać uczuć Churchilla, więc nie przyznawał tego otwarcie.

Wszystko to razem jest tak skomplikowane — westchnęła Anna i wróciła do lektury gazet. Bieżąca prasa relacjonowała spór między Johnem L. Lewisem, przywódcą związkowym, a panią Frances

Perkins, ministrem pracy, na tle nowej umowy zbiorowej dokładnie tak, jak zapisy z czasów

„Proteusza”. Podobnie donoszono o utrzymanym w tajemnicy ślubie Clarka Gable'a z Carole Lombard w Arizonie, a także o frankistowskiej paradzie zwycięstwa w Madrycie. Następnie jednak Anna odkryła informację, która nie była zgodna z zapisem z przyszłości. Otóż, według doniesień z czasów

„Proteusza”, generał Malin Craig po czterdziestu jeden latach służby wojskowej miał zakończyć karierę na stanowisku szefa sztabu sił lądowych w sierpniu tego roku. Informowano tymczasem, że generał odszedł na emeryturę wcześniej i w maju jego funkcję objął George C. Marshall. Anna z rezygnacją pokiwała głową. Nie ma możliwości, aby obecność ludzi „Proteusza” mogła wpłynąć na tego typu decyzję. Nie było między tymi sprawami żadnego związku i nie można było tego logicznie wytłumaczyć. Zanotowała odkrycie i zaczęła studiować kolejne doniesienia w gazecie.

Jej uwagę zwrócił artykuł w rubryce doniesień policyjnych, zatytułowany NIESŁAWNY KONIEC

JASKINIOWCA. W egzemplarzach gazet opatrzonych tą samą datą, które Anna знаła z archiwów

„Proteusza”, w ogóle nie było podobnego artykułu. Zaczęła więc czytać z całą uwagą.

Jak poinformował wczoraj komisarz policji w Nowym Jorku, w rezultacie walk rywalizujących ze sobą gangów, metropolia pozbyła się jednej z najbardziej niepożądanych postaci przestępczego podziemia. Bruno Yerucin zwany Jaskiniowcem, od dawna podejrzewany o udział w organizowaniu nielegalnych gier hazardowych, o oszustwa i wymuszanie haraczów za tak zwaną ochronę, został

wypędzony z miasta — jak podają źródła z kręgów podziemia — przez konkurencyjne bandy.

Organizacja, na której czele stał Yerucin, przestała istnieć. Według naszych informacji tajemniczy sprawcy w maskach napadli na rezydencję Yerucina w dzielnicy Pelham. Przeszli przez mur i wdarli się do siedziby, przypominającej dom filmowego „Batmana”, którą uważano za całkowicie bezpieczną. Napastnicy uwięzili Yerucina i czwórkę jego rewolwerowców. Pięćdziesięciodwuletni Yerucin znany był ze swojej działalności...

Następnie przypomniano szczegóły z przestępczej biografii Yerucina i przytaczano spekulacje na temat jego ostatnich wyczynów.

Uwagę Anny zwróciła zamieszczona obok informacji fotografia. Twarz na zdjęciu wydawała się znajoma, choć Anna nie potrafiła skojarzyć jej z niczym konkretnym. Po chwili zastanowienia czytała dalej:

Według Miss Sally Jackson, która była świadkiem wydarzenia, groźni napastnicy „wyglądali jak postaci z komiksów — na twarzy mieli maski, odziani byli w peleryny itd. Wysocy, mieli więcej niż dwa metry wzrostu, ubrani na czarno i wyposażeni w najprzeróżniejsze instrumenty i narzędzia, jak piloci na filmach. O ile dobrze pamiętam — stwierdziła dalej Miss Jackson — mieli hełmy i ochronne okulary... Tak, naprawdę mieli hełmy i okulary. Myślę, że na dach dostali się, skacząc z samolotu na spadochronach”.

Opis ten Anna skojarzyła z filmami obrazującymi szkolenie oddziałów specjalnych, filmami, które kiedyś oglądała. Usiadła głębiej na krześle, zmarszczyła brwi, gdy nagle wpadła jej do głowy pewna myśl. Raz jeszcze uważnie obejrzała fotografię, po czym odłożyła gazetę, wstała i wyszła z gabinetu.

Tymczasem na dole, w pokoju, który pełnił funkcję jadalni i pomieszczenia wypoczynkowego poza godzinami służbowymi, Cassidy zebrał karty, które właśnie rozdał Ferracini. Ułożył je w wachlarzy k mówiąc:

— Kłopot z Niemcami, Harry, polega na tym, że oni są jak roboty. Potrafią działać tylko wtedy, kiedy ktoś im coś każe zrobić, i robią tylko tyle, ile im nakazano. Bez tego są bezradni. Sami z siebie nie odróżnią dziury w tyłku od dziury w ziemi, rozumiesz mnie?

— Ja jednak uważam, że wszystko sprowadza się do tego, że po prostu nie chcą ponosić żadnej odpowiedzialności i podejmować żadnych decyzji — rzekł Ferracini. — Wolą, żeby przywódcy

decydowali za nich. Kiedy sprawy przybiorą zły obrót, zawsze mogą powiedzieć: to nie nasza wina.

Cassidy skrzywił się na widok kart, jakie otrzymał.

— Co to ma znaczyć, Harry? Ktoś ci udzielił lekcji czy co?... Myślę, że byłoby stokroć lepiej, gdyby zwyczajnie zastrzelili tych swoich przywódców, gdy tylko ci zaczęli tę swoją grę. Tak jak to zrobili Rosjanie... to nie ich wina, że kolejna banda przywódców okazała się gorsza od poprzedniej. Rosjanie przynajmniej próbowali coś zrobić. Wiesz, Harry, podobają mi się Rosjanie.

Kapitan Edward Payne, lekarz misji, chemik i szef bezpieczeństwa „Projektorni”, jak oficjalnie nazywano placówkę na Brooklynie, siedział w fotelu w rogu pokoju. Przeglądał katalog nowojorskiej Wystawy Światowej, otwartej przed miesiącem na Flushing, dzielnicy Nowego Jorku położonej na północnym brzegu Long Island, wyspy, na której rozciąga się spora część metropolii. Wystawę zorganizowano z okazji sto pięćdziesiątej rocznicy prezydentury George'a Washingtona, pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Payne zamierzał zwiedzić wystawę w wolnej chwili, wspólnie z Gordonem Selbym.

Tereny wystawowe obejmują kilkadziesiąt hektarów — czytał Payne — a organizacja ekspozycji pochłonęła sto dwadzieścia pięć milionów dolarów. Wystawa dzieli się na działy poświęcone różnym dziedzinom cywilizacji i postępu. Jest więc Pawilon Komunikacji, Pawilon Łączności... pawilony: Przemysłu, Zdrowia i Opieki Społecznej, Systemu Państwowego, Oświaty, Wypoczynku i Rozrywki...

Wszystkie zaś te działy ilustrują główny temat wystawy: Budowę Przyszłego Świata, natomiast celem całego przedsięwzięcia, stwierdzano we wstępie do prospektu, jest ukazanie znaczenia

osiągnięć naukowych i gospodarczych, osiągnięć, które zapewnią światu harmonijny rozwój i

działalność. Celem było także objaśnienie współczesności i wskazanie ku czemu zmierza świat. W

pawilonie poświęconym głównemu tematowi wystawy można było wsiąść do specjalnej kolejki i z jej pokładu obejrzeć Świat Jutra.

Payne cicho westchnął. Zwiedzający wystawę nie będą mogli obejrzeć morza ognia w Kalkucie:

pożarów, które wybuchły po masowych nalotach japońskich bombowców. Nie zobaczą też obozów

pracy niewolniczej na Syberii czy na polach naftowych Bliskiego Wschodu. Nie będą mogli zapoznać się z dramatycznymi pseudomedycznymi eksperymentami, jakich dopuszczali się nazistowscy

lekarze.

Abstrahując od karcianych przekomarzań Cassidy'ego z Ferracinim, to w ośrodku powrotnym

utrzymywała się raczej napięta atmosfera. Anna siedziała na górze, zapewne pogrążona w robocie.

Selby skrył się za egzemplarzem „New York Timesa”. Ryan z pozorną obojętnością słuchał audycji z Amosem i Andym, dobiegającej z odbiornika stojącego na półce. Lamson już po raz trzeci tego poranka rozkładał, czyścił i składał swój pistolet. Nikt nie chciał okazać niepokoju, jaki ogarnął

wszystkich na wieść o rezultatach wczorajszej debaty Winslade'a z Greene'em, Scholderem i

majorem Warrenem. Z drugiej strony nikt tak naprawdę nie mógł obojętnie przyjąć tych

wiadomości. Wszyscy wiedzieli, że każdy wie.

W planach coś się popsło. Misja „Proteusza” powinna była nawiązać kontakt ze swoją własną epoką. Tymczasem kanał łączności z rokiem 1975 nie funkcjonował. Projektor powrotny nie rejestrował żadnego sygnału.

Payne nie był ani fizykiem, ani filozofem. Był lekarzem. Według jego rozumowania sprawa wynikała z faktu, że istnieje mnogość światów, a nie tylko jeden świat. Owe różne światy, w rozmaity sposób różnią się między sobą. Czasami rozbieżności są ledwie uchwytnie, czasami zaś tak głębokie, że ma się do czynienia z absolutnie różnymi rzeczywistościami. Przy takim założeniu można było przyjąć, że maszyna z roku 1975 nawiązała łączność z niewłaściwym światem. Zastanawiając się nad tym, Payne drapał się w brodę i patrzył nie widzącym wzrokiem w książkę. Jeśli owa teza jest prawdziwa

— myślał — to jak wytłumaczyć, że również w owym innym, niewłaściwym świecie z przeszłości

znalazła się ekipa „Proteusza”? Wysłano przecież tylko jedną misję i misja ta była obecnie tu, w tym oto świecie. Nie. Ta hipoteza nie tłumaczyła niczego. Właściwie wszystko sprowadzało się do absurdu.

Z klatki schodowej dobiegł dźwięk kroków i po chwili do pokoju weszła Anna.

— A oto i jedna z moich ulubionych Rosjanek — rzucił Cassidy, podnosząc wzrok. — Czy ty się nie pracujesz, Aniu? — rzekł. — Chodź, posiedź z nami. Nauczymy cię grać w karty.

— Dziękuję. Może innym razem. Teraz proszę o usprawiedliwienie. Cassidy westchnął.

— Chyba tracę wyczucie, Harry. Powiedz mi, jako mój najlepszy kumpel, czy robię coś nie tak, że dziewczyny mnie lekceważą. Anna zaśmiała się i skierowała w stronę, gdzie siedział Payne.

— Czy jesteś bardzo zajęty, Ed? — zapytała. Payne podniósł wzrok.

— Niespecjalnie. Zabijam czas, jak wszyscy. A czemu pytasz?

— Chciałabym jeszcze raz rzucić okiem na zdjęcia z obserwacji sprzed paru tygodni.

Payne wahał się przez chwilę, po czym skinął głową aprobująco, odłożył katalog, który przeglądał, i wstał z fotela. Wyszedł z Anną i skierowali się korytarzem do pokoju Payne'a. Ed otworzył zamek.

— Zdjęcia filmowe czy fotografie? — zapytał.

— Wystarczą fotografie — odparła Anna. — Interesują mnie ci gangsterzy, którzy nas tu nachodzili.

Pamiętasz, ci z którymi Mortimer rozmawiał. Chciałabym zwłaszcza zobaczyć ich szefa.

Payne sięgnął do metalowej szafki z segregatorami i zaczął przeglądać spis zawartości.

— Powinniśmy już mieć gotowe powiększenia — mruknął, studiując katalog. — O właśnie, są. —

Wyjął właściwą teczkę, a z niej szarą kopertę z powiększeniami zdjęć, które rutynowo robiono ukrytymi kamerami zainstalowanymi w różnych miejscach ośrodka powrotnego. — Po co ci te

zdjęcia? Pytam z czystej ciekawości — rzucił, wręczając kopertę Annie. W jego głosie zabrzmiał ton zawodowego zainteresowania: odpowiadał przecież za bezpieczeństwo. Anna jednak zbyła go niczym.

— Muszę tylko coś sprawdzić — odparła. — Dzięki, Ed. Niebawem ci to oddam.

Wzięła kopertę i wróciła do swojego gabinetu na górze. Zasiadła przy biurku, wyjęła zdjęcia i porównała je z fotografią Mordziastego w gazecie. Nie mogło być wątpliwości: Mordziasty to Bruno Yerucin, Jaskiniowiec.

Oderwała się od zdjęć i zastanawiała się nad znaczeniem odkrycia. Żołnierze z oddziałów

specjalnych odnosili się do Mortimera Greene'a z autentyczną sympatią, mimo jego grymasów, co było zresztą dość oczywiste. Gdyby nie potrafił sobie zapewnić ich szacunku, nie włączono by go do składu misji „Proteusza”. Oczywiście, że byli wściekli na nachalstwo Mordziastego, zwłaszcza Cassidy. To jednak nie tłumaczyło wszystkiego. Anna nie wyobrażała sobie, aby żołnierze z

oddziałów specjalnych, żołnierze, których obowiązywała szczególna dyscyplina, mogli przenieść ów incydent na grunt osobistych porachunków. Musiało więc nastąpić jeszcze coś innego. Zaczynała podejrzewać, że nie jest pierwszą osobą, która to dostrzega. Wzrok Payne'a, gdy prosiła go o zdjęcia, był wiele mówiący.

Rozmyślenia przerwał dzwonek interkomu na biurku. Nacisnęła przycisk:

— Słucham?

— Anna? To jeszcze raz Ed — w głośniku zabrzmiał głos Payne'a. — Claude i reszta skończyli naradę i proszą, żeby wszyscy zebrali się w jadalni. Możesz zejść?

— Oczywiście i przyniosę ci zdjęcia przy okazji. Już znalazłam to, o co mi chodziło. Do zobaczenia za chwilę. — Wyłączyła mikrofon i głośnik.

I właśnie wtedy, wstając z miejsca, przypomniała sobie, że Ferracini i Cassidy rozmawiali o Mordziastym i o tym, jak jego gangsterzy pobili ich przyjaciół w jakimś lokalu, do którego chadzali w Nowym Jorku. Wśród nich miała być jakaś dziewczyna, o której Ferracini opowiadał ze szczególnym zaangażowaniem, tonem bardziej osobistym, niż wypadało mówić żołnierzowi oddziałów specjalnych.

— A więc tak to jest — powiedziała cicho do siebie i uśmiechnęła się, chowając zdjęcia do koperty.

—
Musi to być nie lada dama.

Skoro rzecz cała sprowadzała się do takiego prostego wyjaśnienia, to Anna nie widziała powodów, aby rozdmuchiwać aferę. Nie wszyscy jednak musieli podzielać jej zdanie. Wzięła kopertę i wyszła z gabinetu.

ROZDZIAŁ 14

Kiedy Anna weszła do jadalni, wszyscy uczestnicy narady już tam byli i czekano tylko na nią. Kurt Scholder siedział obok Selby'ego, Mortimer Greene stał przy drzwiach, major Warren przysunął sobie krzesło do stołu, gdzie Ferracini z Cassidym grali przed chwilą w karty. Winslade przechadzał się pośrodku pokoju. Pod szyją miał muszkę w kropki, taką jakie lubił Churchill. Winslade'owi podobał się styl Churchilla i zaczął go naśladować, ale w tej chwili w jego postawie nie było nic z owej jowialności, jaka kojarzyła się z Churchillem. Wszyscy obecni czekali w milczeniu. Wreszcie Winslade przestał dreptać, stanął pośrodku pokoju i spojrzał prosto na zebranych. Był śmiertelnie poważny.

— W ubiegłym miesiącu — zaczął — Hitler i Mussolini ogłosili zawarcie ścisłego sojuszu wojskowego, z czym zresztą liczono się powszechnie. Pakt, nazwany Stalowym, zobowiązuje sygnatariuszy do udzielenia sobie wzajemnie pomocy, gdy któryś z nich przystąpi do działań wojennych, i potwierdza zasady wspólnej polityki zagranicznej nastawionej na podboje i hegemonię.

Dzień później, 23 maja, jeśli wydarzenia przebiegały zgodnie z tym, co o nich wiemy z naszej historii, Hitler zwołał w Berlinie konferencję wyższych dowódców wojskowych i oświadczył im, że wojna jest nieunikniona. Bez niej niemożliwe będą dalsze sukcesy polityczno-terytorialne. W istocie, niemiecki Sztab Generalny opracował już tak zwany Fali Weiss, czyli operacyjny plan napaści na Polskę. Sprawa Gdańska to tylko pretekst. Decyzje, które w sierpniu wywołają ogólnoeuropejską katastrofę, już zapadły. — Winslade uczynił wymowny gest ręką i popatrzył na zebranych. — Nasza misja miała dwojaki cel. Po pierwsze mieliśmy ustanowić tu, w Stanach Zjednoczonych, ośrodek powrotny osłabiający działanie sił manipulujących Hitlerem. Po wtóre zaś, i było to zadanie znacznie pilniejsze, mieliśmy spowodować pewne pozytywne przemiany w Anglii i we Francji. — Wziął

głęboki oddech, chwilę odczekał, a następnie wypuścił z płuc cały zapas powietrza. — Jest moim obowiązkiem poinformować was oficjalnie, że jak dotychczas, nie udało się wykonać żadnego z tych zadań. Wyniki naszych wysiłków w Europie są niedostateczne, a jeśli chodzi o stan spraw tu, na miejscu, wszyscy dobrze wiecie, jak się przedstawia. Nie nawiązaliśmy łączności z rokiem 1975, co więcej: jest wielce prawdopodobne, że nigdy nie zdołamy tego uczynić.

Winslade zacisnął usta i patrzył na słuchaczy surowym wzrokiem. Czekał, aby do wszystkich i do każdego dotarła pełna treść tego, co właśnie powiedział. Zapadła cisza. Przerwał ją po chwili głośny trzask. To Floyd Lamson bezwiednie przegryzł ołówek, który trzymał w zębach. Gordon Selby i Anna wbili wzrok w podłogę, jakby to, co usłyszeli, wcale ich nie zaskoczyło. Ryan był oszołomiony.

Kapitan Payne tarł palcami brwi i potrząsał głową.

— A więc — powiedział — oznacza to, że skoro nie udało się uruchomić pilotowego kanału łączności, to nie będzie również funkcjonować główny system translokacji.

— Dokładnie tak — odparł krótko Winslade.

W pierwszym odruchu Ferracini po prostu niczego nie rozumiał. Minie dobra chwila, nim do jego świadomości dotrze istota tego, co usłyszał. Owszem, jego rozum ogarniał znaczenie słów, emocjonalnie jednak nie akceptował tego. Podświadomie szukał jakiejś ucieczki. Spojrzał na Cassidy'ego i nagle twarz przyjaciela — opuszczona szczęka i szeroko otwarte, zszokowane oczy — wydała mu się niezwykle komiczna.

— Hej, Kowboju — Ferracini usłyszał własny głos — nie będzie więc pocztówek z jachtu na Bahamach. — Cassidy wpatrywał się w przyjaciela zbyt ogłupiały, by cokolwiek powiedzieć.

— Harry ma rację. Według tego, co Claud mówi, nie ma powrotu — potwierdził Mortimer Greene.

Winslade patrzył bez mrugnięcia okiem przez swoje okulary.

— Tak, i żeby nie było żadnych wątpliwości, pozwólcie, że wyjaśnię, co to znaczy. Otóż za oceanem rozkręca się nazistowska machina wojenna i z każdym dniem nabiera tempa. Plany są gotowe i

zatwierdzone. Generałów, którzy byli innego zdania, odsunięto. W ciągu czterech ledwie lat

niemiecką armię rozwinięto do pięćdziesięciu jeden dywizji, w tym dziewięć pancernych; dawna armia kajzerowska potrzebowała aż szesnastu lat, przed wybuchem Wielkiej Wojny, by zwiększyć swoje siły z czterdziestu trzech do pięćdziesięciu dywizji. Jednocześnie stworzono Luftwaffe.

Zaczynając od zera, zorganizowano dwadzieścia jeden dywizjonów z dwustu sześćdziesięcioma

tysiącami ludzi. Na domiar złego Hitler ma gwarancje pomocy ze strony sił funkcjonujących w przyszłości odległej od naszej własnej o pełne pięćdziesiąt lat. A cóż my sami możemy temu

wszystkiemu przeciwstawić? Rozważmy najgorszy z możliwych wariantów, założmy, że nie da się uruchomić projektora powrotnego. — Winslade rozłożył ręce, spojrzał w lewo i prawo, jakby kierował

swe słowa do każdego ze słuchaczy z osobna. — Możemy liczyć tylko na siebie, na nas tu, na miejscu, i na Arthura Banneringa w Anglii. I takimi siłami mamy wpłynąć na Francję, która już padła ofiarą własnego defetyzmu, mamy przekonać zmęczoną i apatyczną Anglię, cyniczną i podejrzliwą Rosję i Amerykę, która jak struś chowa głowę w piasek, nie zdając sobie sprawy, że zagrożenie ma

charakter globalny. — Wzruszył ramionami i wymownie pokazał puste dłonie. — Nie otrzymamy nic

z roku 1975. Nie będzie Kennedy'ego i ekspertów, którzy mogliby podjąć zadanie, nie będzie pomocy wojskowej, żadnych nowych broni, które mogłyby nas zabezpieczyć przed hitlerowskimi bombami atomowymi. Jesteśmy skazani wyłącznie na siebie.

Myśli kłębiły się w głowie Ferracini. Jedno było pewne: nikt nie mógł zarzucić Claudowi, że nie mówi całej prawdy. Ferracini już to znał, to była metoda Winslade'a. Najpierw oszałamiał słuchaczy, przedstawiając możliwie najgorszy obraz, a później, z wolna, pozwalał im odzyskiwać wiarę i mieć nadzieję, ale tylko w takim zakresie i w takiej skali, jaką sam wyznaczał. W taki właśnie sposób prowadził rozmowy z kandydatami do misji „Proteusza”.

Gordon Selby pogładził dłonią czarną czuprynę i spojrzał na Scholdera.

— Nie masz nic do dodania, Kurt? — zapytał. — Naprawdę nie wiadomo, gdzie tkwi błąd?

— Nie mamy żadnej pewności ->- odparł Scholder, ale w jego głosie zabrzmiała szczególna nuta. —

Sądzymy jednak, że jest coś, co może nam pomóc rozwikłać tajemnicę.

Ferracini dostrzegł błysk w oczach Winslade'a i nagle uświadomił sobie, że ma do czynienia z dobrze znanym chwytem: z jednej strony rozwiewano wszelkie nadzieje, z drugiej zaś dawano do zrozumienia, że jednak coś się da zrobić. Również Anna Kharkiovitch zdała sobie z tego sprawę.

— Jak rozumiem, Claud — wtrąciła — chcesz nam powiedzieć, że jednak coś się da zrobić? W porządku, od czego zaczynamy?... Mamy mało czasu...

— Co właściwie Kurt miał na myśli mówiąc, że jest coś, co pozwoli rozwikłać tajemnicę? Jak? Z tego, co Mortimer mówił wczoraj, odniosłem wrażenie, że tylko Einstein lub ktoś taki mógłby nam pomóc.

— Trafieś w dziesiątkę, Gordon. O to właśnie chodzi — odparł Winslade z nagłym ożywieniem — potrzebny nam jest Einstein!

— Co?! — wykrzyknął zaskoczony Selby.

Jak magik, który wyciąga królika z cylindra, tak Winslade objawił wreszcie swój sekret.

— Einstein — jak wiecie — jest niedaleko stąd, po drugiej stronie Zatoki Hudsona, w Princeton, w stanie New Jersey. Wiecie też, że celem naszej misji było nawiązanie kontaktu z Rooseveltem i obecną Administracją amerykańską, prawda? No cóż, gdyby nawet nie udało się nam doprowadzić do kontaktu z Kennedym, to przecież możemy sami dotrzeć do Roosevelta, a za jego pośrednictwem do całego środowiska uczonych w Stanach Zjednoczonych i zjednać sobie ich pomoc.

Jakby na dany sygnał Mortimer Greene opuścił swoje stanowisko przy drzwiach, stanął obok

Winslade'a i zakomunikował:

— Wznawiamy prace montażowe nad projektorem powrotnym — oznajmił — i będziemy je prowadzić do końca. Oznacza to, że każdego z nas czeka sporo pracy. Major Warren wyznaczy dyżury i do popołudnia ogłosi nowy rozkład zajęć. Są pytania?

Wyglądało to jak ulaskawienie w ostatniej chwili przed egzekucją. I znów jakby wszystko wracało do normy, do stanu i trybu, w jakim funkcjonowali przez ostatnie pięć miesięcy. Wszyscy jednocześnie zaczęli coś mówić, w miarę jak opadało napięcie i wracał zapal do pracy.

— A w jaki sposób nawiążemy kontakt z Einsteinem? — zapytał Payne.

— Tego jeszcze nie wiemy — odparł Greene. — Nie jest to prosta sprawa. Nie da się do niego po prostu zadzwonić — telefonistki w Princeton mają bardzo ścisłe instrukcje dotyczące osoby

Einsteina, zwłaszcza że bez przerwy telefonują do niego różni szaleńcy.

— A może napisać list, jak do Churchilla? — podpowiedział Ryan.

— Wątpię, czy to będzie skuteczne rozwiązanie — rzekł Winslade. — Einstein to typowy roztargniony uczoney. Poza tym otrzymuje tysiące listów. Nie wiadomo, kto je najpierw otwiera i ile z tych listów rzeczywiście trafia na jego biurko, trudno także powiedzieć, co się dzieje z

korespondencją, którą zajmuje się osobiście. Kiedy przyjechał do Stanów w 1933 roku, przegapił zaproszenie na przyjęcie w Białym Domu, ponieważ po prostu nie przeczytał listu od prezydenta.

— Żartujesz?

— Wcale nie. Powiadają, że innym razem wziął czek na tysiąc pięćset dolarów, który otrzymał tytułem jakiejś nagrody, i użył go jako zakładki do książki. A później zgubił i książkę, i czek.

— A może lepiej spróbujmy najpierw dotrzeć do Roosevelta — powiedziała Anna.

— Może tak trzeba będzie zrobić — zgodził się Winslade. — Dotarcie do prezydenta też nie jest proste. Z Churchillem było łatwiej, bo jest prywatną osobą. Nie wykluczamy jednak żadnych możliwości.

Winslade znów był sobą.

— Nasze drugie zadanie zobowiązywało nas do działań, które miały doprowadzić do wysokiego poziomu gotowości w Europie. Skoro teraz okazuje się, że trzeba będzie tego dokonać bez zaplecza

materiałowego i materialnego, na które liczyliśmy, to sprawą pierwszorzędnej wagi staje się kwestia ewentualnego sojuszu wojskowego między Rosją a Zachodem. To jeden z powodów, dla których

Arthur pozostał w Anglii. W świetle faktu, że polityka wobec Rosji nabiera w tej sytuacji specjalnego znaczenia, nie wykluczam, Anno, że i ciebie wyślemy do Europy, do pomocy Arthurowi i

Churchillowi. Czynią oni obecnie starania, aby do Moskwy, zamiast Stranga, wysłano Anthony'ego Edena.

W świecie „Proteusza” rozmowy z Rosją zakończyły się impasem w związku z kategorycznym sprzeciwem Polski, Rumunii i państw bałtyckich, które nie zgodziły się na przemarsz wojsk

rosyjskich przez swoje terytoria. W tej sytuacji trudno było poważnie dyskutować nad kwestią rosyjskiej pomocy na wypadek ataku nazistów. Próbując przełamać impas, Mołotow poprosił, aby do debaty włączył się osobiście lord Halifax, brytyjski minister spraw zagranicznych. Ten jednak odmówił i na rozmowy wyznaczono niskiego rangą urzędnika Foreign Office. Nazywał się Strang i miał ograniczone pełnomocnictwa. Bez przerwy musiał się konsultować z Londynem i prosić o instrukcje.

— A więc dlatego Arthur został w Londynie? — zapytała Anna, marszcząc brwi.

— Tak — odparł Winslade.

Anna jeszcze bardziej spochmurniała. Wiedziała, że instrukcje, jakie Winslade otrzymał od

prezydenta Kennedy'ego w świecie „Proteusza”, nie mówiły nic o ewentualności desygnowania Edena zamiast Stranga na rozmowy w Moskwie. Stąd pomysł ten musiał być własną inicjatywą

Winslade'a. I jeśli dlatego zostawił Banneringa w Londynie, to musiał wiedzieć, że projektor powrotny nie zafunkcjonuje, a przynajmniej musiał zakładać taką ewentualność, nim jeszcze wrócił

do Stanów. Nagle Anna zaczęła się zastanawiać nad tym, co jeszcze Winslade może wiedzieć, i czym nie dzieli się z pozostałymi uczestnikami misji.

Po skończonej odprawie Scholder z majorem Warrenem zostali w jadalni, Winslade z Greene'em

wrócili do głównego biura. Winslade zamknął drzwi. Greene nalał kawy z dzbanka na

podgrzewaczu. Postłodził łyżeczką cukru i zasiadł ciężko przy biurku.

— Nie spodziewałem się, że pójdzie tak dobrze, Claud — zwierzył się. — Cieszę się, że ci się udało.

— Winslade wyjął cygaro i spoglądał obojętnie na wielką mapę świata rozpiętą na ścianie. Greene popijał kawę. — Sądzisz, że Einstein coś poradzi? — W jego głosie brzmiała nuta zwątpienia.

— Kto wie? — odparł Winslade. — Jedno wiem na pewno: jeśli chce się wygrać na loterii, to najpierw trzeba kupić los. Nie była to zbyt pocieszająca odpowiedź.

— A jeżeli Einstein nie pomoże? — zapytał Greene. Winslade oderwał wzrok od mapy i spojrzał na Greene'a przez swoje okulary.

— No cóż — rzekł — założmy, ot tak na próbę, że rzeczywiście Einstein nic nie poradzi. Jak będziesz się czuł?

— Osobiście? To masz na myśli?

— Tak.

Greene znów popił kawy.

— Wiele o tym myślałem, czekając na twój i Kurta powrót z Anglii — rzekł. — I wiesz co, Claud? Im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej zaskakiwało mnie to, że perspektywa ta wcale mnie nie przeraża. W gruncie rzeczy nie mam już żadnych związków z rokiem 1975. Jak wiesz, żona zmarła osiem lat przed moim wyjazdem. Nie mieliśmy dzieci, a z dalszą rodziną nie utrzymywaliśmy

bliższych kontaktów, rozumiesz mnie?... Od lat już nie widywałem nikogo z rodziny. Wydaje mi się, że stałem się takim akademickim odludkiem. Pogrążyłem się w problemach fizyki matematycznej, zająłem się kształceniem studentów. — Westchnął. — Być może w ten sposób rekompensowałem sobie brak rodziny.

— Nikogo w zespole nic specjalnie nie wiąże z tamtym światem — zauważył Winslade. — Nawet ta narzeczona, o której Cassidy wszystkim opowiada, to wcale nie jest poważna sprawa, rozumiesz. Da sobie lepiej radę bez niej.

Greene słuchał tego jednym uchem.

— I powiem ci, że nie było sensu przejmować się studentami w tamtym świecie — rzekł jakby do siebie. — Jaki cel mogła jeszcze osiągnąć nauka? Jaka była przyszłość? Tu przynajmniej mamy szansę.

— To wszystko? — spytał Winslade. Z jego tonu wynikało, że nie uznaje sprawy za zamkniętą.

Greene wpatrywał się w swoją filiżankę. Gdy podniósł wzrok, w jego oczach zapaliły się twarde błyski, a twarz przybrała zdecydowany wyraz.

— Nie, Claud, to nie wszystko — powiedział. — W tamtym świecie sprawy byłyby już skończone.

Ameryka oczywiście przystąpiłaby do walki, wedle najlepszych tradycji obrony honoru i w ogóle. Ale byłby to pusty gest. Nasze życie dobiegało kresu. Tu natomiast jest inaczej. Owszem, mamy kłopoty, ale jeszcze nic straconego. Nie mam pojęcia jak, ale na pewno jest jakiś sposób na

zatrzymanie nazizmu. — Greene uderzył otwartą dłonią o biurko. — Do diabła, Claud, będę się bił nawet gołymi rękami, gdy zajdzie taka konieczność. W tym świecie mamy jeszcze o co walczyć: o zmianę, o to, by losy potoczyły się inaczej. A jeśli nawet się nie uda, to zginiemy z godnością. A to nie byłoby nam dane w świecie, który skapitulował, który poddał się jak bezrozumne zwierzę.

Winslade przyjął tę deklarację z uznaniem.

— Myślę, że i pozostali dojdą w końcu do takich samych wniosków — rzekł. — Myślę, że podświadomie, większość z nich już tak uważa. I sędzę też, że doktor Einstein wykona swoje zadanie, jeśli tylko roztoczy przed nimi racjonalną wizję, podczas gdy będą się przystosowywać do nowej rzeczywistości.

Greene spojrział z niedowierzaniem.

— Ale oczywiście będziemy się starali o kontakt z Einsteinem? — powiedział. — Przyrzekłeś przecież ludziom, a poza tym nie wolno nam zmarnować tej szansy.

— Nie martw się, Mortimer — upewnił go Winslade. — Kto wie, może wygramy los.

Przez chwilę milczeli obaj i Winslade w końcu zapalił swoje cygaro. Greene oparł się na krześle i patrzył na drzwi.

— W porządku — powiedział — a zmieniając temat... co zrobimy w sprawie tej afery z Brunem Yerucinem? — zapytał. Winslade wypuścił kłęb niebieskawego dymu.

— No cóż — powiedział — stało się chyba oczywiste, że to sprawka naszych ludzi.

— Bez wątplenia. — Greene machnął ręką w stronę gazet na biurku. — Porównaliśmy te zdjęcia z naszymi fotografiami, ja zresztą i tak nie miałem wątpliwości. Yerucin był tutaj. Tymczasem nikt od niego nie przyszedł po pieniądze na początku miesiąca. Cała zaś sprawa zdarzyła się wtedy, gdy wstrzymaliśmy prace przy maszynie i dałem chłopcom parę dodatkowych dni wolnych. Kontrola w magazynie amunicji wykazała, że brak jest pięciu nabojuów kaliber .45.

— I twoim zdaniem należałoby wdrożyć oficjalne postępowanie dyscyplinarne — ^rzekł Winslade.

— Poważnie, nie wolno na to patrzeć przez palce — zaprotestował Greene. — Moim zdaniem

nastąpiło naruszenie regulaminu i to w czasie wykonywania tak ważnego zadania jak nasze... Jest jeszcze sprawa Harveya Warrena. W końcu to on nimi dowodzi. Jak może zachować autorytet, jeśli nie zareagujemy? Jak on będzie wyglądał?

— Nie mówiąc już o twoim autorytecie — dodał z cicha Winslade. Greene już miał zaprotestować, gdy zdał sobie sprawę, że wyglądałoby to dość nieszczerze.

— Owszem — powiedział zaciskając zęby — chodzi też o mój autorytet.

Winslade odwrócił się od mapy, którą przez cały czas studiował, wypuścił kłęb dymu z cygara.

— Nie ma powodów zakładać, że oni wiedzą, iż my wiemy — podkreślił.

Greene westchnął i skurczył się na krześle. Tak, to była prawda, ale odpowiedź Winslade'a wcale go nie zadowalała.

— Posłuchaj — powiedział — kierowanie grupą „Cukier” należy do mnie i jak mam wypełniać swoje obowiązki, gdy każdy, komu przyjdzie na to ochota, będzie rozpoczynał swoje własne, prywatne wojny?

— Pozwól, że ci coś powiem. Żołnierze z oddziałów specjalnych to coś więcej niż zwykłe wojsko, to nie bezmyślne automaty jak inni — rzekł Winslade. — Znam ich i pracuję z nimi od lat. Muszą być samodzielni i z inicjatywą. W postępowaniu z nimi nie sprawdzają się konwencjonalne sposoby wdrażania dyscypliny wojskowej. Kaprałskie metody budzą tylko ich sprzeciw.

— Jak więc chcesz sobie zapewnić szacunek i posłuszeństwo? — zapytał Greene.

— Właśnie okazując im szacunek.

— Jeśli nawet zachowują się jak gangsterzy i narażają na niebezpieczeństwo całą naszą operację.

— Szanuję ich za to, że są myślącymi ludźmi, że mają ludzkie uczucia i że są inni niż wymóżdżone roboty z SS. Greene zastanowił się.

— Nie jestem pewien, czy mogę się zgodzić z twoim zdaniem — rzekł niechętnie. Ton jego głosu świadczył, że raczej przyjmuje punkt widzenia Winslade'a, ale też nie chciał od razu oddać pola.

Winslade ułatwił sytuację, podejmując dalszą polemikę:

— Spróbuj ich zrozumieć, wczuj się w ich położenie — rzekł. — Na własne oczy poznali skutki nazistowskich wojen i doskonale wiedzą, co oznacza podbój Europy. Z drugiej zaś strony widzą, jak przywódcy Zachodu, jeden po drugim, ustępują wobec dyktatorów. Są sfrustrowani, bo nic w tej sprawie nie mogą zrobić. Mogli jednak załatwić tego swojego Hitlerka — Bruna. Mówiłeś przed chwilą o własnej godności, Mortimer. Żołnierze też mają swoją godność. Nie można z jednej strony potępiać polityków, że nie potrafią zareagować na poniżenia, a z drugiej godzić się na to, że obiektem terroru stają ich własni przyjaciele. Oni musieli to zrobić, rozumiesz? A co najważniejsze, gdyby byli z innej gliny, nie wybrano by ich do wykonania takiego zadania, jak nasze.

Greene jeszcze przez chwilę ważył słowa Winslade'a, wreszcie kiwnął głową na znak, że przyjmuje argumentację.

— W porządku, Claud. Nie wiem, czy przekonałeś mnie do końca, ale zgadzam się. Udajemy, że o niczym nie wiemy. Ale co zrobimy z Harveyem Warrenem? Jest moim zastępcą w Nowym Jorku.

Myślisz, że on też zrozumie i nie będzie miał żalu?

— Pogadam z nim po południu — przyrzekł Winslade. Atmosfera w gabinecie wyraźnie zelżała.

— Muszę przyznać, że chciałbym oglądać tę akcję — powiedział Winslade z uśmiechem. — A masz pojęcie, kto właściwie brał w tym udział?

Greene przetarł dłonią wąsy.

— Harvey uważa, że musiał tam być Ferracini, bo wie, jak ostro zareagował na pobicie tej dziewczyny w barze — rzekł. — Ferracini był zapewne inspiratorem. Wszystko się w nim ostatnio gotuje.

— Uhm, to rzeczywiście podobne do Harry'ego — zgodził się Winslade. — A skoro tak, to automatycznie był w tym także Cassidy. Są jak bliźniacy, a poza tym Cassidy ma swoje zasady, choć może to wydawać się dziwne. Cassidy to indywidualista. Czasami ten swój indywidualizm manifestuje w trudny do przyjęcia sposób, bywa nieznośny w towarzystwie, ale to po prostu jego wentyl bezpieczeństwa. A kto jeszcze? Wyobrażam sobie, że Floyd. Cała ta operacja jest wyraźnie w jego stylu.

Greene przytaknął.

— Zapewne też Ryan...

— A drugi z kapitanów, Ed Payne?

— Raczej nie. Payne to typ intelektualisty. A poza tym to właśnie on doniósł o brakach w magazynie środków usypiających, co wskazuje, że chyba jednak nie brał w tym udziału. Wątpię, czy w ogóle wiedział, że coś takiego się szykuje.

Winslade potaknął, jakby dawał do zrozumienia, że taka ocena zgadza się z jego własnymi przemyśleniami. Chciał jeszcze coś dodać, gdy właśnie rozległo się pukanie do drzwi i wszedł major Warren.

— Nie przeszkadzam? — zapytał.

— Nie, wejdź, Harvey — rzekł Winslade — o co chodzi? Warren kręcił się, jakby nie wiedział, jak wyrazić to, co miał do powiedzenia.

— Chodzi o sprawę, którą poruszyłeś, o kontakt z Einsteinem. Znaleźliśmy chyba sposób.

Winslade i Greene spojrzeli na siebie zaskoczeni.

— Jaki sposób? — zapytał ostrożnie Greene.

— No więc... — Warren niepewnie spuścił wzrok. — Cassidy mówi, że znają z Ferracinim kogoś, kto zna Einsteina. Mówi, że mogą nas skontaktować.

— Cassidy! — wykrzyknął Greene. — Jak to możliwe, że właśnie on zna kogoś, kto może mieć jakieś dojście do Einsteina? To błąd, na litość boską! On... — Greene zamilkł na znak Winslade'a.

— Mów dalej, Harvey — rzekł Winslade.

— Zdaję sobie sprawę, że brzmi to nieprawdopodobnie — rzekł Warren — ale Cassidy twierdzi, że poznali pewnych fizyków z Columbi, między innymi Fermiego... Wspomniał też o Leo Szilardzie, tym co opatentował pompę termiczną wspólnie z Einsteinem, kiedy jeszcze pracowali razem w

Europie w latach dwudziestych.

Greene opadł na krzesło całkowicie zaskoczony.

— Fermi? Szilard? Ktoś taki jak Cassidy nie może nawet znać tych nazwisk!

— Też mi się tak wydawało — rzekł Warren — ale Cassidy twierdzi, że wie, co mówi. Co więcej, Gordon Selby, który parę razy jeździł z nimi do miasta, potwierdza, że poznał niektórych z tych ludzi. Selby powiada, że warto spróbować.

ROZDZIAŁ 15

Jeff marszczył brwi i z wyraźnym niezadowoleniem patrzył przez swoje wypukłe jak u sowy szkła na wybebeszone wnętrze rozmontowanego gramofonu sprężynowego. Mechanizm rozłożył przed sobą na stole — w dużym pokoju mieszkania — i próbował śrubokrętem coś poprawić. Włożył w końcu

standardową płytę, siedemdziesiąt osiem obrotów, na miejsce, włączył sprężynę i opuścił igłę.

Rozległy się szumy i trzaski, a po chwili miły, choć niewyraźny głos wokalistki i akompaniamentu:

/ press the middle valve down, The music goes round and round.

Oh-ho, Oh-ho, Ho-ho! And it comes out here... *

Za duże obroty i zbyt piszczący głos. Jeff zatrzymał płytę i spróbował jeszcze pokręcić śrubą regulacyjną. Z wnętrza urządzenia dobiegło nie wróżące niczego dobrego boingg. Westchnął i

podniósł wzrok.

— No, nie wiem, ale mogę spróbować — rzekł. — Wiele się zmieniło od kwietniowego artykułu

Fermiego i Szilarda w „Physical Review”. Teraz wszyscy... jak to nazwać... stosują autocenzurę. Nie publikują już informacji o badaniach. Wszyscy jakby zamknęli się w sobie.

— Domyślasz się dlaczego? — zapytał Gordon Selby. Siedział na kanapie obok Cassidy'ego. Wiedział

oczywiście dlaczego, ale był ciekaw, co na ten temat powie Jeff.

Jeff wzruszył ramionami.

— Jeśli możliwa jest reakcja łańcuchowa, to możliwe jest wyprodukowanie bomby o sile znacznie większej, niż osiąga się z zastosowaniem zwykłych materiałów wybuchowych — odparł. — Tak jak u nas, tak i w Niemczech są ludzie, którzy potrafią ocenić znaczenie doświadczeń Hahna-Strassmanna. Jest na przykład Heisenberg. Nie wolno ryzykować i publikować informacji, które mogłyby im ułatwić zadanie.

— A co się dzieje z tym facetem, który prowadzi eksperymenty, no... z Fermim? — zapytał Cassidy.

— Mówią, że to kontaktowy gość. Dałoby się z nim pogadać?

— Nie. Teraz już nie — rzekł Jeff. — Fermi wyklada obecnie w Ann Arbor, w stanie Michigan. Ale jest taki facet, John Dunning, który z nim pracował i można by z nim spróbować. Nie będzie łatwo.

Asimov, ten zawsze chce się czegoś nowego dowiedzieć, więc ten Asimov pytał niedawno profesora Ureya o doświadczenia z uranem, o których słyszał, i tak mu zmyto głowę, że się nie mógł pozbierać.

Wszyscy są teraz bardzo tajemniczy.

Ferracini stał po drugiej stronie stołu i patrzył przygnębiony w przestrzeń. Dlaczego, do cholery, Cassidy nie powiedział Claudowi prosto i zwyczajnie, że znają tylko pewnego studenta z Columbii, który ewentualnie może doradzić, do kogo naprawdę można się zwrócić? Tymczasem Cassidy, jak to on, wyskoczył od razu z wiadomością,

— Od naciśnięcia guzika, Zaczyna grać muzyka. Och-ho, och-ho, ho-ho! Dobiega muzyka z

głośnika... że znają samego Fermiego. Claud i Mortimer okazali zainteresowanie i poprosili o zorganizowanie spotkania. Cassidy zamiast wycofać się, kiedy jeszcze była pora, puścił się na szerokie wody. „Nie ma sprawy, Claud — powiedział — daj nam z Harrym dzień lub dwa, a załatwimy”.

Później zaś Winslade, który dobrze znał Cassidy'ego, poprosił Ferracinię, aby powiedział, jak to jest naprawdę, i ku ogromnemu zdumieniu Harry'ego, zamiast po cichu zrezygnować z całej historii i próbować szukać kontaktów gdzie indziej, zdecydował, żeby jednak drażyli sprawę, choć Ferracini nie dawał wielu szans. A teraz... no właśnie, Fermiego nawet nie było w Nowym Jorku, a ci, co byli na miejscu, nie chcieli z nikim rozmawiać. Nawet Selby zaczął rozumieć, że swobody akademickie, oczywiste — zdawało się — w warunkach roku 1939 — nie są jednak tak daleko idące, jak mogłoby to wynikać z pierwszych rozmów z Jeffem.

Ferracini nie rozumiał gry, jaką prowadzi Winslade. Jeśli chciał skarcić Cassidy'ego i przekonać go,

że nie należy rzucać słów na wiatr, to mógł to uczynić inaczej, niekoniecznie ośmieszając go wobec wszystkich. Nie było to w stylu Clauda.

Janet siedziała przy drzwiach prowadzących do drugiego pokoju i z uwagą wpatrywała się w czubki swoich butów.

— Dla kogo wy właściwie pracujecie? — zapytała podejrzliwie. — Dlaczego wciągacie w to Jeffa? To absurd. Jeśli rzecz ma podtekst polityczny, to niech politycy wystąpią oficjalnie do władz uczelni.

Jeśli reprezentujecie naukowców, to jak to się dzieje, że wasi szefowie nie znają tych ludzi?

Spodziewali się takiego pytania.

— No cóż, nasi szefowie reprezentują pewną grupę interesów, prywatne konsorcjum, które obawia się, że Hitler pierwszy może zyskać dostęp do tych supermateriałów wybuchowych — wyjaśniał

Selby. — Chętnie więc sfinansują odpowiednie badania tu, w Stanach, ale zanim zaczną się

formalności i cała biurokracja, chcieliby zwyczajnie pogadać prywatnie z zainteresowanymi naukowcami, aby się upewnić, że sprawa ma ręce i nogi.

— Rozumiem — odparła niezbyt przekonana Janet.

— A co z Leo Szilardem? — zapytał Selby, spoglądając na Jeffa. — On też bierze udział w badaniach eksperymentalnych, prawda? Jest Węgrem, a więc Europejczykiem. Może więc coś wiedzieć i o tym, co robią Niemcy, i o tym, co robi się tutaj. — Tak naprawdę Selby'ego interesował fakt, że Szilard był starym, osobistym przyjacielem Einsteina. Nie wspominał jednak o Einsteinie, żeby nie

komplikować sprawy.

— Nie wiem — odparł Jeff. — Jutro pogadam z Dunningiem i paroma innymi i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Tego wieczora już nic więcej nie można było zrobić. Zaczęli rozmawiać o uniwersytecie, o jego słynnych budynkach, o Morningside Heights — dzielnicy uniwersyteckiej, a później o dojazdach na Manhattan. Jeff zauważył, że można praktycznie całe życie spędzić w metrze, wcale nie wychodząc na ulicę.

— Tam, pod ziemią, jest jakby drugie miasto — powiedział. — Są restauracje, salony fryzjerskie, stoiska pucybutów, a większość drapaczy chmur ma bezpośrednie połączenia z metrem. Można na przykład mieszkać w hotelu Commodore, pracować w budynku Chryslera, stołować się u Savarina, robić zakupy w domu towarowym Bloomingdale'a, chodzić na pływalnię do St. Gerorge na

Brooklynie i na filmy do kina Rialto, można nawet wziąć ślub w magistracie — wszystko bez

wychodzenia na ulicę.

Selby pogrążył się w jednym z podręczników Jeffa. Jeff z Cassidym znów zajęli się gramofonem.

Ferracini stwierdził, że jest głodny, a Janet zaoferowała się, że skoczy do meksykańskiej restauracji w pobliżu i coś przyniesie. Ferracini powiedział, że pójdzie razem z nią.

Nadszedł wieczór, ale po upalnym dniu jeszcze było parno. Świeciły się już latarnie i szyldy nad barami, restauracjami i tanimi kinami wciśniętymi między sklepy spożywcze, jatki i sklepy

warzywnicze z wystawami pełnymi mango, tamarynd oraz papryki i fasoli, wszystkiego, co typowe dla latynoskiego Harlemu — dzielnicy, która się zaczynała za sąsiednią ulicą. Przewalały się tłumy Portorykańczyków i śniadoskórych Latynosów. Krążyły gromady dzieciaków. Jedne bawiły się w

skakanek w świetle ulicznych latarni, inne grały w klasy na chodniku, a jeszcze inne podskakiwały, jak na trampolinie, na sprężynach jakiegoś wyciągniętego ze śmietnika łóżka. Nastoletnie wyrostki wyległy przed bramy przepastnych czynszówek, a dorośli, w kolorowych koszulach i bluzkach w kwieciste wzory, siedzieli na schodach przed domami i toczyli rozmowy, przyglądając się

otaczającemu ich światu.

Naziści podbili Europę, nim jeszcze Ferracini się urodził, a gdy dorastał, dokonywano gwałtu na Azji i Afryce, natomiast w czasach, kiedy zaczynał rozumieć świat i jego sprawy, gospodarka

amerykańska rozwijała przemysł wojenny, a Stany Zjednoczone gotowały się do ostatecznego,

nieuniknionego — jak powszechnie uważano — starcia. Słyszał jednak i czytał o innym życiu, o miastach, takich jak Londyn, Paryż, czy Wiedeń, które ongiś należały do wolnego świata i wabiły przybyszów swoimi atrakcjami i tajemnicami. Przez kilka krótkich lat po Wielkiej Wojnie, świat zaczynał uwalniać się od odwiecznego syndromu imperializmu i ucisku, społeczności uczyły się, jak żyć razem. Ameryka zaś — kraj, w którym przedstawiciele wielu ras, języków i nacji na co dzień przemierzali te same ulice Nowego Jorku czy San Francisco, kraj, do którego portów codziennie zawijały statki pod setkami bander, i kraj, coraz bliższy dzięki komunikacji lotniczej — wskazywała światu perspektywę przyszłości.

Ferracini czuł się dziwnie, spacerując ulicami owej dawnej Ameryki. Taka Ameryka powinna była się ostać — myślał. Wokół dostrzegał wolność i swobodę, energię, jakiej nie było w czasach, do których mógł sięgnąć własną pamięcią. Owszem, pozostały jeszcze ślady po Wielkim Kryzysie, było wiele nie rozwiązanych problemów, ale generalnie przeważał nastrój optymizmu i wiary, pewności, że problemy zostaną rozwikłane. To Ameryka jego rodziców, których nie zdążył poznać, kraj, do którego wędrowali przez pół świata.

— Powiedziałeś mi kiedyś, że pochodzisz z tych okolic? — przypomniała Janet, gdy szli ulicą.

Ferracini oderwał się od myśli o przeszłości.

— Tak, tak jest rzeczywiście.

— A dokładnie skąd? Z dzielnicy włoskiej?

— Nie, tam mieszka nasza dalsza rodzina, ale rodzice wyprowadzili się na Queens. Oboje zresztą umarli, gdy jeszcze byłem dzieckiem. Wychowałem się u wujostwa w Hoboken, w New Jersey.

— Rodzice uznali, że było za ciasno? Dlatego się wyprowadzili z miasta?

— Zbyt wiosko.

— To dziwne.

Ferracini wzruszył ramionami.

— Włosi, Sycylijczycy, oni wszyscy lubią obracać się w rodzinnym otoczeniu, rozumiesz? Lubią czuć się u siebie. Gdy więc zaczynały napływać fale imigrantów, to ludzie z tych samych wsi i miasteczek garnęli się do siebie. I wkrótce zaczęła się tworzyć jakby mała Italia. Mój ojciec powiedział wtedy, że nie po to podróżował taki świat drogi, żeby znów być we Włoszech. Powiedział, że przybył tu po to, aby być Amerykaninem, no i przeprowadzili się za rzekę.

— A kiedy przyjechali do Stanów?

Najwidoczniej węszyła. Zatrzymali się na skrzyżowaniu Siódmej Alei. Nie chciał kłamać ani tym bardziej znaleźć się w sytuacji, w której będzie musiał tłumaczyć fakty nie do wyjaśnienia.

— Słuchaj — powiedział — wydawało mi się, że mamy coś kupić na kolację, a nie urządzać sobie przesłuchanie. Męczą mnie te pytania. A zresztą wszystko to działo się tak dawno i naprawdę nie ma już żadnego znaczenia.

— Nie chcę się mieszać do nie swoich spraw — odparła Janet — byłem po prostu ciekawa. — Nic nie mówiła, gdy przechodzili przez ulicę, na której akurat było mniej samochodów, a później zatopiła się we własnych myślach. Spoglądała jednak co chwila na Ferracinię, jakby nie była pewna. Gdy doszli do restauracji — małego, ale dobrze utrzymanego lokalu z dużym kolorowym menu

wywieszonym na wystawie — nie mogła już dłużej wytrzymać.

— Kim ty właściwie jesteś? — zapytała, przytrzymując Ferracinię przed drzwiami. Mówiła

stanowczym, ale cichym głosem, żeby nie zwracać niepotrzebnej uwagi stojącej obok pary. — Kim wy wszyscy właściwie jesteście: Cassidy, Gordon, Floyd, Paddy? Jeff powiedział mi, że był

zaskoczony wiadomościami Gordona, a w tej dziedzinie Jeffowi trudno zaimponować. I jak to się dzieje, że Gordon wie to wszystko, co wie, a jednocześnie nie jest znany w kręgach uniwersyteckich.

Jeff się rozpytywał i nikt nie słyszał o Gordonie. I jeszcze ta sprawa: jak załatwiliście Jaskiniowca i jego goryli? Johnny Szóstka wszystko mi opowiedział. Max twierdzi, że chyba jesteście z wojska.

Zapytałam Sida. Jego zdaniem nie istnieje żadne wojsko, które działałoby tak, jak wy. — Janet

potrząsnęła głową. — Nie zrozum mnie źle, Harry, ja naprawdę uważam, że to wielka sprawa, iż uwolniliście Maxa od kłopotów, i cieszę się jak wszyscy, że ktoś wreszcie kazał Brunowi zapłacić za to, co czynił. Ale też myślę, że nie zrobiliście tego wszystkiego ot tak po prostu, dla nas.

Zdecydowaliście się na to, bo Bruno zaczął mieszać się w wasze sprawy na Brooklynie.

Ferracini aż przełknął ślinę ze strachu i miał nadzieję, że nie widać, jaki jest przerażony.

— Bruno powiedział o tym Johnny'emu, kiedyście już wyszli — wyjaśniła Janet, dostrzegając zmieszanie Ferraciniego. — Widzisz, mnie się wydaje, że dzieje się coś dziwnego. I jeszcze jedno: kiedy ludzie, których dobrze nie znam, i którzy zajmują się jakimiś tajemniczymi sprawami, wyciągają mojego brata na spytki i to w sprawach, o których profesorowie nie chcą mówić, lecz interesują się nimi naziści, to... wybacz, ale mnie się to nie podoba. Jeff jest inteligentny i mądry na swój sposób, lecz czasami jest zbyt łatwowierny. I nie mów mi, że to nie moja sprawa, bo to jest moja sprawa. Ty nie jesteś zwyczajnym kierowcą ciężarówek, Harry. Kim więc jesteś, kim wy wszyscy jesteście i czego właściwie chcecie?

Ferracini patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, zastanawiając się gwałtownie nad odpowiedzią.

Poznał ją wystarczająco dobrze, by docenić jej inteligencję, i wiedział, że Janet chce, aby tak ją właśnie traktować.

— Nie wierzysz w to, co mówi Gordon? — zapytał.

Janet spojrzała nań z żalem.

— Biznesmeni mogą oczywiście zabiegać o kontakt z naukowcami, ale przecież nie będą

wynajmować prywatnego wojska na wojnę z takimi typami jak Bruno — odparła. Ferracini

westchnął ciężko i kiwnął głową. Spodziewał się takiego obrotu spraw. Selby przecież nic nie wiedział o wyprawie na melinę Bruna, gdyby było inaczej, pewnie wymyśliłby coś innego na

wytłumaczenie. Janet potrząsnęła głową. — Nie, Harry, nie wierzę w to, co mówi Gordon.

Ferracini przymknął oczy i przetarł powieki palcami.

— A czy ty, tak jak twój brat, też bywasz czasami zbyt ufna? — zapytał. Ponownie zaprzeczyła ruchem głowy.

— Chyba nie. Jestem od niego trochę starsza i więcej w życiu widziałam.

— A do mnie masz zaufanie?

Janet spojrzała prosto w jego twarz. Był skupiony i poważny.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała.

— ...Że nie mogę ci nic powiedzieć.

Zapadła długa cisza. Wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, wyrażały ich oczy. Chciała, żeby docenił to, że jest osobą myślącą i przecież tak się stało, w zamian domagał się teraz, aby uszanowała jego uczucia. Wreszcie Ferracini przerwał milczenie.

— Nie, nie pracujemy dla żadnego obcego mocarstwa ani dla obcych interesów, jeśli o to właśnie chciałaś spytać. Pracujemy dla Wujka Sama, dla Ameryki. Wystarczy?

Janet jeszcze przez chwilę wpatrywała się w jego oblicze. W końcu kiwnęła głową na znak, że satysfakcjonuje ją to wyjaśnienie.

— Chodźmy kupić coś na kolację — powiedziała.

Winslade oczywiście zdawał sobie sprawę z atmosfery tajności, jaka w pierwszej połowie 1939 roku zaczęła otaczać środowisko amerykańskich specjalistów atomowych, i z tego, że zaczęto dbać o tajemnicę i bezpieczeństwo badań. Nie miał przeto żadnych złudzeń co do reakcji, z jaką spotka się próba dotarcia do specjalnych informacji i specjalnych osobistości za pośrednictwem studenta-magistranta. A jednak nie chciał z góry odrzucać oferty zgłoszonej przez członka zespołu, mimo że owa propozycja opierała się na bardzo kruchych fundamentach. Nie chciał tego uczynić zwłaszcza teraz, kiedy wszyscy przeżyli ogromny szok. Ogólnie rzecz biorąc, dostrzegł w tym przedsięwzięciu możliwość podniesienia morale ekipy, a szczególnie wśród wojskowych, którzy zresztą wyszli z ową propozycją.

Ale jeśli pomysł ten ma przynieść owoce, to trzeba będzie dyskretnie zadziałać za kulisami. W takich działaniach Winslade był doświadczonym mistrzem.

Tak się złożyło, że po wyjeździe z Węgier, a przed przybyciem do Stanów Zjednoczonych, Leo Szilard spędził kilka lat w Anglii. Pracował tam z profesorem Lindemannem w Clarendon Laboratory w

Oksfordzie. I właśnie gdy Ferracini z całą resztą zasiadał do jedzenia chili, taco, enchilady i innych latynoskich specjałów, na pomocnym Manhattanie, Winslade telefonował do Arthura Banneringa w Londynie. Ściągnął go z łóżka, kazał odnaleźć Lindemanna i poprosić go o pilny telefon do Nowego Jorku. W godzinę później w ośrodku powrotnym zabrzmiał dzwonek telefonu.

— Nie, nie ma nowych wiadomości w sprawie projektora — powiedział Winslade do Lindemanna.
—

Sytuacja bez zmian. Wygląda na to, że jeszcze przez jakiś czas będą mi tu potrzebni obaj: Mortimer Greene i Kurt. Przyślę ci natomiast Gordona Selby'ego i Annę, żebyś był poinformowany. Anna zna się na rzeczy i będzie ci się z nią dobrze pracowało.

— W porządku — zgodził się Lindemann. — Ale pewnie nie dlatego Arthur poprosił mnie, żebym się z tobą skontaktował. Wyglądało na to, że chodzi o coś pilniejszego.

— Racja — odparł Winslade. — Zastanawialiśmy się tu nad twoim pomysłem, nad tym, o czym rozmawialiśmy przed wyjazdem z Anglii.

— Żeby włączyć Einsteina, o to chodzi?

— Tak. Wydaje mi się, że warto spróbować. Z naszego punktu widzenia najlepiej załatwić to przez Szilarda. I właśnie tak się składa, wołałbym nie mówić dlaczego, że nasi ludzie będą starali się o kontakt z Szilardem na Columbii. Problem polega na tym, że dla pracowników Columbii są oni zupełnie obcy, a na uniwersytecie — jak wiesz — jest teraz szaleństwo, jeśli chodzi o bezpieczeństwo i tajemnicę badań. Chciałbym jednak, żeby Szilard przyjął naszych ludzi i chciałbym mieć pewność, że kiedy się zjawią, Szilard będzie wiedział, o co chodzi, będzie wiedział, że to jest ważne.

— Hmm... muszę przyznać, że to raczej dziwny sposób załatwiania sprawy — zauważył Lindemann.

— No cóż... jak chcesz. Ale co konkretnie mam zrobić?

— Chciałbym, profesorze, żebyś zatelefonował do Szilarda od siebie z Anglii i przekazał mu, co następuje...

Tak jak Winslade przewidział, pierwsza próba dotarcia do grupy zajmującej się badaniami uranu na Columbii, podjęta przez Jeffa nazajutrz, spotkała się z bardzo chłodną reakcją. Nikt nie chciał rozmawiać, nikt nic nie wiedział, a jeden z adiunktów zagroził nawet wezwaniem FBI.

Później zaś, nagle i bez żadnej widocznej przyczyny, wszystko się zmieniło. Po południu, gdy Jeff był już na dnie rozpaczy, przyszedł do niego, na wydział chemii, Joe Dunning i zaskoczył go całkowicie odmienionym stanowiskiem.

— Przepraszam — powiedział — że byłem mało sympatyczny, ale zrozum, nie możemy sobie pozwolić na to, żeby każdy, kto chce, wścibiał nos w naszą robotę. Nie wiem, jak to się stało, ale teraz Szilard czeka na ciebie i bardzo chce poznać tych ludzi, o których mówiłeś. Powiedział, żeby się zgłosili bezpośrednio do niego.

Gordon Selby zadzwonił do Winslade'a prosto z Columbii, aby mu przekazać wiadomość.

— No to idźcie od razu do Szilarda — polecił Winslade Greene'owi, jak tylko Selby odłożył słuchawkę. — Jeszcze go złapiecie na uczelni, zanim pójdzie do domu.

— Miejmy nadzieję — odparł Greene cały podniecony — nie ma czasu do stracenia.

Rzeczywiście nie było czasu do stracenia. Tego popołudnia Arthur Bannering poinformował o jeszcze jednej porażce, jakiej misja doznała w Anglii. Odrzucono mianowicie ofertę Edena w sprawie

spotkania z Mołotowem. Zdecydowano, że pojedzie Strang, tak jak to się działo w świecie i historii „Proteusza”.

ROZDZIAŁ 16

Doktor Edward Teller był barczystym, silnie zbudowanym mężczyzną o ciemnych włosach, gęstych krzaczastych brwiach, wydatnym nosie i wyrazistych rysach. Urodził się w roku 1908, w stolicy Węgier — Budapeszcie. Zgodnie z zamiłowaniem poświęcił się matematyce i fizyce. W latach

dwudziestych, wtedy gdy pojawiła się i rozwinęła mechanika kwantowa i rozpoczynał się jeden z najbardziej fascynujących okresów w dziejach fizyki, studiował na najbardziej prestiżowych

uczelniach europejskich. Był uczniem takich znakomitości, jak Arnold Sommerfeld z Monachium i Werner Heisenberg z uniwersytetu w Lipsku. Pracował na uniwersytecie w Getyndze i w Instytucie Fizyki Teoretycznej Nielsa Bohra w Kopenhadze. Brał udział w sympozjach naukowych

organizowanych przez Fermiego na Uniwersytecie Rzymskim. Po dojściu Hitlera do władzy

wyemigrował do Anglii, a później, w roku 1935, objął katedrę na Uniwersytecie imienia George'a Washingtona w Waszyngtonie, stolicy Stanów Zjednoczonych, i tam właśnie, wspólnie z innym

Europejczykiem, George'em Gamowem — Rosjaninem z pochodzenia — zajmował się teorią zjawisk

zachodzących wewnątrz atomów.

Teller brał udział w słynnej styczniowej Piątej Waszyngtońskiej Konferencji Fizyki Teoretycznej, w czasie której Bohr poinformował o wynikach badań Hahna-Strassmanna. W lecie 1939 Fermi i

Szilard nakłonili go, aby dołączył do zawiązującej się na Columbii grupy naukowców, którzy

zamierzali badać procesy rozszczepiania jąder atomu w uranie. Teller otrzymał urlop z uniwersytetu w Waszyngtonie i przeprowadził się, z żoną Mici, do mieszkania na Morningside Heights w Nowym Jorku. Fermi był z natury metodyczny i spokojny, Szilard — przeciwnie — wybuchowy i chwilami szalenie egzaltowany. Obaj uczeni rzadko zgadzali się ze sobą, a ich współpraca układała się nie najlepiej. Teller podejrzewał, że ściągnięto go na Columbię nie tylko dlatego, że uprawiał rzadką specjalność naukową, ale także po to, żeby zapobiegał konfliktom i ułatwiał współdziałanie obu znakomitości.

Przekonawszy się naocznie, że wszelkie próby łagodzenia aktów agresji, jakich widownią stawała się Europa, poczytywane są wyłącznie za oznakę słabości, Teller doszedł do wniosku, że jedynie

zdecydowanie i siła mogą stać się czynnikiem odstraszającym. Nabrał również przekonania, że zjawiska hitleryzmu nie uda się wymazać z powierzchni ziemi inaczej niż przez wojnę. Podobnie jak jego rodak Szilard, Teller wierzył, że możliwe jest zbudowanie bomby uranowej i nie miał żadnych wątpliwości, że konsekwencje byłyby jednoznaczne, gdyby Hitler pierwszy wszedł w jej posiadanie. Z

tych to przyczyn przywiązywał ogromną wagę do badań i angażował się w nie znacznie głębiej niż wielu rodowitych Amerykanów w owym czasie.

Pewnego słonecznego dnia na początku lipca, około południa, Teller kroczył sztywno (chromał od czasu, gdy mając dwadzieścia lat, stracił stopę w wypadku tramwajowym w Monachium) szerokimi schodami zdobiącymi fronton Biblioteki Uniwersytetu Columbia przy Zachodniej Sto Szesnastej Ulicy. Zatrzymał się na chodniku i sprawdził czas na zegarku. Szilard nie wyjaśnił w rozmowie telefonicznej, dlaczego tak bardzo nalegał, aby Teller przerwał wszelkie zajęcia i wspólnie z nim oraz Eugene'em Wignerem z Princeton — również uchodzącą z Węgier — udał się pod ów dziwny adres na Brooklynie. Co więcej, Szilard nie chciał przyjąć żadnej wymówki, a w jego głosie brzmiało

niezwykłe, nawet jak na niego, podniecenie.

Być może tym razem udało mu się załatwić coś w marynarce wojennej — pomyślał Teller.

Wskazywałyby na to adres: na Brooklynie, jak wiadomo, jest stocznia i baza US Navy. Wcześniej Fermi bezskutecznie zabiegał u czynników rządowych o poparcie badań nad problemami rozbicia atomu. Mimo niepowodzenia Fermiego, Szilard podjął starania o poparcie władz, kierując — przy okazji czerwcowej konferencji Amerykańskiego Towarzystwa Fizyki w Princeton — stosowny apel do Rossa Gunna — doradcy w Laboratorium Badawczym Marynarki Wojennej. Co rozsądniejsi

naukowcy, związani z marynarką wojenną, okazywali pewne zainteresowanie uranem; bardziej jako ewentualnym paliwem do napędu łodzi podwodnych niż jako materiałem wybuchowym.

Zdesperowany Szilard imał się jednak wszelkich nadarzających się okazji.

Chyba nie chodzi o to — pomyślał Teller. Wszystko, o co Szilard zabiegał w marynarce, sprowadzało się do tysiąca pięciuset dolarów dotacji, którą chciał otrzymać z funduszu badawczo-rozwojowego, i nawet gdyby rzecz się zmaterializowała, nie uzasadniałoby to takiego podniecenia, jakiemu Szilard dał wyraz w rozmowie telefonicznej.

Teller odwrócił się i przyjrzał krągłej sylwecie budynku Biblioteki. W jego bryle zespolono rzymską kopułę z grecką klasyczną fasadą. Potężna kamienna budowla dominowała na tle otaczających ją budynków z cegły. W Bibliotece nie trzymano już uniwersyteckiego księgozbioru. Od dawna

urzędowała tam uczelniana administracja. Pomyślał, że może nastąpił jakiś przełom w

teoretycznych studiach prowadzonych w Princeton nad moderatorami — materiałami

spowalniającymi reakcję łańcuchową. A możliwe też, że ktoś wpadł na nowy pomysł wyodrębniania

z surowca i kondensowania uranu 235.

Wielkim problemem, nad którego rozwiązaniem trudzili się uczeni latem 1939 roku, była kwestia zainicjowania i podtrzymania reakcji łańcuchowej. Sprawa polegała na tym, że nie można było w użyteczny sposób doprowadzić do wyzwolenie energii tkwiącej w jądrze atomu, jeśli każdorazowe rozbicie jądra w paliwie uranowym wymagało bodźca w postaci neutronu wystrzelanego z zewnątrz. Bilans energetyczny był niekorzystny. Wyzwalany ładunek energii był mniejszy niż energia, jaką trzeba zużyć na rozpędzanie neutronów. Jeśli jednak udałoby się neutrony — wyzwalane, o czym już wiadano, w procesie rozpadu jądra atomowego — wykorzystać do rozbicia kolejnych jąder uranu, to wtedy nastąpiłaby samopowielająca się reakcja łańcuchowa i nie potrzebne byłoby żadne oddziaływanie od zewnątrz, a jednocześnie wyzwalałaby się energia o potencjale rosnącym w postępie geometrycznym. Nic takiego jednak nie nastąpiło w laboratorium Ottona Hahna w Berlinie. Gdyby bowiem stało się inaczej, to przecież nie pozostałby przy życiu żaden z uczestników eksperymentu i nie byłoby nikogo, kto mógłby podać do wiadomości owo odkrycie, które tak bardzo ekscytowało świat nauki.

Aby nastąpiło dalsze rozbicie jąder atomowych, neutrony wyzwalane z jąder w momencie ich rozpadu muszą znaleźć się w orbicie kolejnych jąder atomów uranu. Fermi wykazał, że stopień prawdopodobieństwa takiego zjawiska zależy od ładunku energii przenoszonej przez neutrony.

Udowodnił też, że energia, jaką niosą ze sobą uwolnione neutrony, jest zbyt wysoka. Dlatego obok stosownego paliwa jądrowego konieczny jest moderador, czyli materiał spowalniający neutrony.

Właśnie Szilard badał rozmaite ewentualności w tej dziedzinie. Odkrył, że takim materiałem może być ciężka woda albo — co jest korzystniejsze z praktycznego punktu widzenia — grafit. W tej sprawie Fermi — jak rzadko kiedy — zgadzał się z Szilardem, ale nikt nie wiedział jeszcze, jaka powinna być proporcja paliwa do moderatora. Inaczej mówiąc, nie wiadano, ile trzeba uranu, a ile grafitu.

Wiedziano natomiast — i na szczęście — że nie wszystkie atomy uranu, w próbkach poddawanych eksperymentom, ulegają procesom rozszczepienia jąder. Zjawisko to zachodziło tylko we względnie małej części surowca — jak przypuszczano w pewnym specjalnym izotopie uranu. Niels Bohr i John Wheeler z Princeton doszli do wniosku, na podstawie teoretycznych obliczeń, że reakcja jądrowa nie następuje w zwykłym uranie 238, że zjawisko to występuje wyłącznie w stosunkowo rzadkim izotopie uranu: 235. Tezę tę, po pewnych wstępnych wahaniach, przyjęto dość powszechnie w

kręgach amerykańskich fizyków atomowych i zaczęto zastanawiać się nad możliwością wystąpienia gwałtownej, wybuchowej wręcz, reakcji jądrowej wewnątrz czystego, metalicznego izotopu —

właśnie uranu 235. Aby jednak takie zjawisko nastąpiło, konieczne jest wyodrębnienie z surowca —

a w naturze U-235 występuje zawsze z U-238 — i uzyskanie stosownej koncentracji czystego uranu 235. W naturalnym surowcu jeden atom uranu 235 przypada na sto czterdzieści atomów uranu 238.

Oba izotopy są identyczne pod względem właściwości chemicznych, różnią się tylko masą atomową, i to w niesłychanie małej proporcji: jak trzy do dwustu. I nie wiedziano jeszcze wtedy, jak praktycznie doprowadzić do wyodrębnienia owego szczególnego izotopu.

Nie był to jedyny problem. Gdyby nawet zdołano opanować proces rektyfikacji uranu 235, to pozostawało pytanie: ile owego metalu trzeba na sporządzenie bomby? W całych Stanach

Zjednoczonych znajdowała się zaledwie — mniej więcej — uncja metalicznego uranu.

Za plecami Tellera rozległ się dźwięk klaksonu, a po chwili przy krawężniku zatrzymał się

samochód Eugene'a Wignera. Wigner — szczupły, w okularach, o wysokim czole i rzadkich włosach, okrągłym, szczerym, skłonny do szerokiego śmiechu obliczu — wychylił się ze swego miejsca za kierownicą, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera. Uprzejmy i dżentelmen w każdym calu, był o sześć lat starszy od Tellera. Wyznawali te same poglądy polityczne, a poznali się w 1929 roku na seminarium, u Heisenberga w Instytucie Cesarza Wilhelma, na które wspólnie uczęszczali w

Berlinie. Dodajmy, że w seminarium brał również udział Albert Einstein. Teller wsiadł i ruszyli.

— Mam nadzieję, że nie czekałeś długo — rzekł Wigner swoim charakterystycznym piszczącym głosem. — Utknąłem w korku przed wjazdem na most George'a Washingtona.

— Nie ma sprawy. Dopiero co przyszedłem. Musiałem odwołać wykład. — Na zasadzie kontrastu głos Tellera był niski, wręcz chrapliwy.

— Przypuszczam, że wiesz równie mało jak ja o całej tej aferze — rzekł Wigner. — Biedny stary Szilard mówił tak, jakby za chwilę miał dostać zawału.

— To prawda — odparł Teller. — Zastanawiałem się nad różnymi wariantami... ale i tak wkrótce się dowiemy. Wiesz, gdzie mamy jechać?

— Tylko tyle, że najpierw na południe, a później na drugą stronę Rzeki Wschodniej. — Wigner sięgnął do schowka i wręczył Tellerowi złożony plan Nowego Jorku i jakąś kopertę z nabazgranym planem dojazdu. — Będiesz pilotował, Edward.

— O Boże, ja przecież w ogóle nie znam tego miasta! Dopiero co tu zamieszkałem.

— Ja też nie znam. Nie jestem pewien, czy w ogóle ktokolwiek zna tego molocha.

— No cóż, zobaczymy... Brooklyn... to gdzieś nad zatoką, prawda? No właśnie... już mam. Trzeba przedostać się na drugą stronę rzeki. W porządku, Eugene, skręć teraz w lewo, to powinna być Cathedral Parkway, i przejedźmy na wschodnią stronę Manhattanu jeszcze przed Central Parkiem.

Skręcili w Drugą Aleję i przejechali nią aż do Chinatown — dzielnicy chińskiej, gdzie przez Manhattan Bridge przedostali się na drugą stronę Rzeki Wschodniej — na Brooklyn. Za mostem

jednak skręcili w niewłaściwą ulicę i znaleźli się w ponurych, wyłożonych kocimi łbami zaułkach w okolicach Stoczni Marynarki Wojennej, pełnych tanich noclegowni, zrujnowanych czynszówek i

podejrzanych barów. Odszukali jakiś wyjazd i trafili w obręb brooklyńskiego centrum w okolicach Fulton Street, gdzie znów zabłądzili, gubiąc się w masie samochodów, tłumie przechodniów,

sznurach tramwajów, pod wiaduktami miejskiej kolejki, pośród krzykliwych neonów, których nie wygaszano nawet w ciągu dnia, co sprawiało wrażenie nieustannego zmierzchu.

Dotarli w końcu w okolice portu, przy nabrzeżach Atlantyckim i Erie. Zwolnili szukając drogi na podstawie pośpiesznych wskazówek udzielonych przez Szilarda w rozmowie telefonicznej. Krążyli labiryntem uliczek pośród portowymi magazynów, składów kolejowych, basenów i placów

ładunkowych. Wreszcie, gdzieś za plątaniną zaułków i alejek, z tyłu, za nieczynnymi składowiskami, Teller kazał zatrzymać auto. Pokazał ponury ceglany magazyn z przysłoniętymi oknami i

zamkniętymi drzwiami, wznoszący się między bocznicą kolejową i żelaznym mostem nad kanałem z jednej strony, a z drugiej obok jeszcze potężniejszego składu portowego.

— To musi być tu — powiedział Teller. Wigner spojrzał pełen wątpliwości.

— Jesteś pewien?

— Tak przynajmniej wynikałoby z twoich notatek. Wygląd zgadza się z opisem.

— To naprawdę coraz dziwniejsze.

Wigner podjechał jeszcze kawałek i zaparkował przed ogromną bramą wiodącą do magazynu. Teller rozejrzał się z ciekawością, gdy wysiedli. W pobliżu nie było nikogo. Ale właśnie otworzyły się niewielkie drzwi, wmontowane w bramę, i ukazał się barczysty, potężny mężczyzna o szerokiej, jowialnej twarzy z wystającym podbródkiem, szerokimi ustami i wysokim czołem. Miał na sobie pogniecioną marynarkę, niedbale zawiązany krawat i szare flanelowe spodnie. Był to właśnie

Szilard.

Tuż za nim pokazało się dwóch nieznanomych mężczyzn. Pierwszego z nich — wysokiego, z ciemnym mocnym zarostem, o poważnym obliczu, odzianego w workowate sztruksowe spodnie, kraciastą

koszulę i skórkową czapkę — Szilard przedstawił jako majora Harveya Warrena z US Army. Wigner zerknął znacząco na Tellera. Szilard, owszem, był znakomitym uczonym o wnikliwym umyśle, ale też

— w środowisku kolegów naukowców — znano jego bujną, czasami wręcz chorobliwą

wyobraźnię. Tellerowi przyszło na myśl, że być może właśnie teraz Szilard uległ tej wybujałej wyobraźni. Drugi z nieznanym miał różową cerę, rzadkie, siwe włosy i wesołe błyski w oczach przysłoniętych wąskimi szklami okularów — połówek. Był zadbany, starannie ubrany w

ciemnoszary garnitur, koszulę w paski, srebrzysty krawat z motywem czerwonego lwa, spięty

bogatą zapinką wykładaną szlachetnymi kamieniami. Nazywał się — jak przedstawił go Szilard —

Claud Winslade i reprezentował jakieś instytucje rządowe.

Weszli na teren magazynu i przeszli przez podwórze, na którym stało kilka zaparkowanych

ciężarówek i innych wozów, wspięli się następnie na schodki wiodące na rampę załadowniczą. Tu czekał na nich Mortimer Greene, mężczyzna pięćdziesięcioletni, z łysiną okoloną wianuszkami siwiejących włosów i pieczołowicie przystrzyżonym wąsem. Winslade przedstawił go jako kolegę naukowca. Obok Greene'a stał jeszcze jeden mężczyzna: drobny o pooranej zmarszczkami twarzy, z włosami przyciętymi krótko na jeża. Nazywał się Kurt Scholder i — najwidoczniej — również był

naukowcem. Mówił z wyraźnym niemieckim akcentem.

— Skąd pan pochodzi? — zapytał z ciekawości Teller.

— Z Dortmundu.

— Znam trochę Dortmund. A kiedy pan przyjechał do Ameryki? Scholder uśmiechnął się tajemniczo.

— Sądzę, że lepiej będzie odłożyć odpowiedź na to pytanie na później — odparł.

Ruszyli dalej.

W słabym świetle, gdy posuwali się w głąb magazynu, coraz dalej od rampy załadowniczej, Wigner z Tellerem widzieli jedynie stosy skrzyń, bali i opakowań, stosy ułożone wysoko, aż pod mroczny dach hali magazynowej. Major Warren prowadził ich jakby krętą ścieżką między górami skrzyń i

pojemników. Tellerowi skojarzyło się to z systemem okopów i umocnień wojskowych. Doszli wreszcie do końca ścieżki, gdzie za odchylanym fragmentem jakiejś skrzyni znajdowały się ukryte, solidne drzwi prowadzące dalej.

I oto znaleźli się jak gdyby w całkiem innym świecie: w czystej, jasno oświetlonej hali z

odmalowanymi ścianami, podzielonej przepierzeniami na mniejsze pomieszczenia. Teller z

Wignerem odwrócili się instynktownie na dźwięk zatraskiwanych drzwi, stwierdzając z

zaskoczeniem, że cała ta góra skrzyń, opakowań i różnych magazynowych akcesoriów wznoszących

się pod sufit stanowiła tylko zasłonę, barykadę oddzielającą jedną część hali od drugiej. Przed nimi zaś otwierały się drzwi do jakiegoś zamkniętego pomieszczenia. Winslade wszedł do środka, dając znak, żeby podążyli za nim.

W pomieszczeniu tym stało biurko i kilka krzeseł. Na jednej ze ścian widniały jakieś mapy i wykresy, przy innej stał stojak z całą kolekcją karabinów automatycznych. Największą jednak uwagę przybyszów zwróciła wielka konsola pełna wskaźników i urządzeń elektronicznych,

umieszczona pod przeciwległą ścianą. Podeszli do niej i przyglądali się w zdumieniu.

Szyldy osłaniające urządzenia były niewielkie, eleganckie i zupełnie inne niż przeładowane i nieporządne czarne panele instrumentów, do jakich byli przyzwyczajeni. Poza przyciskami, których funkcje byli w stanie rozpoznać, w pokrywach urządzeń zawierała się cała masa całkowicie obcych elementów: jakieś podświetlone ekrany, na których pojawiały się rozmaite teksty, okienka z

błyszczącymi cyframi, szpule, pod przezroczystą osłoną, z nawiniętą na nie jakby wstążką,

słuchawka telefoniczna o dziwnym opływowym kształcie. Na niektórych z prostokątnych ekranów widniały obrazy: a to rampy, przez którą przed chwilą przechodzili, a to innych, trudnych do rozpoznania obiektów, a to fragmentu ulicy przed magazynem. Teller był kiedyś świadkiem

eksperymentów z telewizją — było to w czasie pobytu w Anglii — ale nie przypominał sobie tak wyrazistych obrazów.

Winslade wcisnął jakiś przycisk na jednej z konsol i gestem ręki wskazał na ekran, na którym ukazała się ulica przed magazynem. Widok zaczął się zmieniać. W miarę jak kamera zmieniała kąt widzenia, ukazywały się coraz to inne fragmenty podjazdu pod magazyn. Nacisnął kolejny przycisk i oto ożywił się inny ekran — ciemny i pusty do tej pory — na nim zaś można było zobaczyć, jak przed bramę podjeżdża auto Wignera, jak zatrzymuje się, najpierw w pewnej odległości od magazynu, a następnie znów rusza, skręca i stopuje, żeby zaparkować pod samą bramą. Widać było Wignera i Tellera wysiadających z samochodu i podchodzących do drzwi.

— No cóż — skomentował z uśmiechem Winslade — zmanifestowaliśmy nie najlepsze maniere podpatrując was, ale, wiercie mi, taki system obserwacji czasami rzeczywiście bywa przydatny.

W jednym z kątów pokoju znajdował się jakby regał wypełniony całą masą kabli i czegoś, co

wyglądało jak podzespoły i elementy elektryczne. Szilard wziął coś stamtąd i wcisnął w rękę Wignerowi. Wyglądało to jak listwa z jakiegoś zielonkawego, przezroczystego materiału. Z jednej strony owo coś pokryte było siatką metalowych linii i krzywizn, a z drugiej zawierało kilka rzędów małych, czarnych, jakby prostokątnych kapsułek oraz zestaw różnokolorowych przedmiocików w kształcie rurek lub prętów.

— To odpowiednik całej podstacji elektrycznej, wyobrażasz sobie, Eugene! — wykrzyknął. —

Zawiera mikroskopijne układy kryształów krzemu, co odpowiada tysiącom lamp elektronicznych, więcej niż pomieściłoby się w tym pokoju.

Wigner obracał listewkę w rękę i patrzył na nią zdumiony do ostateczności. Teller potrząsał głową pełen wątpliwości.

— A do czego to służy? — uprzedził ich pytanie Winslade i pośpieszył z odpowiedzią: — Do wielu rzeczy. — Przeszedł parę kroków i zaczął naciskać guziki klawiatury przypominającej maszynę do pisania. Na ekranie przed nim pojawił się napis: COMMAND MODE — polecenie. Winslade

wystukał słowo: BASIC. Poszczególne litery ukazywały się na ekranie, w miarę jak naciskał

klawisze. Następnie zaś pokazał się napis: MEM ALLOC? — rodzaj pamięci? — oraz FILES? —

plik? Po każdym pytaniu Winslade wystukiwał stosowną odpowiedź. Było to absolutnie nie do wiary.

Winslade współpracował z maszyną, prowadził z nią autentyczny dialog.

Wreszcie na ekranie ukazał się wyraz: READY — gotowość. Winslade wystukał wtedy: RUN „TICK

TACK” — otwórz „kółko i krzyżyk”. W chwilę później na ekranie pokazał się napis: WELCOME TO

COMPUTER TICK TACK — witamy w komputerowym kółku i krzyżyku — oraz stosowny diagram.

U dołu ekranu wyświetliła się informacja: FLL PLAY „O”, YOU PLAY „X” — ja wpisuję kółka, ty krzyżyki, oraz pytanie: WHOSE MOVE FIRST? (Y/M) — kto zaczyna, ty czy ja. Winslade wpisał

literę „Y”, co oznaczało, że zaczyna maszyna, i rzeczywiście w diagramie na ekranie ukazało się kółko.

— Chcecie zagrać? — zapytał Winslade, zwracając się do oniemiałych z wrażenia gości. — A może wolicie szachy?

— To wręcz banalna sprawa dla tej maszyny — przerwał mu Szilard, machając rękami z

podniecenia. — Ona potrafi obliczać funkcje algebraiczne i trygonometryczne, hiperbole, całki, co tylko chcecie, i to w ciągu paru sekund! Pamięta informacje, te, które jej się każe. Można później przywołać zapis z pamięci i wprowadzać w nim dowolne zmiany. Potrafi rysować, sporządzać

wykresy, tabele i arkusze, projektować różne formy i, co ciekawe, potrafi porozumiewać się po angielsku.

Przez dłuższą chwilę Teller z Wignerem nie byli nawet w stanie sformułować logicznego pytania.

Winslade spoglądał to na jednego, to drugiego — nie bez pewnego rozbawienia — po czym rzekł:

— Leo ma rację. Kółko i krzyżyk oraz szachy to rzeczywiście banał. Zaczniecie pewnie zastanawiać się teraz, kim my jesteśmy i co właściwie tu robimy, i w jakim stopniu cała ta sprawa może was dotyczyć. Wybaczcie tymczasem, że pozwoliłem sobie na to małe widowisko. Jestem jednak pewien, że gdy już padną odpowiedzi na owe pytania, to zgodzicie się, że był to najskuteczniejszy sposób, by uniknąć potencjalnych nieporozumień i elementarnych wyjaśnień. A teraz, panowie, pozwólcie za mną.

Poprowadził ich przejściem w wysokim przepierzeniu rozciągającym się przez całą szerokość hali. Po drugiej stronie goście stanęli, ze zdumienia opadły im szczęki, a oczy otworzyły się szeroko. Przed nimi roztaczał się niewiarygodny wręcz widok.

W życiu nie widzieli podobnej maszyny. Była ogromna, kształtem przypominała cylinder, ale o średnicy trzech metrów, może trzech i pół metra, spoczywała poziomo na swoistej ramie albo

rusztowaniu, uniesiona na jakieś dwa metry nad poziom podłogi. Jeden jej koniec mieli niemal nad swoimi głowami, drugi ginął gdzieś daleko w płataninie kabli, rur, elektrycznych złączy i

kątowników. Trudno się było zorientować, jaką naprawdę długość ma owa tajemnicza maszyna. Pod nią zaś widniały fragmenty jakichś dodatkowych urządzeń i przewodów elektrycznych. Wokół

ustawiono mnogość rusztowań — główny pomost roboczy wznosił się mniej więcej w połowie

wysokości głównego cylindra. Teller widywał najrozmaitsze urządzenia i aparaty w laboratoriach po obu stronach Atlantyku, nigdy jednak nie widział czegoś podobnego. Nie umiał sobie wyobrazić, do czego też maszyna ta mogłaby służyć.

Szli za Winslade'em między podręcznymi stolikami z narzędziami, jakimiś skrzyniami i

podzespołami czekającymi na wmontowanie. Przekraczali rury i kable, pochylali głowy, przechodząc pod wspornikami ze stali i między elementami podtrzymującymi całą dziwną konstrukcję. Kierowali się w stronę zaplecza magazynu. Wskazując na jedno z mijanych urządzeń, Winslade rzucił jakby od niechcenia:

— Induktor magnetyczny o mocy pięćdziesięciu tysięcy gausów, na bazie nadprzewodników. Cewki chłodzone do czterech stopni Kelvina płynnym helem. Czterdzieści tysięcy amperów na centymetr kwadratowy, niezłe, prawda? Generatory fal elektromagnetycznych o wysokiej częstotliwości, rzędu gigaherców. Mają zastosowanie w systemach kontroli ruchu powietrznego opartych na zjawisku

echa, czyli odbicia fal elektromagnetycznych.

Trzyście, może pięćście, metrów dalej cylinder przechodził w rodzaj wielkiego stalowego kontenera o geometrycznych kształtach. Wiodło doń wejście o rozmiarach drzwi do sporego garażu, a w środku, pod sufitem kontenera, widać było cały zestaw dźwigów, wielokrążków i bloków.

Przeszli następnie przez kolejne przepierzenie dzielące halę na odrębne sekcje i znaleźli się w dość zwyczajnym pomieszczeniu z wieloma krzesłami, fotelami i stołem, na którym leżały pozostawione przez kogoś karty do gry. W powietrzu czuć było zapach kuchni. W jednym z kątów, na stoliku,

piętrzyły się stosy gazet i magazynów, z radia dobiegała cicha muzyka. Tu czekało na nich jeszcze dwóch mężczyzn, których Winslade przedstawił jako kapitana Payne'a i sierżanta Lamsona z Armii Stanów Zjednoczonych — podobnie jak major Warren. Winslade poinformował jednocześnie, że cała jego grupa składa się z dwunastu osób.

— A zatem, kim jesteście i czego chcemy? — rozpoczął Winslade od retorycznego pytania, zwracając się do Tellera i Wignera. — Możemy wam pomóc w rozwiązaniu wielu problemów, nad jakimi

obecnie pracujecie. Na przykład ty, Eugene, wespół z Leo badacie różne możliwości moderatorów niezbędnych do przeprowadzenia reakcji nuklearnej. Wiecie już, że z grafitem wiążą się dość obiecujące perspektywy, ale do rozstrzygnięcia pozostają jeszcze kwestie stosownej ilości tego materiału, tak aby proces spowalniania neutronów zamykał się w pewnej określonej wartości, żeby neutrony zachowały tyle energii, ile trzeba, by zaszła reakcja łańcuchowa. — Spojrzał z kolei na Tellera. — Jest zagadnienie konstrukcji bomby atomowej. Rodzi się pytanie, czy w

skoncentrowanym uranie ^{235}U zainicjuje się reakcja łańcuchowa? Jeśli tak, to jaka jest wielkość masy krytycznej, w jakim tempie powinno się osiągać masę krytyczną, czyli składać w całość

mniejsze kawałki ^{235}U o podkrytycznej masie? I mógłbym tę listę ciągnąć dalej... Teller wyglądał jak rażony piorunem.

— Chwileczkę — powiedział ochryplym ze zdumienia głosem. — Skąd wiecie, nad jakimi zagadnieniami pracujemy? To... to są bardzo delikatne i tajne badania. Ja... — potrząsnął

bezradnie głową i spojrzął na Wignera — ja... ja niczego nie rozumiem. Co się właściwie dzieje?

— Nie mam pojęcia, Edwardzie. — Wigner był równie oszołomiony jak Teller. Zwrócił się do Winslade'a: — Właśnie, kim wy jesteście, jaki organ rządowy reprezentujecie? — zapytał ostro.

Szilard starał się tłumić podniecenie, ale w końcu nie wytrzymał:

— To urządzenie, tam w hali, to maszyna czasu! — wykrzyknął, przestępując nerwowo z nogi na nogę i wymachując palcem w stronę, skąd przyszli. — A oni nie są znikąd z naszego świata. Przybyli z przyszłości, z roku 1975!

Teller spojrzął na Wignera, Wigner na Tellera, po czym obaj wlepili oczy najpierw w Szilarda, a następnie w Winslade'a. W końcu znów spojrzeli po sobie.

— On oszalał — powiedział głucho Teller. W jego tonie jednak zabrzmiała osobliwa nuta świadcząca, że chyba wierzy w to, co usłyszał. Wzrok Wignera wyrażał podobne uczucia.

Winslade przytaknął.

— Tak, panowie, jesteśmy z przyszłości — rzekł. — Jest więc zrozumiałe, że wiemy coś niecoś o waszej pracy. Jednak i my mamy problemy. Maszyna, którą widzieliście, nazywa się projektorem powrotnym. Służy do nawiązania łączności i komunikacji z naszą epoką. Za jej pomocą można przekazywać informacje i translokować osoby i przedmioty. Zbudowaliśmy ją zgodnie z planem, przeprowadziliśmy stosowne testy, wiemy, że funkcjonuje prawidłowo, nie mogliśmy jednak nawiązać łączności ze stacją z roku 1975. Sytuacja jest o tyle dziwna, że wcześniej udawało nam się połączyć z tym właśnie projektorem powrotnym ze stacji w roku 1975. — Winslade rozłożył ramiona w geście wyrażającym bezradność. — Chcielibyśmy wiedzieć, gdzie tkwi błąd.

ROZDZIAŁ 17

Armia biurokratów w mundurach, biurokratów, którzy kierowali i administrowali niemiecką machiną wojenną, urzędowała w masywnych, stojących obok siebie, potężnie wyglądających gmachach przy Bendlerstrasse w Berlinie. Na rogu tejże ulicy i kamiennego nabrzeża kanału Landwehr wznosił się budynek Ministerstwa Obrony, którego fasadę zdobiła klasyczna kolumnada i szerokie, kamienne schody. Nieco dalej, w głębi ulicy, znajdowała się Kwatera Główna Sztabu Generalnego — cały kompleks kamienic z szarego piaskowca ciągnął się aż do starannie przystrzyżonych trawników i zadbanych stawów Tiergarten. Pod numerami 72—76 przy Tirpitz Ufer — zaułku w pobliżu jednego z bocznych kanałów — stał pięciopiętrowy budynek, w którym mieściło się dowództwo Abwehry — niemieckiego wywiadu wojskowego.

Podpułkownik Joachim Boeckel urzędował w narożnym gabinecie na trzeciej kondygnacji — dwa piętra poniżej biur admirała Wilhelma Canarisa, szefa Abwehry. Czytał meldunek, który właśnie nadszedł z oddziału w Bremie. Do Bremy należał nadzór nad większością operacji wywiadowczych w Ameryce i gromadzenie materiałów ze Stanów Zjednoczonych. Meldunek pochodził od byłego kapitana żeglugi bałtyckiej, który kiedyś obsługiwał linie promowe do Szczecina, Malmo i Kopenhagi, a od pięciu lat mieszkał w okolicach Nowego Jorku. W dalszym ciągu jednak był lojalnym nazistą i gorliwie służył sprawie. Wciąż też uprawiał marynarski zawód, już jako właściciel sporego frachtowca. Berlin utrzymywał z nim stały kontakt także ze względu na jego znajomość amerykańskich wód przybrzeżnych i związane z tym możliwości szmuglowania agentów na brzeg,

gdyby zaszła taka konieczność. Nazywał się Walther Fritsch, a w ostatnim okresie, jak donoszono, popadł w jakieś konflikty z lokalnymi gangsterami, którzy chcieli przejąć jego statek.

Boeckel uśmiechnął się i podniósł wzrok znad dokumentu, zwracając się do swojej atrakcyjnej, kruczowłosej sekretarki o ponętnych kształtach, która stukała na maszynie w przeciwległym rogu pokoju.

— Posłuchaj Hildegarde, pamiętasz Wielkiego Admirała Walthera, co to od czasu do czasu przysyła nam materiały ze Stanów? Hildegarde przestała stukać w klawiaturę.

— A owszem, to ten, co ma statek. I cóż takiego on dokonał?

— Wygląda na to, że Roosevelt i Żydzi dobierają się do jego skóry — odparł Boeckel. — Nasłali na niego chłopców z mafii.

— Poważnie? Boeckel się zaśmiał.

— Okazuje się, że terroryzował go jakiś gangster, który, w sobie wiadomym celu, chciał przejąć jego statek. Biedny Walther dostał trochę w kość. Wplątali w to też siostrzenicę, z którą mieszka.

— Bardzo go pobili?

— Nie aż tak. Czuje się nieźle. Pisze jednak o jakiejś tajemniczej bandzie, o zamaskowanych Zorro, którzy raptem zjawili się na miejscu. Wdarli się do domu, w którym więziono Walthera i dziewczynę, zlikwidowali gangsterów i uratowali ofiary. Pisano o tym nawet w nowojorskich gazetach, jest tu wycinek. Słyszałaś kiedyś o podobnej aferze?

Hildegarde rzuciła mu przeciągłe spojrzenie spod długich jak firanki, czarnych rzęs:

— Wielokrotnie — odrzekła. — A nie sądzisz, że on jest trochę... no... psychiczny?

— Nie ma wątpliwości, że cała historia jest nieco przesadzona — odparł Boeckel. — Pewnie wplątał

się w jakieś spory między rywalizującymi gangami, czy coś w tym stylu. I może masz rację, pewnie nie wytrzyma napięcia... — Boeckel wzruszył ramionami i dodał z namysłem: — Ale może nam być kiedyś jeszcze potrzebny, gdy dojdzie do jakiejś poważnej operacji. Mam nadzieję, że możemy na nim polegać, mimo wszystko.

Hildegarde podniosła się z miejsca i podeszła do Boeckela, szukając czegoś w kartotece obok jego biurka.

— To są skutki amerykańskiej dekadencji — powiedziała, pochylając się na jakimś skoroszytem.

Boeckel z przyjemnością zerkał na krągłości przebijające przez biel bluzki i czerń spódniczki.

Klepnął ją po siedzeniu i przez chwilę jego dłoń głaskała opiętą tkaninę. Hildegarde obruszyła się, ale nie zmieniła pozycji.

— A może pójdziemy dziś razem na kolację? — zaproponował. — Do Hoeffnera? Lubisz ich

orkiestrę.

— Ale nie lubię towarzystwa. Boeckel wzruszył ramionami.

— To może gdzie indziej.

— Hmm... coś mi się wydaje, że chodzi nie tylko o kolację.

— A skąd ci to przychodzi do głowy?

— Wszyscy młodzi przystojni oficerowie są tacy sami.

— Naprawdę, skąd wiesz?

— Moja sprawa.

— Niech będzie. Zgoda — Boeckel machnął ręką. — Nie ma w końcu nic złego w starej, dobrej, naszej własnej, niemieckiej dekadencji?

Hildegarda się zaśmiała i wróciła na swoje miejsce.

— Możemy się spotkać o siódmej — powiedziała. — Ale nie spodziewaj się niczego więcej. Nie myśl sobie, że wystarczy kiwnąć palcem i już. — Boeckel wpisał swoje inicjały pod meldunkiem i oddał

sekretarce. — Co mam z tym zrobić? — zapytała.

— No cóż, nie odrzucajmy go tak od razu. Włącz to do bieżących akt z uwagą, że do sprawy trzeba wrócić za jakieś, powiedzmy, dwa miesiące. Zobaczymy, co się będzie działo. Ale podzielał twoje zdanie, Hildo, to przejaw amerykańskiej kultury. Nasz przyjaciel Wielki Admirał czyta za dużo komiksów z Supermanem i ma zbyt wybujałą wyobraźnię.

ROZDZIAŁ 18

Wiadomości, które nadeszły od Arthura Banneringa z Anglii, wywoływały wrażenie, że w biegu

wydarzeń zachodzi jednak znacząca zmiana. Otóż Chamberlain ustąpił wreszcie wobec stanowczych żądań Rosjan i zgodził się na rokowania w sprawie konkretnych posunięć obronnych. W rozmowach uczestniczyć będą delegacje wojskowe wysokiego szczebla.

W świecie „Proteusza”, a więc w epoce, z której przybył zespół Winslade'a, rządy brytyjski i francuski uparcie odrzucały tę propozycję uważając, że nie należy wyjawiać tajemnic wojskowych bez uprzedniego zawarcia stosownego traktatu. W tym świecie postanowiono nieco inaczej, choć z drugiej strony wybór Stranga na szefa delegacji, która miała udać się do Moskwy, dowodził, że jednak Londynowi nie spieszo jest do wypracowania takiego traktatu. To zaś potwierdzało raczej podejrzenia, jakie żywił Stalin, i umacniało jego przekonanie, że nie wolno podejmować żadnych

zobowiązań dotyczących Polski — co zresztą i tak nie miało znaczenia, ponieważ Polacy uparcie odmawiali zgody na przejście wojsk rosyjskich przez ich terytorium. Stanowisko Warszawy posłużyło gabinetowi Chamberlaina za pretekst uzasadniający zwłokę w zawarciu układu z Moskwą.

W efekcie dawano do zrozumienia opinii światowej, że rząd Chamberlaina jest chętny i czyni, co może, a jeśli Polska padnie ofiarą napaści, to sama będzie sobie winna.

I tak się rzeczywiście stało cztery dni później, 26 sierpnia. Wkrótce potem Brytyjczycy i Francuzi — by zachować twarz wobec opinii światowej — wypowiedzieli wojnę Niemcom, ale był to zgoła retoryczny gest. Kampania w Polsce trwała niespełna miesiąc. W jej trakcie Stalin nie wykonał żadnego ruchu czy gestu politycznego. Za kulisami jednak trwały w Rosji gorączkowe przygotowania do wojny. Bo oto — po wyeliminowaniu Polski — Niemcy i Rosjanie stanęli oko w oko, na wspólnej granicy i nie mogło być wątpliwości co do zamierzeń Hitlera po uporaniu się ze sprawami na

Zachodzie.

Tymczasem w świecie, w którym obecnie przebywali, dopiero zaczął się lipiec. Nagła manifestacja solidarności z Rosjanami może się stać czynnikiem odstrasającym i być może Hitler nie zdecyduje się na atak — myślała Anna Kharkiovitch, spoglądając na szare, spienione wody Zatoki Biskajskiej.

— To ostatnia szansa uratowania Europy, i wszystko uleżeć teraz będzie od tego, czy nikt tej szansy nie zmarnuje.

Obok niej siedział Gordon Selby. Przeglądał magazyn z ilustracjami i właśnie skończył lekturę. Z Miami do Lizbony lecieli rejsowym clipperem nowo uruchomionej linii pasażerskiej Pan American.

W Lizbonie przenocowali w hotelu Duas Nocas, czekając na hydroplan Imperial Airways z Afryki Południowej. Polecili nim do Poole w Dorsetshire w Anglii.

— Wiesz, myślę, że już się z tym wszystkim pogodziłem — rzekł Selby, pochylając się w jej stronę.

Po dwunastu godzinach spędzonych wczoraj w powietrzu niemal już nie słyszeli ryku czterech szesnasto-cylindrowych silników lotniczych. — Gdyby nawet skończyło się na tym, że utkniemy w tym świecie, to może i lepiej.

Anna przytaknęła i wydawało się, że oczekiwała takiej właśnie deklaracji.

— I pewnie się zastanawiasz, czy Claud wiedział, że tak właśnie się stanie.

— Skąd wiesz? — spojrzał na nią zaskoczony.

— Bo też o tym myślałam.

— I co sądzisz?

Anna przyglądała mu się z uwagą.

— A ciekawa jestem, czy tobie sprawiłoby to różnicę? — zapytała. — Chciałbyś wrócić, bo ktoś czeka na ciebie w tamtym świecie? Selby zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, nikt — powiedział.

— A rodzina, krewni?

— Moi rodzice byli właśnie w Kongo, gdy nastąpił atak i nie zdążyli zbiec. Ojciec pracował tam jako inżynier górnik. Nie dowiedziałem się nigdy, co się z nimi stało.

— Ile miałeś wtedy lat?

— Dwanaście. Byłem w Stanach na wakacjach, gdy to się stało. Wychowałem się w sierocińcu i

właściwie nigdy nie przywiązałem się do nikogo. Zawsze chciałem zostać inżynierem. Myślę, że to był taki mój sposób... na wyrażenie szacunku do ojca. Ale, kto wie, może psychiatrzy powiedzieliby raczej, że zostałem inżynierem atomowym, ponieważ podświadomie chciałem produkować bomby,

żeby się zemścić na przeciwnikach.

Anna uśmiechnęła się.

— I zgadzasz się z takim zdaniem?

— Czy ja wiem?... Ale też szalałem z radości, jak wszyscy, gdy Kennedy wreszcie stawiał im czoło i powiedział, że dość już pomiatania Ameryką.

— Widzisz, wszyscy jesteśmy w podobnej sytuacji — rzekła Anna. — Nikt z ekipy nie ma

szczególnych więzów z tamtymi czasami, każdy natomiast ma porachunki z hitleryzmem. Wygląda na to, że Claud dobierał nas według dość specjalnego klucza.

Selby wyduł wargi, czego jednak nie było widać zza gęstej, czarnej brody.

— Chcesz przez to powiedzieć, że Claud miał świadomość, iż projektor powrotny może nie funkcjonować? — zapytał.

— Tego nie wiem, ale wydaje mi się, że nie był całkowicie zaskoczony tym, co się stało. Sądzę, że chciał jak najlepiej, ale też był przygotowany na najgorsze.

Selby przytaknął.

— Rozumiem, co masz na myśli. Dlaczego na przykład wybrał takich, a nie innych uczestników misji? Wystarczyłoby paru dobrych inżynierów i kilku techników, żeby zmontować projektor.

Historyk i dyplomata to już nie była konieczność.

— Właśnie. To samo z wojskowymi, czy naprawdę aż tylu trzeba było do ochrony? — odparła Anna.

— A gdyby nawet byli potrzebni, to jak wytłumaczyć, że wszyscy z nich zdobyli solidne doświadczenie w tajnych operacjach za granicą, zwłaszcza w Niemczech.

Samolot szybował nad zatoką. Na horyzoncie pojawiły się zarysy brzegów Francji. Milczeli przez chwilę. Ciszę przerwała Anna.

— A może Claud w ogóle nie chce uruchomić projektora, nie sądzisz? Może ta sprawa z Einsteinem to tylko kamuflaż, żebyśmy nie tracili ducha, nim ostatecznie pogodzimy się z myślą, że nie ma powrotu?

— Chcesz powiedzieć, że rozmyślnie i świadomie porzucił i tak już przegrany nasz własny świat licząc na to, że tu będzie jednak inaczej?

— Tak, chyba tak.

Selby zastanawiał się przez chwilę, a następnie potrząsnął głową.

— Myślę, że jednak nie. Owszem, liczył się z tym, co się stało, był na to w pewnym sensie

przygotowany, ale też robi wszystko, co możliwe, żeby projektor zaczął funkcjonować. Claud jest chłodny i wyrachowany, jeśli chodzi o pracę, ale w głębi duszy jest po prostu bardzo ludzki i uczuciowy. Nigdy nie zostawiłby naszego świata własnemu losowi i nie zawiedzie ludzi, którzy tak bardzo na nas polegają.

— Czemu tak sądzisz?

— Już choćby dlatego, że jestem tu, w tym samolocie.

— Nie rozumiem?

— Widzisz, moja specjalność to broń atomowa i pewnie dlatego w ogóle włączono mnie do ekipy.

Jeśli jedynym celem, jaki przyświeca Claudowi, miałyby być pokonanie Hitlera, aby w ten sposób stworzyć sobie wygodny i przyjemny świat, to najważniejszą sprawą stałoby się uruchomienie amerykańskiego programu budowy bomby A, rozumiesz? Gdyby Claud kierował się tylko takim

celem, to raczej powinienem zostać w Stanach i tym właśnie się zająć. — Selby rozłożył ręce. — Ale Claud postanowił inaczej. Kazał mi jechać do Europy. Dlaczego?... Otóż po to, abym znikł na pewien czas i nie rozpraszał swoją obecnością uczonych, którzy, wedle jego życzenia, powinni teraz koncentrować się na czymś innym, na projektorze. Z tego też względu uważam, że poważnie mówił o Einsteinie. Mnie zaś traktuje jak polisę ubezpieczeniową na wypadek, gdyby projektor jednak nie wypalił i gdyby zaszła konieczność wyprodukowania własnej bomby.

Anna potaknęła z wyraźną ulgą.

— Tak — zgodziła się — też mi się tak wydawało i bardzo chciałam, żebyś to potwierdził.

Znów milczeli przez chwilę, aż Selby ponownie oderwał się od lektury magazynu i powiedział:

— A co z Cassidym? Na niego czekają tam, w naszym świecie. Anna odwróciła się do Selby'ego.

— Myślisz o tej dziewczynie, o której wiecznie opowiada? Ja sądzę, że to nie jest poważna sprawa.

Znasz Cassidy'ego, zawsze przesadza.

— A więc nie są zaręczeni?

— Tego nie wiem. Może są, a może byli... Ale zgodzisz się, że nawet gdyby Cassidy miał nie wrócić, nie byłoby dramatu.

Selby potarł nos dłonią, a na jego obliczu pojawił się cień uśmiechu.

— Myślę, że masz rację. A zresztą cała sprawa była dość dziwna. Cassidy to, owszem, miły chłopak, ale czasami jest jakiś taki... niezrównoważony, czy coś w tym rodzaju. Nie bardzo rozumiem, jak to się stało, że przyjęto go w takiej rodzinie, jak rodzina jego narzeczonej.

— Niezrównoważony?

— Powiedzmy, że wulgarny. Sama zresztą powiedz, tylko szczerze. — Selby rozłożył ręce, gestem podkreślając opinię. Anna spojrzała na niego z ciekawością.

— Wiesz, Gordonie, chyba jednak nie znasz Cassidy'ego.

— Tak uważasz? Dlaczego?

— Cassidy wywodzi się z jednej z najbogatszych rodzin południa Ameryki. Jest dziedzicem sporej fortuny: koncesji naftowych i kopalnianych. Nienawidził jednak swego otoczenia, nie mógł się pogodzić z tym, że pławią się w luksusie, podczas gdy cały kraj cierpi. Właśnie dlatego opuścił rodzinę i zaciągnął się do wojska jako zwykły żołnierz. Claud nigdy by go nie wziął ze sobą, gdyby Cassidy był rzeczywiście takim osłem, na jakiego się zgrywa.

Selby spojrzał na nią zdziwiony.

— Skąd wiesz o tym wszystkim? — zapytał.

— Harry opowiedział mi to w Nowym Meksyku. Jeździliśmy razem ciężarówką do Albuquerque.

Byłam zła na Cassidy'ego i raczej go nie lubiłam. Harry wszystko mi wytłumaczył. Jak wiesz, Harry pracuje z Cassidyem od lat.

Selby zastanawiał się przez chwilę. Harry nie był specjalnie gadatliwy, ale też można było zrozumieć, że zechciał się otworzyć przed Anną.

— Trochę to dziwne — powiedział. — Widzę też, że wojskowi cię lubią.

— Nie ma w tym nic dziwnego — odparła Anna. — Za młodu byłam przez pięć lat w partyzantce na Syberii. Nim jeszcze skończyłam siedemnaście lat, miałam na swoim koncie dziesięciu nazistów.

Miałam osiemnaście lat, gdy pewien pułkownik SS kazał rozstrzelać wszystkich mężczyzn w mojej wiosce. Poszłam z nim do łóżka. Tylko dlatego, że gdy zasnął, mogłam mu poderżnąć gardło.

Rozumiesz, Gordon, z chłopcami z oddziałów specjalnych potrafię rozmawiać ich językiem.

Tymczasem w ośrodku powrotnym, w „Projektorni”, profesor George Pegram, kierownik wydziału fizyki i dziekan studiów magisterskich na Uniwersytecie Columbia, opadł bez sił na krzesło w jadalni.

Był absolutnie zaskoczony tym, co usłyszał w ciągu ostatniej godziny. W sali obecni byli: Winslade, Greene, Scholder i kilku innych członków ekipy „Proteusza” oraz trzech węgierskich fizyków. Od nagłej rozmowy telefonicznej Szilarda z Tellerem i Wignerem minął ponad tydzień. W tym czasie Pegram był nieosiągalny.

— Zanim dojdiesz do siebie, George, pozwól, że dodam, iż my również dostrzegamy szalone

nielogiczności w całej tej sprawie — rzekł Szilard. — Ale też próba ich wyjaśniania na tym etapie byłaby bezowocna. Możesz mi wierzyć, bo próbowałam. Wszyscy zresztą próbowaliśmy, podobnie jak Lindemann w Anglii. Trzeba do tego podejść w zupełnie inny sposób, kwestionując to, co zawsze przyjmowaliśmy za oczywistość. Trzeba spojrzeć na zagadnienie z takiego punktu widzenia, z

jakiego nikt do tej pory tego nie uczynił. Właśnie dlatego potrzebny jest nam Einstein.

— Nie tylko Einstein — wtrącił Winslade, stojący pośrodku sali jadalnej. — Według naszego

pierwotnego planu już na tym etapie powinniśmy poinformować o sprawie prezydenta i niektórych członków rządu. Nie uważam, aby należało z tym zwlekać do czasu wyjaśnienia problemów

technicznych, zwłaszcza że potrzebne jest nam dojście do pewnych źródeł zaopatrzenia, które otwierają się tylko na sygnał z Białego Domu.

— Krótko mówiąc, przez Einsteina powinniśmy dotrzeć do prezydenta — rzekł Teller, zwracając się do Pegrama.

Pegram nerwowo mrugał powiekami, potrząsał głową, aż wreszcie odzyskał mowę.

— Tak, tak, rozumiem wasz punkt widzenia. Ale czemu od razu nie pójść z tym do Roosevelta.

— No cóż, przypomnij sobie, George — rzekł Wigner — jak potraktowano Fermiego i Tuve'a, gdy zwrócili się bezpośrednio do władz, a chodziło tylko o poparcie badań nad rozbięciem atomu. Wzięto ich za wariatów. Chciałbyś się osobiście przekonać, jaka byłaby ich reakcja, gdybyśmy im teraz powiedzieli o wehikule czasu.

Pegram ze smutkiem kiwnął głową. Wigner miał rację. Szilard dostał właśnie list z marynarki wojennej. Była to odpowiedź na drugą już próbę zainteresowania władz badaniami atomowymi: uprzejma, ale stanowczo negatywna.

— Autorytet Einsteina może się okazać decydującym czynnikiem — zgodził się Pegram. — Ale nie wyobrażam sobie, jak właściwie ma on przekonać Roosevelta. Mam głęboki szacunek dla Einsteina, ale czy rzeczywiście można na nim polegać w tej sprawie? Wiecie przecież, jak bardzo bywa roztargniony...

— Przeprowadziłem już pewne rozmowy — rzekł Szilard, jakby obwieszczał oficjalny komunikat.

Otóż stosunkowo niedawno Gustav Stopler, znany austriacki ekonomista, zapoznał mnie z kimś nazwiskiem Alexander Sachs. Ten zaś, trzeba wam wiedzieć, jest konsultantem w koncernie Lehmana, a co ważniejsze, jest osobistym znajomym prezydenta. Rozmawiałem z Sachsem i zgodził się dostarczyć prezydentowi — do rąk własnych — list z podpisem Einsteina. Pegramowi znów odjęło mowę.

— Już rozmawiałeś? Na litość boską, Leo, nie wolno nam ujawniać informacji tej miary...

— Ależ nie powiedziałem mu nic o „Proteuszu” i maszynie — przerwał niecierpliwie Szilard. —

Pretekstem i przykrywką są badania nad uranem i studia nad możliwością wyprodukowania bomby atomowej. Istotę rzeczy wyjawimy później i tylko Rooseveltowi.

Pegram spojrzał na Winslade'a.

— Zgadzasz się, Claud?

— Ależ tak. Leo zresztą porozumiewał się ze mną przed rozmową z Sachsem — odparł Winslade.

Nic więcej nie było do dodania. Pegram potoczył wzrokiem po obecnych i pokiwał głową.

— Bardzo dobrze. To zaczynamy od Einsteina. Możesz załatwić spotkanie w Princeton, Leo?

— Nie ma go w Princeton — odparł Szilard. — Jak słyszałem, wynajął gdzieś daczę, czy też wybrał się na żagle. Najpierw muszę go zlokalizować.

Ciąg dalszy sprawy przedstawiał się następująco. W niedzielę, 30 lipca 1939 roku, gdy Teller z Pegramem i Greene'em zajmowali się maszyną w ośrodku powrotnym, Leo Szilard i Eugene Wigner oraz Winslade i Scholder udali się samochodem Wignera na poszukiwania daczki należącej do doktora Moore'a i znajdującej się gdzieś w okolicach miasteczka Peconic na Long Island.

ROZDZIAŁ 19

Minęła właśnie trzecia nad ranem. W nocnym programie radia WNEW Stan Shaw — prezenter dzienników — „wasz przyjaciel mleczarz”, jak zawsze przedstawiał się słuchaczom — czytał wiadomości gęsto przetykane wstawkami reklamowymi. Ferracini drzemał na krześle w jadalni.

Odchylił oparcie, nogi wsparł o duży stół pośrodku sali, głowę opuścił na piersi. Cassidy, zasłoniwszy się gazetą, leżał wyciągnięty na fotelu w kącie. Floyd Lamson siedział na podłodze pod ścianą i dłubał w kawałku drewna. Rzeźbił sowę, którą zamierzał włączyć do kolekcji zwierzęcych wizerunków, jakimi zaczął ozdabiać jadalnię. Pozostali z zespołu ośrodka powrotnego albo spali, albo towarzyszyli Einsteinowi i innym gościom, którzy ciągle jeszcze oglądali maszynę.

Ferracini śnił o domu, w którym spędził dzieciństwo. Dom miał drewniane, malowane na żółto ściany i brązowe dachówki. Znajdował się niedaleko stacji benzynowej należącej do jednego z braci wuja Franka. Ferracini pamiętał, jak Frank — szczupły, ale muskularny mężczyzna — wracał do domu z pracy na budowie na Manhattanie, po drugiej stronie rzeki, i jak rozmawiali przy obiedzie o piłce i wyprawach na ryby. Kiedy zaś gazety przynosiły złe wiadomości, rozmawiali o tym, co wyprawiają naziści w Azji i Afryce. Zawsze wtedy, gdy Frank opowiadał o takich sprawach, Teresa milkła i zamykała się w sobie.

Wieczorami Frank z Harrym słuchali w radiu sprawozdań z meczów bokserskich. Frank

wymachiwał rękami, zasłaniał się za gardą albo wyprowadzał ciosy, w rytm tego, co mówił radiowy sprawozdawca. Czasami zaś, po powrocie z pracy, brał prysznic, przebierał się, pakował sprzęt i udawał się do któregoś z klubów, gdzie sam stawał w ringu lub po prostu oglądał walki. W te właśnie wieczory ciotka Teresa siadywała z Harrym przy kominku i opowiadała mu o dawnych

czasach we Włoszech, kiedy jeszcze nie było Mussoliniego i faszystów.

Były to opowieści o zwyczajnym i beztroskim życiu, o śpiewach tańcach i ślubach w wiejskich kościółkach. Za cały świat wystarczała rodzina i znajomi: ksiądz Buivento, Luigi — burmistrz, Dino — kołodziej, Rodolfo — mleczarz i jeszcze inni, których postaci zapisały się w dziecięcej wyobraźni Ferraciniego. Ów świat istniejący w młodzięczych myślach był bezpieczny i radosny, i wiele razy, już w późniejszych, trudniejszych czasach, gdy gotował się do skoku ze spadochronem nad

Grenlandią, podczas nocnych ćwiczeń w warunkach polarnych, albo kiedy leżał bez ruchu na alpejskich zboczach, a niżej żołnierze z wilczurami przeszukiwali cały teren wiedząc, że gdzieś tam musi być kryjówka — otóż w takich chwilach myślał o świecie ze swojej wyobraźni, pełnym ciepła i serdeczności, w którym wszyscy się znali i wszyscy znajdowali swoje miejsce.

I oto teraz, dziwnym zrządzeniem losu, jakby odnalazł podobny świat w Nowym Jorku 1939 roku.

Poczucie oddalenia od własnych czasów sprawiło, że członkowie ekipy „Proteusza” zbliżyli się do siebie, wytworzyły się między nimi niemal rodzinne więzy. Było też coś rodzinnego — co dla

Ferraciniego stanowiło całkiem nowe przeżycie — wśród bywalców u Maxa, wśród stałych gości hinduskiej restauracji nie opodal i w barze u Mooneya przy tej samej ulicy, i w klubie bilardowym naprzeciwko, i w paru innych miejscach, do których chadzali.

Pamiętał, że jeszcze w styczniu gardził tą Ameryką, która istniała przed zagładą, jaką przyniosły lata czterdzieste, ale coś się zmieniło w jego postawie i w sposobie postrzegania wszystkiego, co go otaczało. To prawda, że Rooseveltowski New Deal * (Nowy Ład — program reform ekonomicznych i społecznych Franklina D. Roosevelta.) miał również swoje niepowodzenia i błędy, ważne jednak było to, że stał się inspiracją dla kraju, przekonał społeczeństwo, że powinno samo wziąć sprawy w swoje ręce. Naród odpowiedział entuzjastycznie i przez kryzys lat trzydziestych przeszedł bez uszczerbku, nie tracąc wiary w zwykłe ludzkie uczucia miłości i szacunku dla bliźniego i bez ograniczenia osobistych swobód obywatelskich. Nie poddał się siłom tyranii, nienawiści, prawa pięści i gwałtu, jakie w tym samym czasie zaczęły ogarniać Europę. Ferracini zaczynał myśleć, że można być z tego dumnym i że warto dołożyć wysiłków, aby wartości te przetrwały w narodzie.

— Piszą tu, że Alphonse Capone będzie mógł wyjść na wolność za dobre zachowanie już w listopadzie, pod warunkiem że zapłaci dwadzieścia tysięcy grzywny, której jeszcze nie spłacił — oznajmił Cassidy z gazety, którą właśnie czytał.

— A gdzie siedzi? — zapytał Lamson ze swego miejsca na podłodze.

— W więzieniu na wyspie o nazwie Terminal, w pobliżu San Pedro w Kalifornii.

— Mam nadzieję, że teraz będzie już grzecznym chłopcem — mruknął Lamson. — Bo jak nie, to

możemy mu dać lekcję, jak Brunowi. — Odłożył nóż i obracał w dłoni drewnianą sowę, przyglądając jej się uważnie. — A właściwie na czym go w końcu przyłapali? — zapytał.

— Zapomniał zapłacić podatki — odparł Cassidy. Lamson potrząsnął głową z wyraźną przyganą.

— Nie opłacił, kogo trzeba, co nie? Moim zdaniem, zawsze tak się dzieje.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi wiodące do hali, gdzie znajdowała się maszyna i pojawił się Einstein. Cassidy odłożył gazetę. Ferracini zdjął nogi ze stołu i wstał. Podniósł się również Lamson, odkładając sowę. Einstein podniósł rękę, jakby przeproszał za najście.

— Proszę, nie przeszkadzajcie sobie — powiedział swoim charakterystycznym akcentem,

przemierzając jadalnię w kierunku stołu. — Chciałbym dostać filiżankę herbaty, jeśli można. Oni tam rozmawiają o polityce, a to takie nudne, nawet dla kogoś, kto rozumie politykę, a ja w ogóle się na tym nie znam i nie będę udawał. Zapytałem więc, gdzie jest toaleta i urwałem się. — Mrugnął

porozumiewawczo do Ferraciniego i szepnął, zasłaniając się dłonią: — Zawsze mogę im powiedzieć, że zabiłem w drodze powrotnej. Nie uwierzycie, ile wybaczą człowiekowi, który uchodzi za roztargnionego.

Einstein miał już co prawda siwą czuprynę, ale wyglądał znacznie młodziej niż na wielu znanych fotografiach z późniejszych lat. Miał wysokie czoło, dołki w policzkach i wywinięty ku górze podbródek. Opadające powieki i krzaczaste wąsy sprawiały, że jego oblicze przypominałoby

smutnego morsa, gdyby nie błyski w oczach i szelmowski uśmiezek, który błędził na ustach. Miał

na sobie grubo tkany brązowy sweter i wyświechtane spodnie. Przyjechał wieczorem z Szilardem i Wignerem.

Przez chwilę obecni w jadalni patrzyli na siebie niepewnie, aż wreszcie Lamson wybąkał:

— Herbata? Mamy tu wrzątek, ale nic nie wiem o herbacie.

— Jest na dole w kredensie — pośpieszył Cassidy z pomocą.

— Jest też cukier i śmietanka — wtrącił Ferracini.

— Och... no cóż, poszukam.

Einstein przysunął krzesło i zasiadł przy stole, sięgając jednocześnie pod sweter, do kieszeni koszuli, żeby dobyć fajkę.

— Wiecie, w tym roku obchodzę sześćdziesiąte urodziny. Nigdy nie nauczyłem się prowadzić

samochodu, ale właśnie opanowałem tajemnice aparatu fotograficznego. Jest tyle z tym zachodu, rozumiecie? — Ręką, w której trzymał fajkę, machnął za siebie, w stronę hali montażowej. — I teraz jeszcze ta wasza maszyna, to za dużo jak na takiego starego człowieka, przyzwyczajonego do

własnych myśli i własnego życia, głupca, któremu wydawało się, że wejrzał w to, o czym mógł myśleć Bóg, tworząc wszechświat. Kiedy oglądam złożoności natury, zawsze powtarzam sobie, że to, co widzimy, to jeszcze nie jest prawda. Ta prawdziwa prawda jest zawsze najprostsza. A teraz, masz ci los! Jak mam pogodzić to, co słyszę i widzę z wiarą, od której nie chcę odstąpić, że natura to ład i rozsądek, a nie nierozumne zło?

Lamson przykucnął i skrył się za drzwiczkami kredensu, Cassidy ostentacyjnie składał gazetę.

Lojalność w walce, i tak dalej, to oczywiście prawda, ale tu i teraz Harry musiał sam sobie dać radę.

Ferracini przełknął ślinę i cały wysiłek włożył w to, żeby zaprezentować się lepiej, niż było go na to stać.

— To trochę dziwne, panie profesorze — wyjąkał.

— Doktorze... doktorze... wystarczy — poprawił go Einstein. — A cóż w tym dziwnego, kapitanie?

Mogę tak do pana mówić, czy woli pan po imieniu, według waszego amerykańskiego zwyczaju?

— Na imię mam Harry i tak mnie tu wszyscy nazywają... Dziwne jest to, że właśnie pan się czuje zagubiony w obliczu złożoności spraw, bo wszyscy myślą, że to pan jest najbardziej skomplikowany, tak skomplikowany jak tylko można.

— To nie jest prawda, Harry — Einstein spojrział pytająco na pozostałych żołnierzy.

— Eee... Nazywam się Cassidy.

— Floyd.

— Harry, Cassidy i Floyd. Wiecie, zawsze używałem tego samego mydła do golenia i do mycia.

Większość ludzi używa dwóch różnych mydeł. Ale, pytam, dlaczego mamy używać dwóch mydeł? Są rzeczy i sprawy, które komplikują życie, jak na przykład aparat fotograficzny. Nie ma sensu, żeby pamiętać o coraz większej liczbie rzeczy, które się nie liczą, a nie warto zajmować się sprawami, które nie mają znaczenia. Tak więc używam tylko jednego mydła.

Ferracini się zmieszał. Oto największy chyba fizyk stulecia, jak mu mówiono, jeden z

najświatlejszych umysłów w dziejach znajduje się oko w oko z przybyszami z przyszłości, styka się z faktem, że podróże w czasie to już rzeczywistość... i oto ten fizyk zachowuje się jak dobrotliwy dziadunio z filmów Chaplina i gada coś o aparatach fotograficznych i mydle do golenia. Ferracini nie wiedział, co powiedzieć. Wojsko nie przygotowało go na takie sytuacje. Dwaj pozostali przeżywali podobne rozterki.

— A więc jesteście w wojsku? — rzekł Einstein, wygrzebując trochę tytoniu z kapciucha, który dobył

nie wiadomo skąd, i nabijając fajkę. — Cassidy i Floyd, jesteście sierżantami, jak mi mówiono, prawda?

— Tak jest — odparł Cassidy. Einstein przytaknął.

— W Szwajcarii, kiedy byłem młodym człowiekiem, nie przyjęli mnie do służby wojskowej, bo stwierdzili, że mam płaskostopie i żyłaki. Ale w świecie, z którego przybywacie, jest pewnie inaczej.

Powiadają, że kraj przypomina jeden wielki obóz wojskowy.

Wytworzyła się delikatna sytuacja. W czasach Wielkiej Wojny Einstein konsekwentnie odmawiał jakichkolwiek związków z niemiecką machiną wojskową, uchodził za pacyfistę, nie byli więc pewni, co mają odpowiedzieć, żeby mu się nie narazić. Wreszcie Cassidy ostrożnie spróbował:

— To już nie chodzi o politykę i ekonomię. Wszystko, co możemy jeszcze zrobić, to albo skapitulować i zrezygnować z tego, co nasze, albo bronić się za wszelką cenę. Gdyby pan tylko mógł zobaczyć, co się dzieje w świecie, znaczy... w naszym świecie...

— Wystarczy, że widziałem, co się dzieje w Niemczech — odparł Einstein. — W jego głosie zabrzmiała przez ułamek sekundy jakby ostrzejsza nuta. Kiwnął głową z aprobatą, gdy Lamson postawił przed nim emaliowany kubek z gorącą herbatą. Rozluźnił się, uśmiechnął i westchnął. — Nie martw się, Cassidy — rzekł — ludzie po prostu nic nie rozumieją...

— Wir können uns auch auf Deutsch unterhalten, wenn es Ihnen lieber ist * (Możemy rozmawiać po niemiecku, jeśli pan woli.) — wtrącił się Lamson zajmując miejsce przy stole. Einstein uniósł brwi ze zdziwienia.

— Das habe ich wirklich nicht erwartet, dass ihr alle Deutsch sprecht!** (Nie spodziewałem się, że wszyscy mówicie po niemiecku.)

— Każdy z nas coś robił w nazistowskiej Europie — wyjaśnił Ferracini, również przechodząc na niemiecki. — A do takich zadań trzeba było znać niemiecki.

— A gdzieście się uczyli? — spytał Einstein, spoglądając wokół stołu.

— W większości w wojsku — odpowiedział Cassidy. — Przechodziliśmy intensywne szkolenie we wszystkich dziedzinach. Tak trzeba było, ryzykowaliśmy przecież życie, czasami całymi miesiącami

działaliśmy na terenie wroga.

Einstein pokiwał głową.

— No tak... ale o czym to mówiliśmy? Aha... że ludzie nie rozumieją. Otóż dlatego, że odmawiałem jakiegokolwiek udziału w Wielkiej Wojnie, to myślą, że jestem jakimś tam pacyfistą, który zgodzi się zapłacić każdą cenę, byle tylko zachowano pokój. Tymczasem w tych warunkach pokój za wszelką cenę to zwyczajna iluzja.

— A więc nie jest pan pacyfistą? — wtrącił nieco zaskoczony Lamson, który nabrał odwagi i uznał, że wielki Einstein jest także, zwyczajnie, człowiekiem.

— Nie, jeśli pacyfizm oznaczałby otwarcie drogi do takiego świata, z jakiego wy przybywacie. —

Przyłożył płonąca zapalkę do cybucha i rozpałał fajkę. — Owszem, potępiam agresję i przemoc jako środek rozwiązywania sporów. W perspektywie taka taktyka tylko pogłębia problemy i sprowadza jeszcze gorsze cierpienia. Ale bronić się i przygotowywać do obrony, jeśli zachodzi taka konieczność, to zupełnie inna sprawa. Potworności, jakich ofiarą pada obecnie Europa, są jak rak atakujący tkankę cywilizacji. Gdy zaraza dotknie organizm, to broni się on, wytwarzając przeciwciała, które mszczą obce komórki. I tak właśnie trzeba postępować. Inaczej mówiąc, zgadzam się, że jest zło, które można wyplenić tylko siłą. Odwoływanie się do jakichkolwiek ludzkich uczuć u agresora to jakby próbować walczyć z wirusami stosując argumenty intelektualne. — Wzruszył ramionami. —

Więc kiedy w Belgii zapytano mnie, czy młodzi ludzie powinni iść do wojska, odpowiedziałem, że powinni i to z radością, przyczynią się bowiem w ten sposób do uratowania europejskiej cywilizacji.

Natomiast pacyfiści, którzy nigdy nie rozumieli moich poglądów i swego czasu chcieli we mnie widzieć swojego patrona, zareagowali wściekle i okrzyknęli mnie zdrajcą.

— Może zarzucali panu tylko brak konsekwencji — wtrącił się Lamson.

Ferracini był zaskoczony, gdyż Lamson nigdy nie był skory do wypowiedzania ocen i opinii. Zwykle mruczał tylko pod nosem monosylabami. Wyglądało na to, że Einstein na wszystkich wywiera przemożny wpływ.

Einstein potrząsnął głową.

— W istocie nie ma żadnej niekonsekwencji. Jestem antimilitarystą, przeciwnikiem kultu wojska i stosowania siły. Ćwierć wieku temu protest przeciwko wojnie miał sens. W dzisiejszej sytuacji jednak jedyna szansa, jaka jeszcze pozostała wolnym krajom, to szykować siły. Tak więc, to co pozornie jest sprzeczne, w głębszym sensie wyraża dokładnie to samo. — Zamyślił się na chwilę, po czym w jego oczach pojawiły się błyski. — No cóż, można powiedzieć, że wszystko jest względne.

Ferracini uśmiechnął się i zerknął na Cassidy'ego. Ten zaś kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć, że ten facet jest w porządku.

Lamson poprawił się na krześle, zmarszczył brwi i spojrzął na Einsteina.

— A więc uważa pan, że można tego wszystkiego uniknąć, to znaczy... takiej przyszłości, z jakiej przybywamy? — zapytał. — Gdyby nawet udało nam się uniknąć błędów, które doprowadziły do tego całego bałaganu, to jakie mamy gwarancje, że nie wpadniemy w jakieś inne szambo? Błędy zewsząd na nas czyhają.

Einstein wzruszył ramionami.

— Może tak, a może nie... Nie jestem już taki młody, żeby na wszystko mieć odpowiedź. Myślę jednak, że wciąż wierzę w ludzi. Mimo wszystko! — dodał.

— Im bardziej się człowiek starzeje, tym mniej wie? — zapytał zdziwiony Cassidy, unosząc brwi.

— Ależ to czysta prawda — odparł Einstein. — Wyjątkiem oczywiście są uczeni. Ci w ogóle nigdy niczego nie wiedzą. — Trzej słuchacze wymienili zdziwione spojrzenia. — Ale tak jest — rzekł

Einstein. Napił się herbaty, wypuścił kłęb dymu z fajki. — Świat naprawdę nie ma pojęcia, czym jest nauka i uczeni. Większość ludzi widzi w nich tylko szaleńców w białych laboratoryjnych fartuchach, szaleńców, którzy na przykład chętnie eksperymentowaliby, powiedzmy, z jakimś

nowym gatunkiem olbrzymiej kapusty, która pożerałaby ludzi... Nauka natomiast nie jest rzeczą, przedmiotem, tak jak nie jest rzeczą prąd elektryczny, siła ciężenia czy atomy. To raczej tematy, które można poddawać studiom naukowym. Sama nauka to proces, p r o c e s, na który składają się badania i studia, p r o c e s, w wyniku którego dochodzi się do wniosku, że coś jest prawdopodobnie prawdziwe, a coś innego... fałszywe. I tylko tyle. Produktem nauki jest informacja, na której można polegać. Kwestia wiedzy, w co należy wierzyć, co jest prawdziwe, a co nie, to najważniejszy problem, z jakim zmagają się ludzkość od swojego zarania. Ileż to wymyślono izmów i logii, w których ma się zawierać odpowiedź na to pytanie? I co właściwie owe odpowiedzi są warte? — Przerwał patrząc po kolei na obecnych. Ci zaś milczeli, nie chcąc przerywać. — Większość teorii, które się formułuje, żeby coś wykazać albo objaśnić, opiera się i tak na apriorycznym przekonaniu, że tak właśnie jest. I jest to bezsensowny sposób postępowania, jeśli rzeczywiście chce się dojść do prawdy. Nauka postępuje inaczej. Jej celem jest zrozumienie świata, jego rzeczywiste poznanie. Nauka przeto musi zakładać, że czymkolwiek by była owa rzeczywistość, pozostanie taką bez względu na to, co wy lub ja będziemy o niej myśleć, i bez względu na to, co myśleć o niej będą inni, przekonani przez nas lub nie. Dlatego też uczeni nie przywiązują specjalnej wagi do sztuki prowadzenia sporów. Elokwencja i talent przekonywania, zdolność do atrakcyjnego przedstawienia spraw i idei nie mają najmniejszego

wpływu na to, czy coś jest racją, czy też nią nie jest.

— To dość oczywiste, jeśli się nad tym zastanowić — zauważył Cassidy — po prostu... kwestia zdrowego rozsądku.

— I to właśnie jest istotą nauki, Cassidy — rzekł Einstein. — Nauka to po prostu zdrowy rozsądek ujęty w pewne formalne ramy. I jej celem jest zrozumienie świata, takim jakim on jest, a nie

przekonanie kogokolwiek do czegokolwiek. Nie ma w niej więc miejsca na fałsz, a tym bardziej na nie uświadomione samookłamywanie się. Po prostu nie wolno się oszukiwać, w przeciwnym bowiem razie, jeśli w porę nie dostrzeżesz błędów i ich nie wyeliminujesz, nie dojdiesz do niczego. Nie można bowiem zwieść praw natury. Tak więc istnieje ważna zasada etyczna wpisana w proces

poznania, w naukę, problem, do którego często przywiązuje się zbyt małą wagę. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby owa zasada etyczna funkcjonowała także w innych dziedzinach ludzkiej działalności.

— Einstein powoli odstawił kubek, poprawił się na krześle i wsparł ręce na stole. — Tak więc miast wskazywać na rzeczy i sprawy, które chciałoby się traktować jak prawdę, prawdziwa nauka czyni coś wręcz przeciwnego... otóż stara się ze wszystkich sił obalać własne teorie. Temu właśnie służą wszelkie eksperymenty. Ich celem jest przeprowadzenie dowodu, że jakaś teoria jest fałszywa. Jeśli jednak jakaś teoria przetrwa eksperyment, to wyjdzie zeń umocniona. Przeto, jak w ewolucji, istota nauki polega na tym, że nauka ciągle poddaje się weryfikacji i ciągle sama siebie poprawia i koryguje. Jej filarami są pytania, wyzwania, krytyka i podawanie w wątpliwość. Ciągle podlega bezlitosnej samoweryfikacji. Staje się przez to zdrowsza i mocniejsza. Jednocześnie jednak

pomyślmy, jak kruche i ułomne stają się systemy myślowe, które nie pozwalają na to, aby wśród ich wyznawców pojawił się element zwątpienia, odejścia od obowiązującej linii, próba innego

wyjaśnienia spraw i rzeczy. Takie systemy skazują na niebyt wszystko to, czego nie potrafią objaśnić i odrzucają wszystko, z czym nie są zdolne rywalizować. W konsekwencji same także więdną i

umierają. Zawsze tak się dzieje, że niedoszte ofiary grzebią swoich ciemężycieli. — Einstein wyjął

fajkę z ust i pokiwał z powagą głową. — Tak też będzie z Hitlerem i jego „tysiącletnią Rzeszą” —

zapewnił słuchaczy. — I właśnie dlatego, moi panowie, ciągle jeszcze wierzę w rodzaj ludzki.

ROZDZIAŁ 20

Klasyczny, newtonowski wszechświat stanowi uporządkowany układ, w którym poszczególne

cząstki, ciała, które można sobie wyobrazić jako bilardowe kule, poruszają się po trajektoriach determinowanych prawami ciężenia oraz pola elektromagnetycznego i oddziałują na siebie zgodnie z prostymi zasadami. Te zaś zasady odnoszą się zarówno do wielkich układów, jak właśnie

wszechświat, jak i do układów w mikroskali. Wszechświat zatem jest jakby ogromną machiną,

układem, w którym precyzyjne określenie ruchów poszczególnych elementów zależy wyłącznie od stopnia dokładności i od stosownej liczby dokonywanych obserwacji. Stosując prawa Newtona można więc określić pierwotny i przyszły kształt owego układu, wszystko, co w nim zaszło, zachodzi lub zajdzie. Na podstawie zastanego stanu układu możliwe jest określenie jego pierwotnego oraz jego przyszłego obrazu. I nie ma znaczenia kwestia, czy obliczenia tej miary i skali są w ogóle możliwe w praktyce? Ważny jest sam wniosek, mianowicie, że wszechświat rządzi się związkami przyczynowo-skutkowymi, że każdy jego późniejszy stan zależy całkowicie od stanu początkowego. Wszystko w tym układzie jest określone i zdeterminowane, tak ruchy planet, jak wzajemny układ

poszczególnych elementów w mechanizmie zegara. Ów determinizm mógłby ucieszyć hedonistów czy targanych wyrzutami sumienia przestępców, z drugiej jednak strony martwi tych, którzy głoszą chwałę swobodnego wyboru i woleliby mieć przekonanie, że wolna wola i wolny wybór też odgrywają pewną rolę w kształtowaniu losów ludzkości.

Pod koniec dziewiętnastego wieku jednak ową powszechnie przyjętą teorię zaczęły podminowywać pewne niepodważalne fakty wynikające z rozmaitych eksperymentów i tak doszło do rewolucji w fizyce, która u zarania dekady lat dwudziestych doprowadziła do ostatecznej ruiny teorię mówiącą, że to, co zachodzi w mikroświecie atomów, jest lustrzanym odbiciem wszechświata według Newtona.

Świat atomów nie składa się z owych znanych, przypominających kule bilardowe, ciał i nie zajmują one określonych miejsc w przestrzeni ani też nie poruszają się po określonych torach i w ogóle nie zachowują się zwyczajnie. Przeciwnie, na ów świat atomów składają się nowe elementy, nie mające odpowiednika w zwykłym świecie. Można je opisać jedynie w kategoriach matematycznych należących do sfery mechaniki kwantowej.

Sprawą o szczególnej doniosłości jest to, że zjawiska zachodzące w świecie mechaniki kwantowej nie są zdeterminowane w tym sensie, że dany układ istniejący w teraźniejszości nie określa

automatycznie układu, który zaistnieje w przyszłości. Na przykład owo coś, co zwykle nazywamy cząstką elementarną, przestaje funkcjonować jako obiekt zajmujący określone miejsce, natomiast staje się czymś, co fizycy określają mianem funkcji falowej, a więc jakby drgającą mgłą, która porusza się i rozwija w przestrzeni, a jej kształt i gęstość ulegają ciągłym zmianom.

Ale z czego właściwie składa się owa mgła?

Otóż z niczego, co miałyby zwykłe fizyczne cechy. Ale kiedy owo coś zetknie się z innym ciałem, na przykład z instrumentem, który zastosowano właśnie po to, by zbadać owo coś, wtedy rozpoczyna się proces wzajemnego na siebie oddziaływania, i w wyniku tego owo coś przyjmuje postać cząsteczki elementarnej, którą można umiejscowić wewnątrz wspomnianej mgły, ale nikt nie jest w stanie wyznaczyć dokładnie miejsca, w którym owa cząstka się znajduje. Na podstawie zmian w gęstości obłoku mgły można jedynie stwierdzić, w którym miejscu prawdopodobnie owa cząstka rzeczywiście jest. Obserwując zmianę gęstości, można określić prawdopodobną lokalizację cząsteczki w danym momencie.

W bilardzie — żeby jeszcze raz użyć tego porównania — rozgrywanym w kategoriach mechaniki

kwantowej, poszczególne bile poruszają się jakby w obłokach dymu i nie da się z góry przewidzieć, jaki będzie rezultat ewentualnej kolizji — uderzenia jednej bili o drugą. Można natomiast

przewidzieć prawdopodobny rezultat takiej kolizji, to zaś można sprawdzić na podstawie

doświadczeń polegających na wielokrotnym wywoływaniu tego samego zjawiska i notowaniu

częstotliwości występowania różnych możliwych skutków. Z tego punktu widzenia mechanika

kwantowa okazuje się jedną z najbardziej doniosłych teorii w dziejach fizyki.

Według mechaniki kwantowej wszechświat nie stanowi klasycznego mechanizmu, nie jest też —

żeby użyć innego porównania — bryłką gliny, którą można by dowolnie kształtować. Wszechświatem nie rządzą prawidłowości, rządzi nim przypadek. Nad taką właśnie koncepcją zakładającą, że o zjawiskach zachodzących we wszechświecie decyduje przypadek — tak jak przypadek decyduje o

wyniku rzutu kostką — zastanawiało się wielu myślicieli, a jednym z najwybitniejszych spośród nich był Albert Einstein.

— Wielokrotnie dyskutowaliśmy o tym z Nielsem Bohrem — rzekł Einstein po niemiecku, zwracając się do Winslade'a, Scholdera, Tellera i Szilarda. Zgromadzili się właśnie w jednej z wnęk w projektorze, w której pomieścić się miały kolejne zestawy koniecznych urządzeń i podzespołów.

Analizowali część całego systemu, nie opodal zaś, oddzieleni od nich konsolą pełną przekaźników elektrycznych, pomp próżniowych i tym podobnych elementów, Wigner, Greene i jeszcze ktoś z ekipy

„Proteusza” przeprowadzali po raz kolejny jakieś niezbędne testy. — Zawsze bardziej przerażała mnie myśl o tym, że jestem czymś na kształt kawałka cytryny wrzuconej do maszyny do obróbki owoców, niż to, powiedzmy, że jestem trybikiem w jakimś wielkim mechanizmie — mówił Einstein.

— Uważam przeto, że teoria, o której mówimy, jest ciągle jeszcze otwarta. Myślę, że fakt, iż w wyniku eksperymentów uzyskujemy bardzo niepewne dane, można wytłumaczyć tym, że same

eksperymenty nie są w takim stopniu doskonałe, aby umożliwić odkrycie wartości zmiennych, które, być może, funkcjonują na znacznie wyższych poziomach.

Szilard potrząsnął głową.

— Nie zgadzam się. Uważam, że jeśli doświadczenia i eksperymenty nie dostarczają dowodów na występowanie owych wartości zmiennych, to nie ma żadnych podstaw, aby zakładać, że owe

czynniki w ogóle istnieją.

— I ja tak myślę — wtrącił się Teller. — Potwierdzają się wyłącznie formuły matematyczne i nic poza tym. Koncepcja oparta na założeniu, że istnieją niewidzialne wartości zmienne, nie prowadzi do niczego, służy jedynie podtrzymaniu twojej własnej idei, Albercie. A w ogóle jest to koncepcja ze sfery metafizyki, a nie czystej fizyki.

— A więc nie opowiadacie się za żadną hipotezą — rzekł Scholder. Teller rozłożył ręce.

— Wskażcie przesłanki hipotezy, to wezmę ją pod uwagę. Tymczasem, jeśli ma się ona wspierać jedynie na intuicji, to jest wielce prawdopodobne, że zawiedzie nas w ślepy zaułek. Nie pomoże, ale zaszkodzi. Wiele razy już się o tym przekonywaliśmy.

— Jak więc do tego wszystkiego podejść? — zapytał Szilard.

— Spróbujmy zinterpretować to, co wynika z formuł matematycznych — odparł Scholder. — Nie zakładajmy niczego z góry.

Na obliczu Einsteina pojawił się wyraz głębokiego zamyślenia. Wstał ze skrzynki, na której był przysiadł. Założył ręce na plecy i wolno przeszedł przez całe pomieszczenie. Zatrzymał się przed pudłem z narzędziami.

— Z filozoficznego punktu widzenia to bardzo nęcąca propozycja — rzekł.

Wszyscy przez chwilę spoglądali na Einsteina, ale odwrócili wzrok, gdy znów zaczął mówić Scholder:

— Czyż nie możemy przyjąć, że popełniamy błąd, traktując królestwo kwantów tak, jakby było ono światem widm, które reprezentują wyłącznie pewne prawdopodobieństwa? A może mechanika kwantowa przedstawia wiernie rzeczywistość, tak jak przedstawiała ją fizyka klasyczna, newtonowska?

— Wiernie? — Teller spojrzał najpierw niepewnie na Szilarda, a następnie znów na Scholdera. —

No cóż... wszystko jest możliwe. Tylko co z tego wynika?

Szilard wzruszył ramionami.

— Jak to w ogóle jest możliwe? — zaproponował. — Funkcja falowa ciała może zmieniać się li tylko w dwojaki sposób: trwać i ewoluować w czasie, zgodnie z tym, co wyraża mechanika kwantowa, albo wzajemnie oddziaływać na inną funkcję falową, jak wtedy gdy elektron oddziałuje na instrument pomiarowy. W tym ostatnim wypadku zmiany ustają i w efekcie zyskujemy jeden z możliwych

wyników o różnym stopniu prawdopodobieństwa. Jednakże obie te możliwości diametralnie różnią się od siebie. Pierwsza z nich odnosi się jakby do zamkniętego układu, druga natomiast nie.

Każda dosłowna próba interpretacji tego zjawiska musi prowadzić do wyraźnej sprzeczności, bo wykluczone jest, aby wewnątrz sprzeczny model miał odzwierciedlać rzeczywistość.

— Kto wie, może powinniśmy najpierw zakwestionować nasze własne pojmowanie rzeczywistości —

rzekł Einstein, ciągle jeszcze zwrócony w stronę pudła z narzędziami. — Ale — ciągnął dalej, odwracając się w stronę pozostałych dyskutantów — zastanówmy się, co podpowiada formalizm matematyczny. Doktorze Scholder, niech pan powie, co podpowiada matematyka w dwudziestym

pierwszym wieku.

— Według współczesnej fizyki proces wzajemnego oddziaływania czy też obserwacji, jak kto woli, prowadzi do zaniku funkcji falowej i jednego z wielu możliwych rezultatów — odparł Scholder. —

Nie można określić konkretnego wyniku, może ich być wiele, można wszakże ocenić pewne prawdopodobieństwo ich występowania. — Trzej fizycy z dwudziestego wieku czekali, co jeszcze powie Scholder, on zaś ciągnął dalej: — Otóż proces zaniku funkcji falowej i wskaźnik prawdopodobieństwa wystąpienia określonego efektu nie wynikają z żadnego dynamicznego równania odnoszącego się do układu. Są raczej rezultatem pewnych apriorycznych, uprzednich, założeń, które wbudowano w formuły matematyczne. W sumie mamy do czynienia z metafizyką podobną do tej, o jaką przed chwilą Edward oskarżał Alberta.

Zapadła krótka cisza. Przerwał ją Szilard.

— Czy zanik funkcji falowej ma alternatywę? Jeśli nie zanik, to co? — zapytał zaintrygowany Szilard.

— Brak zaniku — odparł Scholder. Logiki tej tezy nie można było podważyć.

Szilard z namysłem przetarł dłonią czoło.

— Jeśli jednak nie doprowadzimy do zaniku fali, czyli nie wywołamy jednego z możliwych wyników, to wtedy wszystkie funkcje falowe będą istnieć jednocześnie — rzekł, cedząc słowa. — W konsekwencji trzeba będzie uznać, że każda z nich stanowi swoją własną rzeczywistość.

W oczach Einsteina pojawiły się błyski. Jeszcze nic nie mówił, jakby sprawdzał to, co chciał wyartykułować. Wreszcie zaczął... wolno i z namysłem kiwając głową.

— No właśnie. A dlaczego nie? — rzekł cicho. — Prawdziwy wszechświat może być znacznie rozleglejszy, niż można to sobie wyobrazić, może być gigantycznym układem nieskończenie skomplikowanym, w którym każde wzajemne oddziaływanie generuje własny układ wynikowy. I skoro z formalizmu matematycznego nie można wnosić, że jakikolwiek układ wynikowy był bardziej prawdziwy niż inne, to wszystkie są równie rzeczywiste.

— Chciałbym się upewnić, czy dobrze rozumiem — rzekł Szilard adresując te słowa do Scholdera. —

Twierdzisz więc, że natura nie dokonuje wyboru jakiegoś jednego jedyne układu spośród

wszystkich prawdopodobnych, że nie dochodzi nawet do przypadkowego wyboru jednego układu wynikowego w sytuacji, kiedy generowanych jest ixs takich układów. Scholder potrząsnął głową.

— Dlaczego wybór miałby paść na ten, a nie inny układ?

— Nie ma ani uzasadnienia, ani reguł — rzekł Einstein. — Kostka do gry. Każdy rezultat jest możliwy i prawdopodobny.

— Jeśli nie jeden układ, to co? — spytał Teller.

— Wszystkie — pośpieszył z prostą odpowiedzią Scholder. — Z chwilą kiedy kostka została rzucona, układ, który sobą reprezentuje, generuje sześć różnych układów, z których każdy jest równie prawdziwy, z tym tylko, że wskazuje na inny wynik.

Teller zasiadł na krześle przy konsoli z instrumentami elektrycznymi. Szilard wstał i zaczął nerwowo chodzić tam i z powrotem masując dłonią podbródek. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

Einstein spojrział na Scholdera.

— Problem nieprzewidywalności nie polega więc na tym, że nie wiemy, jaki, z sześciu możliwych, będzie rezultat rzutu kostką, ale na tym, którego z owych możliwych rezultatów dana jednostka będzie doświadczać — rzekł. — Inaczej mówiąc, który z możliwych rezultatów będzie zgadzał się z poczuciem tożsamości danej jednostki. Jej pamięć będzie uwzględniać rezultaty wszystkich

poprzednich oddziaływań, będzie wyznaczać jakby ścieżkę wśród ciągle mnożących się możliwości.

— Tak — rzekł Scholder.

Zapadła cisza, którą przerywał tylko odgłos kroków Szilarda i dobiegający zza konsoli głos Payne'a, który głośno odczytywał jakieś cyfry.

— Ale w tej sytuacji owa jednostka musiałaby istnieć jednocześnie w sześciu egzemplarzach, w sześciu różnych układach czy też światach — rzekł wreszcie Szilard. — W istocie musiałyby istnieć kopie całego świata i w ogóle i to nie sześciokrotne, ale znacznie liczniejsze... tyle ile powstaje nowych układów wynikowych...

— Myślę, że zaczynam nieco jaśniej rozumieć, do czego to wszystko zmierza — rzekł Einstein. Wyjął fajkę i zaczął ją nabijać. Szilard kontynuował swoją myśl:

— A więc każde zjawisko czy rzecz, wydarzenie nawet najmniejszej rangi, rozprzestrzenia skutki swego istnienia w całym wszechświecie. Jeśli prawdą jest to, co mówi Kurt, to każda przemiana kwantowa, jaka dokonuje się w gwiazdach, galaktykach, nawet tych na krańcach kosmosu,

wywołuje niejako rozmnożenie wszechświata, powstanie jego kopii... Nieskończona liczba wersji mnoży się nieskończoną ilość razy, jakby z drzewa nieustannie wyrastały coraz to nowe gałęzie. I w

tychże wszechświatach zdarza i dzieje się wszystko, co może się dziać i zdarzyć...

— Rozumiesz więc, co miałem na myśli mówiąc, że wszechświat jest większy, niż sobie

wyobrażaliśmy — rzekł Einstein. — To, co my postrzegamy, okazuje się nieskończenie małą cząstką całości, ścieżką biegnącą przez czasoprzestrzeń, której bieg wyznacza nasza pamięć i wrażenia. —

Wypuścił kłęb dymu z fajki i z uznaniem kiwnął głową. — Muszę przyznać, że to mi odpowiada.

Cały ten układ nabiera określonych cech, ponieważ wszystkie możliwe skutki danej przyczyny są w niej mocno osadzone, a jednocześnie owa ścieżka indywidualnych doznań, którą kroczy dany

osobnik, może być dowolnie kształtowana przez czynnik zwany wolną wolą, w sposób, którego

jeszcze nie rozumiemy. Tak, moi panowie, tak jest znacznie lepiej.

Dwójka pozostałych z wolna potakiwała, zastanawiając się nad tym, co zostało powiedziane. Tak oto stawało się zrozumiałe, jak to się dzieje, że wydarzenia i okoliczności jednej współczesności prowadzą do powstania różnych przyszłości. W tym świetle zrozumiałe było na przykład to, że Hitler utrzymywał łączność z rokiem 2025, w którego przeszłości w ogóle nie zaistniały nazistowskie Niemcy. Sekwencja wydarzeń, która doprowadziła do powstania takiej przyszłości, w której nie znano nazizmu i z której przybył Kurt Scholder... świat, w którym sekwencja taka nastąpiła, gdzieś tam istniał. Istniał jako jeden z wielu, jako jedna z niezliczonych sekwencji prowadząca do całego zestawu różnych przyszłości, w których historii nie notowano nazizmu. I z nieskończonej liczby takich światów wysłano w przeszłość nieskończoną liczbę Kurtów Scholderów, a jednocześnie z nieskończonej liczby wielu innych nie przybył żaden doktor Scholder.

Wyjaśniało się także, dlaczego nie doszło do nawiązania łączności z rokiem 1975. Sprawa polegała na tym, że przekroczono jakby granice światów i sygnał docierał nie do ich własnego świata, ale do innego wariantu świata roku 1975, i z kolei sygnał stamtąd docierał nie do nich, ale do innej wersji roku 1939.

Wyjaśnienie to jednak nie rozwiązywało sprawy i nie przyczyniało się do uruchomienia projektora powrotnego. Projektor — trzeba dodać — był pasywnym urządzeniem, aktywizował się tylko pod

działaniem projektora pierwotnego, który przecież usytuowany był w roku 1975. Ów projektor

dostarczał także niezbędnej energii, w przeciwnym wypadku ewentualna próba uruchomienie

projektora powrotnego przy wykorzystaniu miejscowych źródeł zasilania wysłałaby energię z całej brooklyńskiej sieci. Na podstawie tego, co mówił Scholder, należało jednak wnosić, że istniało wiele wersji projektorów — tak jak istniało wiele światów roku 1975 — które zapewne ciągle usiłują nawiązać łączność z projektorem powrotnym. Tymczasem jednak to nie następowało. Należało więc przypuszczać, że gdzieś wkradł się fundamentalny błąd. Zaintrygowany Szilard spojrzał na

Scholdera.

— Nie rozumiem jednak — rzekł — dlaczego nie powiedziałeś tego wszystkiego Lindemannowi

podczas pobytu w Anglii, skoro i tak o tym wiedziałeś. Lindemann nie miał pojęcia o tych sprawach, gdy rozmawiałem z nim przez telefon.

Winslade wychynął z kąta, w którym przysłuchiwał się całej debacie.

— Prosiłem Kurta, żeby nie wyjaśniał szczegółów, ponieważ sytuacja była niepewna i istniała groźba przecieków — rzekł. — Nie możemy ryzykować, że coś z naszych rozmów przedostanie się do

Niemców. Natomiast widzisz teraz, że potrzebujemy pomocy. Cała ta sytuacja jest w dalszym ciągu niezrozumiała. Zastanawiam się na przykład, co takiego wiedziała ekipa, która zgłosiła się z New Jersey, a czego my jeszcze nie wiemy.

Einstein kiwnął głową.

— Powinniśmy lepiej poznać fizyczne aspekty tej nowej i dziwnej dziedziny — rzekł. — A wtedy łatwiej będzie rozwiązać problemy praktyczne. Mamy oto przed sobą jedno z ogniw kanału łączności i w ogniwie tym wszystko funkcjonuje, jak należy. Wiemy też, że ogniwo stanowiące drugi kraniec kanału wysyła sygnały, jednocześnie jednak kanał nie funkcjonuje. Dlaczego tak się dzieje? Myślę, że to wielce interesująca sprawa.

Tymczasem daleko na Manhattanie Jeff z Asimovem wychodzili z wykładu w audytorium

Schermerhorna Uniwersytetu Columbia.

— Powinieneś się trochę wyluzować, wybrać się na miasto. Moglibyśmy spotkać się z nimi — mówił

Jeff. — Ten facet, Gordon, o którym wspominałem, wie rzeczywiście dużo o fizyce jądrowej. Nie mam pojęcia, gdzie tego się uczył.

— No może... jak będę miał chwilę czasu — odparł Asimov. — Ale nie teraz. Teraz pracuję nad nowym pomysłem do książki.

— A o czym?

Asimov natychmiast się ożywił i zaczął gestykulować.

— No więc, pewien statek kosmiczny został jakby uwięziony w dziurze grawitacyjnej na pewnej planecie, która związana jest z wielką gwiazdą. Załoga stara się nadać sygnał o ratunek, ale ponieważ w polu grawitacyjnym następuje zakłócenie wymiaru czasu, to ich własny czas, na statku, biegnie znacznie wolniej, a jednocześnie zmienia się częstotliwość fal radiowych, z czego astronauta nie zdają sobie sprawy...

— No dobrze, ale czy możliwe jest przeżycie ludzi w polu grawitacyjnym o takiej mocy? — zapytał

Jeff z powątpiewaniem.

— No właśnie. To jest problem, nad którym się zastanawiam — odparł Asimov. — A ty, co o tym myślisz? Jeff zastanawiał się przez chwilę, a następnie potrząsnął głową.

— Coś mi się wydaje, że chyba go nie rozwiążesz — odrzekł pełen wątpliwości.

ROZDZIAŁ 21

Godzina była jeszcze młoda, wieczór dopiero się zaczynał i w „Tęczy” było jeszcze stosunkowo cicho.

Przy barze siedziało kilka ledwie osób, nieco więcej znajdowało się w głębi sali przy stolikach. O tej porze wpadali tu głównie urzędnicy i ludzie interesu — na drinka i pogawędkę, żeby rozluźnić się po całym dniu przed pójściem do domu. Stali bywalcy przychodzili później. Nikt nie zwrócił specjalnej uwagi, gdy do lokalu wszedł Walther Fritsch. Powiesił palto w szatni i rozglądał się ciekawie zza ciemnych okularów, których nie zdjął, wchodząc do lokalu, i teraz przyzwyczajał wzrok do

mrocznego wnętrza. Ruszył wreszcie przez salę i zajął miejsce przy barze.

— Hej — powitał go niezbyt uprzejmie barman Lou, gdy Fritsch wspinał się na wysoki barowy stółek. — Co podać?

— Dobry wieczór. Może szklaneczkę stingera, proszę.

— Stinger raz — powtórzył Lou, sięgając po szkło.

Fritsch ponownie ogarnął wzrokiem salę. Upewnił się, że wśród gości nie było ani wysokiego

blondyna z wąsami, ani tego drugiego, śniadoskórego szatyna, którzy odwozili go z siostrzenicą na Manhattan po aferze u Mordziastego. Nie było też tego trzeciego — Johnny'ego — który przybył do rezydencji na Pelham później, razem z paroma gangsterami. Fritsch poczuł się pewniej i sięgnął po drinka.

Dziewczynę, o której pisali w gazetach, odnalazł bez większego trudu i ona właśnie „nadała” mu

„Tęczę”, zapewniając, że tam bywa Johnny Szóstka. Nigdy natomiast nie słyszała o dwójce pozostałych: o Cassidym i Harrym.

W ostatniej depeszy z Berlina nie było nic na temat meldunku, który był złożył, i Fritsch czuł się zawiedziony. Miał wrażenie, że nie traktują go poważnie. Chciał więc wpaść na trop czegoś

naprawdę wielkiego, co wszystkich przekona o jego rzeczywistej wartości. Sytuacja w Europie wyraźnie groziła wybuchem lada moment, a w takiej — historycznej przecież — chwili każdy lojalny członek partii powinien dać z siebie wszystko, na co było go stać. Poza wszystkim Fritsch był

osobiście zaintrygowany tym, co się stało na Pelham.

— Przyjemny lokal — powiedział na początek. — Ale coś niewielu gości...

— Już niedługo będzie tu cały tłum — burknął Lou w odpowiedzi.

— Jestem tu erste mai, pierwszy raz. Nazywam się Johann.

— Miło pana poznać.

Fritsch pociągnął łyk ze szklanki i odstawił drinka.

— Phroszę pana, a może pan mógłby mi pomóc? Szukam starego kumpla, który, jak wiem, często tu bywa.

— Tak?

— Nazywa się Casszidy, wysoki, słomiane włosy, wąsy. Przychodzi z takim jednym, nazywają go Harry.

— Harry i Cass?... No pewnie, przychodzą do nas. Ale od dwóch, trzech dni jakoś ich nie widziałem.

— A dzisz, będą? Może pan wie?

— Przykro mi, nie mam pojęcia.

— Rrozumiem. Dzenkuje. — Fritsch sięgnął po swoją szklankę. Lou oddalił się, żeby przygotować pojemnik z lodem. — Nie widziałem go już od jakiegoś czasu — rzekł Fritsch jakby do siebie. — Co też on porabia? Wie pan cosz?

— Trudno powiedzieć.

George, pianista akompaniator, który siedział obok i przysłuchiwał się rozmowie, odwrócił się i rzekł:

— A może ja panu pomogę. Ktoś mi mówił, że Cassidy jeździ chyba teraz ciężarówką, w takiej jednej bazie na Brooklynie. — Spojrzał na Lou, ale barman wzruszył ramionami, potrząsnął głową i ruszył

w drugi koniec baru. George chyba jednak nie zrozumiał ostrzeżenia. — Ich baza to taki jeden magazyn w porcie, niedaleko mostu — mówił do Fritscha. — Słyszałem, jak ktoś opowiadał, że był to kiedyś magazyn Maloneya... tak, już pamiętam, właśnie magazyn Maloneya.

— Niech pan jeszcze raz powie, gdzie to jeszt, bit te — rzekł Fritsch, przysuwając się do George'a.

Lou, który stał odwrócony do nich tyłem i przygotowywał talerzyki z orzeszkami, oliwkami i innymi drobnymi przekąskami, znów potrząsnął głową. Jeśli nawet Johnny Szóstka — pomyślał — uważa, że

nie powinno się wsadzać nosa w sprawy Harry'ego i Cassidy'ego, to tym bardziej inni nie powinni tego robić. George za dużo gada. To się nie może dobrze skończyć.

Na Brooklynie tymczasem, w ośrodku powrotnym, przez cały pierwszy dzień sierpnia pracowano nad ostateczną redakcją listu do Roosevelta. Zasadniczą treść uzgodniono już dawno. Zdecydowano, że nacisk położony zostanie na sprawy badań jądrowych i wyłaniającą się możliwość skonstruowania bomby atomowej. To właśnie miało stać się argumentem dla wysokich czynników i przyciągnąć ich uwagę. Prawdziwą i pełną historię zamierzano wyjawiać dopiero po ustanowieniu kontaktów na

najwyższym szczeblu. Nie wolno było ryzykować, gdyż mogłoby to naprowadzić Hitlera i „Suzerena” na ślad, a tym bardziej dać im do zrozumienia, że nie mają już monopolu na technologię „Organów”.

Przeto nie można było pozwolić sobie na najmniejszą nawet wzmiankę o misji „Proteusza” i jej zadaniach.

2 sierpnia, Teller i Szilard ponownie wybrali się z wizytą do Einsteina, który wciąż przebywał w letniej rezydencji. Tym razem jechali autem Tellera — plymouthem, model 1935. Wieźli ze sobą projekt listu, który Einstein miał podpisać. List zaś brzmiał jak następuje:

Albert Einstein

Old Grove Road

Nassau Point

Peconic Point, Long Island

2 sierpnia, 1939 rok

Pan F.D. Roosevelt Prezydent Stanów Zjednoczonych White House Washington, D.C.

Szanowny Panie Prezydencie

Na podstawie pewnych najnowszych prac E. Fermiego i L. Szilarda, które przedstawiono mi w

rękopisie, mogę wnioskować, że już w najbliższym czasie możliwe będzie wykorzystanie pierwiastka chemicznego o nazwie uran jako nowe i mające ogromne znaczenie źródło energii. Różne względy związane z tą sprawą wskazują, że również Administracja powinna podjąć stosowne i pilne wysiłki w tej dziedzinie. Uważam przeto, że jest moim obowiązkiem zwrócić Pańską uwagę na następujące fakty i okoliczności:

W ciągu ostatnich czterech miesięcy prace Jolioty we Francji oraz Fermiego i Szilarda w Ameryce dowiodły, że jest możliwe i prawdopodobne zainicjowanie reakcji łańcuchowej w określonej masie uranu. W jej wyniku powstaje ogromna energia i powstają również nowe, podobne do radu

pierwiastki. Jest już niemal pewne, że taką reakcję uda się wywołać w najbliższej przyszłości. To nowe odkrycie można wykorzystać do budowy bomb i można założyć — choć nie jest to jeszcze pewne

— że uda się zbudować zupełnie nowy jej typ. Pojedyncza bomba tego typu, przewieziona na przykład na pokładzie okrętu i odpalona w porcie, zdolna byłaby zniszczyć port i całe jego otoczenie. Może się jednak okazać, że takich bomb nie będzie można przetransportować drogą powietrzną, ze względu na ich ciężar.

Stany Zjednoczone dysponują niewielkimi zasobami rudy uranowej i to dość ubogiej. Lepsze jakościowo złoża znajdują się w Kanadzie i na obszarze dawnej Czechosłowacji, natomiast najbogatsze pokłady rudy uranowej znajdują się w Kongo Belgijskim. W świetle przedstawionych faktów pożądane i celowe byłoby ustanowienie stałego kontaktu między Administracją a grupą fizyków prowadzących w Stanach Zjednoczonych badania nad reakcją łańcuchową. Proponuję, aby w tym celu wyznaczył Pan kogoś zaufanego, kto funkcjonować będzie poza oficjalnymi strukturami.

Jego zadanie obejmowałoby:

- a) utrzymywanie kontaktu z odpowiednimi organami rządowymi, dostarczanie im stosownych informacji, przygotowanie odpowiednich decyzji na szczeblu rządowym, ze szczególnym uwzględnieniem zapewnienia dostaw rudy uranowej do Stanów Zjednoczonych;
- b) działania na rzecz przyspieszenia prac badawczych, które — jak do tej pory — finansowane są wyłącznie z własnych środków laboratoriów uniwersyteckich, a przyspieszyć je można przez organizowanie i udostępnianie stosownych funduszy ze źródeł prywatnych — jeśli znajdą się zainteresowani — lub włączając do badań laboratoria przemysłowe, które dysponują niezbędnym sprzętem.

Wiem, że Niemcy podjęli właśnie decyzję o wstrzymaniu eksportu uranu z kopalń, które przejęli w byłej Czechosłowacji. To, że do tego doszło już na tym etapie, staje się zrozumiałe przy uwzględnieniu faktu, iż syn niemieckiego wiceministra spraw zagranicznych, von Weizsdcker, współpracuje z Instytutem Cesarza Wilhlema w Berlinie, gdzie właśnie podejmowane są próby powtórzenia pewnych amerykańskich eksperymentów z uranem.

Z poważaniem Albert Einstein

Podpisany list Szilard przekazał Alexandrowi Sachswi, dodając doń — zgodnie z radą Sachsa — własne memorandum, w którym wskazywał, że reakcja łańcuchowa, w której biorą udział spowolnione neutrony, jest absolutnie pewna, taka zaś, w której występują prędkie elektrony — choć jeszcze nie do końca pewna — sprawiłaby, że możliwe stałoby się wyprodukowanie bomby atomowej. Sachs dołączył do dokumentów swoje osobiste pismo i zaczął starać się o audiencję u Roosevelta.

Tak więc sprawy zdawały się rozwijać pomyślnie...

Ale tylko do czasu, kiedy z Londynu zatelefonowała wielce zaniepokojona Anna Kharkiovitch.

— Claud, nie uwierzysz, jak ci powiem, co oni tu wymyślili — wykrzykiwała prosto do ucha zdumionego Winslade'a. — Wyobraź sobie, że na czele delegacji na rozmowy w sprawach

wojskowych w Moskwie Chamberlain postawił jakiegoś kościanego dziadka, admirała, de facto już na emeryturze. A w składzie delegacji ma wyłącznie niższych oficerów, bez żadnego doświadczenia w operacjach o skali strategicznej. A zresztą gdyby nawet mieli jakieś doświadczenie, to i tak nie dano im żadnych pełnomocnictw. To naprawdę czysta komedia. Mało tego, Claud, to zupełnie nieprawdopodobne, ale naprawdę wysłano ich do Rosji statkiem!

— Do diabła.

— Rosjanie tego nie zniosą, Claud. Zwłaszcza że już raz im dano po nosie, w Monachium. Stalin wyznaczył do rozmów same grube ryby: Woroszyłowa, Szaposznikowa i jeszcze innych działaczy najwyższego szczebla. To poważni ludzie i chcą poważnych rozmów. To wszystko popchnie ich tylko prosto w objęcia Hitlera.

I rzeczywiście Hitler, wyczuwając nadarzącą się okazję, polecił niemieckiemu ambasadorowi w Moskwie, aby ten dał do zrozumienia, że Niemcy pragną poprawy stosunków. Odpowiedź Rosjan

była pozytywna i jeszcze w pierwszej połowie sierpnia, podczas gdy admirał Drax z delegacją rozkoszował się rejsem po Bałtyku, Hitler jął zabiegać o bezpośrednie spotkanie swego ministra spraw zagranicznych — von Ribbentropa — z radzieckim premierem. Stalin wyraził zgodę,

warunkując ją żądaniem pewnych koncesji handlowych i kredytowych, które oczywiście otrzymał.

22 sierpnia ogłoszono oficjalnie, że nazajutrz Ribbentrop przybywa do Moskwy.

Konsekwencje tego wydarzenia były katastrofalne. Przekreślone zostały wszelkie nadzieje, że uda się uniknąć ataku na Polskę. Gdy Ribbentrop odlatywał z Berlina, Winslade był już w drodze przez

Atlantyk. Towarzyszył mu major Warren, który miał osobiście zapoznać się z sytuacją i

przeprowadzić rozmowy w brytyjskim dowództwie. Chciał się też zorientować, czy ewentualnie nie udałoby się uzyskać od Brytyjczyków pewnych kontyngentów wojskowych, w celu zastąpienia tych, które miały przybyć w lipcu ze świata „Proteusza”, ale — jak wiadomo — nie pojawiły się.

Winslade z Warrenem przybyli do Londynu rankiem, 25 sierpnia, a więc w chwili, gdy radziecko-niemiecki pakt o nieagresji był już podpisany, a droga do Polski stała przed Hitlerem otworem.

ROZDZIAŁ 22

Okazało się, że krótka nieobecność w Anglii miała swoje dobre strony. Winslade zaczął obecnie dostrzegać, że jednak nastąpiła pewna zmiana w nastrojach. Nie był to jeszcze wielki przełom, czy coś w tym rodzaju, ale wyczuwało się pewną zmianę poglądów i jakby inny stosunek społeczeństwa do sytuacji. Zmienił się również ton doniesień prasowych, które przecież odzwierciedlały opinie społeczeństwa. Winslade pomyślał, że — być może — był niesprawiedliwy w swoich wcześniejszych ocenach. Uporczywe wysiłki Churchilla i innych zaczęły jednak przynosić pewne efekty, a w

perspektywie rzeczywiście mogą zaważyć na wszystkim i wpłynąć na generalny rozwój sytuacji.

— Był już najwyższy czas, żeby coś zrobili — skomentował sytuację portier, który zajmował się bagażami, gdy Winslade z Warrenem zjechali do hotelu Hyde Park. — Herr Hitler już od dawna

prosił się, żeby ktoś wreszcie dał mu prztyczka w nos. Niech to nawet będą Rosjanie, nie obchodzi mnie. A zresztą Ruscy nie są wcale tacy źli.

Także najwyższe władze zaczynają przejawiać zdecydowanie, zauważył Bannerling, gdy nazajutrz przybył wraz z Anthonym Edenem na rozmowy podczas śniadania. Dzień wcześniej ogłoszono o

zawarciu paktu Ribbentrop — Mołotow. W odpowiedzi rząd brytyjski stanowczo potwierdził

gwarancje dla Polski, w dwa dni później zaś, 25 sierpnia, rozpoczęto pilne rozmowy z ambasadorem Polski w Londynie, aby jeszcze tego samego dnia podpisać oficjalne porozumienie. Wszystko to w sposób diametralny różniło się od biegu wydarzeń, jakie notowano w świecie „Proteusza”, kiedy to alianci, pod pretekstem odrzucenia przez Polskę oferty pomocy ze strony Rosji, oświadczyli, że gwarancje dla Warszawy wygasły. Teraz jednak wyraźnie je potwierdzano i to mimo faktu, że Rosja i Niemcy zawiązały — przynajmniej na jakiś czas — polityczną spółkę.

Sytuacja polityczna w Europie wielce się skomplikowała i dla większości obserwatorów nie ulegało wątpliwości, że wojna może rozpocząć się lada dzień. Popołudnie 25 sierpnia przyniosło wiadomość, że niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych poleciło swoim ambasadam i konsulatom w

Polsce, Wielkiej Brytanii i Francji, aby nakazały obywatelom niemieckim przebywającym w tych krajach natychmiastowy wyjazd. W Moskwie zaś Woroszyłow zerwał rozmowy radziecko-brytyjskie twierdząc, że są one już bezcelowe. Korespondenci prasy brytyjskiej i francuskiej w Berlinie ruszali

w rejon przygraniczne, natomiast w samej stolicy Niemiec — jak donosili obserwatorzy z krajów neutralnych — zaczęto rozlokowywać baterie dział przeciwlotniczych. Jednocześnie na niebie pojawiły się całe masy bombowców lecących na wschód.

Tylko członkowie ekipy „Proteusza” i garstka wtajemniczonych osób wiedzieli, że według historii późniejsze-wcześniejszego świata, Hitler wydał już rozkaz ataku na Polskę, i że miało to zdarzyć się następnego ranka, w sobotę 26 sierpnia, o godzinie czwartej trzydzieści. Tak było w tamtej historii, choć nie notowała ona porozumienia z Sowiecami. Teraz zaś ów jedyny element ryzyka, jaki wiązał się z ewentualnością rozpoczęcia działań wojennych — a więc kwestia Rosji — został przez Hitlera wyeliminowany i nikt już nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości, że wódz zechce do końca zdyskontować swój sukces dyplomatyczny i — zgodnie z gotowymi już planami — ruszy niezwłocznie, uruchamiając wszystkie siły, które miał do dyspozycji.

O dziwo jednak, sprawy nie potoczyły się tym torem. Minał świt 26 sierpnia, a tymczasem nie było wiadomości o napaści na Polskę. Według doniesień, które trochę później relacjonował Eden, w kierownictwie nazistowskim w ostatniej chwili pojawiły się pewne wątpliwości i wahania.

Poprzedniego wieczoru przybył do Londynu, w charakterze wysłannika Goeringa, szwedzki przemysłowiec nazwiskiem Dahlerus. Jego zadaniem było poinformowanie o gotowości Niemiec do poszukiwań możliwości zrozumienia sytuacji, jaka się wytworzyła. Niezależnie od niego, następnego dnia rano, przyleciał do Londynu sir Neville Henderson — brytyjski ambasador w Berlinie — aby przedstawić Halifaxowi — ministrowi spraw zagranicznych — zgoła absurdalne propozycje Hitlera, obejmujące gwarancje dla integralności Imperium Brytyjskiego i zobowiązanie, że Niemcy gotowe są wystąpić w obronie Brytanii w wypadku jakiegokolwiek zagrożenia. Tak więc okazało się, że wystarczył jeden gest, jeden ledwie dowód, iż alianci zdecydowani są użyć siły w odpowiedzi na groźbę przemocy, aby Hitler zawahał się w ostatniej chwili i to mimo faktu, że zdołał przecież zneutralizować Rosję, że zakończył przygotowania wojskowe i że miał za sobą solidne zaplecze w postaci „Suzerena”. Wskazywało to dobitnie, że wydarzenia ostatnich kilku lat mogły przybrać inny obrót, gdyby wcześniej okazano podobną stanowczość.

Dahlerus wrócił do Berlina jeszcze tego samego dnia bez żadnej zobowiązującej odpowiedzi ze strony brytyjskiej, a nazajutrz rano — w niedzielę 27 sierpnia — znów pojawił się w Londynie, przywożąc tym razem notę z sześciopunktowym planem opracowanym w nocy przez Hitlera i Goeringa. Oferta przekazana przez Szweda odbiegała jednak od tej, którą wcześniej przekazał Henderson i cały ten dyplomatyczny galimatias jął dość wyraźnie przypominać wszystkie manewry w okresie po

Monachium. Chamberlain wyraził więc sceptycyzm, co do możliwości osiągnięcia jakiegokolwiek rozwiązania na tym gruncie, i niezmordowany Szwed został odesłany do Berlina z nieoficjalną tylko odpowiedzią i prośbą, by telefonicznie poinformował o reakcji Niemców, nim jeszcze Henderson

przedstawi w Berlinie oficjalne stanowisko Londynu. To zaś pozostawało zasadniczo nie zmienione.

Owszem, Wielka Brytania pragnęłaby dobrych stosunków z Niemcami, ale też dotrzyma swoich zobowiązań wobec Polski, jeśli dojdzie do napaści na ten kraj. Niemiecką ofertę odnoszącą się do zabezpieczenia integralności Imperium uprzejmiem odrzucono.

Hitler przyjął to do wiadomości, postawił wszakże warunek, aby Wielka Brytania przekonała Polskę do podjęcia natychmiastowych rokowań z Niemcami. W tej sytuacji Halifax zadesperzował do brytyjskiego ambasadora w Warszawie, żeby ten uzyskał od Polaków zgodę na negocjacje. Tak też się stało i 28 sierpnia Henderson przybył z powrotem do Berlina, gdzie zgotowano mu powitanie z udziałem gwardii honorowej SS, i przekazał oficjalną notę rządu brytyjskiego.

Co naiwniejsi spośród biorących udział w tej grze, zaczęli już okazywać entuzjazm sądząc, że pokój został jednak uratowany, inni — bardziej doświadczeni, jeśli chodzi o manipulacje Hitlera —

zachowywali wstrzeźliwą postawę zgodnie z zasadą: poczekamy — zobaczymy. Ich przenikliwość znalazła potwierdzenie w tekście oficjalnej niemieckiej odpowiedzi, która dotarła do Londynu rankiem 29 sierpnia i w której stwierdzono, że ceną przyjaźni z Wielką Brytanią nie może być rezygnacja z życiowych interesów Niemiec. Dalej w tekście posłania pojawił się dobrze już znany zestaw zarzutów dotyczących rzekomych prowokacji ze strony Polski, jak również żądanie zwrotu Gdańska i zgody na tak zwany korytarz przez Pomorze. Na końcu zaś zawierało się kategoryczne życzenie, aby na znak dobrej woli Polska natychmiast delegowała do Berlina swego upoważnionego przedstawiciela, który musi przybyć nie później niż 30 sierpnia.

I ten ostatni fragment stanowił prawdziwą pułapkę. Otóż można było z całą pewnością założyć, że Polacy odrzucą ofertę. Nie mogli się przecież zgodzić na aroganckie żądanie i słać posłów tylko dlatego, że Hitler zechciał kiwnąć palcem. Ton ultimatum zapowiadał zresztą dalsze poniżenia, podobne do tych, jakie stały się udziałem innych państw, wcześniejszych ofiar Hitlera. Jeśli jednak Polacy odmówią wysłania swego przedstawiciela i nie przyjmą warunków Hitlera, to na Polskę

spadnie odpowiedzialność za odrzucenie „pokojowego rozwiązania”, a w tej sytuacji Wielka Brytania i Francja będą mogły umyć ręce od całej sprawy.

— Człowieka ogarnia przedziwne uczucie, gdy patrzy na to, co się dzieje — zauważyła Anna

Kharkiovitch, gdy w południe wszyscy zebrali się w pokoju Winslade'a, aby omówić ostatnie wiadomości. — Rzeczywiście, z minuty na minutę historia zaczyna się różnić od tej, którą my pamiętamy, i to za naszą sprawą. To po prostu niesamowite.

Duff Cooper spojrział zamyślonym wzrokiem.

— Hitler jest chyba jeszcze bardziej dezorientowany — zauważył. — Był święcie przekonany, że Anglia skorzysta z pierwszej lepszej okazji, żeby się wycofać, tak jak to było w waszym świecie.

— I to wyjaśnia wszystko — wtrącił Bannering. — Hitler chce wyeliminować Anglię. Nie wie jednak, że tymczasem coś się zmieniło. Nie wie o tym także „Suzeren”. Nie mogą wiedzieć. Nie mają łączności z naszym światem... światem roku 1975 i jego historią. Mają dostęp jedynie do świata

„Suzerena” z roku 2025, a w nim nie było takiej sytuacji jak teraz. W tamtej historii naziści zniknęli ze sceny wiele lat wcześniej.

Na tym etapie chyba żaden z brytyjskich dyplomatów i polityków nie przystałby na drugie Monachium. Polacy w ogóle takiej możliwości nie brali pod uwagę. Brytyjski ambasador depeszował

z Warszawy, że Polacy raczej polegną z bronią w ręku, niż zgodzą się na to, aby Hitler miał ich poniżyć i pastwić się nad ich przedstawicielem. Jeśli Hitler rzeczywiście chce rokowań —

oświadcza Polacy — to owszem, zgoda, ale negocjować będziemy jak równy z równym i tylko na neutralnym terenie.

W konsekwencji, o północy 30 sierpnia, do niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych przybył

Henderson i przekazał notę informującą, że Wielka Brytania nie jest w stanie skłonić Polski do przyjęcia niemieckich warunków. Ribbentrop, niemiecki minister spraw zagranicznych, zaczął w tym momencie małpować Hitlera i jego najgorsze historyczne tyrady. Tym razem jednak szokująca skądinąd taktyka wrzasków i wymysłów nie przyniosła skutków. We wzajemnych

przekrzykiwaniach, które niemiecki tłumacz określił później jako „najgwałtowniejsze, z jakimi się spotkałem w ciągu dwudziestu trzech lat”, Anglik okazał się lepszy. W pewnym momencie obaj rozmówcy skoczyli sobie do oczu i spoglądali wściekle przez biurko, jakby za chwilę miało dojść do wymiany ciosów. Kiedy zaś Henderson zwrócił się o zapowiadane niemieckie propozycje, Ribbentrop odczytał je głośno po niemiecku i to tak szybko, że Brytyjczyk zdołał zapamiętać tylko sens kilku punktów, a Ribbentrop odmówił udostępnienia dokumentu. Zresztą — dodał — propozycje i tak już straciły aktualność wobec faktu, że Polacy nie przysłali pełnomocnika, jak tego żądano.

Koniec końców Henderson otrzymał jednak kopię dokumentu, ale dopiero następnego dnia

pośrednią drogą, od Goeringa. Warunki zawarte w tym dokumencie były niezwykle łagodne i bez wątpienia mogłyby stanowić podstawę do poważnych negocjacji, gdyby przekazano je rządowi Polski we właściwym czasie. Dodać jednak należy, że Hitler w istocie nie chciał żadnych rokowań.

Dokument miał na celu jedynie wprowadzenie w błąd niemieckiej i zagranicznej opinii publicznej, co udało się w znacznym stopniu podczas przemówienia radiowego, które Hitler wygłosił wieczorem 31

sierpnia, o godzinie 21.00.

Wtedy jednak decyzje były już podjęte, wszystkie zaś nerwowe zabiegi dyplomatyczne, które trwały jeszcze do głębokiej nocy w wielu stolicach europejskich nie miały już żadnego znaczenia, bo pół

godziny po południu Hitler wydał był ostateczny rozkaz, zgodnie z którym atak na Polskę miał rozpocząć się o świcie następnego dnia: 1 września 1939 roku.

Churchill, który wybrał się do Francji, by podjąć ostatnie wysiłki na rzecz stanowczej polityki wobec Niemiec, polityki, za którą Anglia już się opowiadała, wrócił do Londynu późnym wieczorem ostatniego dnia sierpnia. Jego żona — Clementine — dotarła do Anglii przez Dunkierkę 30 sierpnia.

Churchillowie postanowili przenieść się do mieszkania w samym Londynie, w Pimlico, aby być bliżej ośrodków decyzyjnych, i właśnie wtedy na czołówkach gazet pojawiły się doniesienia o niemieckich hordach wkraczających na teren Polski pod osłoną bezlitośnie atakujących sił powietrznych. Pisano również o mobilizacji armii brytyjskiej, o podjętej już ewakuacji dzieci z miast. Jedynym

pocieszającym akcentem była informacja o oświadczeniu Mussoliniego, że Włochy zachowują neutralność. Najwidoczniej II Duce zawahał się przed rzuceniem wyzwania armii francuskiej i brytyjskiej flocie śródziemnomorskiej. Dawało to wymowne świadectwo Paktowi Stalowemu.

Jeszcze tego samego popołudnia doszło do pewnego wydarzenia, którego nie notowała wcześniejsza historia, a które odzwierciedlało pełną stanowczości postawę stworzoną dzięki wysiłkom ekipy

„Proteusza”. Premier Chamberlain zaproponował Churchillowi tekę w Rządzie Wojennym, który właśnie powoływał, nie żywiąc już żadnych nadziei na uniknięcie wojny. Wreszcie otworzyły mu się oczy. Oczywiście też było, że tym razem rzecz nie ograniczy się do pozornych działań na użytek opinii światowej. Inną kwestią było to, czy Chamberlain okaże się wystarczająco mocnym politykiem i czy sprosta zadaniu.

O dziewiątej wieczorem tego samego dnia sir Neville Henderson wręczył Ribbentropowi formalne ostrzeżenie, w którym Wielka Brytania zapowiadała, że bez żadnych wahań wypełni swoje

zobowiązania wobec Polski, jeśli Niemcy nie wycofają wojsk. W godzinę później ambasador Francji wręczył identycznie sformułowaną notę. Na Francję spadłoby główne uderzenie, gdyby Niemcy

zaatakowali na zachodzie, więc Chamberlain próbował zyskać na czasie. Gdy 2 września występował

na forum Izby Gmin, starał się właśnie o czas, żeby ułatwić Francji przeprowadzenie mobilizacji.

Posłowie jednak nie okazali zrozumienia. Niczym nie sprowokowany atak na Polskę trwał już od trzydziestu dziewięciu godzin, posłowie byli gniewni, niecierpliwi i podejrzliwi w stosunku do wszystkiego, co pachniało powtórką Monachium. Po ostrej debacie rząd znalazł się w trudnej

sytuacji i groził mu upadek, jeśli nie wystąpi — i to pilnie — z taką odpowiedzią, jakiej oczekiwał naród.

Wydarzenia, które wywołała ekipa „Proteusza”, nabrały tempa i rozwinęły się do tego stopnia, że trudno już było na nie wpływać. Na tym etapie członkowie misji byli już tylko biernymi

obserwatorami, ale orientowali się nieźle w całości sytuacji. Dysponowali informacjami z Foreign Office, byli w kontakcie telefonicznym z Paryżem i wiedzieli, co mówi się o ostatecznym wspólnym ultimatum brytyjsko-francuskim.

Następnego dnia, w niedzielę, w porannych dziennikach poinformowano, że o 11.15 przemówi do narodu premier. Wcześniej Winslade, Churchill i inni spotkali się na śniadaniu.

Już od pewnego czasu można było zakładać, że w związku z nieuniknionymi kontaktami

towarzyskimi członkowie ekipy „Proteusza” albo będą musieli kłamać, albo ujawnią swoją prawdziwą tożsamość przed panią Clementine, małżonką Churchilla. Churchill nie chciał słyszeć o kłamstwie, więc Clementine doskonale już wiedziała, kim są jego przyjaciele. Zresztą Churchill zabrał ją ze sobą do Francji właśnie po to, aby — gdy będą sami — o wszystkim jej opowiedzieć.

Oczywiście wiadomość ją zaszokowała, ale stosunkowo szybko przystosowała się do zaistniałej sytuacji, z godnością i spokojem właściwym damie jej pochodzenia i pozycji.

— Domyślam się, że skoro przybywacie panowie z roku 1975, to moglibyście nam zdradzić, co nas wszystkich czeka... a przynajmniej opowiedzieć, co się z nami stało w waszym świecie — zwróciła się Clementine do Winslade'a w czasie obiadu, wkrótce po jej przyjeździe do Londynu. — Pali mnie ciekawość.

— Rzeczywiście mógłbym — zgodził się Winslade. — Ale czy naprawdę chce pani wiedzieć? Po dłuższej chwili milczenia odparła:

— Nie... Po zastanowieniu myślę sobie, że to nie byłoby rozsądne, prawda?

— Sądzę, że ma pani rację.

— A czy w ogóle rozmawiają panowie o takich sprawach?

— Nie.

— To godne podziwu:, M* Winslade. Zgadza się, że tak właśnie trzeba.

Ale rankiem 3 września myśli wszystkich koncentrowały się przede wszystkim na teraźniejszości. W

miarę jak zbliżała się godzina 11.00 rozmowa przy śniadaniu przestawała się kleić, a atmosfera tężała. Gdy spiker zapowiedział wystąpienie premiera, ustał szcęk sztućców, odstawiono filiżanki z herbatą. W głośniku rozległ się głos Chamberlaina. W jego tonie wyczuwało się napięcie, ale i stanowczość:

Zwracam się do was z siedziby rządu przy Downing Street 10. Dziś rano ambasador Wielkiej

Brytanii w Berlinie przekazał rządowi Niemiec ostateczną notę informującą, że jeśli do godziny 11.00 nie powiadomią nas o gotowości wycofania wojsk z Polski, to Wielka Brytania i Niemcy znajdą się w stanie wojny. Muszę was obecnie poinformować, że nie otrzymaliśmy takiego zapewnienia, wobec tego nasz kraj przystępuje do wojny przeciwko Niemcom.

Po przemówieniu zapadła dłuższa cisza. Przerwał ją Churchill:

— Muszę przyznać, że mimo grozy sytuacji, nie mogę ukryć pewnego uczucia radości. Wielka stara Anglia miłująca pokój zamierza oto spełnić swój obowiązek, choć jak zwykle jest do tego nie przygotowana. Co za ulga i pocieszenie po tych wszystkich ściskających serce opowieściach, jak to w waszym świecie spodliliśmy się, a w efekcie zostaliśmy zgładzeni. — Milczał przez chwilę, a następnie ze smutkiem potrząsnął głową. — Ale ile już poświęciliśmy? Nadrenia, Włochy, Austria, umocnienia graniczne w Czechosłowacji, a teraz Polska... wszystko stracone. Jakże inaczej

wyglądałby świat, gdybyśmy wcześniej zdobyli się na odwagę i stanowczość.

— To prawda — rzekła Anna Kharkiovitch. Przez chwilę obracała w dłoni łyżeczkę do herbaty, po czym dodała: — Możliwe jednak, że po pewnym czasie wyjdzie to wszystkim na dobre.

— Jakże to? — Churchill był zaintrygowany.

— Ponieważ nikt teraz nie może zakwestionować moralnych racji Zachodu — odparła. — Świat

widział, jak kolejno odrzucano wszelkie próby załagodzenia sporów, każdy przejaw rozsądku, chęć kompromisu i przystania na ugodę. Pozostała już tylko walka. I właśnie w takiej sytuacji kryje się najwięcej szans na to, że w ostatecznym rachunku Ameryka opowie się po naszej stronie. To zaś warte będzie znacznie więcej niż to, o czym tu wspomiano.

— Pod warunkiem, że wytrzymamy do czasu, aż Ameryka się włączy — zauważył Winslade.

— Owszem — zgodziła się Anna z goryczą. — No cóż, to jest ciągle niewiadoma.

Na zewnątrz rozległ się zawodzący dźwięk syren, narastał, aż przeszedł w przejmujący lament.

Znano go już z próbnych alarmów lotniczych: ostrzegał przed nalotem nieprzyjacielskich bombowców.

— No cóż, trzeba to Niemcom oddać, że nie tracą czasu — zauważyła Clementine.

Wszyscy wyszli na taras, aby zobaczyć, co się dzieje. Wokół roztaczał się widok na rozświetlone wrześnie słońcem dachy i wieże Londynu. Nad nimi, zewsząd, zaczęły unosić się w powietrze dziesiątki srebrzystych, owalnych balonów zaporowych. Na ulicach ochotnicy obrony

przeciwlotniczej, w stalowych hełmach i z puszkami, w których mieściły się maski przeciwgazowe, kierowali przechodniów do schronów. Na jasnoczerwonych skrzynkach pocztowych widniały żółte pasy, które miały zmieniać kolor, gdyby doszło do ataku gazowego. A więc — zaczęło się.

— Zobaczymy — mruknął Churchill do Winslade'a, nie wyjmując cygara z ust.

Winslade przytaknął, obserwując miasto.

W świecie, z którego przybyła ekipa „Proteusza”, wybuch wojny wcale nie przyniósł spodziewanych nalotów na miasta Francji i Wielkiej Brytanii, choć powszechnym zdaniem miało to być

nieuniknione. Hitler nie chciał prowokować żadnych działań na Zachodzie, mając wszystkie siły zaangażowane w Polsce, a poza tym alianci i tak szykowali się do ustępstw, jak tylko sprawa Polski przestanie istnieć.

Nie było powodów, aby zakładać, że pod tym względem nastąpią zmiany w obecnym świecie.

Doradcy Chamberlaina i rządu nie mogli jednak o tym wiedzieć, prognozowali przeto, że już

pierwszego dnia wojny padną liczne ofiary — wielu zabitych i rannych — i że tak będzie przez całe następne sześć miesięcy. Mając przed oczami wizję mieszkańców rozhisteryzowanych z powodu

bomb, gazu, braku służby medycznej i upadku porządku społecznego, rząd przygotował w tajemnicy konkretne plany usuwania zwłok. Zamierzano je grzebać w opuszczonych kopalniach wapiennych, a także wrzucać do morza.

Nawet Churchill trochę złagodził swoją opinię o Chamberlainie, gdy Bannerling opowiedział mu o tych planach.

— Jeśli rzeczywiście jest on przekonany, że nie będzie innego wyjścia, to trzeba nieco złagodzić oskarżenia o moralne tchórzostwo, jakie okazał w Monachium — zgodził się Churchill. — Wciąż jednak uważam, że należało już wtedy walczyć, teraz jednak rozumiem, dlaczego sądził on, że rok zwłoki wart był swojej ceny.

W świecie „Proteusza” Luftwaffe rozpoczęła naloty na Anglię dopiero pod koniec 1940 roku.

— Jeśli w tym świecie będzie tak samo — przyrzekał z całą powagą Churchill — i jeśli zrządzeniem opatrności będę miał jakikolwiek wpływ na wydarzenia, będziemy gotowi. Tym razem, bez względu na wszystko, na pewno nie skapitulujemy.

Winslade przyglądał mu się przez chwilę.

— Naprawdę wierzysz, że Bóg istnieje? — zapytał z ciekawością.

— To bez znaczenia — odparł Churchill — trzeba postępować tak, jakby istniał.

Zeszli następnie do schronu, jakieś sto metrów dalej przy tej samej ulicy. Wzięli ze sobą butelkę brandy i jeszcze coś z Churchillowskiej „apteczki”. Alarm jednak był fałszywy i w pół godziny wrócili do siebie.

Później, ale jeszcze tego samego popołudnia, doszło do kolejnej rozmowy Chamberlaina z

Churchillem. Premier ponowił zaproszenie do udziału w Rządzie Wojennym i zaoferował mu stanowisko Pierwszego Lorda Admiralicji, czyli ministra marynarki wojennej, urząd, który Churchill raz już sprawował, w 1914 roku, gdy wybuchła Wielka Wojna. Churchill natychmiast wyraził zgodę i o 18.00 siedział już z powrotem w swoim starym fotelu, w swoim starym biurze, mając przy sobie drewniany schowek — kazał go specjalnie wykonać w czasie poprzedniego urzędowania — a w nim te same mapy Morza Północnego, na które wywiad marynarki wojennej nanosił ruchy kajzerowskiej floty dalekomorskiej. Do wszystkich okrętów i baz Royal Navy nadano z Admiralicji sygnał: WINSTON WRÓCIŁ.

Co się zaś tyczy wielkich wydarzeń historycznych — ich toku — to właściwie jedynym efektem misji „Proteusza” było to, że Wielka Brytania przystąpiła do wojny z trzydniowym ledwie opóźnieniem. Z punktu widzenia chronologii nie było to specjalnie duże opóźnienie.

Oceniając to jednak z innej strony, to znaczy uwzględniając kwestię jak i dlaczego doszło do przystąpienia Anglii do wojny, różnice były ogromne i dawały podstawy do nadziei, że zmiany, jakich wszyscy członkowie Operacji „Proteusz” oczekiwali z wielkim napięciem od wielu miesięcy, zaczną w końcu nabierać tempa i znaczenia.

ROZDZIAŁ 23

W Anglii przebywało obecnie pięciu uczestników ekipy „Proteusza”: Bannering, Anna, Selby, Winslade i Warren. W ośrodku powrotnym zrobiło się luźniej i łatwiej było teraz o samochód, więc Ferracini z Cassidym i Edem Payne'em wzięli wóz na wyprawę za miasto. Był to czarny

czterodrzwiowy packard z 1936 roku, zbudowany solidnie, jak czołg, z dwudzielną szybą z przodu, obłymi błotnikami, atrapą na chłodnicy i wnętrzem wypełnionym luksusowym zapachem

prawdziwej skóry. Najpierw pojechali na Manhattan, do Maxa, aby zabrać Janet, Pearl i Amy, a następnie ruszyli za miasto, na pomoc, w stronę wybrzeża nad cieśniną Long Island, tuż za zatoką Eastchester, do Glen Island Casino. Namówił ich Ferracini, który ciekaw był tego lokalu od czasu, gdy Winslade opowiedział mu o nim w samochodzie, kiedy wyjeżdżali z bazy okrętów podwodnych w Wirginii — wydawało mu się, że było to całe wieki temu. Ferracini chciał tam pojechać właśnie dziś, bo na dzisiejszy wieczór zapowiedziany był występ orkiestry Glenna Millera.

Parking wokół budynku był już prawie pełny, gdy zajechali na miejsce, a z każdą minutą samochodów jeszcze przybywało. Wysiedli w dobrych nastrojach i dołączyli do tłumu przed wejściem. Wieczór był ciepły i spokojny, tylko lekka bryza szumiała w koronach drzew. Budynek, jasno rozświetlony reflektorami, odbijał się w spokojnych' wodach zatoki, połyskujących srebrzyście w świetle księżycy zawieszzonego wysoko na granatowym, bezchmurnym niebie.

Tuż przed nimi wchodziło rozbawione towarzystwo w karnawałowych nakryciach głowy, z

papierowymi trąbkami w ręku. Jedna z dziewcząt miała cały pęk balonów i rozdawała je gościom mówiąc: „Właśnie wyszłam za mąż, proszę wziąć balona w prezencie”. Amy wzięła dwa i przywiązała je sobie z przodu, na sukience, co szalenie rozśmieszyło Janet. Cassidy włożył na głowę melonik, który jakimś cudem znalazł u Maxa. Pearl była lekko pijana po popołudniowym przyjęciu.

Zapowiadała się wspaniała zabawa.

W środku był tłoczno i gwarно. Grała już orkiestra. Muzycy w brązowych marynarkach i czarnych krawatach. Rozbrzmiewała bardzo rytmiczna aranżacja Linie Brown Jug. Skąpana w świetle

jupiterów estrada znajdowała się w końcu sali, na widowni zaś światło było dyskretne, atmosfera gęsta od dymu, parkiet — pełen podrygujących i kołyszących się postaci w najrozmaitszych strojach, od białych smokingów i wieczorowych sukni, do kraciastych koszul i dżinsów. Długi bar, przy którym kłębił się cały tłum, zajmował prawie połowę jednej ściany, a pozostałą przestrzeń wokół parkietu wypełniały stoliki, z których większość była już zajęta.

Właśnie gdy przeciskali się przez salę, Glenn Miller zaczął solówkę na puzonie. Ferracini zatrzymał się i patrzył na znajomą — bo od owego dnia w Norfolkku oglądał wiele jego zdjęć — postać: wyraziste rysy, gładko wygolona twarz, wysokie brwi i czoło z zaczątkiem łysiny, okulary w złotej oprawie. Nie można się pomylić, nawet z daleka. Ferracini słuchał wielokrotnie płyt z muzyką Millera i

wyobrażał sobie, jak to będzie, gdy już wyruszą na tę wyprawę w czasie. I oto teraz, w tej właśnie chwili, wydawało mu się, że przeszłość ożyła, albo może inaczej, że tamta „teraźniejszość” ostatecznie odeszła.

— Hej, Harry, chodź tutaj, mamy chyba stolik — wyrwał go z zamyślenia głos Cassidy'ego.

Janet chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą.

— Co jest z tobą, Harry? Ktoś mógłby pomyśleć, że nigdy nie słyszałeś orkiestry.

Rozmieścili się przy stoliku, jak tylko było można, wciskając się między krzesła zajęte przez sąsiednie towarzystwo. Amy usiadła Cassi-dy'emu na kolanach. Cassidy zrobił zabawną minę i

wymownie złapał za dwa balony, jakie przymocowała do sukienki. Amy miała ładną buzię, blond włosy całe w lokach, ubrana była w prostą, bladoniebieską sukienkę przypominającą trochę styl lat dwudziestych. Od czasu gdy z Janet poznała ich obu u Maxa, flirtowała trochę z Cassidym. Nie było to nic poważnego — raczej taki przyjacielski, nie zobowiązujący flirt. Edowi Payne'owi udało się przywołać kelnerkę i zamówili drinki.

Pearl sięgnęła do torebki, zapaliła papierosa i położyła całą paczkę oraz zapalniczkę na stoliku.

— A więc — zapytała — gdzie właściwie Gordon pojechał? Od dawna go już nie widziałam.

— Musiał wyjechać — rzekła Amy. — Mówiłeś mi, gdzie? — skierowała pytanie do Cassidy'ego.

— Do Europy.

— Pojechał zwiedzać muzea? — powiedziała Pearl. — Jest kolekcjonerem sztuki, prawda? Bez przerwy gdzieś łązi, żeby oglądać obrazy.

— Tym razem pojechał w interesach — rzekł Ferracini. Pearl potrząsnęła głową i westchnęła.

— A wiesz, że ja w dalszym ciągu nie wiem, czym wy, chłopcy, naprawdę się zajmujecie. To taka tajemnica, czy ja jestem taka nierozgarnięta, że niczego nie rozumiem?

— Nie przejmuj się — wtrąciła Janet. — Dziś będziemy się bawić, a nie gadać. Co jest z tą zabawą?

— No właśnie, co jest? — poparł ją Cassidy. — Jesteśmy tu już całe pięć minut, a nikt nie tańczy.

Coś mi się wydaje, że...

— Hej, przestań! — krzyknęła Amy.

— Balon pękł.

— Słyszałam kiedyś kawał o balonach — powiedziała Pearl. — No więc była taka tancerka z balonami... miała na sobie same balony, a jeden facet powiedział... — Zamilkła i wzruszyła ramionami. — Czekajcie... Zapomniałam, co dalej. Zawsze ze mną tak jest.

— Jedna panienka przyszła na bal maskowy ubrana tylko w czarny stanik i czarne buciki — rzekł Payne i spojrzał oczekująco na towarzystwo.

Pearl wzruszyła ramionami, Amy zmarszczyła brwi.

— No dobra — powiedziała Janet — ja się poświęcę. Więc za co była przebrana?

— Za piątkę pik! — zaśmiał się uszczęśliwiony Payne. Cassidy zawtórował, a w końcu zaśmiali się wszyscy. Ferracini zrobił śmieszny minę.

— Co to takiego: jest czarne, kruche i wisi na suficie? — zapytał. Nikt nie znał odpowiedzi. Jako Amerykanin włoskiego pochodzenia, Ferracini lubił tak zwane Polishjokes, dowcipy o Polakach. Ale w tej chwili przypomniał sobie, że ledwie poprzedniego dnia wojska Hitlera wdarły się do Polski od zachodu, a Rosjanie zaatakowali bez ostrzeżenia od wschodu, aby dokończyć dzieła zagłady tego nieszczęsnego kraju. Nie była to stosowna chwila do opowiadania Polish jokes, — Głupi elektryk —

zaimprovizował odpowiedź i wszyscy uznali, że jest dość dowcipna. Tymczasem przyniesiono drinki i o dowcipach zapomniano.

Pearl wypila spory łyk ze swojej szklanki, oparła się na krzesło i przymknęła oczy.

— O rany, nie powinnam była zaczynać tak wcześnie... muszę trochę wytrzeźwieć. — Spojrzała na Payne'a. — A dlaczego jeszcze nie prosisz mnie do tańca, Ed?

— Czy mogę cię prosić — odparł Payne z galanterią.

— U mężczyzn najbardziej mi się podoba zimna krew i zdecydowanie. A już myślałam, że nigdy mnie nie poprosisz. No więc chodźmy. — Wstała, Payne wziął ją pod ramię i ruszyli w stronę

parkietu, gdzie cały tłum podrygiwał i podskakiwał w takt melodii I've Got a Gal in Kalamazoo-zoo-zoo-zoo-zoo.

Amy założyła melonik Cassidy'ego.

— A dlaczego powiedziałaś tej facetce w klubie, że szmuglujesz broń do Ameryki Południowej? — zapytała oskarżycielskim tonem. Cassidy zrobił minę jak obrażona niewinność.

— Ja? Kiedy?

— Tak, ty! W zeszły piątek.

— Jakiej facetce?

— Tej wariatce w sukience jak z młodszej siostry. Nie udawaj, że nie wiesz, o kim mówię. Cassidy rozłożył ręce.

— No dobra, złapałaś mnie. Moja nieskałana niewinność młodzieńca nie pozwala mi kłamać. No więc rozmawiałem z nią, żebyś była zazdrosna. Pomyślałem sobie, że w ten sposób może mnie w końcu wpuścisz do łóżka, że będziesz łatwiejsza, jak zobaczysz, że masz rywalkę.

— Cassidy, jesteś nieznośny. Nie wierzę w ani jedno słowo.

Ferracini milczał. Oczami wyobraźni widział całe chmury sztukasów, bombowców nurkujących nad bezbronnymi miastami, widział gromady uchodźców ciągnące nie kończącymi się kilometrami dróg, z dziećmi i resztką swego dobytku na wózkach, a za nimi — spalone domostwa. I to właśnie działo się teraz, dokładnie w tym samym momencie, kiedy tu ludzie popijali, śmiali się i bawili. Było w tym wszystkim coś nierzeczywistego.

Poczuł rękę Janet na ramieniu.

— Chodź, Harry — szepnęła do ucha — nie czas na melancholię. Miała rację. Nie mógł nic zrobić.

Kiwnął głową i próbował się uśmiechnąć.

— No to postaraj się, żeby było wesoło.

— Zatańczymy? Pewnie się nie doczekam, że mnie sam zaprosisz.

— Nie mam siły na te podrygiwania. Poczekajmy na coś wolniejszego.

— Zgoda.

Później, gdy zegrali coś nastrojowego, tańczyli długo. Janet mówiła niewiele, ale tuliła się do niego, jakby w ten sposób pragnęła wyrazić to, czego nie chciała ubrać w słowa. Ferracini chłonał jej bliskość, a w duszy dawał się ponieść owemu dziwnemu uczuciu, które towarzyszy mężczyźnie, gdy kobieta oddaje mu się bez reszty. I to uczucie było dlań czymś nowym. W jego świecie już tylko nielicznych stać jeszcze było na takie całkowite oddanie. Sentymeny nie pasowały do przyszłości, która niosła zagładę, i do czasu, którego zostało już tak niewiele.

Poszli potem na taras, gdzie wszyscy wychodzili na łyk świeżego powietrza, a przy okazji popatrzeć na sznur świateł połyskujących nad wodą na brzegu Long Island i na kolorowe lampy na łodziach w zatoce. Janet przytuliła się i na sekundę wślizgnęła w jego ramiona. Po chwili odsunęła się nieznacznie, by spojrzeć mu prosto w oczy.

— Nie chciałabym cię obrazić, Harry — powiedziała — ale... mam wrażenie, że nie znasz kobiet, prawda? Nie rozumiał, dlaczego miałby się obrażać. Uśmiechnął się i rzekł:

— Chyba nie. — Powiedział to tak po prostu. Jego świat był światem ciągłych niebezpieczeństw i ciągłej groźby. Żył w nim z dnia na dzień, ze świadomością, że czas dobiega swego kresu. W tych warunkach o seks, owszem, było łatwo, ale służył on wyłącznie rozładowaniu napięcia, nie niósł ze sobą zobowiązań, niczego, co mogłoby pogłębić ból i cierpienie. W tym świecie było inaczej. Ludzie kierowali się emocjami, ulegali niewoli uczuć, byli sentymentalnie zaborczy, a wtedy otaczało ich jakby minowe pole niepisanych praw i obowiązków. Ferracini uznał, że lepiej się w to nie wplątywać.

A może jednak myślał inaczej? Może po prostu i zwyczajnie bał się, że zostanie odrzucony.

Janet odczytała jego szczerą prośbę o pomoc. Przytuliła się jeszcze bardziej, pocałowała go w usta i szepnęła:

— Tylko nie myśl, że jak tak ze wszystkimi... ale, Harry, moglibyśmy spróbować. Ty i ja. Jeff pracuje dziś do późna, a na noc zostaje u kolegów z uniwersytetu. Mieszkanie jest wolne.

Ferracini odwrócił wzrok i spojrzał na zatokę.

— Nie wiem, czy powinnaś aż tak się angażować. Janet zachichotała cicho.

— Harry, ty naprawdę opowiadasz dziwne rzeczy. Czasami wydaje mi się, że jesteś nie z tej ziemi.

— Chcę tylko powiedzieć, że być może niedługo będę musiał wyjechać. Nie wiem dokładnie kiedy i nie umiem powiedzieć na jak długo i nie chciałbym, żeby...

Janet wcale nie była zaskoczona.

— Za granicę? — zapytała.

— Tak.

— Ale przecież wrócisz, prawda?

— Oczywiście.

Odpowiedź jej nie uspokoiła, chciała wiedzieć więcej.

— Ale... ale czy to niebezpieczne?

— Posłuchaj, ja naprawdę nie mogę nic powiedzieć... już o tym rozmawialiśmy. Odsunęła się, żeby lepiej widzieć jego twarz.

— Muszę przyznać, że chyba się tego spodziewałam — rzekła. — Jeff ma swoją własną teorię na ten temat. Chcesz usłyszeć?

— No, powiedz.

— On uważa, że władze się obawiają, iż Hitler i naziści mogą wyprodukować tę bombę, co to on o niej bez przerwy mówi, i twierdzi, że wy jesteście z tajnych oddziałów armii, które przeszkolono po to, aby przeniknęły do Europy i uniemożliwiły te plany.

— Mimo tego, że nie bierzemy udziału w wojnie?

— Jeff mówi, że sprawa jest tak ważna, iż to, czy bierzemy udział w wojnie, czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia. A wszystko wskazuje na to, że i tak przystąpimy do wojny. A jeśli nie, i tak możecie to zrobić, w tajemnicy, a może w porozumieniu z Brytyjczykami. Jeff sądzi, że być może w tej właśnie sprawie król angielski składał wizytę prezydentowi parę miesięcy temu.

— Co za przenikliwość — przyznał Ferracini. Miał nadzieję, że udało mu się wysłuchać tego wszystkiego z obojętnym wyrazem twarzy. — Czy powinienem coś powiedzieć?

Janet westchnęła.

— Nie, myślę, że nie. Ale chciałabym, byś wiedział, że jak wyjedziesz, wszystko jedno gdzie, będę o tobie myślała, rozumiesz? Niech ci się nie wydaje, że nikogo nie obchodzi, co się z tobą będzie działo.

Ferracini przyciągnął ją do siebie i długo spoglądał w jej oczy. Odpowiedziała spojrzeniem.

— Naprawdę? — zapytał w końcu.

— Naprawdę — potwierdziła. Wahał się przez sekundę.

— Co właściwie powiedziałaś przed chwilą, że Jeff co? Że gdzieś się wybiera...

— Jak wyjedziesz, to chciałabym, żebyś pamiętał o mnie.

— No to zniknijmy po cichu, weźmiemy taksówkę...

— Płaszcz już zabrałam.

— Zauważyłem.

— Niczego nigdy nie przegapiasz?

— Tylko dogodne okazje.

Janet zaśmiała się i wzięła go za rękę.

— Więc tej nie przegap. Idziemy.

ROZDZIAŁ 24

11 września Franklin Delano Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych, wystosował niezwykle list do Churchilla, z gratulacjami z okazji ponownego objęcia stanowiska Pierwszego Lorda

Admiralicji Brytyjskiej, a zarazem z zaproszeniem do dalszej wymiany korespondencji o charakterze nieoficjalnym.

Był to — delikatnie mówiąc — gest wielce nieortodoksyjny. Głowa obcego państwa nawiązywała

kontakt ze zwykłym ministrem innego państwa i to takim, którego kompetencje nie obejmowały

spraw zagranicznych. Wydarzenie to było znaczące także pod innym względem. Otóż obaj politycy praktycznie się nie znali. Spotkali się tylko raz, przelotnie w Londynie, w roku 1918, na lunchu, w którym Roosevelt uczestniczył jako zastępca ministra marynarki wojennej i wcale sobie nie

przypadli do gustu. Z wyjątkiem jednej sprawy: obaj dostrzegali groźbę, którą niósł nazizm. Różnili się diametralnie, jeśli chodzi o poglądy polityczne. Nieugięty konserwatyzm Churchilla i jego tradycjonalistyczna ideologia nie miały nic wspólnego z pragmatyzmem Roosevelta, którego

uznawano za czołowego przedstawiciela amerykańskiego liberalizmu, idola związków zawodowych.

Poglądy Churchilla na politykę New Dealu były identyczne z poglądami poprzedniego prezydenta —

Hoovera — który nie zmienił swego stanowiska nawet wtedy, gdy zawaliła się koncepcja

kapitalistycznego laissez-faire. Hoover twierdził, że gospodarka odżyje, kiedy zadziałają

mechanizmy samoregulacyjne. Churchill wzywał do położenia kresu Rooseveltowskiej „bezwzględnej wojnie przeciwko bogactwu i biznesowi”. Roosevelt z kolei tępił Churchilla za wsteczne poglądy i głosił jego upadek. Jak więc — w świetle tych faktów — wytłumaczyć ów nieoczekiwany gest

sympatii i solidarności?

Odpowiedź zawiera się w sposobie postrzegania przez obu polityków strategicznych realiów swojej epoki i ich wpływu na sprawy wewnętrzne. Obaj rozumieli, że kluczem do potęgi są siły morskie i obaj też uważali, że los ich państw, a w rzeczy samej los całego demokratycznego świata

zachodniego, zależy od wspólnej, angielsko--amerykańskiej przewagi na morzu.

Polityka wolnej ręki, nieinterwencji rządowej w handlu.

Roosevelt, zgodnie z doktryną admirała Mahana — stratega i historyka wojen morskich, którego pisma studiował za młodu — uważał, że silna marynarka wojenna to zasadniczy element systemu obrony Stanów Zjednoczonych. Co ważniejsze, uważał też, że nie należy rywalizować z Royal Navy, ale trzeba rozwijać współpracę z Brytyjczykami, aby stworzyć przeciwwagę dla rosnącej potęgi Niemiec i Japonii. Wynalazek maszyny parowej i odkrycie elektryczności sprawiły, że oceaniczne

„fosy” otaczające Amerykę szalenie się skurczyły; Ameryka stała się częścią jednolitego, pod względem kultury oraz ideologii, świata, który rozciągał się od Wysp Hawajskich po Ren. Interesy i bezpieczeństwo Ameryki zależały w tym samym stopniu od floty Wielkiej Brytanii, w jakim

brytyjskie zabiegi na rzecz równowagi sił w Europie zależne były od amerykańskich gwarancji na półkuli zachodniej. Oba państwa stały w obliczu tych samych zagrożeń, a ich połączone siły morskie stanowiły niezbędny element skutecznej obrony.

Również Brytyjczycy dostrzegali ową zbieżność interesów i z tego głównie względu Wielka Brytania zachowała życzliwą neutralność w czasie wojny hiszpańsko-amerykańskiej i udzielała cichego

poparcia amerykańskiej aneksji Wysp Hawajskich i Filipin, co nastąpiło, nim Niemcy zgłosili własne pretensje do obu terytoriów. Zbieżność interesów wyjaśniała także brytyjskie ustępstwa w sporze granicznym na Alasce i aprobatę działań Stanów, jeśli chodzi o kontrolę nad Panamą. Stany Zjednoczone ze swej strony zrewanżowały się wielce, przystępując do Wielkiej Wojny w roku 1917.

Ameryka nie mogła dopuścić do upadku Wielkiej Brytanii i Francji. Abstrahując od wzniosłych haseł

o „ratowaniu świata dla demokracji”, istota sprawy polegała na tym, że Ameryka po prostu musiała ratować własną skórę. Musiała więc powstrzymać łupieżczy marsz państw, które nie posiadały

niczego, na państwa, które były bogate. Linia Maginota stanowiła pierwszą flankę obrony Ameryki.

Tak było w 1917 roku i teza ta nie straciła nic ze swojej aktualności.

W swoim liście Roosevelt nawiązywał do faktu, że w czasie Wielkiej Wojny obaj z Churchillem sprawowali podobne funkcje, dalej zaś w tekście użył bardzo znamiennego sformułowania, że obecna sytuacja jest „zasadniczo podobna”. Sygnał — czytelny dla adresata, który też myślał w kategoriach globalnej strategii — wskazywał na jedność poglądów i celów.

Byłoby lepiej, gdyby w Kongresie zasiadało więcej takich ludzi o szerokich horyzontach — pomyślał

Roosevelt zajmując miejsce przy biurku w salonie, który zwał swoim Gabinetem Ovalnym. Pożegnał właśnie sekretarza stanu Cordella Hulla i doradcę Harolda Iceksa oraz trójkę senatorów, z którymi omawiali Ustawę o neutralności z 1935 roku. Ach, gdybym jej wtedy nie podpisał — pomyślał

Roosevelt. Na koniec tego miesiąca, października, zapowiedziano na Kapitolu głosowanie w sprawie złagodzenia ograniczeń na dostawy broni dla wojujących stron.

Roosevelt wolał pracować tu, w Gabinetecie Ovalnym, aniżeli w swoim oficjalnym biurze w Executive Wing, tak zwanym Skrzydle Władzy Wykonawczej w Białym Domu. Gabinet był wygodny, miał

ciemnozielone zasłony w oknach, białe ściany, perkalowe pokrowce na fotelach. Roosevelt nadał mu trochę osobistych akcentów, rozmieszczając wiele prywatnych i rodzinnych pamiątek, książek, albumów filatelistycznych, licznych modeli okrętów i co znacześniejszych okazów ze swego zbioru map morskich i obrazów o tematyce marynistycznej. Biurko było prezentem od królowej Wiktorii.

Wykonano je z drewna pochodzącego z brytyjskiego statku, który uwięził w lodach polarnych na północy, a następnie został uratowany przez amerykańskie statki wielorybnicze, odremontowany i zwrócony Wielkiej Brytanii.

Roosevelt miał pięćdziesiąt siedem lat i sprawował urząd prezydenta od roku 1932. Jego rzadkie włosy zaczynały przyprószać się siwizną. Skory do uśmiechu, śmiał się szeroko, ukazując cały garnitur zębów. Nosił złote binokle, które wspierały się na dużym prostym nosie, bardzo

odpowiednim do wyrazistego oblicza o mocnej kwadratowej szczęce. Był słusznej postury, miał

muskularne barki i ramiona, ćwiczył je po ataku polio przed osiemnastu laty. Skutkiem choroby był

paraliż obu nóg, co zapewne zrujnowałoby karierę kogoś słabszego duchem, ale nie jego. Powrócił na scenę polityczną jako gubernator stanu Nowy Jork, a następnie został prezydentem w okresie, kiedy kryzys ogarniający cały kraj rzucił największe chyba wyzwanie. Odpowiedział na nie w sposób spektakularny i bez względu na to, jak specjaliści w zakresie ekonomii mogą z wygodnej

perspektywy czasu oceniać skuteczność zastosowanych przezeń środków, to dynamika pierwszych stu dni jego prezydentury wystarczyła, by przekonać naród, iż Wuj Sam jest zdecydowanie po

stromie społeczeństwa. Spadkowe tendencje w gospodarce zostały wyhamowane, a w następnych

latach zaczęło się wyraźne ożywienie. Ponowny wybór Roosevelta w 1936 roku stanowił dobitny wyraz poparcia jego polityki.

Druga jednakże kadencja — można było to przewidywać — okazywała się znacznie trudniejsza.

Według tego, co sam mówił, i co powtarzali działacze New Dealu, Roosevelta otaczała „nienawiść pazernych chciwców”. Teraz, gdy najgorsza faza kryzysu należała już do przeszłości, siły skrajnej prawicy jęły wychylać się ze swych okopów i przystępowały do ataku na tych, którzy obnażyli ich zakłamanie, ujawniając fałszywą mądrość, przyjmowaną niegdyś przez społeczeństwo za dobrą monetę. Z drugiej jednak strony działania Roosevelta na rzecz zmiany struktury sądownictwa — a w istocie próba zliberalizowania sądów po tym, jak Sąd Najwyższy zawyrokował, że pewne sprawy w programie New Dealu są niezgodne z konstytucją — okazały się nietrafne i zakończyły porażką.

Doświadczenie to wykazało, że Amerykanie bardziej cenią określone zasady i instytucje aniżeli osobistości i że zawsze zachowują czujność wobec wszelkich prób manipulacji.

W tej kategorii zasad i filozofii mieściło się także przekonanie, że skoro udało się wreszcie odseparować od Starego Świata i jego problemów, to należy tego strzec i nie wolno dopuścić, aby synowie tych, którzy wędrowali przez pół świata, uciekając od starych kłopotów, mieli teraz wplątywać się w te właśnie sprawy. Takie poglądy reprezentowała silna frakcja izolacjonistów w Kongresie, i Roosevelt, choć prywatnie uważał, że Stany Zjednoczone wcześniej czy później przystąpią do wojny, musiał jednak być niesłychanie ostrożny, próbując zmienić społeczne nastroje.

Do niedawna w ogóle nie był zdecydowany co do tego, czy rzeczywiście chce jeszcze podjąć taki wysiłek. Monachium i późniejsze wydarzenia wypełniły go uczuciem takiej beznadziei i żalu, że około lata 1939 roku myślał nawet o wycofaniu się z życia publicznego. Resztę swoich lat chciał

poświęcić rodzinie i prywatnym sprawom. Zmienił zdanie, gdy Chamberlain — czego Roosevelt nie oczekiwał — okazał w ostatniej chwili stanowczość w kwestii polskiej. Następnie zaś wejście Churchilla do pierwszego Rządu Wojennego i objęcie przezeń stanowiska w Admiralicji sprawiło, że Roosevelt znów zaczął żywić nadzieje na pomyślniejszy rozwój wydarzeń. List do Churchilla — przynajmniej w części — wyrażał te właśnie podniosłe uczucia, których nie potrafił skrywać.

W rzeczy samej, nagły zwrot w biegu wydarzeń był tak zachęcający, że Roosevelt zaczął się zastanawiać nad ewentualnością wystawienia swojej kandydatury po raz trzeci w wyborach

prezydenckich, wbrew amerykańskiej tradycji politycznej, zgodnie z którą prezydent pełni swój urząd przez maksimum dwie kadencje. Na razie była to tylko ewentualność. Nikomu jeszcze o tym nie wspomniał, nawet Eleanorze nie powiedział ani słowa.

Tymczasem trzeba było przygotować się do kolejnej rozmowy tego ranka. Podczas gdy Pa Watson, sekretarz odpowiedzialny za program audiencji u prezydenta, zbierał na korytarzu przed gabinetem kolejną grupę gości, Roosevelt sięgnął po pierwszą teczkę z całego stosu na biurku i otworzył ją,

żeby przypomnieć sobie sprawę.

No właśnie. Chodziło o dalszy ciąg rozmowy, którą odbył z Alexandrem Sachsem 11 października.

Sachs musiał czekać dwa miesiące, nim wreszcie zdołał przekazać prezydentowi list od Einsteina.

Nie było to szczególnie uprzejme wobec starego Alexa, ale też... czyż można oczekiwać, że prezydent będzie dysponował wolnym czasem, gdy lont pod beczką prochu, na której spoczywał cały świat, już się palił? Roosevelt przeglądał materiały w teczce, czytał podkreślone fragmenty i uwagi, jakie poczynił był na marginesach. Doświadczenia z uranem na Uniwersytecie Columbia... potencjalne źródło wielkiej energii... pojedyncza bomba, która może zniszczyć całe miasto... program realizowany przez nazistów. Poza Sachsem i Watsonem w rozmowie — 11 października — brali udział dwaj

specjaliści od uzbrojenia: pułkownik Adamson z US Army i komandor Hoover z marynarki wojennej.

„Nie jest kuzynem byłego prezydenta” — zaznaczył żartobliwie Watson przy jego nazwisku.

Roosevelt uśmiechnął się. Według stenogramu, jedenasto-minutowa rozmowa zakończyła się uwagą prezydenta, że „sprawie trzeba będzie nadać bieg”.

To, co zrobiono, polegało na powołaniu Doradczego Komitetu do spraw Uranu pod przewodnictwem dyrektora Krajowego Biura Normalizacji: Lymana J. Briggsa. Pierwsze posiedzenie Komitetu

wyznaczono na 21 października w siedzibie Biura i zaproszono nań wskazanych przez Sachsa uczonych, którzy zajmowali się tą tematyką.

Tymczasem zaś doszło do dość niezwykłego wydarzenia. Mianowicie Leo Szilard zwrócił się do

Watsona z żądaniem, aby prezydent przyjął delegację uczonych przed posiedzeniem Komitetu.

Prośba ma pilny i kategoryczny charakter. Audiencję wyznaczono na 16 października. Roosevelt uniósł brwi, czytając notatkę Watsona z rozmowy z uczonymi.

— Żądanie? Kategoryczny charakter?... No, no — mruknął pod nosem. — Nie chciałbym być w ich skórze, jeśli sprawa okaże się marginesowa. — Odłożył teczkę, podniósł wzrok, obserwując piątkę gości, którzy właśnie wchodzili do gabinetu.

Einsteina już znał. Profesor wraz z małżonką Elsą (zmarłą przed trzema laty) gościł w Białym Domu w 1934 roku, tuż po przyjeździe do Stanów z Europy. W istocie Einsteinowie przyjechali do Stanów jeszcze w 1933 roku, ale wcześniejsze zaproszenie do Białego Domu gdzieś się zapodziało. Roosevelt, który niezłe mówił po niemiecku, długo rozmawiał wtedy z Einsteinem o pogarszającej się sytuacji w Europie, a także o ich wspólnej pasji: żeglarstwie.

Tym razem Einsteinowi towarzyszył Szilard — uczoney z Węgier — o którym Einstein wspomniał w liście. Przybył również pułkownik Adamson, pilnie wezwany przez Watsona. Dwóch pozostałych

gości: profesora Mortimera Greene'a i Niemca, doktora Kurta Scholdera, prezydent nie znał.

Wsparł się na krzesło i z uśmiechem słuchał, aż skończą się wstępne formułki powitalne, a następnie zachęcił gości:

— Okay, zaczynajcie, panowie, o co chodzi?! Szilard, wyraźnie podniecony wagą spotkania, przesunął się na krzesło do przodu, tak że siedział teraz na samym brzeżku.

— Panie prezydencie, przede wszystkim chciałbym podziękować za życzliwe potraktowanie mojej bardzo niezwykłej prośby — zaczął. — Jestem pewien, że po wysłuchaniu tego, co mamy do przekazania, zgodzi się pan, że była to uzasadniona prośba. Przejdę od razu do rzeczy...

— Właśnie — wtrącił się Watson — mamy niewiele czasu. Musieliśmy poprzesuwać zaplanowane już spotkania, żeby panów przyjąć. Szilard skłonił głowę na potwierdzenie.

— W istocie — mówił — to co mamy do powiedzenia, nie ma nic wspólnego z eksperymentami z uranem, choć te są bardzo ważne. Sprawa, która nas sprowadza, była i jest zbyt delikatna, by można było ryzykować, wysyłając jakiegokolwiek pisma i listy.

Adamson i Watson unieśli brwi. Roosevelt wysunął podbródek, co wystarczyło za wszelkie pytania.

— Jeśli wolno — Mortimer Greene sięgnął do kieszeni i dobył kopertę, z której wyciągnął fotografię.

Uniósł się nieco na krzesło i podał zdjęcie Watsonowi, który przekazał je do rąk prezydenta. Było to powiększenie z mikrofilmu, z zestawu, jaki ekipa „Proteusza” przywiozła ze sobą z roku 1975.

Roosevelt zmarszczył brwi, studiując fotografię. Po chwili jednak z jego twarzy zniknęło zaniepokojenie, pojawił się wyraz zwątpienia, gdy prezydent ogarnął myślą wszystkie nieprawdopodobne konsekwencje wynikające z dokumentu, jaki miał przed oczami.

— Zapewniam pana, że to zdjęcie jest prawdziwe — rzekł Szilard.

— A takie uroczystości, jak ta na zdjęciu, też nie zdarzają się codziennie — wtrącił Einstein, chcąc ułatwić sytuację.

Roosevelt mrugnął i raz jeszcze spojrział na fotografię. Przedstawiała rodzinę zgromadzoną przed bożonarodzeniową, pięknie ubraną choinką. Wszyscy uśmiechnięci, dzieci w odświętnych ubrankach, mnóstwo prezentów pod drzewkiem. Była to jego własna rodzina, a zdjęcie zrobiono w ich domu w Hyde Parku, nad rzeką Hudson, w połowie drogi między Nowym Jorkiem a Albany,

stolicą stanu. On sam stał pośrodku z żoną Eleanorą. Obok nich — trójka synów: John, James oraz Franklin D. Junior, córka Anna Eleanorą, synowe i zięć, wnuki i jeszcze inni członkowie rodziny, których na razie sobie nie przypominał.

Cały problem polegał na tym, że nie pamiętał tego konkretnego Bożego Narodzenia, w czasie którego wykonano tę fotografię. Co więcej, na zdjęciu była kuzynka z dzieckiem na kolanach i było to najwidoczniej jej dziecko, tymczasem kuzynka ta nie miała dzieci, a dopiero niedawno odbyły się jej zaręczyny. Jeszcze bardziej zadziwiająca była dedykacja wpisana w prawym dolnym rogu zdjęcia, z całą pewnością jego własną ręką. Brzmiała ona następująco:

Dla Catherine i Johna

z życzeniami, aby wspomnienie miłych chwil towarzyszyło im w tych

trudnych czasach

Franklin D. R.

Boże Narodzenie 1941

Dziewięćset czterdziesty pierwszy?

Roosevelt ostrożnie położył zdjęcie na pliku papierów na biurku, patrzył jeszcze przez chwilę, następnie sięgnął po pudełko z papierosami i starannie umieścił jednego w cygarniczce.

— No więc — powiedział w końcu, unosząc wzrok — należy mi się jakieś wyjaśnienie.

Decyzja, którą ostatecznie podjęto, była dokładnie taka, na jaką liczył Winslade. Postanowiono mianowicie nadać priorytet pracom na rzecz uruchomienia projektora powrotnego, co — gdyby się udało — automatycznie gwarantowało dostęp do bomby z roku 1975. Postanowiono również w

dalszym ciągu realizować program badań atomowych, jako zabezpieczenie na wypadek, gdyby

priorytetowe prace nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Jednocześnie uzgodniono, że wszystko, co odnosiło się do tego pierwszego punktu, wykonywane będzie pod szyldem badań związanych z

drugim programem.

Roosevelt polecił również, aby sprowadzono do Waszyngtonu pozostałych członków ekipy

„Proteusza”.

— Chcę poznać każdego z nich — rzekł do Watsona. — Każdy przecież obywatel Stanów

Zjednoczonych powinien mieć możliwość spotkania z prezydentem, bez względu na to, z jakich

Stanów i z jakiego czasu przybywa. — Zamyślił się na chwilę, a następnie spojrział na Greene'a. —

Więc od kiedy gnieździecie się w tym magazynie na Brooklynie?

— Od lutego — odparł Greene.

— A żołnierze, czy mają mundury z roku 1975?

— Mają — przywieźli ze sobą.

— To dobrze. Niech im pan powie, żeby założyli je, przychodząc tutaj — rzekł Roosevelt. — To dobrze wpłynie na ich samopoczucie i morale. — Machnął ręką w stronę Watsona. — Byłoby

niedobrze, gdyby żołnierze Armii Stanów Zjednoczonych musieli przemykać się w przebraniu na spotkanie ze swoim Naczelnym Dowódcą, nie uważasz, Pa... i to gdzie, do Białego Domu? Jeśli ktoś pytał, powiedz, że to tajemnica państwowa i że nie wolno o tym mówić.

Spotkanie w Biurze Normalizacji odbyło się zgodnie z planem, 21 października. Według oficjalnego zapisu postanowiono przeznaczyć sześć tysięcy dolarów na rozpoczęcie amerykańskiego programu badań jądrowych. Ze stenogramu wynika, że Adamson okazał się oficerem starej szkoły, o wąskich horyzontach, niechętnym wobec nowych możliwości. W pewnym momencie debaty — jak zapisano —

oświadczył, że o zwycięstwie decyduje przewaga moralna, a nie jakieś tam nowe rodzaje broni. Jeśli tak — odparł Eugene Wigner — to należałoby obciąć budżet armii o trzydzieści procent, Edward Teller zaś dodał, że „moralna przewaga” Hitlera doprowadziła do zagłady Polaków.

Cóż, wszystko to było jedynie w oficjalnym stenogramie.

ROZDZIAŁ 25

W historii ludzi „Proteusza” 6 października 1939 roku Hitler wygłosił w Reichstagu ważne przemówienie. Oświadczył, że jedynie naprawił dziejową niesprawiedliwość, jaką wyrządzono

Niemcom w Wersalu. Zapewniał jednocześnie, że nade wszystko pragnie pokoju. Zaproponował

zwołanie międzynarodowej konferencji w celu rozpatrzenia kwestii spornych między Niemcami a Zachodem. Przywódcy zachodni pozostawili rzecz bez odpowiedzi. Z jednej strony nie mogli narażać się światowej opinii publicznej, z drugiej — nie chcieli prowokować poważniejszych starć zbrojnych.

W tej sytuacji Hitler doszedł do wniosku, że potrzebny będzie jakiś bardziej przekonujący pretekst, dzięki któremu liderzy Zachodu będą mogli odstąpić od wojny, nie tracąc twarzy.

Rosjanie tymczasem, wyczuwając, co się szykuje i szukając dróg do umocnienia własnego

bezpieczeństwa, zaczęli naciskać na Finlandię w sprawie korekty granicy między obu państwami, a pod koniec listopada, już po zajęciu części Polski, przystąpili do otwartej wojny z Finami. Wiedząc, że Rosja zajęta będzie własnymi sprawami, Hitler wszczął przygotowania do uderzenia na Francję, drogą przez Belgię i Holandię. Blitzkrieg opóźnił się nieco na skutek złej pogody i nastąpił 30

stycznia 1940 roku. Francja — zdemoralizowana, rozbita wewnętrznie i zagrożona z trzech stron: — przez Hitlera, Mussoliniego i Franco — poprosiła o rozejm, nie stawiając właściwie żadnego oporu.

Na ekranie, w zaciemnionej sali rezydencji w Morpeth, ukazywały się oczom zebranych fragmenty kronik filmowych przedstawiające niemieckie zagony pancerne w marszu przez francuskie wsie i miasteczka, ogień artylerii i tysiące alianckich jeńców wojennych w złach-manionych mundurach, pędzonych szosami Francji przez uśmiechniętych i rozradowanych konwojentów w mundurach

Wehrmachtu. Przy wtórze terkotu projektora filmowego Arthur Bannering komentował:

— Hitler zgodził się na przerwanie ognia pod warunkiem, że Francja zostanie podzielona na część pod niemiecką okupacją i na sektor pod francuskim, ale proniemieckim rządem, który jednocześnie administrować będzie francuskimi koloniami. Francja uległa, co postawiło brytyjski Korpus

Ekspedycyjny w ogromnie trudnej sytuacji, skutkiem czego, w marcu, wojska brytyjskie również skapitulowały.

— A nie można ich było ewakuować? — zapytał Churchill, z fotela pośrodku sali, vis-a-vis ekranu.

— No cóż, nie dokładano starań — odparł Bannering. — Nie liczone się z tak gwałtowną ofensywą.

Nasze wojska nie były właściwie przygotowane do prowadzenia wojny, brakowało sprzętu, zwłaszcza do tak poważnej operacji, jak ewakuacja całego korpusu.

— Uhm — mruknął Churchill.

Przeprowadził się do mieszkania nad Pokojem Operacyjnym w siedzibie Admiralicji, dzięki czemu był w stałym kontakcie ze swoim biurem, a w zwolnionym mieszkaniu w Pimlico zorganizowano centralę ekipy „Proteusza”. Do Admiralicji przeniósł się także — siedzący teraz przy kominku — profesor Lindemann, oficjalnie po to, aby zorganizować Departament Statystyki, który miał wspomagać marynarkę wojenną radami i analizami naukowymi. Był listopad 1939 roku, i krąg zaufanych, którzy wiedzieli o „Proteuszu”, trochę się zwiększył w porównaniu z okresem sprzed wybuchu wojny.

Na ekranie pokazały się teraz zdjęcia niemieckich żołnierzy, jak burzą ścianę budynku muzeum i wytaczają na zewnątrz wagon kolejowy. Bannering kontynuował swój komentarz:

— Akt kapitulacji Francji został oficjalnie podpisany w kwietniu, w tym samym wagonie, w którym marszałek Foch dyktował Niemcom warunki przerwania ognia na zakończenie Wielkiej Wojny.

Wagon specjalnie przetransportowano na to samo miejsce w lesku Compiègne, gdzie stał 11

listopada 1918 roku.

Teraz pojawiła się sekwencja obrazująca moment podpisania aktu kapitulacji, a następnie sceny załadunku oddziałów niemieckich na okręty i wyjście w morze.

— W maju wojska Hitlera zaatakowały Danię i Norwegię. Wielka Brytania znalazła się w beznadziejnej sytuacji. Porty w Norwegii pozwoliły Niemcom na zacieśnienie blokady za pomocą U-bootów. Nie mieliśmy sojuszników. Sprzęt wojenny, a co ważniejsze... większość lotnictwa, straciliśmy we Francji. Wobec zbliżającego się nieuchronnie kresu, do wojny przystąpił Mussolini.

Zaatakował Egipt i brytyjską Afrykę Wschodnią. Hitler zaś, wbrew postanowieniom traktatu, które wykluczały taki krok, przejął francuską flotę w Oranie, co, razem z flotą włoską, zapewniało państwu „osi” całkowite panowanie na Morzu Śródziemnym. Nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko wycofać nasze okręty z Morza Śródziemnego do Gibraltaru, przez co Egipt pozostał bez żadnej osłony.

W głosie Banneringa brzmiały nuty żalu, gdy wracał do lat wypełnionych bólem i cierpieniem, do czasu, który już należał do przeszłości, a zarazem stanowił najbliższą przyszłość.

— Później zaś, cała reszta Europy znalazła się w orbicie tych, którzy okazali się zwycięzcami i rychło znaleźliśmy się w obliczu przeważających sił. Hiszpania otworzyła swoje granice, co umożliwiło Hitlerowi przejęcie Gibraltaru. Padła Malta. Państwa bałkańskie przyłączyły się do „osi” i w ten sposób doszło do strategicznego okrążenia Zatoki Perskiej przez Grecję i Turcję. Włosi rozwijali ofensywę od strony Afryki Północnej. W listopadzie Halifax, który tymczasem zastąpił

Chamberlaina na stanowisku premiera, jął zabiegać o przerwanie ognia za cenę oddania Egiptu.

Hitler jednak na to nie przystał, jako że los Bliskiego Wschodu, tak czy owak, był już przesądzony, jednocześnie zaś, chcąc wyeliminować możliwość wykorzystania Wielkiej Brytanii jako przyczółka do ewentualnych operacji amerykańskich, zażądał zgody na okupację Wysp Brytyjskich.

Na ekranie pojawiły się ogromne formacje bombowców Luftwaffe, a następnie znane już sekwencje batalistyczne: wybuchy, ogień, rujnowane budynki, tyle że były to już zdjęcia z londyńskich ulic i wizerunki znanych londyńskich zabytków. Wśród zgromadzonych widzów rozległy się okrzyki

przerażenia i protestu. Bannering tymczasem kończył swoją opowieść, malując bardzo

przygnębiający obraz:

— Resztki RAF-u zostały zniszczone w ciągu trzech tygodni. Byliśmy bezbronni. Nie mieliśmy już czym się bronić przed nalotami i przed wojskiem szykującym się do inwazji na Wyspy z portów po drugiej stronie Kanału. Rodzina królewska i inni wybitni przedstawiciele społeczeństwa

brytyjskiego ewakuowali się do Kanady. 31 grudnia wojska niemieckie wylądowały na Wyspach, nie napotykając żadnego oporu, 1 stycznia 1941 podpisano akt kapitulacji Wielkiej Brytanii. — Ostatnia

sekwencja filmowa ukazywała triumfalny wjazd Hitlera do Londynu. Wzdłuż całej trasy zwycięskiej defilady stały czołgi i tysiące żołnierzy w mundurach feldgrau.

Winslade wyłączył projektor filmowy. Brendan Bracken, przyjaciel i doradca Churchilla, zapalił światło. Przez kilka jeszcze chwil w sali panowała ponura cisza. Z wolna ciężki nastrój ustępował, gdy zaczęto wymieniać uwagi i komentarze. Admirał Pound, dowódca marynarki, bliski przyjaciel Churchilla jeszcze z czasów wspólnej służby we flocie, zwrócił się do Banneringa:

— A ty, Arthur, też się ewakuowałeś z całą tą grupą, o której wspomniałeś na końcu?

Bannering przecząco potrząsnął głową.

— Wyjechałem parę miesięcy wcześniej, z jednym z departamentów, który już w październiku przenoszono do Kanady.

Desmond Morton, również bliski współpracownik Churchilla z czasów Wielkiej Wojny, zamyślony, gładził się po brodzie. Był oficerem artylerii, kawalerem wysokich odznaczeń bojowych i znano go z tego, że otrzymał kiedyś postrzał w serce — przeżył, choć kuli nigdy mu nie wyjęto i tkwiła w jego sercu do tej pory.

— A więc, jak rozumiem, gdzieś tu... w mieście... jest jakby... kopia pańskiej osoby, pańskie drugie wcielenie, prawda?

— Tak — wtrącił się Lindemann. — Tak jest w istocie, i od stycznia już Bannering rozgląda się za samym sobą.

— Nadzwyczajne!

Churchill podniósł się, gdy zwijano ekran, za którym — na ścianie — znajdowała wielka mapa świata. Zapadła cisza. Winslade wrócił na swoje miejsce i usiadł.

— A więc... ujrzeliśmy przepaść, wiedzie do niej droga, którą szliśmy jeszcze kilka miesięcy temu —

rzekł Churchill. — I niech nam się nie wydaje, że wiemy już, jak uniknąć najgorszego. Przeciwnie, sytuacja zdaje się jeszcze groźniejsza niż ta, która istniała, nim zaczęliśmy ingerować w bieg wydarzeń. Owszem, to fakt, że przepaja nas większa wola walki, ale z drugiej strony Rosja zmieniła swoje stanowisko, nie jest już takim sobie cynicznym państwem neutralnym, weszła w aktywny sojusz z Hitlerem.

Nikt nie był w stanie precyzyjnie określić tych zmian, które zaszły w świecie na skutek ingerencji ekipy „Proteusza”. Nie można było też wykluczyć, że do pewnych wydarzeń doszłoby tak czy owak.

Nieosiężne okazało się ogarnięcie wszystkich związków przyczynowo-skutkowych, które łączyły poszczególne działania ekipy „Proteusza”, zwłaszcza że niektóre nowe zjawiska trudno było bezpośrednio odnieść do Operacji „Proteusz”.

Churchill tymczasem rozwijał swoją myśl:

— A więc... przemówienie kaprała Hitlera, ogłoszone w Reichstagu 6 października, zdarzyło się w obu historiach świata. Wersja, którą usłyszeliśmy w naszym świecie, zawierała jednak mocne słowa oskarżenia pod moim adresem za podżeganie do wojny. Ponieważ w drugim moim wcieleniu, w świecie „Proteusza”, nie sprawowałem żadnego urzędu państwowego, to staje się oczywiste, że nasze działania już wpływają na zmianę postępowania przywódców nazistowskich w Berlinie. Wiemy

ponadto, że w sytuacji, gdy wojska Hitlera pozostają na zajętych przez siebie terenach, Chamberlain i Daladier zdecydowanie odrzucają możliwość przystąpienia do rokowań z Niemcami. W tym drugim świecie paraliżowało ich tempo wydarzeń. I tę różnicę można chyba przypisać Operacji „Proteusz”.

— Rozłożył teraz ramiona, jakby wzywał obecnych do zastanowienia. — Z drugiej jednak strony — rzekł — mamy ten godny pożałowania incydent z okrętem Royal Oak. W połowie października

niemiecka łódź podwodna przedarła się przez system obrony bazy floty brytyjskiej w Scapa Flow, w północnej Szkocji, i zatopiła stojący tam na kotwicy pancernik Royal Oak. Tego wydarzenia nie notowała historia świata „Proteusza”. Jako szef Admiralicji zapewniam, że gdybyśmy wiedzieli, że dojdzie do czegoś takiego, to oczywiście podjęlibyśmy stosowne kroki zapobiegawcze. Tymczasem trudno dostrzec jakikolwiek związek między naszymi działaniami a tym wydarzeniem. A co

właściwie sądzić o niedawnym głosowaniu w Kongresie amerykańskim nad poprawką do Ustawy o neutralności, znoszącą zakaz sprzedaży broni? — pytał teraz Churchill. — Poprawka zezwalała na dostawę amerykańskiej broni i amunicji walczącym stronom, pod warunkiem że opłaty wnoszone

będą gotówką, a kupujący zabierze broń własnym transportem, co oczywiście było korzystne dla aliantów, jeśli pamiętać, że Wielka Brytania dysponowała ogromną flotą handlową. Czy to

wydarzenie jest tylko wynikiem przypadkowych zderzeń różnych wymiarów czasu, czy też świadczy o tym, że prezydent Roosevelt, który w poprzednim świecie zachował ambiwalentny stosunek do wydarzeń, został jednak przekonany wolą walki, jaką okazaliśmy w ostatniej chwili, i nacisnął na Kongres? Jeśli przyjmujemy tę ostatnią interpretację, to zaistniała zmiana możemy również zapisać na nasze konto. Krótko mówiąc, chodzi o to, w jakim stopniu możemy polegać na historii tego wcześniejszego świata w sprawach prognoz dla świata, w którym żyjemy? Spróbujmy wypracować

jakieś wnioski w tej mierze. — Zamilkł i przez chwilę patrzył na zebranych, po czym zakończył swój wywód następującymi słowami: — Jeśli plany niemieckie są zgodne z tym, co notowała historia poprzedniego świata, to oznacza, że decyzja o Blitzkriegu na Zachodzie już zapadła. Działania opóźniają się tylko na skutek złej pogody. W poprzednim świecie ofensywa rozpoczęła się pod

koniec stycznia, ale, biorąc pod uwagę wszystkie niewiadome, czy możemy przewidzieć, że tak będzie również tym razem? Przecież Niemcy mogą zaatakować już jutro. — Podniósł rękę, podkreślając gestem dłoni wagę wypowiedzianych przez siebie słów. — Nie wolno nam jednak ryzykować, przeto nie można dopuścić do rozpowszechniania tych wiadomości wśród członków rządu. Jeśli bowiem do Hitlera i jego mocodawców dotarłaby wiadomość, że nie mają już wyłączności na ową niezwykłą technologię związaną z wymiarem czasu, to można założyć, że podjęliby oni próby przechylenia szali zwycięstwa na swoją stronę, uciekając się do natychmiastowego użycia bomby atomowej, a nie

dopiero w roku 1942. Wszystko zatem zależeć będzie teraz od postępów, jakie uda się poczynić uczonym w Stanach Zjednoczonych. Wszystko, co my możemy zrobić, to trzymać się mocno i z nadzieją oczekiwać na wyniki.

Było to niezbyt budujące zakończenie i w sali zapadła cisza. Churchill dał znak Winslade'owi, żeby zabrał głos.

Winslade wstał, przez chwilę zacierał dłonie, patrząc na mapę, a następnie odwrócił się frontem do sali i zaczął:

— Nie oznacza to — rzekł z werwą — że nie powinniśmy skorzystać z wiedzy, którą przecież mamy.

— Na to dictum sala się ożywiła. Były to dokładnie słowa, które każdy chciał usłyszeć. — Ale nie oszukujmy się, w świetle wymogów bezpieczeństwa, co do których wszyscy się zgadzamy, nie można zakładać radykalnych zmian w polityce rządu w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Przewidujemy, że pod koniec stycznia, tak jak w poprzedniej historii, dojdzie do uderzenia na Belgię. Mamy jednak nadzieję, że dzięki wysiłkom takich ludzi jak Winston, tym razem Francuzi stawią skuteczniejszy opór. — Winslade przerwał, wszyscy milczeli. Odwrócił się do mapy i palcem wskazał na poszarpane brzegi Norwegii. — Tymczasem — rzekł — ten oto obszar, odległy od głównego teatru działań,

powinien być raczej spokojny. Jest oczywiste, że jako grupa nie sprawujemy jeszcze władzy nad całym krajem, ale kontrolujemy marynarkę wojenną... są przecież wśród nas i Pierwszy Lord

Admiralicji, i dowódca floty. Plan, który opracowaliśmy, polega na tym, żeby, korzystając z tego, że cała uwaga skupiać się będzie w najbliższych miesiącach na froncie zachodnim, użyć marynarki wojennej do wysadzenia desantu właśnie tu, w pomocnej Norwegii. Na użytek opinii publicznej będziemy głosić, że operacja ta ma na celu przyjsie z pomocą Finlandii drogą przez Szwecję. W

naszym świecie Finowie zaskoczyli wszystkich sposobem, w jaki stawili czoło Rosjanom. Zyskali powszechne poparcie i sympatię. Nie ma powodów, aby zakładać, że w tym świecie sprawy przybiorą inny obrót. Tymczasem, i o tym poinformujemy rząd, prawdziwym celem operacji będzie odcięcie Hitlera od dostaw szwedzkiej rudy dobywanej tu, w Gallivare, i transportowanej przez port w Narviku. — Winslade uśmiechnął się tajemniczo. — W rzeczywistości chodzić jednak będzie o

jeszcze coś innego, o to mianowicie, by nie dopuścić do inwazji wojsk niemieckich na Norwegię, co,

jak wiemy, ma nastąpić w maju. Jeśli nam się uda, to nie tylko odetniemy Hitlera od złóż rudy, ale także nie dopuścimy do tego, by w jego posiadaniu znalazły się dodatkowe bazy okrętów

podwodnych, które mogłyby stanowić odskocznnię na Atlantyk.

Zapadła cisza, podczas której zebrani zastanawiali się nad przedstawionym planem. Po chwili ktoś zapytał:

— A skąd ta pewność, że Niemcy nie zmieniają swoich planów wyznaczonych na maj?

— Nic nie jest pewne — przyznał Winslade. — Różnice, jakie do tej pory wystąpiły w stosunku do poprzedniej historii, odnosiły się raczej do szczegółów, a nie do zasadniczych wydarzeń. Czas pokaże, czy ta zasada utrzyma się także w przyszłości. Według naszej wiedzy, na przykład, za dwa dni Rosjanie powinni przystąpić do ataku na Finlandię. I właśnie to będzie dla nas doskonałym sprawdzianem.

— A jak jesteśmy przygotowani do rozpoczęcia takiej operacji, mam na myśli szkolenie wojsk i sprzęt? — zapytał pełen wątpliwości Desmond Morton. — Nie zapominajmy o przewadze Niemiec... przystąpili do przygotowań znacznie wcześniej.

— Harvey? — Winslade zwrócił się do majora Warrena. Warren siedział przy drzwiach, obok Edena i Duffa Coopera. Zaczął mówić, nie wstając z krzesła.

— Nie jesteśmy tak przygotowani, jak byśmy chcieli — powiedział z całą otwartością. — Ludzie, z którymi rozmawiałem, nie pojmują jeszcze, że lotnictwo jest ważniejsze od marynarki... i na tym polega najważniejszy problem. Jeśli Luftwaffe uchwyci bazy znajdujące się w zasięgu naszej operacji, to może być źle. Lotniskowce nie wytrzymują konkurencji z bazami lądowymi, a zresztą brytyjska marynarka wojenna i tak nie dysponuje wystarczającą liczbą lotniskowców. Co się tyczy pancerników to ich epoka minęła.

— Ale przecież Luftwaffe zajęta będzie we Francji — rzekł Churchill. — Aż niemiecką marynarką wojenną damy sobie radę, jeśli oczywiście będzie ona próbowała przystąpić do akcji.

Tu i ówdzie rozległy się śmiechy, ktoś zwrócił uwagę na inną wątpliwość i rozmowa zeszała na tematy techniczne i przemieniła się w debatę nad zaletami i wadami lotnictwa morskiego, lądowego i pancerników. Warren spojrzał porozumiewawczo na Winslade'a. Winslade wzruszył ramionami.

W przedstawionym planie mieścił się jeszcze jeden ważny element, o którym jednak wiedzieli tylko ci, co w operacji „Proteusz” brali udział od początku.

Otóż należący do Hitlera projektor powrotny związany z rokiem 2025 znajdował się we wschodnich Niemczech w pobliżu Lipska, mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów na południe od Berlina.

Umieszczono go głęboko pod ziemią, w sztolniach wydrążonych pod zakładami chemicznymi i

fabryką amunicji w Weissenbergu. Nie można było mieć nadziei na skuteczną obronę Zachodu, gdyby „Pro-jektornia V” miała funkcjonować w dalszym ciągu. Jednocześnie nie było żadnych sygnałów o nawiązaniu łączności z rokiem 1975. W tej sytuacji Winslade na własną rękę podjął decyzję o próbie zniszczenia niemieckiego projektora powrotnego.

— Zakładano, że będziemy jak gdyby saperami, których zadaniem jest przygotowanie przeprawy czołgów — powiedział Churchillowi. — Wygląda jednak na to, że czołgi nie przyjadą. Proponuję przeto, abyśmy, nie zwlekając, sami zaatakowali cel. Zniszczenie tej maszyny to zadanie pierwszoplanowe.

Cel ten zamierzano osiągnąć w toku operacji oznaczonej kryptonimem „Łącznik”. Planowano zaangażowanie stosunkowo niewielkich sił i środków. Operacja miała jednak rzeczywiście ogromne znaczenie i miano ją rozpocząć w czasie, kiedy tok wydarzeń sprawi, że uwaga Europy skupi się na zupełnie innych obszarach.

Tymczasem, zgodziwszy się z ogólnymi założeniami planu, grupa zainteresowanych czekała, czy spełnią się prognozy Winslade'a i Rosja rzeczywiście zaatakuje Finlandię, tak jak się to wydarzyło w poprzednim świecie. Rosja spełniła oczekiwania i dokładnie jak w historii, a więc 30 listopada, rozpoczęła ofensywę na froncie fińskim. Winslade, zachęcony dowodem na to, że można polegać na informacjach dotyczących biegu zasadniczych zdarzeń, zadeszował do Nowego Jorku z poleceniem, aby reszta wojskowych uczestników misji „Proteusza” przygotowała się do pilnego wyjazdu do Anglii.

ROZDZIAŁ 26

Pułkownik Hans Piekenbrock, szef Wydziału Wywiadu Zagranicznego w centrali Abwehry patrzył niezdecydowanie na rozłożone na biurku akta. Następnie sięgnął po kilka kartek wyjętych z amerykańskiego magazynu ilustrowanego, które podsunął mu siedzący naprzeciwko podpułkownik Boeckel.

— A więc to jest to zdjęcie? — mruknął przyglądając się bacznie kolorowej fotografii na pierwszej stronie. Przedstawiała dwóch mężczyzn ściskających sobie dłonie w jakiejś przestronnej, elegancko urządzonej sali. Tuż za nimi stało jeszcze kilka osób. Była to uroczystość pożegnania, w hallu Białego Domu, delegacji przybyłych na październikową konferencję OPA, czyli Organizacji Państw Amerykańskich. Piekenbrocka nie interesowały jednak postaci na pierwszym planie, ale stojąca za nimi grupka osób w mundurach. Znalazła się ona na zdjęciu zupełnie przypadkowo. Stali w luźnym szyku, zapewne czekali na audiencję. Towarzyszyło im również kilka osób po cywilnemu.

Boeckel podsunął powiększenie fragmentu zdjęcia sporządzone na jego prośbę przez Wydział

Zdjęciowy.

— Za pozwoleniem, panie pułkowniku... — Wskazał na dwóch żołnierzy stojących nieco z boku.

Jednego z nich — wysokiego z jasnymi jak słoma włosami — fotograf uchwycił akurat w chwili, gdy gestykułował, mówiąc coś do kolegi bruneta. — Fritsch przysłał nam te wycinki, ponieważ, jak twierdzi, ci dwaj byli razem z gangsterami, o których informował we wcześniejszym meldunku. —

Boeckel pokazał teraz kolejne powiększenie, na którym widoczne były, co prawda niezbyt wyraźnie, pagony i dystynkcje na kurtkach mundurowych. — Kazałem zidentyfikować jednostki wojskowe, do których ci dwaj należą i rezultat był zaskakujący. W żadnym z oficjalnych informatorów U S Army nie ma wojsk o takim oznakowaniu. I proszę uważnie spojrzeć na mundury, różnią się one w

licznych, choć drobnych detalach, od standardowych uniformów amerykańskich. I znów, żaden z oficjalnych roczników wojskowych nic nie wspomina o tego typu umundurowaniu.

Piekenbrock oparł się na krzesło, palcami masował skronie w zamyśleniu. Następnie wstał i podszedł do okna. Przez chwilę obserwował ruch uliczny na Bendlerstrasse.

— Powtórzmy wszystko jeszcze raz — rzekł po chwili. — A więc, po pierwsze: agent nazwiskiem Fritsch wplątuje się w awanturę z miejscowymi gangsterami i w rezultacie zostaje uwięziony w pewnym domu, na przedmieściach Nowego Jorku. Następnie zaś, ni stąd i z owad, zjawiają się tajemniczy ludzie w maskach, dostają się do domu po murze, gołymi rękami pokonują bandytów, tak że ci lądują w szpitalu. Zdobywają budynek i przekazują go w ręce innego, konkurencyjnego gangu.

— Wydaje się, że rzeczywiście chodzi o jakiś konkurencyjny gang.

— Powiedzmy. Następnie Fritsch przysłała meldunek o całym tym zdarzeniu i dołącza dziennikarską informację z nowojorskiej prasy.

— ...z którego ówczasie nie wynika nic specjalnego — dokończył Boeckel. — Niemniej jednak postanowiliśmy nie zamykać sprawy, ale obserwować dalej.

Piekenbrock uniósł rękę.

— Postąpił pan prawidłowo. Okazuje się oto, że ci ludzie to nie przestępcy, ale żołnierze armii amerykańskiej. Co więcej, należą do nieznannej jednostki, która, jak można przypuszczać, została sformowana całkiem niedawno. Wygląda też na to, że jej żołnierze przechodzą specjalne

przeszkolenie. I oto widzimy ich w Białym Domu... gdzie mają być przyjęci przez kogo? Może przez samego prezydenta? Jeśli tak, to dlaczego? Kim oni właściwie są?

— Zastanawiałem się nad tym — rzekł Boeckel.

— I do jakich wniosków pan doszedł?

— To tylko przypuszczenia, panie pułkowniku, spekulacje, ale wydaje mi się, że Amerykanie szykują jakąś tajną jednostkę, specjalnie przeszkoloną do operacji szczególnego rodzaju: sabotażu, dywersji, zabójstw i tak dalej. Napaść na dom gangsterów mogła być niczym innym, niż praktycznym egzaminem albo ćwiczeniem nie pozbawionym pewnych użytecznych walorów społecznych, niejako przy okazji bowiem zlikwidowano pewne niepożądane elementy kryminalne, których nie można było usunąć, posługując się prawem.

Piekenbrock uniósł brwi.

— Chce pan przez to powiedzieć, że policja nic nie wiedziała o tej akcji? Czy nie byłoby to zbyt ryzykowne?

— Znacznie mniej ryzykowne niż prawdziwa operacja i spotkanie z obcą policją — podkreślił Boeckel. — Niewykluczone, że chodziło o ćwiczenie w maksymalnie naturalnych warunkach.

— Hmm, no tak... muszę przyznać, że brzmi to przekonująco. Proszę kontynuować. Boeckel postukał palcem w akta leżące na biurku.

— Magazyn, który Fritsch odnalazł na Brooklynie, może pełnić funkcje tajnej bazy. Osobiście podejrzewam, że chodziło o ćwiczenia, które miały wykazać, że żołnierze są w stanie działać w ukryciu, nawet w wielkim mieście, że są w stanie penetrować środowisko przestępcze, prowadzić działania operacyjne bez żadnej pomocy władz lokalnych, przy zachowaniu pełnej tajemnicy. Wydaje mi się też, że wizyta w Waszyngtonie była rodzajem nagrody, którą im przyznano po pomyślnym „zdaniu egzaminu”, a przed rozpoczęciem normalnych działań operacyjnych.

— Na przykład jakich? Boeckel wzruszył ramionami.

— No cóż, powszechnie wiadomo, że Roosevelt chciałby przystąpić do wojny, ale Kongres i społeczeństwo nie wyrażają zgody, przynajmniej jeśli chodzi o otwarte działania. Myślę, że można założyć, iż oddział ten zostanie skierowany do działań tu, u nas, a może nawet w samym Berlinie.

— I zabójstwa, powiada pan, to jedna z ich specjalności? Boeckel wziął głęboki oddech.

— Celem mogą być pewne wybitne osobistości z naszego kierownictwa.

Piekenbrock przytaknął. Doszedł zapewne do podobnych wniosków.

— I to wyjaśniałoby osobiste zaangażowanie Roosevelta — mruknął.

— Właśnie tak, panie pułkowniku.

— Hm... Sądzę, że powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej o tym rzekomym magazynie, jeśli tylko damy radę — rzekł Piekenbrock. — Ale może już nie Fritsch, to amator. Czyta zbyt wiele

kryminałów i podejmuje niepotrzebne ryzyko. Niech pan wyznaczy kogoś z zawodowców, no, powiedzmy, Muszkietera. Proszę zachować pełną ostrożność. Żadnych włamań, nic ryzykownego.

Mogą tam być przecież ci, o których meldował Fritsch. To wszystko.

— Tak jest. — Boeckel wstał i zebrał papiery.

— Chcę wiedzieć więcej o tym magazynie i o tym, co tam się dzieje — rzekł jeszcze Piekenbrock. —

Ale delikatnie, rozumiemy się?

— Natychmiast się tym zajmę.

— Bardzo dobrze. Aha, Boeckel, ta pańska sekretarka... to bardzo atrakcyjna kobieta, ale niech pan uważa, żeby pana szczęście nie opuściło. Chodzą słuchy, że wielu panu zazdrości. Oczywiście wiem, że Fiihrer życzy sobie, abyśmy produkowali więcej Niemców, ale nie jest powiedziane, że należy to czynić publicznie. Czy to jasne?

— Tak jest. Wyrażam ubolewanie, panie pułkowniku. Postaram się o większą dyskrecję.

— Bardzo dobrze. Nie mówmy już o tym. Żegnam pana. Heil Hitler.

— Heil Hitler.

ROZDZIAŁ 27

Pewnego razu, gdy Ferracini był jeszcze chłopcem, wuj Frank przywiózł go tu, by zobaczyć, gdzie się urodził. Później zaś, gdy dorastał, gdy czuł się samotny i opuszczony, wracał w okolice Queensu i przechadzał się ulicami, wśród których zamykał się świat jego rodziców, jakby wierzył, że chłonąc te same widoki, mury i ulice, będzie bliżej tych, których nie dane mu było poznać.

Narożna kamienica, która w jego pamięci zapisała się jako ruina, z deskami zamiast szyb w oknach, dziś przedstawiała się zupełnie inaczej. W oknach na górze stały doniczki z kwiatami i kraśniały czerwone zasłony, sklep z rowerami na dole wyglądał dostatnio i solidnie. W sąsiednim domu, gdzie

— jak pamiętał — był kiedyś zakurzony i ponury magazyn z częściami samochodowymi, znajdował

się teraz wypełniony kupującymi sklep spożywczy, nieco dalej zaś był sklep monopolowy, jak zresztą i w tamtych czasach. To samo dotyczy sklepu żelaznego, ale ten dzisiejszy wyglądał jakby bardziej staroświecko. Na zewnątrz wystawiono cynowe wanny i balie, w środku stały beczki z naftą i

terpentyną, a przed wystawą leżały stosy drewna na podpałkę, świec, motki sznurków i tuziny mioteł.

Tam gdzie kiedyś był sklep z telewizorami, teraz sprzedawano warzywa i owoce, a tam gdzie za jego czasów straszło pogorzelisko, ruiny kamienicy po pożarze, wznosił się zgrabny drewniany domek pomalowany na zielono, ze ścianami upstrzonymi rysunkami i napisami wykonanymi dziecięcą

ręką. Cała ulica, choć w sumie podobna do tej, którą pamiętał, sprawiała jednak inne wrażenie niż ów ponury widok, jaki zapisał w myślach w czasach dawno już minionych, a zarazem przyszłych.

Czuło się, że ulica tętni życiem i mieni się barwami. Była taka, jak zawsze marzył, jak pragnął, żeby była.

Wsadził ręce głęboko w kieszenie kurtki i szedł wolnym krokiem, mijając domy i sklepy, obok kościoła, którego sylweta widniała między drzewami, za płotem otaczającym dziedziniec. Minął

szkołę u stóp wzniesienia i szpital wybudowany za budynkiem szkolnym, na zboczu wzgórza. Oto świat, w którym urodzili się i dorastali jego brat i siostra, nim on, Ferracini, urodził się. Nie umiał

sobie wytłumaczyć, dlaczego i po co tu przyszedł, nie uważał się przecież za sentymentalnego.

Nadeszły już rozkazy od Winslade'a, który żądał, aby oddział specjalny przygotował się do wyjazdu do Anglii. Ochronę ośrodka powrotnego przejmie oddział żandarmerii po cywilnemu. Ferracini czuł, że musi odwiedzić te okolice przed wyjazdem.

To tylko ciekawość, a nie nostalgia — przekonywał sam siebie. Janet miała wolny dzień i chciała przyjechać tu razem z nim, ale odmówił. Uważał, że musi tu być sam. Później pojedzie do niej, żeby się pożegnać i z nią, i z Jeffem.

Od dłuższej chwili stał na rogu i wpatrywał się w dom rodziców po drugiej stronie ulicy. Gdy oglądał

go z Frankiem po raz pierwszy, dom był mocno już zniszczony i Ferracini pamiętał, że widok ten bardzo go przygnębił. Teraz jednak dom był zadbane i radosny, świeżo odmalowany, z jasnymi

firankami w oknach i przystrzyżonym trawnikiem na małym podwórku od frontu. Zaczai padać

drobny deszcz, Ferracini postawił kołnierz kurtki, ale nie ruszał się z miejsca, przywoływał w pamięci to, co wuj i ciotka opowiadali mu o dawnych czasach, a w wyobraźni oglądał zdjęcia z rodzinnego albumu, nad którym, będąc dzieckiem, spędzał długie godziny.

Zrozumiał, co go tu zatrzymuje, gdy tylko u wylotu ulicy pojawiała się kobieta w ciemnym płaszczu, jego matka. Obok niej dreptała mała dziewczynka, trzymając się matczynego rękawa. To jego

siostra, Angela. W 1939 roku miała cztery latka. Patrzył, jak szły w jego kierunku po drugiej stronie ulicy. Matka — drobna, delikatna kobieta, nieco pochylona pod ciężarem torby z zakupami, Angela

— wesoła, szczebiotała coś podbiegając, aby dotrzymać kroku mamie. Podeszły do domu, otworzyły

furtkę i matka przystanąła na chwilę, patrząc na młodego człowieka z rozwichrzoną czupryną, który stał na rogu. Przez jedną krótką chwilę wydawało się, że zmniejsza się dystans między nimi, tak jak minął czas, i Ferracini miał wrażenie, że patrzy głęboko w twarz, którą znał tylko z fotografii: śmiałą, zdecydowaną, a jednocześnie pełną ciepła i delikatną, jak twarz każdej matki — pełną wyrazu, troski i poświęceń, śladów walki o życie, które mogło być lepsze. Po chwili kobieta odwróciła się i zniknęła we wnętrzu domu.

Ferracini stał jeszcze przez chwilę, a później ruszył w stronę, z której przybył. Nie, to nie łąza — tłumaczył sobie — to tylko deszcz zaczął mocniej padać. Przecież przyszedł tu tylko z ciekawości.

Rankiem następnego dnia, w laboratorium chemicznym nowojorskiej Columbi, Jeff pochylał się nad jedną z szafek ze sprzętem, dobierając — według listy, którą trzymał w dłoni — instrumenty

potrzebne do przeprowadzenia doświadczeń: jakieś statywy, pęsety, skraplacze, probówki i palniki.

Kończył już, gdy ujrzał przed sobą stopę. Uniósł wzrok i zobaczył wysokiego, chudego młodzieńca w okularach.

— Przyniosłeś? — zapytał Asimov.

Jeff zamknął szafkę i podniósł się z klęczek.

— Co miałem przynieść? — odparł, ze wstydem zdając sobie sprawę, że dobrze wie, o co chodzi.

Poprzedniego wieczoru przyszedł do nich Harry z wiadomością, że wyjeżdża na nie wiadomo jak długo. Wcześniej zwierzył się Janet, że wysyłają go za granicę. Cała ta tajemnicza, a zarazem podniecająca, nowina sprawiła, że zapomniał o opowiadaniu Asimova.

— Szkic, który miałeś przeczytać — rzekł Asimov. — Opowiadanie o statku kosmicznym, który uwiązł w polu grawitacyjnym i stracił łączność ze światem, bo zmieniła się częstotliwość fal radiowych. Obiecałeś, że dziś mi to oddasz.

— Och... tak. — Jeff sięgnął po teczkę, która leżała obok na stołku i wyciągnął jakieś papiery i kartonowe skoroszyty. Zaczął je przeszukiwać, choć przypomniał już sobie, z poczuciem winy, że rękopis leżał w domu tuż obok rzeczy Ferracini i że Ferracini zgarnął go razem ze wszystkim poprzedniego wieczoru. Był niemal pewien, że rękopisu nie było już w domu po wyjściu Ferracini.

— Chyba... chyba zapomniałem wziąć z domu — mruknął do Asimova. Była jeszcze szansa, może niewielka, ale jednak... Być może Janet gdzieś schowała papiery.

Asimov spoważniał.

— Do diabła, nich to szlag trafi, Jeff! Chciałem dziś nanieść pewne zmiany, które mi przysły do

głowy — powiedział gniewnie.

— Przepraszam, Isaac, zupełnie wypadło mi to z głowy. Wieczorem poszukam tego opowiadania.

— Poszukasz? — Asimov aż zbladł. — Na Boga! Nie chcesz chyba powiedzieć, że zgubiłeś moje opowiadanie?

— Ależ nie, oczywiście, że nie.

— W porządku. Więc poszukaj i jutro mi przynieś. I nie zapomnij, Jeff.

— Jutro — powtórzył Jeff z niewyraźnym uśmiechem.

Tymczasem pięciu wojskowych z ekipy „Proteusza” — Ferracini, Cassidy, Payne, Ryan i Lamson —

pakowało swoje rzeczy w jadalni w ośrodku powrotnym. Wcześniej, frachtem morskim do Liverpoolu nadano bagaże i sprzęt, który będzie potrzebny w Anglii. Wysłano dwie identyczne przesyłki, dwoma różnymi statkami, zabezpieczając się w ten sposób przed zagrożeniem, jakie stanowiły „wilcze stada”

U-bootów. Oni sami zaś, dzięki tajnym uzgodnieniom między sztabami Roosevelta i Churchilla, polecą do Anglii bombowcem przystosowanym do transportu ludzi. Według wersji oficjalnej będzie to po prostu próbnny lot, mający przetrzeć transatlantycki szlak dla wojskowych samolotów dalekiego zasięgu. Wiedzieli tylko, że w Anglii mają przejść jakieś specjalistyczne przeszkolenie, a następnie rozpoczną działania gdzieś za granicą.

— Wyślą nas pewnie łodzią podwodną — powiedział Cassidy, gdy pakowali się przed wyjazdem.

Zobaczycie, prosto na Bałtyk. Stawiam pięć dolarów, że popłyniemy łodzią podwodną.

— Nie podejmą takiego ryzyka — rzekł Ryan. — Na Bałtyku operuje zbyt dużo brytyjskich okrętów, przez co niemiecka obrona jest bardzo szczelna.

— No to gdzie?

— Chyba raczej na południe, przez Włochy na Morze Śródziemne — odparł Ryan. — Bo po cóż by wysyłali z nami Harry'ego? Wygląda przecież na Włocha, no nie?

Cassidy spojrzał na Lamsona.

— A ty jak myślisz? — zapytał.

Lamson wzruszył ramionami, podnosząc ciężki plecak z podłogi.

— Wszystko mi jedno. A taka zgadywanka i tak niczego nie zmieni. A zresztą mogą nas zrzucić na spadochronach.

Mortimer Greene i Kurt Scholder czekali, żeby ich odprowadzić przed budynek. Dwóch agentów FBI, którzy mieli im towarzyszyć w drodze na lotnisko wojskowe — Mitchel Field na Long Island — zaoferowało się do pomocy przy bagażach. Spojrzeli raz jeszcze na pomieszczenia, które były ich domem od stycznia, i gęsiego ruszyli przejściem w ścianie zamykającej halę montażową projektora powrotnego.

Uczeni pracowali jak zwykle. Einstein palił fajkę, słuchając Fermiego. Ten ostatni — niski, ale energiczny mężczyzna o brązowych oczach, wysokim czole i łysiejącej czaszce — gestykułował gwałtownie, przekonując do czegoś swego rozmówcę. Szilard był zajęty przy jednej z konsol. Nie widzieli Tellera, który znajdował się tu jeszcze przed kwadrans. W pomieszczeniu przebywało wielu innych techników i inżynierów, których zaangażowano do pomocy, na miejsce wyjeżdżającej grupy.

Einstein i Fermi przerwali rozmowę, żeby się pożegnać. Szilard oderwał się od swojej konsoli i też do nich podszedł.

— A więc już czas? — powiedział Einstein. — I co się mówi w takich chwilach? Jedźcie z Bogiem, każdy z takim, jakiego nosi w sercu. Tym zaś co nie noszą Boga w sercu, życzę, by rychło odnaleźli opatrność na miarę własnych potrzeb. No cóż, powodzenia, chłopcy.

— Powodzenia — powtórzył Szilard, gdy wszyscy wszystkim zaczęli ścisnąć dłonie. — I miejmy nadzieję, że uda nam się tu coś wymyślić, żeby was wspomóc po tamtej stronie oceanu.

— Nie mówię żegnajcie, ale arrivederci — rzekł Ferracini. — Jestem pewien, że się znów spotkamy, gdy już nie będzie faszystów. Nim to nastąpi, cała Ameryka wraz z wami przystąpi do walki.

Zobaczycie.

Zjawił się Teller i dołączył do pożegnań, a następnie cała grupa wyszła przed budynek, gdzie na parkingu czekał już autobus pod okiem wartownika.

Gdy przejeżdżali przez most brooklyński, Ferracini spojrział na wieżowce Manhattanu za rzeką i pomyślał o wszystkim, czego doznał w tym mieście, a czego wcześniej nawet sobie nie wyobrażał.

Wszystko to musi teraz zostawić. W jego życiu zawsze tak się układało. Być może — pomyślał — byłoby lepiej o wielu sprawach nie wiedzieć i niczego nie przeżywać.

W ośrodku powrotnym tymczasem Einstein wynurzył się z hali montażowej i wszedł do jadalni

podchodząc do bocznego stolika, na którym stały pojemniki z kawą i herbatą.

— Wystarczy na dziś — mruknął — teraz trochę odpocznę.

Scholder i Greene, którzy wrócili już do jadalni, odprowadziwszy wojskowych, rozmawiali o czymś przy dużym stole. Skłonili głowami, witając uczonego.

Bez chłopców z oddziału specjalnego całe pomieszczenie wydawało się dziwnie ciche i puste. Einstein nalał sobie herbaty z czajnika, zamieszał pełną łyżeczkę cukru, zasiadł w fotelu i zaczął nabijać fajkę. Zza ściany dobiegały jakieś głosy, w chwilę później do jadalni wszedł Szilard, a za nim Fermi i Teller. Szilard, jak zawsze, coś perorował:

— W każdym punkcie układu nadrzędnego jego składowe odpowiadają perspektywie, z jakiej widzi je obserwator. Co więcej, w każdym takim związku wzajemnego oddziaływania obserwatora i układu, obserwator postrzega jeden konkretny układ...

Einstein westchnął i rozejrzał się dookoła, popijając herbatę. Przesuwał wzrokiem po śmieciach pozostawionych przez odjeżdżających wojskowych, aż zatrzymał oczy na przepelnionym koszu na odpadki, tuż obok jego fotela. Na samej górze leżało kilka spiętych kartek maszynopisu. Wziął je, rozłożył na kolanach i zaczął przeglądać pykając fajkę.

— A więc statek kosmiczny lecący ku gwiazdom — mruknął do siebie. Odwrócił stronę, poprawił się na fotelu, podciągnął nogi, żeby przepuścić Fermiego.

— W każdym układzie system jest pochodną przyjętego sposobu jego opisu — rzekł Fermi przez ramię. — Jeśli w danym momencie przeprowadzimy ponowną obserwację, to każdy element układu będzie się odnosił do obserwatora w taki sposób, że późniejsze obserwacje będą zgodne z wcześniejszymi. W konsekwencji każdy obserwator będzie postrzegał cały układ w formie skaczącej, to znaczy: układ przybiera pewną dowolną wartość i trwa w takim kształcie aż do momentu przeprowadzenia kolejnej obserwacji.

— Tak, zgadzam się — rzekł Teller. — Natomiast zasadniczy punkt...

Siedząc w fotelu Einstein uśmiechał się z zadowoleniem i kiwał głową z wyraźną aprobatą. — A więc mamy tutaj Ogólną Teorię Względności... Bardzo dobrze... Uwięziony wewnątrz silnego pola grawitacyjnego?... To już nie jest takie dobre.

— Każda sekwencja pamięciowa generuje wiele możliwych wartości — mówił Szilard. — Każdy zaś zestaw można poddać analizie statystycznej.

— Właśnie — odparł Fermi wymachując rękami. — Właśnie o to mi chodzi. Formalizm

matematyczny narzuca konwencjonalne interpretacje statystyczne. Każdy obserwator musi dojść do wniosku, że jego wszechświat jest zgodny ze znanymi prawami statystyki ilościowej. Mamy więc do czynienia z całą wiązką wektorów, z których każdy odpowiada możliwemu wszechświatowi, takiemu jakim widzi go obserwator.

— Mein Got t!

Na okrzyk Einsteina umilkły rozmowy. Wszyscy popatrzyli, jak wolno podnosi się z miejsca, z dziwnym wyrazem twarzy. Papiery, które trzymał na kolanach, zsunęły się na podłogę.

— Nic ci nie jest? — zapytał Szilard z troską. Wydawało się, że Einstein nie słyszy.

— Łączność była niemożliwa... ponieważ czas w różnych częściach układu biegł w różnym tempie...

— mruczał do siebie.

Szilard spojrział na Tellera, a następnie na Fermiego, którzy wzruszali ramionami. Scholder i Greene przyglądali się całej tej scenie, niczego nie rozumiejąc.

— Panowie wybaczą, ale muszę wrócić do swoich obliczeń i jeszcze raz wszystko przemyśleć — rzekł

Einstein, jakby mówił z oddali. Ruszył do drzwi cały czas potrząsając głową.

— No właśnie, nagły promień światła... możliwe, możliwe — usłyszeli, jak mamrotał, zanim jeszcze znikł w przejściu.

ROZDZIAŁ 28

Lot do Wielkiej Brytanii minął bez żadnych specjalnych wydarzeń. Wstawał chłody i mglisty

poranek, gdy samolot lądował w Prestwick, w zachodniej Szkocji, gdzie na pięciu Amerykanów

oczekiwali komandor Fortel i porucznik Cox z Royal Navy. Po krótkich powitaniach, wzajemnym przedstawieniu się zmęczeni lotem podróżni, z podkrążonymi od niewyspania oczami, wsiedli do samochodu i udali się do pobliskiego Kilmarnock, żeby złapać pociąg jadący z Glasgow do Londynu.

Nie rozmawiano o niczym specjalnym, jakby ulegając nastrojowi tego zimnego wyblakłego świtu, ponurej aurze i smutnej scenerii okolic: domów z szarego piaskowca i spływających deszczem wzgórz.

Właśnie otwierano dworcowy bufet, gdy zajechali przed stację, a że mieli jeszcze trochę czasu, więc wszyscy zamówili po kanapce z szynką i serem i wypili po kubku mocnej parującej herbaty, co przywróciło im siły i sprawiło, że na bladych od zmęczenia twarzach pojawiły się rumieńce. W kącie przy piecu stała choinka, przed nią zaś spory kosz pełen rozmaitego jedzenia i słodczy, słoików z dżemami, sosami i marynatami oraz dzierganych na drutach skarpet, rękawiczek i nauszników.

Wszystko to miejscowe panie z Ochotniczej Służby Kobiet wysyłały chłopcom na froncie.

Grzali się przy piecu, a Payne zaczął mówić o zabawnych informacjach w prasie amerykańskiej.

— Otóż piszą, że wojsko we Francji gra w piłkę, a transzeje kopie tylko na użytek operatorów kronik filmowych — powiedział. — Czy tam naprawdę nic innego się nie dzieje?

— Myślę, że wszyscy z uczuciem ulgi stwierdzają, że nic z tego, co eksperci zapowiadali przez całe lata, się nie sprawdziło — odparł Portel. — A przekonywali nas, że niebo będzie aż czarne od heinkeli i dornierów Luftwaffe, co to miały nadlatywać całymi stadami. Przygotowano tysiące trumien z papier-mache i jeszcze więcej wolnych łóżek w szpitalach... a tymczasem nic nie nastąpiło.

I teraz oczywiście wszyscy mówią, że rząd jak zwykle niczego nie wie. Ale też nie można za wszystko winić biednego starego Neville'a. Nie jest głupcem i naprawdę robi, co może.

Nie zakończono jeszcze ewakuacji mieszkańców miast i co ważniejszych agend rządowych, trwała także powszechna mobilizacja, więc miało się wrażenie, że połowa mieszkańców Anglii ciągle jest w drodze. W pociągu do Londynu był tłok, nawet korytarze między przedziałami pełne były bagaży i podróżnych. Wielu jechało w mundurach: koloru khaki — sił lądowych, w granatach — marynarki wojennej i szarościach — lotnictwa. Jeszcze więcej wojskowych dosiadło się w Carlisle, ale do tego czasu Fortel i jego podopieczni znaleźli już przedział dla siebie.

— Nie mówią, ile ofiar pociągnęło za sobą to cholerne zaciemnienie — rzekł porucznik Cox. — Ale pewnie więcej, niż zginęło z rąk Niemców. Osobiście wcale nie będę się czuł zaskoczony, jeśli w końcu zaczniemy paktować z Hitlerem i skończymy całą tę zabawę. Myślę, że gdyby obie strony poważnie podchodziły do sprawy, to już by się coś działo, nieprawda?

W ujęciu Portela nawet zatopienie Royal Oak było „niezłym wyczynem chłopców Raedera”. Ferracini nie wierzył własnym uszom. Wciąż jeszcze tym tutaj wydawało się, że wojna to jak gra w krykieta. I, jak przystoi sportowcom, gratulowano przeciwnikowi udanej zagrywki, jakby nie miało znaczenia to, że wraz z pancernikiem zginęło sześciuset, a może nawet ośmiuset brytyjskich marynarzy.

Ale przynajmniej Brytyjczycy coś tam jednak robią — pomyślał sobie.

— A co mówią w Ameryce? — zapytał Cox. Pytanie skierowane było do Ferraciniego.

— Szczerze powiem, że większość ludzi jakby nie zauważała, że w Europie jest wojna.

Pociąg co chwila przystawał i miał znaczne opóźnienie. Było już ciemno, gdy wtoczył się na stację King's Cross w Londynie. Wychodząc potykali się o krawężniki i worki z piaskiem. Zagłębiali się w niesamowity mroczny świat budynków ledwie dostrzegalnych na tle nocnego nieba, wygaszonych

lamp, ciemnych skrzyżowań, niewidocznych schodów i ocierających się ciał. Przechodnie wyłaniali się z mroku, dzierżąc w dłoniach latarki i mając na sobie przynajmniej jedną białą rzecz: opaskę na ramieniu, biały płaszcz, kapelusz lub szalik. Na jezdni wolno toczyły się samochody. Przysłonięte specjalnymi osłonami reflektory przepuszczały tylko wąski jak ołówek promień światła.

Portel zagłębił się w mrok ulicy, żeby przywołać taksówki. W jaki sposób zamierza je znaleźć w tych ciemnościach? — zastanawiał się Ferracini.

— Wiesz co, stary, nigdy nie sądziłem, że Broadway może być piękny — dobiegł skądś głos Cassidy'ego, gdy tak czekali.

Portel jednak wiedział, jak i gdzie szukać taksówek. Po krótkiej chwili bowiem wyłonił się z mroku, sprowadzając samochód, do którego wsiadł Cox z połową grupy. Udowadniając, że nie był to przypadek, Portel powtórzył wyczyn, odnajdując i sprowadzając następną taksówkę dla pozostałych.

Dwadzieścia minut później wszyscy razem znaleźli się w hotelu Kensington Garden w pobliżu Albert Hali, gdzie mieli zarezerwowane pokoje i gdzie czekał na nich major Warren z Gordonem Selbym.

Podczas gdy przybysze z Nowego Jorku udali się na górę, żeby się odświeżyć i przebrać, Fortel i Cox oraz Warren i Selby poszli do baru na szybkiego drinka, następnie zaś obaj brytyjscy oficerowie pożegnali się uznając, że wykonali swoje zadanie; dostarczyli przecież swoich podopiecznych na miejsce bezpiecznie i w całości. Amerykanie tymczasem zasiedli wspólnie do spóźnionej kolacji, którą Winslade kazał podać w oddzielnej sali.

— Jest tu zupełnie inaczej niż na Manhattanie — rzekł Gordon Selby, gdy usiedli do stołu. — Do tej pory jeszcze nie potrafię wytłumaczyć sobie, jak to się dzieje, że taksówkarze nie gubią się w tych ciemnościach.

— Czy zaciemnienie to jedyny temat, na jaki się tu rozmawia? — zapytał Ryan.

Selby uśmiechnął się przepaszająco.

— Chyba zaczynam przejmować już angielskie obyczaje — rzekł. — Skończył się wielki strach, więc zaczynają narzekać: na przydziały kartkowe, na facetów z Obrony Cywilnej, którzy całymi dniami siedzą pijąc herbatę, bo nie mają nic do roboty, na nędzne grosze, jakie rząd płaci rodzinom zmobilizowanych żołnierzy... — kiwnął głową, żeby podkreślić to, co mówi — ...ale najczęściej narzekają na zaciemnienie.

— A co myślisz o pociągach? Jeździłeś już pociągiem? — zapytał Cassidy. — Pociągi są tutaj naprawdę ekstra.

— To w tej Anglii — przypomniał mu Lamson. — Po prostu przyszedliśmy na dworzec i wsiedliśmy.

Nie musieliśmy mieć żadnego stempelka od miejscowego Polizeiführera i nie było też kontroli Gestapo w pociągu. To też ważne.

— Masz rację — zgodził się Cassidy.

— Najsmutniejsza sprawa to wielkie domy towarowe z zabawkami — rzekł Selby. — Starają się udawać, że wszystko jest normalnie. Mikołaje, bo przecież święta tuż, tuż, siedzą wśród całych gór zabawek, tylko dzieci nie ma. Wszystkie dzieci wywieziono z miast na samym początku.

— Ale dzieciaki zaczynają wracać, zwłaszcza teraz, przed świętami — dorzucił Warren.

Do filiżanki kawy podawano nie więcej niż jedną kostkę cukru. Każdy z gości dostawał mały kawałek masła i margaryny do pieczywa, a kelner pokazywał, co jest co.

Jak tylko obsługa wyszła, Ferracini ogarnął wzrokiem całe pomieszczenie.

— Czy możemy tu bezpiecznie rozmawiać? — zapytał. Warren potaknął.

— Możemy. Sprawdziliśmy wszystko przed waszym przyjazdem.

— Więc porozmawiajmy o zadaniach, które mamy do wykonania. Co jest do zrobienia? — zapytał Ferracini, wyrażając głośno to, nad czym każdy z nich zastanawiał się w myślach.

— Wyprawimy się do Adolfa i zabierzemy mu jego projektor powrotny — wtrącił się Cassidy, nim jeszcze Warren i Selby zdążyli odpowiedzieć. — I nie udawaj, Harry, że nie wiesz. Chyba nikt nie myśli, że przyjechaliśmy tu na wycieczkę.

Wszyscy wpatrywali się w majora Warrena. Nie był zaskoczony, byłoby dziwne, gdyby był.

— No więc, gdzie to się znajduje? — zapytał Payne. Warren, który właśnie unosił widelec do ust, zmarszczył brwi i zawahał się.

— Macie za sobą długą podróż, a po za tym to nie jest odpowiedni temat na wieczór — rzekł. — Zostawmy to do jutra. Czeka was pracowity dzień. Wczesnie rano zabieramy was na śniadanie z Claudem, Anną i Arthurem. Potem idziemy na wstępną odprawę do Churchilla i Lindemanna.

— I rozumiem, że poznamy też naszych brytyjskich kolegów — wtrącił Ryan. Warren potrząsnął głową.

— Lepiej o tym zapomnieć. — Na to dictum wszyscy spojrzeli po sobie.

— Nie będzie żadnych brytyjskich kolegów — wyjaśnił Selby.

— Jesteśmy zdani tylko na siebie. Nie będzie nawet Gordona — dodał Warren. — Gordon musi tu zostać, aby pomóc im w badaniach atomowych, na wypadek gdyby nam się nie udało wykonać zadania.

Ryan zmarszczył brwi.

— Więc jak to jest z tą zapowiedzią, że jeśli nie będzie uzupełnień od Kennedy'ego, to zorganizuje się oddział Brytyjczyków?

— Nie dało się — odparł Warren. — Sytuacja polityczna na styku Francji z Wielką Brytanią śmierdzi. Generałowie stosują strusią taktykę i myślą kategoriami poprzedniej wojny. Sztab w Londynie nie znajduje wspólnego języka z dowództwem we Francji. Brytyjski dowódca nie zgadza się ze swoim francuskim odpowiednikiem, a obaj kłócą się ze swoimi ministrami wojny, a niektórzy zaczęli nawet podgryzać się nawzajem i donosić na siebie do króla. — Warren potrząsnął głową. —

Kompletne szambo. Rozmawiałem o tym z Claudem i obaj zgadzamy się, że lepiej być od tego z daleka, a sprawy, które mamy do załatwienia, załatwimy sami.

A więc sześciu mężczyzn miało rzucić się na najtajniejsze i zapewne najściślej strzeżone miejsce w całej Europie, jeśli nie w całym świecie.

Ferracini opuścił ramiona, gdy w końcu pojawił ogrom zadania, jakie przedstawił Warren. Nawet Cassidy, z którym Ferracini wymienił krótkie spojrzenie, wydawał się przytłoczony. Selby, który im się przyglądał, zapisał ich reakcję na karb zmęczenia podróżą.

— No cóż — powiedział — macie za sobą ciężki lot, odłóżmy więc wszystko do jutra, a teraz chodźmy spać. — Mógł tak powiedzieć, bo on, Selby, nie weźmie udziału w ekspedycji.

Cassidy poprawił się na krześle.

— A więc tylko my i nikt oprócz nas? A na miejscu będzie jakaś pomoc? — zapytał.

Warren odpowiedział zdecydowanym machnięciem ręki.

— Ani słowa o tych sprawach do jutra rana — rozkazał. — Gordon, opowiedz nam teraz tę historię o furmance i komach.

— Jest taka słynna firma kapelusznicza w Londynie, nazywa się Scott — zaczął Selby. — Otóż dostarczają oni swoje wyroby konnym zaprzęgiem... to taka wiekowa tradycja tej firmy. Zaprzęg jest bardzo elegancki, wóz rzeźbiony, malowany, woźnica i stangret w stylowych uniformach, w

cylindrach z kokardami. Więc widziałem ich dziś rano na Bond Street. Wyglądali jak zwykle, z wyjątkiem jednej rzeczy: zamiast cylindrów woźnica i stangret mieli na głowach stalowe hełmy.

Pomyślałem sobie, że będą je nosić przez całą wojnę — pokiwał głową. — Ci Anglicy... czy ja wiem...

nie jestem już pewien, czy to, że Hitler ich pokona, jest naprawdę takie nieuniknione. Czasami sobie

myślę, że wcale niekoniecznie tak musi być.

— Ale wszyscy wiemy, co zdarzyło się w historii ostatnim razem — wtrącił lakonicznie Lamson.

— To prawda — rzekł Selby — ale wtedy nie mieli odpowiednich przywódców. I gdyby tylko to się udało zmienić... — dodał. Payne zwrócił uwagę na dziwną nutę w tonie Selby'ego.

— Co właściwie chcesz nam przez to powiedzieć? — zapytał.

Selby spojrział niepewnie na Warrena, ten zaś, niemal niezauważalnie, potrząsnął głową i Gordon zmienił temat.

Późnym wieczorem, po obiedzie, gdy część z nich już poszła spać, Ferracini, Cassidy i Ed Payne zatrzymali Selby'ego w cichym kącie przy recepcji.

— Co miałeś na myśli, Gordon, mówiąc o możliwej zmianie przywództwa? — zapytał Payne, gdy zasiedli przy małym okrągłym stoliku w hallu.

— Eee... nic specjalnego...

— Słuchaj, nie próbuj wykręcać się sianem — rzekł Cassidy. — Gadaj, wszyscy jesteśmy ciekawi.

Selby zawahał się, w końcu westchnął głęboko, pokiwał głową i zaczął:

— Anna jest przekonana, że Claud i Arthur coś tam załatwiają w tajemnicy przed wszystkimi — rzekł ścisząc głos. — Claud wtajemnicza coraz więcej wpływowych osób w sprawy projektora powrotnego i w ogóle w to, co się dzieje w Ameryce. Powiada, że w ten sposób oddziałuje korzystnie na morale w Wielkiej Brytanii, ale, zdaniem Anny, chodzi o coś więcej.

— A konkretnie, co Anna sądzi? — zapytał Ferracini.

— Że Claud znowu próbuje manipulować — rzekł Selby. — Ma już bezpośredni dostęp do wszystkich kluczowych polityków w Londynie. Dziś, na przykład, spotyka się na kolacji z lordem Salisbury i Leopoldem Amerym. Właśnie dlatego nie było go tu z nami. A ci dwaj należą do tych, którzy wielce krytycznie oceniają dotychczasowe działania rządu, jeśli chodzi o strategię wojny. W ten sposób Claud zyskuje solidniejszy grunt, żeby wywierać nacisk na decyzje polityczne. Chamberlain jest może uczciwym facetem i w ogóle, ale na pewno nie nadaje się na przywódcę w czasie wojny.

Churchill to jedyny człowiek w całym tym ichnim Wojennym Gabinetcie, jedyny, który ma ducha do walki. Według Anny jest niczym kukółka w obcym gnieździe, i Anna uważa, że Claud przygotowuje obecnie odpowiedni grunt właśnie dla Churchilla.

— Myślisz, że... jak to je nazywasz... obce pisklęta, zostaną wkrótce wyrzucone z gniazda? — rzekł

Payne.

— Właśnie — zgodził się Selby. Milczał przez chwilę. — Chyba że chodzi o coś jeszcze większego, o obalenie całego rządu Wielkiej Brytanii. To tłumaczyłoby, dlaczego Claud i Arthur nie puszczają pary z ust.

Wszyscy patrzyli na niego z niedowierzaniem.

— No nie? — zaprotestował Payne, chyba nawet Churchilla nie stać by było na coś aż tak

bezczelnego. Na twarzy Selby'ego pojawił się dziwny i wcale niewesoły uśmiech.

— Dokładnie to samo powiedziałem Annie — rzekł.

— I co ona na to? — zapytał Payne.

— Zgodziła się ze mną — odparł Selby. — Powiedziała, że musiała ją ponieść fantazja. Byłaby to przecież manipulacja równie beczelna jak podróż w czasie w celu zmiany biegu historii.

ROZDZIAŁ 29

Londyn w świetle dnia jawił się Ferraciniemu jak karykatura miasta w stanie wojny. Owszem,

wszędzie dookoła widać było typowe wojenne zabezpieczenia: zabite deskami wystawy sklepowe, okna oklejone taśmami papieru, wysoko na niebie unosiły się balony zaporowe, napisy nad

barykadami z worków z piaskiem wskazywały wejścia do schronów przeciwlotniczych, na ulicy zaś widać było wiele osób w mundurach. Z drugiej jednak strony wydawało się, że wszyscy są jakby zawstydzeni całą tą maskaradą, jak gospodarze balu maskowego, na którym nie zjawił się żaden gość. Wielu przechodniów nie zadawało sobie nawet trudu dźwigania obowiązkowych masek

przeciwgazowych, o których amerykańskie gazety tak wiele pisały jeszcze we wrześniu.

Wszystko to umocniło jego własne przekonanie, którego nabrał jeszcze przed wyjazdem ze Stanów, że Anglia w dalszym ciągu nie zdaje sobie w pełni sprawy z tego, że jest wojna, że nikt nie uświadamia sobie, co właściwie oznacza, wojna z reżimem totalitarnym we współczesnym świecie.

Faktem jest jednak, że skoro oficjalnie głoszone zapowiedzi wojennych okropności wcale się nie zmaterializowały, to ludzie doszli do wniosku, że lepiej ufać własnej intuicji. Na cenzurowanym znalazły się wszystkie autorytety, z wielu zwyczajnie szydzono uważając, że wszyscy cudzoziemcy —

Niemcy, Włosi, Francuzi, Rosjanie — są podobni do siebie, podniecają się byle czym i są niezbyt mądrzy. Jak się ich zostawi w spokoju, to emocje opadną i znów zapanuje święty spokój. Wtedy zaś będzie można zapomnieć o tych śmiesznych atrybutach wojny, znów wszystko wróci do normy,

będzie przyzwoicie i tak jak należy.

Jednocześnie obecna Anglia różniła się od tej, jaką Ferracini znał z poprzednich wypraw. Nie dostrzegał w niej tego przygnębienia i rozpaczki, jakie nastąpiły po latach materialnego i duchowego zubożenia kraju i społeczeństwa. Nigdzie nie widział swastyk. Anglia była jeszcze wolna, tak jak zawsze, nieprzerwanie, przez całe długie stulecia.

Ferracini zaczął rozumieć, że właśnie na tym polega cały problem Anglików: oni po prostu nie przyjmują do wiadomości, że mogłoby być inaczej.

Wstępna odprawa uczestników misji oznaczonej kryptonimem „Łącznik” odbywała się w schronie, w podziemiach budynku Admiralicji na Whitehall. Zgodnie z poleceniem Churchilla miejsce to specjalnie przygotowano na użytek tajnych narad związanych z marynarką wojenną. Nikt inny nie miał tu dostępu. Obecnych było dziesięciu uczestników misji „Proteusza”, to znaczy wszyscy poza Mortimerem Greene'em i Kurtem Scholderem, których nie było w Anglii. Był oczywiście Churchill i Lindemann, obecna była także zaufana sekretarka, która protokołowała przebieg narady.

Jak wszyscy z ekipy „Proteusza”, Ferracini dowiedział się trochę o Churchillu podczas szkolenia przed wyprawą i rozszerzył nieco swoją wiedzę na podstawie lektur, które czytał w czasie tych wszystkich miesięcy w ośrodku powrotnym. Wiedział więc, że Churchill stracił wpływy i znaczenie w latach Wielkiej Wojny, że narobił sobie wrogów zarówno wśród brytyjskich socjalistów, jak i konserwatystów, że zarzucano mu, iż jest impulsywny i niekonsekwentny. Mimo wszystko Churchill należał do tej nielicznej grupy polityków, którzy z uporem bili na alarm, zawczasu przewidując niebezpieczeństwo, które inni zaczęli dostrzegać dopiero teraz. Wiedział też, że Churchill zginął na barykadzie, z bronią w ręku, do ostatka walcząc w imię tego, w co zawsze wierzył. W pojęciu Ferraciniego ten człowiek nie mógł być negatywną postacią.

Po za tym Ferracini nie miał żadnych podstaw, by wątpić w osąd Clauda. Stał teraz w kącie, popijał herbatę — nauczył się już, że Anglicy zawsze i wszędzie najpierw muszą napić się herbaty — i przyglądał się korpulentnej postaci z rudymi włosami i szczęką jak u buldoga. Churchill zaś stał przy pokrytym sukrem stole i perorował coś do Winslade'a o zakutych urzędniczych łbach bez wyobraźni i o biurokracji w ogóle. Ferracini doszedł do wniosku, że Churchill stanowił wyjątek na tle tego obrazu Anglików, obrazu, jaki malował się w jego myślach. W roku 1975 —jakże już odległym — Claud musiał stoczyć ciężką walkę z decydentami, aby zgodzili się z tym, że w pierwszym rządzie należy dotrzeć właśnie do Churchilla. Ferracini zaczynał już ulegać wpływowi osobowości Churchilla, choć właściwie niczego jeszcze odeń nie usłyszał. Bez względu na to, co tam się dzieje między brytyjskimi a francuskimi generałami, politykami i kimkolwiek jeszcze, Claudowi udało się znaleźć znakomitego przywódcę ich skromnej ekipy. Szkoda tylko — pomyślał Ferracini — że nie udało mu się tego samego załatwić dla całego kraju.

Odprawa zaczęła się od kilku wstępnych uwag wygłoszonych przez Churchilla, który powitał nowo przybyłych i powiedział, że ma nadzieję, iż pojawi się ich jeszcze więcej, nim będzie za późno.

Następnie⁴ zaś głos zabrał Winslade. Major Warren tymczasem rozłożył na stole zestaw map ogólnych i bardzo szczegółowych, przedstawiających Europę i Niemcy.

— Rozumiem, że nie ma potrzeby wyjaśniania celu tej operacji — zaczął Winslade bez większych wstępów. Rozejrzał się po obecnych, jakby szukał potwierdzenia, a następnie podniósł linijkę i wskazał rejon odległy o mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Berlina.

— Od tej chwili — powiedział — niemiecki projektor powrotny otrzymuje u nas kryptonim „Obuch”.

Znajduje się on tu, w okolicach Lipska, głęboko pod ziemią, na terenie zakładów chemicznych i fabryki amunicji Weissenberg. — Przerwał i popatrzył na wszystkich oczekująco.

— Lipsk? — powtórzył Cassidy, patrząc na Ferracinię. — Czy to nie tam, gdzie byliśmy w 71... czy 72 roku... żeby przywieźć papiery i dokumenty, które ktoś skopiował w jednym z miejscowych archiwów?

— To tylko zbieg okoliczności — rzekł Winslade, wyraźnie nieszczerze. Odwrócił się i odsłonił tkaninę przykrywającą stół. Znajdowała się tam mapa plastyczna zakładów w Weissenbergu. — Panowie, oto cel — powiedział.

Teren był kwadratowy i — sądząc z wielkości najprzeróżniejszych obiektów na mapie plastycznej oraz modeli samochodów, które specjalnie tam umieszczono, by łatwiej orientować się w rzeczywistej skali całości — miał boki mniej więcej półtoramilowe, czyli nie przekraczające trzech kilometrów.

Jeden z nich wyznaczała rzeka, Elstera zapewne, gdzie znajdowały się nabrzeża ładunkowe i kotwicowiska dla barek. Drugi bok wspierał się o ścianę lasu. Część drzew wykarczowano, tak że wzdłuż płotu otaczającego zakład powstał szeroki pas wolnej przestrzeni. Z trzeciej strony teren wznosił się, tworząc ostro ścięte wzgórze nad zakolem rzeki. Z przodu zaś rozpościerała się otwarta przestrzeń, za którą widniały bloki osiedla mieszkaniowego załogi, na przedmieściach

Weissenbergu.

Do jednej z bram zakładu wiodła szosa i bocznicą kolejowa. Odnoga szosy okalała teren i kończyła się u głównego wejścia do fabryki. Płot otaczający fabrykę był dość niezwykły, jak na zakład przemysłowy, wysoki, z siatki, z całym szeregiem reflektorów, ustawionych w równych odstępach, i licznymi małymi furtkami.

Za główną bramą widać było zespół budynków wyglądających na biura i laboratoria, za nimi rozciągały się hale fabryczne, jakieś instalacje chemiczne, cysterny, zbiorniki, kominy i wieże

chłodnicze, wszystko zaś połączone było siecią rur, dróg dojazdowych, bocznic kolejowych i kanałów.

Twórca mapy plastyczniej dodał tu i ówdzie kłęby waty, które miały przedstawiać dym unoszący się z kominów i przydawać makiecie realizmu.

Było w tym wszystkim jednak coś bardzo niezwykłego, co Ferracini zauważył dopiero, gdy przyjrzał się uważniej, im dłużej zaś patrzył, tym dziwniejsze mu się to wydawało. Otóż w odległym kącie terenu, tam gdzie zaczynało się wzgórze, widać było coś, co sprawiało wrażenie, jakby dodatku, czegoś, co dołączono do terenu zakładów znacznie później. Ów obiekt odgradzono dodatkowym płotem od reszty zakładów. Prowadziła doń osobna bocznic kolejowa i odrębna droga. Wszystko w pewnym miejscu zamykała solidnie wyglądająca brama.

Zabudowa owego dodatkowego terenu wyglądała jakby przeniesiona z innego miejsca. Budynki, które tam się znajdowały, były stosunkowo niskie, bez okien, solidne, z wyprofilowanymi ścianami. Sprawiały wrażenie umocnień albo bunkrów. Ogrodzenie otaczające ten teren składało się z trzech linii siatek, między którymi rozwinięto całe kilometry drutu kolczastego. Wieże wartownicze wznoszące się w krótkich odstępach wyglądały tak, jakby znajdowały się na nich nie tylko reflektory.

— No cóż, ważny obiekt wojennej gospodarki przemysłowej Niemiec — rzekł Winslade po stosownej przerwie. Podeszedł do stołu i zaczął pokazywać różne detale. — Z grubsza wygląda to tak jak zwykły duży zakład przemysłowy. Ta część, to zakład chemicznej przeróbki surowców. Tu zaś, za wewnętrznym ogrodzeniem, znajduje się fabryka amunicji, gdzie produkuje się ciężkie pociski artyleryjskie i bomby dla Luftwaffe. W tych budynkach napełnia się łuski materiałem wybuchowym i tu też montuje się naboje... bomby napełnia się w tym budynku. Gotowe produkty transportuje się tędy, do tych oto magazynów przy bocznicy kolejowej, i stąd też wysyłane są dalej. Tu natomiast zlokalizowano wydział specjalny, który zajmuje się produkcją doświadczalną, między innymi zapalników opóźniających, a także ładunków wybuchowych małej mocy do próbnych strzelań. Nie produkuje się tu łusek do naboje, te dostarczane są z zewnątrz transportem kolejowym. —

Przeszedł teraz na drugą stronę stołu, skąd łatwiej mógł sięgnąć do odległej części makiety. — Za składowiskiem węgla, w pobliżu nabrzeży wyładunkowych, znajduje się fabryczna elektrownia, a obok niej centralna kotłownia i wytwórnia pary przemysłowej. Budynki tuż za główną bramą to biura administracji, te za nimi przeznaczono na dział kontroli jakości i laboratoria. Przy głównej bramie znajduje się stołówka pracownicza i świetlica, tutaj centrum medyczne, a tam przyzakładowa szkoła zawodowa.

Pytań nie było. Nim wyruszą wykonać zadanie, wszyscy poznają zakład jak własną kieszeń.

Winslade przez chwilę patrzył na skupione twarze i ciągnął dalej.

— W tym miejscu jest coś zupełnie niezwykłego, na co, jak sędzę, już zwróciliście uwagę. — Głos mu spoważniał, gdy linijką zaczął pokazywać budynki podobne do bunkrów wewnątrz specjalnego

ogrodzenia. — Tu oto, w roku 1935, Szefostwo Uzbrojenia niemieckich sił zbrojnych rozpoczęło budowę placówki badawczo-doświadczalnej mającej zajmować się nowymi rodzajami materiałów

wybuchowych i paliwami do rakiet. Ze względu na istotę zadań, a także dlatego, że ci, którzy podejmowali decyzję, wiedzieli, iż wojna wkrótce się zacznie, postanowiono rzecz całą budować pod ziemią, to zaś, co wznosiło się na powierzchni, zostało wzmocnione w taki sposób, że jest odporne na bombardowania z powietrza. Po dwóch latach jednakże, gdy już ukończono zasadnicze prace

budowlane, kierownictwo nazistowskie nakazało przekazać cały obiekt w ręce SS, a do dalszych prac wyznaczono ekipy budowlane Organisation Todt. I właśnie tu przeniesiono „Obucha”, który wcześniej znajdował się w Alpach Bawarskich, nawiasem mówiąc, niedaleko Berchtesgaden, a to wyjaśnia, dlaczego właśnie tam zbudowano specjalną kwaterę Hitlera.

— W pierwszej chwili — wtrącił się Churchill — pomyślałem, że tylko ktoś niespełna rozumu

lokalizowałby tak żywotną sprawę, jak „Obuch”, obok fabryki amunicji. Ale, jak mi wyjaśniono, nie miało to znaczenia. Pomieszczenia, w których jest „Obuch”, mogą przetrwać, gdyby nawet wszystko na powierzchni zostało wysadzone w powietrze.

— Cała konstrukcja jest dostatecznie mocna i osadzona wystarczająco głęboko pod ziemią —

potwierdził Lindemann.

Winslade odłożył linijkę. Jedną rękę włożył do kieszeni — tego ranka ubrał się w mundur oficera brytyjskiej marynarki wojennej — drugą zatoczył krąg nad mapą.

— Ta lokalizacja miała swoje dobre strony. Po pierwsze: nikt nie mógł podważyć konieczności specjalnych środków bezpieczeństwa. Nikt nie będzie zwracał uwagi na dziwnie wyglądające obiekty wwożone do zakładów i z nich wywożone. Oprócz tego jest dobra sieć dróg, połączeń kolejowych, a także szlak wodny przystosowany do transportu sporych ładunków. Wreszcie, obiekt leży w zasięgu wygodnego dojazdu z Berlina. — Odwrócił się i znów skupił wzrok na mapie. — Cała nadzieemna

część obiektu, gdzie znajduje się „Obuch”, nazywana jest przez miejscowych cytadelą. Wszyscy w zakładach wiedzą, że rzecz należy do SS, więc trzeba się od tego trzymać z daleka i nie zadawać niepotrzebnych pytań. Sam „Obuch” ustawiono kilkaset metrów pod ziemią, w specjalnej sztolni wykutej w skale, obmurowanej betonowymi ścianami o grubości trzech metrów, z takim samym

stropem i podłogą. Do środka prowadzą dwa szyby z dwiema windami, wydrążone po obu stronach

sztolni. Główna winda znajduje się tu, pod tym sześciokątnym bunkrem, do którego dochodzi

bocznicą kolejową. Tu zaś, z drugiej strony, jest mniejszy szyb i zapasowa winda. Każdy z szybów wyposażono w autonomiczny system alarmowy, pancerne drzwi i oczywiście w posterunki

wartowników. Strzeżeniem całego terenu zajmuje się skoszarowana jednostka SS w sile trzystu żołnierzy. Szyby zapewniają dostęp do sztolni w dwóch różnych poziomach, a łączące je chodniki są pod obserwacją starych posterunków z karabinami maszynowymi, a w razie zagrożenia przejście może być odcięte w każdej chwili i z każdej strony. Aby uzyskać dodatkowe zabezpieczenie, po obu stronach zainstalowano także miotacze ognia i gazu. — Winslade skończył i popatrzył wyzywająco na żołnierzy z oddziału specjalnego.

Zapadła grobowa cisza. Churchill zerkał ciekawie na twarze nowo przybyłych ludzi z Ameryki, ludzi, do których właśnie teraz dotarł cały ogrom zadania. Ciszę przerwał Ferracini:

— Mam nadzieję, iż nie oczekujesz, że weźmiemy to w sześciu szturmem i z marszu — zauważył sucho. Winslade uśmiechnął się, jakby usłyszał najlepszy dowcip.

— Wolnego, Harry. Są granice oczekiwań, nawet ja je mam.

Znów obrócił się w stronę stołu. Zdjął z makiety jej ruchomy element i oczom zebranych objawił się przekrój podziemnej części z dwoma szybami prowadzącymi do sztolni. Na przekroju widoczne były także inne szczegóły, takie jak: układ warstw skalnych, przebieg instalacji i kanały odwadniające.

Było tam także coś, co wyglądało jak jeszcze jeden pionowy szyb. Znajdował się na terenie zakładów chemicznych, na zewnątrz cytadeli i otaczającego ją ogrodzenia.

— Trzeba wam wiedzieć, że pierwszym zakładem przemysłowym na tym terenie była fabryka mydła i barwników, wzniesiona obok starej kopalni soli i potasu, pochodzącej jeszcze z czasów

średniowiecza — mówił Winslade. — Kopalnia była nieczynna od ponad stu lat, ale zachowały się jej szyby, co odkryto podczas budowy późniejszych zakładów. W większości je zasypywano, ale kilka uznano za przydatne. Te odbudowano, oczyszczono i włączono do całego kompleksu. — Wskazał na szyb, który widoczny był na przekroju. — Ten na przykład w dalszym ciągu istnieje. Wejście do niego znajduje się pod jednym z magazynów na odpadki i oczyszczalnią ścieków, to te budynki, tutaj, i te cysterny. Otóż dla bezpieczeństwa, żeby uniknąć przypadkowej a groźnej reakcji chemicznej między wodami zrzutowymi różnego rodzaju, na przykład między kwasami a związkami

organicznymi, stosuje się tutaj bardzo skomplikowany system oczyszczania. Pyły i odpadki stałe wysyła się barkami w dół rzeki, ścieki natomiast przepompowuje się do starych szybów, takich jak ten, gdzie później wsiąkają w wyrobiska starej kopalni. Tanio i skutecznie.

Był tam jednakże jeszcze jeden chodnik. Prowadził od najniższego poziomu sztolni, gdzie znajdował się „Obuch” i biegł skosem w dół, w tę stronę, gdzie na powierzchni wznosiły się budynki zakładów chemicznych, i wpadał do starego szybu. Winslade pokazywał jego przebieg linijką.

— Jak wam już mówiłem, w sztolni, w której znajduje się „Obuch”, zamierzano pierwotnie umieścić tajne zakłady chemiczne, a to wymagało opracowania stosownego systemu odprowadzania ścieków.

W tym właśnie celu wykuto ten oto pochyły chodnik, który, jak widać, dochodzi do jednego z szybów wykorzystywanych właśnie na ścieki. — Winslade uśmiechnął się przeproszająco, nie mogąc jednak powstrzymać się przed sarkastyczną uwagą: — To jak gdyby taki odbył pancernika.

— I tędy mamy się dostać do środka? — dokończył Rayn. Nie był w nastroju do żartów.

— Właśnie.

Przez chwilę milczeli wszyscy.

— Przy tych wszystkich zabezpieczeniach na górze... to dziwne, że coś takiego przeoczono — przerwał ciszę Payne.

— No cóż, całe to miejsce wykorzystuje się teraz w innych celach, niż zakładał pierwotny projekt — zwrócił uwagę Winslade. — Tej pochylni właściwie nigdy nie używano. Było sporo zamieszania, wiele planów i rysunków zaginęło, gdy Szefostwo Uzbrojenia przekazywało ten obiekt SS. Jest niemal pewne, że nikt z obecnie przebywających tam ludzi nie wie o jej istnieniu. Zdobycie tych informacji kosztowało nas sporo trudu. Musieliśmy, między innymi, odnaleźć jednego z pierwszych budowniczych obiektu z 1935 roku, że już nie wspomnę o innych zabiegach.

— A więc wszystko, co mamy do zrobienia — podsumował Cassidy — to tylko przedostać się przez linię frontu na niemieckie zaplecze, wejść na teren zakładów, odnaleźć szyb, zejść jakieś kilkaset metrów w dół, przejść pochylnią aż do miejsca, gdzie znajduje się „Obuch”, wysadzić go w powietrze i wycofać się, nie przejmując się gniazdem os w postaci trzystu esesmanów z miejscowego garnizonu.

— Tak — zgodził się uprzejmie Winslade. — Ale jest jeszcze jedna rzecz. Otóż pochylnia łączy się z szybem na dość znacznej głębokości. Zakładamy, że wlot do pochylni znajduje się poniżej poziomu wód ściekowych, być może nawet poniżej powierzchni ścieków, które tam nieustannie pompują.

Możliwe, że właśnie dlatego ludzie odpowiedzialni za bezpieczeństwo obiektu nie potraktowali tej drogi poważnie, jako możliwego zagrożenia.

— A dokładnie o jakich ściekach mówisz, Claud? — zapytał Ferracini podejrzliwie.

— Trudno powiedzieć — odparł Winslade. — To zależy od bieżącej produkcji w zakładach.

Generalnie jednak można przyjąć, że chodzi o kwasy o różnym stopniu stężenia, cyjanki, związki azotu i arsenu, związki organiczne... Inaczej mówiąc, chodzi o niezmiernie toksyczne substancje, a zarazem takie, które reagują z metalami, przyspieszając proces korozji. Sądzę także, że gazy zalegające nad powierzchnią ścieków są silnie trujące.

Wszyscy byli tak oszołomieni tą opowieścią, że tym razem nikt jej nie skomentował ani słowem.

Winslade odczekał chwilę, aż nastroje się uspokoją, po czym rzekł:

— Chcę wam powiedzieć, że w zapieczętowanych pojemnikach, które płyną z Nowego Jorku, jest sprzęt przewidziany właśnie na taką operację: specjalne kombinezony ochronne, aparaty oddechowe i jeszcze inny ekwipunek. Przygotowany też jest program szkolenia dla wszystkich. Najpierw przejdziecie kurs w ośrodku ratownictwa podwodnego w Portsmouth, a następnie w bardziej naturalnym środowisku: w zatopionej kopalni cyny w Kornwalii.

Winslade zawsze wierny swojej taktyce, zaczął od najgorszego i nie ukrywał żadnych trudności. Po pierwszym szoku słuchacze odzyskali mowę i zaczęły się pytania.

Jeśli te ścieki powodują korozję i reagują z metalami, to czy wystarczająco bezpieczne okażą się kombinezony ochronne. — To zależy — odpowiedział Winslade. Okazało się, że to nie skutkiem

zbiegu okoliczności kapitan Payne, jeden z oficerów „Proteusza”, był chemikiem. W swoim ekwipunku będą mieli podręczny analizator chemiczny, i stosowne parametry wytrzymałościowe ustalą na podstawie wyników analizy składu ścieków.

Jak mają zejść w dół szybu i jak będą posuwać się w górę pochylni? W czasie szkolenia zaplanowano trening w jaskiniach w Derbyshire, gdzie zapoznają się z odpowiednią techniką i sprzętem

speleologicznym. Z czego zbudowane są ściany szybu? W jakim są stanie? Jak wielka jest pochylnia?

Jaki jest jej stopień pochylenia, czy jest śliska?

Co znajduje się u wylotu pochylni? Stalowa grodź wsparta na żelazo-betonowym fundamencie i przymocowana do podłoża ośmioma calowymi śrubami. Nakrętki po prostu wytopi się ładunkiem termicznym.

A jak już wyłamiemy grodź, to co dalej? Wylot pochylni znajduje się na poziomie poniżej „Obucha”, tam gdzie znajdują się pompy, system nawiewu powietrza i jeszcze jakieś inne instalacje. Skoro cały system zabezpieczenia obliczony był na przeciwdziałanie ewentualnej penetracji od góry, a nie od dołu, to z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że ekipa wyszkolona w tajnych operacjach dywersyjnych zdoła umieścić ładunki wybuchowe i bezpiecznie się wycofać. — A jeśli nie — kończył

Winslade — no cóż, właśnie z myślą o działaniach w nie dających się przewidzieć okolicznościach kładziemy taki nacisk na wyrobienie własnej inicjatywy w programie szkolenia oddziałów

specjalnych...

Zapadła cisza, którą zakłócały głębokie westchnienia i szuranie nogami. Milczenie przerwał

Ferracini:

— Wszystko jasne, jeśli chodzi o przebieg operacji na miejscu, Claud. Ale jak sobie wyobrażasz przetransportowanie kombinezonów ochronnych, broni, sprzętu do wspinaczki i ładunków

wybuchowych przez całe Niemcy?

— To już nie do was należy — odparł Winslade. — Ta część całego przedsięwzięcia zależy od wielu czynników, których z góry nie można było przewidzieć i jeszcze nie jest dopracowana do końca. Ale mogę powiedzieć, że będziecie wędrować dwójkami, dalsze szczegóły podam na jednej z kolejnych odpraw.

— A nie możemy po prostu polecieć do Berlina ze Szwecji czy z jakiejś innej stolicy? Jako

Amerykanie jesteście przecież obywatelami neutralnego państwa. Możemy się podać za

dziennikarzy, na przykład — rzekł Ryan.

— Byłoby zbyt wiele problemów z policją, która bez przerwy inwigiluje cudzoziemców — odparł

Winslade. — Lepiej więc nie ryzykować. Co się zaś tyczy sprzętu, to rozważamy kilka różnych ewentualności. Możliwe, że będzie to zrzut w umówionym rejonie. Ale o tym porozmawiamy innym razem.

— A co ze współpracownikami na miejscu? — zapytał w końcu Cassidy. — Czy możemy liczyć na jakąkolwiek pomoc?

Zamiast odpowiedzi Winslade spojrzał pytająco na Churchilla, a ten z kolei na Lindemanna.

Lindemann chrząknął i rzekł:

— No właśnie, to moja działka. — Wstał i przeszedł parę kroków do przodu. — Jak pewnie niektórzy z was wiedzą, po Wielkiej Wojnie spędziłem kilka ładnych lat w Niemczech, a po dojściu nazistów do władzy jeszcze kilka razy odwiedziłem Niemcy, aby pomóc zagrożonym uczonym, zwłaszcza

żydowskiego pochodzenia, w ucieczkach z kraju, a później w znalezieniu stosownego zatrudnienia na Zachodzie. Brał w tym też udział Leo Szilard. Ale wracając do pytania, owszem, postarałem się o pewne informacje swoimi kanałami i być może uda się uzyskać jakąś pomoc od ludzi, którzy nie akceptują reżimu nazistowskiego i na których można polegać, jak sądzę.

— Ale nie będziemy teraz o tym mówić — wtrącił Winslade. — Każda dwójka uczestników operacji

otrzyma tylko nazwisko swojego łącznika na miejscu.

Zostało już tylko jedno pytanie. Zadał je Payne:

— Kiedy?

Odpowiedział major Warren:

— Według stanu na dziś zakładamy, że pod koniec lutego. — Spojrzał na swoich ludzi i zaśmiał się z udawaną brutalnością. — Ale niech się wam nie wydaje, że tymczasem będziecie tu świętować.

Mamy jeszcze parę innych spraw do załatwienia poza tym, o czym mówił Claud. Za dobrze nam się powiodło w ośrodku powrotnym w Nowym Jorku, a więc przez cały najbliższy miesiąc będziecie pracować nad swoją kondycją. Właśnie zarezerwowałem dla was gościnne miejsca na kursie walki wręcz w armii brytyjskiej.

Anna Kharkiovitch siedziała w końcu pokoju obok Gordona Selby'ego. Zastanawiała się nad tym wszystkim, co usłyszała. Było dla niej oczywiste, że na długo przed rozpoczęciem misji w roku 1975

Winslade uznał za stosowne podjąć wiele różnych zabezpieczeń na wypadek, gdyby nie udało się nawiązać łączności z ich własnym czasem. Ale co Claud naprawdę wiedział, co jeszcze może

wiedzieć, o czym nie mówi? Czy w ogóle istnieje jakakolwiek szansa powrotu? Czy taka możliwość w ogóle kiedykolwiek była brana pod uwagę?

A odpowiedź na te pytania? Czy będzie taka, jak sam Winslade, który przez całe życie obracał się w świecie tajemnic i intryg i który nigdy nikomu nie powiedział nic więcej, niż musiał, niż było potrzebne do wykonania bieżącego zadania.

Jak wszystko, co wiązało się z Winslade'em, także odpowiedź na te pytania jawiła się mgliście i niepewnie, a Annę cała ta sprawa doprowadzała do białej gorączki.

ROZDZIAŁ 30

W ostatnim tygodniu przed Świętami Bożego Narodzenia 1939 roku w gronie naukowców pracujących w ośrodku powrotnym zapanowało ogromne podniecenie. Po raz pierwszy bowiem instrumenty pomiarowe i wskaźniki podłączone do projektora powrotnego zanotowały impulsy energii. Wyglądało to następująco: na ekranie dość prymitywnego oscyloskopu, włączonego do zaimprovizowanego przez Fermiego obwodu składającego się z cewek, lamp radiowych i jeszcze innych elementów, pojawiła się świetlna plamka — nic wielkiego w sumie, ale charakterystyka impulsu potwierdzała jednak, że nawiązana została dawno oczekiwana łączność między dwoma

różnymi światami. Oczywiście trzeba będzie jeszcze wiele trudu i pracy nim uda się przesłać tym kanałem jakieś poważniejsze informacje, nie mówiąc już o translokacji rzeczy i osób, ale początek został zrobiony. Był to wspaniały prezent świąteczny dla wszystkich biorących udział w tym przedsięwzięciu.

Einstein tymczasem doszedł do wniosku, że kluczowe założenie całego eksperymentu — coś czego nikt do tej pory nie podważał, a mianowicie to, że czas biegnie w identycznym tempie po obu stronach owego międzyświatowego kanału łączności — nie ma właściwie podstaw. Było to jedno z owych nagłych objawień — wniknięcie w istotę rzeczy — które zdarza się tylko największym umysłem. W kolejnych dniach wypełnionych dyskusjami i debatami, które przeciągały się do późnej nocy, zmęczeniu, ale podnieceni uczeni przeanalizowali raz jeszcze owe kluczowe założenia i w rezultacie sformułowali nowy model matematyczny opisujący całą sprawę. Pochodne modelu

wykazały, że istotnie — tak jak sugerował Einstein — współczynnik upływu czasu po obu stronach kanału łączności nie jest identyczny. Czas po jednej stronie różni się od czasu po drugiej stronie o wartość równą liczbie dzielących je lat, podniesionej do czwartej potęgi. Czas przyszłości biegnie wolniej niż czas przeszłości. Jeśli więc czas biegnie dwukrotnie wolniej na określonym odcinku ku przyszłości, to będzie biegł szesnaście razy wolniej na dwukrotnie większym odcinku o tym samym wektorze. Dokładne współczynniki będzie można obliczyć, opierając się na pewnych stałych

wartościach składowych, które jednak da się określić wyłącznie w toku eksperymentu. Tymczasem tych wielkości nie znano.

Teoria ta wyjaśniała, dlaczego maszyna z roku 1975 nie zdołała nawiązać z nimi kontaktu. Otóż nim maszyna — projektor z przyszłości — nawiąże łączność i uaktywni projektor powrotny — czyli

maszynę z przeszłości — to najpierw z grubsza skanuje całe określone pasmo czasoprzestrzeni próbną wiązką fal. Kanał łączności zaś ustanawia się tylko wtedy, gdy w procesie skanowania natrafi się na wielowymiarowe pole rezonansowe o stosownym interwale. Udrożnienie kanału

łączności następuje jedynie po precyzyjnej synchronizacji funkcji falowych generowanych przez projektor powrotny. Z grubsza można to porównać do dostrajania odbiornika radiowego do

częstotliwości nadajnika, jeśli się chce odebrać sygnał określonej stacji nadawczej. Synchronizacja projektorów zaś zależy od precyzyjnego pomiaru czasu, z uwzględnieniem współczynnika różnicy w jego biegu. Bez uwzględnienia tego współczynnika łączność jest niemożliwa. W sumie rzecz jest stosunkowo prosta.

I teraz, po odkryciu zasadniczej sprawy, cała reszta — jak się spodziewano — powinna pójść błyskawicznie. Opracowano, plan wstępnych eksperymentów, w wyniku których miano wyliczyć wartość owej stałej składowej. Zadanie nie było specjalnie skomplikowane i polegało na odpowiedniej modyfikacji zakresu niektórych elementów elektronicznych. Już pierwsze próby

przyniosły rezultat w postaci zarejestrowania sygnału, który zidentyfikowano jako część próbnej wiązki fal. Na podstawie pomiarów współczynnika częstotliwości i analizy porównawczej innych znanych danych projektowych nadajnika z roku 1975, wyciągnięto wniosek, że różnica upływu czasu w tymże roku 1975 w stosunku do układu odniesienia z roku 1939 wyraża się współczynnikiem pięć i siedem dziesiątych.

Dalsza faza przedsięwzięcia — ustanowienie efektywnie funkcjonującego kanału łączności — nie będzie jednak już tak prosta jak dostrajanie odbiornika radiowego potencjometrem. Chodzi o to, że konstruktorzy maszyny w roku 1975 — Kurt Scholder i inni, którzy korzystali z dokumentów

zdobytych w Niemczech, budowali maszynę pośpiesznie, nie rozumiejąc do końca zasad, na jakich ją oparto. W efekcie powstała maszyna jednozakresowa, a więc niezdolna do synchronizacji, ów stały zakres natomiast, wcale nie był tym, o który chodziło. Modyfikacja zakresu wymagała

przepracowania pewnych podzespołów i przeprojektowania innych. W połowie grudnia wysłano cały zestaw szczegółowych zamówień do stosownych laboratoriów i pracowni. Dzięki poparciu Roosevelta bez większego trudu załatwiono niezbędne zezwolenia i uzyskano gwarancję pierwszeństwa w

realizacji zamówień.

Otworzywszy ten etap prac, uczeni raz jeszcze przeprowadzili serię obliczeń, które wykazały, że już obecnie — nawet bez wszystkich niezbędnych modyfikacji — możliwe jest uzyskanie częściowej

przynajmniej interakcji między projektorem powrotnym a próbną wiązką fal generowaną w roku

1975. I gdy tylko zamontowano nowe podzespoły z pierwszych dostaw, uczeni przystąpili do

doświadczeń.

— Dochodzimy do punktu krytycznego — oznajmił Scholder, obserwując wskazania precyzyjnego

galwanometru podłączonego do maszyny i wmontowanego do przenośnej konsoly. — Wskaźniki są coraz bliższe... Dziewiętnaście przecinek dwa... Już bardzo blisko... teraz nieco zanika... osiemnaście koma dziewięć... osiem.

Fermi obserwował zielonkawą sinusoidę na oscyloskopie. Przez sekundę, może dwie, rosła, po czym znów zmalała.

— Tym razem „Q” przekroczyło dziewięćdziesiąt osiem procent wartości krytycznej — powiedział.

Przesunął trochę jedno z pokręteł na konsolecie. — Zredukowałem wskaźnik beta do pięciu.

Proponuję raz jeszcze włączyć zasilanie i ponowić próbę przy tych samych parametrach.

Einstein i Teller z dwójką asystentów obserwowali z uwagą przebieg eksperymentu. Einstein palił

fajkę i przyglądał się czynnościom przy konsolocie z zainteresowaniem i rozbawieniem, jak starszy kolega - nauczyciel. Teller patrzył uważnie, skupiony, choć spięty po dwóch bezsennych dobach. Był to dzień Wigilii i właśnie skończyli montaż pierwszego zestawu rezonatorów dostarczonych rankiem na Uniwersytet Columbia przez zakład mechaniki precyzyjnej w New Jersey. Nie wystarczało to jeszcze na zapewnienie stuprocentowego kanału łączności, ufano jednak, że system będzie

wystarczająco czuły, aby zareagować na obecność próbnej wiązki fal. Stanowiłoby to istotny postęp.

— Włączyć zasilanie — powiedział Scholder, spokojnym rzeczowym tonem. — Jest napięcie w obwodzie. W porządku... wskaźniki idą w górę.

Teraz Fermi zaczął podawać dane:

— Dziewiętnaście... dziewiętnaście przecinek dwa... przecinek trzy... — Był wyraźnie podniecony.

Trzy piąte.... przecinek pięć... Na Boga! Chyba się uda.

Teller postąpił krok do przodu i patrzył przez ramię Fermiego.

— „Q” osiągnęło wartość krytyczną — oznajmił.

— Dziewiętnaście przecinek pięć! — wykrzyknął Fermi. W tym też momencie zapaliła się pomarańczowa kontrolka na konsolocie, a wskazówka na liczniku umieszczonym obok drgnęła, przesunęła się w lewo od zera i znieruchomiła.

Na twarzy Scholdera wykwitł zmęczony uśmiech. Fermi aż podskoczył na miejscu i poklepał Scholdera po ramieniu.

— Jest kontakt! — krzyknął Teller z tyłu. Asystenci stojący obok Einsteina wydali okrzyk radości, a zewsząd zaczęli nadbiegać pozostali, aby przekonać się, co jest powodem tego zamieszania.

Odczyty wskaźników potwierdzały, że istotnie projektor powrotny reaguje, lecz częściowy na razie rezonans, jaki generowała maszyna, był jeszcze za słaby, aby wykluczyć inicjującą wiązkę fal i tym samym doprowadzić do otwarcia głównego kanału łączności. Niemniej jednak projektor powrotny emitował wystarczająco silny sygnał, aby wywołać zakłócenia w widmie próbnej wiązki, na tej zaś podstawie operatorzy systemu w przyszłości powinni dojść do wniosku, że wiązka coś odnalazła.

Jeśli uda się to utrzymać, to możliwe będzie przekazanie prymitywnego komunikatu włączając i wyłączając zasilanie.

Zgodzono się już, że właśnie tak należy zrobić, jeśli eksperyment będzie udany. Nie tracono więc

czasu na zbędne już deliberacje. Gdy tylko wskazówka rejestrująca kontakt ustabilizowała się, Scholder zaczął naciskać zwornik zasilacza, jak klucz w telegrafie Morse'a: P-R-O-T-E-U-S-Z... P-R-O-T-E-U-S-Z... P-R-O-T-E-U-S-Z...

Nadawał aż do chwili, gdy Fermi oznajmił, że utracono kontakt. W kilka minut później sygnał znów się pojawił, a następnie ostatecznie zamarł.

— Mieliliśmy szczęście, że przynajmniej tyle nam się udało — skomentował Teller. — Wszystko, co osiągnęliśmy, to wartość graniczna i nie posuniemy się dalej, nim nie dostarczą wzmacniaczy modulacji fazowej.

— Edward ma rację — rzekł Fermi, wracając na swoje miejsce. — A wzmacniacze dotrą tu dopiero po świętach. Głosuję za tym, żebyśmy teraz zarządzili przerwę. Bez względu na Hitlera mój

jutrzejszy dzień należy do żony... jeśli do tego czasu nie wniosła sprawy o rozwód. Właściwie po co bić się o wolność, jeżeli w ogóle nie ma czasu, żeby z niej korzystać?

Wszyscy się zgodzili. Wyłączono urządzenia, wzięto płaszcze, kapelusze i papiery i wszyscy zaczęli wybierać się do domu. Żegnano się, życzo sobie wesołych świąt, niektórzy umawiali się jeszcze na wieczór lub na świąteczny obiad nazajutrz i wreszcie każdy ruszył w swoją drogę.

Teller, który zmierzał do siebie — do mieszkania na Morningside Heights — obiecał zabrać

Fermiego, a po drodze jeszcze odwieźć Einsteina do Princeton.

— Wiecie, to jednak dziwne — zauważył Fermi, gdy we trójkę szli przez halę montażową ku wyjściu, gdzie na parkingu Teller zostawił auto. — Jeśli oni, tam w 1975 roku, odebrali zakłócenia w wiązce próbnej, biorąc pod uwagę współczynnik upływu czasu wynoszący niemal sześć, to według ich miary minęły ledwie dwa miesiące od wyjazdu ekipy „Proteusza”.

— Jeżeli oczywiście jest to ten sam rok 1975 — rzekł Teller. — Nie wiemy, ile światów kieruje wiązkę próbną w stronę naszej strefy. Skąd więc możemy wiedzieć, że nawiązaliśmy kontakt z tym właściwym? Jaki jest stopień prawdopodobieństwa? W istocie, jak to się właściwie dzieje, że poszczególne światy nie nakładają się na siebie. — Westchnął głęboko, gdy zaczęli schodzić z rampy załadowniczej. — Jest jeszcze tyle niewiadomych.

Fermi był równie zaintrygowany. Obaj instynktownie spojrzeli na Einsteina.

— Nie mam najmniejszego zamiaru psuć sobie świąt — rzekł Einstein, gdy wsiadali do samochodu

— i na razie nie będę o tym myślał.

Policjant po cywilnemu otworzył bramę i samochód ruszył. Zapadał już mrok. W powietrzu migotały płatki śniegu, na jezdni gromadziła się warstwa błota po całodziennym śnieżycy. Teller miał właśnie włączyć bieg, gdy usłyszeli jakiś głos — krzyk kobiety. Trzej mężczyźni odruchowo spojrzeli za siebie.

Przed mniej więcej tygodniem ktoś wynajął sąsiedni magazyn i należące doń pomieszczenia biurowe po drugiej stronie ulicy, pomieszczenia, które od lata świeciły pustką. Pewnego dnia pojawiła się ciężarówka i wyładowano z niej jakieś skrzynie. Strażnicy z ośrodka powrotnego zaobserwowali też, że do nowo wynajętego biura od czasu do czasu zachodzi pewna kobieta. Samochód zwykle

zostawiała przed biurem, a o jej obecności wewnątrz świadczyło słabe światło w oknach. Komendant straży postarał się o sprawdzenie kto i po co wynajął magazyn, ale nic specjalnego nie stwierdził. I oto ta właśnie kobieta biegła teraz w ich stronę, machając rękami.

— Proszę, poczekajcie sekundę! — wołała zdyszana. Wyglądała na jakieś czterdzieści pięć lat, lekko otyła, ubrana była w ciepłe tweedowe palto i futrzaną czapkę z nausznikami. — Dzięki. — Oparła torbę o otwartą szybę i starała się uspokoić oddech. — Przepraszam, że panom przeszkadzam, ale, jak idiotka, zostawiłam światła w samochodzie i oczywiście akumulator całkiem wysiadł. Czy

pozwolą panowie zapalić od waszego akumulatora? Nie umiem używać korby, mam natomiast kable.

Teller spojrzał na pozostałą dwójkę, kiwnął głową i już otwierał drzwi auta, żeby wysiąść i pomóc nieszczęsnej babie, gdy właśnie podszedł do nich strażnik, ten sam, który pilnował bramy.

— W porządku, panowie. Proszę jechać — rzekł do Teller'a, a zwracając się do kobiety powiedział: —

Zaraz przyjdę i pomogę zapalić wóz korbą, proszę pani.

— Dziękuję, jest pan bardzo uprzejmy.

— Spełniam tylko swój obowiązek. — Dał znak Tellerowi, żeby ruszał i auto z trzema uczonymi zniknęło za zakrętem. Wartownik poszedł jeszcze zamknąć bramę ośrodka. Kobieta ruszyła jego śladem, ale uniósł rękę, dając do zrozumienia, żeby poczekała na miejscu. — Proszę tu poczekać, jeśli nie sprawi to pani różnicy — dodał — za chwileczkę wrócę.

Kobieta, którą w pewnych kręgach znano pod pseudonimem „Muszkietier”, posłusznie stanęła w miejscu. Przez otwartą bramę nie widać było nic szczególnego. Ale przecież dobrze przyjrzała się trójce mężczyzn w samochodzie, rozpoznając natychmiast charakterystyczną sylwetkę Einsteina.

Nie wiedziała, kim są pozostali dwaj, lecz nie szkodzi, miała ich na zbliżeniu, na zdjęciu, które zrobiła ukrytą w torebce kamerą. A poza tym zapamiętała numer rejestracyjny samochodu.

ROZDZIAŁ 31

Takiej mroźniej zimy, jak na przełomie 1939 i 1940 roku, Europa nie doświadczyła od czterdziestu pięciu lat. Na wysokości Folkestone i Dungeness, u wybrzeży brytyjskich, zamarzył kanał La

Manche, a Tamizę lód pokrył na odcinku od Teddington do Sunbury. W niektórych okolicach

Derbyshire śnieg zasypał wiejskie domy aż po dach.

Piątego dnia po Nowym Roku podał się do dymisji Leslie Hore-Belisha — minister wojny. Pierwsze pisklę, jak powiadała Anna Kharkiovitch, zostało usunięte z gniazda. Jednocześnie dokonano przesunięć na stanowiskach rządowych, co oznaczało, że zakulisowe manipulacje Winslade'a i Banneringa przynoszą jednak dość wyraźne skutki, choć oczywiście otwarta pozostawała kwestia, czy ów polityczny retusz okaże się wystarczający.

Ferracini i cała reszta uczestników grupy „Łącznika” wiedzieli o tych sprawach tylko tyle, ile mogli przeczytać w gazetach, a zresztą nie mieli zwyczajnie czasu, żeby zastanawiać się nad przyczynami odejścia tego czy innego polityka. Święta i Nowy Rok spędzili na szkoleniu w jednym z brytyjskich pułków w Dartmoor, w odludnych, dzikich i ponurych okolicach Kornwalii, pośród smaganych wichrem wzgórz pełnych krzewów i chaszczy. Według oficjalnej wersji stanowili grupę amerykańskich ochotników, czekającą na stały przydział i tymczasowo tylko przydzieloną do tej jednostki.

W porównaniu z wyczerpującym fizycznie i psychicznie okresem rekruckim, przez jaki musi przejść każdy kandydat do oddziałów specjalnych, w czasie pierwszych trzech miesięcy służby szkolenie w Dartmoor nie było zbyt ostre. Niemniej jednak wdzięczni byli majorowi Warrenowi za gimnastykę, ćwiczenia w walce wręcz i trening pływacki, do czego zmuszał ich w czasie trzymiesięcznego pobytu w ośrodku powrotnym. Tu bowiem, w Dartmoor, przez cały miesiąc brali udział w męczących biegach w pełnym oporządzeniu po skutym lodem torze przeszkód. Klnąc wspinali się po drabinkach sznurowych, pokonywali mury i umocnienia, przekraczali rzeki i strumienie po zaimprovizowanych mostach z lin. Cały dniami maszerowali w terenie, nabawiając się odcisków i pęcherzy na nogach.

Uczestniczyli w zaprawie na świeżym powietrzu, uprawiali akrobatykę sportową, skakali, wspinali się, formowali piramidy i pracowali nad kondycją, ćwicząc przysiady pod obciążeniem. W dziesięciu dźwigali kloce drewna — wielkie słupy telefoniczne.

W czasie szkolenia zrozumieli, dlaczego Warren zrezygnował z pomysłu wcielenia brytyjskich ochotników do ich grupy — na miejsca, które pozostały nie obsadzone ze względu na nieprzybycie posiłków z roku 1975. Niewykluczone zresztą, że było to jednym z celów takiego właśnie programu ćwiczeń.

Nie chodziło o to, że Brytyjczykom brakowało zapału, czy nie starczało ducha walki. Przeciwnie, znakomita większość Angoli ćwiczyła z entuzjazmem, nie obijała się, nie skarżyła i akceptowała kaprałskie metody i koszarowy dryl z pogodną rezygnacją. Po chudych gospodarczo latach przywykli do trudów, podobnie jak ich amerykańscy koledzy, i niecierpliwie oczekiwali chwili, kiedy przyjdzie im wyjechać na front, załatwić, co jest do załatwienia, i, co najważniejsze, wrócić do domu. Byli przekonani, że tak właśnie to będzie wyglądać, ponieważ zawsze tak było.

I to właśnie stanowiło istotę rzeczy: Angole nie zdawali sobie sprawy z tego, co ich czeka.

Naiwni, bez doświadczenia, ślepo ufali oficerom wciąż jeszcze tkwiącym w świecie, który już dawno przestał istnieć. W kategoriach owego świata „Niemcy to trzęsący portkami papierowy tygrys” — jak zapewniał przybyszów z Ameryki pewien kapral z Wigan. Jedli właśnie kolację: gulasz z wołowiny z fasolą.

— Paradują, biją w bębny, powiewają flagami i pasjami lubią ustawiać słabszych, jak na przykład Polaków, ale jeśli tylko ktoś poważny tupnie nogą, to zaraz kryją się w swoich dziurach.

Tym razem nie powtórzy się błąd z 1914 roku. Jest przecież Linia Maginota, a faceci, którzy za nią stoją, są przygotowani.

— Przygotowani? Na co? — zastanawiał się Ferracini.

Całe szkolenie bojowe składało się z kilku zaledwie wypraw na strzelnicę i poligon, gdzie ćwiczone rzuty granatem — oszczędzając zresztą amunicję — oraz odbywano szalenie sztywne, staroświeckie lekcje walki na bagnety. Uczono ich jak kopać transzeje, jak umacniać je faszyną, jak czyścić oporządzenie i glansować buty do połysku. Powtarzano to wszystko, co należało uczynić w roku 1914, ale tymczasem był już rok 1940 i na tym polegał cały problem.

Co będzie na przykład z bronią przeciwpancerną? Co z taktyką obrony przeciwko potężnym zagonom pancernym rozwijającym ofensywę wzdłuż głównych szlaków drogowych, przy zmasowanym

wsparciu z powietrza, i sunącym do ataku w tempie, które sparaliżuje dowódców myślących jeszcze kategoriami Wielkiej Wojny? Niemieckie ciągniki artyleryjskie są w stanie transportować ciężkie, sześciocalowe działa na ogumionych kołach w trudnym górzystym terenie, z szybkością

sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a tym samym każdy atak czołgów otrzymuje natychmiastowe wsparcie artyleryjskie. Czy można im przeciwstawić statyczne baterie okopane na pozycjach wzdłuż stabilnego rzekomo frontu? Co ze współdziałaniem sojusznicznych wojsk pancernych i lotnictwa?

Niemieckie dowództwo korzysta z łączności radiowej, przeto skutecznie śledzi ruch wysoce

mobilnych jednostek i może panować nad szybko zmieniającą się sytuacją taktyczną. Czy

generałowie, którzy wciąż polegają na gońcach i łącznikach, będą w ogóle wiedzieć, co się dzieje, nie mówiąc już o tym, czy będą mogli wpływać na bieg wydarzeń?

W czasie jednego ze szkoleń, tuż po Nowym Roku, Ferracini, Cassidy i Lamson ze zdziwieniem

patrzyli na pewnego brytyjskiego brygadiera — typowego niczym z obrazka: w wysokich

kawaleryjskich butach, z sumiastym jak u morsa blond wąsem i czerwoną nalaną twarzą — który uczył, jak radzić sobie zwykłym karabinem z junkersami 87 — słynnymi bombowcami nurkującymi

— sztukasami. „Jak podniesiecie łby, to zobaczycie bombowce prosto przed sobą — zapewniał

brygadier swoją zasłuchaną trzódkę. — Dość wtedy wycelować i strzelić jak do bażanta. Będzie

niezła zdobycz, kiedy każdy z was ustrzeli jednego takiego ptaszka". Słuchacze zareagowali z pełnym przekonaniem i wesołością. Tylko Amerykanom nie było do śmiechu.

Następnego dnia pewien kapral-sadyista — instruktor walki wręcz z Glasgow — który uwielbiał

znać się nad rekrutami, upatrzył sobie Floyda Lamsona na kolejną ofiarę. Ale z pokazowej walki wyszedł ze złamanym obojczykiem, zgruchotanymi chrząstkami szyi i licznymi siniakami. Cassidy pośpieszył wyjaśnić zszokowanemu dowódcy, że Lamson ma w sobie domieszkę indiańskiej krwi, a w dodatku wywodzi się z plemienia znanego z gwałtownych reakcji.

— To ci sami, co załatwili generała Custer — przekonywał Cassidy dowódcę, a Lamsona aż zatkało ze zdumienia. — Jego ojciec był ludożercą. Więc to właściwie nie jego wina... a poza tym on znakomicie nadaje się na zwiadowcę. — Dowódca wołał nie rozstrzygać sprawy do końca i

zatuszował aferę pod warunkiem, że Lamson będzie się starał zachowywać jak cywilizowany

chrześcijanin. Lamson jednak nie nosił w sobie krzywdy. Nagrodą dlań były liczne kolejki piwa, które w okolicznym pubie stawiali mu co młodsi ucieszeni Angole.

Nie tylko zresztą Brytyjczycy gotowali się do prowadzenia przeszłej wojny. Jeszcze gorsi byli Francuzi, a sądząc z tego, co Ferracini i reszta słyszeli i o czym przez prawie rok w Ameryce czytali w gazetach, także większość amerykańskich generałów jakby nie pojmowała, że świat wcale nie kończy się na Stanach. Problem polegał nie tylko na tym, że z opóźnieniem reagowano na

zachodzące zmiany. Elity polityczne i wojskowe zawsze mają więcej do stracenia niż do zyskania w procesie przemian i z tego względu zawsze stanowią najbardziej konserwatywną część

społeczeństwa. Historia to potwierdza. Tym razem jednak chodziło o to, że sposób myślenia jednej ze stron kształtował się pod wpływem umysłów, które swoje doświadczenie czerpały z przyszłości odległej o osiemdziesiąt pięć lat!

Zgadając się z tą tezą, Łącznikowcy uważali, że w ciągu czterech miesięcy, jakie upłynęły od początku września, przywódcy Zachodu powinni byli wyciągnąć znacznie więcej nauki z lekcji, jaką stanowił los Polski.

Także w Berlinie początek roku był znacznie zimniejszy i bardziej mroźny niż zazwyczaj. Mimo długo trwałej i wszechogarniającej propagandy nazistowskiej większość społeczeństwa Niemiec wcale nie chciała wojny. Inaczej niż w 1914 roku, kiedy idącym na front wojskom towarzyszyły manifestacje radości i podniosły nastrój, tym razem — nawet na wieść o wkroczeniu do Polski —

ulice wiały pustką i ciszą. Mając do czynienia z zaciemnieniem, dodatkowym

pięćdziesięcioprocentowym podatkiem wojennym, który trzeba było płacić niezależnie od zwykłego podatku dochodowego, całkowitym brakiem benzyny, wprowadzeniem kartek na środki spożywcze,

mydło, buty i odzież, zastąpieniem kawy cykorią przeciętni berlińczycy w 1940 roku nie odczuwali nic poza chłodem — fizycznym i emocjonalnym.

Tiergarten — park w centrum Berlina — przedstawiał widok pełen kontrastów. Na zmarzniętych stawach uganiały się chmary dzieci na łyżwach, a tuż obok groźnie wyzierały na niebo baterie przeciwlotnicze otoczone workami z piaskiem i przysłonięte ośnieżonymi siatkami maskującymi.

Korzystając z przerwy obiadowej, pułkownik Piekenbrock i podpułkownik Boeckel wybrali się na spacer Bendlerstrasse. Kroczyli wolno, ramię przy ramieniu, czapki naciągnęli głęboko na uszy, twarze schronili za postawione kołnierze szyneli. Zmarznięty śnieg trzeszczał pod podeszwami wysokich oficerskich butów.

— I wyklucza pan pomyłkę? — spytał Piekenbrock. Po każdym wypowiedzianym słowie wokół ust ukazywał się obłok pary. Boeckel potrząsnął głową.

— Trzej specjaliści, niezależnie od siebie, zidentyfikowali twarze. Sprawdziliśmy także samochód, jest zarejestrowany na nazwisko Tellera. Ustalenia są pewne.

Przez chwilę szli, nic nie mówiąc.

— I co pan o tym sądzi? — spytał Piekenbrock.

Boeckel wiedział już, że liczne pytania, jakie zadaje pułkownik, wcale nie oznaczają, iż nie ma on własnych przemyśleń. Po prostu, miał taki styl. Najpierw wysłuchiwał opinii podwładnych, a dopiero później przedstawiał własną. W ten sposób pozwalał wykazać się współpracownikom, a jednocześnie zniechęcał notorycznych potakiewiczów.

— Wydaje mi się, że odkryliśmy niewielką, ale niezwykle wyspecjalizowaną jednostkę armii amerykańskiej, przygotowywaną do działań partyzanckich i dywersyjnych. I wpadliśmy na trop praktycznego ćwiczenia: operacji prowadzonej z tajnej bazy w Nowym Jorku.

— Zgoda — rzekł Piekenbrock i kiwnął głową na potwierdzenie.

— Teraz zaś okazuje się, że bazę tę odwiedza Einstein. I to nie sam, ale z Tellerem i Fermim, wybitnymi specjalistami w tej samej dziedzinie. — Boeckel spojrzał na przełożonego, oczekując jego reakcji.

— No właśnie — rzekł Piekenbrock i machnął niecierpliwie ręką. — Ma pan rację. Einstein to wielki autorytet naukowy, bez względu na to, co Goebbels opowiada o nim na użytek tłumu. I powiada pan, że ten Węgier i Włoch specjalizują się w tej samej dziedzinie, czyli w czym?

— Zasięgnąłem języka w Instytucie Cesarza Wilhelma — odparł Boeckel. — Otóż, mniej więcej przed rokiem, właśnie tu, w Berlinie, przeprowadzono eksperyment, który wywołał wielkie

poruszenie wśród fizyków zajmujących się badaniem wewnętrznych struktur atomu. Okazało się, jak rozumiem, że podobno można wyzwolić, w drodze pewnych procesów chemicznych, ogromne ilości energii z uranu. W rzeczy samej, niezwykle ogromną energię. I niektórzy naukowcy z Instytutu powiadają, że odkrycie to doprowadzi do prawdziwej rewolucji, jeśli chodzi na przykład o elektrownie czy silniki do napędu okrętów, a także o nowe rodzaje broni.

Piekenbrock zmarszczył brwi.

— Atomy? Chodzi o te małe cząstki, dobrze myślę?

— Niezwykle małe, panie pułkowniku.

— Zdumiewające...

— Teller i Fermi znani są z prac w tej właśnie dziedzinie, a Fermi nawet dostał Nobla za swoje osiągnięcia. Pojechał do Sztokholmu, żeby odebrać nagrodę i zaraz potem uciekł do Ameryki.

— Żyd?

— Jego żona ma trochę żydowskiej krwi.

— Tak się zastanawiam, czy w przyszłości strata ludzi, takich jak on, nie wyjdzie na złe... Ale to nie nasza sprawa.

Znaleźli się teraz przed niewielkim hakowatym mostkiem nad zamrzniętym o tej porze roku

strumieniem. Zatrzymali się, żeby przepuścić dwóch generałów Wehrmachtu, którzy właśnie szli w przeciwnym kierunku. Zasalutowali, a generałowie oddali pozdrowienie. Ruszyli dalej. Boeckel wrócił do tematu.

— W zeszłym roku Anglia, Francja i Ameryka wyraziły oficjalne zainteresowanie uranem. Później zaś, zwłaszcza w Ameryce, wyraźnie zmniejszyła się liczba publikacji na temat badań związanych z tym pierwiastkiem. Inaczej mówiąc, wygląda na to, że Zachód chyba bardzo poważnie potraktował pomysł, czy możliwość, stworzenia tej superpotężnej broni.

— Czy sądzi pan, że może to mieć coś wspólnego z tak zwanymi superbombami, tymi, które, według Fuhrera, będziemy mieć za jakieś dwa lata? — spytał Piekenbrock.

— Myślę, że tak — odparł Boeckel. — Wydaje mi się, że obie strony liczą na to samo. Piekenbrock potwierdził ruchem głowy.

— I, oto Amerykanie przeszkolili specjalną jednostkę, która ma przeniknąć do Niemiec i podjąć działania operacyjne, wywiadowcze lub dywersyjne, wśród ludzi zajmujących się tym problemem —

dokończył myśl pułkownik. — Wygląda na to, że uczeni odwiedzali bazę szkoleniową w Nowym

Jorku, aby udzielić technicznych informacji w sprawie czego szukać oraz jak i gdzie szukać, zgadza się pan? Myślę, że możemy już zrezygnować z hipotezy, iż chodzi o misję, której celem byłby zamach na Fuhrera.

— Ja też dochodzę do takiego wniosku — potwierdził Boeckel. Odczekał uprzejmie dłuższą chwilę, a ponieważ Piekenbrock milczał, ciągnął więc dalej: — Sprawdziłem jeszcze parę innych wątków, które mogą się łączyć z całą tą sprawą.

— Tak?

— Otóż wygląda na to, że jest siatka ludzi z tym związanych, po obu stronach Atlantyku. Fermi i Teller, na przykład, pracują wspólnie na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Współpracuje z nimi jeszcze jeden Węgier nazwiskiem Szilard. Nie należy oficjalnie do tego grona, ale mieszka w hotelu przy tej samej ulicy. Wcześniej zaś zajmował się tymi samymi problemami w Anglii, gdzie pracował — między innymi — z niejakim profesorem Lindemannem. Ten zaś jest osobistym

przyjacielem Churchilla i jego zaufanym doradcą naukowym.

— A więc także Der Liigenlord macza w tym palce — dobrze rozumiem? — mruknął Piekenbrock.

„Lord Łgarz” to ostatnia inwektywa, jaką niemieckie gazety obrzucały Winstona Churchilla. Równie często pisano o nim, posługując się wyłącznie inicjałami W.C., którymi, jak wiadomo, oznacza się w Niemczech publiczne toalety.

— Lindemann przebywał jakiś czas tutaj, w Niemczech. Razem z Szilardem byli zamieszani w

sprawę ucieczek uczonych żydowskiego pochodzenia — ciągnął Boeckel — obecnie zaś Lindemann

przeniósł się do Churchilla, do siedziby Admiralicji w Londynie. Einstein gościł w rezydencji Churchilla w Chartwell, gdy był w Anglii w 1933 roku. Einstein i Szilard utrzymywali z sobą kontakt, kiedy przebywali w Niemczech. Był też z nimi Teller, który poznał Fermiego we Włoszech, nim ten jeszcze uciekł do Ameryki. Widzi pan, bez przerwy pojawiają się te same nazwiska. Układa się to w pewną logiczną całość, ale nie potrafię jeszcze tego wyjaśnić.

Piekenbrock zatrzymał się na skrzyżowaniu dwóch alejek. Boeckel milczał. Niedaleko nich jakaś starsza kobieta z wysiłkiem ciągnęła sanki z workiem węgla. Mały chłopiec popychał je z tyłu. Tej zimy najbardziej brakowało właśnie węgla. Powiadano, że dziesiątki tysięcy domów w samym tylko Berlinie pozbawione są ogrzewania.

— Jeśli rzeczywiście funkcjonuje taka siatka, jak pan mówi, to nasi amerykańscy przyjaciele bez wątpienia zatrzymają się po drodze w Anglii, żeby skoordynować szczegóły operacji z Churchillem.

Dobrze rozumiem? — rzekł Piekenbrock.

— To bardzo prawdopodobne — zgodził się Boeckel. Piekenbrock kiwał głową z zastanowieniem.

— Chciałbym więc, żeby wziąć pod obserwację wszystkie miejsca w Londynie, gdzie mogą się pojawić, na przykład w szefostwie marynarki wojennej u Churchilla — rzekł. — Przyda nam się potwierdzenie naszych domysłów, a na tej podstawie będziemy mogli precyzyjniej wydedukować, jakie są ich rzeczywiste zamiary. — Przerwał na chwilę. — Chciałbym też wiedzieć, jaka część naszych badań związanych z uranem przeprowadzana jest w Instytucie Cesarza Wilhelma? Czy tylko tam, czy też są jakieś inne placówki?

— To złożony problem — odparł Boeckel. — W Instytucie pracami kieruje profesor von Weizsacker.

Wspiera je Ministerstwo Wojny. Ale jest jeszcze inny profesor, nazywa się Esau. Ten prowadzi podobną placówkę w Linden, pod egidą Ministerstwa Oświaty, a Departament Uzbrojenia ma ośrodek badawczy w Gottow. Nie jest do końca dla mnie jasne, czy placówki te współpracują ze sobą, czy nie. Mam czasami wrażenie, że łatwiej się dowiedzieć, co robią wrogowie, niż zorientować się w naszej piekielnej biurokracji.

— Niech więc pan próbuje ustalić, nad czym, a zwłaszcza gdzie nasi pracują — przerwał

Piekenbrock. — Proszę przygotować listę głównych ośrodków, w których prowadzone są badania nad uranem. Jeśli się okaże, że Amerykanie rzeczywiście mogą się tu zjawić, dobrze będzie znać ich potencjalne cele.

— Natychmiast się tym zajmę.

— No cóż, nieźle się pan spisuje, jak do tej pory, Boeckel — pochwalił go Piekenbrock. — Proszę tak dalej, a może pan zajść bardzo daleko... Aha, jeszcze jedno, mam nadzieję, że ta sprawa z pańską sekretarką została wyjaśniona? Boeckel uniósł brwi zaskoczony.

— Już jej nie ma, panie pułkowniku. Została przeniesiona do Hamburga.

— Naprawdę? — spytał Piekenbrock z udawanym zdziwieniem. — Ach, tak, mówiono mi, musiałem zapomnieć. No cóż, niech pan uważa z jej następczynią.

— To nie będzie trudne — odparł ponuro Boeckel. — Dali mi takiego tłumoka, co ma pewnie pięćdziesiątkę albo i więcej. Gruba jak kobyła i ma nieświeży oddech.

Piekenbrock nie przerywał spaceru. Podziwiał płatki śniegu układające się w fantastyczne wzory na gałęziach i wolał nie dostrzegać podejrzliwego wzroku podwładnego.

— Naprawdę? No wie pan, zdarza się. A może w efekcie, sędzę, wyjdzie to panu na dobre.

10 stycznia zdarzyło się coś, czego nie notowała historia świata „Proteusza”. Samolot z dwoma

niemieckimi oficerami zszedł z kursu i przymusowo wylądował w Menchelen, w Belgii. Załoga miała przy sobie kopie niemieckiego planu ataku na froncie zachodnim. Przewidywał on ofensywę na kierunku holenderskim, jak zresztą oczekiwało tego dowództwo alianckie i jak potwierdzali to ludzie „Proteusza”.

Niemiecki sztab nalegał na Hitlera, aby odłożyć datę ofensywy ze względu na nie sprzyjające warunki atmosferyczne, a to różniło się od wydarzeń w historii „Proteusza”, kiedy to pogoda była znacznie lepsza. Wobec utraty planów operacji Hitler ustąpił i zdecydował, że ofensywa rozpocznie się dopiero na wiosnę.

Rozkazał także, aby przygotowano nowe plany ataku. Urzeczywistnienie tych, które dostały się w ręce aliantów, byłoby zbyt ryzykowne. Zaczął przywiązywać wagę do sugestii generała von

Mansteina, nowego dowódcy 38 Korpusu, który proponował błyskawiczne uderzenie jednostkami

pancernymi na linii Ardenów, daleko na południe od pierwotnie zakładanego kierunku. Francuzi tymczasem uważali, że ukształtowanie terenu w Ardenach wyklucza użycie czołgów i nie

przygotowali tam żadnych poważniejszych linii obronnych. Zakładali, że jeśli nawet Niemcy

zdecydują się na atak w tym rejonie, to i tak będą potrzebowali przynajmniej sześciu, siedmiu dni na podciągnięcie ciężkiej artylerii, a w tym czasie można swobodnie zmobilizować rezerwy i

przygotować obronę.

Von Manstein myślał podobnie. Nie proponował więc użycia ciężkiej artylerii. Planował rzucenie do ataku samolotów szturmowych.

ROZDZIAŁ 32

Nurkowanie i znajomość sprzętu do działań pod wodą to część podstawowego szkolenia oddziałów specjalnych, podobnie jak skoki ze spadochronem, jazda na nartach, wspinaczka górską i

umiejętność poruszania w każdym terenie — od arktycznych lodowców po tropikalne dżungle.

Krótko mówiąc, oddziały specjalne szkolono do prowadzenia walki z nieprzyjacielem wszelkimi dostępnymi środkami i w każdych warunkach. Warto dodać, że Paddy Ryan — co okazało się jeszcze jednym „zbiegiem okoliczności”, które Winslade uporczywie zbywał milczeniem — był kiedyś instruktorem w bazie szkoleniowej oddziałów dywersji i zwiadu podwodnego marynarki wojennej na Florydzie. Oznaczało to w sumie, że tak naprawdę to nikt z Łącznikowców nie potrzebował

specjalnych lekcji o płetwach, maskach, mokrych i suchych kostiumach do nurkowania i o tym, jak korzystać z aparatu do oddychania pod wodą. Po jednodniowych ćwiczeniach przypominających

nabyte już kiedyś umiejętności mogli zająć się tym, co było głównym celem stażu w Portsmouth, a

mianowicie: zapoznaniem się ze sprzętem specjalnym. Obie przesyłki zawierające wszystko, co trzeba, dotarły bezpiecznie z Nowego Jorku do Liverpoolu.

Każdy kombinezon składał się z dwóch osobnych części, wewnętrznej i zewnętrznej. Obcisły, przylegający do ciała, kombinezon wewnętrzny wykonano z miękkiej gąbki wyłożonej flanelą.

Powinno to wystarczyć na utrzymanie ochronnej warstwy powietrza tuż przy ciele. Część

zewnątrzna to strój wykonany z impregnowanego parafiną brezentu podwójnej grubości, z kapturem osłaniającym głowę. Całość zaprojektowano według wzorów stosowanych do robót podwodnych w roku 1975, tylko że kombinezony dodatkowo wyposażono w wodoszczelne rękawice przytwierdzone do rękawów na przegubach, szczelne maski i hełmy ochronne pomalowane jaskrawą farbą, co miało ułatwiać wzajemny kontakt w warunkach ograniczonej widoczności.

Generalnie zaś chodziło o to, żeby zabezpieczyć użytkownika przed kontaktem z toksycznym

środowiskiem, zapewnić mu właściwą temperaturę ciała, a także — co ważne — aby żrące płyny nie penetrowały całej wewnętrznej powierzchni kombinezonu, gdyby już doszło do uszkodzenia.

Specjaliści wiedzą bowiem, że nawet przez dziurę wielkości szpilki ciecz przedostaje się do wnętrza zaskakująco szybko i w ogromnych ilościach. A jeśli zawartość szybu pod Lipskiem wywoływać

będzie błyskawiczną korozję części metalowych? Właśnie na taką to ewentualność wcielono do grupy Eda Payne'a, który był nie tylko medykiem, ale także specjalistą od oparzeń wywołanych działaniem substancji chemicznych.

Inaczej niż w zwykłych strojach płetwonurków, w których zapas powietrza mieści się w butlach przytroczonych na plecach, ich kombinezony wyposażone były w zapas tlenu z przodu — na klatce piersiowej. Pojemnik był stosunkowo mały i z pewnością nie będzie zawadzał, gdy przyjdzie im poruszać się w ograniczonej przestrzeni. Dodatkowo kombinezony wyposażono w system

bezprzewodowej łączności magnetycznej. Rzecz funkcjonowała podobnie jak radio i miała zasięg paruset metrów. Urządzenie było niewielkie i nie wymagało ani dużych baterii, ani skomplikowanej elektroniki.

Parę rozwiązań, jakie zastosowano, wyprzedzało oczywiście technikę roku 1940. Dotyczy to, na przykład, masek obejmujących całą twarz, podczas gdy ówczesnie korzystano jeszcze z

niewygodnych okularów — gogli — które na znaczniejszych głębokościach boleśnie uciskały oczodoły. Nowością były też automatyczne zawory powietrza, reagujące na zmianę ciśnienia.

Wiadomo, że im niżej schodzi nurek, tym więcej powietrza trzeba dostarczać płucom. Zadbano

jednak o to, aby w przysyłanych egzemplarzach kombinezonów nie było zbyt wiele takich nowinek

technicznych. Chodziło o to, że jeśli taki kombinezon wpadłby w ręce Niemców, to owszem, wywołałby pewne zdziwienie, może podziw, ale raczej nie wzbudzałby daleko idących podejrzeń.

— A ja sobie myślę, że to musi być właśnie tak — rzekł Cassidy. Pochylił się nieco do przodu, oparł stopę o stalową poprzeczkę i poprawiał coś w swoim ekwipunku. — Pamiętasz, co Kurt opowiadał o tych różnych wszechświatach, które powstają jeden za drugim, gdy tylko jakiś atom straci elektron, czy coś podobnego?

— Aha — skwitował Ferracini. Też miał na sobie kombinezon, ale nie założył jeszcze maski. Siedział

na stalowej belce, jakby pomoście przerzuconym nad głębokim na prawie dwadzieścia metrów zbiornikiem — specjalną cysterną, w której ćwiczono technikę wydostawania się z zanurzonych łodzi podwodnych. Spoglądał w dół na mazistą brązową powierzchnię wody. Major Warren i kapitan

Payne zajęli miejsca na trochę szerszej platformie pośrodku konstrukcji. Z niej to zwisało kilka lin.

Znikały pod wodą, gdzie Lamson i Ryan ćwiczili właśnie usuwanie przeszkód. Wodę w zbiorniku specjalnie zabarwiono na ciemny brąz, tak aby przypominała ciecz w szybie w Weissenbergu i żeby Łącznikowcy nauczyli się pracować w warunkach ograniczonej widoczności, porozumiewając się wyłącznie dotykiem. Payne zauważył, że barwa wody jest odpowiednio dobrana do koloru odbytu pancernika, egzotycznego zwierza z opowieści Clauda.

— I każdy z tych wszechświatów zawiera w sobie możliwą wersję wydarzeń, poszczególne zaś wersje różnią się między sobą — ciągnął Cassidy.

Ferracini potaknął.

— Ja przynajmniej rozumiem to w ten sposób.

— No dobrze, ale oznacza to, że w momencie, w którym powstają dwa jakby wydania tego samego wszechświata, to rozchodzą się i nigdy już nie nałożą się na siebie, jest tak? A skoro jest tak, to z chwilą kiedy zaistnieją dwie różne wersje przeszłości, w konsekwencji nie powstaje żadna wspólna przyszłość, prawda?

— Nie wiem... być może... O co ci chodzi, Cassidy? Od kiedy to...

— Nie gadaj nic przez chwilę, Harry, ale posłuchaj, bo to ważne...

— Eee, daj mi spokój.

— Za moment, a tymczasem pomyśl. Jeśli ktoś zbuduje maszynę i wyśle ludzi albo jakiś sygnał, albo cokolwiek w przeszłość, to na skutek tego od razu powstaje nowa wersja wszechświata, a w istocie

cały wachlarz, cała gromada wszechświatów. I teraz wszystkie te wersje muszą się różnić od tego wszechświata, który istniał i w którym wszystko prowadziło ku jednej określonej przyszłości, tej z której przybyli ludzie, czy też nadszedł sygnał, czy co tam jeszcze. Muszą być inne, ponieważ wystąpił w nich nowy element, jak na przykład ta maszyna, którą wysłano do Niemiec w roku 1925.

Tymczasem świat, który istniał do tej pory, takiego elementu nie zawiera. Ale chodzi mi o coś innego. Otóż ktoś, kto przybywa do przeszłości za pomocą takiej maszyny, nie może w istocie niczego zmienić, a to dlatego, że jego obecność tworzy zupełnie nowy wszechświat, z własną, odrębną przyszłością.

— Zaczekaj... — Ferracini podniósł rękę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał od Cassidy'ego. —

No więc... — przerwał nagle, a jego oczy zrobiły się ogromne.

Cassidy energicznie potrząsnął głową, nim jeszcze Ferracini zdołał wykrztusić następne słowo.

— Właśnie. „Suzeren” musiał o tym wiedzieć, zdawać sobie z tego sprawę, jeśli uwzględni się warunki, w jakich doszło do zbudowania pierwszego urządzenia. A skoro tak, to cały ten pomysł, że da się zmienić historię, wystawiając Hitlera przeciwko Rosji, nie jest wart funta kłaków. Musieli wiedzieć, że to, co zdołają zrobić, i tak nie zmieni niczego w świecie, z którego przybyli.

— Jeśli tak, to o co im właściwie chodziło? — zapytał zaintrygowany Ferracini.

Cassidy wzruszył ramionami.

— Wszystko, co mi przychodzi do głowy, to wniosek, że nie zależało im na zmianie ich własnego świata, ale na stworzeniu nowego, bardziej odpowiadającego ich potrzebom i oczekiwaniom. A jak już taki świat powstanie, to zwyczajnie zabiorą swoje manatki, przeniosą się do niego i go opanują.

— To znaczy, jak już Hitler popędzi kota Rosjanom i urządzi im ten cały świat?

— Właśnie tak, tylko że on wpadł na inny pomysł i zamknął im kanał powrotny, nim jeszcze zdołali z niego skorzystać.

I tak oto przedstawiał się początek świata, w którym on, Ferracini, się wychował. Nic nie można było zarzucić logice tego rozumowania. Na czole Harry'ego pojawiła się zmarszczka, zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że Claud wiedział o tym wszystkim... i że nie chciał nam tego powiedzieć?

— Właśnie. Albo po prostu był w błędzie — odrzekł Cassidy.

— Claud rzadko się myli.

— Też tak sobie pomyślałem.

— Ale jeśli Claud wiedział, to....

— Jeśli wiedział, to musiał zdawać sobie sprawę, że to samo odnosi się do naszego świata —

dokończył zdanie Cassidy. — Nic z tego, co tu zrobimy, nie może zmienić sytuacji Johna Fitzgeralda, prezydenta, i całej reszty w naszym świecie. Wszystko, co zdiagnozujemy, może doprowadzić jedynie do zmiany przyszłości tego świata, w którym teraz jesteśmy.

Za nimi, na pomoście, Payne mówił coś do telefonu, spoglądając przez ramię na Warrena.

— Rayan melduje, że wszystko gotowe i że będą wychodzić na powierzchnię.

Ferracini z Cassidyem zebrali swój sprzęt, przygotowali narzędzia, szykując się do zejścia pod wodę.

Była to ich kolejka.

— A więc twierdzisz — rzekł Ferracini — że Claud też wiedział, że nasz świat nie ma już innej przyszłości. Postanowił się więc przenieść do tego, który jeszcze może mieć jakieś perspektywy, dobrze myślę?

— Gdybyś był na jego miejscu, to który z tych światów wybrałbyś na emeryturę? — spytał Cassidy.

— Odpowiem ci, jak już będę wiedział, do czego właściwie ten świat zmierza.

— Jedno jest pewne: ten świat ma jeszcze jakieś szansę, rozumiesz mnie?

Ferracini podniósł się i zastanawiał jeszcze przez chwilę, mocując jednocześnie linę, nóż, pas z narzędziami. Sprawdzał, czy wszystko jest w należyтым porządku i czy wszystko będzie można

błyskawicznie odpiąć, gdyby coś się stało.

— A właściwie to dlaczego nic nikomu nie powiedział? Cassidy rozłożył ręce, jakby chciał rzec: „co tu jeszcze można dodać?”

— Jak już tu tkwimy, to trudno, ale jeśli to wszystko prawda, to sam powiedz, ilu z nas mogłoby, ale tak szczerze, powiedzieć, że zrobiło zły interes? Oswajamy się z tym światem już od roku i nie jest tak źle. I teraz, jak już zaczynamy się przyzwyczajać do tego świata, to Claud coraz mniej mówi o projektorze powrotnym, zauważyłeś? Ciągłe natomiast mówi o „Obuchu”. Rozumiesz, co to oznacza?

Interesuje go ten świat, a nie tamten, z którego tu przybyliśmy.

— A co z Einsteinem i tymi wszystkimi uczonymi, z Mortimerem i Kurtem? Chcesz mi powiedzieć, że zwyczajnie pracują na próżno i marnują czas? I że Claud o tym wie?

— Tego nie wiem — przyznał Cassidy. — Ale pozwól, że cię o coś zapytam. Czy zgodziłbyś się na tę misję, gdybyś wiedział, że dają nam bilet tylko w jedną stronę?

Pod koniec tygodnia przyjechał z Londynu Winslade, żeby zobaczyć, jak sprawy posuwają się do przodu. Tym razem ubrał się jak dżentelmen z dziewiętnastego wieku: w kraciaste tweedowe ubranie z narzutką, pelerynę, pilśniowy kapelusz i palił rzeźbioną fajkę z wrzośca. Poinformował ich, że według ostatnich meldunków wywiadu niemiecka ofensywa prawdopodobnie się zacznie pod koniec stycznia. Przyczyną może być wyraźna poprawa sytuacji aliantów, a może też pogoda. Trudno ocenić. Ważne jest to, że alianci postanowili odeprzeć atak, jak tylko nastąpi. Gotowi są nawet wkroczyć do Belgii na pierwszy sygnał o ruchach niemieckich wojsk na kierunku zachodnim.

Obserwowano wyraźne powszechne poparcie dla Finlandii, która ciągle jeszcze dzielnie walczyła z Rosjanami. Natomiast władze Norwegii i Szwecji wciąż się wahały przed udzieleniem zgody sojusznikom na przemarsz wojsk, które mogłyby przyjść Finom z pomocą. Brytyjczycy ze swej strony nie mieli już żadnych oporów przed tym, żeby walczyć zarówno z nazistami, jak i ze Związkiem Radzieckim, skoro wojna i tak się zaczęła.

— Uważają teraz, że Stalin jest takim samym złem jak Hitler, i jak już mają się pozbyć jednego, to trzeba załatwić także drugiego — mówił Winslade.

I wydawało się, że Brytyjczycy nie są zmartwieni tym, że przeciwnik, któremu chcieli stawić czoło, był dziesięć razy liczniejszy niż cała ludność Wysp Brytyjskich.

ROZDZIAŁ 33

W ostatnim dniu stycznia naukowcom w ośrodku powrotnym ponownie udało się nawiązać — prymitywny co prawda, ale jednak — kontakt z maszyną w roku 1975. Ten rodzaj sygnału, jaki rejestrowano, Scholder określił mianem częściowego rezonansu. Nastąpiło to dopiero w pięć tygodni po pierwszej łączności, w Wigilię. Były pewne opóźnienia w dostawie niektórych przeprojektowanych podzespołów, jeszcze inne zamówienia trzeba było anulować i złożyć nowe. W sumie nie osiągnięto żadnego spektakularnego postępu. Scholder ponawiał próby zasygnalizowania ich obecności drugiej stronie kanału łączności znakami Morse'a, ale nie zaobserwowano niczego nowego. Greene

zatelefonował do Winslade'a, składając mu rutynowy meldunek, a Winslade polecił, żeby go natychmiast informować, gdy zdarzy się coś nowego.

W Europie tymczasem nie doszło do niemieckiej ofensywy na Zachodzie, ofensywy, która w poprzednim świecie doprowadziła najpierw do klęski Francji, a następnie do zajęcia Anglii. Pod koniec pierwszego tygodnia lutego wszyscy, którzy mieli dostęp do specjalnych informacji z przyszłości i pilnie śledzili bieżące wydarzenia, doszli do wniosku, że ofensywa jednak nie nastąpi.

Sytuacja wskazywała na to, że zdecydowanie i stanowczość aliantów przynioszą owoce i bieg historii zmienia się na lepsze.

Ośmielony tym i zachęcony Churchill oraz jego zwolennicy jęli wzmacniać naciski obliczone na uprzedzenie nazistowskiego marszu na Skandynawię, co w świecie „Proteusza” stało się w maju. W konsekwencji Aliancka Naczelna Rada Wojenna zdecydowała 5 lutego o interwencji w Norwegii.

Przyjęty plan był w zasadzie zgodny z tym, co Winslade sugerował Churchillowi w listopadzie: oficjalnie będzie to operacja mająca na celu wspomoczenie Finlandii, ale rzeczywistym jej zadaniem będzie odcięcie Niemców od dostaw rudy ze Szwecji.

16 lutego brytyjski niszczyciel Cossack, zgodnie z wyraźnym rozkazem Churchilla, wpłynął do norweskiego fiordu, aby zaatakować niemiecki okręt Altmark. Norwegowie zapewniali, że

przeszukali tę jednostkę i że nic specjalnego nie znaleźli, ale wywiad Admiralicji utrzymywał, że na Altmarku znajdują się brytyjscy marynarze — jeńcy wzięci do niewoli przez niemiecki pancernik kieszonkowy Graf Spee, ten sam, który w grudniu dokonał samozatopienia na południowym

Atlantyku, gdy został przechwycony przez okręty brytyjskie i nowozelandzkie. Patrol wysłany z Cossacka znalazł na pokładzie Altmarka dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu brytyjskich jeńców, których oczywiście uwolniono, wywołując entuzjazm i zadowolenie brytyjskiej opinii publicznej. Nikt nie przejmował się tym, co o takich sytuacjach stanowi prawo międzynarodowe.

Incydent ten sprowokował debatę w niemieckim dowództwie naczelnym, które nie miało żadnych złudzeń, jeśli chodzi o rzekomą pomoc aliancką dla Finlandii. Jeśli Brytyjczycy bez żadnego wahania wdarli się na norweskie wody terytorialne w tak mało znaczącym celu, jakim było uwolnienie

garstki jeńców, to — rozumowali Niemcy — tym bardziej nie zawahają się przed naruszeniem

neutralności Norwegii, żeby tylko osiągnąć znacznie ważniejszy cel strategiczny, jakim będzie odcięcie Niemiec od dostaw rudy żelaza. W konsekwencji admirał Raeder, dowódca niemieckiej

marynarki wojennej, zaczął naciskać Hitlera, żeby przyspieszyć datę inwazji na Norwegię.

W Anglii tymczasem, po trzech kolejnych tygodniach wędrówek i przedzierania się przez czeluści jaskiń w Derbyshire, po karkołomnych zjazdach na linach do zalanych kopalń w Kornwalii, po

całych godzinach pracy na ślepo w błocie i mule w opuszczonych szybach kopalnianych, ekipę

„Łącznika” wezwano do Londynu na kolejną odprawę w podziemiach budynku Admiralicji.

— Hiszpańskie wizy załatwili dla was anonimowi urzędnicy z Departamentu Stanu rzekomo dla

CBS * (Amerykańska sieć radiowa) — rzekł Winslade, pokazując Ferraciniemu i Cassidy'emu dwa amerykańskie paszporty. Winslade załatwił sobie gabinet w Admiralicji i znów miał na sobie

mundur oficera brytyjskiej marynarki wojennej. — Na podstawie tych wiz przejedziecie z Paryża do Madrytu. Stamtąd — polecicie do Rzymu pod nazwiskami — Joe Hennessey i Pat Brewster.

Pierwszy to reporter, drugi jest inżynierem dźwięku z CBS. Udają się do Rzymu, żeby przygotować specjalną audycję z Watykanu z okazji pierwszej rocznicy pontyfikatu papieża. Włochy mają dobre stosunki z reżimem Franco w Hiszpanii, od kiedy Mussolini słał pomoc w czasie wojny domowej, i między Madrytem a Rzymem podróżuje się bez specjalnych ograniczeń.

Cassidy uważnie oglądał paszport.

— A gdyby ktoś chciał sprawdzić w rzymskiej placówce CBS, to oczywiście potwierdzą, że oczekują takich dwóch facetów? — zapytał na wszelki wypadek.

— Oczywiście.

Ferracini, który siedział obok Cassidy'ego, uważnie sprawdzał legitymacje prasowe i dokumenty podróży z francuskimi i hiszpańskimi pieczęciami i jeszcze inne papiery, jakie przekazał im Winslade. Wszystkie przygotowane zostały przez tajny wydział w MI 6, czyli brytyjski wywiad wojskowy. Prezentowały się nieźle. Postarano się, żeby nie wyglądały na nowe, były, jak należy, wytarte i sprawiały wrażenie mocno zużytych.

— Wynika z nich, że do Francji przy płynęliśmy statkiem w tym tygodniu — zauważył.

Winslade otworzył teczkę, z której zaczął wyjmować rozmaite rzeczy.

— Oto egzemplarz nowojorskiej „Herald Tribune” z ostatniego poniedziałku. Schowajcie to do swojego bagażu... dwa bilety do teatru na Broadwayu z ostatniej soboty... rachunek z datą ze sklepu z konfekcją męską na Trzeciej Alei na parę koszul i jakieś spodnie... list od żony pod adresem hotelu w Paryżu, z pieczęcią poczty w Bensonhurst na Long Island, kilka zdjęć dzieciaków, gratuluję.

Ferracini przyglądał się tym przedmiotom przez chwilę i — usatysfakcjonowany — skinął głową.

Nie trzeba dodawać, że wszystko to, co znajdzie się w ich bagażu: ubranie, buty, drobiazgi, jakie zwykle nosi się w kieszeniach, przedmioty osobistego użytku — wszystko to nie będzie pochodziło z Anglii.

W rozmowie uczestniczył także Lindemann. Każdej z trzech dwójek, na jakie podzielono zespół

„Łącznika”, ujawniano tylko i wyłącznie ich własną legendę i trasę podróży do Niemiec. Ferracini i Cassidy nie wiedzieli więc, jak i w jakim przebraniu podróżować będą Warren, Payne, Lamson i Ryan. Nie wiedzieli nawet, kto będzie podróżował z kim. Gdyby więc stało się najgorsze, nie potrafiliby nawet opisać żadnej z pozostałych dwójek biorących udział w operacji. Była to celowa ostrożność, znacznie łatwiej bowiem zidentyfikować parę ludzi niż pojedynczą osobę.

— W Rzymie zmienicie tożsamość — ciągnął Winslade, podając im dwa skoroszyty w czerwonych okładkach. — Po przybyciu do Włoch skontaktujecie się z amerykańskim konsulem i tam już będą

mieli dla was instrukcje i materiały. Otrzymacie nowe dokumenty i nowe bagaże. Szczegóły są w tych teczkach. Proszę się z nimi zapoznać i zapamiętać wszystko. Nie zabieracie ich ze sobą, macie mi je oddać przed wyjazdem. Występować będziecie pod nazwiskiem Nielsa Jorgensena z Danii i Benita Cassalli — z Włoch. Pierwszy z nich jest nauczycielem, drugi zaś malarzem, a wspólnie pasjonują się archeologią śródziemnomorską i właśnie spędzili razem zimowe wakacje we Włoszech, badając rzymską architekturę starożytną i zwiedzając zabytki. Otrzymacie wiele różnych rysunków, szkiców i fotografii z Rzymu, żeby uprawdopodobnić całą tę historię. Dostaniecie także kilka notatek, które trzeba będzie przepisać własnoręcznie. Będziecie wracać do Danii, drogą przez Bolonię, Weronę i Monachium, z przesiadką w Berlinie na pociąg do Hamburga, skąd już macie

pojechać w kierunku granicy duńskiej. — Winslade rozłożył ręce. — Tylko że do Berlina de facto nie dojedziecie. Pociąg opuścicie wcześniej, w Lipsku. Będzie wtedy noc i jeśli ktokolwiek zatrzyma was na dworcu, będziecie mogli powiedzieć, że jako obcokrajowcy zwyczajnie pogubiliście się w ciemnościach, obowiązuje przecież zaciemnienie, i wydawało wam się, że pociąg jest już w Berlinie.

Pamiętajcie, że trzeba odczekać do ostatniej chwili przed ruszeniem pociągu, tak żeby mieć pewność, że nikt wam nie każe wsiąść do niego z powrotem. W ten sposób całkiem naturalne będzie, że pójdziecie do hotelu. — Winslade spojrzał teraz na Lindemanna, unosząc brwi na znak, że ciąg dalszy należy do niego. Lindemann chrząknął i zaczął:

— Skontaktuję was z kimś, kto pomoże wam zapoznać się ze szczegółami dotyczącymi aktualnych niemieckich przepisów policyjnych, hotelowych i tak dalej. Ale wracając do Lipska... W centrum miasta jest miejsce zwane Rathausplatz. Odchodzi od niego ulica o nazwie Kanzlerstrasse. Jest to raczej niewielki zaułek z jezdnią brukowaną kocimi łbami. Na rogu jest piwiarnia, a nad nią zegar.

Kawałek dalej znajduje się zakład szewski. Na szyldzie będzie napis Hoffenzollen. Macie tam pójść i powiedzieć, że przyszliście po buty, które Fraulein Schultz oddała do naprawy. W odpowiedzi zapytają was, czy już się wyleczyła z przeziębienia. Na to zaś macie odpowiedzieć: „Owszem, czuje się już znacznie lepiej, ale w ogóle to zima jest okropna”. Dalej zaś będziecie działać zgodnie z instrukcją, którą wam przekażą. Znacicie zasady.

Ferracini z Cassidym spojrzeli po sobie, ale nie mieli żadnych pytań.

— A co ze sprzętem? — Cassidy zwrócił się do Winslade'a.

— Zdecydowaliśmy jednak, że nie będzie zrzutu — odparł Winslade. — Sprzęt zostanie przetransportowany osobno w dwóch niezależnych partiach, dwiema różnymi trasami. Każda z przesyłek będzie zawierała wszystko, co potrzebne do wykonania zadania.

„Osobny transport” i „dwie trasy” to w ich żargonie oznaczało, że dostawą sprzętu zajmą się ludzie, których traktowano inaczej niż Łącznikowców, ludzie, których można narazić na ewentualną

wpadkę, nie tak niezbędni jak amerykańscy specjaliści. Jeśli przesyłka wpadnie w niepowołane ręce, ludzie ci nie będą nawet wiedzieć, co jest w środku i jakie jest tego ostateczne przeznaczenie. Nie będą też wiedzieć, że jest jeszcze jedna przesyłka. Gdyby zaś obie przesyłki zostały odkryte, to i tak nie zagrozi to Łącznikowcom, których będzie można wykorzystać do innego zadania, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Tymczasem zaś, zakładając, że wszystko pójdzie dobrze, Łącznikowcy przejmą sprzęt w umówionych punktach kontaktowych od „nieznanych dostawców”, jak się wyraził Lindemann. Ustalono też, że może to nastąpić tylko wtedy, gdy przynajmniej jedna dwójka dotrze na miejsce. W przeciwnym wypadku sprzęt pozostanie w ukryciu na zawsze.

Dokładne dane dotyczące miejsca, z którego będzie można odebrać sprzęt, zostaną zakodowane w formie sześciu cyfr określających miejsce na mapie. Był to standardowy kod, z jakiego Ferracini z Cassidym już wielokrotnie korzystali. Otóż ludzie odpowiedzialni za przesyłkę, gdy tylko znajdzie się ona w bezpiecznym miejscu, dadzą niewielkie ogłoszenia do dwóch miejscowych gazet. Każde z nich będzie zawierało zaszyfrowane trzy spośród sześciu cyfr potrzebnych do lokalizacji miejsca na mapie. Łącznikowcy będą znali klucz do jednego z tych ogłoszeń, natomiast ich miejscowi

współpracownicy do drugiego. W ten sposób miejsce ukrycia przesyłki będzie można określić tylko i wyłącznie wtedy, gdy dojdzie do nawiązania kontaktu. Ta sama procedura odnosiła się do obu przesyłek, tylko że szyfry były oczywiście różne i identyfikacji mogły dokonać dwa różne zespoły.

Po wykonaniu zadania Łącznikowcy mają się ewakuować z Niemiec łodzią podwodną, która oczekiwać będzie w umówionym punkcie Bałtyku. Opracowano stosowny kod telefoniczny, za pomocą którego będzie można przekazać sygnał do konsulatu amerykańskiego w Berlinie. Ten z kolei kanałem przez Waszyngton przekaże dane o spodziewanej dacie i czasie spotkania Brytyjskiej Admiralicji.

Datę wyjazdu ustalono na koniec lutego. Pozostały czas przeznaczono na zapoznanie się ze szczegółami sytuacji i codziennego życia, tak jak się ono przedstawiało w dzisiejszej Europie, oraz na osvajanie się z nowymi życiorysami. Krótko mówiąc, na rutynowe przygotowania do operacji.

Odprawa miała się ku końcowi, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Wartownik otworzył i do wnętrza wszedł Churchill. Gazety tego dnia pełne były zachwytów w związku z akcją Cossacka. Podkreślano, że sprawa ta daje wyraz takiej postawie władz, jaką częściej powinna manifestować. Panował podniosły nastrój.

— Wszyscy skończyliby w obozie jenieckim, gdybyśmy czekali, aż nasz dostojny przyjaciel zadecyduje, że czas ruszyć kondukt z miejsca — skomentował Churchill. Ostatnimi czasy zaczął

nazywać Chamberlaina „Karawaniarzem z Birmingham”. Dał znak Ferraciniemu i Cassidy'emu, żeby zostali na miejscu, zatarł dłonie i rzekł: — No i jak wam się podoba cały ten plan? Spośród wszystkich, to właśnie was najbardziej on dotyczy.

— Sądzę... że jest dopracowany we wszystkich szczegółach, panie ministrze — odparł Ferracini.

— I na tyle bezpieczny, na ile to możliwe — dodał Cassidy. Churchill skinął głową z zadowoleniem.

— Jak powiadał pewien Brazylijczyk, gdy zapytano go, co zrobić z ciałem zmarłej teściowej:

„Zabalsamujcie, spalcie i pogrzebcie. Nie pomińcie niczego”. Myślę, że jeśli chodzi o przedsięwzięcie tej miary i wagi, to należy zastosować podobne środki bezpieczeństwa i ostrożności.

— A dlaczego akurat brazylijska teściowa? — zaśmiał się Winslade.

— Nie mam pojęcia, dlaczego tę opowieść przypisują właśnie Brazylii. Sprzedaję, jak kupiłem.

— Jutro mamy jeszcze odprawę z ostatnią dwójką. A potem już tylko trochę pracy nad zapamiętaniem nowych życiorysów i w ogóle — rzekł Lindemann.

— I cóż, sądzicie, że się uda? — spytał Churchill, zwracając się do obu młodych Amerykanów.

— Z pewnością — odparł Cassidy, wzruszając nonszalancko ramionami. A jeśli się nie uda — pomyślał sobie — to i tak nie ma znaczenia, co teraz powie.

Ferracini odpowiedział bardziej ostrożnie:

— Szansę są, a zresztą moment zaskoczenia jest po naszej stronie.

— Wspaniale, znakomicie — rzekł Churchill, spoglądając to na jednego, to drugiego. — Rozumiem, że nie ma potrzeby podkreślać, jak wiele zależeć będzie od powodzenia tej operacji. Czuję jednak, że ten przykład współpracy, która spaja nasze kraje przez Atlantyk, jest zapowiedzią wielkiego sojuszu. Może to brzmieć dziwnie w świetle polityki izolacjonizmu, jaką obecnie głoszą w Ameryce, ale to rychło się zmieni. A propos, wiecie, że moja matka była Amerykanką?

Rozmawiali aż do południa, kiedy to Churchill z Lindemannem pożegnali się, gdyż mieli umówione spotkanie z grupą admirałów, z którymi mieli przedyskutować jakieś zagadnienia dotyczące okrętów podwodnych. Ich natomiast Winslade umówił na lunch z Arthurem Banneringiem i resztą. Zamknęli pokój, przeszli dwa piętra w górę i wyszli na ulicę głównym wejściem.

— Myślę, że już oswoiliście się ze współczesnym Londynem — rzekł Winslade, gdy schodzili z

Ferracinim i Cassidyem ze schodów wiodących do Admiralicji. — Wygląda całkiem inaczej niż w naszych czasach, prawda?

— Znacznie przyjemniej, bez widoku obcych mundurów na mieście — rzekł Cassidy. — Pamiętasz, Harry, co było w tym budynku?

— Komenda Gestapo Regionu Południowo-Wschodniego — odparł Ferracini.

— I cała nasza misja polega na tym, aby tak się nie stało — rzekł Winslade, gdy skręcali w stronę Tarfalgar Square.

Tymczasem w skromnym pomieszczeniu wynajętym w biurowcu znajdującym się dokładnie naprzeciwko Admiralicji, pewien człowiek wyjmował z aparatu zaopatrzonego w teleobiektyw naświetloną kliszę, na której znajdowali się trzej mężczyźni wychodzący z gmachu. Dołożył ją do sterty negatywów, które gromadził od samego rana. Westchnął znudzony i spojrzął na zegarek, wkładając jednocześnie następną kliszę do kamery. Jeszcze pięć godzin, później jazda zatłoczonym autobusem do domu. Na kolację kotlet mielony i frytki w podłej knajpie w pobliżu mieszkania, może jeszcze kufel piwa w pobliskim pubie i powrót do nędznej kawalerki w Willesden. I pomyśleć, że dawał wiarę tym wszystkim opowieściom o wspaniałym życiu tajnego agenta, o kobietach, barwnych przygodach i w ogóle. A na razie nawet mu nie przysłali pieniędzy na klisze i na czynsz za wynajem biura.

Pod koniec miesiąca — zgodnie z planem — Ferracini z Cassidem odlecieli z Croydon do Paryża.

Pozostałej czwórki też już nie było. Zniknęli, wyjechali nie wiadomo dokąd. Dzień później Winslade otrzymał pilną wiadomość z Nowego Jorku. Coś wydarzyło się w ośrodku powrotnym: ponownie

nawiązano częściowy kontakt z maszyną z roku 1975. Sygnał był jeszcze słaby, ale tym razem

naukowcom udało się go utrzymać przez dłuższy czas. Mortimer Greene był zdania, że lada moment uda się nawiązać pełną łączność.

Wszyscy zaś doszli do wniosku, że jeśli rzeczywiście ma to nastąpić, to szef grupy „Proteusza” —

Winslade — powinien być obecny, zwłaszcza że chwilowo nie miał w Anglii nic więcej do zrobienia.

Gdyby nastąpiło coś niespodziewanego to i tak można było jeszcze w ciągu najbliższego tygodnia odwołać działania „Łącznika”. Ferracini i Cassidy'ego można było zawiadomić przez konsulat w Rzymie, pozostałych — podobnymi kanałami. Najpilniejszą sprawą w tej chwili stało się ściągnięcie Winslade'a do Stanów, tak szybko jak to było możliwe. Ponadto prezydent Roosevelt dowiedział się, że Anna Kharkiovitch jest historykiem, specjalistką w zakresie współczesnej historii politycznej, i za pośrednictwem Churchilla poprosił, aby również przybyła do Stanów. Prezydent załatwił im

specjalny samolot wojskowy.

— I pomyśleć tylko — mówiła Anna do Winslade'a, gdy jechali samochodem Royal Navy z Londynu na lotnisko Hendon, na północ od miasta — wczoraj obiad z Pierwszym Lordem Admiralicji, a dziś

osobiste zaproszenie od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie ma co mówić, jestem rozrywana w tym świecie. I, Claud, myślę, że nie będę miała żalu, jeśli nigdy nie wrócimy do naszych czasów.

Winslade uśmiechnął się i udawał, że nie dostrzega badawczego spojrzenia, jakim go obdarzyła.

— No wiesz, zbliżają się wybory — przypomniał — i być może Roosevelt liczy na jakieś rady w związku z kampanią. Anna westchnęła.

— Powiem ci coś, Claud, masz rzeczywiście wyjątkowy talent do prawienia komplementów kobiecie.

— To żaden talent. Tylko lata praktyki, zapewniam cię. Anna nagle spoważniała, a na jej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

— W sumie to chyba jednak dobra wiadomość — mruknęła jakby do siebie — bardzo dobra w istocie.

— O czym mówisz? — spytał Winslade.

— Może to oznaczać, że Roosevelt już postanowił walczyć o trzecią kadencję — odparła. — A to, Claud, oznacza, że wreszcie nastąpi radykalna zmiana w stosunku do tego, co my pamiętamy!

ROZDZIAŁ 34

Winslade był poważny i skupiony, gdy z Mortimerem Greene'em i Anną kroczyli najpierw schodami ku rampie załadowniczej, a później przez halę, w stronę skrzyń, pak i bel osłaniających pomieszczenie montażowe. Dwaj policjanci po cywilnemu, którzy wraz z Greene'em odbierali Winslade' a i Annę z lotniska, zniknęli za drzwiami głównego biura — poszli zameldować się dowódcy ochrony.

— Nie podoba mi się to — rzekł Winslade. — Fakt, że wygląda on raczej na amatora aniżeli

profesjonalistę, może stanowić też niezły kamuflaż. Powiadacie, że w jego mieszkaniu znaleziono dokumenty z sygnaturą Abwehryl Już to wystarczy, żeby sprawę potraktować poważnie. Canaris nie jest głupcem i ma paru bardzo zdolnych ludzi u siebie.

— Ale dokumenty nie zawierały niczego ważnego. Ot tylko rutynowe depesze z Centrali — rzekł

Greene. — Nie było w nich nic takiego, co wskazywałoby, że wiedzą coś o nas albo o naszej misji. A gdyby Fritsch był zawodowcem, to z pewnością dobrze by ukrył te papiery.

— Mimo wszystko, nie podoba mi się to — powtórzył Winslade. Dochodzili właśnie do ukrytych drzwi, które wiodły do hali montażowej. — Później porozmawiam z nim osobiście.

W czasie przejazdu z lotniska Greene poinformował ich, że dzień wcześniej jeden z wartowników zauważył jakiegoś podejrzanego wyglądającego typu, który węszył wokół ośrodka powrotnego.

Zatrzymany okazał się Niemcem, nazywał się Walther Fritsch, a do Stanów Zjednoczonych przybył przed kilku laty jako imigrant. Podczas przesłuchania okazało się, że jest notowany w FBI, ale FBI uważa, iż to raczej niegroźny amator, który pęta się gdzieś na obrzeżach niemieckiego wywiadu i nie ma potrzeby go aresztować. W istocie amerykański kontrwywiad zdołał przy jego pomocy rozpracować całą siatkę nazistowskiej agentury. Podrzucano mu mianowicie jakieś materiały i śledzono następnie ich drogę, co pozwoliło na ujawnienie siatki szpiegowskiej. Ale nie można wykluczyć, że FBI było w błędzie. Sprawy mogłyby się zakończyć wręcz katastrofą, gdyby się okazało, że Berlin ma informacje o ośrodku powrotnym.

W hali montażowej wrzało jak w ulu: pobłyskiwały światła, rozlegał się szum uruchamianych maszyn, na stanowiskach kontrolnych i przy panelach sterujących dyżurowali technicy. Kurt Scholder stał z Szilardem i jednym z inżynierów przy wielkim stole, na którym piętrzyła się sterta planów i rysunków technicznych. Z innej części hali dobiegał głos Fermiego, a pułkownik Adamson, ten sam, który był obecny na pierwszym spotkaniu u Roosevelta, przyglądał się pracom w towarzystwie jakiegoś wysokiego, szczupłego mężczyzny, którego jeszcze nie znali. Teller rozmawiał z kimś na rusztowaniu.

Winslade'a i Annę witano dziesiątkami uścisków dłoni. Greene przedstawił nieznanego mówiąc, że to Harry Hopkins, doradca i wysłannik prezydenta do specjalnych pouczeń i że właśnie przyjechał z Waszyngtonu, żeby zorientować się w postępie prac. W całym ośrodku wyczuwało się atmosferę niecierpliwego oczekiwania na coś niezwykle doniosłego.

— Jak podróż? — spytał Scholder.

— Nic szczególnego, w normie — odparł Winslade.

— Co z „Łącznikiem”?

— Chłopcy wyjechali z Anglii zgodnie z planem.

— Nie ma żadnych ruchów na froncie zachodnim?

— Cisza i spokój.

Scholder potrząsnął głową i zmienił temat. Cofnął się krok, uniósł rękę i wskazał na jeden z pulpitów sterowniczych za plecami.

— No więc, sytuacja jest wyjątkowa, a zaczęło się to przed paru ledwie godzinami. Udało nam się ustabilizować odbiór sygnali wywoławczego i rejestrujemy teraz inicjującą wiązkę fal w paśmie

sigma-tau. Co ważniejsze, odbieramy bardzo mocny sygnał.

Winslade zmarszczył brwi.

— Nie chodzi o zakres rhosigma

— Nie i na tym polega problem, ale sygnał wkluczający jest wyraźny i bez zakłóceń.

Na obliczu Winslade'a pojawił się jeszcze głębszy wyraz zastanowienia. Anna spojrzała pytająco.

— Oznacza to, że odbieramy od nadawcy pełną wiązkę inicjującą, i w każdej chwili można zaktywizować projektor powrotny. Otwiera się kanał translukacji, a nie kanał łączności — wyjaśnił

Winslade, a zwracając się do Scholdera zapytał: — A czy próbowaliście nawiązać łączność?

— Owszem, ale bez powodzenia. Pasma łączności nie funkcjonuje.

— A co z próbną wiązką — próbowaliście wykluczyć, żeby się przekonać, czy system się skonfiguruje?

— Jeszcze nie. Postanowiliśmy poczekać na ciebie, skoro już byłeś w drodze — rzekł Greene.

Spojrzał następnie na Scholdera i zapytał: Czy sygnał inicjujący nie zmienia charakterystyki?

Scholder zaprzeczył ruchem głowy.

— Raczej nie. Oscyluje w pobliżu wartości granicznych. Godzinę temu straciliśmy go nawet na jakieś piętnaście minut, ale wrócił.

— Nie można jednak wykluczyć, że lada moment zaniknie — rzekł Greene.

Wskazania instrumentów kontrolnych świadczyły, że pojawia się oto realna możliwość połączenia projektora z rokiem 1975. Być może już za kilka chwil będą mogli zająć miejsce we wnętrzu maszyny i przenieść się w ich własną epokę.

Winslade założył ręce na plecach i nerwowo przeszedł kilka kroków. Właściwie nie było już nad czym się zastanawiać, ale Winslade miał zwyczaj ponownego analizowania wszystkiego przed podjęciem ostatecznej decyzji.

— Oscylacja wiązki fal trochę mnie niepokoi, Claud — rzekł Scholder, dostrzegając wahanie

Winslade'a. — Gdybym tylko mógł przekazać technikom po drugiej stronie dane modyfikacyjne, mogliby dostroić projektor. Mielibyśmy bardziej stabilne połączenie.

— Musimy zaryzykować, Claud — nalegała Anna. — Jeśli miałyby się okazać, że Niemcy rzeczywiście wpadli na nasz trop, to nie wolno nam tracić ani dnia.

Winslade się odwrócił i z uśmiechem podszedł do towarzystwa.

— No to próbujmy — powiedział zrazu cicho i łagodnie, a po chwili dodał znacznie energiczniejszym tonem: — Okay, Kurt, zaczynaj dostrajać systemy włączające.

— Ja to zrobię — zaofiarował się Szilard. Winslade uniósł brwi. Scholder skinął głową na znak aprobaty.

— W porządku — rzekł Winslade. Szilard odszedł, żeby zwołać ludzi niezbędnych do rozpoczęcia procedury. — Kurt, zbierz papiery — rzekł Winslade. Spojrzał na Greene'a i dodał: — Kurt jedź ze mną, jeśli się uda. Ty, Mortimer, przejmiesz tu dowodzenie. Anno, ty też jedziesz z nami. Będziesz potrzebna, żeby poinformować kierownictwo polityczne o wydarzeniach ostatniego roku. — Winslade spojrzał z kolei na Harry'ego Hopkinsa i na pułkownika Adamsona. — A może reprezentanci tych czasów też się z nami zabiorą. To nie byłoby takie złe.

Hopkins uniósł rękę, jakby się zasłaniał.

— Chwileczkę, co do mnie, to jestem tu tylko obserwatorem na polecenie prezydenta. Nie zamierzam wsiadać do tej maszyny. Winslade spojrzał na Adamsona.

— Keith, to może ty chcesz zostać pierwszym ambasadorem Stanów Zjednoczonych w innej epoce?

— Nie pierwszym, lecz trzynastym. Pamiętaj o naszej dwunastce — wtrąciła Anna.

— To zależy jak liczyć. My przybyliśmy z 1975 roku, a teraz jest 1940. Dziewięćset czterdziesty jest wcześniejszy niż siedemdziesiąty piąty, więc Adamson będzie rzeczywiście pierwszym wysłannikiem Stanów do innej epoki.

Adamson był kompletnie zaskoczony.

— Nie wiem, to znaczy... nie mam żadnych instrukcji w tej sprawie...

— Bzdura — rzekł Winslade — twoje zadanie polega na tym, żeby ułatwiać naszą misję wszelkimi środkami, jakie masz do dyspozycji. A to obejmuje również twoją obecność w wyprawie. Zabieraj więc... — Winslade podał mu teczkę, do której Scholder wpakował właśnie niezbędne papiery, a następnie odwrócił się i zaczął iść w kierunku trapu wiodącego do projektora. Adamson westchnął, potrząsnął bezradnie głową i ruszył śladem Winslade'a.

Wspięli się na schodki, przeszli pomostem otaczającym projektor aż do przedsionka kabiny

usytuowanej na końcu. Było to spore pomieszczenie. Z sufitu zwisały jakieś liny i wielokrążki, z których można było korzystać, gdyby trzeba było załadować do projektora cięższe ładunki. Nie wykluczano przecież, że może zajść potrzeba translokowania, a więc przesłania z jednej epoki do

drugiej takich ładunków, jak na przykład bomby jądowe. Winslade zajął miejsce pośrodku kabiny.

Adamson, ciągle niepewny, trzymał się parę kroków z tyłu.

W chwilę później zjawili się także Anna z Scholderem. Kurt dźwigał jeszcze jedną teczkę z dokumentami. Nadszedł Fermi z jakimś technikiem i zajęli miejsce przy pomocniczym pulpicie kontrolnym. Greene i Szilard pozostali na dole, przy głównej konsoli sterowniczej. Z tyłu — na pomoście — stanęło kilka osób, które chciały być świadkami wydarzenia, między innymi Teller, Harry Hopkins, Einstein i George Pegram z Columbi.

Zapadło milczenie, gdy Fermi z asystentem zakładali słuchawki i zaczęli dostrajać urządzenie zgodnie z instrukcjami przekazywanymi przez Greene'a i Szilarda z głównej sterowni.

— Nastąpiło połączenie pól — oznajmił Fermi. — Na konsoli mają już pełny odczyt.

— Jest połączenie — szepnął Scholder, przysuwając się do Winslade. — Następuje wykluczenie wiązki inicjującej. — Winslade skinął głową. Adamson, który stał obok Scholdera, wpatrywał się w mrok kabiny i oblizywał nerwowo wargi.

— Wprowadzenie — rzekł Fermi. Jednocześnie świetlne wskaźniki na pulpicie kontrolnym zaczęły zmieniać barwę, a na ekranie monitora ukazał się rząd nowych cyfr. — Tak jest... włączenie obu systemów... odczyt dodatni — oznajmił Fermi, a następnie zaczął podawać do interkomu wartości odczytu: — dziewięć osiem... osiem osiem... tak jest. Bardzo dobrze. Szilard coś jeszcze sprawdza

poinformował grupę widzów zgromadzoną na pomoście. — Za minutę lub dwie będziemy mieli pełną moc.

— To typowe dla Szilarda — mruknął ktoś.

— Ale ma rację — rzekł Scholder.

I znów zapadła cisza, którą przerywały tylko głosy dobiegające od głównej konsoli sterowniczej i mruczando Winslade'a, który z cicha nucił jakąś melodię. Anna stała bez ruchu, wpatrując się w mrok kabiny. Adamson zaczął nerwowo obracać guzik na kurtce mundurowej.

Minuty oczekiwania zdawały się całą wiecznością. Nagle Fermi obrócił się w stronę pulpitu sterowniczego, potrząsnął głową, najwidoczniej usłyszał jakieś dźwięki w słuchawkach interkomu, powiedział coś do mikrofonu i oznajmił:

— Mamy połączenie. Obwód zamknięty. Zaczynamy odbierać pełną moc.

Podczas gdy Fermi to mówił, zebrani na pomoście zaczęli odczuwać wyraźną wibrację całej

konstrukcji. We wnętrzu kabiny zapaliło się ciemnoczerwone światło, takie jakie stosuje się w ciemniach fotograficznych. Kabina miała kształt wydłużonego prostokąta i nie było w niej żadnych sprzętów.

— Wszystko gotowe — rzekł Scholder.

Winslade zacisnął szczęki i ruszył do środka, a za nim pozostała trójka.

— Powodzenia! — zawołał Teller, a po nim inni.

Czwórka podróżników w czasie weszła do wnętrza kabiny. Świadkowie na pomoście przysunęli się bliżej wejścia, żeby nie uronić nic z tego, co za chwilę ma nastąpić. Światło w kabinie zmieniło barwę, było teraz pomarańczowe i intensywne. Wypełniało poświatą całe wnętrze i zdawało się, że nawet powietrze zaczyna błyszczeć własnym światłem. Sylwetki osób we wnętrzu wydawały się

niknąć, stawały się jakby przezroczyste, niematerialne. Pomarańczowa barwa przeszła teraz w żółć, a następnie w jasny błękit. Kontury postaci w środku kabiny jęły tracić ostrość. Światło zmieniło barwę na fioletową, wreszcie zapadła ciemność, a po chwili znów pojawiła się czerwień, jak na początku... ale wnętrze kabiny było już puste.

Tymczasem pięć tysięcy kilometrów od Nowego Jorku, we Włoszech, pociąg zdążający do Niemiec w kierunku na Brenner znajdował się już o pół godziny jazdy od Rzymu.

— Bilety i dokumenty do kontroli, proszę — rozległ się głos konduktora na korytarzu. — Proszę przygotować dokumenty i bilety.

— Dokumenty, ciągle jakieś dokumenty — mruknął siwobrody mężczyzna podróżujący w towarzystwie kobiety w zielonym płaszczu i sięgnął do torby, aby wyjąć niezbędne papiery. —

Jeszcze dziesięć lat władzy faszystów i będziemy żyć na pustyni. Wszystkie lasy przerobią na papier.

Kobieta uśmiechnęła się nerwowo.

— Proszę wybaczyć mężowi — powiedziała, zwracając się do współpasażerów — mieliśmy meczącą

podróż i jest zirytowany. Proszę nie traktować poważnie tego, co mówi.

— Lepiej niech nic nie mówi — skomentował mężczyzna w garniturze, siedzący pośrodku, a kobieta naprzeciwno mruknęła z przynaganą i odwróciła wzrok udając, że niczego nie słyszy. Ferracini spojrzał porozumiewawczo na kobietę w zielonym płaszczu i sięgnął do kieszeni po dokumenty i bilety, swoje oraz Cassidy'ego. Cassidy bez słowa patrzył przez okno.

Drzwi się otworzyły i do przedziału wszedł kontroler — potężny mężczyzna z czarnym wąsem. Dwaj młodzi policjanci w czarnych mundurach czekali na korytarzu. Kontroler sprawdził najpierw

dokumenty pary małżeńskiej i pasażera siedzącego pośrodku, a następnie zwrócił się do

Ferraciniego i Cassidy'ego.

— Signore Jorgensen z Danii i signore Cassalla — odczytał głośno, gdy Ferracini wręczył mu papiery. — Pański przyjaciel uznał, że na północy jest zbyt mroźno? — skierował pytanie do Ferraciniego.

Harry uśmiechnął się.

— Jeśli to wyjaśnia dlaczego znalazł się on we Włoszech, to niech tak będzie — odpowiedział po włosku. Znał język, mówił nim od dziecka.

— A jak inaczej wyjaśnić jego obecność we Włoszech?

— Jesteśmy archeologami. Spędziliśmy zimę we Włoszech i teraz jedziemy do niego, do Danii, gdzie będziemy opracowywać znaleziska. Wie pan, cesarów już nie ma, potężne imperia zmiata historia, a my, archeologowie, zawsze mamy robotę. — Ferracini celowo pozwolił sobie na delikatną złośliwość wobec przedstawiciela reżimu Mussoliniego. Doświadczenie nauczyło go, że odrobina bezczelności przydaje się w takich sytuacjach. Nieśmiałość nie popłaca, sprawia wrażenie, że ma się coś do ukrycia.

— Czy mówi pan po włosku — kontroler zwrócił się do Cassidy'ego.

— Trochę.

— W porządku — rzekł kontroler, zwracając im dokumenty. — Jak Hitler przejdzie Linie Maginota, będziecie mieli nowe wykopaliska.

— Kto wie — odparł obojętnie Ferracini.

Sprawdzanie dokumentów pozostałych pasażerów przebiegło już bez żadnych wydarzeń i kontroler opuścił przedział, zamykając za sobą drzwi.

— Proszę dokumenty i bilety do kontroli — znów zabrzmiało na korytarzu.

Brodacz wyjął papierosa, a pasażerka siedząca naprzeciwko zaczęła czytać gazetę. Mężczyzna w garniturze odwrócił się w stronę Ferraciniego i Cassidy'ego.

— Ja też jestem archeologiem — oznajmił z dumą. — A w jakim okresie panowie się specjalizują? Ja zajmuję się mezolitem w Europie Zachodniej, zwłaszcza w Irlandii i Bretanii. Rozwój obróbki krzemienia w tym regionie jest szczególnie interesujący, a co panowie o tym sądzą?

Ferracini zaklął w duchu. Tego właśnie obawiał się najbardziej.

Nim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, Cassidy energicznie odwrócił się od okna i obrzucił wzrokiem cały przedział. Niebieskie oczy iskrzyły złowrogo.

— Nie będziemy marnować czasu na badanie kultur barbarzyńców i dzikusów, których nawet trudno nazwać ludźmi — powiedział ostro po niemiecku. — Jedynym źródłem cywilizacji ludzkiej i postępu są czyste rasowo plemiona starożytnych wojowników germańskich, wolne od domieszek niearyjskiej krwi, jak dowodzi tego nauka Rzeszy. Wszystko inne to kłamstwa fabrykowane przez Żydów i zdegenerowanych akademików ukrywających swoje rzeczywiste pochodzenie. Wszyscy oni zresztą znikną wkrótce z powierzchni ziemi. Heil Hitler

Oszołomiony pasażer-archeolog aż skurczył się w sobie i wcisnął się głęboko w oparcie siedzenia. Na jego obliczu malował się wyraz przerażenia. — Ach, to tacy uczeni — można było wyczytać w jego wzroku.

— Proszę mi wybaczyć — powiedział cicho. Wyjął książkę z kieszeni i zagłębił się w lekturze.

Cassidy skwitował przeprosiny skinieniem głowy i znów zaczął wyglądać przez okno. Ferracini odetchnął z ulgą i opuścił czapkę na oczy, próbując zasnąć.

Biała błyszcząca poświata, która wypełniła całe pomieszczenie, z wolna ustępowała i znów widać było zarysy kabiny. Było to jednak całkiem inne pomieszczenie.

Nie znajdowali się już w prostokątnym przedziale pasażerskim projektora powrotnego. Stali na wypolerowanej błyszczącej podłodze w znacznie obszerniejszym wnętrzu, o owalnych ścianach i półokrągłym sklepieniu, w jakby wysokim tunelu. Osłonięte białą jak mleko wykładziną, ściany połyskiwały ukrytym światłem. Promienie układały się w regularny wzór podzielony, w jednakowych odstępach, metalowymi wspornikami.

Ściany nie łączyły się z podłogą. W wycięciach, które biegły wzdłuż całej długości pomieszczenia, widać było, że również poniżej poziomu podłogi ściany tworzyły łuk. Tunel miał najwidoczniej kształt koła, wewnątrz którego — na wspornikach — wbudowano podłogę. Przed sobą mieli solidne podwójne drzwi. Nad nimi widać było szczelinę obserwacyjną, a w niej kilka twarzy, które bacznie im się przyglądały.

Pułkownik Adamson stał w milczeniu kompletnie oszołomiony. Winslade rozglądał się po otoczeniu — zdziwiony i zaintrygowany. Anna Kharkiovitch wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową, niczego nie rozumiejąc.

— Claud, co to jest? Nic nie pojmuję. To nie jest to miejsce w Nowym Meksyku, skąd ruszaliśmy. To nie jest maszyna z Tularosy. Niczego podobnego nigdy nie widziałam.

— Ale ja widziałem — rzekł Kurt Scholder ponurym głosem. — Nie jesteśmy nawet w Stanach Zjednoczonych. To są „Organy”, tajne laboratorium „Suzerena” w Brazylii. Przybyliśmy do roku 2025.

W tej chwili uchyliły się drzwi do pomieszczenia.

ROZDZIAŁ 35

Drzwi rozsunęły się, ukazując jasno oświetlony przedpokój z małymi drzwiami na obu bocznych ścianach i wierzajami naprzeciwko. Wyżej, pod sufitem, w rogu pomieszczenia, widać było przeszkloną galerię, od której wiodły schody w dół. Schodził po nich — dość pośpiesznie — wysoki mężczyzna z krótką brodą i wysokim czołem, a za nim jeszcze jeden mężczyzna i kobieta.

Otwierający orszak człowiek miał na sobie biały fartuch ochronny, a pod nim jasnoniebieską koszulę. Sprawiał wrażenie ogromnie podekscytowanego. Gdy cała trójka zeszła już na dół, otworzyły się także boczne drzwi i do przedpokoju weszło jeszcze kilka osób; mówili coś, żywo gestykulując.

Kurt Scholder starał się ocenić sytuację. Znajdowali się przecież w projektorze, który stanowił końcowe ogniwo kanału łączności i translukacji wiodącego do hitlerowskich Niemiec. Znaleźli się w świetle, z którego manipulowano totalitarnym państwem nazistowskim. Stąd właśnie odprawiono agentów „Suzerena” z zadaniem ustanowienia kontaktów z przywódcami skompromitowanej partii nazistowskiej, istniejącej w roku 1925.

Z czasów pracy w tej placówce, co działo się trzydzieści cztery lata temu, jeśli liczyć latami, które składały się na niezwykłą chronologię osobistych dziejów Scholdera, Kurt pamiętał, że precyzyjne określenie momentu translukacji osób za pomocą „Organów” zawsze stanowiło ogromną trudność.

Nawet parusekundowa różnica w stosunku do planowego czasu translukacji wywoływała histeryczną reakcję kierownictwa. I to właśnie mogło tłumaczyć zamieszanie i rozgardiasz, jakiego obecnie byli świadkami. Dlaczego kwestia czasu była tak ważna? — tego Scholder do końca nie potrafił wytłumaczyć. Niemniej jednak sprawa ta otwierała przed nimi pewną możliwość na wybrnięcie z sytuacji, w jakiej się znaleźli, a przynajmniej mogła odwlec ostateczną katastrofę.

— Proponuję rozdzielić się, przynajmniej na jakiś czas — szepnął do pozostałych przybyszów z roku 1940. — Jeśli aresztują nas wszystkich, nigdy już się nie wydostaniemy. Spróbujmy ich zmylić. Do tej pory mieli do czynienia tylko z nazistami, może uda się wprowadzić ich w błąd.

Wysoki, brodaty mężczyzna stanął w przejściu i nerwowo gestykulując, wołał:

— Wychodzić! Opuścić służbę. Kim właściwie jesteście? Skąd...

— My? — przerwał mu Scholder podniesionym głosem, ruszając z Winslade'em do przodu.

Pułkownik Adamson wahał się przez chwilę, ale gdy Anna Kharkiovitch wymierzyła mu mocnego kuksańca w bok, też poderwał się naprzód. — My? Kim my jesteśmy? To raczej wy powinniście się przedstawić, jeśli nas nie znacie? A w ogóle co to za zamieszanie?

Wysoki był kompletnie zaskoczony.

— Nic nie rozumiem... to jakaś pomył...

— Gdzie jest Herr Oberkeltner? — zapytał Winslade po niemiecku. — Powiedziano nam, że będzie tu oczekiwał. Gdzie on jest? Nie widzę też Freidergaussa. To niedopuszczalne. Ktoś za to odpowie!

Czwórka przybyszów przeszła teraz do przedpokoju. Zamieszanie rosło, na schodach i w przejściu pojawiała się coraz to więcej osób. Mężczyzna z brodą zwrócił się do kogoś, kto stał obok, równie zaskoczony jak on, trzymając w ręce całą stertę papierów.

— Co to ma znaczyć? Co się stało? — zapytał. — O kogo oni właściwie pytają? Gdzie są ci ludzie?

— Przykro mi, panie dyrektorze Kahleb... Nie ma ich tutaj — odpowiadał niepewnie zapytany. — To w ogóle jakieś...

— Usunąć ich! — krzyknął ktoś. — TG297 ma już dziewięć sekund spóźnienia. Mathers, proszę porozumieć się z centralą. Proszę wyłączyć wiązkę inicjującą.

— Próbuję, ale kanał jest zajęty.

W pomieszczeniu wciąż było gwarно. Przekrzykiwano się wzajemnie.

— Do diabła, niech pan zastosuje kod bezpieczeństwa.

— Ale kim właściwie są ci ludzie?

— O Boże, wszystkim nam się dostanie.

— Ci ludzie? Wystąpił zapewne błąd w obliczeniach czasu.

— To niemożliwie, mówię ci, że to niemożliwe.

— Co się tu dzieje?! — krzyknął Winslade pełnym głosem. — Co za gamoń za to odpowiada?!

Otworzyły się jeszcze jedne z bocznych drzwi i do przedpokoju weszło kilka osób. Nowo przybyli sprawiali wrażenie opanowanych, nie zwracali uwagi na rozpanikowanych ludzi. Dwóch spośród

nich — uzbrojonych, w białych czapkach i ciemnoszarych połyskujących mundurach — torowało

drogę pozostałym. Kierowali się do śluzy, z której przed paroma minutami wyszedł Winslade ze swoimi towarzyszami. Prowadzili grupkę mężczyzn odzianych według mody z lat trzydziestych.

Jednocześnie mężczyzna nazwany dyrektorem Kahlebem zdołał opanować zamieszanie i wyprowadził rozpanikowane osoby z przedpokoju.

Znaleźli się teraz w białej sali, która przypominała pomieszczenie recepcyjne, z miękką wykładziną na podłodze, fotelami, niskimi stolikami i rodzajem kredensu przy jednej ze ścian. Natomiast po drugiej stronie stało kilka biur z monitorami przypominającymi terminale sieci komputerowej.

Dalej zaś, za przepierzeniem z regałów, widać było coś, co przypominało pomieszczenie kontrolne z licznymi wskaźnikami i panelami... Jeszcze dalej, gdzie podłoga obniżała się, tworząc oddzielną część pomieszczenia, znajdowało się ogromne okno, z którego roztaczał się widok na potężną halę z jakąś ogromną maszyną.

Manifestując niezadowolenie i wyrażając głośny protest, Winslade ruszył do przodu, a za nim Anna i Adamson. Tego ostatniego jednak Scholder przytrzymał delikatnie za rękę. Podczas gdy uwaga skupiła się na Annie i Winsladzie, Scholder pociągnął Adamsona w stronę drzwi.

— Proszę się wreszcie uspokoić i powiedzieć, kim właściwie jesteście! — krzyknął Kahleb zniecierpliwiony do ostateczności nie kończącą się tyradą Winslade'a. — Wrzaskiem nic pan nie wskóra.

— A kim pan właściwie jest, że pozwala pan sobie przemawiać takim tonem?! — krzyknął Winslade, nie dając się zbić z tropu.

— Nazywam się Kahleb i kieruję Sekcją F-1 w Centrali Kontroli Translokacji. Jestem...

— Wkrótce przestanie pan kierować czymkolwiek. Żądam obecności dyrektora generalnego!

— Co za bezczelność. Ja...

— Nalegam. Proszę wykonać. — Winslade podszedł do jednego z terminali komputerowych i nacisnął kilka przycisków na klawiaturze. Ekran zaiskrzył i wszyscy obecni bezwiednie skierowali wzrok na monitor, żeby zobaczyć, co się na nim pojawi.

— Teraz — szepnął Scholder i ruszył do drzwi, popychając przed sobą Adamsona.

Znaleźli się w niewielkim pokoju, którego umeblowanie stanowiła lodówka, szafki kuchenne, ekspres do kawy, zlewozmywak i jakieś pudła. Na przeciwległej ścianie znajdowały się kolejne

drzwi i w ich stronę Scholder pociągnął Adamsona. Wyszli i stanęli w miejscu, gdzie zbiegały się ze sobą trzy krótkie korytarze o nagich betonowych ścianach. Zobaczyli metalowe schody prowadzące w górę i w dół, jeszcze jakieś drzwi i windę. Pogoń mogła rozpocząć się w każdej chwili, zdecydowali więc, że nie będą czekać na windę. Scholder ruszył schodami w dół i tam, na niższej kondygnacji, nacisnął

przycisk przywołujący windę.

Kabina dźwigu miała drzwi po obu przeciwnych ścianach. Adamson zaczął zdawać sobie sprawę, że Scholder zna to miejsce i wie, gdzie należy się udać. Wsiedli. Scholder nie nacisnął

żadnego przycisku kierującego windę w górę lub w dół. Otworzył natomiast przeciwną drzwi i gdy wychodzili z windy na drugą stronę, sięgnął jeszcze ręką do przycisków programując ruch windy do góry. W tej samej chwili usłyszeli, jak otwierają się drzwi na górze i dobiegły ich podniecone głosy ścigających. Pobiegli do przodu korytarzem, kilkakrotnie skręcali, aż dotarli do jeszcze jednej windy.

Wsiedli i zjechali w dół.

— Z nas dwóch to raczej ja powinienem się niepokoić — uspokajał Scholder Adamsona. — Wróciłem przecież na miejsce, z którego kiedyś wyjechałem.

Adamson próbował się opanować.

— Po powrocie złożę zażalenie — powiedział.

— Wszystko będzie zależeć od tego, dokąd wrócimy.

— Jeśli w ogóle wrócimy — rzekł Adamson, a po chwili milczenia dodał: — Zadziałałeś

błyskawicznie, Kurt. Zaimponowałeś mi, ale... powiedz, co teraz?

Winda zastopowała i otworzyły się drzwi. Scholder gestem ręki zatrzymał Adamsona, a sam

ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Następnie zaś dał znak pułkownikowi i ruszył szybko korytarzem w stronę kolejnych drzwi. Otworzył je i znaleźli się w mrocznym pomieszczeniu. Poczuli napływ gorącego powietrza, a wokół rozlegały się jakieś szумы i trzaski. Scholder zapalił światło i ich oczom ukazała się sala wypełniona maszyną: kompresorami, klimatyzatorami i tunelami

wentylacyjnymi. Tuż przy drzwiach stały jakieś półki z kubłami, środkami czystości i miotłami, obok zaś wózek, taki z jakiego korzystają sprzątacze, i schowek, z którego Scholder wyjął dwa szare fartuchy ochronne.

— Przyda nam się takie przebranie — powiedział, nakładając fartuch. — Później postaram się o lepsze ubrania. Nasze są zbyt charakterystyczne.

— A co dalej?

— Złożymy wizytę komuś, kto może zechce nam pomóc.

— Któż to taki?

— W pewnym sensie znasz go — odparł Scholder. Położył na wózku kilka butelek z płynem do czyszczenia, jakieś szmaty i uśmiechając się tajemniczo, wyszedł na zewnątrz. Zamknął za sobą drzwi, tuż przed nosem nic nie rozumiejącego Adamsona.

W kilka minut później dotarł do pomieszczeń warsztatowych na niższej kondygnacji i wszedł do podręcznej szatni. Dwóch mężczyzn rozmawiało, stojąc przy otwartych szafkach na ubrania.

Scholder udawał, że coś sprząta w kącie, czekając, aż obcy wejdą pod prysznic. Gdy tak się stało, błyskawicznie przejrzał zawartość kilku szafek, dobierając ubranie dla siebie i Adamsona. Na wszelki wypadek wybierał raczej luźne rzeczy. Załadował wszystko na wózek, przykrywając stos paroma białymi fartuchami laboratoryjnymi i w chwilę później wrócił do pomieszczenia, gdzie czekał

Adamson.

Przebrali się w milczeniu i po paru minutach wyszli z klimatyzatorni. Wyglądali jak większość pracowników zatrudnionych w placówce. Nie budzili większych podejrzeń, pod warunkiem wszakże, że nikt nie zwróci uwagi na zdjęcia na plakietkach identyfikacyjnych, które — jak wszyscy — mieli wpięte do fartuchów. Przywołali windę i Scholder nacisnął przycisk jednego z górnych pięter. Gdy winda ruszała, z głośnika umieszczonego w suficie rozległ się komunikat: „Uwaga, uwaga. Nie upoważnieni osobnicy wdarli się na teren placówki. Wszyscy pracownicy proszeni są o powrót na swoje stanowiska. Powtarzam. Nie upoważnieni osobnicy przebywają...

— Zdążyliśmy w ostatniej chwili — mruknął Scholder. — Za chwilę zamkną wszystkie przejścia między piętrami.

Winda zatrzymała się i znaleźli się teraz w obszernym hallu o pastelowych ścianach z mnóstwem roślin w donicach. Mijali ich, śpiesząc na swoje miejsca pracy, zatrudnieni w „Organach” technicy i naukowcy. Z windy obok wysypała się cała gromadka osób.

— O co właściwie chodzi? — ktoś zapytał.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparł Scholder z udaną irytacją. — Jak zawsze, jakieś idiotyczne ćwiczenia bezpieczeństwa.

— No właśnie, to typowe dla tych facetów z ochrony, którzy nie mają nic do roboty i z nudów urządzają sobie manewry.

Pojawili się strażnicy w szarych mundurach. Kilku z nich zajęło miejsca przy drzwiach do windy.

— Pośpieszcie się — rzekł jeden z nich do Scholdera i Adamsona — słyszeliście komunikat.

Scholder skinął głową i ruszył różnym krokiem w znanym sobie kierunku, pociągając Adamsona.

Minęli kilka obitych wyciszającą tkaniną drzwi i znaleźli się w obszernej sali — zapewne

laboratorium — pełnej instrumentów do analiz chemicznych i doświadczeń. Wokół połyskiwało szkło i nikiel, stały terminale komputerów, a za przepierzeniami znajdowały się biurka pracowników.

Scholder bez namysłu skierował się do gabinetu w rogu sali. Popchnął drzwi, wszedł do środka i dał znak Adamsonowi, żeby zamknął.

W gabinecie stały dwa biurka, vis-d-vis siebie. Siedzący przy jednym z nich mężczyzna podniósł wzrok i rzekł:

— Co, u diabła...

Drugi, który właśnie wkładał coś do szuflady swojego biurka, obrócił się w ich kierunku.

— Kim jesteście? — zapytał ostrym tonem. — Słyszeliście komunikat? Nie macie prawa tu przebywać. Z jakiej jesteście sekcji? Scholder uśmiechnął się przepaszająco.

— Szkoda nerwów, przyjacielu — rzekł — spójrz na Eddiego. On się nie denerwuje.

Mężczyzna siedzący przy biurku — Eddie — zmarszczył brwi. Wyglądał na czterdzieści lat. Miał okrągłą szczerą twarz, duże jasne oczy i blond włosy. Na ekranie stojącego obok monitora widać było cały rząd wzorów matematycznych.

— Skąd pan zna moje imię? — zapytał zaintrygowany. — Ja pana nie znam.

— Czyżby? — rzekł Scholder z widocznym rozbawieniem. Eddie przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym potrząsnął głową i rzekł:

— Nie, jednak nie.

Scholder zwrócił się teraz do młodszego, który wciąż jeszcze stał przy otwartej szufladzie. Ubrany był w biały sweter i ciemne spodnie. Rysy miał wyraziste, włosy proste, czarne, usta wąskie, uparte.

Wygląd wskazywał na niemieckie pochodzenie.

— Gdy miałeś siedemnaście lat, zdarzył ci się wypadek na nartach na Dente Blanche i od tego czasu masz bliznę na lewym łokciu i przedramieniu — rzekł Scholder, a następnie zwrócił się do Eddiego i zapytał: — Wiedziałeś o tym?

— Nie — odparł Eddie jeszcze bardziej zdziwiony. — Ale o co właściwie chodzi, co to ma znaczyć i co z tym wszystkim ma wspólnego blizna?

Scholder spojrział teraz na młodszego.

— Podciągnij rękaw, pokaż bliznę.

— Dlaczego? Najpierw chciałbym wiedzieć, co, u diabła, się tu dzieje...

— Proszę.

Zabrzmiało to jak rozkaz, a nie prośba. Młody człowiek wahał się jeszcze chwilę, a następnie podciągnął rękaw swetra, ukazując sporą bliznę w kształcie litery „L” na ramieniu.

— Jest pan zadowolony? To może zechce pan wreszcie wyjaśnić...

Scholder podciągnął rękaw marynarki, odpiął mankiet u koszuli i obrócił się w stronę młodzieńca.

Na jego ręku widniała dokładnie taka sama szrama, trochę może niewyraźna, bo starsza o trzydzieści cztery lata, ale bez wątplenia była to ta sama blizna.

— Rozumiesz? Ja też jestem Kurtem Scholderem — powiedział. — To zaś było kiedyś moje biuro, gdy tu pracowałem razem z tobą, Eddie, a przynajmniej z innym wcieleniem twojej osoby. I, oczywiście, muszę przyznać, że to my jesteśmy przyczyną całego tego zamieszania i alarmu.

Potrzebna nam wasza pomoc. Najpierw musicie nas schować, a jak skończy się alarm, to

porozmawiamy. — Patrzył teraz na młodzieńca, na kopię swojej osoby. — Wierzę, że nam pomożesz, Kurt. Jesteś mną, a ja tobą. I nie będziesz przecież siebie samego pakował w kłopoty, prawda?

ROZDZIAŁ 36

Lipsk nie był tym miastem, które Ferracini zapamiętał z początków lat siedemdziesiątych, z innych zgoła czasów i innego świata. W owym świecie nikt już nie rzucał buńczucznych haseł o wiecznej sławie i chwale, dobrobycie i potędze, które tak omamiły społeczność niemiecką, gdy naziści sięgali po władzę. Haseł tych nigdy nie urzeczywistniono i nie spełniła się wizja wielkiego, dumnego Narodu Panów. Miast tego społeczeństwo ujrzało siebie w roli niewolników służących bezlitosnej, pozbawionej wszelkich skrupułów elicie, która sama sobie przyznała monopol na władzę. Wyzuci z czci i wiary członkowie tej elity nie uznawali żadnych praw — obowiązywała ich tylko lojalność wobec samych siebie. Moźni i ich poplecznicy pławili się w bogactwie i luksusach, o jakich rzymscy imperatorzy nawet nie marzyli. Wyzyskiwali bezbroną ludność, łupili podbite kraje i

podporządkowywali sobie wszystko przemocą i bezwzględny terror, podczas gdy dzieci tych, co wznosili ich pałace, cierpiały głód i nędzę. Tak właśnie przywódcy nazistowscy stali się panami Utopii, jaką „Suzeren” chciał stworzyć.

Ale zaczątki tego świata już rozaczały się przed oczami Ferraciniego i Cassidy'ego, gdy wolnym krokiem, w świetle poranka, szli przez miasto. Z okien zwisały hitlerowskie flagi, młodzi ludzie w brunatnych koszulach, z opaskami ze swastykami na ramionach, maszerowali buńczucznie wśród tłumu przechodniów — obcasy wysokich butów mocno wbijali w bruk, dłonie zatykali wyzywająco za pasy z błyszczącymi klamrami. Sklepy, nad którymi widniały szyldy z żydowskimi nazwiskami, zabite były deskami. I wszędzie — dosłownie wszędzie — dał się wyczuwać strach, wszechogarniająca obawa, że ktoś — kuzyn albo kolega z pracy — może złożyć doniesienie. Strach przed policją, lęk przed aresztowaniem, przed przesłuchaniem i wyrokiem bez sądu. Wszystko to można było wyczytać z oczu przechodniów, z twarzy zmęczonych ludzi.

— Wiesz, Benito, nigdy już nie będę narzekał na podróż samolotem — rzekł Cassidy, prostując członki zmęczone jazdą pociągiem. — Półtora dnia w cholernym przedziale kolejowym! Pociąg bez przerwy przystawał. Co oni właściwie robili, zmieniali lokomotywę, czy co? Można by pomyśleć, że zaczęła się jakaś wojna — mruczał, gdy z Ferracinim kroczyli ulicami Lipska.

— Problem nie polega na tym, że miejsca były niewygodne. Ty po prostu jesteś za duży. Zawsze mówiłem, że dwa razy krzyczałeś, gdy Pan Bóg dodawał wzrostu.

— Nie. To te cholerne siedzenia. Projektują je tak, jakby wszyscy byli karłami albo nie mieli nóg... A zresztą, jeśli uważasz, że nie mam racji, to poradź, co powinienem zrobić?

— Teraz już za późno, Niels. Wybrałeś nie ten zawód, co trzeba. Powinieneś zostać koszykarzem albo kimś takim.

— Co ty powiesz? A kto wyciągał cię z opresji, gdy byliśmy w tym mieście ostatnim razem?

Rozdzielili się, dochodząc do Rathausplatz. Dzień był targowy i plac wypełniały dziesiątki

straganów, między którymi krążył tłum kupujących. Ferracini zatrzymał się przy kiosku z gazetami, Cassidy przeszedł na drugą stronę ulicy i kręcił się po bazarze. Po chwili zatrzymał się na rogu, przy piwiarni z dużym zegarem nad wejściem. Wyglądała dokładnie tak, jak opisał ją Lindemann.

Spoglądając stamtąd w jedną stronę, widział cały plac. Po drugiej stronie natomiast miał przed sobą brukowaną jezdnię uliczki noszącej nazwę — jak potwierdzał napis — Kanzlerstrasse.

W minutę później również Ferracini zagłębił się w tłum na rynku. Szedł wolno w kierunku piwiarni.

Doszedł do rogu, skręcił w Kanzlerstrasse, przeszedł kilkanaście kroków jedynym chodnikiem, jaki znajdował się w tym zaułku. Przed sobą, po przeciwnej stronie, zobaczył szyld zakładu szewskiego: Hoffenzollen. Dom był niewielki, spod dachu wystawały krokwie, w oknach pobłyskiwały szyby z grubego szkła, z drzwi luszczły się resztki zielonej farby. Nie widział niczego niezwykłego ani podejrzanego. Mimo to przeszedł najpierw całą długość uliczki, zatrzymał się u jej końca, otrząsnął topniejący śnieg z butów i raz jeszcze rozejrzał się dookoła. Dopiero wtedy zawrócił.

Nikt za nim nie szedł, w zasięgu wzroku nie było niczego, co mogłoby nakazać szczególną ostrożność.

Nie zauważył żadnego pojazdu, żadnego zaparkowanego auta, z którego ktoś mógłby prowadzić obserwację. Raz jeszcze uważnie spojrzął przed siebie. Na rogu ulicy, przy wylocie na plac, Cassidy uniósł rękę i ziewnął. Był to znak, że i on nie dostrzegł niczego podejrzanego. Uspokojony Ferracini przeszedł na drugą stronę ulicy i otworzył drzwi do warsztatu szewskiego. Zapiszczały zawiasy, a nad drzwiami zadźwięczał dzwonek.

W środku było mroczno, pachniało pleśnią i skórą. Minęło kilka chwil nim oczy Ferraciniego, pełne jeszcze światła poranka, przyzwyczały się do ciemności i nim dostrzegł wielce już sfatygowany kontuar sklepowy i półki, na których poupychano liczne pary znoszonych butów. Zobaczył niewielki stelaż z pastą do obuwia i sznurowadłami oraz pustą witrynę, w której ongiś — przed wojną —

wykładano skóry do wyboru klienta. Teraz przepisy wojenne zabraniały handlu skórą. Zwrócił

uwagę na młotek, nóż i nożyce leżące na jednej z półek i na wyblakły obraz z końmi, wiszący naprzeciwko, obok drzwi, w ramach, z pękniętym szkłem. W kącie dostrzegł biurko, na nim leżące w nieładzie koperty i papiery. Ścienny kalendarz nad biurkiem wskazywał, że jest styczeń.

Zza drzwi wiodących na zaplecze dobiegł szczeł odkładanych narzędzi, trzeszczenie zydła i odgłos kroków. Po chwili w drzwiach pojawił się potężny mężczyzna o czarnej zmierzwionej czuprynie.

Dawno nie strzyżona broda nadawała mu groźny wygląd. Miał na sobie skórzany fartuch, a

podwinięte rękawy ukazywały potężne mięśnie. Ręce miał wielkie jak bochny chleba, wyglądał na siłacza, który gołymi rękami potrafi kruszyć głązy. Zza lekko wywiniętych warg widać było cały garnitur potężnych zębów, które w mroku zdawały się błyszczeć. Idąc pociągał nogą.

— Dzień dobry — rzekł Ferracini na powitanie. Olbrzym wsparł się rękami o ladę, uniósł pytająco podbródek i czekał. — Fraulein Schultz oddała tu buty do naprawy — powiedział Ferracini. —

Mówiono mi, że są już gotowe.

— Fraulein Schultz?

— Tak.

— A pan kto, jej znajomy? Nie znam pana.

— Jestem znajomym znajomego, przejazdem w mieście, rozumie pan?

Przez kilka długich chwil olbrzym patrzył obojętnie na Ferraciniego.

— Jedną chwilę — rzekł wreszcie, po czym obrócił się i znikł na zapleczu. Do uszu Ferraciniego znów zaczęły dobiegać jakieś odgłosy, a wśród nich trzask, jaki może rozpoznać tylko wyćwiczony słuch. Był to szczeł odbezpieczanego pistoletu. Ferracini zareagował błyskawicznie: przywarł do

ściany, schodząc z linii możliwego strzału zza drzwi. Palcami wyczuł za sobą półkę, dłońmi ujął młotek i nóż, które tam leżały.

— A jak się miewa Frdulein Schultz?! — zawołał olbrzym przez drzwi. — Wyleczyła się już z przeziębienia?

— Tak, czuje się już znacznie lepiej — odparł Ferracini. — Ale w ogóle ta zima jest wyjątkowo okropna.

Usłyszał teraz trzask odciąganej iglicy i dźwięk spuszczonego bezpiecznika pistoletu. Broń wracała zapewne do schowka. W chwilę później olbrzym pojawił się w drzwiach. Ferracini zdążył już wrócić na swoje miejsce przed ladą. Olbrzym położył przed nim parę damskich butów związanych sznurowadłami, z załączoną niewielką karteczką.

— Proszę iść pod ten adres dziś wieczorem, o ósmej — rzekł olbrzym przyciszonym głosem. — Tam was ktoś odbierze. Mam nadzieję, że nie macie żadnych bagaży w hotelu?

— Nie, walizki są w przechowalni na dworcu.

— W porządku. Niech mi pan da kwit.

Bagaż już osiągnął cel. Ferracini i Cassidy nie będą potrzebowali ubrań i innych rzeczy kupionych we Włoszech.

— Dziękuję.

— Powodzenia.

W chwilę później Ferracini dołączył do oczekującego na rynku za rogiem Cassidy'ego.

— Wygląda na to, że jest okay — rzekł. — Mamy adres kontaktowy na wieczór. A tymczasem mnóstwo czasu do zabicia.

— Kino? — westchnął Cassidy.

— Chyba tak. Masz pojęcie, co grają?

— I tak byś mi nie uwierzył.

— Co chcesz powiedzieć?

Cassidy machnął ręką, żeby się odwrócić. Ferracini spojrział na afisz na murze za plecami. W kinie Marmorhaus w tym tygodniu wyświetlano Przygodę w Chinach z Clarkiem Gable.

— Brakuje tylko żółtych nowojorskich taksówek i baru u Maxa.

Ferracini przebył w myślach tysiące kilometrów — całe świetlne lata podróży pociągiem, lotu nad Atlantykiem, ćwiczeń w angielskiej bazie łodzi podwodnych i szkolenia w pułku piechoty — i powrócił do świateł Broadwayu i Siódmej Alei. I nagle przyszło mu do głowy, że byłoby lepiej, gdyby Cassidy nie wspomniał jednak o Nowym Jorku.

Tymczasem sto pięćdziesiąt kilometrów na północ, w pobliżu miasta Kyritz, inspektor Helmut

Stolpe z Gestapo zjawił się w pokoju operacyjnym lokalnej placówki Siherheitsdienst* (Służba Bezpieczeństwa). W sali zgromadziło się z pół tuzina esesmanów i paru funkcjonariuszy SD, czyli oficerów wywiadu SS. Polizeiführer krzyczał coś do słuchawki telefonu, siedząc za biurkiem w kącie.

Zza okien dobiegł szum silników samochodowych, odgłos kroków i jakieś rozkazy wydawane podniesionym głosem.

Młody człowiek w mundurze Unterscharführera Waffen SS, stojący obok Stolpego, nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Wyglądał na zmęczonego wydarzeniami minionej nocy. Włosy miał potargane, twarz wymizerowaną, mundur rozpięty. Palił nerwowo papierosa mówiąc:

— Ale ja tam byłem, a pan nie. Nie może pan mieć pojęcia o tym, co Einsatzgruppen Heydricha rzeczywiście wyrabiają w Polsce. Nikt zresztą nie wie. Nawet wojsko, bo o tym się nie mówi.

Wszystkim się wydaje, że wysłano nas tam, byśmy spacyfikowali sabotażystów i partyzantów na zapleczu frontu, ale to nieprawda. SS morduje wszystkich, jak popadnie, każdego, kto ich zdaniem mógłby stawiać opór... nauczycieli, lekarzy, związkowców. Całymi tysiącami. I oczywiście Żydów...

Na Stolpem cała ta tyrada nie wywierała wrażenia.

— Niech się pan lepiej zastanowi, o czym pan mówi — burknął. Martwił go taki brak charakteru.

Właśnie brak zdecydowania sprawił, że Niemcy przegrali ostatnią wojnę, a tymczasem zaraza sięgała nawet SS, a więc niemieckiej elity, niemieckiego rycerstwa stworzonego przez Himmlera. —

A więc załamał się pan i dlatego pana odesłali?

Sierżant jakby nie usłyszał tej uwagi.

— Starcy, kaleki, kobiety z dziećmi na ręku... Na nasz rozkaz musieli rozebrać się do naga, na śniegu, a myśmy ich mordowali, seriami z karabinów maszynowych, i grzebali w dołach. Tysiącami, dzień w dzień...

— Dość — przerwał Stolpe. — Czyżby nie uczono pana, że Państwo to wola Ludu. Przeto wszystko, co państwo czyni, czyni w majestacie prawa. Niech pan pomyśli, ilu Niemców zginęło w czasie Wielkiej Wojny tylko dlatego, że byli wśród nas zdrajcy, że były mięczaki. Ale tym razem to się nie powtórzy. — Przerwał. Wzywano go na zaplecze budynku. — Muszę już iść. Ale niech pan posłucha mojej rady, sierzancie. Niech pan uważa, co pan mówi. Nie jest pan w przedszkolu.

Zanotował w pamięci, że musi porozmawiać z dowódcą jednostki, w której służył młody człowiek, i wyszedł na korytarz. Bliżej wejścia znajdowały się pomieszczenia biurowe, dalej — cele.

Funkcjonariusz służby bezpieczeństwa skierował go do ambulatorium. Stolpe wszedł. W pokoju byli już major SS i podporucznik. Na stole lekarskim leżały zwłoki. Było to ciało pierwszej z czterech ofiar, jakie przywieziono do komisariatu przed godziną. Lekarz policyjny z asystentem dokonywali oględzin.

— O co chodzi? — zapytał obojętnie. Zachowała się tylko połowa twarzy ofiary. Drugą zmasakrował

celny strzał. Stolpe ocenił, że zabity był mężczyzną w średnim wieku. Krew i poszarpane tkanki rozlewały się krzepnącą plamą na jednym z rękawów ofiary. Lekarz rozcinał ubranie, asystent metodycznie przeszukiwał kieszenie i układał ich zawartość na podręcznym stoliku.

— Trzech z nich zauważyliśmy, gdy wyładowywali coś z łódki w pobliżu Rostocku — rzekł major. —

Czwarty dołączył później i wszyscy ruszyli na południe ciężarówką z ładunkiem brukwi.

Zwłoki pozostałej trójki leżały na podłodze, na noszach, na których je przyniesiono na posterunek.

Stolpe odsłonił prześcieradło i spojrzał na pierwszą z ofiar. Był to młody chłopiec, na pewno miał mniej niż dwadzieścia lat. Na kurtce widniały ślady serii z automatu, od której padł.

— Czy wiadomo, skąd była ta łódka? — zapytał, przykrywając zwłoki. Major potrząsnął głową.

— Odpłynęła, nim dotarliśmy na miejsce. Zaalarmowaliśmy straż wybrzeża, ale bez rezultatu i właśnie dlatego postanowiliśmy nie zatrzymywać tych trzech, tylko obserwować ich dalsze ruchy.

Chcieliśmy poznać ich zamiary. — Wzruszył ramionami. — A łódź? Równie dobrze mogła być ze Szwecji, jak i z Danii... a niewykluczone, że był to desant z jakiejś angielskiej łodzi podwodnej.

Trzeci z zabitych był wąsatym mężczyzną. Na głowie miał ślad pojedynczej kuli.

— I co dalej? — spytał Stolpe.

— No cóż, akcja nie była do końca skoordynowana i jakiś idiota z posterunku drogowego zatrzymał

ciężarówkę i próbował ich aresztować. Byli uzbrojeni, stawiali opór. Zabili dwóch wartowników, ale obezwładniono ich. Zginęli na miejscu. Resztę już pan zna.

Stolpe pochylił się nad czwartymi noszami. Odchylił prześcieradło. Miał przed oczami twarz martwej kobiety. Za życia musiała być bardzo atrakcyjna. Jej głowa była nienaturalnie przechylona do tyłu. Dopiero po chwili Stolpe zauważył, że trup pozbawiony jest całej potylicy.

— Zginęła jako ostatnia — wyjaśnił major. — Samobójstwo. Strzał w usta.

— Szkoda — odparł Stolpe i odłożył prześcieradło na miejsce. — A cóż takiego było pod brukwią, że aż tak się bronili? — zapytał.

— Bezpośrednio pod ładunkiem nie było nic. Ale ciężarówka miała wbudowaną skrytkę, a w niej bardzo ciekawe rzeczy. Chodźmy, zobaczy pan. Są w celi obok.

Major dał znak porucznikowi, żeby został, a sam poprowadził Stolpego do sąsiedniego

pomieszczenia, do celi więziennej, gdzie jeden z oficerów SD i Erwin Poehner — kolega Stolpego z Gestapo — rozpakowywali kilka brezentowych worków. To, co już wydobyli, leżało na pryczach.

Stolpe wziął do ręki dziwnie wyglądający jednoczęściowy kombinezon z kapturem, sporządzony z lśniącego tworzywa przypominającego kauczuk. Przypatrywał się przez chwilę, a następnie zajął się czymś, co wyglądało na hełm, lub na coś w tym rodzaju, z przezroczystą pokrywą z przodu i

systemem zaworów z tyłu. Z kolei obejrzał rodzaj uprząży, do której przytroczone były jakieś metalowe cylindry o niezwykłych kształtach i uchwyty, zapewne na narzędzia lub broń. Obok leżał

niewielki stos bielizny. Na sąsiedniej pryczy znalazł zwoje lin, karabińczyków, haków i jeszcze jakieś metalowe przedmioty, których przeznaczenia nie potrafił określić.

— I co ty o tym sądzisz? — zapytał, patrząc na Poehnera. Poehner potrząsnął głową.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Nie mam pojęcia, czy zamierzali zapisać się do straży pożarnej, czy wspinać się w Alpach. Ale coś ci powiem, Helmut. W tych workach jest więcej materiałów wybuchowych niż trzeba, żeby wysadzić w powietrze pancernik Bismarck. Tę sprawę trzeba przesłać wyżej i to dużo wyżej.

To zaś — westchnął w duchu Stolpe — oznacza, że do końca dnia będzie musiał ślęczeć nad raportem i nad wypełnianiem rozmaitych papierków.

ROZDZIAŁ 37

Pod adresem, który im podano, znaleźli niewielki szeregowy domek jednorodzinny w robotniczej

dzielnicy, na wschód od centrum miasta. Umieblowanie było skromne, a jedynym lokatorem okazał się chudy, łysy mężczyzna w okularach, który przedstawił się jako doktor Mueller. Roztaczał wokół siebie atmosferę przygnębienia i smutku. Zupełnie jak wieśniacy z American Gothic — pomyślał Ferracini. Głównie milczał, a gdy otwierał usta, to w jego głosie wyczuwało się napięcie i nerwowość.

Nim jeszcze zdążyli go o cokolwiek zapytać, uprzedził, że nie wie, kim oni są i skąd się wzięli i nie chce niczego wiedzieć. Wie tylko tyle, że ktoś po nich przybędzie nazajutrz rano. Co nastąpi później, nic go nie obchodzi i nie życzy sobie, żeby go wypytywać, czym się zajmuje i dlaczego robi to, co robi.

Wręczył im nowy zestaw dokumentów i nowe — stosowne do ich nowej roli — odzienie. Ferracini otrzymał wyświechtany garnitur z kamizelką, pilśniowy kapelusz, krawat i płaszcz, a Cassidy skórzaną kurtkę, jaką noszą robotnicy, koszulę, sweter i sztruksowe spodnie. Zjedli wspólnie — w grobowym milczeniu — kolację składającą się z czarnego chleba, kiszzonej kapusty oraz plasterka kielbasy i tyleż sera na każdego, a następnie Ferracini z Cassidym poszli spać do pokoju na górze, gdzie czekał na nich siennik wypchany słomą. Najwidoczniej mieszkanie pełniło wyłącznie funkcję skrzynki kontaktowej i było tylko pośrednim ogniwem w całym łańcuchu konspiracji. „Mueller”

zapewne zniknie stąd wkrótce po nich i w ten sposób zostaną zatarte wszelkie ślady, po nim i po nich.

Nazajutrz, dopiero koło południa, do drzwi zapukał brodaty człowiek w trenczu ściągniętym

paskiem. Przedstawił się jako Gustav Knacke. Był niski, ale mocno zbudowany, robił wrażenie energicznego i budził zaufanie. Miał czarne kręcone włosy, wąskie usta z kącikami uniesionymi ku górze i ciemne oczy, którymi bez przerwy strzelał tu i tam, niczego nie pomijając. Roztaczał wokół

siebie atmosferę radosnego podniecenia, co żywo kontrastowało z przygnębieniem doktora Muellera.

Pracuje w zakładach w Weissenbergu — mówił im, gdy opuszczali Lipsk starym, bardzo już zużytym fiatem. Z zawodu jest chemikiem i zajmuje się opracowywaniem urządzeń zabezpieczających i

przeciwpożarowych. Również jego małżonka pracuje w Weissenbergu, jest urzędniczką. Oboje będą się opiekować „Ferdynandem” i „Żonglerem” — Knacke znał tylko ich pseudonimy z „Łącznika” — aż nadejdzie czas na rozpoczęcie akcji. U nich w domu dostaną jeszcze jakieś ubrania, które mogą im się przydać.

— Dla zwykłego obywatela benzyna jest niedostępna — opowiadał podczas jazdy — ale ponieważ używam auta również w celach służbowych, więc dostaję pewien przydział. A teraz weźcie to, może się przydać, gdyby nas zatrzymano — powiedział, wręczając im dwie przepustki do fabryki w

Weissenbergu. — Jeden z was jest brygadzystą, a drugi elektrykiem. Jeśli ktoś zapyta, to jeździliśmy

do Lipska po części zamienne potrzebne do bieżących napraw. Oczywiście mam w bagażniku odpowiednie rzeczy. A tu są rachunki ze sklepu. Przeczytajcie, żebyście wiedzieli, o co chodzi.

— I właśnie pod takim pretekstem wprowadzi nas pan na teren fabryki? — spytał Ferracini.

— Tak.

— A zatem to u pana ma się zebrać cała nasza szóstka? — rzekł Cassidy.

— Właśnie.

Podobnie jak Ferracini z Cassidym, którym najpierw polecono zgłosić się do zakładu szewskiego, każda z trzech dwójek wysłanych do Niemiec otrzymała stosowny adres kontaktowy. Pośrednie ogniwa oczywiście nic nie wiedziały o tym, co jest ostatecznym celem i skąd agenci przybywają.

Knacke też nie wiedział, jaką drogą Ferracini i Cassidy dotarli do mieszkania kontaktowego.

— Co z pozostałymi? — zapytał Cassidy. — Zjawili się? Knacke potrząsnął głową.

— Jeszcze nie. Zresztą jest jeszcze czas. Ale nie powinniśmy mówić o tych sprawach, zanim nie... o właśnie!

Na szosie stało dwóch policjantów. Trzeci zmierzał w ich kierunku, unosząc rękę na znak, żeby się zatrzymali. Knacke zahamował. Dwójka pasażerów oczekiwała w napięciu. Policjant tymczasem

odwrócił się i dołączył do dwóch pozostałych, nie interesując się ani pojazdem, ani ludźmi. Dopiero wtedy spostrzegli, że dojeżdżali właśnie do miejsca, w którym szosę przecinały tory kolejowe. Policja zatrzymała również pojazdy jadące z naprzeciwka. Po chwili na przejazd wtoczył się pociąg ciągnięty przez dwie lokomotywy. Na platformach spoczywały — pod siatkami maskującymi — działa i czołgi z czarnymi krzyżami Wehrmachtu.

— No i widzicie, to jest wszystko, co nam dają ci oszuści! — wykrzyknął Knacke wymachując

rękami. — Oszustwo, jedno wielkie oszustwo. Wspaniały doktor Ley miał produkować volkswageny, auta dla ludu, po tysiąc marek, dla każdego... tak obiecywał Hitler. I nawet wymyślili cały system przedpłat. Pięć marek tygodniowo od każdego robotnika, albo więcej, jeśli kogoś stać. Sprytnie, co nie? A jeśli ktoś zapłacił od razu siedemset pięćdziesiąt marek, to dostawał numer i zapewnienie, że otrzyma auto w pierwszej kolejności, jak tylko volkswageny zaczną schodzić z taśmy. Ale wszystko, cośmy naprawdę dostali, to tylko te numery. Auta nikt nie zobaczył na oczy. A fabryka, którą wybudowano za nasze pieniądze w Fallersleben, co to miała wytwarzać więcej aut niż Ford,

produkuje czołgi. I co mi z tego — znów machnął rękami — mam z żoną na zakupy jeździć czołgiem?

Samochód wreszcie ruszył i Ferracini z Cassidym uśmiechnęli się do siebie. Ferracini rozejrzał się po okolicy. Znał to miejsce, choć nie wszystko wyglądało tak, jak pamiętał. Przepęłniło go dziwne

uczucie, jakby powrotu w przeszłość, a zarazem w przyszłość.

Dyrektor Kahleb zmarszczył brwi. Siedział za stołem w sali tuż nad recepcją. Tu właśnie, pół godziny temu — po zniknięciu Scholdera i Adamsona — przyprowadzono Winslade'a i Annę. Kahleb niczego nie mógł pojąć.

— Jeśli nie żywicie złych zamiarów — mówił — to dlaczego wasi towarzysze uciekli. Może by mi ktoś to wytłumaczył?

— A skąd mogę wiedzieć, dlaczego uciekli? To ich trzeba zapytać — odparł Winslade. — Może doszli do wniosku, że wszyscy tutaj oszaleliście? Wiele na to wskazuje.

Siwowłosa mężczyzna, którego Kahleb wezwał do pomocy, podniósł rękę i powiedział:

— Tym zajmiemy się po przybyciu Shelmera. A wracając do sprawy — mówił dalej, spoglądając na Winslade'a — powiadacie, że nigdy nie słyszeliście o nazistach? A więc nie jesteście wysłannikami Hitlera?

— Hitlera? — powtórzył Winslade, wyrażając zdziwienie. — Ma pan na myśli Adolfa Hitlera?

— Oczywiście.

— Tego szaleńca? Ależ jego zamordowano... już nawet nie pamiętam kiedy. A co on ma z tym wszystkim wspólnego?

— A co my moglibyśmy mieć z nim wspólnego? — wtrąciła Anna Kharkiovitch.

— Jesteście z roku 1940? — upewnił się raz jeszcze Kahleb.

— Owszem.

— I w waszym świecie nie istnieje ani Rzesza, ani Fiihrer?

— Fiihrer? — Winslade spojrzał pytająco na Annę.

— Pewnie mają na myśli Komisarza do spraw Europy Środkowej — odrzekła, jakby chciała rozwiązać wątpliwości.

— No właśnie — dodał Winslade — chodzi o towarzysza Georgiego Yussenklovova.

— A więc to jego reprezentujecie — stwierdził siwowłosa i pokiwał głową na znak, że wreszcie coś ustalono.

— Nie — rzekł Winslade.

Rozmówcy ciężko westchnęli i przez chwilę nie byli w stanie dobyć z siebie żadnego słowa.

— Słuchajcie — powiedział wreszcie zmęczonym głosem Kahleb — zacznijmy jeszcze raz.

Jeden z naukowców przysłuchujących się tej wymianie zdań pochylił się do drugiego i szepnął:

— To niesłychane. To w ogóle nie jest możliwe, ale jednak wygląda na to, że nastąpiło połączenie z całkiem innym światem. To musi mieć coś wspólnego z zakłóceniami, jakie ostatnio notowaliśmy.

Dom państwa Knacke wyglądał solidnie i szacownie: dachówka, ceglane mury spowite dzikim winem. Wznosił się w spokojnej zalesionej okolicy około ośmiu kilometrów od Weissenbergu, a od sąsiadów oddzielał go rząd krzewów i gęsty żywopłot. Gustav Knacke powiedział im, że dom zbudował jeszcze jego ojciec — profesor filozofii i teologii na uniwersytecie w Lipsku. Znaczyło to, że rodzina Knacke była mocno i od dawna związana z tą ziemią.

Knacke wprowadził ich do mieszkania bocznymi drzwiami i zapalił ogień na kominku. Zachęcił, żeby czuli się swobodnie, on sam zaś będzie musiał pójść po południu do fabryki. Wróci wieczorem z Marga, żoną. Uprzedził ich, żeby nie wychodzili na zewnątrz, nie rozpalali zbyt dużego ognia, by dym nie zwracał uwagi i — oczywiście — żeby nie odpowiadali na żadne telefony, a tym bardziej na pukanie do drzwi.

— Sąsiedzi, rozumiecie? — rzekł przygotowując się do wyjścia. — Prowadzą nudną egzystencję, więc nie mają nic innego do roboty i wścibiają nos w nie swoje sprawy. Na szczęście zabudowa w tej okolicy nie jest gęsta i mamy sporo krzewów i drzew wokół domu, ale ostrożność nie zawadzi. —

Potrząsnął głową z wyrazem obrzydzenia. — Na święta śpieszą z życzeniami, na co dzień

uśmiechają się miło, ale niech tylko który wyczuje pismo nosem, zaraz leci na policję, żeby się zasłużyć. Są pokorni wobec władzy i brutalni wobec niższych od siebie. Typowa 'niemiecka

mentalność, niestety.

Cassidy znalazł koc w jednej z szaf, zdjął buty, rozciągnął się wygodnie na tapczanie przed kominkiem i zasnął. Ferracini nie znał nikogo innego, kto, jak Cassidy, potrafiłby obywać się całymi dniami bez snu, gdy była taka potrzeba, i sypiać całymi godzinami, gdy nie było nic innego do roboty. On sam nie miał ochoty na sen. Czuł, że ogarnia go nostalgia i odczuwał wewnętrzny

niepokój.

Przeszedł się po mieszkaniu, żeby obejrzeć je trochę. Dom nie był specjalnie bogaty, ale wyglądał na zadbany i urządzony był ze smakiem. Hali wejściowy i schody wyłożone boazerią, meble — solidne

— z orzecha i dębu, w kredensach na dole lśniła porcelana i szkło. W bibliotece pod sam sufit wznosiły się półki z książkami i stał tam fortepian, a obok pulpit na nuty. Na nim otwarty

egzemplarz jednej z sonat Mozarta. Na krześle nie opodal leżały skrzypce w futerale.

Ferracini sięgnął po książki. Dramaty i poematy Goethego, Schillera, Szekspira... Biografie wielkich kompozytorów... sztuka, historia, uprawa roślin. Na innej półce: Analityczne funkcje zmiennych złożonych, Wstęp do geometrii różniczkowej i teorii krzywizn, Rozwój fizyki po roku 1900... A jeszcze dalej: Mitologia Wschodu i Historia myśli.

Czuł narastające przygnębienie. Ludzie stworzyli tyle dzieł, dokonali tylu odkryć, on tymczasem —

jeśli pominąć to, co wyniósł ze szkoły — potrafił tylko niszczyć i zabijać. Artyści, rzemieślnicy latami doskonaliли swój kunszt, całymi miesiącami pracują w znoju i trudzie, tworząc dzieła, które byle głupiec potrafi zniszczyć w jednej chwili. I właściwie nic wartościowego nie powinno się zachować. A jednak twórczy żywioł okazuje się potężniejszy niż siły zagłady. Przez wieki w miastach i państwach zgromadzono ogromny skarbiec kultury, nauki i sztuki, świadectwo cywilizacji. Właśnie

pragnieniem ludzkości jest budować, tworzyć i zachowywać dziedzictwo dla pokoleń. Okresy zła i zniszczenia, przemocy i zagłady są jedynie epizodem w historii.

Jeśli tak, to świat Ferraciniego stanowił najwyższy przejaw tego, co ma być li tylko epizodem, a on, Ferracini, ucieleśnia sobą ów żywioł zagłady. Drażyła go ta myśl od dawna i nie potrafił jej stłumić.

Uświadomił sobie, jak wielką krzywdę uczynił mu jego własny świat i ci, którzy świat ów

ukształtowali. I oto teraz, gdy dane mu było stanąć oko w oko z resztką świata stojącego w obliczu zagłady, w pełni ogarnął istotę zła, z którym przyszło mu walczyć przez całe dorosłe życie.

Wyraźniej i jaśniej niż kiedykolwiek w życiu zrozumiał sens swoich działań. Wydawało mu się, że na tę właśnie chwilę czekał latami. Z gorzką ironią pomyślał o tym, że wiedzę i doświadczenie, jakie zdobył, ćwicząc się w sztuce niszczenia i zabijania, użyje teraz do zniszczenia tego właśnie świata, który uczynił go mordercą i siewcą zagłady. Wiedział też, że jeśli mu się uda, to już na zawsze pozostanie w tym świecie, który oto zaczyna się wyłaniać i z tym światem będzie dzielił przyszłość.

Zasłużył przecież na miejsce w tym świecie.

Pani Knacke była dostojną i przystojną kobietą. Należała do tego gatunku niewiast, których rysy z wiekiem nabierają wyrazu i charakteru. Była tęga, nosiła się z godnością, miała kruczoczarne włosy srebrzące się tu i ówdzie siwizną, mocne usta i głębokie inteligentne spojrzenie.

— Możecie tu zostać tak długo, jak będzie trzeba — powiedziała, prowadząc Ferraciniego i

Cassidy'ego do pokoju na górze. — Pościel przygotowana, a w szafie jest trochę ubrań. Przybory do golenia znajdziecie w szafce.

W pokoju znajdowały się dwa łóżka, tapczan we wnęce okiennej, dwa fotele, niski stolik, szafa i komoda. Na półce leżały liczne trofea łowieckie, było trochę książek i kilka modeli dwupłatowców z okresu Wielkiej Wojny. Zdjęcie na ścianie przedstawiało grupę młodych ludzi w szkolnych

mundurkach z krótkimi spodniami.

— Mamy dwóch synów — wyjaśniła pani Knacke. — Wolfgang studiuje chemię w Berlinie, jak

ojciec. — Uśmiechnęła się, kiwając ze smutkiem głową. — Drugiego, Ulricha, wzięli do wojska i służy w artylerii nie wiadomo gdzie.

— Oficjalnie powinien być w Polsce — wtrącił Gustav. Stał w drzwiach, pykając fajkę. — Ale chyba jest gdzie indziej — mrugnął porozumiewawczo. — Pisał do nas w zeszłym tygodniu, że wyśle

Mardze buty, takie jak ma ciotka Hilda. Trzeba wam wiedzieć, że ciotka Hilda przywiozła sobie kiedyś, na pamiątkę z podróży poślubnej, parę drewnianych sabotów z Holandii. Domyślamy się więc, że jego jednostkę przeniesiono na zachód. I zapamiętajcie moje słowa: na zachodzie wkrótce coś się zacznie.

Czym wytłumaczyć, że ci ludzie zdecydowali się udzielić gościny dwójce wrogów reżimu, do którego obrony wezwano ich syna i kazano mu ryzykować życie? Cassidy podniósł ten temat przy kolacji.

— Dlaczego właściwie to robicie? — zapytał. — Sytuacja jest co najmniej dziwna — dodał — i ciekaw jestem waszych motywów. Gustav zebrał resztkę zupy z talerza kawałkiem chleba.

— No cóż, myślę, że oboje z Marga uważamy, iż są w świecie sprawy znacznie ważniejsze niż granice państw, i mające większy sens niż flagi, hymny i fanatyczne ideologie. Te zresztą to zjawiska przemijające, banalne. Owszem, wpływające na nasze życie codzienne, ale nic więcej. Przeminają i świat o nich zapomni.

Spojrzał na Margę. Uśmiechnęła się i delikatnie uściśnięła mu dłoń na znak, że się zgadza. Przeniósł wzrok na gości.

— Ale są też sprawy znacznie bardziej trwałe, które nie zależą od kaprysu chwili.

— Co pan ma na myśli? — wtrącił Ferracini.

— Otóż oboje z Marga jesteśmy naukowcami — odparł Gustav. — Ja jestem chemikiem, a Marga wykładała antropologię w Lipsku.

— Zrezygnowałam — rzekła Marga — ponieważ nie chciałam powielać tych szalonych doktryn rasistowskich, które kazano nam wpajać studentom, zgodnie z ideologią. Nauka nazistowska! To trucizna, którą sączą w umysły młodzieży, i z tym właśnie chcemy walczyć.

— Prawda istnieje niezależnie od polityki — mówił dalej Gustav — i nie można jej wprzęgnąć w służbę ideologii. Jeśli coś jest prawdziwe, to takie pozostanie, bez względu na to, czy się tego chce, czy nie.

Ostatecznym celem nauki jest odkrywanie tego, co jest uniwersalne, niezmienne, co tkwi w materii

wszechrzeczy i w najmniejszym stopniu nie zależy od ludzkich namiętności i od ludzi w ogóle.

— Brzmi to niemal jak wyznanie wiary — zauważył Cassidy.

— Tak formułował to Albert Einstein — rzekł Gustav. — Nie wątpię, że słyszeliście o nim. Ja zaś miałem kiedyś okazję zobaczyć go na własne oczy. Einstein mawiał, że dociekania naukowe to

jedyna prawdziwa religia. Jeśli bowiem domeną religii jest absolut i wszechświat, to czyż istnieje większy absolut i większa miara wszechrzeczy niżli to, co objawia nam matematyka i fizyka? A czym w istocie zajmują się systemy myślowe, które nazywamy religiami? Tylko tym, co człowiek mówi, do jakiego Boga się modli, kogo darzy miłością, jakie czyta książki, krótko mówiąc: banałami, tym tylko co tyczy ludzkich zachowań, a w nich nie ma nic z absolutu i wszechrzeczy. Jak w ogóle ludzie mogą sobie wyobrażać, że wszechświat zwraca uwagę na nich i na tę niewielką bryłkę materii, na której się znajdują. Tymczasem ludzie zapewnijają się wzajemnie, że ich problemy mają wymiar kosmiczny.

— Rozłożył ręce w dramatycznym geście i dodał: — I ci sami ludzie oskarżają uczonych o arogancję.

Pytam was: czy spotkaliście się kiedyś z podobnym nonsensem?

— To właśnie te wartości: rozwój człowieczeństwa i wolność cenimy bardziej aniżeli politykę i tak zwany patriotyzm — rzekła Marga. — Niewielu ludzi dostrzega, dokąd prowadzi zbrodniczy reżim Hitlera. Czy macie pojęcie, do czego dojdzie, jeśli nikt go nie zatrzyma?

Ferracini z Cassidym pochylili się nad talerzami i jedli, nic nie mówiąc.

— A więc trzeba temu położyć kres — rzekł Gustav — i chcemy się do tego przyczynić na miarę naszych możliwości. Wszystko inne musi na razie zejść na drugi plan. Wasza misja służy temu celowi. Ten cel nas jednoczy, dlatego jesteśmy z wami.

— Jeśli mogę spytać, bo to ciekawe, w jakim stopniu wtajemniczono was w naszą misję? — zapytał

Ferracini. — Powiedziano wam, po co nas tu przysłano?

— Niewiele — odparł Gustav. — Polecono nam tylko, abyśmy pomogli przedostać się waszej szóstce na teren zakładu.

— Działacie z Marga we dwójkę? — spytał Cassidy.

— Nie. Jest jeszcze Erich — odparł Gustav. — Można na nim polegać. Jeśli o nas chodzi, to nie otrzymaliśmy żadnych innych poleceń. Rozumiem więc, że wy macie jasność, co dalej... gdy już znajdziecie się w zakładzie. Myślę też, że jak będziecie potrzebowali pomocy, to dacie nam znać.

— Jak będzie trzeba — rzekł Ferracini — tymczasem zostawmy sprawy swojemu biegowi.

Gustav błysnął oczami, przez chwilę obracał w dłoni widelec, po czym rzekł:

— Skoro w całą tę sprawę wmieszany jest mój przyjaciel, profesor Lindemann, to mogę założyć, że

przyjechaliście z Anglii. Z drugiej strony wasz akcent wskazuje raczej na Amerykę, jeśli się nie mylę. — Podniósł rękę na znak, żeby mu nie przerywano. — I proszę, nic nie mówcie. Lepiej będzie, jeśli niczego do końca nie będę wiedział. Nie mogłem jednak oprzeć się pokusie, żeby nie popisać się, jak wiele wydedukowałem. — Wziął serwetkę, zwinął i położył na stole, spojrzawszy następnie na zegar na kominku i rzekł: — Czas na wiadomości BBC. Zagranicznego radia oczywiście nie wolno słuchać.

Ale jak się wysłucha jednej propagandy i drugiej, brytyjskiej i naszej, to człowiek może

wywnioskować, co się naprawdę w świecie dzieje. Wygląda na to, że lada dzień nastąpi przerwanie ognia na froncie fińsko-rosyjskim. Finowie bili się nadzwyczaj dzielnie, ale Rosjanie mieli kolosalną przewagę i ostateczny rezultat walk był łatwy do przewidzenia. — Wstał od stołu. — Co prawda nie mamy żadnej muzyki jazzowej czy swingu, ale znajdziecie w bibliotece niezły chyba zbiór płyt z nagraniami klasyki. A może chcielibyście posłuchać czegoś na żywo. Chętnie grywamy z Marga

utwory na skrzypce i fortepian, i może to nieskromne, co mówię, ale idzie nam to całkiem niezłe. A wiecie, że Reinhard Heydrich jest wirtuozem gry na skrzypcach. I właśnie dlatego jest rozrywany przez małżonki nazistowskiej elity, bo daje koncerty na przyjęciach. Mówi się, że płacze ze wzruszenia, słuchając muzyki. Nie do wiary! Taki zbrodniarz jak on? Co za dziwne pomieszanie osobowości.

W ciągu następnych dwóch dni nie działo się nic ważnego. Gustav nie miał nowych wiadomości. Nic też w sprawie sprzętu nie ukazało się w rubryce drobnych ogłoszeń w miejscowych gazetach.

ROZDZIAŁ 38

Kurt Scholder młodszy rozejrzał się uważnie upewniając się, czy nikt ich nie śledzi i szybkim ruchem otworzył drzwi do pracowni laserowej. W środku panowała ciemność. Ogromny żelazny stół

zapełniony był soczewkami, lustrami, specjalnymi stojakami i innym różnym sprzętem, którego zarysy widoczne były w fioletowym przyćmionym świetle. Wyjął latarkę i strumień światła

skierował w mroczną przestrzeń pod stołem. Odczekał, aż Scholder starszy i pułkownik Adamson odsuną pudła i kartony, szykując sobie kryjówkę.

— Ciągle jeszcze nie rozumiem, o co chodzi, ale na razie muszę wam zaufać — szepnął, podczas gdy dwójka zbiegów wślizgiwała się między skrzynki pod stołem. Zasłonił następnie kryjówkę kartonami i dodał: — To powinno wystarczyć. Przyjdę po was, jak tylko skończy się alarm, za jakąś godzinę, jak sądzę. — Usłyszeli jeszcze odgłos oddalających się kroków, dźwięk zamykanych drzwi i ogarnęła ich ciemność.

Zapadła cisza, którą przerwał Adamson, gdy już umościli się w swojej kryjówce.

— Dziwię się, że oni nie rozumieją, skąd się tu wzięłeś. Przecież wiedzą, jak funkcjonuje projektor, prawda? Muszą więc wiedzieć, że istnieje mnogość wszechświatów, a skoro tak, to muszą też

wiedzieć, skąd pochodzimy.

— Niezupełnie — szepnął Scholder. — Owszem, wiedziałem trochę o fizyce, gdy byłem tu, na jego miejscu, ale nie miałem pojęcia, do jakiego właściwie celu cały ten system jest wykorzystywany.

Mówiono nam, że projektor współpracuje z ośrodkiem badawczym ustanowionym w nie zamieszkanym świecie i że chodzi wyłącznie o badania dotyczące związków skutkowo-przyczynowych podróży w czasie. Prawdy dowiedziałem się znacznie później, gdy mnie samego trans-lokowano do Niemiec roku 1941 i włączono do programu budowy bomby dla Hitlera. Ale wtedy było już za późno. A potem, gdy Hitler nakazał likwidację nazistowskiego projektora powrotnego, znalazłem się w pułapce.

— Jak więc rozumiem, tylko niewielu wtajemniczonych wie o rzeczywistym celu, dla którego stworzono tę placówkę?

— Właśnie. A zresztą większość z tych, co tu pracują, uważa, że należy do grona wybranych. Chodzi o to, że oficjalnie podano do wiadomości, iż udało się dokonać przełomu w zakresie błyskawicznego przemieszczania materii na dystansach kosmicznych. Nic ponadto. Wszyscy więc dochowują tajemnicy. Nikt nie chce ryzykować, bo jeśli coś ujawni, to może być po prostu wyłączony z najważniejszych prac i badań, jakie zna historia fizyki.

— A czy nikt nie zastanawiał się nad tym, dokąd właściwie wysyła się bomby atomowe? Mówisz, że sam brałeś w tym udział. Nigdy nie miałeś wątpliwości?

— Ostateczny montaż odbywał się w nazistowskich Niemczech. Wiedzieliśmy oczywiście, że za pomocą projektora wysyła się ładunki atomowe, ale też myśleliśmy, że używa się ich do prac inżynierskich: do przemieszczania wielkich mas gruntu i tak dalej. Nie było w tym nic niezwykłego i nie budziło to żadnych skrupułów.

Znów zapadła cisza. Adamson zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Po chwili jednak zapytał:

— A co z elitą, co z tymi, którzy wiedzieli, o co naprawdę chodzi? Dlaczego nie stawiali oporu? Dlaczego zgadzali się na współpracę? Jak to wytłumaczyć?

— Tego nie wiem — odparł Scholder. — Cóż w ogóle można powiedzieć o motywach ludzkich działań? Może imponowała im władza? Może chodziło o prestiż? A może też wyobrażali sobie, że są kapłanami nauki w nazistowskiej utopii.

— A jaki masz plan na teraz? — spytał Adamson po chwili.

— Nie wiem... Myślę, że jeśli się uda uzyskać pomoc, to może opanujemy sterownię, nawet siłą, i zmusimy ich do odesłania nas tam, skąd nas tu sprowadzili.

— Łatwo powiedzieć, ale jak tego dokonać.

— Masz lepszy pomysł? Milczenie.

— Nie... chyba nie.

— Najpierw i tak będziemy musieli odszukać Clauda i Annę. Zastanawiam się, gdzie mogą być i co się z nimi dzieje?

— Straciłem rachubę czasu — rzekł Adamson. — Ile czasu upłynęło od chwili, gdy wyszliśmy z projektora?

Scholder spojrział na fosforyzującą tarczę zegarka.

— Prawie trzy kwadranse — odparł.

Tymczasem w domu państwa Knacke minął tydzień beczynnego oczekiwania. Przez dwa dni

Ferracini z Cassidym byli zajęci badaniem topografii zakładów — przygotowywali szkice i uzupełniali wiadomości. Wreszcie, wróciwszy do domu któregoś wieczoru, Gustav Knacke oznajmił, że zgłosili się „Druid” i „Sakson”. Były to pseudonimy Eda Payne'a i Floyda Lamsona. Knacke odebrał już przybyszów ze „skrzynki kontaktowej” i umieścił w kryjówce, którą urządził w stodole opuszczonego gospodarstwa. Należało ono kiedyś do pewnej żydowskiej rodziny, którą wywieziono na wschód, i stało opustoszałe, czekając na nowych właścicieli o sprawdzonym, aryjskim rodowodzie.

Jeszcze tego samego wieczoru Gustav kazał swoim dwóm gościom przebrać się w obszerne palta, przysłonić twarze szalikami i naciągnąć czapki głęboko na oczy i poprowadził ich ścieżką przez las na powitanie nowo przybyłych, zabierając trochę jedzenia przygotowanego przez Margę oraz butelkę koniaku, żeby uczcić spotkanie. Payne i Lamson wymościли sobie wygodną kryjówkę w słomie. Byli w dobrej kondycji, choć wymęczeni podróżą i głodni. Ich trasa wiodła przez Szwecję, skąd odplynęli do Gdańska jako marynarze z załogi niewielkiego szwedzkiego frachtowca. Z Gdańska do Niemiec mieli podróżować pod przebraniem wysłanników Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Po drodze

jednak, w pociągu na trasie do Poznania, niemiecka kontrola nabrała podejrzeń, co skończyło się tym, że inspektor i towarzyszący mu strażnik zostali w toalecie wagonu z przetrąconymi karkami, podczas gdy Ed z Floydem wyskoczyli z pociągu i resztę podróży do Lipska odbyli dzięki własnej pomysłowości.

W dzień później w lokalnej gazecie pojawiło się ogłoszenie, na które czekali. Była to oferta sprzedaży trzymetrowego kuponu materiału po siedem marek za metr. Wymienione w ogłoszeniu

cyfry

stanowiły połowę liczby, wedle której można będzie wyznaczyć stosowny punkt na mapie. W innej gazecie z tego samego dnia Gustav odnalazł zaszyfrowany anons, do którego on miał klucz. Według mapy ustalono miejsce, w lesie odległym do nich o jakieś dziesięć kilometrów, gdzie płynęła rzeczka, nad którą wznosił się niewielki most. Gustav, Ferracini i Cassidy pojechali tam. W pobliżu mostu znaleźli porębę i stos świeżo ściętych gałęzi. Pod nimi znajdowała się przesyłka z Anglii.

Wrócili tej samej nocy, zabierając część sprzętu, a w ciągu kilku następnych wieczorów przewieźli całość do kryjówki w stodole. Gustava wielce zainteresowały kombinezony i aparat do oddychania.

— Pracujemy nad czymś podobnym w ośrodku badawczym w fabryce — powiedział. — Chodzi o aparat tlenowy do oddychania pod wodą. Konstruujemy go na zlecenie marynarki wojennej.

Wydawało nam się, że jesteśmy bardziej zaawansowani niż wy.

— To naprawdę niezwykle — zauważył Cassidy, gdy ładowali sprzęt do bagażnika i na tylne siedzenie wozu. — Nagle, nie wiadomo skąd, znajduje się sprzęt i pewnie nigdy nie dowiemy się, kim byli ci dzielni ludzie, którzy go tu dostarczyli. Ale dobrze, że jeszcze tacy są w Niemczech.

— Na szczęście są — rzekł Ferracini, a po chwili dodał: — zastanawiam się tylko nad tym, co mogło się stać z drugim transportem.

Tymczasem w pokoju, który młodszy Scholder dzielił z Eddiem, zjawił się doktor T'ung-Sen, szef działu.

— Rozumiesz już teraz, dlaczego uważałem, że ty i John powinniście o wszystkim wiedzieć — mówił

Eddie, potrząsając głową. — To doprawdy niezwykle, ale nie ma najmniejszych wątpliwości, że to naprawdę Kurt. Nie może być inaczej. I jeśli w to uwierzymy, to trzeba uwierzyć w całą tę ich historię.

— To prawda — potwierdził młodszy Kurt. — Opowiedział mi o pewnych rzeczach, o których tylko ja mogę wiedzieć. T'ung-Sen przetaił oburącz oczy.

— A więc spisek mający na celu opanowanie przemocą świata przed stuleciem, po to aby stworzyć azyl dla upadających elit? Wielki Boże, nie wiem...

John Hallman, szef działu plazmy, spoglądał na Scholdera wzrokiem wyrażającym zdziwienie i zarazem niewiarę.

— I kto w tym ma brać udział? — zapytał. — Ile osób, tu na miejscu, może wiedzieć, do czego rzeczywiście służą „Organy”?

— Kahleb i Justinaux — odparł Scholder. — Także Miskoropittis, Craig, Quincy, Bonorinski... i im podobni... wszyscy od szczebla dyrektora i wyżej. Krótko mówiąc, jakieś pięć do dziesięciu procent całego personelu.

— A Juanseres i faceci z ochrony? Scholder przecząco pokiwał głową.

— Myślę, że nie. Oni tylko wypełniają rozkazy.

— Ale nie mogę zrozumieć, jak udało się utrzymać w tajemnicy przedsięwzięcie zakrojone na taką skalę? — wtrącił Hallman. — Nie mogę pojąć, że wszystkich ludzi, którzy tu pracują, także i nas tak dalece i tak długo oszukiwano. To wręcz nieprawdopodobne.

— Chyba nie doceniasz tych, którzy za tym wszystkim stoją — odparł Scholder. — Owszem, nie jest ich wielu, ale mają wielkie wpływy. Lecz nie czas teraz na szczegóły.

Hallman spojrzał na T'ung-Sena, ten bezradnie rozłożył ręce i potrząsał głową, nic nie mówiąc.

Milczenie przerwał Eddie.

— Czy jest to prawdą, czy nie, zadecydujemy później. Ważne jest to, co mamy zrobić teraz? Scholder przejął inicjatywę.

— Sprawą trzeba zainteresować RN, niech wdrożą śledztwo — rzekł — a jeśli tu na miejscu będą stawiać opór, to niech RN wyśle MPSZ, żeby zaprowadzić porządek.

— Poczekajcie, ale... — zaczął Hallman.

— To jedyne wyjście — upierał się Scholder.

— A rząd Brazylii? Czy myślicie, że oni wiedzą, jak jest naprawdę? — zapytał Eddie.

— Wiedzą o istnieniu „Organów”, to oczywiste. Ale myślę, że są przekonani, iż chodzi o placówkę badawczą układu przyczynowo--skutkowego podróży w czasie. Krótko mówiąc, podano im tylko wersję oficjalną, żeby dochowali tajemnicy.

— Chwileczkę — przerwał Adamson — może by któryś z was wyjaśnił, o co właściwie chodzi. Co to jest RN i co to jest MPSZ? O czym wy właściwie mówicie?

— Świat, w którym jesteśmy, już od stulecia nie zna wojen, to znaczy od 1918 roku, od zakończenia Wielkiej Wojny. Poszczególne państwa nie mają już wojsk i armii. Międzynarodowe spory i konflikty rozwiązuje się zupełnie inaczej. Ale od czasu do czasu wybuchają jednak lokalne starcia i pojawia się potrzeba zdecydowanych działań. Nie ma co prawda jednego rządu światowego, ale wszystkie

państwa należą do Rady Narodów, RN, która rozstrzyga wszelkie międzypaństwowe spory, jak Liga Narodów, którą pewnie znacie, tylko że Rada działa skutecznie. Pod egidą Rady powołano

Międzynarodowe Połączone Siły Zbrojne, instrument władzy wdrażający jej postanowienia.

Adamson skinął głową na znak, że rozumie.

— Okay — rzekł, zwracając się do Hallmana — oznacza to, że dysponujecie stosownymi środkami do załatwienia sprawy. Osobiście nie chciałbym się do niczego mieszać. Wyszedłem rano do pracy, jak zwykle, i nie było moim zamiarem przenosić się w inne stulecie. To nie jest moja epoka i nie moja sprawa, ale myślę sobie, że można by zorganizować trochę ludzi, przejąć projektor i odesłać nas z powrotem. A później możecie się zastanawiać nad tym, co dalej zrobić z tym fantem.

Hallman spojrział na niego zaskoczony.

— Odesłać was? Chyba pan żartuje. To nie może być tak, że raptem zjawiacie się nie wiadomo skąd, opowiadacie zupełnie nieprawdopodobną historię, a za chwilę chcecie zniknąć, jak gdyby nigdy nic, i nikt nie może powiedzieć, co właściwie zaczęliście.

— Co to znaczy: zaczęliście? — zaprotestował zaniepokojony Adamson. — To ta wasza cholerna maszyna ściągnęła nas tutaj. A my...

— To wy wkradliście się w nasz zakres — odparł Hallman. Starszy Scholder machnął ręką z rezygnacją.

— No dobrze — powiedział — jak już mamy tu zostać na trochę, to niech tak będzie. Rozumiem, że rozwikłanie tego wszystkiego potrwa jakiś czas. Ale jest tu gdzieś jeszcze dwójka naszych ludzi.

Trzeba ich odnaleźć, nim cokolwiek postanowimy i zaczniemy działać.

Hallman wziął głęboki oddech, jakby jego cierpliwość była na wyczerpaniu, a następnie rzekł:

— Myślę jednak, że trzeba ich oddać w ręce bezpieczeństwa. Sądzę, że to nie nasza sprawa.

— To może zbyt pośpieszna decyzja, John — ostrzegł Sen. — Jeśli ta cała historia jest prawdziwa, to zbyt duże zaufanie do służb bezpieczeństwa może być błędem. Bezpieczeństwo i ochrona podlegają kierownictwu, a kierownictwo, no właśnie...

Hallman przyjął to z wyraźnym niezadowoleniem, ale nie kontynuował sporu.

— No dobrze, więc co robimy? — zapytał.

— Ja myślę, że trzeba sprawę przedstawić doktorowi Pfanzerowi — rzekł Sen, a zwracając się do Scholdera zapytał: — Można mu ufać?

— O ile wiem, tak — odparł Scholder.

Hallman jeszcze się wahał. Był uczonym, a więc niechętnie mieszał się do polityki. Z drugiej jednak

strony był też — jak wszyscy naukowcy — ogromnie ciekaw, a cała sprawa wydawała mu się zbyt intrygująca, żeby tak po prostu przekazać ją w inne ręce.

Nim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, młodszy z Scholderów, który siedział kołysząc się na krześle i patrzył zamyślony w przestrzeń, zapytał:

— Powiedzcie mi, pytam z prostej ciekawości, czy mówi wam coś słowo „Proteusz”?

— A owszem — odrzekł starszy Scholder — to kryptonim naszej misji, tej którą wysłano z roku 1975

do 1939. A dlaczego?

— To wyjaśnia sprawę — rzekł młodszy Scholder. — Tuż przed alarmem rozmawiałem ze znajomymi na dyżurze w Nadzorze Trans-lokacji. Powiedzieli mi, że dziś rano wystąpiły dziwne zakłócenia wiązki inicjującej. Czegoś podobnego nie notowano do tej pory. Powtórzyło się to tuż przed południem. Najbardziej zagadkowe było to, że kiedy całą rzecz poddano analizie

komputerowej, to okazało się, że mamy do czynienia z zapisem alfabetu Morse'a i że zakłócenia układają się właśnie w słowo „Proteusz”.

— To był sygnał od nas — potwierdził Scholder.

— Nie rozumiem — wtrącił Sen.

— Otóż jak tylko uzyskaliśmy częściowe połączenie, to próbowaliśmy wysłać sygnał do naszej bazy w roku 1975... — nagle zaniemówił, jakby coś innego przyszło mu do głowy. — Przepraszam... kiedy nastąpiły te zakłócenia... dziś rano? Niesamowite!

— Ostatnie zakłócenia wystąpiły mniej więcej przed trzema godzinami. Poprzednie chyba cztery godziny wcześniej, jak mi mówiono — odparł młodszy Scholder.

— Ależ myśmy wysyłali te sygnały jeszcze w styczniu! Prawda, Keith? — rzekł Scholder, patrząc na Adamsona. — Wcześniej jeszcze próbowaliśmy zadziałać w podobny sposób w grudniu, gdzieś w okolicach Świąt Bożego Narodzenia... Nie rózu... — Nagle oczy Scholdera rozblęskły, jakby znalazł wyjaśnienie. — No oczywiście — szepnął. — Mój Boże... nie pomyślałem o tym wcześniej, mając umysł zajęty natłokiem wydarzeń.

— O co chodzi, Kurt? — zapytał Adamson. Scholder podszedł do biurka.

— Pozwól mi na sekundę — rzekł do Eddiego, włączając jego komputer. — Einstein, wiecie, że pracuje z nami, otóż Einstein obliczył, że czas biegnie wolniej w miarę, jak zdążamy ku przyszłości.

Określił wzór, zgodnie z którym upływ czasu rośnie do czwartej potęgi, gdy podróżujemy w przeszłość i maleje o taki sam współczynnik, gdy przesuujemy się ku przyszłości. — Wprowadził dane do komputera. — Keith, pamiętasz, że obliczaliśmy, iż w docelowym punkcie upływ czasu zostanie zwolniony o współczynnik pięć przecinek siedem?

— Tak, pamiętam — odparł Adamson.

Scholder popatrzył na wynik obliczenia na monitorze. Po chwili zaś rzekł:

— No właśnie, ale zakładaliśmy, że translokacja nastąpi do roku 1975, a więc do przyszłości odległej o trzydzieści pięć lat. Tymczasem zjawiliśmy się w epoce odległej od naszej o osiemdziesiąt cztery lata. Stosowny współczynnik, według wzoru, wynosi więc dwieście, a nie pięć przecinek siedem. —

Adamson nie ogarniał konsekwencji tej konstatacji. — Jesteśmy w tym świecie od dwóch godzin — wyjaśnił Scholder — co oznacza, że w naszym świecie minęło już szesnaście dni od naszego wyjazdu z Nowego Jorku. Tam u nas jest już połowa marca. Obawiam się, że twoja małżonka jest bardzo zaniepokojona tym, co się z tobą stało.

Te obliczenia rzucały nowe światło na kilka spraw. Scholder zrozumiał, dlaczego kwestia precyzyjnego określenia momentu trans-lokacji do Niemiec miała takie wielkie znaczenie. Minutowe opóźnienie w roku 2025 równało się stracie ponad trzech godzin według miary roku 1940. Nic więc dziwnego, że większość prac planistycznych pochodzi z ówczesnych Niemiec i tam również, a nie w dzisiejszej Brazylii, odbywały się ważniejsze spotkania. Ale chodziło także o coś więcej.

Twardym wzrokiem spojrzął na Hallmana.

— Nie ma czasu na zabawy z Radą Narodów — powiedział. — Nie ma chwili do stracenia, rozumie pan? W świecie, z którego przybyliśmy, czas biegnie dwieście razy szybciej. Każde dwa dni stracone tutaj, to ponad rok zwłoki tam, w świecie, w którym cywilizacja pada ofiarą barbarzyństwa, jakiego wy tutaj nie jesteście w stanie sobie wyobrazić. Ale to wasz świat rozpełtał te okropności. Bomby, które mają spaść w roku 1942, są montowane właśnie teraz.

Niech pan o tym pomyśli, doktorze Hallman! Niech pan sobie wyobrazi, że tu, w tym pańskim wygodnym świecie, znalazłby się szalenię z bronią nuklearną. Niech pan o tym pomyśli, zanim odda nas pan w ręce służb bezpieczeństwa i każe czekać, aż zjawi się ktoś z Rady Narodów.

Scholder zamilkł i zapadła cisza. Przerwał ją Hallman:

— Chodźmy do Pfanzera — rzekł krótko.

Wiadomość, że po zniknięciu Winslade'a, Anny i Scholdera oraz amerykańskiego pułkownika nie otrzymano od nich żadnego sygnału, poruszyła Churchilla i jego zwolenników w Anglii. Kiedy zaś minęły kolejne dwa tygodnie i w dalszym ciągu nie było wiadomości, wszystkich ogarnęło uczucie wielkiego zawodu.

W nowej sytuacji, także z powodu braku pewności co do powodzenia misji „Łącznika”, sprawą o pierwszorzędym znaczeniu stała się budowa bomby atomowej. Chodziło o likwidację przewagi, jaką w tej dziedzinie mieli naziści. Większość amerykańskich fizyków zajęta jednak była pracami

związanymi z projektorem powrotnym; trzeba było ustalić, gdzie tkwi błąd i dlaczego nie ma

łączości z Winslade'em i resztą. Przeważający wysiłek w zakresie badań atomowych musiała

podjąć Wielka Brytania. Prace prowadzono przede wszystkim w Londynie, Liverpoolu i

Birmingham. W Londynie, w Imperial College, profesor Thomson badał szybkie i wolne neutrony, korzystając z poparcia Ministerstwa Lotnictwa. W Liverpoolu kierownikiem badań był James

Chadwick — odkrywca neutronów.

W Birmingham natomiast Lindemann wprowadził Gordona Selby'ego do grupy naukowców

pracujących nad problemem rozbicia atomu pod kierunkiem profesora Rudolfa Peierlsa i doktora Ottona Frischa, tego samego doktora Frischa, który w grudniu 1938 roku przekazał ze Szwecji do Kopenhagi wiadomość o berlińskich eksperymentach Hahna-Strassemanna. Gdy wybuchła wojna,

Otto Frisch przebywał w Anglii z krótką wizytą i postanowił zostać. Głównie dzięki niemu dość szybko ustalono w Birmingham, że krytyczna masa uranu 235, a więc minimalna ilość potrzebna do wyprodukowania bomby, to nie całe tony materiału — jak pierwotnie przypuszczano — ale

kilkadziesiąt uncji. To przełomowe odkrycie ostatecznie przekonało wszystkich, że uzyskanie broni atomowej możliwe jest nie tylko w teorii, ale także w praktyce. W odpowiedzi na list podpisany przez Peierlsa i Frischa, a także pod wpływem energicznych zabiegów Lindemanna, władze

powołały komisję, która zasłynęła później pod nazwą Komitetu Maud, do nadzorowania dalszych prac w dziedzinie badań atomowych. Co się zaś tyczy Selby'ego, to Lindemann wyjaśniał zdziwionym Brytyjczykom, że pozyskał go od Amerykanów w ramach programu wymiany naukowej. „Nie

wyobrażacie sobie, co Amerykanie teraz robią — mówił. — W niektórych dziedzinach wyprzedzają swoją epokę” — dodawał zgodnie z prawdą.

Tymczasem wojna rosyjsko-niemiecka, która w świecie „Proteusza” trwała aż do czerwca, skończyła się

„przedwcześnie”, ku zaskoczeniu grupy przygotowującej operację aliantów w Norwegii. Stało się tak dlatego, że po zawarciu paktu z Hitlerem — co nastąpiło tylko w tym świecie — Stalin mógł

skierować na front fiński znacznie większe siły i ostatecznie rozstrzygnąć losy wojny. W tej sytuacji nie można już było skorzystać z fińskiego pretekstu, jeśli chodzi o działania w Norwegii. Churchill jednak w dalszym ciągu naciskał na realizację planu lądowania w Norwegii.

„Do diabła z Finlandią — gromił oponentów na posiedzeniu Gabinetu Wojennego. — Zaminujemy

Leads i ruszymy dalej, jak tylko Niemcy coś złączą. A jeśli Niemcy nic nie złączą, to do diabła z nimi. Wejdziemy do Norwegii tak czy owak”.

Churchill zabiegał o ostateczne decyzje, aby uprzedzić spodziewany w maju niemiecki desant w Skandynawii. Udało mu się przekonać Gabinet Wojenny i zapadła wreszcie decyzja o wysłaniu angielsko--francuskiego korpusu ekspedycyjnego jeszcze w kwietniu.

Churchill i jego zwolennicy nie wiedzieli jednak, że po incydencie ze statkiem Cossack również admirał Raeder zaczął naciskać na Hitlera, żeby ten przyspieszył datę niemieckiej inwazji na Norwegię. Po pakcie ze Stalinem można było wydzielić pewne jednostki frontowe i Hitler wyraził zgodę. Datę niemieckiej operacji w Norwegii również wyznaczono na kwiecień.

W wielkim gabinecie za podwójnymi drzwiami, na najwyższym piętrze gmachu dowództwa

Abwehry, admirał Wilhelm Canaris — szef wywiadu wojskowego — przeglądał dokumenty, które przyniósł pułkownik Piekenbrock. Za fotelem Canarisa stał jego adiutant, pułkownik Oster, a kilka kroków dalej — jak nakazywała etykieta wojskowa oficerom niższej rangi — podpułkownik Boeckel.

— A więc nie marny, jak na razie, pewności, czy rzeczywiście przedostali się do Niemiec — rzekł Canaris, podnosząc wzrok znad dokumentów.

— Nie, tego jeszcze nie wiemy — odparł Piekenbrock. — Ostatni ślad, jaki mamy, to fotografia tej trójki na schodach Admiralicji, z 18 lutego. Gdyby nie ten kretyn, w Nowym Jorku, który wbrew wyraźnym rozkazom wszedł, gdzie nie potrzeba i dał się aresztować, to pewnie wiedzielibyśmy więcej.

— Szkolili się w Nowym Jorku w czerwcu — wtrącił się Oster. — Później, w październiku, w Białym Domu odbyła się ceremonia pożegnania, czy coś w tym rodzaju. Następny ślad to Londyn w lutym...

Jedno można powiedzieć: są coraz bliżej.

— Właśnie — rzekł Piekenbrock, a następnie zwrócił uwagę zebranych na kilka wycinków

prasowych i jeszcze inne dokumenty, i dodał: — Zastanawiam się, czy te sprawy nie mają coś z tym wspólnego. Proszę popatrzeć: początek marca, wizyta podsekretarza stanu Sum-nera Wellsa w

Berlinie i w Rzymie; mniej więcej w tym samym czasie przebywał w Niemczech z prywatną misją pokojową James Mooney, wiceszef General Motors. Zbieg okoliczności czy może coś innego? Nie wykluczałbym, że oficjalni goście mogli przekazywać jakieś sygnały dywersantom, którzy tymczasem zdołali przeniknąć już do Niemiec.

— No cóż, to interesująca hipoteza — mruknął Canaris. — A co z pańskim przypuszczeniem, że tłem tego wszystkiego są sprawy związane z badaniami atomowymi?

Piekenbrock spojrział pytająco na Boeckela.

— Sprawdziałem listę i sytuację placówek badawczych, panie admirale, i wydaje mi się, że tej hipotezy jednak nie można uzasadnić — rzekł Boeckel. — Profesor Esau, który prowadzi badania pod protektoratem Ministerstwa Oświaty, narzeka na brak funduszy. Ludzie z Instytutu Cesarza Wilhelma, z którymi rozmawiałem, sądzą, że jakiegokolwiek znaczące wyniki badań osiągnie się nie wcześniej niż za parę lat. Laboratorium Heisenberga w Lipsku zajmuje się wyłącznie rozważaniami teoretycznymi, a zespół Diebnera, pracujący pod przewodnictwem Departamentu Uzbrojenia w

Gottow, ciągle jeszcze nie ma budżetu... — Boeckel rozłożył ręce. — Jak panowie widzą, żadna z tych placówek nie nadaje się raczej na cel poważnej akcji ze strony naszych wrogów.

— Gottow — powtórzył Oster. — Ależ tam trwają prace nad raketami. Może o to chodzi?

— Nie można tego wykluczyć — zgodził się Canaris. — Myślę, że trzeba wzmóc ochronę zakładów.

Należą do wojska, więc nie powinno z tym być żadnych trudności. Czy mają panowie coś jeszcze do przekazania. — Piekenbrock i Oster oznajmili, że nie. — A więc — zaczął Canaris, ale przerwał

widząc, że Boeckel chce coś powiedzieć. — Słucham?

— Jest jeszcze jedna sprawa, panie admirale, której niestety nie zdołałem rozpoznać do końca —

rzekł Boeckel. — Otóż SS zawiaduje pewną utajnioną placówką w zakładach amunicji w

Weissenbergu, w pobliżu Lipska. Powiada się, że prowadzone są tam badania atomowe. Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej, ale natrafiłem na mur milczenia i wręcz groźby. Ludzie Himmlera nie chcą, żebyśmy się w to mieszały.

Piekenbrock potwierdził meldunek podwładnego i dodał:

— Właśnie dziś rano rozmawialiśmy o tym z podpułkownikiem Boeckelem. Być może badania atomowe to tylko kamuflaż, a w istocie dzieje się coś jeszcze innego.

— I myśli pan, że Amerykanie mogą o tym wiedzieć? — wtrącił Oster.

— Nie wykluczam, że wiedzą coś, czego nawet my nie wiemy — rzekł półgłosem Canaris. Zabębnił

palcami o biurko i wsparł się na krześle. Od intryg i wzajemnych animozji w III Rzeszy wrzało jak w gnieździe os. Zawieść nie oszczędziła także jego samego. Był dowódcą okrętu podwodnego w czasach Wielkiej Wojny i identyfikował się z dawnym korpusem oficerskim i jego tradycjami. Owszem, z całą ostentacją podtrzymywał dobre stosunki ze swoimi odpowiednikami z innych służb, oni jednak radzi byliby podporządkować sobie wywiad wojskowy. Z Heydrichem mieszkał nawet po sąsiedzku w

Berlinie. Himmlerem gardził. Nie znosił tego byłego hodowcy drobiu, jego prymitywnego antysemityzmu i pseudogermańskiej mitologii. Himmler ze swej strony nie ufał nikomu, kto wywodził się z regularnej armii. Wojsko bowiem stanowiło — w jego pojęciu — główną przeszkodę na drodze stworzenia państwa pod przywództwem SS.

Czyż więc on, Canaris, miałby teraz sprezentować za darmo temu właśnie Himmlerowi ceną dlań informację, że któraś z jego placówek może być zagrożona? Jeśli wiadomość sprawdziłaby się, to i tak nikt mu nie podziękuje. Z drugiej strony żadna sprawa, na którą natrafia Gestapo i SD, czyli himmlerowska policja i wywiad, nie jest ujawniana nikomu. Krótko mówiąc, gdyby nawet poszedł Himmlerowi na rękę, to i tak nie otrzyma nic w rewanżu.

— Proszę przygotować pełne sprawozdanie dla OKW — rzekł. — Prześlemy je do dowództwa naczelnego niemieckich sił zbrojnych, do Keitela, niech on zadecyduje, co dalej.

— Nie zamierza pan ostrzec Himmlera? — upewnił się Piekenbrock.

— Nie widzę potrzeby — odparł Canaris. — Pracujemy dla Wehrmachtu, a nie dla Himmlera. A zresztą, podpułkownik Boeckel próbował ich ostrzec i co, zbyto go niczym. Nie, Hans. Prześlemy to kanałem oficjalnym, a Keitel, jak zechce, przedstawi sprawę Führerowi. Jeśli Führer uzna za stosowne, to poinformuje Himmlera. Ale to już nie nasza kompetencja, panowie.

Upłynęły trzy kolejne dni i ciągle nie było wiadomości o majorze Warrenie i Paddym Rynie.

Czwórka oczekujących zaczęła się niecierpliwić, co było zrozumiałe, byli przecież gotowi do akcji.

— Myślę, że sprawa jest jasna — rzekł Cassidy, chodząc niespokojnie po stodole. Większość czasu spędzał teraz z Ferracinim w kryjówce Eda i Floyda. Musieli przecież opracować ostateczny plan, a nie chcieli narażać państwa Knacke na niepotrzebne ryzyko, ktoś mógł zwrócić uwagę, że w domu są obcy. — Jesteśmy w Niemczech już od trzech tygodni, Harry. Jak długo jeszcze mamy czekać?

Ryzyko rośnie z każdym dniem. Wcześniej czy później będziemy musieli przyjąć do wiadomości, że pozostała dwójka wcale się nie pojawi. Co do mnie, to jestem za tym, żebyśmy zaczęli.

Ferracini potrząsnął głową. Siedział ukryty za snopkiem siana i obserwował wejście do stodoły. Pod nieobecność Warrena on właśnie, jako najstarszy stopniem, sprawował dowództwo grupy.

— Przy zadaniu tej miary liczy się każdy człowiek, warto więc jeszcze trochę poczekać. Major i Paddy to jedna trzecia naszych sił. Poczekamy jeszcze tydzień.

— Cały tydzień? Przesadzasz.

— To jeszcze nie jest tak źle — rzekł Ed Payne. Siedział w kucki, niczym Budda, między sprzętem i złożonymi kocami i pilnował wrzątku na maszynie naftowej. — Pamiętam, że opowiadaliście, jak to ostatnim razem, chyba w 1971 roku, siedzieliście tu z Harrym w lesie przez cały miesiąc.

— Przez dwa tygodnie — sprostował Ferracini. — W fabryce prowadzono wtedy jakieś eksperymenty z gazem paraliżującym i mieliśmy zdobyć próbki, którymi w Stanach ktoś się interesował. Nie doszło jednak do kontaktu z naszymi agentami tu na miejscu.

Payne uniósł brwi.

— I była to ta sama fabryka... Weissenberg? — zapytał.

— Właśnie. A później dowiedzieliśmy się, że jeden z łączników naszego człowieka był wtyczką Gestapo i to on go wydał. Przypiekali mu stopy palnikiem do spawania, ale nic nie powiedział.

Natomiast ciało informatora z przestrzeloną głową znaleziono później w rzece.

— W ogóle były to inne czasy — rzekł Cassidy. — Pamiętam taką jedną dziewczynkę... Mieszkała nad rzeką. Przypominasz sobie, Harry? Miała rude włosy i zielone jak kot oczy. Mieszkała z bratem, który zdezerterował z wojska i ukrywał się, po tym jak zobaczył, co armia wyczynia w Afryce.

— To ten, który pilnował śluzy?

— Właśnie.

Ferracini potrząsnął głową z wyraźną przyganą.

— Ty głupku, wiedziałem, że coś kręcisz z jego siostrą. Ty chyba już nigdy się nie nauczysz ostrożności.

— No wiesz, trzeba było coś robić w wolnym czasie — mruknął Cassidy.

— Idź zobacz, może ta baba jeszcze tam mieszka — wtrącił Paddy.

— Nie miałby z niej pożytku w 1940 roku — rzekł Ferracini. Uśmiechnął się i dodał: — A może cię nie doceniamy? Payne wsypał trochę kawy do imbryka.

— Wiecie — rzekł, zmieniając temat — zastanawiałem się nad tym, co Gustav robi w fabryce.

Chodzi mi o te maski przeciwigazowe i tym podobne rzeczy. Wydaje mi się, że moglibyśmy wykonać

zadanie nawet bez sprzętu z Anglii...

— Sza! — przerwał mu Ferracini, który dostrzegł jakiś ruch za drzewami. Przez chwilę obserwował z napięciem, po czym odprężył się. — To tylko Floyd — powiedział uspokojony.

— Jest żarcie — rzekł Payne. Sięgnął za siebie po przybory kuchenne i przyprawy. Cassidy opuścił drabinę i po chwili na stryszku stodoły pojawił się Lamson ze sporym workiem w ręku. Payne zajrzał do środka i wyjął dwa króliki, bażanta, trochę ziemniaków, cebulę i marchew. — Na dziś — powiedział — szef kuchni poleca wiejski gulasz.

— No dobra — wtrącił Lamson — ale cośmy właściwie ustalili.

— Damy im jeszcze tydzień — odparł Ferracini. Lamson obojętnie kiwnął głową, a zza paska wyjął duży nóż o podwójnym ostrzu.

— Mam nadzieję, chłopcy, że lubicie króliki — powiedział, zabierając się do zdjęcia skóry ze zdobyczy.

ROZDZIAŁ 40

— Czasami myślę — rzekł Winslade — że w życiu to jest tak: w miarę jak się starzejemy, zaczynamy dochodzić do wniosku, że wcale nie jesteśmy tacy mądrzy, jak nam się wydawało za młodu. — Odchylił się na kręconym krześle biurowym, westchnął i przez chwilę patrzył na dwóch wartowników w szarych mundurach stojących w milczeniu przy drzwiach. Podczas rewizji znaleziono przy nim egzemplarz miesięcznika „Reader's Digest” z lutego 1940 roku, który czytał był w czasie podróży z Anglii do Nowego Jorku. Kilka artykułów w tym właśnie numerze poświęcono Hitlerowi, nazistom i wojnie w Europie, co oczywiście dezawuowało historię, jaką naprędce wymyślili z Anną, żeby zwieść prześladowców i dać szansę Scholderowi. Kahleb i jego ludzie wyszli na naradę i czekali na kogoś z wyższych władz, kto podobno już był w drodze.

Anna Kharkiovitch siedziała po drugiej stronie niskiego okrągłego stolika, a na jej twarzy ukazał się nieznaczny uśmiech.

— No cóż — powiedziała — ważne jest to, że mimo błędów i niedoskonałości jednak żyjemy. Pomyśl o tym, że nasz gatunek nie miałby zbyt wiele szans, gdyby nie to, że hartował się, popełniając błędy.

W przeciwnym razie ludzki rodzaj dawno już przestałby istnieć.

— Można to i tak ująć — odparł Winslade. — Nie wiedziałem, że lubisz pofilozofować.

— Czyżby? — Anna spojrzała nań znacząco, a ton jej głosu wyrażał więcej niż słowa.

— Rozumiem, że mam zapytać, co właściwie chciałaś przez to powiedzieć — rzekł Winslade.

— Wydaje mi się, Claud, że znasz na wylot wszystkich z naszej ekipy — powiedziała. — Oczywiście wiem, że do operacji takiej jak nasza zawsze niezwykle starannie dobiera się kandydatów i zdaję sobie sprawę, że przy najmniejszym nawet zastrzeżeniu następuje dyskwalifikacja... ale chodzi mi o coś innego.

Winslade skinął głową. Nie wyglądało na to, że jest zaskoczony.

— No więc? — zachęcił Annę.

— Zastanowiło mnie kilka spraw — odparła Anna, podkreślając treść gestem dłoni. — Po pierwsze skład naszej misji, a zwłaszcza włączenie grupy wojskowych z Harveyem Warrenem. Mam wrażenie, że ci chłopcy zostali idealnie wręcz dobrani do wykonania zadania, o którym decyzje zapadały jednak znacznie później. Ryan to nurek, Payne... chemik, wszyscy z doświadczeniem operacyjnym dokładnie na tym terenie, na którym mają działać... Wydaje mi się, iż wiedziałeś, że wystąpią problemy z projektorem powrotnym i że nie doczekamy się pomocy z zewnątrz. Po drugie zostawiłeś Arthura w Anglii, żeby naciskał na delegowanie do Moskwy Edena zamiast Stranga, jakbyś

wiedział, że w stosownym czasie nie uzyskamy łączności z Johnem Fitzgeraldem i jego ludźmi.

Rozumiesz mnie? To wszystko nie mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności.

A i teraz myślę, że dobrze wiedziałeś, co i jak robisz, gdy chodziło o odwrócenie uwagi ludzi

„Suzerena”, żeby dać szansę Kurtowi i Adamsonowi. Wiem oczywiście, że na monitorze pokazał się tylko standardowy wykaz funkcji komputera, ale rzecz polega na tym, że wiedziałeś, jak to

uruchomić i wywołać. Widzisz, Claud, już od dawna zastanawiam się nad tym, jak to się dzieje, że ty... — Anna przerwała nagle... Usłyszeli jakieś hałasy i odgłos szybkich kroków.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju weszła cała gromada ludzi pod wodzą dwóch mężczyzn o zdecydowanym wyglądzie, w szarych ubraniach. Przed sobą popychali strażników, którzy pełnili wartę przed drzwiami na zewnątrz.

Jeden z wartowników, którzy pilnowali Annę i Clauda wewnątrz pokoju, sięgnął po broń, po sekundzie jednak zmienił zdanie i zaczął mówić:

— Przepraszam pana, ale...

— Zejść mi z drogi! — wykrzyknął nie znoszącym sprzeciwu tonem wyższy z dwóch mężczyzn w

szarych ubraniach.

— Ale polecono mi...

— Są już inne polecenia.

Wartownicy stracili głowę i nie bardzo wiedzieli, jak mają zareagować. Do pokoju tymczasem w dalszym ciągu wdzierali się ludzie.

Spomiędzy nich wyłonił się Kurt Scholder, ciągnąc za sobą Adam-sona, i skierował się do Anny i Winslade'a, którzy tymczasem zerwali się na równe nogi.

— Nic wam nie jest? — zapytał Scholder.

— W porządku — odparł Winslade.

— To ta dwójka? — upewnił się jeden z liderów, kierując pytanie do Scholdera. .

— Tak jest.

— Nazywam się Pfanzer — rzekł ten, który zadał pytanie. — Kieruję tu jednym z zespołów.

Jorgassen — wskazał na swego towarzysza — jest zastępcą dyrektora. Nie bardzo jeszcze wiem, jak potraktować całą tę historię, którą nam przedstawiono. Na wszelki wypadek jednak postanowiliśmy was uwolnić i zająć się wami do czasu, aż zjawi się ktoś z władz, które ostatecznie zadecydują o sprawie. Teraz udamy się do Centrali Łączności Specjalnej, żeby się z nimi porozumieć. Placówka nie jest podłączona do zwykłej sieci telekomunikacyjnej z uwagi na konieczność zachowania

tajemnicy badań. Jak dotrzemy do Centrali, to proponuję...

Za drzwiami znów rozległy się hałasy i po chwili pojawił się Kahleb ze swoimi współpracownikami.

Zaciskał szczęki i widać było, że jest po prostu wściekły.

— Rozkazałem, żeby nikogo nie wpuszczać! — krzyknął na wartowników. — Kto śmiał zmienić moje rozkazy? Co się tutaj dzieje?

— Ja! — odparł Jorgassen, przytrzymując Kahleba. — Ja wydałem nowe polecenia, a o tym, co się dzieje... to my chcielibyśmy się dowiedzieć.

Dopiero teraz Kahleb zauważył Scholdera i Adamsona.

— To są zbiegowie — rzucił rozkaz wartownikom — zatrzymać ich!

Strażnicy nie bardzo wiedzieli, jak postąpić. Nim jednak zdolali coś powiedzieć, stanął przed nimi T'ung-Sen.

— On już nie wydaje rozkazów — powiedział, wskazując na Kahleba.

— Macie mnie słuchać! — wykrzyknął Kahleb. — Ci ludzie nie mają tu nic do powiedzenia!

— Przejmujemy kierownictwo do czasu wyjaśnienia wszelkich wątpliwości — rzekł Pfanzer, zajmując miejsce obok Sena. — Nastąpiło złamanie przepisów i chcemy wiedzieć, kto i dlaczego do tego dopuścił.

— Co za bezczelność. Proszę natychmiast opuścić to miejsce i wrócić do siebie.

— Nie, przynajmniej do czasu, aż uzyskamy wyjaśnienie, skąd on się tutaj wziął — rzekł Eddie, wskazując na Scholdera ruchem głowy. — To autentyczny duplikat Kurta Scholdera, tylko

trzydzieści lat starszy.

— Chyba nie wierzysz w te ich bajeczki! — wykrzyknął Kahleb. — To przecież kompletna bzdura, na litość boską! Mamy do czynienia z agentami jakiejś siatki szpiegowskiej, agentami, którzy wdarli się tutaj wbrew wszystkiemu. Właśnie badamy całą sprawę i dlatego nałożyliśmy na nich areszt.

Kahleb sprawiał wrażenie pewnego siebie, a to, co mówił, brzmiało dość przekonująco, żeby zasiać ziarno wątpliwości. Jego teoria była mniej fantastyczna i bardziej prawdopodobna niż to, co opowiadał Scholder. Atmosfera w pokoju gęstniała. Tu i ówdzie wymieniano spojrzenia pełne zwątpienia i niewiary.

— Czy masz dowody? — zaripostował Pfanzer. Stracił jednak rezon i czuł się niepewnie, zwłaszcza że w tłumie, który mu towarzyszył, gasł zapal i zaczęło zapadać kłopotliwe milczenie.

Kahleb wyczuł przewagę i ruszył za ciosem.

— Dowody? Nie mam żadnego obowiązku uzasadniania swoich decyzji przed nikim z was. A nawet gdybym miał, to i tak wyjaśnianie czegokolwiek w tej atmosferze polowania na czarownice, jaką tu stworzyliście, nie miałyby najmniejszego sensu. Mówiłem już, że tych ludzi zatrzymano po stwierdzeniu, że znaleźli się tutaj nielegalnie. Co więcej, nie potrafią się w żaden sposób wytłumaczyć. Prowadzimy wstępne przesłuchanie, żeby zdecydować, gdzie ich przekazać. A teraz proszę się uspokoić, zostawić tych ludzi nam i wracać do swoich zajęć.

Śniady, muskularny mężczyzna, który zjawił się razem z Kahlebem, zaczął wymachiwać rękami, żeby pośpieszyć tłum.

— Już koniec — mówił — nic się nie stało. Jesteśmy wdzięczni za doprowadzenie zbiegów, ale teraz wracajcie na swoje stanowiska pracy. Wychodzić, wychodzić, zabawa skończona!

Winslade myślał gorączkowo, co ma zrobić. Nadzieje, które można było żywić jeszcze przed kilkoma minutami, runęły jak domek z kart. Analizował sytuację i w myśli ważył różne warianty, nie dzieląc się z Anną z uwagi na obecność uzbrojonych strażników. Raptem zdał sobie sprawę, że fakt, iż znaleźli się w tym miejscu, może okazać się zbawienny.

„Obuch”, czyli nazistowski ośrodek powrotny, został starannie zabezpieczony przed penetracją z zewnątrz, podobnie zresztą jak „Organy”.

Ale właśnie... z zewnątrz.

W obu placówkach popełniono ten sam błąd. Projektanci i budowniczowie myśleli tylko o zabezpieczeniu ośrodków przed ewentualną groźbą czynników zewnętrznych. Tymczasem do jednej i drugiej placówki prowadziła także droga, o której nikt nie pomyślał. Owszem „Obuch” i „Organy” dzieli przepaść w wymiarze czasu, a przecież obie placówki bezpośrednio ze sobą sąsiadowały.

Stanowiły jakby rogatki, na dwóch krańcach jednej i tej samej szosy, albo zamki warowne połączone wspólnym tunelem. Projektantom i budowniczym nie przyszło do głowy, aby wbudować zabezpieczenia również w owym tunelu, co było zrozumiałe, bo nikt nie zakładał, że może tam pojawić się ktoś obcy, ktoś znikąd.

Tymczasem tak się stało z Winslade'em i jego towarzyszami. Tego właśnie dokonali. I oto teraz znaleźli się u wlotu tunelu, który prowadził prosto do celu całej misji „Proteusza”. Na odprawach

„Łącznika” w Londynie Winslade wyjaśniał, że sztolnia i prowadzący do niej chodnik, od strony opuszczonej kopalni, to „kuchenne wejście” do pomieszczeń „Obucha”. Winslade zdał sobie sprawę, że oto otwiera się przed nim możliwość dotarcia do celu głównym wejściem. Taka szansa zaistniała właśnie tu i właśnie teraz.

— Może to i racja — zaczął mówić ktoś z tłumu — skoro nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa — ciągnął, jakby usprawiedliwiając się — ...ale też trzeba zrozumieć nasze zaniepokojenie...

— Ależ oczywiście — odparł Kahleb pojednawczo. — Ja też tak myślałem, ale teraz całą sprawę zostawcie nam.

Jeden z wartowników stał parę kroków od Winslade'a, nie patrzył jednak na Clauda. Wzrok

skierował w stronę rozmówców. Nie miał się na baczności, przeciwnie — rozluźniał się w miarę, jak wśród zebranych ustępowało napięcie. Zresztą należał tylko do służby ochrony budynku, która znacznie częściej wykonywała funkcje czysto ceremonialne niż operacyjne. Kandydatów do ochrony ani nie dobierano tak starannie, ani nie szkolono tak dokładnie jak żołnierzy oddziałów specjalnych.

Winslade pomyślał teraz o ryzyku, jakie wzięli na siebie — z jego, Winslade'a, poręki — major Warren ze swoimi ludźmi. Nie wolno mu było nie podjąć podobnego ryzyka, żeby osiągnąć wspólny

przecież cel, skoro już nadarzała się okazja.

— A może by ktoś wreszcie wysłuchał, co my mamy do powiedzenia — rzekł gromkim głosem, przesuając się jednocześnie parę kroków do przodu, żeby wszyscy zwrócili nań uwagę. Oczy zebranych skierowały się na niego. Wyciągnął rękę, uniósł palec wskazujący. Zrobił to tak

naturalnie i tak stosownie do okoliczności, że strażnik nawet okiem nie mrugnął, gdy przysunął się do niego. I wtedy Winslade wyprowadził cios, jednocześnie przykucnął i łokciem wymierzył drugie uderzenie prosto w splot słoneczny nieszczęśnika. Odskoczył, żeby uniknąć kolizji z ciałem, które spazmatycznie przegięło się do przodu, a jednocześnie wyprostował się i kantem dłoni uderzył

strażnika w kark. Strażnik zwalił się na podłogę, ale nim jeszcze upadł, Winslade wyszarpnął automat z jego kurczowo zaciśniętej dłoni. Wycelował broń w stronę drugiego wartownika, który właśnie sięgał ręką do kabury. Strażnik zamarł. Anna Kharkiovitch tylko przez sekundę stała jak oniemiała, zaskoczona akcją Winslade'a. Ruszyła w kierunku strażnika i zabrała mu pistolet automatyczny, nim ktokolwiek z zebranych zorientował się, co się stało.

Winslade zajął miejsce w rogu sali, skąd miał oko na wszystkich, i lufą automatu dał znak

Kahlebowi i jego ludziom, żeby zajęli miejsca pod ścianą. Pozostali nie stanowili większego zagrożenia, a zresztą byli zbyt zszokowani, żeby cokolwiek zrobić.

— Odbezpiecza się to dźwignią z boku — szepnął Winslade do Anny, nie spuszczać wzroku z prześladowców. — Przesunięcie dźwigni za magazynkiem w lewo wprowadza zwykle pociski, w prawo... kule. Na kolbie masz wybierak na pojedyncze strzały, na serie po pięć i na ogień automatyczny.

Anna spojrzała na broń, palcami dotknęła dźwigni.

— W porządku — odparła.

W tym momencie do pokoju weszło dwóch strażników, którzy stali za drzwiami. Winslade miał ich na muszce.

— Ani kroku — ostrzegł — a teraz broń! Wolno, na podłogę, żadnych fałszywych ruchów. —

Strażnicy wahali się przez moment. Jeden z nich spojrzał na kolegę, skulonego i jęczącego na podłodze, i zrobił, co mu kazano. Drugi też. — Przesuńcie broń w moją stronę, bez żadnych sztuczek!

— rozkazał Winslade. — A teraz ręce na kark! — Skinął na Scholdera i Adamsona, żeby wzięli

automaty. — Zabierzcie jeszcze broń boczną — nakazał. Scholder z Adamsonem wykonali polecenie.

Winslade i Anna cały czas zabezpieczali akcję. — Jeszcze zapasowe magazynki... w porządku.

Winslade rozejrzał się po sali, twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu, gdy zwrócił się do zgromadzonych słowami:

— Panie i panowie, obawiam się, że zabawa wcale nie jest skończona.

ROZDZIAŁ 41

Mroźny świt ledwie jął rozświetlać niebo nad Berlinem, gdy auto ze znakami SS skręciło z piskiem opon w Prinz Albrecht Strasse i zatrzymało się przed głównym wejściem do siedziby Gestapo. Ani zgarbiony dozorca, który zamiatał ulicę po drugiej stronie, ani dwóch policjantów w pelerynach, którzy rozmawiali na rogu, kuląc się od zimna, nie zwrócili specjalnej uwagi na ochroniarza zajmującego miejsce obok szofera. Ochroniarz śpieszył otworzyć drzwi kabiny pasażerskiej. Z samochodu wysiadł Heinrich Himmler, osobistość numer dwa w Rzeszy. Dość miernej postury, trzymał się sztywno i prosto. Na czarnej czapce mundurowej błyszcząły dystynkcje Reichs-fuhera SS. Himmler miał wąskie, nieco wykrzywione ku dołowi usta, starannie przystrzyżone wąsy, cofnięty podbródek. Rozespane jeszcze oczy przysłaniał binoklami. Wspiął się po szerokich schodach wiodących do budynku. Ochroniarz postępował za nim krok w krok. Wartownicy poderwali się na baczność, stukając obcasami, po czym otworzyli drzwi. Przybysze przeszli przez pusty o tej porze korytarz i skierowali się do windy.

Reinhard Heydrich, zastępca Himmlera i szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy — któremu podlegały SD i Gestapo — przechadzał się nerwowo po gabinecie, oczekując nadejścia Himmlera.

Trzydziestosześcioletni, wysoki blondyn o wydatnych ustach, prostym nosie i wyrazistych rysach, uosabiał ideał nordyka — według nazistowskich pojęć o czystości rasy. Od innych przywódców odróżniała go absolutna pewność siebie, a także niekłamane zdolności: ucieleśniał jakby tę technikę sprawowania władzy, która zasadza się na brutalnym stosowaniu siły. Do swoich obowiązków podchodził bez zbędnych sentymentów i emocji, spełniał je z mechaniczną jak gdyby obojętnością, a zarazem z całym cynizmem pozwalającym mu na wynajdywanie najbardziej skutecznych metod i dróg prowadzących do celu. Był bezwzględny, wyzuty ze zwykłych ludzkich uczuć, budził strach u wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia, nawet — czasami — u Himmlera.

— Dzień dobry — rzekł Himmler. — Jakie mamy sprawy?

Pół godziny wcześniej otrzymał był telefon od Heydricha z informacją, że pilnie trzeba omówić pewne problemy dotyczące obiektu „Walhalla”. Był to kryptonim zakładów w Weissenbergu, gdzie

—
jak wiadomo — znajdowała się stacja translokacji i łączności z rokiem 2025. Poprzedniego dnia Hitler wyraził zastrzeżenia dotyczące środków bezpieczeństwa. Feldmarszałek Keitel, szef sztabu Oberkommando der Wehrmacht, powołanego w 1938 roku, przedstawił Führerowi raport Canarisa

wskazujący, że brytyjskie i amerykańskie służby wywiadowcze przygotowują elitarne oddziały dywersantów do działań, których celem mogą być ośrodki badań atomowych. Canaris wspomniał w swoim raporcie o Weissenbergu, a sformułowanie, którego użył, zdawało się świadczyć, że nie daje wiary głoszonej przez SS wersji, jeśli chodzi o istotę tego, czemu ów obiekt służy. Hitler był wyraźnie zaniepokojony i polecił, aby Himmler zajął się sprawą.

— Jest gorzej, niż myśleliśmy — rzekł Heydrich. — Znacznie gorzej. — Gestem ręki wskazał na papiery rozłożone na biurku. Wziął teczkę, którą uzyskał z Abwehry. — Rzecz dotyczy elitarniej, wojskowej grupy dywersantów, która zorganizowana została pod osobistym protektoratem

Roosevelta i Churchilla.

Twarz Himmlera przybrała ponury wyraz.

— Wojskowej? Czy mam rozumieć, że w akcji biorą udział Amerykanie. Kraj neutralny?

— Dokładnie tak — odparł Heydrich. — Jak mówiłem, sprawą osobiście interesuje się Roosevelt i jest tylko jedna jedyna rzecz, która uzasadniałaby jego udział.

— Na Boga! Nie chce pan powiedzieć, że wiedzą o Weissenbergu? — Himmler wziął teczkę i zaczął przeglądać jej zawartość.

— Nie ma na to niezbitych dowodów, niemniej jednak Canaris i jego ludzie uważają, że Weissenberg może być celem. Doszli do tego, eliminując inne możliwości.

— Czy Canaris wie, czym naprawdę jest Weissenberg?

— Nie sędzę, ale też nie wierzy w naszą oficjalną wersję. Himmler przeglądał dokumenty z rosnącym niepokojem.

— Lipiec zeszłego roku! Październik w Waszyngtonie? Londyn? Nie może być wątpliwości! Uważa pan, że od początku wiedzieli?

— Powiem więcej — odparł Heydrich. — Przypomina pan sobie, Reichsführer, to wydarzenie z Kyritz, przed trzech tygodni, kiedy to na posterunku drogowym zastrzelono czterech bandytów?

Nasi ludzie zidentyfikowali ciała. Wszyscy byli notowani, co oznacza, że była to tylko grupa zajmująca się transportem sprzętu, że nie było tam nikogo z angielskich czy amerykańskich

dywersantów. Wniosek jest jeden — dywersanci są w dalszym ciągu w ukryciu.

Heydrich wziął z biurka kolejny plik dokumentów.

— A to wyniki laboratoryjnej analizy przechwyconego sprzętu i materiałów wybuchowych. Ustalono, że wszystko pochodziło z Anglii. W konkluzji stwierdza się, że — Heydrich zaczął głośno czytać —

przedstawione do badania kombinezony zostały specjalnie zaprojektowane do ochrony użytkownika przed działaniem toksycznych płynów i gazów. Dokładnego ich przeznaczenia nie udało się

zidentyfikować.

— Gazy toksyczne! — szepnął Himmler. — A więc jednak Weissenberg. Przypuszczam, że podejmą

próbą penetracji zakładów. — Jego blade oblicze jeszcze bardziej zbieleło, gdy zaczął pojmywać ogrom zagrożenia. — To zaś... ten sprzęt... przechwycono miesiąc temu... cholera...

— ...co oznacza, że dywersanci są na terenie Niemiec — dokończył Heydrich. — I jeśli rzeczywiście chodzi o operację, o jakiej mówimy, to można założyć, że potrzebny sprzęt transportowano kilkoma szlakami.

Himmler odwrócił głowę i przez chwilę studiował mapę na ścianie gabinetu Heydricha. Trzeba

będzie zawiadomić „Suzerena”, kanałem Hitlera, to oczywiste, jednocześnie jednak najpilniejsze decyzje należy podjąć natychmiast, bez konsultacji. Współczynnik wyrażający różnicę biegu czasu między epoką „Suzerena” i współczesnością: trzysta sześćdziesiąt w 1926 roku i dwieście dziś —

mała w miarę, jak przeszłość „doganiała” przyszłość — oznacza, że jeśli „Suzeren” potrzebować będzie godziny na przygotowanie odpowiedzi, to tu — w Niemczech — minie osiem dni. W tym

trybie można przygotowywać decyzje strategiczne i plany perspektywiczne. Natomiast sytuacja, w której znaleźli się teraz, wymagała natychmiastowych działań.

— Proszę porozumieć się z Oberstgruppenfuhrerem SS w Lipsku, niech natychmiast skieruje

specjalny oddział do ochrony obiektu. Ustawi specjalne posterunki przy bramach — polecił

Himmler. — Proszę zarządzić alarm w całym rejonie. Proszę też porozumieć się z Kwaterą Główną, żeby nas powiadomiono, jak tylko Fihrer wstanie.

— A może tymczasem, nim nadejdą posiłki z Lipska, skierować do zabezpieczenia wejść do

Weissenbergu wewnętrzny garnizon „Wal-halli”? — rzekł Heydrich. Himmler potrząsnął głową.

— Raczej nie. Niech zostaną na miejscu. Musimy mieć jakiś odwód na wypadek, gdyby dywersanci zamierzali przedostać się do „Wal-halli” w inny sposób, to znaczy... nie przez główną fabrykę. Co by to było, gdyby dywersanci pojawili się w środku, podczas gdy nasza jednostka zajęta byłaby kontrolą

przepustek? Nie. Ale proszę wydać polecenie, aby już od zaraz ściśle kontrolowano wchodzący do zakładów personel.

Heydrich wahał się jeszcze przez moment, po czym rzekł:

— Wedle rozkazu, Reichsfuhrer.

— I jeszcze jedno. Proszę się porozumieć z Organisation Todt. Niech odszukają inżynierów, którzy odpowiadali za przebudowę obiektu. Trzeba ich wszystkich ściągnąć tu, do nas. Chcę znać wszystkie szczegóły i detale wszelkich możliwych dojsć do obiektu.

Himmler raz jeszcze przejrzał raport Abwehry.

— To doprawdy niewybaczalne, żeby taką wiadomość ukrywać przed nami. — Himmler był wyraźnie wściekły. — Podejrzewam, że nasz przyjaciel Canaris stara się o rozszerzenie swoich wpływów naszym kosztem. Tym razem jednak zaplątał się bardziej, niż mu się wydaje. — Za szklami binokli pojawiły się groźne błyski. — Canaris staje się niebezpieczny. Zajmiemy się nim, ale później. Tymczasem mamy pilniejsze sprawy do załatwienia.

A więc to tak wygląda — myślał Ferracini, kuląc się na tylnym siedzeniu fiata. Był wczesny ranek i jechał z Gustavem Knacke do Weissenbergu. Na drodze było tłoczno. Do fabryki zmierzały dziesiątki aut, setki rowerzystów i tłum pieszych. Tak oto wygląda kulminacja wielu lat zbierania danych wywiadowczych i przygotowań, które zaczęły się jeszcze w jego świecie, na długo przed rokiem 1975.

Temu służyła budowa urządzeń w Tularosa, werbunek i szkolenie ekipy „Proteusza”, ich

translokacja w czasie, budowa projektora powrotnego, podróż do Anglii i szkolenie w Wielkiej Brytanii. Wszystko zaś po to, aby czterech mężczyzn — Warren i Ryan nie zjawili się w ciągu tygodnia — znalazło się tu, w tym miejscu, tego właśnie mroźnego poranka, 1 kwietnia 1940 roku. A pod koniec tego dnia okaże się ostatecznie, czy całe to nieprawdopodobne przedsięwzięcie przyniesie owoce, czy całe lata trudów i znoju, poświęceń i niesamowitego ryzyka przyniosą oczekiwany

rezultat, czy też wszystko to skończy się na niczym.

Zostawili za sobą ostatnie zabudowania osiedla mieszkaniowego na przedmieściach Weissenbergu, wzięli zakręt, skąd za polami, z rzadka porośniętymi jałowcem, widać już było główną bramę

fabryki. Poza cytadelą, której strzegł garnizon SS, teren fabryki chroniony był normalnie, jak wszystkie inne zakłady przemysłowe. Gustav uważał, że uda mu się wprowadzić ekipę „Proteusza”

bez specjalnych kłopotów. Co prawda ta część zakładów w Weissenbergu, gdzie znajdowała się

fabryka amunicji, podlegała szczególnej ochronie, ale nie miało to specjalnego znaczenia, jako że

plan akcji nie zakładał konieczności wejścia na ten teren. Aby zachować większą ostrożność, zdecydowano, że każdy z Łącznikowców przedostanie się do fabryki osobno.

— Twój przyjaciel nie jest zbyt rozmowny, Gustav — rzekł Julius, który siedział na przednim siedzeniu. Julius był kolegą Gustava z pracy i zawsze jeździł razem z nim. — A może jeszcze się nie obudził, jak myślisz? — dokończył.

— Właściwie to go nie znam — odparł Knacke. — Dopiero co zaczął pracować, w wydziale PM-4.

Ktoś mu powiedział, nawet nie wiem kto, że mam wolne miejsce w aucie i że będę go mógł zabierać.

Wiesz, jak to jest w dzisiejszych czasach... trudno odmówić. — Knacke spojrział przez ramię. — Mam rację, jesteś w PM-4?

— Tak jest — odparł Ferracini. Rozmyślnie mówił łamaną niemczyzną. — Zacząłem pięć dni temu.

Jestem hydraulikiem.

— Co to za akcent? — zapytał Julius.

— Hiszpański. Ale pogoda tutaj wcale nie przypomina Hiszpanii. Cały czas deszcz i mgła.

— A jak to się stało, że znalazłeś się w Niemczech?

— Walczyłem w wojnie domowej po stronie Franco, oczywiście, potem przyłączyłem się do Włochów i wyjechałem do Italii, żeby pomagać Musolliniemu. Ale tu u was mieli lepiej płacić, więc przyjechałem. Lecz mnie oszukali. Płacą, to prawda, ale zaraz zabierają.

— Przyzwyczajasz się — rzekł Julius sarkastycznie. — Jak cię nazywają?

— Przepraszam, nie rozumiem?

— Imię, jak masz na imię?

— Ach, Roberto.

— A więc już wiesz, jak nas tu oszukują? Ferracini zastanawiał się przez chwilę.

— Pieniądze? Tak — zgodził się. — Na pieniądzech wszędzie oszukują. Ale niemieckie dziewczęta sehr gut. W Hiszpanii one wszystkie to takie katolickie mamusie. Nic przed ślubem, a później...

tylko jak Bóg przykazał. Co Bóg może wiedzieć o dziewczynach? A więc w Niemczech dobrze. Hitler dobry.

Julius zaśmiał się.

— Słyszysz, co on mówi, Gustav? Roberto, jesteś w porządku facet.

Samochód zwolnił, bo dojeżdżali już do bramy zakładów. Ferracini sięgnął do kieszeni po

przepustkę, którą podrobił, korzystając z czystych blankietów dostarczonych przez Margę. Jak przewidywał Gustav, kontrola przy bramie nie była zbyt dokładna. Znudzony strażnik dał znak, żeby wjeżdżali, gdy tylko zobaczył, że mają przepustki w rękach. Kątem oka Ferracini ujrzał jeszcze Cassidy'ego, który przechodził przez bramę z przepustką w zębach, popychając oburącz rower.

Również i jego straż przepuściła, nie sprawdzając dokumentu. Ferracini odetchnął z ulgą. Przy takiej kontroli — pomyślał — również Payne i Lamson, którzy jechali zakładowym autobusem,

dostaną się do środka bez żadnego problemu.

Pozostawała tylko kwestia sprzętu, broni i materiałów wybuchowych. Transport był już w drodze.

Erich — trzeci pomocnik obok Margi i Gustava — miał wwieźć sprzęt na teren zakładów ciężarówką ze złomem. Przyjeżdżał do fabryki każdego ranka, zabierając odpady metalowe z warsztatów.

Owszem, czasami zaglądano do środka, ale tylko przy wyjeździe. Nie zdarzało się, aby kontrolowano ciężarówkę, gdy wjeżdżała do Weissenbergu.

Kilkanaście kilometrów dalej, po drugiej stronie miasteczka, przed wejściem do zapuszczonego warsztatu samochodowego z wyblakłym szyldem i starą pompą benzynową, kierowca wielce już zużytej ciężarówki, którą właśnie doholowano na miejsce, debatował z mechanikiem w wyświechtanym kombinezonie i skórzanej czapce.

— Dopiero jutro? Mowy nie ma! To musi być zrobione od ręki.

— Wykluczone. A w ogóle, to co pan sobie myśli. I tak miał pan szczęście, że pana tu doholowałem.

Sterczałby pan jeszcze na szosie nie wiadomo gdzie. Mam dwa inne wozy do zrobienia. Musi pan poczekać w kolejce.

Erich zazgrzytał zębami z wściekłości.

— Słuchaj pan. Zaraz muszę być w fabryce. Niech pan tylko doleje wody i jadę. Niech się dzieje, co chce.

— Z taką dziurą w chłodnicy nie ujedzie pan nawet za najbliższy zakręt.

— No dobra. Zapłacę pięćdziesiąt marek ekstra, jeśli pan się tym zaraz zajmie.

— Czy ja wiem...

— Sześćdziesiąt. Wóz mi jest zaraz potrzebny.

— Siedemdziesiąt.

Dalsze targi przerwał dźwięk syren. Obaj mężczyźni obejrżeli się widząc, jak wszystkie pojazdy zjeżdżają na prawą stronę, żeby dać wolny przejazd. W chwilę później na drodze od strony Lipska pojawiło się dwóch motocyklistów w stalowych hełmach i mundurach SS, a za nimi konwój złożony z samochodu osobowego SS i trzech ciężarówek z esesmanami w pełnym uzbrojeniu. Erich zamarł z przerażenia.

— Niech będzie siedemdziesiąt — powiedział przez zęby — ale niech pan zaraz zaczyna. I jeszcze jedno... ma pan telefon? Muszę pilnie zadzwonić.

Sto metrów dalej, z bocznej ulicy, wyjechał czarny mercedes ze swastyką na drzwiach i proporczykiem SS na błotniku. Skręcił w główną drogę i pomknął za kolumną ciężarówek.

ROZDZIAŁ 42

Kurt Scholder młodszy ostrożnie wysunął się do przodu, stanął i potrząsnął głową. Winslade nie opuścił broni, ale uniósł pytająco brwi.

— W dalszym ciągu nie rozumiem tego wszystkiego — rzekł młody Scholder — ale jedno wiem: on nie może kłamać — powiedział, kiwając głową w stronę starszego Scholdera. — To pewnie nie

skończy się dla mnie dobrze, ale chcę wam pomóc. Jeśli to, co opowiadacie, jest prawdą, to nie mogę czekać z opuszczonymi rękami.

— Przyjmuję — odparł Winslade. — Jeszcze ktoś? — Pozostali, którzy zjawili się z Pfanzerem i Jorgassenem, spoglądali na siebie niepewnie. — Potrzebuję zwłaszcza kogoś, kto potrafi uruchomić procedurę startową albo przynajmniej zna ją na tyle, żeby dopilnować załogę sterowni.

— Wolelibyśmy najpierw usłyszeć, co pan zamierza zrobić — wtrącił Pfanzer. Winslade spojrzał na starszego Scholdera.

— Kurt, współczynnik przyspieszenia czasu jest tutaj znacznie większy niż dla roku 1975?

— Właśnie — odparł Scholder — chciałem ci to podpowiedzieć.

— Orientujesz się, o ile większy?

— Obliczam, że wynosi prawie dwieście.

Winslade skinął głową na potwierdzenie, tak jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Przy tym współczynniku podzespoły bomby A, której Hitler ma użyć podczas kampanii w Rosji w roku 1942, muszą już być gotowe.

Źrenice Scholdera rozszerzyły się, gdy zaczął pojmować, do czego Claud zmierza. W myśli

przeprowadził błyskawiczną kalkulację. Bomby mają być gotowe w lecie 1942 roku, a więc za dwa lata, licząc od dziś, czyli od wiosny 1940 roku. Dwadzieścia cztery miesiące pomnożone przez trzydzieści dni, dzielone przez dwieście... Kiwnął głową.

— Wychodzi na to, że transport powinien być dostarczony za trzy i pół dnia, i masz rację, podzespoły muszą już być przygotowane.

— A więc powinny znajdować się w dziale kontroli transportu, w magazynie obok śluzy translokacyjnej, dobrze mówię?

— Posłuchajcie, co oni wygadują! — wykrzyknął Kahleb ze swojego miejsca pod ścianą. Strażnik, którego Winslade znokautował, zaczął dochodzić do siebie, usiłując podnieść się z podłogi, trzymał się oburącz za brzuch i toczył zamglonym wzrokiem. — Zatrzymajcie ich. To szaleńcy. Ta zbrodnia także was obciąży. — Kahleb zamilkł, gdy Anna Kharkiovitch skierowała w jego stronę lufę automatu.

— To towarzystwo nie nadaje się do rozmowy — rzekł Winslade z ironią i ruszył do drzwi. — Chodźmy do pokoju obok.

Anna i Scholder trzymali jeszcze na muszce Kahleba i jego ludzi, Adamson pilnował pozostałych, którzy za Pfanzerem i Jorgassenem zaczęli wychodzić śladem Winslade'a.

— Kurt, sprawdź, bo mogą mieć przy sobie radiotelefony — rzekł Winslade.

Scholder błyskawicznie zrewidował zakładników i rzeczywiście znalazł kilka kieszonkowych i kilka naręcznych terminali łączności. Strażnicy mieli radiostacje większej mocy przytroczone przy pasach.

Winslade dał jeszcze znak Annie, a ta bez słowa posłała serię w stronę kamery wewnętrznego systemu inwigilacji i zabezpieczenia, umieszczonej w rogu pod sufitem.

— Przykro mi, ale nie mamy innego wyjścia — rzucił Winslade w stronę zakładników — i nie próbujcie robić z siebie bohaterów. Drzwi będą na muszce i pierwszy, który się w nich pojawi, skończy tak jak ta kamera. — Poleciał Adamsonowi zająć miejsce za drzwiami, i nakazał strzelać do każdego, kto będzie próbował sforsować przejście. Następnie wraz z Anną i Scholderem dołączył do zgromadzonych w pokoju konferencyjnym, tym samym, do którego zaprowadzono go z Anną na samym początku.

Na wszelki wypadek Scholder i Anna trzymali broń w pogotowiu, ale bez Kahleba sytuacja nie wyglądała już tak groźnie.

— Coś wam powiem — zaczął Pfanzer podniesionym głosem, gdy Winslade wszedł do sali. — Jeśli się wam wydaje, że któryś z nas pomoże translokować uzbrojoną bombę atomową, to jesteście w błędzie. Jak na razie nie mamy żadnych dowodów na potwierdzenie tego, co, waszym zdaniem,

dzieje się po drugiej stronie systemu translokacji. Ale wszystko jedno, są tam istoty ludzkie, żywi ludzie. Jeśli o mnie chodzi, to nie będę brał udziału w żadnym morderstwie. Nie zgadzam się i nikomu nie pozwolę, czy to jasne?

— Nikt nie mówi o wysyłce bomby — odparł Winslade. — Ale w podzespołach, które są na dole w magazynie, są zapalniki, czyli konwencjonalne ładunki wybuchowe, którymi zespala się masę krytyczną materiału jądrowego. — Spojrzał na Scholdera. — Ty, Kurt, zajmowałeś się właśnie tym, gdy tu pracowałeś, dobrze mówię?

— To także ciebie dotyczy — rzekł Scholder do swojego młodszego alter ego — obaj jesteście ekspertami. Winslade spojrział teraz na Pfanzera.

— Oto mój plan — rzekł. — Ani pan, ani ja nie chcemy, żeby ginęli ludzie. Ale czy wierzy pan, czy nie, to po drugiej stronie systemu translokacyjnego znajduje się świat, któremu dano początek właśnie tu, za pomocą tych wszystkich urządzeń. I w tym to świecie zaczęła się wojna. Jej skutkiem będzie zagłada całej zachodniej cywilizacji, chyba że w jakiś sposób doprowadzi się do zmiany. Ta wojna, o której mówię, pociągnie za sobą śmierć dziesiątków milionów ludzi. Niech pan to porówna z kilkoma, może kilkunastoma ofiarami, jakie spowoduje wybuch pojedynczego ładunku.

— Przyjmijmy, że ma pan rację — rzekł Pfanzer ciągle nie przekonany — ale wciąż nie wiemy, na czym polega pański zamiar.

— Proponuję po prostu wyłączenie projektora powrotnego, końcówki waszego systemu w roku 1940, do czasu, aż tu, na miejscu, właściwe władze nie rozstrzygną całej sprawy — rzekł Winslade. —

Celem będzie tylko i wyłącznie maszyna, w której umieścimy kilka zwykłych ładunków

wybuchowych. Następnie zawiadomimy Radę Narodów i przekażemy waszą placówkę pod nadzór

Międzynarodowych Połączonych Sił Zbrojnych. Ostateczne rozstrzygnięcia zapadną w RN.

— Brzmi to rozsądnie — zauważył ktoś z obecnych.

— Nie rozumiem, dlaczego mamy uszkodzić projektor powrotny — zaprotestował Hallman. — Czy nie wystarczy po prostu zawiadomić Radę?

— Nie. Ważny jest czynnik czasu — rzekł Winslade. — Po drugiej stronie czas biegnie dwieście razy szybciej. Każde opóźnienie może mieć tragiczne następstwa. Kilka straconych dni po tej stronie to całe zmarnowane lata po drugiej.

Hallman wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem. Czy nie wystarczy, jeśli po prostu wstrzymamy wszelkie operacje z naszej strony?

Nie uważam, żeby konieczna była eliminacja projektora powrotnego.

— Nie możemy podjąć takiego ryzyka — odrzekł Winslade. — Owszem, w tej chwili panujemy nad sytuacją, ale to, z różnych względów, może się zmienić. Jedyna gwarancja to eliminacja projektora powrotnego, przynajmniej na pewien czas.

— Spójrzcie na to jeszcze inaczej — wtrącił Scholder. — Otóż, gdyby nawet odbudowa uszkodzonego projektora zajęła kilka lat według tamtego czasu, będzie to tylko kilka dni według tutejszego kalendarza. Straty będą niewielkie. Jeśli natomiast niewłaściwi ludzie zdołają wznowić translokację w złych celach, to skutek może być katastrofalny.

Eddie przesunął się do przodu i zajął miejsce obok młodego Scholdera.

— Do diabła — powiedział — trzeba w coś uwierzyć. Jeśli o mnie chodzi, jestem po waszej stronie.

— Ja też — zgłosił się ktoś jeszcze. Doktor Pfanzer ciągle jeszcze się wahał.

— Ale dokładnie, co pan właściwie proponuje? — raz jeszcze zapytał Winslade'a.

— Część z nas przejmie kontrolę nad sterownią — zaczął Winslade głosem, który wykluczał już wszelkie dyskusje. — Dyżurną załogę sterowni zmuszamy, żeby zaczęto emitować wiązkę inicjującą i aktywizujemy system translokacji. Obaj Kurtowie tymczasem, z drugą grupą, udają się do

magazynu i przygotowują ładunki wybuchowe uzbrojone w zapalniki czasowe. Następnie nasza

grupa — nie chciałbym narażać nikogo z was — translokuje się na drugą stronę, rozmieszcza

ładunki i ponownie translokuje się tu, na miejsce, nim ktokolwiek z roku 1940 zorientuje się, co się właściwie dzieje.

— Czy to się uda? — zapytał Sen z powątpiewaniem.

— Pewności nie ma — odparł Winslade. — Ale ja przynajmniej nie zawaham się przed próbą. Gotów jestem ponieść wszelkie ryzyko, a was proszę tylko o pomoc.

— Dziesięć sekund — wtrącił Scholder. — Podłożenie ładunków i ponowna translokacja, to tylko dziesięć sekund. Ile to według waszego czasu? Mgnienie, mniej niż chwila.

Pfanzer skinął głową na znak, że przyjmuje do wiadomości.

— A co dalej? — zapytał.

— Udajemy się do Centrum Łączności Specjalnej i wysyłamy wiadomość do Rady Narodów do Zurychu — rzekł Winslade.

— No i dopiero się zacznie — wtrącił Eddie. — Służba Bezpieczeństwa jeszcze nic o niczym nie wie, ale próba przejęcia Centrum Łączności spowoduje alarm. Zaraz zjawią się tu wszyscy, i co wtedy?

— Wszystko mi jedno, najważniejsza jest gwarancja, że projektor powrotny został wyeliminowany —

odparł Winslade. — Nie wykluczam, że złożymy broń. Jeśli o was chodzi, to zawsze możecie powiedzieć, że działaliście pod przymusem. Teraz prosimy tylko o to, żebyście nam pomogli przez kilka zaledwie minut. To doprawdy niewiele, a uratować możemy miliony ludzkich istnień.

— A jeśli się nie zgodzimy? — spytał Pfanzer. Winslade uśmiechnął się przeproszająco i machnął wymownie automatem.

— No cóż, moja propozycja jest raczej nie do odrzucenia — rzekł.

ROZDZIAŁ 43

Ferracini skierował się w stronę betonowego chodnika, który wiodł w głąb terenu zakładów. Po jednej stronie — za płotem z metalowej siatki — wznosiły się dwie wieże chłodnicze, po drugiej zaś biegły jakieś rury. Doszedł do taśmociągu, którym dostarczano związki azotowe do zbiornika. Skręcił w prawo, doszedł do miejsca, gdzie w poprzek drogi biegła bocznicą kolejowa i skierował się dalej prosto, idąc wzdłuż blaszanej, pomalowanej na czarno ściany budynku. Wszystko — jak na razie — było dokładnie tak, jak zapamiętał z makiety w Londynie.

Za sobą usłyszał skrzypienie nie oliwionego od dawna mechanizmu. To Cassidy nadjeżdżał na rowerze. Zsiadł i dołączył do Ferraciniego.

— Bez kłopotów — zameldował.

— Wiem. Przejeżdżaliśmy przez bramę tuż przed tobą. Widziałeś Floyda i Eda?

— Po drodze mijał mnie autobus, ale nie wiem, czy to ten.

— Za chwilę się przekonamy.

— Gdzie jest Gusta v?

— Parkuje auto. Zaraz tu będzie.

Doszli do krańca hali, w której głośno pracowała kruszarka żwiru i skierowali się dalej wąską uliczką, której środkiem biegły tory. Po lewej widniały budynki oczyszczalni ścieków stanowiącej ich cel. Widać było całe sploty rur i przytrzymujących je stalowych wsporników, kilka ogromnych zbiorników i dwa zbiorniki wyższe, ale o mniejszej średnicy, stojące nieco dalej. Na lewo od drogi, którą podążali, zaczynał się podjazd do jednopiętrowego budynku pompowni.

Tam właśnie Erich miał zostawić ciężarówkę. Skręcili w stronę podjazdu. Ani śladu samochodu.

Cassidy oparł rower o ścianę. Przyspieszając ruszli dalej za budynek pompowni, gdzie drogę zamykał fundament, na którym spoczywały — horyzontalnie — dwie cysterny. Z lewej mieli teraz niewielkie żelazne schodki, którymi można było zejść niżej, między konstrukcję fundamentów podtrzymujących cysterny. Tam też wznosił się sześciokątny ceglany budynek zamykający wejście do kopalnianego szybu, do którego wlewano odpady i ścieki poprodukcyjne. Za nim zaś, między plątaniną rur i konstrukcji stalowych, widniała tylna ściana oczyszczalni, z całą wiązką rur, które kończyły się właśnie na owym sześciokątnym budyńeczku.

Miał on mniej więcej dwadzieścia stóp średnicy, a więc jakieś sześć, może siedem metrów, i wznosił

się ledwie na dwa metry nad powierzchnię gruntu. Wokół biegła jakby rynna obmurowana betonem.

Tam właśnie, u stóp żelaznych schodów czekali Lamson i Payne.

— Już sprawdziliśmy — rzekł Lamson, nim Ferracini zdołał cokolwiek powiedzieć — ciężarówka nie ma nigdzie w pobliżu.

Ferracini zamarł na chwilę. Przymknął oczy i zaczerpnął kilka głębokich oddechów. Nie — zdawał

się błagać w myślach — nie to i nie teraz, po tych wszystkich trudach i wysiłkach. Potrząsnął

energicznie głową, jakby chciał wyrzucić z siebie czarne myśli i rozejrzał się dookoła. Nad sześciokątnym wejściem do szybu wznosił się cały labirynt przewodów, rur i zbiorników. Betonowa rynna i solidne fundamenty dawały całkiem niezłe schronienie. Był to zresztą jeden z najmniej uczęszczanych zakamarków fabryki. Mogli nie obawiać się, że ktokolwiek ich tu znajdzie, tylko że nie było stąd żadnego innego wyjścia poza drogą, którą przyszli. Gdyby więc ktoś odkrył ich obecność, znaleźliby się w pułapce.

— Niełatwo się stąd wydostać — rzekł Cassidy, jakby czytając w myślach Ferracinięgo — zwłaszcza bez broni. — Broń także ukryli w ciężarówce.

Lamson zadbał jednak o skrzynkę z narzędziami. Miał ją ze sobą.

— Sprawdziłeś? — zapytał Ferracini, wskazując gestem stalową płytę na szczycie sześciokąta.

— Tak jest. Da się odkręcić bez większych kłopotów — odparł Lamson.

— Zróbmy to i zobaczymy, co dalej — polecił Ferracini. — Tymczasem może nadjedzie ciężarówka.

Cassidy, idź na schody i obserwuj, co się dzieje na podjeździe.

Lamson ruszył w stronę pokrywy. Cassidy zajął miejsce na szczycie schodków. Ferracini spojrzął na zbiorniki i stalowe konstrukcje na górze. Z budynku pompowni, do strony podjazdu, dobiegło

rytmiczne dudnienie pracujących maszyn, z zaworu na dachu oczyszczalni z sykiem dobywała się para. W dali rozległ się świst lokomotywy. Ferracini potrzebował trochę czasu, żeby przemyśleć całą sytuację.

Szyb wentylacyjny był taki, jakie zwykle buduje się w kopalniach. Kwadratowy w przekroju, o ścianach szerokich na trzy metry. Od góry zamykał go stalowy cylindryczny właz, do którego biegły rury odprowadzające ścieki. Na bocznej ścianie znajdowały się gazoszczelne pokrywy, z których korzystano, prowadząc okresowe przeglądy urządzenia. Tędy właśnie Łącznikowcy zamierzali

dostać się do środka. Wokół stalowego cylindra wznosił się ów sześciokątny budynek z cegły.

Stanowił on dodatkowe zabezpieczenie, gdyby nastąpiła jakaś awaria i gaz zaczął dobywać się na zewnątrz.

— Wydaje mi się, że jest pewien sposób, żeby się dostać do środka bez kombinezonów — rzekł w pewnym momencie Payne. Pomagał Lamsonowi odkręcać mutry mocujące płytę.

— Jaki? — zapytał Ferracini.

— Przemyslałem to, gdy czekaliśmy beczynnie w stodole. Ot tak, na wszelki wypadek — odparł

Payne. — Otóż stalowy właz do szybu musi być wyposażony w kilka zaworów do pobierania próbek gazu, nie licząc oczywiście odpowiedniej grodzi, przez którą mogą przechodzić ludzie. Posłuchaj dalej: w fabryce takiej jak ta do produkcji łusek i nabojów stosuje się pneumatyczne prasy na sprężone powietrze. Skoro tak, to powinniśmy tu mieć tyle sprężonego powietrza, ile dusza zapragnie.

Ferracini skinął głową potwierdzająco. Cały czas instynktownie obserwował otoczenie.

— W porządku.

— Gdybyśmy tylko zdołali podłączyć przewód ze sprężonym powietrzem, do któregoś z zaworów we włazie, to wtedy moglibyśmy zwiększyć ciśnienie w całym szybie, a wskutek tego obniżyłby się poziom płynów zalegających na dole. Być może udałoby się nawet odsłonić wejście do chodnika prowadzącego do „Obucha”, a wówczas moglibyśmy się obejść bez kombinezonów.

— Ale na to trzeba by sporo czasu — zauważył Ferracini. Payne wzruszył ramionami.

— To prawda, lecz to jedyna szansa.

Ferracini zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Jedno było pewne: można by przynajmniej spróbować, gdyby ciężarówka nie nadjechała, a zresztą, jak zauważył Ed, na razie nie ma nic innego do roboty.

— Jak długo to może potrwać? — zapytał.

— Nie wiem. To zależy od poziomu, na jakim zalega ciecz, od ciśnienia powietrza i paru jeszcze czynników. Gdyby tylko udało się otworzyć wewnętrzny właz i zmierzyć głębokość szybu, nie trując się przy tym nagromadzonymi gazami, to mógłbym z grubsza odpowiedzieć.

— Płyta zdjęta — oznajmił Lamson. Podniósł stalowy krąg, otwierając wejście do wnętrza sześcianu.

— Zobaczmy, jak to wygląda w środku — rzekł Ferracini. Lamson wyjął latarkę ze skrzynki z narzędziami i wsunął się do wnętrza budowli. Ferracini spojrzął na Payne'a.

— W moim rozumieniu Gustav pracuje tu w dziale zabezpieczeń i ochrony przeciwpożarowej. Być może będzie mógł zdobyć aparaty tlenowe, czy coś podobnego. — Sprawdził czas na zegarku. — Ale gdzie on, u diabła, się podziewa? Już powinien tu być.

Payne zaczął rozważać, co jeszcze będzie potrzebne: liny, broń, ładunki wybuchowe, a także termit do otwarcia wejścia do sztolni...

— Powoli i po kolei, Ed — przerwał mu Ferracini. — A czy w ogóle da się to zrobić? Jeśli podniesiemy ciśnienie w szybie, to na skutek tego ciecz, która przykrywa wejście do chodnika, wpłynie do niego i może stworzyć się jakby korek. Wówczas i tak nie przejdziemy.

— Niezupełnie — odparł Payne. — Tak będzie, ale tylko do momentu, kiedy pod ciśnieniem poziom cieczy opadnie poniżej wejścia do chodnika. Wtedy wszystko spłynie z chodnika z powrotem do szybu, jak z przewróconej butelki.

— Pewien jesteś?

— Znam się na tym, Harry.

Ferracini chciał coś jeszcze powiedzieć, ale przerwał, bo właśnie Cassidy pochylił się ze swego punktu obserwacyjnego na schodach informując, że nadchodzi Gustav.

— Wygląda na to, że coś się stało — dodał. W chwilę później usłyszeli kroki na schodach i za plecami Cassidy'ego pokazał się Knacke.

— Co się dzieje? — zapytał Ferracini, widząc niepewną minę Gustava. Knacke potrząsnął głową w

geście wyrażającym beznadzieję.

— Ciężarówka nie ma. Erich telefonował do Margi. Miał awarię na trasie, po drugiej stronie Weissenbergu. — Podniósł rękę i nim ktokolwiek zdołał coś powiedzieć, dodał: — To nie wszystko.

Co gorsza, widział konwój SS jadący pośpiesznie w naszym kierunku. Wygląda na to, że chyba nie mamy rady. Bez sprzętu i w niepełnym składzie... pozostała dwójka jednak się nie zgłosiła? Nie wiem nawet, czy uda się was wyprowadzić z zakładów.

— Powoli, nie śpieszy się — przerwał mu Ferracini. — Nic jeszcze nie jest skończone. Co z Erichem?

Naprawia wóz?

— Tak, ale Marga kazała mu jeszcze raz zadzwonić, nim będzie próbował wjechać na teren fabryki.

Jeśli SS przejmie kontrolę przy bramach, nie będzie można ryzykować. Nie będzie szans.

— Trudno z tym dyskutować — rzekł Ferracini. W myślach obliczał, ile mogą mieć czasu, ale rachunek był trudny, zbyt wiele niewiadomych.

Lamson pojawił się w wejściu do sześcianu.

— Wszystko w porządku — powiedział — wygląda tak, jak się spodziewaliśmy. Bez niespodzianek.

— Zobaczył Gustava. — Cześć — pozdrowił go.

— Tu natomiast mamy mnóstwo niespodzianek, Flyod — rzekł Ferracini. — Ciężarówka miała awarię na przedmieściach Weissenbergu, a tymczasem jedzie tu cała kolumna SS. Sytuacja jest dość podła.

Lamson uniósł tylko brwi.

— No to zaczynajmy — powiedział lakonicznie. Z oddali rozległ się dźwięk syren.

— Chyba już są — rzekł Cassidy nad słuchując. — Są pod bramą.

— Wracaj na górę — polecił mu Ferracini. Przyciągnął Gustava do siebie i zaczął mówić: —

Posłuchaj. Musimy się dostać do chodnika, który odchodzi z szybu na dole. Wejście jest najpewniej poniżej poziomu nagromadzonych tam wód zrzutowych, dlatego potrzebne nam były te

kombinezony, które widziałeś. Ten chodnik prowadzi do podziemi cytadeli, rozumiesz? — Knacke kiwnął głową na znak, że pojmuje i słuchał dalej. — Ed ma pomysł na obniżenie poziomu cieczy sprężonym powietrzem. Będziemy więc potrzebowali odpowiednich złącz do przewodu ze

sprężonym powietrzem. Konieczne są aparaty tlenowe lub coś podobnego, co zabezpieczy nas przed gazem, latarki, liny i ładunki wybuchowe, żeby wysadzić przejście po drugiej stronie chodnika i dojść do celu. Potrzebna będzie też broń.

— Także kombinezony ochronne i sporo tłuszczu, żeby zabezpieczyć skórę przed poparzeniem. Może być smar do maszyn — wtrącił Payne.

— Dasz radę? — zapytał Ferracini.

Knacke potrząsnął głową z rezygnacją, dając do zrozumienia, że oczekują od niego rzeczy niemożliwych.

— Gustav, ja rozumiem, ale trzeba przynajmniej spróbować — naciskał Ferracini. — Zaczniemy od przewodu ze sprężonym powietrzem. Jest tu gdzieś w pobliżu, gdzie możemy się podłączyć? I nie bój się, upłynie mnóstwo czasu, nim nas tu ktoś odkryje.

Knacke, który aż zaniemówił słysząc, czego od niego oczekują, odzyskał mowę.

— Tego w ogóle nie da się zrobić. Czy ty sobie wyobrażasz, ile czasu trzeba, żeby uzyskać w szybie takie ciśnienie, jakie jest wam potrzebne?

— Tego nie wiemy — odparł Ferracini — ale nie wiemy też na pewno, czy SS przyjechało tu, bo szukają nas, czy w innym celu. A zresztą, przeszukanie całego terenu zakładów musi potrwać.

Knacke zwilżył wargi i raz jeszcze przeanalizował w myślach to, co usłyszał od Ferraciniego.

— Słuchaj — powiedział — kiedy już wysadzicie pokrywę na końcu chodnika, wtedy ciśnienie gwałtownie spadnie. Poziom cieczy w szybie znów się podniesie i będziecie odcięci. Co wówczas zrobicie?

Ferracini spojrzał na Payne'a.

— Co ty na to, Ed? — zapytał.

— Najpierw obniżymy poziom wód tak, by można było założyć ładunek wybuchowy poniżej wlotu do chodnika. Odpalimy i w ten sposób zasypimy całą dolną część szybu wraz z wodami zrzutowymi. A więc problem, który podnosi Gustav, odpada.

Oznaczało to także, że w momencie odpalenia ładunków będą przebywali w szybie. Mieli jednak wystarczające doświadczenie z materiałami wybuchowymi, żeby wiedzieć, iż w pewnej odległości od miejsca wybuchu fala uderzeniowa rozprasza się i nie powoduje większych szkód. W kopalniach, na przykład, odpala się ładunki wybuchowe, nie narażając ludzi.

— Ale na to potrzeba będzie strasznie dużo materiałów. Ferracini machnął ręką.

— Nie mów mi, że w fabryce amunicji nie znajdziemy tyle, ile nam potrzeba...

Knacke ciągle jeszcze potrząsał głową, dając do zrozumienia, że sprawa jest beznadziejna.

— Nie ma żadnej gwarancji, że uda się zasypać całą dolną część szybu. Oprócz tego jest tam przecież łatwo palny gaz i trujące związki chemiczne: tlenki, związki azotu, nie wytracony trójnitrotoluen, a więc niemal dynamit. To nie może się udać!

— Ale mówiłeś nam, że pracujesz w dziale, gdzie robią maski przeciwgazowe czy coś takiego? —

odparł Ferracini. — Liczymy na to.

Knacke znów pokręcił głową.

— To się na nic nie zda. Zwłaszcza gdy będziecie mieć do czynienia ze sprężonym gazem. Poza tym maski, owszem, chronią przed toksynami, ale filtry przecież nie zmieniają składu powietrza, a tam na dole w ogóle nie ma tlenu.

— Wydawało mi się, że opowiadałeś coś o aparatach tlenowych, tych, nad którymi pracujecie na zlecenie marynarki wojennej. Te spełniłyby zadanie.

— Ależ to tylko prototypy, a poza tym mamy tylko parę...

— Ważne, by się nadały — naciskał Ferracini.

— Ewentualnie... ale są tylko dwa.

Ferracini spojrzał pytająco na Payne'a. Ed zastanowił się przez chwilę i powiedział:

— Taki aparat musi być wyposażony w odpowiedni zbiornik z zapasem tlenu, butlę albo coś podobnego — zaczął, patrząc na Gustava.

— Jedną albo dwie butle w uprząży na piersiach — potwierdził Knacke.

— W porządku — rzekł Payne. — Myślę, że da się podłączyć dodatkowy przewód tlenowy do maski przeciwgazowej. Nic specjalnego. Ważne, aby funkcjonowało to parę minut. Dwójka w aparatach tlenowych zejdzie do szybu. Dwójka z przystosowanymi maskami przeciwgazowymi czeka na

zewnątrz. Gdy tylko sprężone powietrze zepchnie ciecz poniżej wlotu do chodnika i gdy wskutek wybuchu zasypie dół szybu, wtedy dwójka, która jest w środku, wysadza przejście do sztolni, gdzie znajduje się „Obuch”. W tym momencie ciśnienie spada. Dwójka, która czekała na zewnątrz, otwiera właz do szybu, schodzi w dół i dostaje się do chodnika. Chodzi o to, żeby całą operację przeprowadzić wystarczająco szybko.

Wszyscy teraz spojrzeli na Gustava, czekając, co powie. Knacke rozłożył ręce.

— Czyja wiem... w dalszym ciągu uważam, że to niemożliwe... ale może... — Nikt mu nie przerywał.

Knacke mówił coś jeszcze, aż ucichł, gdy pojął, co właściwie oznacza taka pełna negacji postawa. To przecież nie on, ale oni będą ryzykować wszystko. To oni wystawią się na największe

niebezpieczeństwo. Tymczasem on zgłasza wszelkie obiekcje. Przetarł ręką oczy, wziął głęboki oddech i rzekł: — Macie rację. Trzeba przynajmniej spróbować. Jak się nie uda, to trudno, ale to już nie będzie nasza wina.

Ferracini poklepał Gustava po ramieniu.

— Tak jest dużo lepiej. Teraz mówisz jak jeden z nas.

— Niech będzie — odparł Knacke.

— A więc zaczynamy, zgoda? — rzekł Ferracini.

— Pod jednym warunkiem — zastrzegł Knacke.

— Jakim?

— Że kiedyś, gdy to wszystko już będzie za nami i oczywiście gdy wyjdziemy z tego cało, to powiecie mi, co właściwie było pod cytadelą. Ferracini uśmiechnął się niewyraźnie.

— W porządku, Gustav. Umowa stoi.

Był to już jakby inny Knacke — chętny i pomocny.

— Maski przeciwgazowe — rzekł. — Nowsze typy mają filtr powietrza wmontowany bezpośrednio przy twarzy. Trudno będzie je przystosować tak, jak mówicie. Ale starsze modele mają filtr w osobnym pojemniku i łatwiej będzie je przysposobić. Chyba wiem, skąd takie wziąć.

— Czy mogę coś powiedzieć? — wtrącił Lamson, który ciągle jeszcze siedział we włączu do sześcianu.

— Gadaj — rzekł Ferracini.

— Otóż każdy wybuch powoduje błyskawiczną emisję ogromnej masy gazu. Jeśli więc mamy odpalić ładunek na dole szybu, żeby go zasypać, to dzięki tej samej eksplozji uzyskamy to, o co nam chodzi, czyli nastąpi wzrost ciśnienia wewnątrz szybu. Nie ma więc potrzeby bawienia się w doprowadzanie sprężonego powietrza.

Payne pomyślał przez chwilę.

— To sensowne — powiedział — można i tak. Ferracini spojrzał znacząco na Gustava.

— Widzisz, już mamy jeden problem z głowy. Dobra, a teraz powiedz, gdzie tu najlepiej zdobyć ładunki wybuchowe. Potrzebujemy ich dużo.

Knacke nie słuchał. Spoglądał pytająco przez ramię Ferraciniego. Harry odwrócił się w kierunku, gdzie patrzył Knacke, i zobaczył, że Cassidy daje im rozpaczliwe sygnały. Ferracini skinieniem nakazał wszystkim pozostanie na miejscu, a sam wspiął się po schodach i dołączył do Cassidy'ego.

Poczuł, że ogarnia go przerażenie.

Przed sobą widział nadjeżdżającego mercedesa ze swastyką na drzwiach. Auto wjechało na podjazd przy pompowni, zatrzymało się i oczom Ferraciniego ukazał się mężczyzna w mundurze porucznika SS z pistoletem maszynowym w rękę. Drugi mężczyzna, również w mundurze SS, osłaniał

pierwszego ukryty za samochodem.

Cassidy'emu opadła szczęka. Ferracini mrugnął kilka razy z niedowierzaniem. Spojrzał jeszcze raz na intruzów i nagle podniósł się i stanął, ukazując nadchodzącym esesmanom całą swoją postać.

— Jezus Maria — szeptał Cassidy. — Nie wierzę, nie wierzę własnym oczom, Harry. Na Boga! To Paddy Ryan i Harvey!

ROZDZIAŁ 44

Warren i Ryan wjechali do Niemiec z bułgarskimi papierami przez holenderską granicę. Jeden z nich występował jako handlarz drogocennymi kamieniami, właśnie wracający z Amsterdamu, drugi

— jako inżynier budowlany. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności sylwetka Warrena odpowiadała rysopisowi pewnego francuskiego agenta, który — według posiadanych przez niemiecką policję

informacji — miał właśnie tędy, i mniej więcej w tych samych dniach, próbować przedostać się do Niemiec. Warrena i Ryana aresztowano więc na miejscu.

Niemcy co prawda dość szybko zdali sobie sprawę z pomyłki, niemniej jednak w czasie śledztwa nabrali pewnych podejrzeń, że rzekomi Bułgarzy nie są jednak tymi, za których się podają. Wkrótce też zawiadomiono SS. Z regionalnego biura SD w Osnabriicku przysłano samochód, żeby ich

przewieźć na dalsze przesłuchania. Ruszyli pod strażą. Załoga mercedesa składała się z pułkownika SS, kierowcy w stopniu porucznika i dwóch esesmanów-wartowników. Samochód jednak nigdy nie

dotarł do Osnabriicku. Pozostał w rękę... Amerykanów, oczywiście bez niemieckiej załogi. Na nieszczęście w czasie tej akcji Warren otrzymał postrzał w kolano, noga mu zeszywniała, a niestety, przebrani w mundury SS nie mogli się zwrócić do żadnego lekarza w obawie przed wydaniem. Mimo to postanowili jednak przedzierać się dalej i dotrzeć na umówione miejsce, gdzie ktoś miał na nich czekać. Podając się za pułkownika SS i jego kierowcę, przejechali przez całe Niemcy nie

zatrzymywani przez nikogo. Na wszelki wypadek zmienili tablice rejestracyjne na inne, fałszywe.

Ale był to dopiero początek kłopotów. Owszem, dojechali do Lipska, lecz, nie wiadomo dlaczego, nie doszło do spotkania z umówionym łącznikiem, bez niego zaś nie mogli dotrzeć do Gustava Knacke —

miejscowego uczestnika całej operacji. Zakładali, że pozostała czwórka jest już zapewne na miejscu, krążyli więc wokół Weissenbergu przez dwa tygodnie licząc, że uda im się natrafić na jakiś ślad lub że odnajdzie ich ktoś wtajemniczony. Bez skutku jednak.

Wreszcie dziś zauważyli kolumnę kilku samochodów SS zdążających do fabryki. Nie zastanawiając się zbyt długo, postawili wszystko na jedną kartę i pojechali za kolumną. Przed fabryką oddzielili się i podczas gdy kolumna samochodów wjechała na teren zakładów główną bramą, oni skierowali się ku jednemu z bocznych wejść, gdzie krzykiem tak ogłupili wartowników, że ci wpuścili ich bez żadnej kontroli.

Pojawienie się Warrena i Ryana w samochodzie SS rozwiązywało problem broni. W wozie bowiem

—
jak przekonał się Ferracini — było kilka pistoletów maszynowych Erma MP38 i skrzynka amunicji.

Przepakowali auto w mniej widoczne miejsce. Paddy Ryan przyniósł z wozu jeszcze jeden pakunek z bronią: mauzery kaliber 9 mm z zapasowymi magazynkami i skrzynkę granatów burzących — typ

— Pomyśleliśmy sobie — wyjaśniał Paddy Ryan — że jak już włączymy w to bagno, to dobrze będzie mieć coś, co się przyda. Nie uwierzysz — mówił do Harry'ego — jak ludzie nie potrafią pilnować własnej broni.

Skręcali właśnie za budynek pompowni, dźwigając worki z bronią, gdy tuż przed sobą zobaczyli człowieka w roboczym kombinezonie. Stał w wejściu do pompowni, palił papierosa i obserwował otoczenie. Dostrzegł esesmański mundur Ryana i nieco się zmieszał.

— Nie gapić się! — krzyknął Ryan ostrym głosem. — Wracać do pracy. Nie rozumiecie, że jest wojna! — Człowiek mruknął coś na usprawiedliwienie i zniknął w budynku pompowni.

Tymczasem zaś Gustav Knacke wrócił na swoje stanowisko pracy w Sekcji Badań i Rozwoju Sprzętu Zabezpieczającego, która znajdowała się w budynku położonym blisko głównego wejścia do zakładów. Dźwigał ze sobą zwinięty brezentowy worek.

— Gdzieś ty się podziewał? — zapytał go Franz, kolega z tego samego dziani. — Słyszałeś już, co się dzieje?

— A co?

— Jest jakaś wpadka ze służbą ochrony. SS przejmuje kontrolę nad bramami. Wszyscy mają zostać na swoich miejscach. Właśnie po to ogłaszali alarm syrenami. Nie słyszałeś?

— Myślałem, że to tylko ćwiczenia. Dzwonił ktoś?

— Twoja żona.

Knacke usiadł za biurkiem i wykręcił numer Margi z wewnętrznego telefonu. Po chwili zgłosiła się telefonistka.

— Biuro kadr — przedstawiła się.

— Czy zastałem panią Knacke?

— Proszę poczekać.

Gusta v nerwowo bębnił palcami o blat biurka. Miał wrażenie, że całe wieki czeka na połączenie.

Usłyszał wreszcie głos Margi:

— Halo?

— Gustav z tej strony.

W głosie Margi zabrzmiało przerażenie.

— Co się dzieje? Słyszałeś alarm?

— Owszem, ale oni jednak wybierają się na zapowiadany piknik. Mimo wszystko. Gdyby zadzwonił Erich, to powiedz mu, że zadbali o własne zaopatrzenie.

— Tak, rozumiem. Mam nadzieję, że będą mieli dobrą pogodę.

— Ja też. Muszę już kończyć.

— Tylko nie rób głupstw.

Knacke wstał zza biurka, wziął worek i poszedł do pracowni obok pomieszczeń biurowych. Jeden z laborantów przygotowywał jakieś badania akurat tam, gdzie składowano aparaty tlenowe. Knacke udał, że sprawdza urządzenia laboratoryjne, po czym pod byle pretekstem odesłał laboranta. Gdy ten wyszedł z pracowni, Knacke błyskawicznie zdjął aparat tlenowy z manekina, na którym go

wystawiano na użytek komisji zatwierdzającej projekt, a drugi zestaw wziął z półki. Oba wpakował do worka, dokładając kilka zapasowych butli ze sprężonym tlenem.

Następnie przeszedł do podręcznego magazynu, zamknął starannie drzwi i zaczął sprawdzać

zawartość szafek. Pamiętał, że tam właśnie powinno znajdować się kilka masek przeciwgazowych starszego typu, które tu w zakładach poddawano badaniom. Chodziło mu o model stosowany jeszcze w czasie Wielkiej Wojny, taki z długą, giętką rurą łączącą właściwą maskę z filtrem, który noszono w osobnym zasobniku przy pasku. Mając już dwa aparaty tlenowe, potrzebował tylko trzech masek przeciwgazowych, postanowiono bowiem, że Krykiecista nie będzie schodził do szybu ze względu na kontuzję nogi. Zostanie przy włączu i będzie zabezpieczał odwrót. Amerykanie uważali, że mają szansę na bezpieczne wydostanie się po akcji. Tak przynajmniej zapewniali Knackego. Nie

dyskutował. Zapakował trzy maski i trochę zapasowych części do worka, dołożył dodatkowe filtry, przejrzał jeszcze zawartość półek i otworzył okno na zapleczu magazynu.

Cassidy czekał na dole, u wylotu na podwórze, na które wychodziło okno. Trochę dalej, tuż przy końcu budynku, stał wartownik, ale na szczęście nie patrzył w jego kierunku — obserwował drogę po drugiej stronie. Cassidy szybkim krokiem podszedł pod okno, dał znak Knackemu. Gustav zrzucił

worek. Cassidy złapał ładunek w locie. Knacke zamknął okno, opuścił magazyn, zszedł na dół i wyszedł z budynku tylnymi drzwiami. Po drodze do oczyszczalni postarał się o wózek z magazynu surowców i załadował nań parę pustych blaszanych beczek po ropie.

Ferracini i Payne byli już w środku ceglanej obudowy szybu i czekali, żeby otworzyć stalowe

pokrywy we włazie, gdy tylko Cassidy przyniesie aparaty tlenowe i maski. Przebrali się w przetłuszczone kombinezony robocze, mieli też na sobie solidną wełnianą bieliznę, a skórę zabezpieczyli grubą warstwą smarów. Do jednego z zaworów na obudowie włazu dołączyli rurę i wyprowadzili ją na zewnątrz, żeby w ten sposób zmniejszyć ciśnienie gazów, nim otworzą pokrywę i dostaną się do środka. Ferracini przygotowywał sondę, którą sprokurował ze skradzionego mosiężnego pływaka z płuczki w męskiej ubikacji i sporego kawałka liny z węzłami co kilka metrów. Po otwarciu pokrywy zmierzają, na jakiej głębokości zalegają wody zrzutowe w szybie.

Kombinezony, tłuszcz, latarki i zwoje lin dostarczyli Lamson i Ryan po błyskawicznej penetracji paru okolicznych magazynów. Później zaś, korzystając ze wskazówek Gustava, udali się na jeszcze jedną wyprawę, znacznie bardziej niebezpieczną, do magazynów działu produkcji amunicji. Major Warren zajął się obserwacją terenu, przygotowywał i opatrywał broń. SS — jak na razie — zajmowało się głównie zabezpieczeniem bram wiodących do zakładów i co ważniejszych budynków wewnątrz, ale oczywiście nie mogło być wątpliwości, że wkrótce zaczną się dokładne przeczesywanie całego terenu i wszystkich pomieszczeń fabrycznych.

Ferracini zaczął pomagać Payne'owi, który zakładał prowizoryczne zawory do masek przeciwgazowych, tak żeby można było podłączyć je do butli z tlenem, i ze smutkiem pokiwał głową. — Powiedz mi, Ed, dlaczego zawsze tak się dzieje. Najpierw te wszystkie wielkie plany, przygotowania, szkolenie i trening, a później, jak przyjdzie co do czego, to zawsze jest tak samo: „chłopaki, radźcie sobie sami”. — Cassidy już się rozbierał, żeby posmarować się smarem, nim nałoży na siebie swój nowy ubiór bojowy.

— Pomyśl tylko o skutkach, jakie wywoła w hali „Obucha” wysadzenie pokrywy odcinającej chodnik

— rzekł Payne, sprawdzając ciśnienie wewnątrz szybu na jednym z manometrów zainstalowanych na obudowie włazu.

— Czemu? — zapytał Ferracini, nie przerywając pracy.

— Pamiętasz, co Gustav mówił? Mieszanina metanu, azotanów, zgazowanego TNT, może jeszcze jakieś cyjanki... całość pod ciśnieniem. Wybuch zmasakruje wszystko po drugiej stronie pokrywy.

Ferracini spojrzał najpierw na Payne'a, a później na Cassidy'ego.

— Słyszysz, co on mówi, Cass? Podobno mamy szansę. Twierdzi, że jak nadejdzie reszta chłopaków, to jeszcze będziemy żyli.

— Właśnie tak — rzekł całkiem poważnie Payne. W przejściu do sześciokąta osłaniającego właz do szybu pojawił się cień i po chwili do środka wślizgnął się Knacke.

— A gdzie Saksończyk i Zulus? — zapytał. Gustav znał tylko ich pseudonimy.

— Szukają ładunków wybuchowych i jeszcze jakichś potrzebnych rzeczy — odparł Ferracini. — Ale to już wszystko, czego nam trzeba.

Knacke kiwnął głową.

— To teraz wam pokażę, jak działają aparaty tlenowe — rzekł. Major Warren podał im z zewnątrz pierwszą z blaszanych beczek. Payne przejął ładunek i ułożył beczkę starannie na dwóch deskach.

Tymczasem do biura komendanta Służby Ochrony i Bezpieczeństwa zakładów, gdzie generał SS

Heinz Rassenau ustanowił swój punkt dowodzenia, wszedł jakiś major i zasalutował.

— Słucham, majorze? — rzekł Rassenau, odrywając się od wielkiej ściennej mapy fabryki, którą właśnie studiował ze swoim zastępcą.

— Melduję przybycie drugiej kolumny z Lipska, panie generale, właśnie wyładowują się przy głównej. — W tym momencie zadzwonił telefon, ale major nie przerywał meldunku. — Sektor dwa jest już zabezpieczony. Oddziały Żółta Dwójka i Żółta Czwórka zaczynają przeszukiwania sektora trzy.

— Bardzo dobrze — odparł Rassenau. — Proszę teraz wziąć nowo przybyłych i natychmiast zacząć przeszukiwania sektora cztery. Proszę także zadzwonić do komendanta cytadeli i dowiedzieć się czy...

— Panie generale! — Zza drzwi dobiegł głos komendanta. Był wyraźnie zdenerwowany.

— Panowie wybaczą — rzekł Rassenau i przeszedł z gabinetu do pokoju obok, gdzie komendant stał na baczność, trzymając w ręce słuchawkę telefonu. Mikrofon przysłonił ręką.

— Tak? — zapytał Rassenau.

— Dzwoni kierownik magazynu w dziale R38, to wewnątrz strefy specjalnej...

— Tak?

Komendant z wysiłkiem przełknął ślinę.

— Właśnie znaleziono brygadziście i pomocnika magazyniera, związanych i zakneblowanych. Mówią, że do magazynu wdarło się dwóch mężczyzn z pistoletami maszynowymi. Zrabowali około pięćdziesięciu kilogramów materiałów wybuchowych, a także termit, spłonki i zapalniki.

Rassenau ściągnął usta.

— A więc jednak się spóźniliśmy — mruknął ponuro. — Są już tu, w środku. Komendant przytaknął przerażony.

— Są wewnątrz fabryki amunicji. Mogą wysadzić w powietrze pół tego wszystkiego, co jest na mapie w pańskim gabinecie.

— Później porozmawiamy o tym, jak to się stało, że weszli do zakładów — odparł chłodno generał.
—

Majorze! Poprzedni rozkaz jest nieaktualny. Nowo przybyły oddział proszę w całości skierować do fabryki amunicji. Proszę ściągnąć cztery drużyny z reszty zakładu i zabezpieczyć dojścia do produkcji specjalnej. Teren fabryki uszczelnić i dokładnie zbadać każdy centymetr. Czy to jasne?

— Tak jest, panie generale — odrzekł major i wyszedł.

Maska pozwalała oddychać dość swobodnie. Ferracini czuł, jak tłuszcz spływa mu między palcami, gdy dłońmi w rękawicach złapał linę, którą uwiązali do belek konstrukcyjnych wewnątrz stalowego wjazdu do szybu. Pokrywę zamknięto i w mrocznej przepaści, która stanowiła teraz cały jego świat, Ferracini miał tylko jednego towarzysza. Był nim Cassidy. W słabym świetle latarek zakapturzona postać Cassidy'ego kładła się złowrogimi cieniami na ścianach szybu. Pomiary sondą wykazały, że lustro wód ściekowych znajduje się na poziomie stu dziewięćdziesięciu ośmiu stóp, czyli

sześćdziesięciu metrów w głębi szybu. Oznaczało to, że wejście do chodnika mieści się jakieś dwadzieścia pięć stóp, czyli od sześciu do siedmiu metrów pod powierzchnią cieczy. Sprawa się komplikowała, ale przecież mogło być znacznie gorzej. Zasadnicze ryzyko polegało teraz na tym, że mogą znaleźć się w zasięgu wybuchu ładunku, który tymczasem znajdował się jeszcze nad nimi.

Wszystko zaś, co mogli zrobić, to działać możliwie szybko.

Ferracini dał znak, przycisnął linę do siebie, żeby uwolnić dłonie i choć trochę przysłonić uszy.

Cassidy podpalił lont przymocowany do jednej z lin biegnących w dół, gdzie — na głębokości

piętnastu metrów — zawiesili kilka niewielkich w sumie ładunków wybuchowych. Widzieli, jak

ogień błyskawicznie przemieszcza się w dół — lont był szybkopalny — i najpierw poczuli, a za moment usłyszeli eksplozję. Ferracini zakołysał się na linie, w ułamku sekundy dostrzegł jeszcze chmurę dymu biegnącą w górę i po chwili wszystko zniknęło w gęstej mgłę oparów.

Na ramieniu poczuł palce Cassidy'ego, znak, że wszystko jest w porządku. Dotykem odnalazł linę z sondą i zaczął opuszczać pływak, licząc węzły na sznurze. Poczuł, jak lina traci napięcie. Pływak dotknął powierzchni cieczy. Poziom jeszcze za wysoki. Eksplozja podniosła ciśnienie i lustro wód ściekowych rzeczywiście się obniżyło, ale niewystarczająco. Wejście do chodnika ciągle przykrywała cztero-metrowa warstwa trującego płynu. Odszukał w ciemności ramię Cassidy'ego i dał znak, żeby odpalić kolejne ładunki. Cassidy zasignalizował, że podpali kilka zestawów naraz. Ferracini zaczął

zwijać sondę, podczas gdy Cassidy wystukał morsem na stalowej ścianie wjazdu wiadomość o sytuacji, czekającym na zewnątrz.

Lamson i Payne byli już przebrani i gotowi do zejścia. Payne odczytywał wskazania manometru i orientował się, że ciśnienie wewnątrz szybu wzrosło. Lamson wsłuchiwał się w stuk alfabetu Morse'a.

— Jeszcze niecałe cztery metry! — krzyknął do Ryana, który zabezpieczał wejście do ceglanego sześciokąta. — Teraz odpalą większe ładunki. Jak sytuacja na zewnątrz?

Ryan przekazał wiadomość Warrenowi i Knackemu.

— Na razie spokój — odpowiedzieli.

Przez ułamek sekundy widzieli błysk palącego się lontu, po czym kolejna eksplozja okryła wszystko gęstą chmurą dymu. Ferracini poczuł ból w uszach, przełknął kilkakrotnie, co przyniosło ulgę. Czuł, jak dym wciska się pod powieki i drażni źrenice. Maskę nie osłaniała twarzy, jak powinna, przez szczeliny wkradały się trujące opary. Spróbował poprawić paski przytrzymujące maskę.

Znów zaczął wypuszczać linę i liczyć węzły. Dwieście... dwieście dwadzieścia pięć stóp. Wejście do chodnika odsłonięte! Dwieście trzydzieści... Sonda zatrzymała się na dwustu trzydziestu sześciu stopach, czyli siedemdziesięciu dwóch metrach. Dziesięć stóp, czyli trzy metry poniżej wejścia do chodnika. Ale czy obudowa szybu jest szczelna? Czy ten poziom się utrzyma? Czy ciśnienie nie zacznie gwałtownie spadać?

Zasignalizował rezultaty pomiarów Cassidy'emu i obaj zaczęli ostrożnie opuszczać w dół

zaimprovizowaną tratwę z desek i pustych beczek po ropie. Rzecz cała była sporych rozmiarów i w całości nie mieściła się we wżazie. Musieli więc składać ją tu, wisząc nad przepaścią. Na tratwie, gdy sięgnie ona już lustra wód na podszybiu, umieszczą ładunki dynamitu. Eksplozja powinna

spowodować zasypanie szybu poniżej wejścia do chodnika. Po kilku minutach, które wydawały się wiecznością, poczuli, że tratwa sięgnęła celu. Ferracini przywiązał do siebie linę, do której była uwiązana tratwa, sondę oddał Cassidy'emu i przygotował się do zejścia w dół.

Dotykem sprawdził, czy wszystko jest w porządku. Automat miał przymocowany na plecach. Przy pasie: pistolet, nóż, magazynki z amunicją, granaty. W worku był ładunek termitu do wysadzenia

przejścia do „Obucha”. Sprawdził jeszcze linę zjazdową — zwój leżał na belce wewnętrznej konstrukcji wjazdu, czekając na swoją kolej — zrzucił końcówkę w dół, przerzucił linę przez plecy i pod udem — niczym alpinista schodzący ze ściany — odczepił zabezpieczenie, zawisł nad przepaścią i zaczął opuszczać się w dół.

Lina z sykiem ślizgała się po przetłuszczonej tkaninie kombinezonu i między palcami rękawic.

Kołysał się jak żywe wahadło, nogami odbijając się od ścian szybu. Ciemność była nieprzenikniona.

Tylko zmysł dotyku pozwalał mu orientować się w przestrzeni. Starał się przylegać do jednej ze ścian szybu, żeby nie zagubić się w przepastnej głębi. Kiedy w rękach poczuł węzeł, który związał na dziewięćdziesiątej stopie liny, czyli po dwudziestu siedmiu metrach, wyhamował szaleńczy zjazd.

Końcowy odcinek przebył już wolno i ostrożnie, stopami badając ścianę szybu. Znalazł wejście do chodnika, zakołysał się na linie i dostał się do środka.

Poczuł, że stopy trzymają się w miarę pewnie na gruncie, który jeszcze przed chwilą skrywała grząska ciecz. Wolno i z rozmysłem trzykrotnie szarpnął delikatnie liną, dając znać Cassidy'emu. Po chwili lina zakołysała się dwukrotnie w odpowiedzi, a potem jeszcze trzy razy. Był to znak, że Cassidy wysondował lustro cieczy na podszybiu i że poziom płynu jest stabilny — nie podnosi się.

Ferracini odprężył się nieco. W ścianę chodnika wbił parę żelaznych haków, do których przymocował

końcówkę liny zjazdowej, następnie drugą liną przyciągnął tratwę, tak że znajdowała się ona teraz bezpośrednio pod wlotem chodnika. Na koniec dał znak Cassidy'emu, że może schodzić.

A więc udało się — pomyślał — bez kostiumów pletwonurków, bez systemu łączności magnetycznej.

Wbił w ścianę jeszcze parę haków, do których przymocował linę cumowniczą tratwy. Sprawdzały się teraz długie godziny i dni wysiłków i znoju, gdy w ośrodku ratownictwa podwodnego Royal Navy w Portsmouth ćwiczyli poruszanie się w absolutnych ciemnościach. Wrażenia dotykowe pozwalały mu zrekonstruować w myślach dość dokładny obraz otoczenia, w którym się znalazł. Wyrzucał sobie, że tam w Anglii był niesprawiedliwy w stosunku do Warrena. Wtedy wydawało się, że major jest zbyt drobiazgowy. A jednak to, czego od nich wymagał w czasie ćwiczeń, teraz okazało się nieocenione.

Claud wybrał — jak zawsze — najlepszego z możliwych ludzi do szkolenia. Przez chwilę też usiłował

sobie wyobrazić, co w tej chwili może robić Winslade. Pomyślał, że pewnie obiaduje gdzieś w Londynie z Churchillem i Arthurem Banneriem, podczas gdy on, Ferracini, szuka drogi w

oślizgłych ciemnościach, pełnej trujących gazów kopalni, głęboko w podziemiach III Rzeszy, a na górze aż roi się od esesmanów.

Zjawił się Cassidy i zajął miejsce obok Ferraciniego we wlocie do chodnika. Ferracini

zasygnalizował

mu, gdzie zakotwiczył linę cumowniczą, a następnie zjazdówką spuścił się niżej — na tratwę.

Odszukał pudło z ładunkami dynamitu i zapalnikami. Przez mniej więcej kwadrans „żeglował” na tratwie wokół ścian podszybia, mocując ładunki. Wyszukiwał pęknięcia w ścianach, nisze i tam wciskał dynamit, tak głęboko, jak tylko się dało.

Gdy skończył, Cassidy przyciągnął tratwę na poprzednie miejsce, tuż pod wlotem do chodnika i pomógł Ferraciniemu wejść na górę. Ferracini ciągnął za sobą lont. Na podszybiu warstwa toksycznych gazów była najgęstsza. Pod maską twarz Ferraciniego spływała potem. Ciężko dyszał od napięcia i wysiłku, w gardle czuł drapanie dymu i gazu. Chwilami chwiał się na nogach.

Cassidy miał jeszcze zapas lontu i dołączył go do końcówki, którą podał mu Ferracini. Zaczęli iść w głąb chodnika, rozwijając za sobą lont. Chodnik był pochyły, wiódł ostro pod górę, ale na szczęście

—
gdy go przebijano — wykuto w nim dość wygodne stopnie. Był też stosunkowo obszerny.

Ferracini czuł klucie w oczach i chciało mu się kaszleć. Otworzył szerzej zawór butli z tlenem i ożywczy strumień przyniósł ulgę. Wiedział jednak, że w ten sposób zapas tlenu wyczerpie się znacznie szybciej. Był już zbyt zmęczony i otepiały od wysiłku, żeby obliczyć, na jak długo wystarczy tlenu, i nie dbał o to. Do przodu — powtarzał w myślach — musisz iść do przodu, jeszcze krok, dwa...

Za chwilę, gdy odpalą następne ładunki, będzie jeszcze trudniej. Ciśnienie wzrośnie... Wierzył, miał nadzieję, że starczy mu sił, żeby dojść i żeby... wyjść. O Boże, czeka ich jeszcze walka z esesmanami... Tymczasem do przodu: krok — dwa, krok — dwa.

Przeszli w ten sposób około stu stóp, trzydzieści metrów, licząc od wlotu chodnika. Przycupnęli na ziemi, Cassidy zapalił lont, wcisnęli głowy w ramiona, przykryli uszy...

Na górze igła manometru wskazującego ciśnienie wewnątrz szybu gwałtownie zadrgała.

— Odpalili na dole! — wykrzyknął Payne.

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku — przekazał Ryan Warrenowi i Knackemu.

Payne i Lamson sprawdzili swój ekwipunek. Kiedy igła ponownie zadrga i tym razem opadnie,

będzie to znaczyło, że wysadzono pokrywę odcinającą chodnik od „Obucha”, dla nich zaś będzie to sygnał, że mają natychmiast otwierać właz i schodzić do środka.

Tymczasem głęboko pod ziemią Ferracini z Cassidym pieli się chodnikiem pod górę... coraz dalej i dalej. Przeszli pod całym terenem głównych zakładów, pod strefą ochronną otaczającą cytadelę, dochodzili do „Obucha”. Ferracini był mokry od potu pomieszanego ze smarem, nie panował już nad sobą, głowa mu opadała, potknął się. Cassidy pomógł mu stanąć na nogi.

W siedzibie Gestapo w Berlinie Heinrich Himmler wykrzykiwał coś przez telefon do generała SS dowodzącego garnizonem w cytadeli. Na stole leżał cały stos map i planów budowlanych. Dwóch inżynierów z Organisation Todt patrzyło przerażonym wzrokiem na arkusz widniejący na samej górze stosu.

— Nie będą wchodzić przez fabrykę, wy kretyni. Wejdą pod fabryką. Czy pan rozumie? Pod fabryką... Niech pan natychmiast wzmocni ochronę na dole. Wszystkich z góry przesunąć na dół...

Rassenau tylko traci czas w fabryce amunicji. Będą wchodzić przez szyb numer trzy, gdzie składuje się ścieki... Tak, mam go na drugim telefonie, ma natychmiast wysłać posiłki. Ale oni już mogą być na dole. Za wszelką cenę niech pan zabezpieczy „Walhallę”... Co?... Nie, głupcze. Już mówiłem, że tamte szyby nie mają znaczenia. Jest tylko ten jeden, który prowadzi dokładnie do pańskiego tyłka.

Zobaczy pan, że pojawią się od dołu, nie od góry.

Dokładnie wtedy, kiedy Himmler krzyczał do telefonu, eksplodowała stalowa płyta zamykająca dojście na najniższy poziom sztolni, gdzie znajdował się „Obuch”. We wszystkie strony strzelił buroczerwony gaz. W przejściu pokazały się dwie postaci w czerni, w maskach na twarzy i z pistoletami maszynowymi w rękach. Wszyscy z obsługi „Obucha”, którzy znajdowali się w pobliżu, zaczęli dusić się i padać na ziemię.

Tymczasem zaś w szybie zrzutowym dwie kolejne postaci pośpiesznie ześlizgiwały się po linie w dół.

ROZDZIAŁ 45

Major Warren przykucnął tuż obok wjazdu do sześciokątnego budynku osłaniającego wejście do szybu. Stalową płytę przywrócono na miejsce i prowizorycznie przykręcono, tak aby na zewnątrz nie wydostawał się dym po eksplozji ładunków wybuchowych odpalonych w szybie. Przytwierdzono ją tylko dwoma mutrami, aby w razie czego można ją było stosunkowo szybko otworzyć. Ryan, który siedział w środku, dał znać morsem, że Lamson i Payne właśnie zaczęli schodzić do wnętrza. Za chwilę Ryan opuści w dół prowizoryczną drabinkę sznurową — sprokurowaną z dwóch lin — którą po akcji wydostaną się na zewnątrz. Sam też zejdzie w głąb szybu. Warren wystukał morsem życzenia: powodzenia, podniósł się i rozejrzał za Knackem, który stał na warcie na schodkach.

— Ryan właśnie schodzi — zawiadomił Gustava. Knacke kiwnął głową na znak, że słyszy, ale nie odwrócił wzroku. Warren podciągnął się na schodki. Wysiętek sprawił, że noga znów zaczęła mu dokuczać.

— Posłuchaj — rzekł do Gustava — nie ma tu już dla ciebie nic do roboty, więc lepiej zmykaj, póki teren nie jest jeszcze obstawiony. Nie ma czasu na długie przemówienia, więc powiem ci tylko, że zrobiłeś kawał dobrej roboty. Nie zapomnimy o tym.

— Chciałbym wiedzieć — zapytał Knacke — dlaczego właśnie wy, Amerykanie, wzięliście to wszystko na siebie?

— To długa historia. A zresztą i tak nie wolno mi o tym mówić.

— Powiedz jednak, czy to, co znajduje się pod cytadelą, zagraża Ameryce?

— Całemu światu.

Knacke ze zrozumieniem kiwnął głową.

— To brzmi lepiej. Wiesz, że nie jest mi łatwo w tym uczestniczyć, jestem przecież Niemcem.

— Rozumiem i przykro mi, że tak to się wszystko dzieje. Ale zrozum, ta operacja skierowana jest przeciwko nazistom. Pomyśl tylko, co może się stać ze światem, jeśli się im nie przeszkodzi.

— Tak też myślę i dlatego zgodziłem się wam pomóc.

— Rozumiem.

W tej właśnie chwili dobiegło ich przeraźliwe wołanie kobiety. Nie wiedzieli skąd, ale głos brzmiał alarmująco:

— Gustav! Gustav, gdzie jesteś?

Knacke sięgnął po broń i ostrożnie wychylił się za betonowy mur otaczający schody. U wlotu ścieżki pokazała się Marga. Miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, była wyraźnie przestraszona i rozpaczliwie rozglądała się dookoła.

— Marga! — krzyknął. — Jestem tutaj!

Chwilę później usłyszeli zza budynku ostre: halt! Marga spojrzała za siebie, krzyknęła z przerażenia i zaczęła biec w stronę Gustava. Zza zakrętu dobiegło echo podkutych butów, a ułamek sekundy później pojawiło się kilkunastu esesmanów. Biegli za Marga. Halt! — ponownie krzyknął biegnący na czele oficer i wymierzył z pistoletu. Knacke strzelił pierwszy, jak tylko Marga zeszła z linii ognia.

Kula odbita rykoszetem dosięgła jeszcze jednego z prześladowców, a w chwilę później między biegnącymi esesmanami wylądował granat rzucony ręką Warrena, który przygotowywał już następny pocisk. Esesmani rozproszyli się, szukając osłony przed ogniem. Knacke wypuścił następną serię z automatu. Warren rzucił kolejny granat.

Ciężko dysząc, Marga przykucnęła na schodach obok Gustava.

— Skądś się dowiedzieli, gdzie jesteście. Chciałam was ostrzec, że idą, ale...

— O tym później! — Knacke gestem nakazał milczenie, wciskając jej automat do rąk. Oboje byli na tyle przewidujący, że gdy tylko zaczęli konspirować, nauczyli się posługiwać bronią.

Za rogiem znów rozległy się głosy i usłyszeli także dźwięk gwizdka. Nad ich głowami zaświstały kule, odbijając się rykoszetem o stalowe belki konstrukcji. Oficer, którego dosięgła kula Knackego, leżał bez ruchu, a spod stygnącego ciała wypływała kałuża krwi, rozlewając się po bruku. Obok ranny żołnierz usiłował wstać, przytrzymując zdrową ręką kontuzjowane ramię. Dwaj inni wybiegli zza rogu budynku i odciągnęli go w ukrycie, podczas gdy pozostali ubezpieczali ich, strzelając seriami wzdłuż ścieżki. Knacke odpowiedział ogniem. Unosił się trochę nad osłaniający mur,

wystrzelał serię, następnie krył się. Kolejne serie wystrzeliwał zza węgła. Zmieniał pozycje, aby nieprzyjaciel nie zorientował się, skąd i kto strzela.

Marga przykucnęła w połowie schodów. Na dachu budynku pompowni pokazało się kilka postaci w stalowych hełmach. Strzeliła w ich kierunku, a następnie błyskawicznie stoczyła się niżej, żeby zejść z pola ostrzału. Jednocześnie Warren rzucił granat na dach. Wybuch zniszczył dwa okna poniżej, a z dachu posypały się odłamki poszycia i szkło. Kolejny granat Warren cisnął w kierunku ścieżki.

Oblegający odpowiedzieli też granatem, który eksplodował w wykopie otaczającym murowany wjazd do szybu. Marga zaczęła ostrzeliwać okna pompowni, w których pokazały się sylwetki esesmanów.

Knacke ostrzeliwał ścieżkę.

— Przegrupowują się! — krzyknął przez ramię. — Zaraz zaczniesz atak.

Warren tymczasem odkręcał kluczem francuskim dwie mutry na pokrywie.

— Strzelajcie gdzie bądź! — odkrzyknął. — Róbcie dużo hałasu! Strzelajcie do zbiorników, może wybuchną. — Wystrzelił serię w kierunku cysterny na końcu ścieżki i poprawił granatem. Stosując się do polecenia Warrena, wydanego głosem wykluczającym wszelki sprzeciw, Marga i Knacke

ostrzeliwali zbiorniki i wiodące do nich wiązki rur. Warren rzucił jeszcze kilka granatów. Jeden ze zbiorników eksplodował i w chwili gdy esesmani ruszali do ataku, całą ścieżkę wypełnił gęsty tuman białego dymu. Pożar wybuchł też w pompowni, a z okien budynku jął się wydobywać ciemny dym cuchnący ropą.

— Głęboki oddech, nabrać powietrza w płuca — rozkazał Warren. Sięgnął po swoją oficerską czapkę i obciągnął mundur pułkownika SS. — Bądźcie gotowi! — krzyknął i odsłonił pokrywę włazu. Z

otworu buchnęły gęste, brązowe opary i żrąca mgła spowiła wszystko dookoła nieprzeniknioną chmurą dymu.

Warren odbezpieczył kilka granatów z zapalnikiem opóźniającym i umieścił je w wykopie przy włazie do szybu. Wystrzelił kilka krótkich serii w powietrze, podciągnął się na schody, wyprostował i krzyknął:

— Wstawać! Ręce do góry! — Jednocześnie wyrwał broń z rąk Gustava i Margi. Knacke był tak zaskoczony, że zmarł nie wiedząc, jak zareagować. Warren wymierzył mu mocny policzek. — Ręce do góry mówię! Schodzić! Schnell, schnell! — Wycelował w nich automat i popchnął w kierunku podjazdu do pompowni. Na drodze było pełno esesmanów. Raz po raz wpadali na umundurowane postaci. Gdy wybuchły granaty z opóźnionym zapalnikiem, Warren strzelił w kierunku włazu do szybu. Zamieszanie spotęgowało się i zewsząd słychać było strzały.

U wylotu podjazdu mgła rozrzedziła się i zobaczyli, że cały teren otoczony jest przez SS. Kulejąc Warren przeprowadził kaszlących i załzawionych od dymu „jeńców” przez kordon. Jakiś sierżant z dwójką esesmanów zameldował się do pomocy.

— Nie trzeba. Tam jest jeszcze kilku bandytów — odkrzyknął Warren — ruszajcie! Jesteście tam potrzebni!

Żołnierze pobiegli, gdzie im wskazał.

Skręcili ze ścieżki na drogę dojazdową i skierowali się tam, gdzie zostawili auto. Za ich plecami ciągle jeszcze kłębiła się gęsta, brązowo--żółta chmura dymu. Z wolna unosiła się nad otaczające budynki fabryczne. Wciąż też słychać było strzały, wybuchały granaty, krzyczeli ludzie. Zaczęły się też rozlegać dźwięki syren wozów strażackich, potęgujące chaos i zamieszanie. Obok przebiegali jacyś żołnierze, pędząc w przeciwnym kierunku niż Warren i jego jeńcy. Inni esesmani stawiali posterunki, żeby nie dopuścić tłumowi robotników, którzy już zaczęli się gromadzić, aby zobaczyć, co się właściwie stało.

— A teraz odprężyć się, opuścić ręce i iść spokojnym krokiem — szepnął Warren. „Jeńcy z eskortą” przemienili się w dwójkę cywilów, może agentów Gestapo, w towarzystwie oficera.

Nikt ich nie zatrzymywał i rychło dotarli do mercedesa, który stał dokładnie tam, gdzie zostawili go Ryan i Ferracini.

— Udawaj kierowcę — pouczył Warren Margę, wskazując jej miejsce na przednim siedzeniu. Sam

zaś z Knackem zajęli miejsca z tyłu. Oddał im broń i ruszyli.

Sierżant, który prowadził drogą oddział esesmanów, posłusznie ustąpił miejsca, żeby mogli przejechać.

Skierowali się ku bocznej bramie, gdzie sytuacja wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, gdy wjeżdżali z Ryanem do fabryki. Szlaban był opuszczony, a przejazdu pilnował patrol złożony z kapitana SS, kaprała i dwóch szeregowców. Jeszcze silniejsza grupa esesmanów — jak zauważył Warren — stała po drugiej, zewnętrznej stronie bramy, gdzie także ustawiono łązika z karabinem maszynowym. Szofer i obsługa CKM byli w pogotowiu. Warren domyślił się, że również budynek wartowni został przejęty przez SS. Do przodu wysunął się kaprał, unosząc rękę na znak, żeby się zatrzymali. Mercedes zwolnił. Esesmani podnieśli broń, po czym ją opuścili, gdy zobaczyli mundur Warrena.

— Co się tam dzieje? — zaczął kapitan, zwracając się do Warrena, i zamilkł, widząc wycelowany w siebie automat Margi. Strzeliła serią, jednocześnie nacisnęła pedał gazu. Impet strzałów odrzucił kapitana pod ścianę wartowni, kaprał w ostatniej chwili uskoczył przed przyspieszającym wozem.

Knacke otworzył ogień, ścinając pozostałą dwójkę esesmanów po tej stronie szlabanu. Warren wymierzył do obsługi CKM na łąziku i rzucił granat. Esesmani rozpięchli się. Mercedes z hukiem uderzył w szlaban, wyłamał go i pomknął dalej. Długa seria z tylnego siedzenia auta sprawiła, że jeszcze przez dobrą chwilę esesmani leżeli na szosie i nikt nie śmiał podnieść głowy, podczas gdy mercedes nikł w oddali.

W dolnej kondygnacji „Obucha” znajdowały się głównie zestawy generatorów, napęd urządzeń wentylacyjnych i magazyny. Wydobywający się z pochylni gaz obezwładnił — nieliczny zresztą — personel tej części pomieszczeń „Walhalli”. Można było mieć nadzieję, że jeśli nawet ktoś zacznie powracać do przytomności, to i tak będzie zbyt słaby, że stawiać opór albo próbować czegoś „bohaterskiego”. Przez najbliższe parę minut Ferracini i Cassidy mogli być spokojni o zaplecze.

Ruszyli do przodu, skokami, kryjąc się w szczelinach konstrukcji i wzajemnie się osłaniając.

Kierowali się ku żelaznym schodom, które wiodła jedyna droga na wyższą kondygnację.

Wartownik w mundurze SS i mężczyzna w białym fartuchu usiłovali właśnie zamknąć ciężkie, masywne drzwi, gdy Ferracini dotarł do szczytu schodów. Strzelił z biodra. Wartownik odskoczył do tyłu, cywil upadł bez życia na progu. Od zewnątrz ktoś jeszcze próbował domknąć drzwi, ale ciało leżące w progu nie pozwalało na żaden manewr. Ktoś inny wychylił się, żeby odsunąć zwłoki, lecz

Ferracini strzelił celnie i drugie ciało zaległo w drzwiach. Pod osłoną serii z automatu Ferraciniego, Cassidy wystrzelił do przodu i rzucił dwa granaty za próg. Jak tylko wybuchły, Cassidy wystrzelił jeszcze serię w szczelinę drzwi. Ferracini usunął z przejścia ciała obu ofiar.

Wyrzał za drzwi. Przed jego oczami rozciągała się teraz hala, w której znajdował się projektor powrotny. Z zarysów przypominał urządzenie, które montowali na Brooklynie, co było zrozumiałe, bo brooklyński wzorowany był właśnie na „Obuchu”. Tuż nad głową Ferraciniego znajdowała się główna kolumna projektora. Otaczała ją galeryjka z poręczą, zamontowana mniej więcej w połowie głównego trzonu mającego kształt cylindra. We wnękach widać było zestawy wskaźników i przyrządów pomiarowych, jakieś drabinki i kolejne galeryjki dla obsługi. W hali panowało ogromne zamieszanie. Ludzie krzyczeli i biegali bez celu. Jedni usiłowali odbiec jak najdalej od drzwi wiodących na schody, gdzie przed momentem eksplodowały granaty, inni — przeciwnie — biegli w tym kierunku, żeby zobaczyć, co się stało. Coraz więcej ludzi krztusiło się i kaszłało, gdyż dym z dolnej kondygnacji zaczął przedostawać się do głównej hali.

Nie było czasu na zachwyty. Ferracini wystrzelił długą serię do kłębiącego się tłumu, Cassidy skoczył do przodu, ostrzeliwując galerię i mierząc do lamp oświetlających pomieszczenie. Ferracini założył nowy magazynek do automatu i ruszył za Cassidym.

Starali się posuwać jak najdalej od siebie, żeby zwiększyć pole ostrzału. Kierowali się w stronę wejścia do projektora. Na jednej z galerii zamajaczył cień postaci z rewolwerem w ręku. Mierzył do Cassidy'ego. Ferracini strzelił w tamtym kierunku i postać zniknęła, zanim zdążyła pociągnąć na spust.

Wszystko to przypominało fantastyczne obrazy Brueghla przedstawiające Hades. Jedną część wielkiej hali wypełniał gęstniejący, czarny dym. Spowijał maszynę, otaczał ludzi, kładł się ciemną chmurą na ciała zabitych, ocieniał kałuże krwi na podłodze. Obecna w hali załoga wartowników SS została całkowicie zaskoczona. Atak był błyskawiczny i brutalny. Wobec zaskoczenia, a także dlatego, że dały się już odczuwać skutki toksycznych wyziewów, nie mogło być mowy o jakiegokolwiek zorganizowanej obronie. Cassidy ukrył się za pojemnikiem z przyrządami pomiarowymi i

przeładowywał swój automat, Ferracini obserwował galerię i prowadzące do niej schodki, szukając najlepszej drogi dojścia do projektora.

Wtedy to pojawiły się pierwsze posiłki SS z górnych kondygnacji. Esesmani tłoczyli się w wejściu z drugiej strony hali. Za szybko i zbyt nieostrożnie. Wbiegali do środka i stawali w pełnym świetle reflektorów wiszących u sufitu, dokładnie w tym miejscu, gdzie krzyżował się ogień z dwóch automatów ukrytych w ciemności. Co więcej, nie wiedzieli, że w powietrzu unosi się toksyczny gaz.

Zaczęli wycofywać się bezładnie, zostawiając za sobą kilka trupów. Za drzwiami ktoś wydał jakiś rozkaz i nowa grupa esesmanów usiłowała wbiec do hali. Powstał ogromny chaos, gdy ci, którzy

pierwsi weszli do hali, usiłowali teraz wyjść, a nowi próbowali wejść. Cassidy rzucił granatem w środek tłumu, a Ferracini korzystając z zamieszania, dotarł do schodków i dostał się na podest vis-a-vis śluzy translokacyjnej.

Pod nią rozciągał się widok na wejście i całą frontową część hali, gdzie dziesiątki esesmanów szukało ukrycia między konsolętami sterowniczymi i pojemnikami ze sprzętem. Seria kul odbiła się rykoszetem od stalowych belek tuż obok Ferraciniego. Słyszał też, jak Cassidy odpowiada ogniem.

Skierował automat w dół i wystrzelił kilka krótkich serii mierząc w miejsca, gdzie esesmani szukali osłony. Następnie przykucnął za balustradą i zaczął nerwowo przygotowywać ładunki wybuchowe.

Wtedy właśnie poczuł ucisk, jakby coś rozsadzało mu klatkę piersiową. Skończył się zapas tlenu. Nie miał wyboru. Zluzował paski i ściągnął maskę z twarzy. Bezwiednie wziął głęboki oddech i w kilka chwil później opadał bez sił na kolana, krztusząc się i wymiotując. Nie widział już, jak zapaliło się światło nad drugim wejściem do hali, jak otworzyły się drzwi od strony zapasowego szybu i jak do sztolni wdarł się kolejny oddział SS.

Na dole tymczasem innej grupie SS udało się zająć pozycje między Cassidym a drzwiami, przez które Ferracini z Cassidym wdarli się do hali, i w ten sposób zupełnie sparaliżowali możliwość jakiegokolwiek ruchu ze strony Cassidy'ego. Miotał się na niewielkiej przestrzeni między stalowymi kolumnami podtrzymującymi główny korpus projektora a konsolętą z wskaźnikami elektrycznymi, usiłował odpowiadać ogniem, ale nieprzyjaciel otaczał go z trzech stron. Rzucił ostatni granat i w tym momencie skończyła się amunicja w automacie... Właśnie wtedy w drzwiach pojawili się

Lamson z Payne'em i seriami zaczęli kosić nacierających na Cassidy'ego esesmanów.

Zostawiwszy Kurta Scholdera z Pfanzerem i kilkoma jeszcze osobami w sterowni, żeby

przypilnowali zaskoczoną załogę dyżurną, Winslade popędził na dół, gdzie już czekali na niego przed wejściem do śluzy translokacyjnej. Młody Scholder podał mu cały pęk dziwnych przedmiotów w kształcie puszek, z których wystawały jakby plastikowe ołówki. Podobne trzymali już w dłoniach Anna i pułkownik Adamson. Keith uparł się, że wyprawi się razem z nimi i w tej sytuacji

pilnowaniem Kahleba i jego ludzi zajęli się inni.

— Zapalniki ustawione są na trzydzieści sekund — rzekł młody Scholder. — Wystarczy tylko złamać „ołówki” i już. Pamiętajcie: trzydzieści sekund.

Winslade zarzucił na plecy swój automatyczny karabinek.

— Gotowe? — zapytał Annę.

Kiwnęła głową na potwierdzenie.

Ktoś wychylił się ze sterowni, żeby zakomunikować, że wiązka inicjująca już się wklucza. W tej

samej chwili uchyliły się podwójne drzwi wiodące do śluzy translokacyjnej, a w środku zapaliło się czerwone światło.

— Zatrzymać wszystko! — rozległ się czyjś krzyk. W jednych z bocznych drzwi pojawiły się dwie postaci w złotych bluzach, będących oznaką członków Rady Dyrektorów, za nimi zaś kroczył Kahleb ze swoimi ludźmi. Na galeryjkę na górze wbiegli funkcjonariusze ochrony, kierując się w stronę sterowni. Ktoś jednak zamknął drzwi od wewnątrz, a za szybą pokazał się Scholder z automatem w ręku. Pfanzer machał rękami i wskazywał na śluzę translokacyjną na dole. Ochrona zaczęła wyłamywać drzwi.

Otworzyło się wejście vis-a-vis śluzy translokacyjnej i do hali przed-lokacyjnej zaczęli wdzierać się następni funkcjonariusze ochrony.

— Zaczynamy! — krzyknął młody Scholder, po czym odwrócił się, by z Eddiem, Tung-Senem i innymi stawić czoło napastnikom.

Winslade, Anna i Adamson wbiegli do śluzy. Ochrona rzuciła się na ludzi osłaniających ją, ale było już za późno. Drzwi do śluzy zaczęły się zamykać.

Ferracini leżał z twarzą przyciśniętą do karbowanej żelaznej podłogi i ciężko dyszał. Potężne wentylatory, umieszczone wysoko pod sufitem, zaczęły rozpraszać gazy i do hali napływało świeższe powietrze. Ferracini zobaczył przed sobą stopę. Instynktownie cofnął głowę, podniósł wzrok i dostrzegł czarno ubraną postać w masce, z której sterczała dość pokaźna, elastyczna rura.

Wydawało mu się, że to Ryan, ale nie był pewien. Widział, jak po drugiej stronie platformy inna postać w czerni rozwija lont między rozstawionymi już ładunkami wybuchowymi. Dwie postaci w czerni strzelały z automatów, celując w dół — poniżej platformy, i wyżej — w kierunku galerii. Był to Cassidy i... chyba Payne. Na barku tego ostatniego widniała krwawa plama, a jedno ramię zwisało bezwolnie w dół.

Ferracini poczuł, jak ktoś próbuje go podnieść ciągnąc za pas. Uniósł się na kolana. Zobaczył Ryana.

Ten strzelał mierząc w dół, a następnie pozbierał ładunki wybuchowe, które częściowo już

przygotował Ferracini, i ruszył, żeby dołączyć je do przyniesionych przez Lamsona. Ferracini spojrzał teraz w drugą stronę i ujrzał, że esesmani zaczynają już wchodzić na schodki prowadzące na platformę. Sięgnął po pistolet automatyczny, który ciągle leżał obok, wycelował, nacisnął spust i...

nic.

Magazynek był pusty!

Usiłował się podnieść, gdy usłyszał świst kul. Poczucił mocne uderzenie w ramię i klatkę piersiową.

Kolejne uderzenie, tym razem w bark, sprawiło, że znów zwałił się na podłogę, tuż przed wejściem do wnęki prowadzącej do śluzy translokacyjnej. Patrzył przed siebie nieruchomym wzrokiem,

bezwolny i bezsilny. Tuż przed nim, na podeście, wylądował granat. Wtedy zobaczył Cassidy'ego.

Strzelał z biodra tuż nad jego głową, a następnie kopnięciem odrzucił granat w kierunku

napastników. Za Cassidym stał Ryan i strzelał w przeciwnym kierunku. Esesmani wdzierali się na platformę z dwóch stron jednocześnie. Od dołu nadchodzili następni. Wspinali się po stalowej konstrukcji. Trzeba było ich powstrzymać. Za wszelką cenę. Do chwili, aż eksplodują ładunki. Tylko to się liczyło i nic więcej.

Payne upadł, otrzymawszy jeszcze jeden postrzał. Zaraz potem Ryan zatoczył się i opadł na ziemię tuż przed wejściem do przedsionka śluzy. Jeszcze tylko Cassidy i Lamson walczyli. Ferracini próbował wydobyć zapasowy magazynek z pojemnika przy pasku, ale ręka odmawiała

posłuszeństwa. Uniósł głowę i ujrzał nadchodzących esesmanów. Na przedzie szedł wysoki blondyn o niebieskich oczach. Triumfował, kąciki ust uniósł w górę i jego twarz zaczęła nabierać zgoła groteskowego wyrazu w dziwnym świetle, które zapaliło się gdzieś za plecami Ferracini'ego. Zdrową ręką Ferracini starał się podnieść automat, ale olbrzym już mierzył ze swego pistoletu... i raptem jego głowa rozprysła się jak dojrzały arbuz pod młotkiem.

Postaci w czarnych mundurach, które podążały za blondynem, zniknęły. Po schodach bezładnie

przewalały się bezwolne ludzkie ciała. Ferracini obrócił głowę i spojrzął za siebie. Wtedy to zdał

sobie sprawę, że odniósł znacznie cięższe rany, niż mu się wydawało. Zrozumiał, że to już koniec.

Nie tak sobie wyobrażał własną śmierć. Nie, nie należał do tych, którzy godzinami potrafią myśleć o chwili, kiedy im przyjdzie wydać ostatnie tchnienie, ale zawsze gdy myślał o śmierci, wydawało mu się, że przed oczami roztoczy się cały kolorowy świat, że ogarnie go uczucie uniesienia, że może usłyszy dźwięki jakieś podniosłej muzyki, tak jak bywa to w opowieściach narkomanów... Sam nigdy nie miał najmniejszej chęci na narkotyki. A zresztą, przytłumiony umysł i sparaliżowana zdolność myślenia nie są w zgodzie z żołnierzem oddziałów specjalnych. Tymczasem własna śmierć wydawała się tak... po prostu... zwyczajna. Śmierć go rozczarowywała. Okazała się czymś najzwyklejszym w świecie, choć zaczynał dostrzegać nierealność tego, co się z nim działo i co go otaczało...

Tuż nad sobą zobaczył wizerunek Clauda. Winslade strzelał do esesmanów z jakiegoś niezwykłego ręcznego automatu. Pociski wyglądały jak miniaturowe bomby, a w momencie strzału rozlegał się dźwięk podobny do stuku pociągu na szynach. Halucynacje — pomyślał Ferracini — halucynacje

wywołane podświadomością. Z drugiego automatu strzelała Anna Kharkiovitch. Ferracini zobaczył

też Keitha Adamsona. — A ten skąd tu się wziął? — pomyślał przez sekundę. Widział, jak Adamson wybiega z projektora, pochyla się i wciąga Payne'a do środka. Cassidy obejmował i unosił Ryana, a Lamson odpinał bagnet od pasa jakiegoś zabitego esesmana, który leżał skurczony na podłodze.

I wtedy Claud spojrział w dół na Harry'ego, uśmiechnął się, jak tylko on to potrafił, i rzekł:

— No chodź, Harry, wstawaj. Nie mamy specjalnie dużo czasu. Co więcej, chyba nas tutaj nie bardzo lubią.

Anna Kharkiovitch pochyliła się nad Harrym i razem z Claudem postawili go na nogi. Tak nie wolno. To grzech. Był przecież martwy! Dlaczego nie chcą go zostawić w spokoju? Zaczęli go popychać w kierunku czerwieniejącej w głębi poświaty. Cassidy pomagał Ryanowi utrzymać się na nogach. Za plecami słyszeli, jak Claud jeszcze strzela.

— To nie tędy — Ferracini usłyszał własny głos. — Nie tędy — mruknął bez związku — musimy w drugą stronę. Tam na górze czeka Harvey.

W tym momencie stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 46

W przedsionku śluzy translokacyjnej rozległy się okrzyki najwyższego zdumienia, gdy drzwi otworzyły się i oczom zebranych ukazał się Winslade. Od momentu zamknięcia drzwi minęła ledwie chwila, tymczasem we wnętrzu śluzy, obok Winslade'a i dwójki, która mu towarzyszyła w translokacji, znajdowało się jeszcze pięć osób w czarnych przetłuszczonych kombinezonach roboczych z kapturami. Ich twarze przysłaniały maski. Dwie osoby z owej piątki leżały nieprzytomne na podłodze, trzy pozostałe — najwidoczniej ranne — ledwie trzymały się na nogach. Nie bacząc na straż, kilku naukowców pośpieszyło na pomoc, gdy Winslade i reszta zaczęli wychodzić ze śluzy. Winslade miał ranę na policzku, gdzie musnęła go kula. Krew sączyła się na koszulę i marynarkę.

Dowódca Służby Ochrony i Bezpieczeństwa major Felipe Juanseres, który zjawił się z Jorgassenem zaraz po dyrektorach w złotych uniformach, był wyraźnie poruszony widokiem okaleczonych, zakrwawionych postaci, które wyprowadzano ze śluzy. W nozdrzach poczuł ostry zapach gazu dobiegający z wnętrza maszyny.

— To właśnie oni! — wykrzyknął Kahleb, wysuwając się do przodu i wskazując palcem. — Tych dwóch i ta kobieta. A ten napadł na strażnika.

— Aresztować ich — rozkazał jeden z dyrektorów. Straż otoczyła wejście do śluzy.

— Niech pan tylko na nich spojrzy — rzekł Jorgassen do Juanseresa. — Przecież to oczywiste, że to, co się dzieje po drugiej stronie kanału translokacyjnego, nie ma nic wspólnego z badaniami naukowymi. Wszyscy widzą, że ci ludzie znaleźli się tam w ogniu walki.

— Powiedziałem: aresztować ich! — powtórzył rozkaz dyrektor. — Pan tu odpowiada za bezpieczeństwo i pańską rzeczą jest wykonywać moje polecenia.

Na galerii strażnicy wyprowadzali już Scholdera i Pfanzera ze sterowni. Za nimi ze sterowni wyszedł jeszcze ktoś i oznajmił:

— Połączenie zerwane. Zero na monitorach wiązki wkluczającej. Brak reakcji na wskaźnikach.

— Nie słuchajcie ich, to przestępcy! — krzyknął Tung-Sen do strażników, którzy trzymali grupkę naukowców na muszkach. — Są odpowiedzialni za morderstwo.

— Masowe morderstwo — dorzucił Eddie, który stał obok. Strażnicy spojrzeli pytająco na Juanseresa.

— Wydałem wyraźny rozkaz — powtórzył ostro dyrektor.

— Pan odpowiada za bezpieczeństwo — rzekł Tung-Sen do Juanseresa. — Ostrzegam pana, że ci ludzie naruszyli prawo.

— Nie musi pan ich słuchać — usiłował jeszcze ratować sytuację Kahleb. — Oni nie są uprawnieni do wydawania żadnych poleceń. Juanseres patrzył to na jednych, to na drugich.

— Dość tego — rzekł. — Zamknąć ich! — polecił strażnikom. — Wszystkich. Niech się uspokoją.

Poinformuję o sprawie wyższe szczeble władzy. Zaraz zawiadamiam MPSZ.

— Nie wolno panu tego robić... — zaczął jeden z dyrektorów, ale przerwał, gdy strażnik zagroził mu pistoletem.

— Powiedziałem: dość tego! — powtórzył Juanseres. — Przejmuję kierownictwo. Moim pierwszym obowiązkiem jest zaprowadzenie ładu i porządku. Zabrać ich — rozkazał strażnikom. — Tych

zamknąć w pokoju konferencyjnym w R7. Tę grupę zaprowadzić do salonu na piętrze dyrekcji. A tych do recepcji. Proszę sprowadzić lekarzy, niech za: aż zajmą się rannymi. Uprzedzić personel w izbie chorych. Tych zaś zrewidujcie i dajcie im coś do ubrania. Umyć, przebrać i zostawić pod strażą w kantynie dla personelu, na zapleczu. Niech tam czekają.

Zapadał zmierzch. Anna Kharkiovitch siedziała z Adamsonem przy stole w przestronnej sali o biało-pomarańczowych ścianach. Przyniesiono im posiłek złożony z ostro przyprawionej wołowiny z jarzynami i owoców. Byli zmęczeni a zarazem zdenerwowani czekaniem, zjedli więc niewiele i bez apetytu. Scholder przechadzał się nerwowo, wyglądając przez szerokie okno. W świetle reflektorów lądowały właśnie pierwsze samoloty z oddziałami MPSZ. Żołnierze w błękitnych mundurach zajmowali pozycje przy bramach i w strategicznych punktach całego terenu „Organów”.

— A u nas według moich obliczeń jest już 11 kwietnia — rzekł Scholder. — Minęło sześć tygodni od czasu, gdy wyruszyliśmy.

— Niewiele ponad pięć godzin tutaj — mruknął Adamson. Anna podniosła głowę.

— Tak więc ile czasu im zajęło dotarcie do celu w Niemczech? Prawie miesiąc?

— Właśnie — powiedział Scholder. — Trochę dłużej niż zakładano, ale na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

— Jeśli nie liczyć majora Warrena — odparła Anna. — Ciekawa jestem, co się z nim dzieje.

— Sądzę, że kiedyś się dowiemy — rzekł Scholder. — Minie jeszcze trochę czasu, nim uda nam się wrócić do domu.

— A więc myślisz, że będą w stanie nas odesłać? — zapytała Anna. Scholder skinął głową.

— Przypuszczam, że tak. Ale nie chcę nawet zgadywać kiedy i ile czasu minie tam, w tamtym świecie.

Z tego, co wnioskował z krótkiej wymiany poglądów z miejscowymi specjalistami, to „zakłócenia” generowane przez projektor powrotny zostały przeniesione na hiperfali, na częstotliwości nieznacznie różnej od pasma stosowanego w łączności „Organów” z projektorem w Lipsku. Z czystej ciekawości jeden z inżynierów z dyżurnej zmiany w sterowni polecił dostrojenie parametrów wiązki inicjującej do nowej częstotliwości i w ten sposób nastąpiła aktywizacja i włączenie ich projektora. Oznaczało to, że jeśli ponownie dostroją się do tej właśnie częstotliwości, to znów będzie można uruchomić kanał translokacji, pod warunkiem że w ośrodku powrotnym nie zrezygnowano tymczasem z dalszych prób nawiązania łączności.

— Ciągle jeszcze nie potrafię zrozumieć, jak to właściwie jest z tą różnicą w czasie — wtrącił

Adamson. — Czy możecie mi wytłumaczyć, na przykład, dlaczego w naszym świecie musi upłynąć

spory okres, nim wrócimy? Jeśli w tej tu maszynie wystarczy nacisnąć jakiś guzik i wybrać sobie dowolną epokę i datę w przeszłości, bez względu na upływ czasu tu, na miejscu, to czy nie możemy po prostu nastawić całego systemu na ten sam dzień, kiedy wyruszyliśmy, i wrócić jak gdyby nigdy nic. Moja żona nawet nie wiedziałaby, że gdzieś podróżowałem. — Adamson zmarszczył brwi, o czymś usilnie myślał, aż wreszcie twarz mu się rozjaśniła, gdy przyszedł mu do głowy inny pomysł.

— A właściwie — rzekł — dlaczego by nie nastawić maszyny na jeszcze wcześniejszą datę? No nie, rozumiem; to byłoby absurdalne. Mógłbym wtedy oświadczyć na przykład, że nie zabieram się z wami. Tymczasem zaś jestem już tutaj... czyli gdyby maszynę nastawić na wcześniejszą datę, to w konsekwencji pojawiłoby się dwóch Adamsonów, tak jak jest tu dwóch Kurtów. Do diabła...

— Sam widzisz, że to skomplikowany problem — rzekł Scholder. — Ale żeby wrócić do własnego świata, musisz się z nim zsynchronizować. W przeciwnym razie, gdy na przykład wyprawiasz się w przeszłość, żeby wpłynąć na przyszły tok wydarzeń, trafiasz do alternatywnego świata. Tak to było z nami, gdy przybyliśmy do was, rozpoczynając podróż w roku 1975. Krótko mówiąc, możesz oczywiście wrócić do wcześniejszego punktu w czasie, tylko że będzie on już w innym, alternatywnym świecie.

Adamson zastanowił się przez chwilę, westchnął i pokręcił głową.

— Tak źle i tak niedobrze. Niech więc będzie, jak ma być — dokończył.

Tymczasem za oknem lądowały następne samoloty MPSZ. Były to maszyny typu VTOL: zdolne do pionowego startu i lądowania. Straż otworzyła drzwi i do sali weszli Winslade z Jorgassenem, a za nimi lekarz w białym kitlu. Adamson wstał z krzesła, Scholder popatrzył na wchodzących, Anna zaś zapytała:

— Jak się czują chłopcy?

— W najgorszym stanie jest ten, którego nazywają Payne — odparł lekarz. — Ma bardzo groźną ranę na ramieniu i dostał postrzał w żołądek, a to wywołuje pewne kłopoty wewnętrzne. Ryana właśnie operują. Będzie miał sztuczny staw biodrowy. Ferracini na szczęście ma nie naruszone kości, odniósł tylko rany mięśniowe, ale zatrzał się oparami związków azotowych i cyjankami.

— Dobrze się składa, że jesteśmy w dwudziestym pierwszym wieku — wtrącił Winslade.

— Pozostała dwójka — kontynuował doktor — miała tylko objawy wyczerpania nerwowego. Dostali środki nasenne i wypoczywają. Lecz wszyscy rokują dobrze. — Cassidy z Lamsonem zgodzili się zrazu pójść do łóżek, ale później jednak próbowali wydostać się na zewnątrz. Nie było więc wyjścia i zaaplikowano im zastrzyki z środkiem uspokajającym. — Doktor spojrzał na Winslade'a, po czym, równie podejrzliwie, na pozostałych i zapytał: — Czy to prawda, co mówią, że

przybyliście tu z przeszłości?

— Dowie się pan we właściwym czasie — odparł Jorgassen — gdy sprawę rozpatrzy Rada Narodów.

Doktor był wyraźnie zawiedziony.

— Niech będzie — powiedział. — A teraz — potoczył wzrokiem po całej grupie — jeśli państwo nie mają już żadnych spraw do mnie...

— Na razie nie — odparł Winslade.

— Najważniejsze, że chłopcom nic nie będzie — rzekł Scholder.

— A gdyby coś się stało, to wiemy, gdzie pana szukać — powiedział Winslade do lekarza — i jeszcze raz wielkie dzięki, za to, co pan dla nas zrobił.

W tym właśnie momencie ktoś stanął w drzwiach i oznajmił, że przedstawiciele MPSZ są już w budynku.

— Musimy z nimi porozmawiać — rzekł Jorgassen do lekarza, a zwracając się do pozostałych powiedział: — Proszę nam wybaczyć, ale musimy już iść.

Atmosfera w sali zrobiła się swobodniejsza, Winslade dostawił sobie krzesło, usiadł, nalał kawy.

Poklepał się znacząco po grubym opatrunku na policzku.

— Pewnie pali was ciekawość, więc od razu wam powiem, że zdaniem łapiduchów, nie powinienem od tego umrzeć — oznajmił.

Za oknem pojawiły się ostatnie błyski zachodzącego słońca, góry na horyzoncie ściemniały, ich sylwetki ledwie się odcinały na tle mroczniejszego nieba.

— A więc w ostatecznym rachunku to ty wysadziłeś „Obucha” — rzekł Scholder. Winslade potrząsnął głową.

— Nie mieliśmy żadnych szans. To chłopcom się udało. — Sącył kawę z kubka. — Cassidy

opowiada, że dosłownie w ostatniej chwili. Niemcy już nadciągali. Wiedzieli, gdzie chłopcy zmierzają i niewiele brakowało, żeby ich uprzedzili. Było gorąco i właśnie dlatego są takie skutki. Swoją drogą ciekaw jestem, jak to się stało, że Niemcy dostali informację. I jeszcze jedno: oba ładunki ze sprzętem zostały stracone i właściwie cała operacja zależała wyłącznie od pomysłowości i inicjatywy chłopaków, a praktycznie cały czas działali pod ostrzałem.

— Nadzwyczajne — mruknął Adamson, potrząsając głową.

— No cóż — wtrącił Winslade — kandydaci do oddziałów specjalnych podlegają szczególnej selekcji i... w ogóle to niezwykli ludzie.

— Widziałem, jak się szkolą — rzekł Scholder — to znaczy widziałem jeszcze w 1975 roku.

Anna Kharkiovitch przez cały czas nie odrywała wzroku od Winslade[^], widać było, że głęboko się zastanawia, czy wyrazić to, co jej leżało na sercu. Rozmowa właśnie się urwała, zaległa chwila ciszy i Winslade zorientował się, że jest obserwowany. Spojrzał prosto w twarz Anny, oczy mu rozbłyły, jakby bawiła go ta sytuacja, a zarazem jakby chciał ją zachęcić do mówienia.

— No dobrze — cicho rzekła Anna — ale chyba jeszcze coś trzeba wyjaśnić, Claud? Winslade zmarszczył brwi i pociągnął łyk kawy.

— Czyżby? — powiedział nieco żartobliwym tonem.

— Myślę, że dość już tej zabawy — rzekła Anna. — Wróćmy do rozmowy, której wcześniej nie

zdążyliśmy skończyć. — Winslade milczał i czekał, co jeszcze powie Anna. — Otóż, Claud, przez cały czas miałeś świadomość, po prostu wiedziałeś, jak cała operacja będzie przebiegać. Kazałeś

przygotować dokładnie taki sprzęt, jaki później okazał się konieczny. Ale to jeszcze nie wszystko. —

Na palcach zaczęła wyliczać następne punkty. — Po pierwsze: od razu wiedziałeś, gdzie się

znajdujemy, jak tylko zakończył się proces translokacji. Obserwowałam cię i zauważyłam, że choć nie umiesz sobie wyjaśnić, jak to się stało, iż znaleźliśmy się właśnie tu, to jednak zaraz rozpoznałeś miejsce, do którego dotarliśmy. Znałeś też rozmieszczenie wszystkich urządzeń. Wiedziałeś o ładunkach wybuchowych i o tym, że zmagazynowano je tuż przy służbie. Po wtóre: umiałeś włączyć komputer. Po trzecie: wiedziałeś, jak posługiwać się tymi tu karabinami maszynowymi. Chcę ci powiedzieć, Claud, że szliśmy za tobą jak w dym. Ufaliśmy ci i nigdy nie kwestionowaliśmy twojego zdania, twoich opinii i twoich decyzji. Kilkoro z nas odniosło dość poważne obrażenia. Ale cel misji został osiągnięty. Claud, jesteś naszym dłużnikiem. Należy nam się chyba jakieś wyjaśnienie.

Winslade dokończył kawę i wolno, z rozmysłem, odstawił filiżankę na miejsce, wreszcie skinął głową na znak, że zacznie mówić.

Nim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, otworzyły się drzwi i stanął w nich Jorgassen z kilkoma osobami, których jeszcze nie znali. Dwaj przybysze mieli na sobie błękitne mundury ze złotymi dystynkcjami i wojskowe czapki. Byli zapewne wyższymi oficerami MPSZ. Obok nich stał

młodzieniec o świeżej cerze, kręconych włosach, łobuzerskim spojrzeniu, z ironicznym półuśmiechem na ustach. Nosił się z wyniosłą pewnością siebie, miał elegancki mundur marynarski — niebieski z szarymi wykończeniami — koszulę w biało--niebieskie paski i buty ze szpiczastymi noskami.

Jorgassen uczynił zapraszający ruch ręką i wszyscy się rozstąpili, żeby przepuścić młodzieńca.

— Okazuje się — rzekł Jorgassen — że Rada Narodów i Międzynarodowe Połączone Siły Zbrojne już od pewnego czasu prowadziły dyskretne śledztwo w sprawie tego, co naprawdę dzieje się w tej placówce. Nie byli więc zaskoczeni naszymi wiadomościami.

A śledztwo prowadził ten oto młody dżentelmen. — Przerwał widząc szeroki uśmiech na twarzy

Winslade'a, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie potrzebne są wzajemne przedstawiania i wyjaśnienia. Winslade kiwał głową wyraźnie usatysfakcjonowany.

— Właśnie — rzekł, zwracając się do młodzieńca — tak właśnie myślałem, że to ty będziesz prowadził tę sprawę.

Ten zaś patrzył przez chwilę w milczeniu. Na jego twarzy malowało się na przemian zdziwienie, zaskoczenie, niewiara, a także cień rozbawienia.

— Nie! — wykrzyknął wreszcie. — To absolutnie nie do wiary!

— A jednak — zapewnił go Winslade — i wiesz o tym lepiej niż wszyscy inni.

Zaskoczona Anna spoglądała to na jednego, to na drugiego. Odwracała wzrok od Winslade'a i patrzyła na młodzieńca, i powtarzała to kilka razy. Patrząc na młodzieńca, starała się wyobrazić go sobie za jakieś trzydzieści parę lat... Gdyby tak zrumienić mu jeszcze bardziej policzki, dodać okulary, nałożyć filcowy kapelusz...

Właśnie.

Opadła z wrażenia na krzesło. Po raz pierwszy w życiu autentycznie zaniemówiła.

Miała przed sobą Winslade'a i młodszą wersję jego osoby.

ROZDZIAŁ 48

Ferracini leżał w czystej pościeli, w przestronnym pokoju, którego okna wychodziły na błyszczące w słońcu, zielone wzgórza. Prawą rękę i ramię unieruchamiała gruba warstwa bandaży. Ciemnowłosa, śniadolica dziewczyna w czepku pielęgniarki ustawiała jakieś buteleczki i niklowane naczynia na szklanym szpitalnym wózku, który stał przy łóżku. Przez dłuższą chwilę Harry rozważał sytuację.

Gdyby był w niebie, nie czułby się tak podle; gdyby zaś miał być w piekle, czułby się zapewne daleko gorzej. Pomyślał więc, że chyba jednak nie jest ani w jednym, ani w drugim, a to znaczy, że musi być między żywymi.

— Hej — rzekła pielęgniarka widząc, że otworzył oczy. — Witamy. Jeśli to pana interesuje, to wiem z dobrego źródła, że wszystko będzie dobrze.

— Ach! — Ferracini nie zastanawiał się jeszcze nad swoją przyszłością, ale wiadomość go ucieszyła.

— A co to za miejsce? — zapytał, unosząc głowę, żeby dokładniej widzieć otoczenie.

— Brazylia, niedaleko Jurueny — odpowiedziała pielęgniarka, popychając wózek.

Ferracini opadł na poduszki. Skąd, u diabła, wziął się w Brazylii? Pustym wzrokiem wpatrywał się w sufit. Słyszał, jak wózek toczy się po podłodze i jak, z cichym skrzypnięciem, otwierają się drzwi.

Brazylia? Czy to właśnie nie w Brazylii znajdowała się owa maszyna, od której zaczęło się całe to szaleństwo? Ponownie podniósł głowę. Pielęgniarka była już w drzwiach, ale zdążył jeszcze zapytać:

— A jaki mamy rok? Zaśmiała się.

— Nie musi się pan martwić. Stracił pan przytomność tylko na trochę i ciągle jeszcze mamy 2025 — i wyszła zatrzaszczając za sobą drzwi.

Ferracini opadł na łóżko. — Jasna cholera — westchnął i znów zapadł w sen.

Był już wieczór, gdy pielęgniarka go budziła. Wkrótce zjawił się doktor. Zmienił opatrunki, pytał o samopoczucie i poinformował go o tym, co orzekli lekarze. Ferracini miał naruszone żebra, poszarpane mięśnie na klatce piersiowej, ranę postrzałową na ramieniu i był zatruty gazami toksycznymi. Ale wystarczy kilka tygodni wypoczynku i wszystko będzie w porządku.

— A co z innymi? — dowiadywał się Ferracini.

— Payne i Ryan są jeszcze pod narkozą po operacji, ale nic im właściwie nie grozi — odparł doktor.

— Cassidy i Lamson czują się dobrze.

— Mogę się z nimi zobaczyć?

— Jeśli pan chce.

— Chce? Oczywiście, że chcę.

— No więc dobrze, ale najpierw musi pan coś zjeść.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Winslade. Miał na sobie jasnobłękitny strój — rodzaj munduru, jakiego Ferracini nigdy przedtem nie widział.

— Widzę, że nasz pacjent jest w znakomitej formie! — zawołał od progu. — Mogę wejść? — zapytał

doktora o pozwolenie. Lekarz przytaknął i machnął ręką na potwierdzenie.

— Tak, tak, niech pan wchodzi.

— Właśnie powiedziano mi, że się obudziłeś, Harry, więc jestem — rzekł Winslade. — Wyglądasz znacznie lepiej. Nabrałeś znów kolorów. Jak się czujesz?

Ferracini kiwnął głową.

— Myślę, że wszystko będzie okay. — Starał się uporządkować myśli i przypomnieć wydarzenia, ale umysł miał jeszcze niesprawny. Nurtowała go myśl, że jest w Brazylii. — Co się właściwie dzieje, Claud? Czy rzeczywiście jesteśmy w tym miejscu, w Ameryce Południowej, skąd przybył Kurt?

— Owszem — potwierdził Winslade. Ferracini poczuł, że głowa mu pęka.

— A skąd, u diabła, ty się tu wzięłeś?

— Zawiadomili nas w Anglii, że jest łączność z projektora powrotnego — zaczął wyjaśniać Winslade

— więc poleciliśmy z Anną do Nowego Jorku.

— Rozumiem.

— Tymczasem okazało się, że owszem, jest łączność, ale wykluczył się inny zakres i tak się stało, że uruchomiony został kanał do „Organów”, czyli do roku 2025, a nie do maszyny w Tularosa, jak zakładaliśmy.

Ferracini przetarł czoło zdrową ręką.

— Ale... ale jak to się stało, że myśmy się tu znaleźli.

— „Organy” miały połączenie z „Obuchem” — przypomniał Winslade.

— Rozumiem...

Winslade wzruszył ramionami.

— Tak więc, skoro już była okazja, to postaraliśmy się dotrzeć do hitlerowskiego projektora niejako od kuchni, zaatakować z flanki, można powiedzieć. Tymczasem okazało się, że dokładnie w tej samej chwili wy atakowaliście od frontu. Nie można sobie wyobrazić bardziej idealnego zgrania w czasie.

Możemy sobie gratulować.

To racja. Ferracini zaczął sobie przypominać fragmenty tego, co działo się na platformie: Payne i Ryan — ranni, Claud i Anna — strzelają do esesmanów. Keith Adamson...

— Ale czy tu... to znaczy, czy to miejsce nie jest pod władzą nazistów? — zapytał. — I w ogóle jak ci się udało opanować maszynę?

— To długa historia, Harry. Porozmawiamy o tym później. Ferracini wziął głęboki oddech, co miało taki efekt, że zakrztusił się i zaczął kaszleć.

— Chyba masz rację, później... i jeszcze jedno... dziękuję. Winslade pokręcił głową i po raz pierwszy chyba mówił z całą powagą.

— Nie, Harry, to tobie trzeba podziękować. Tobie i wszystkim chłopakom. Operacja zakończyła się sukcesem. Cassidy i Floyd już mi trochę opowiedzieli, jak to było w Weissenbergu. W sytuacji niemal bez wyjścia spisaliście się nadzwyczajnie. Bądź pewien, że nie pójdzie to na marne.

Wkrótce potem Winslade wyszedł. Pielęgniarka przyniosła lekki posiłek składający się z gotowanych jajek, grzanek, mleka i soku pomarańczowego. Przyniosła też kolejną porcję leków. Jedzenie lewą ręką wcale nie było łatwe, ale posiłek neutralizował nieprzyjemny, kwaśny posmak w ustach.

Nim jeszcze skończył, na korytarzu rozległ się szum i w chwilę później do pokoju — mimo protestów pielęgniarki — wtargnęli Cassidy z Lamsonem. Obaj mieli na sobie fioletowe szlafroki, brązowe piżamy i szpitalne kapcie na nogach.

— A nie mówiłem?! — wykrzykiwał Cassidy. — Nic mu nie będzie! Hej, Harry, w razie, gdybyś miał

kłopoty z pamięcią, to przypominam ci, że jesteś mi winien dziesięć dolców...

Ferracini uśmiechnął się z trudem.

— Ty drabie — powiedział.

— Mów, jak się czujesz — pytał Lamson.

— Jeszcze trochę i będzie po remoncie. Tak przynajmniej mówi doktor. A co z Edem i Paddym?

— Czują się okay. Lecz to jeszcze potrwa — odparł Lamson. — Ed ma parę nowych dziur na skórze, ale da się to pocerować, Paddy'emu dopasowują blaszany staw w biodrze... mogło być znacznie gorzej.

Ferracini bezradnie pokręcił głową. Tak wiele chciał im opowiedzieć i jeszcze więcej usłyszeć.

Spoważniał nagle.

— Czy ktoś coś wie o Harveyu? — zapytał. Cassidy wzruszył ramionami.

— Pewnie się wydostał. Zawsze znajdzie się jakieś wyjście. A jak było z nami? Już się wydawało, że to koniec.

— Pewnie masz rację — Ferracini zastanawiał się przez chwilę, zbierał siły. — A co teraz? —

zapytał. — Jak się dostaniemy do domu? Ktoś już wie?

— Claud już o tym myśli — rzekł Cassidy. — Ale wiesz, jak zawsze, są komplikacje.

— Jakie tym razem?

— Pamiętasz, co Claud mówił nam zaraz po przyjeździe do Anglii... że dostał wiadomość od Kurta.

No wiesz, o tych obliczeniach Einsteina, że w przyszłości czas będzie wolniej?

Ferracini przytaknął.

— Prawdę mówiąc nic z tego nie rozumiałem, ale wszystko jedno... Jak to właściwie jest?

— Po pierwsze to prawda — odparł Cassidy. — A po drugie im dalej w przyszłość, tym wolniejszy czas.

— Poczekaj, moje szare komórki jeszcze nie działają tak, jak trzeba. Więc powiedz, do cholery, jak to naprawdę jest.

— To jest tak, że w świecie, z którego wyszliśmy, wszystko dzieje się znacznie szybciej.

— O ile szybciej?

— Ze dwieście razy szybciej — odrzekł Cassidy. — Jak chcesz się dowiedzieć dokładnie, to będziesz musiał pogadać z Kurtem i z innymi, którzy znają szczegóły. Ale powiem ci, że tam jest już grudzień i pewnie znów szykują się do świąt.

Ferracini spojrzał na niego, nie dowierzając.

— A jak długo tu jesteśmy, na litość boską?

— Spokojnie, Harry — odparł Cassidy — tylko dzień z kawałkiem. Dzień i ćwierć. Ale nie rozumiesz.

To jest tak, że jeden dzień tutaj, to sześć miesięcy tam. I właśnie dlatego Claud tak się śpieszy. Ja wiem, że to może wydawać się szalone, ale znasz uczonych. Jak już coś wymyślą, to normalny człowiek nie jest w stanie tego pojąć.

— A to jeszcze nie wszystko — wtrącił Lamson. — Wiesz, że mamy ich dwóch?

— Dwóch, jakich dwóch? — Ferracini obrócił się do Lamsona, który stał po drugiej stronie łóżka.

— Dwóch Claudów.

— Teraz to już nic nie rozumiem. Lamson pokręcił głową.

— Otóż był tu już jeden, młodszy o jakieś trzydzieści lat. Należy do tego stulecia. Rozumiesz?

Winslade w ogóle pochodzi z tego stulecia.

— Claud? Z tego stulecia?

— No, powiedzmy z jednej z jego wersji. Zjawił się w hitlerowskich Niemczech gdzieś w latach trzydziestych — wyjaśniał Lamson. — Uciekł i dostał się do Stanów.

Ferracini był oszołomiony.

— To znaczy tak jak Kurt? — upewniał się.

— Właśnie — rzekł Cassidy. — A wiesz, że ich też jest dwóch?

— Jakich znowu dwóch?

— No, dwóch Kurtów.

— Ale lepiej nie zawracaj sobie głowy, Harry — orzekł Cassidy. — Pogadaj lepiej z Kurtem i Anną.

Są jeszcze na obiedzie, ale już wiedzą, że się obudziłeś. Zaraz tu przyjdą, a oni znają tę historię.

Ferracini wlepił wzrok w nakrycie, jakie miał przed sobą, dopił mleko.

— Cassidy, niczego nie rozumiem — rzekł — muszę zaraz pogadać z Kurtem i Anną. Idziemy do nich? Dajcie mi jakieś ciuchy.

— Dasz radę? — spytał Lamson.

— Spoko. — Ferracini odsunął tacę z resztką posiłku, zrzucił koc i próbował wstać. Pokój zawirował

mu przed oczami. Przysiadł ciężko na skraju łóżka i mrugnął nieprzytomnie.

— To wszystko przez te baby. Ostrzegałem cię, Harry — rzekł Cassidy. — Wiesz, im się człowiek robi starszy... Hej, Floyd, idź poszukaj jakiegoś wózka na korytarzu. Posadzimy go i zawieziemy.

Pięć minut później otulony kocami Ferracini wyjechał w fotelu na kółkach na korytarz i mimo protestów pielęgniarek ponaglał Cassidy'ego i Lamsona, żeby się nie zatrzymywali. Dwaj strażnicy w błękitnych mundurach, którzy stali przy windzie, nie mieli nic przeciw temu.

— Co to za faceci? — zapytał Ferracini, gdy wjeżdżali do windy. — Claud miał podobny mundur, tylko jakby więcej dystynkcji?

— Ma prawo — odparł Lamson. — Jest pełnym pułkownikiem.

— Pułkownikiem? W jakim wojsku?

— Poczekaj, aż dojedziemy na miejsce — westchnął z rezygnacją Cassidy. — Wolę, żeby Kurt i Anna wszystko wyjaśniali.

W kwadrans później siedzieli z Scholderem, Anną i Adamsonem przy stole, na przeszklonym tarasie wychodzącym na zalany światłem dziedziniec. Talerze po obiedzie już zebrano, Ferracini popijał sok pomarańczowy.

— Tak właśnie było — opowiadał Scholder. — Claud wywodzi się z tego właśnie świata, a ściśle rzecz biorąc, z jego równoległej wersji, jeśli określić to w kategoriach fizyki tego zjawiska. —

Ferracini pokiwał głową. Siedział w swoim fotelu na kółkach obok Anny i Keitha Adamsona po

drugiej stronie stołu. — Claud urodził się w roku 1997 — ciągnął Scholder — w Waszyngtonie, wstąpił do wojska i zaczął specjalizować się w wywiadzie. Był zdolny, zrobił karierę. Miał ledwie dwadzieścia osiem lat, gdy awansował na pułkownika w MPSZ.

Ferracini znów pokiwał głową na znak, że wie, o co chodzi. W ośrodku powrotnym mieli przecież dużo czasu i sporo rozmawiał z Scholderem o świecie dwudziestego pierwszego wieku. W

odróżnieniu od Adamsona wiedział więc, co oznaczał skrót MPSZ.

— Domyślam się więc — rzekł odstawiając szklankę i pocierając z namysłem brodę — że Claud odkrył całą prawdę o „Organach”, dobrze myślę?

— Tak, ale sprawa nie była taka prosta. Oczywiście wiedziano, że gdzieś tam w Brazylii, na odludziu, jest pewna placówka badawcza. Trudno też było ukryć przed światem, że dokonano w niej przełomowego odkrycia naukowego w dziedzinie fizyki. Ale też oficjalnie utrzymywano, że placówka ta prowadzi doświadczenia z zakresu techniki translokacji materii.

— Tak jak w książkach fantastycznonaukowych — wtrącił Cassidy. — Pamiętasz tego wariata z Columbii, o którym Jeff bez przerwy mówił?

— Ach, ten. Pamiętam.

— A może on wcale nie był takim wariatem — mruknął Lamson.

— Naukowcy, którzy tu pracowali, wiedzieli, o co chodzi — ciągnął dalej Scholder. — Wiedzieli, że sprawa dotyczy zagadnień podróży w wymiarze czasu, a ściśle rzecz biorąc, translokacji między alternatywnymi układami rzeczywistości. Przekonywano ich jednak, że rzecz należy utrzymać w tajemnicy, dopóki nie sprawdzi się, jakie owo odkrycie ma znaczenie i jaki może mieć wpływ na

losy świata. Argumentacja była logiczna i wszyscy naukowcy, poza pewną uprzywilejowaną grupą naprawdę wtajemniczonych, zgadzali się z tym rozumowaniem. Ja należałem do tych, którzy nigdy nie mieli wątpliwości.

— Tymczasem, i takie było jądro problemu, kształtowano świat, w którym hitlerowskie Niemcy miały pokonać Związek Radziecki — rzekła Anna. — Krótko mówiąc, aranżowano sytuację taką, w której nie doszłoby do upadku tradycyjnych klas rządzących. A jeszcze inaczej mówiąc, budowano świat, który miał być zupełnie inny od tego, w którym obecnie się znajdujemy. W owym nowym świecie podżegano do wojny, w której naziści i Sowieci wyniszczą się nawzajem. Natomiast w erze późniejszej cała władza miała znaleźć się w rękach tych, którzy uważali, że im się ona należy.

Ferracini uniósł rękę na znak, że chce coś powiedzieć.

— Tego właśnie do końca nie rozumiem — rzekł. — Cassidy próbował mi już to kiedyś wyjaśniać, gdy ćwiczyliśmy w Anglii, w ośrodku Royal Navy, już nie pamiętam gdzie...

— W Portsmouth — podpowiedział Lamson.

— O, właśnie. Ale to nieważne. Cassidy mówił, że w gruncie rzeczy, bez względu na to, co się zrobi, to i tak człowiek nie jest w stanie zmienić swojej teraźniejszości. I nie potrafiliśmy podważyć logiki tej tezy. Więc jak to jest?

— To jest logiczne — potwierdził Scholder.

— Skoro tak — rzekł Cassidy — to ci ludzie, tu na miejscu, ta elita, o której mówiłeś, też musiała o tym wiedzieć. Więc po co, do cholery, budowali tę maszynę i podjęli całą tę skomplikowaną operację?

Nie rozumiem, po co „Suzeren” robił to wszystko, skoro i tak nie był w stanie zmienić sytuacji we własnym świecie.

— To proste — odparł Scholder. — Stworzyli nowy świat, świat, w którym Hitler doprowadza do zagłady Rosji i ustanawia system, który idealnie odpowiada ich potrzebom. A jak już taki świat zaistniał, to zabrali swoje manatki i po prostu przenieśli się do niego.

Ferracini aż zamrugał z wrażenia.

— Rzeczywiście — mruknął — to proste.

— I właśnie po to potrzebny im był hitlerowski reżim w Niemczech. Końcowym produktem ich manipulacji stał się świat, z którego ty właśnie się wywodzisz.

Ferracini kiwnął głową.

— Ale coś się musiało popsuć. „Suzeren” nigdy się u nas nie pokazał.

— Bo to było tak: po pokonaniu Rosji, mając przeciwko sobie już tylko Stany Zjednoczone i w dodatku wielce osłabione, przywódcy nazistowscy postanowili przerwać całą tę zabawę — rzekł

Scholder. — Pomyśleli sobie, że wcale nie muszą odgrywać roli... że tak powiem „klawiszy” w świecie, który de facto ma należeć do kogoś innego. Pomyśleli, że mogą rządzić sami. Zniszczyli więc projektor i w ten sposób zamknęli kanał łączności i translokacji z „Suzerenem”.

I tak doszło do powstania świata, w którym urodził się Ferracini.

— Okay, rozumiem — rzekł Ferracini — ale jeszcze jedno: skąd w naszym świecie wziął się Claud?

Anna pośpieszyła z wyjaśnieniem.

— Claud przeniknął do struktur „Organów” jako europejski arystokrata-playboy, który postanowił zniknąć, żeby móc rozpocząć nowe życie z pewną bogatą panią, dziedziczącą wielką fortunę. Był na tyle bezczelny, że udało mu się zaaranżować translokację swojej osoby pod pretekstem zobaczenia świata, do którego cała elita ma się przenieść.

— Tymczasem kwestia powrotu okazała się trudna — wtrącił domyślnie Ferracini.

— Właśnie. Ale udało mu się zbiec z „Obucha”. Musiał zabić pewnego esesmana i uciekł w jego przebraniu — opowiadała dalej Anna. — I, żeby już skrócić całą rzecz, dodam tylko, że przedostał się do Anglii, a stamtąd do Stanów. Dotarł do Ameryki, to znaczy do naszego świata, w roku 1938.

— Claud pochodzi ze świata alternatywnego w stosunku do tego tutaj — wtrącił Scholder. — Świat zaś, do którego dotarł, też nie wyglądał tak samo jak ten, z którego właśnie wyjechaliśmy. W obu światach wydarzenia przebiegały nieco inaczej. On dotarł do roku 1938, a my do 1940.

Ferracini potarł czoło. Nie chciał teraz o tym myśleć. Ale oto wyjaśniała się tajemnica pierwszego pobytu Clauda w Europie, jego wspomnień o Glennie Millerze i w ogóle.

— I w tym naszym świecie przebywał do roku 1975, kiedy to zorganizował Operację „Proteusz” — dokończył.

— Przy pomocy Kurta, który uwięził w Niemczech, gdy naziści zniszczyli projektor.

— Claud skontaktował się ze mną podczas jednej ze swoich wypraw wywiadowczych do Europy — rzekł Scholder. — Wyciągnął mnie w roku 1955.

— A ty wiedziałeś, że on wywodzi się z dwudziestego pierwszego wieku?

— Naturalnie — rzekł Scholder. — Gdy człowiek się podejmuje tak wielkiego zadania jak nasze, to nie wolno niczego ukrywać.

— A dlaczego nie ujawniliście tego wszystkiego nam? — zapytał Ferracini. Scholder wzruszył ramionami.

— Tak sobie życzył Claud. Myślę, że kierował się wycuciem psychologii. W takim zespole jak nasz ludzie wolą raczej, sam pomyśl, pracować z podobnymi do siebie, a nie z obcymi i to w dodatku z innego świata. Poza tym Claud nie chciał, aby widziano w nim jakiegoś supermana, który przybył z przyszłego świata. Bo wtedy wszyscy by oczekiwali, że superman wszystko zrobi i załatwi i nikt nie robiłby niczego. Jeśli o mnie chodzi, to myślę, że miał rację.

— Mnie też się tak wydaje — dodał Cassidy, a Lamson kiwnął głową na znak, że podziela tę opinię.

— Okay — rzekł Ferracini — ja też myślę, że to racja. Ale powiedz, ile i co wiedzieliście, gdy zaczęliśmy misję „Proteusza”. Czy Claud wiedział, że i tak nie zmienimy losów naszego świata?

— Nie, myślę, że nie wiedział — rzekł Scholder. — Ja przynajmniej nie wiedziałem, a przecież jestem fizykiem.

— Ale coś musiałeś podejrzewać — naciskał Ferracini.

— To prawda i poczyniliśmy nawet pewne przygotowania. Ale dopiero po rozmowie z Einsteinem sprawa stała się oczywista. Nie kłamałem, kiedy mówiłem, że byłem tylko początkującym

naukowcem w tym świecie. Zresztą sam zobaczysz, gdy poznasz młodszą wersję mojej osoby. Jest tu gdzieś. A więc wiedza, którą mieliśmy, była jeszcze niedoskonała. Na przykład, nie zdawaliśmy sobie sprawy z różnego upływu czasu i związanych z tym konsekwencji.

Ferracini poprawił się na fotelu, bo ramię zaczęło mu doskwierać.

— Znaczy to, że nic nie możemy zrobić dla Johna Fitzgeralda Kennedy'ego i jego ludzi — mruknął.

— To naprawdę wstyd... po tym wszystkim, co oni zrobili.

— Nic, co zrobimy, nie zmieni ich losów — zgodził się Scholder, ale w jego głosie zabrzmiała dziwna nuta. Ferracini spojrzał na niego pytająco. — Ale jeszcze przed wyjazdem zorientowaliśmy się, że John Fitzgerald jest z kimś w kontakcie — rzekł Scholder.

Ferracini mrugnął.

— Właśnie. Ale pewnie nigdy się nie dowiemy, jak będą wyglądały losy tamtego świata.

— Chyba masz rację — rzekł Scholder. — Tymczasem mamy szansę stworzenia czegoś lepszego z

tego świata, do którego trans-lokowaliśmy się z roku 1975. Bez nas ów świat nie miałby żadnych szans. I kto wie, może przy tej okazji uda nam się stworzyć lepszą własną przyszłość. Nie ma w tym nic złego. — Wzruszył ramionami. — Wszystko, co pozostaje nam do zrobienia, to wracać jak najszybciej. W tamtym świecie kończy się już rok 1940.

Ferracini patrzył na mroczne wzgórza na horyzoncie i uświadamiał sobie, jak gardził tym światem, lądując w Nowym Meksyku. Teraz był to już jego świat i tęsknił za nim. Podobnie jak Claud i Scholder stracił jeden świat, ale może przyczynić się do budowy innego. Skierował swoje myśli na to, co mogło się wydarzyć w tym — jego już — świecie w ciągu dziewięciu miesięcy, które minęły od akcji w Weissenbergu. Czy coś się zmieniło na lepsze? Czy też ów świat, jak tamten, w którym się urodził, jest jednak skazany na zagładę.

ROZDZIAŁ 49

Po tym wszystkim, co przeszli, Winslade wolał raczej nie ujawniać Proteuszowcom, że kanał translokacyjny z hitlerowskimi Niemcami może znów zacząć funkcjonować. W rzeczywistości jemu samemu było trudno pogodzić się z tym.

Zaledwie półtora dnia po zakończeniu akcji w Weissenbergu system monitoringu w „Organach” sygnalizował, że „Obuch” funkcjonuje, działa i że w każdej chwili można zaktywizować kanał translokacji.

— Jest to dość oczywiste i właściwie można było to przewidzieć, a jednak ani ty, ani ja nie pomyśleliśmy o tym — rzekł młody Winslade, gdy zeszli do sterowni, żeby zapoznać się z najnowszymi danymi. Za pulpitem siedziała tylko ekipa dyżurna, czuwając nad wskaźnikami. — Naziści mieli przecież komplet części zamiennych i stosunkowo szybko odbudowali maszynę. Myślę nawet, że mogli zrobić to szybciej.

Półtora dnia według miary roku 2025 oznaczało, że w tamtym świecie jest już styczeń 1941 roku.

Winslade przytaknął. Nie potrafił ukryć, że wiadomość zaniepokoiła go i przybiła.

— Nigdy sobie tego nie wybaczę. Mogłem przecież domyślić się, że jeśli chodzi o tak poważną sprawę, jak projektor, to naziści zastosują wszelkie środki i zabezpieczą się na każdą ewentualność.

Niech to diabli wezmą!

— To jeszcze nie wszystko — rzekł młody Winslade. Zawahał się chwilę i dodał: — Ale proponuję, żebyśmy o tym porozmawiali gdzie indziej. — Ruszyli do drzwi, a następnie do windy. Młody

Winslade nacisnął przycisk jazdy w górę, na poziom dziedzińca. — Rozmawiałem właśnie z

generałem Forbesem i Darrieaux, asystentem wiceprzewodniczącego — rzekł, jak tylko winda ruszyła. — Wcale nie ma pewności, że uda nam się wyłączyć tę placówkę na dłużej.

Winslade patrzył na niego w przerażeniu.

— Nie mówisz chyba poważnie!

— Przeciwnie. Sprawa jest nad wyraz poważna. Istnieje realna i wcale nieodległa groźba, że kanał translokacji zostanie ponownie uruchomiony i to szybciej, niż myślimy.

— Ale jak, na litość boską? — Winslade kręcił głową, jakby nie wierzył własnym uszom.

— Chyba jednak nie doceniliśmy przeciwnika — odparł młody Winslade bez ogródek. — Elity, które w dalszym ciągu istnieją w naszym świecie, działają dyskretnie, ale stanowczo i mają określone wpływy.

Wyszli z windy i przeszli obok posterunków ochrony, które pilnowały wejść na niższe kondygnacje.

Szerokim korytarzem skierowali się do wyjścia z głównego budynku.

— Co się właściwie dzieje? — zapytał Winslade, gdy zagłębili się w mrok. Szli betonową ścieżką przez dziedziniec.

— No cóż, właśnie teraz zaczynają się ujawniać prawdziwi manipulatorzy — odpowiedział młody Winslade. — Wiesz, kogo mam na myśli. Cisi i spokojni, ale piekielnie skuteczni. Naciskają teraz najprzeróżniejsze sprężyny, inspirują międzynarodową kampanię protestu przeciwko, jak głoszą, karygodnej ingerencji w sprawy wewnętrzne państwa, przeciwko niezgodnemu z prawem użyciu sił zbrojnych bez wiedzy międzynarodowych organów sprawiedliwości. I oczywiście wszędzie mają swoje wtyczki, mają prawników, którzy już wszczynają sprawy i, niestety, udaje im się.

Podaję, że rychło będziemy mieli nie lada kłopoty.

Winslade doszedł już do siebie po szoku i znów zaczął chłodno rozumować.

— No więc, co to wszystko oznacza dla nas? Myślę, że przede wszystkim mogą przeciągać śledztwo w nieskończoność, a jednocześnie, jak sądzę, wymuszą na Radzie Narodów zgodę na wznowienie prac tu na miejscu, przynajmniej do czasu zakończenia oficjalnej inwestygacji. — Pokiwał głową, zdając sobie sprawę z konsekwencji takiego scenariusza. — Biorąc pod uwagę różny współczynnik czasu, wystarczy im stosunkowo krótki okres, żeby po drugiej stronie kanału translokacji doprowadzić do warunków, w których będą mogli spokojnie tam się przenieść. Następnie oczywiście zamkną kanał, już z tamtej strony, i znikną na zawsze, nim oficjalne śledztwo zostanie zakończone.

— Wyobrażam to sobie podobnie — rzekł młodszy Winslade. — W istocie już skierowano wniosek do Gabinetu Kryzysowego Rady Narodów o natychmiastowe wycofanie stąd sił zbrojnych. To najdobitniej świadczy, że potrafią szybko działać.

Winslade pokręcił głową.

— Nie wolno do tego dopuścić — zaprotestował. — Tak nie powinno być. Wiesz przecież, ile wysiłku włożyliśmy w to wszystko. Musi się znaleźć jakieś wyjście.

— Co proponujesz? — spytał młody. Winslade zastanowił się przez chwilę.

— Jeśli ma być oficjalne śledztwo, tym lepiej — powiedział. — Ale rzetelne, tak aby ujawnić absolutnie wszystko. Mamy przecież dowody, jakich tamci nie brali pod uwagę: nasza ósemka może złożyć zeznania, których nikt nie podważy. „Suzeren” znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Jesteśmy w stanie przedstawić dowody i zdezwuować ich kłamstwa. I jeśli nadamy sprawie rozgłos,

ujawnimy wszystko przed opinią publiczną, to Rada Narodów będzie musiała zarządzić śledztwo, nim zapadnie decyzja o wycofaniu wojsk, a to już wystarczy, żeby „Suzeren” nie położył łapy na projektorze. Tak bym to zrobił na twoim miejscu.

Młody Winslade uśmiechnął się i starannie dobierając słowa, powiedział:

— Na moim miejscu? Znasz siebie, przyznaj, czy rzeczywiście tak byś postąpił? — zapytał. — Czy naprawdę wplątałbyś się w całą tę międzynarodową maszynę biurokratyczną, w te wszystkie

komitety, przesłuchania, wnioski formalne, propozycje i kontrpropozycje? Zastanowiłeś się nad tym, jak długo to może potrwać? Nawet parę miesięcy tu, to życie całego pokolenia tam. Wszystko, o co walczyłeś, pójdzie na marne. Bez względu na rezultat naszych działań tu na miejscu, to tam

zarówno świat, jak i ludzie, których znasz, odejdą w przeszłość. I jeszcze jedno: czy takie rozwiązanie byłoby uczciwe wobec tych, z którymi tu przybyłeś?

Doszli do końca szeregu transportowców MPSZ. Wielkie maszyny stały równym rzędem, a reflektory wyławiały z ciemności ich szare kadłuby. Winslade popatrzył na czarne pasmo lasu za dziedzińcem.

Westchnął głęboko i rzekł:

— Wiem, wiem. Ale, na litość boską, nie możemy po prostu umyć od tego wszystkiego rąk. Ty i inni z tego świata nie jesteście w stanie nawet wyobrazić sobie, co dzieje się tam, po drugiej stronie kanału translokacyjnego. A tam zagłada zagraża wszystkiemu, co nazywamy cywilizacją i zwykłą ludzką przyzwoitością. Zapanowały rządy terroru. Zniewala się całe narody, popełnia zbrodnie ludobójstwa.

— Potrząsnął głową. — Jeśli jedynym warunkiem, żeby temu zapobiec, jest nasza obecność tu, to niech tak będzie.

— Ale jeśli naukowe tezy o nieskończonej mnogości światów są prawdziwe — podkreślił młody

Winslade — to i tak cały ten wysiłek doprowadzi do ewentualnej zmiany tylko w jednym z nich. I jakie to ma znaczenie? Nieskończona liczba minus jeden pozostaje nieskończoną. Co więc zyskasz?

Winslade potrząsnął głową.

— Pamiętam — rzekł — pamiętam, że i ja, gdy byłem młodszy, zwykłem rozumować chłodno, obiektywnie wazyć wszystkie za i przeciw. Ale jest też prawdą, że człowiek zmienia się z wiekiem.

Nie wiem, czy staje się mądrzejszy. Oczywiście wolałbym, żeby tak było. Powiadasz więc, że nie ma sensu zmieniać losów jednego świata, jeśli jednocześnie nie da się zmienić ich wszystkich. Ale stosując tę samą logikę, moglibyśmy powiedzieć, że nie ma sensu zmienić na lepsze człowieka, bo i tak nie zmieni to świata. Czy na przykład zwykła uprzejmość jest bez sensu, bo i tak nie wypleni chamstwa? Czy nie warto ratować komuś życia, skoro ludzie i tak umierają? Czy nie powinniśmy kształcić dzieci, bo i tak są ludzie pogrążeni w ciemnocie? Myślę, że nie. — Winslade przerwał i przez chwilę nadśluchiwał brzęczenia owadów w lesie. — Uważam, że jest na odwrót. Liczą się właśnie takie pojedyncze sprawy. Sprawy osobiste, ludzkie — oto prawdziwa wartość i sens życia.

Zostawmy filozofom prawdy uniwersalne i zasady kosmogonii. Te nie liczą się w naszym ludzkim życiu.

— Głęboko wierzyłem, że tak właśnie powiesz! — wykrzyknął młody Winslade. — My też myślimy podobnie i dochodzimy do podobnych wniosków.

Winslade obrócił się do swojego rozmówcy. Nie rozumiał.

— My? — zapytał.

— My, to znaczy ja i niektórzy oficerowie z dowództwa sił zbrojnych, a także ci wśród uczonych, którzy nie znali prawdziwego celu „Organów”. Uważamy, że ty i twoi ludzie zrobiliście już swoje i naprawdę nie trzeba was wciągać w sprawy naszego świata. Te powinniśmy załatwić sami.

— Mam wrażenie, że chcesz nam coś zaproponować — rzekł Winslade. — A więc?

— Jesteśmy w stanie odesłać was z powrotem — odparł młody. Mówił poważnym tonem i Winslade

zdał sobie sprawę, że cała dyskusja zmierzała właśnie do tego, co miał teraz usłyszeć. — Możemy was odesłać, powiedzmy sobie, nieoficjalnie, ale tylko teraz, gdy jeszcze Międzynarodowe Połączone Siły Zbrojne sprawują tu kontrolę. Zrobiliście dostatecznie dużo, by stworzyć szansę dla świata, o którym nam opowiadaliście. Przeto i wy powinniście mieć szansę.

Winslade obrócił się, żeby popatrzeć prosto w oblicze swego młodszego wcielenia.

— A więc podejmiesz ryzyko? Zrobisz to? Na własną odpowiedzialność?

— Tak. I moje ryzyko wcale nie jest większe, od tego, jakie wy podjęliście. Rozmawialiśmy o tym w naszym gronie i wszyscy jesteśmy tego samego zdania.

Była to zbyt pociągająca oferta, żeby jej nie przyjąć. Winslade nie zamierzał dawać się prosić. Skinął

głową na znak aprobaty.

— Jestem bardzo, bardzo wdzięczny — rzekł. — A kiedy?

— Oceniamy, że potrzebujemy mniej więcej dwa dni na niezbędne przygotowania — rzekł młody. —

Myślę, że te wszystkie prawne i polityczne przepychanki jeszcze tyle potrważą.

— Jeszcze dwa dni. Po drugiej stronie tymczasem minie wiele miesięcy.

— Wiem. Ale nie zapominaj, to też ważne, że Payne jest bardzo słaby. Pytałem lekarzy. Powiadają, że można go ruszyć najwcześniej za dwa dni.

Winslade odetchnął głęboko.

— No dobrze. Martwić się należy o to, żeby „Suzeren” nie zdołał jednak odzyskać kontroli nad „Organami”.

W oczach młodego Winslade'a pojawiły się ponure błyski.

— Do tego nie dojdzie — przyrzekł. — Zgodziliśmy się, to znaczy nasza grupa, o której ci już wspomniałem, że bez względu na wszelkie prawne manipulacje kanał translokacyjny do nazistów nie zostanie już uruchomiony. Postanowiliśmy wykluczyć taką możliwość. Na zawsze.

Winslade spojrzał badawczo.

— A konsekwencje?

— To już nasza sprawa. To coś, co musimy załatwić w tym świecie — odparł młody.

ROZDZIAŁ 50

Albert Einstein wstał zza biurka w zabałaganionym gabinecie na pierwszym piętrze Instytutu

Studiów Rozwojowych w Princeton i podszedł do okna, żeby dać odpoczynek oczom. Minęły właśnie trzy lata od czasu, gdy w 1939 roku Instytut przeniesiono z tymczasowej siedziby na terenie uniwersytetu, do nowego budynku Fuld Hali. Czuł się tu dobrze — wśród tchnącego spokojem

krajobrazu New Jersey: lasów, łąk i uprawnych pól. Jakże bardzo otoczenie to kontrastowało z tym, co działo się wszędzie indziej. W Rosji Niemcy dochodzili pod Kaukaz. Na Pacyfiku Japończycy

zagarnęli Indie Wschodnie, Filipiny oraz Azję Południowo-Wschodnią i stali u bram Indii. W Afryce Rommel znów spychał Brytyjczyków do Egiptu. Einstein zastanawiał się, czy cywilizacja zdoła przetrwać.

Nabił fajkę i spojrzął na tablicę na ścianie za biurkiem. Widniały na niej gęste rzędy znaków, symboli matematycznych i równań. Cały swój wysiłek skupiał teraz na rozwiązaniu problemu, który stanął przed nim w czasie pamiętnych miesięcy pod koniec 1939 roku. Podświadomie wiedział, że musi istnieć możliwość skonstruowania jednolitej teorii pola, czasu, przestrzeni, grawitacji i cząstek elementarnych. Czuł, że w tej teorii mieści się klucz do zrozumienia zjawiska translokacji między wieloma różnymi wszechświatami, których istnienie potwierdzała mechanika kwantowa. Miał przed sobą częściowy obraz: szczególna teoria względności łączyła czas i przestrzeń, masę i energię. Ogólna teoria względności traktowała grawitację w kategoriach geometrii czasoprzestrzeni. Ale wielka, jednolita teoria, której istnienie instynktownie wyczuwał i do której doszli fizycy w jednym co najmniej ze światów dwudziestego pierwszego wieku, wciąż się wymykała. Zastanawiał się czasami, czy nie przyjdzie mu strawić reszty życia na próżnym borykaniu się z tym problemem.

Rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi.

— Ja? — Einstein odwrócił się od okna. W drzwiach pokazała się sekretarka.

— Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, panie doktorze, ale dzwoni doktor Fermi z Chicago — powiedziała. — Twierdzi, że nie może czekać i w ogóle jest bardzo podekscytowany. — Einstein nie życzył sobie aparatu telefonicznego w swoim gabinecie.

— Ah so! Pilna sprawa? No cóż, zobaczmy, o co mu chodzi.

Wiosną 1940 roku — gdy minęło już kilka miesięcy od operacji w Niemczech i od wyprawy projektora powrotnego, i nie było sygnału ani od Łącznikowców, ani od Winslade'a — prezydent Roosevelt doszedł do wniosku, że Zachód będzie jednak musiał polegać wyłącznie na sobie, jeśli chodzi o obronę. W konsekwencji polecił przerwać prace nad kwestiami fizyki zjawiska translokacji i skoncentrować wszystkie wysiłki na programie budowy bomby A. W tym celu powołano do życia

Krajowy Komitet Badań Obronnych, pod kierownictwem Vannevara Busha z Instytutu imienia Carnegie, który zajął się koordynacją prac związanych z rozszczepieniem jądra atomu.

Rok później sytuacja znacznie się pogorszyła. Projektor powrotny w dalszym ciągu nie funkcjonował i nieznane były losy niemieckiej maszyny: czy udało się ją zniszczyć, czy nie. Przeto w lipcu 1942

Roosevelt polecił wzmóc wysiłki i KKBO włączono do nowo utworzonego Biura Badań Naukowych i Rozwoju, które podlegało bezpośrednio prezydentowi. W nowej strukturze na czele badań związanych z fizyką reakcji łańcuchowej stanął Arthur Compton, dziekan Wydziału Fizyki

Uniwersytetu Chicago, i jego działania sprawiły, że wszystkich zainteresowanych naukowców

przeniesiono właśnie do Chicago, aby mieć ich „pod jednym dachem”. Był to wstępny krok do ostatecznego przekazania całego programu w gestię wojska.

— Enrico, halo! Tu Albert Einstein. Co słyhać? Powiedziano mi, że okropnie jesteś podekscytowany.

— Chodzi o projektor! — wykrzyknął Fermi. — Właśnie zadzwonili z ośrodka powrotnego. Coś tam zaczęło się dziać!

— A cóż takiego?

Od aresztowania owego niewprawnego szpiega, na początku roku 1940, nie było żadnych dowodów, że Niemcy interesują się ośrodkiem. Obecnie przebywała tam tylko szkieletowa załoga, na wypadek gdyby jednak system zaczął okazywać jakąś aktywizację. Nic się jednak nie działo i załoga nudziła się na równi ze skoszarowanym oddziałem żandarmerii i FBI.

— Projektor aktywizuje się. Dojdzie chyba do uruchomienia kanału translokacji. — Więcej przez telefon Fermi nie chciał powiedzieć, ale dodał: — Możliwe, że nasi wrócą. Kilku z nas postanowiło lecieć zaraz do Nowego Jorku. Chcesz też?

Einstein mrugnął powiekami i pociągnął fajkę, która tymczasem zgasła.

— Ależ... ależ tak, oczywiście. Chcę przy tym być.

— Tak też myślałem — rzekł Fermi. — W porządku, oddaj teraz słuchawkę sekretarce, umówię się z nią w sprawie przysłania samochodu. Będziemy w Nowym Jorku za mniej więcej pięć godzin.

Około trzeciej nad ranem rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszło dwóch wartowników w mundurach MPSZ. Cassidy przyszedł parę minut wcześniej i pomógł Ferraciniemu ubrać się. Byli gotowi do wyjścia, tak jak polecił Winslade.

Ostatnie dwa dni przyniosły wiele dziwnych wydarzeń. Bez przerwy uwijały się maszyny VTOL — samoloty pionowego startu i lądowania — z których wysypywały się całe tuziny bardzo ważnych osobistości. Przybysze roztaczali wokół siebie atmosferę powagi i dostojeństwa, dźwigali teczki, ważyli słowa, wypowiadali je głośnym tonem, od oficerów MPSZ domagali się umożliwienia wejścia do pomieszczeń, w których raczej nie mieli prawa przebywać. Ferracini i reszta chłopców nie mieli pojęcia, o co właściwie chodzi, ale to nie powstrzymywało owych ważnych osobistości od zadawania im dziesiątków pytań. Wreszcie młody Winslade kazał całkowicie odseparować blok medyczny od reszty placówki i wzmocnił posterunki na przejściach.

Ostatni dzień spędzili z Ryanem i Payne'em. Obaj szybko dochodzili do siebie. W szpitalnym pokoju zabawiano się telewizją „na żądanie”. Na monitorze odbiornika pojawiała się — w zależności od „zamówienia” — to gazeta, to film, cała biblioteka książek, można też było słuchać koncertów

stereofonicznych lub — zwyczajnie — korzystać z komputera. Oglądali więc transmisję „na żywo” z budowy stacji orbitalnej w kosmosie, reportaż z lądowania wyprawy na Marsie, filmy sensacyjne o akcjach wywiadu w Rosji, Chinach i w Europie oraz najprzeróżniejsze doniesienia ze świata

dwudziestego pierwszego wieku. Jedna tylko funkcja tego zintegrowanego systemu łączności i

rozrywki była wyłączona: ze względów bezpieczeństwa nie funkcjonował telefon. Połączenia na zewnątrz były ściśle kontrolowane przez Centrum Łączności i ani razu nie udało im się uzyskać wyjścia na numery, które na ekranie telewizyjnym reklamowano pod hasłem — „Sex Partners —

Kluby i Kontakty Indywidualne”.

— Gotowi? — zapytał cicho jeden z wartowników.

— Tak jest — odparł Cassidy.

— Żadnych bagaży?

— Chyba nie — rzekł Ferracini i dodał: — Nie szykowaliśmy się na wakacje.

Wyszli na mroczny o tej porze korytarz. Przy drzwiach, w kręgu światła od lampy stojącej na biurku, siedziała dyżurna pielęgniarka.

— A gdzie Floyd? — zapytał Ferracini.

— Poszedł z Paddym i Edem — poinformował Cassidy. — Dołączymy do nich po drugiej stronie.

Zatrzymali się jeszcze przy pielęgniarce, żeby się pożegnać.

— Dzięki za poskładanie go do kupy, siostró — rzekł Cassidy. — Doskonała robota. Wystarczy spojrzeć na niego, wygląda jak nowy.

— Dziękuję za wszystko — rzekł Ferracini. — Przykro tylko, że opuszczamy was w takim pośpiechu.

— I nam jest przykro, że nie możecie pobyć tu dłużej — odparła siostra. — No cóż, nie wiem co prawda gdzie jedziecie i skąd naprawdę jesteście, ale: powodzenia.

Przy windach czekało jeszcze dwóch wartowników oraz Anna Kharkiovitch i Keith Adamson. Drzwi były już otwarte, weszli i zjechali kilka pięter w dół, do podziemia. Przeszli następnie długim, jasno oświetlonym tunelem pod całym dziedzińcem, aż do pomieszczeń pod głównym budynkiem. Tam

oczekiwało paru wyższych oficerów MPSZ, którzy poprowadzili ich do części specjalnej placówki, gdzie mieściła się służa translokacyjna i centrum kompleksu „Organów”.

Przeszli jeszcze jednym tunelem, minęli kilkoro drzwi i znaleźli się w poczekalni przed służą.

Czekano już na nich. Wokół noszy, na których leżeli Ryan i Payne stała grupka osób, wśród nich naukowcy: T'ung-Sen, Hallman i Eddie oraz doktor Pfanzer, obaj Scholderowie i obaj Winslade'owie.

W sterowni na antresoli inna grupa naukowców, pod okiem oddziału MPSZ, zastępowała przy pulpitych wielce zdziwioną załogę dyżurną. Wyczuwało się atmosferę powagi i pośpiechu.

Młody Winslade zaczął się żegnać ze wszystkimi, a po nim zrobił to samo młody Scholder.

— Przykro mi, że wasz pobyt w naszym świecie nie może trwać dłużej. Jeszcze tyle rzeczy chciałbym wam pokazać.

— Nie bardzo wiem, co się tu dzieje, ale czuję, że nadstawiacie za nas karku — rzekł Ferracini.

— Jesteśmy wam wdzięczni za wszystko — dodali Cassidy z Lam-sonem.

— Splacamy po prostu dług — rzekł młody Scholder i w tym momencie dano znak ze sterowni.

— Nie chcę was pośpieszać, ale jest już czas — rzekł młody Winslade. — Wiązka inicjująca już się wklucza, zaraz dadzą pełną moc.

— Idziemy — powiedział Winslade. Ferracini spojrział na nosze.

— Nie boisz się podróży, Ed? — zapytał.

— Jeśli do domu, to gotów jestem iść choćby na czworakach.

— Będziesz musiał uważać z tym biodrem, Paddy — rzekł Winslade do Ryana. — Gdyby, nie daj

Boże, prześwietlono cię, to nigdy się nie wytłumaczysz.

Paru żołnierzy MPSZ wzięło nosze i wszyscy ruszyli do śluzy.

Scholder ociągał się jeszcze przez chwilę, długo ściskając dłoń swego młodszego wcielenia. Kątem oka zerknął za otwarte drzwi Magazynu Przesyłek Translokacyjnych, gdzie kilku techników

manipulowało coś przy niskim wózku na kółkach, na którym spoczywał jakiś owalny grubawy

przedmiot. Wyglądało na to, że przygotowują się do przetransportowania ładunku do śluzy. Scholder zrobił wielkie oczy, gdy zdał sobie sprawę, o co chodzi.

— Kurt, ci ludzie, tam w magazynie... przecież to uzbrojona...

— Idźże już — rzekł młody Scholder. — Nie ma czasu, a my mamy tu jeszcze masę roboty.

— Ależ to uzbrojona bomba atomowa! Młody Scholder wziął go mocno za ramię.

— Obiecaliśmy wam, że kanał translokacyjny z Niemcami nie zostanie wznowiony — mruknął,

popychając starszego delikatnie do służy. — Naprawdę nie ma czasu. Wydano rozkaz o odwołaniu pułkownika Winslade'a ze stanowiska. Zastępstwo jest już w drodze i mogą tu być w każdej chwili.

Żołnierze MPSZ, którzy wnieśli nosze, wychodzili już ze służy. Młody Scholder przepuścił starszego, sam zatrzymał się przy drzwiach. Nie było już nic do dodania. Odwrócił się i dołączył do pozostałych.

Czerwone światło zaczęło świecić coraz intensywniej, otaczając poświatą sylwetki. Po chwili w służy nie było już nikogo.

W ośrodku powrotnym wszystko było jak dawniej. Był Einstein, był Fermi i Teller z Szilardem.

Słysząc było szum maszyn, wskaźniki na konsolach mrugały kolorowymi światłami, przy

pulpitach uwijali się specjaliści, w ekspresie — w jadalni na zapleczu — bulgotała kawa. Mortimer Greene stał podekscytowany wraz innymi na podeście u wejścia do służy. Nie śmiał wierzyć, że światło we wnętrzu rzeczywiście oznacza, że ziści się to, na co tak długo czekał. Obok stał Gordon Selby — wrócił z Anglii przed rokiem. Był także Arthur Bannering, który specjalnie przyjechał ze swojego biura w Departamencie Stanu w Waszyngtonie.

— Kanał translokacyjny zaktywizowany — zakomunikował Fermi, który siedział przy monitorze kontrolnym. — Faza inicjująca zakończona.

Niebieskie światło wewnątrz służy zamigotało, zmieniło barwę na zieloną, później na żółć i oranż. Ze wszystkich stron słychać było przyspieszone oddechy świadków wydarzenia, gdy jednocześnie w służy z czerwonej poświaty jęły wyłaniać się sylwetki ludzi. Nabierały kształtu i gdy światło zaczęło gasnąć, w służy zrobił się ruch.

— To oni! — krzyknął Fermi podniecony w najwyższym stopniu. Nad wszystkim górował tubalny głos Tellera, którego ton wyrażał jednocześnie radość i absolutne zaskoczenie.

— Patrzcie, patrzcie! Są też nasi żołnierze.

— Zróbcie im przejście, dajcie im przejść! — krzyknął ktoś. — Jest dwóch rannych. No szybko, trzeba ich wynieść.

Mortimer Greene patrzył na przybyszów, jakby widział duchy. — Wielki Boże, westchnął i łzy potoczyły mu się po policzkach.

Selby i Bannering aż zamarli z wrażenia.

— Harry, Cassidy, Floyd — wykrztusił wreszcie Selby. — Oni wszyscy... ależ to niemożliwe.

Szilard kiwał głową, niedowierzając.

— Ci ludzie — powiedział do Einsteina — to żołnierze, którzy zaginęli w Niemczech przed trzema laty. Jak to się dzieje, że są tutaj? Winslade chwycił Greene'a za ramiona, śmiał się i radował.

— Tak, wszyscy jesteśmy. Czekaliście na nas, Mortimer. Wiedziałem, że ty nas nie opuścisz.

Cassidy wybiegł na środek podestu, zatrzymał się, przeciągnął i wyprostował, ukazując swój ponaddwumetrowy wzrost. Nabral powietrza głęboko w płuca.

— Panowie, jesteśmy w domu! — krzyknął. — Czujecie. A kto by powiedział, że brooklynskie doki mogą tak słodko pachnieć.

— Jaki mamy dzień? — pytał Scholder. — Data, jaka jest data? Do jakiego czasu wracamy?

— Mamy listopad — odparł Fermi.

— Listopad, co?

— Dziewięćset czterdziestego drugiego.

Ze służby wyszedł Ferracini, rozglądał się jak inni, z uczuciem ulgi, a zarazem jednak zdziwienia.

Cassidy miał rację, wrócili do domu i wszystko tu było tak, jak pamiętał. Wokół śmiano się, krzyczano, pozdrawiano i klepano po plecach. On tymczasem wyłowił wzrokiem postać wysokiego mężczyzny o siwych włosach, w marynarskim oficerskim mundurze, który stał nieco dalej od innych, ale jak inni oniemiały z wrażenia. Ferracini potrzebował sekundę, może dwie, by rozpoznać tę twarz, dziś może nieco bardziej krągłą niż kiedyś i z brodą, której dawniej nie było.

— Hej, chłopcy! — zawołał do reszty. — To Harvey! A jednak wyszedł z tego. Panowie, jest tu Harvey Warren.

Warren zaczął iść w stronę Ferraciniego, do którego tymczasem dołączała cała reszta. Ferracini zasalutował.

— Panie majorze — zameldował — zadanie wykonane. Obecni wszyscy.

— Proszę o pozwolenie pozostania na spocznij — szepnął Payne z wysokości noszy. Warren wreszcie się uśmiechnął.

— Leż spokojnie, synu — powiedział.

— A więc udało ci się! — wykrzyknął Rayn już bez żadnych oficjalnych formułek należnych wyższym oficerom. — Załatwiłeś sobie randkę z brytyjską łodzią podwodną?

Warren potwierdził skinieniem głowy.

— A co z Gustavem i Marga? — zapytał Cassidy. — Co u nich?

— Udało mi się ich wyprowadzić — powiedział. — Są w Kanadzie pod przybranymi nazwiskami.

Syn, który był w wojsku, został wzięty do niewoli przez Brytyjczyków w Afryce Północnej. Jest teraz w obozie jenieckim i ma się nieźle. Drugi jest w Szwecji.

— A więc wojna trwa — wtrąciła Anna Kharkiovitch. — Afryka Północna nie padła? Brytyjczycy jeszcze się trzymają?

— Premierem jest Churchill — odparł Warren. — I nie ma mowy o kapitulacji. Churchill przekształcił Anglię w jedną wielką maszynę wojenną.

Anna patrzyła na Warrena jakby nie dowierzając.

— Churchill premierem? Mówisz, że walczą? A więc jednak udało nam się coś zmienić.

— Coś? To mało powiedziane — rzekł Warren. — Ameryka też się bije. Roosevelt ubiegał się o trzecią kadencję i wygrał. Bijemy się z Niemcami, Włochami i Japonią, z całą tą bandą.

Anna milczała przez chwilę.

— A co z Rosją? — zapytała z troską.

— Walczy i to całkiem dzielnie.

— Nie było nazistowskiej bomby atomowej?

— Żadnej.

Ciągle podnieceni zaczęli schodzić z podestu. Żandarmi podnieśli nosze.

— Gdzie jest miejski telefon? — dopytywał się pułkownik Adamson, gdy szli schodami kierując się do jadalni.

— Masz rację, trzeba zawiadomić prezydenta — rzekł Winslade. — Ale nie musimy przez miejski telefon. Mieliśmy tu bezpośrednią linię do Białego Domu.

— Nie to miałem na myśli, Claud — rzekł Adamson przepaszająco. — Muszę zaraz zadzwonić do żony.

ROZDZIAŁ 51

W eskorcie motocyklistów i oddziału ochrony na ciężarówce dwie pancerne limuzyny sztabowe

pędziły krętą górską drogą, z której roztaczał się wspaniały widok na Alpy Bawarskie: od

Obersalzburga aż po poszarpany szczyt Kehlsteinu. Tam właśnie, u stóp skały, droga kończyła się.

Kolumna zajęła na parking i z samochodów wysypał się cały tłum oficerów wyższego dowództwa nazistowskiego, w bogato szamerowanych mundurach, z licznymi medalami i odznaczeniami na

piersiach. Kierowali się ku wykutej w skale bramie o łukowatym sklepieniu, z szacunkiem otaczając szczupłego mężczyznę o marsowym wyglądzie i mrocznych niespokojnych oczach, z ciemnym

starannie przystrzyżonym wąsem i gładko zaczesanymi włosami, których kosmyk widniał na czole, pod daszkiem wygiętej czapki wojskowego kroju. Dostojnie przekroczył bramę i zanurzył się w długi na prawie pięćdziesiąt metrów tunel, który przecinał całe zbocze i prowadził na drugą stronę wzniesienia.

— No i musicie teraz wszyscy przyznać — mówił Adolf Hitler, kierując te słowa do tęgiego mężczyzny, który kroczył obok — że znów okazało się, iż to ja miałem rację od samego początku.

— Ponad wszelką wątpliwość — zgodził się Hermann Goering ciężko dysząc od wysiłku, jaki musiał

wkładać, by wprowadzić w ruch swoje obfite cielsko.

— Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca — ostrzegł Martin Bormann, który siedł po drugiej stronie Fuhrera. — Upłynęło jednak sporo czasu.

— Właśnie, ostrożnie i ostrożnie, bez przerwy nakłaniają mnie do ostrożności — zachnął się Hitler

— tymczasem, żeby zbudować imperium, trzeba odwagi i śmiałych posunięć. Czy doczekam się

chwili, kiedy przestaniecie wreszcie marnować energię na szukanie przeszkód i mnożenie

problemów?!

Mieli właśnie wsiadać do pociągu specjalnego, by udać się do Berlina, gdy zjawił się specjalny kurier z Orlego Gniazda — jak nazywano górską rezydencję Fuhrera — z pilną wiadomością od dyrektora

„Walhalli” — projektora powrotnego, który zdołano całkowicie odbudować po ataku brytyjsko-amerykańskiej grupy dywersantów, na początku 1941, kiedy to, z nie wyjaśnionych do końca

przyczyn, zawiodły wszystkie środki zabezpieczenia obiektu. Wiadomość wprowadziła Hitlera w

wyraźnie dobry nastrój, jął roztaczać perspektywy, snuć plany na przyszłość i manifestował

zadowolenie z siebie.

— Czy to ostrożność i pokora dała nam Nadrenię? — pytał, gdy wsiadali do windy, która miała zawieźć ich sto dwadzieścia metrów w górę, do Gniazda. — Albo Austrię i Czechosłowację, które zajęliśmy bez jednego strzału? — Potoczył wzrokiem po gromadce swoich pretorianów, a następnie stuknął palcem wskazującym we własną pierś. — Powiadają, że jestem geniuszem — przypomniał

słuchaczom. — Wyjawię więc wam pewną tajemnicę, jeśli chcecie wiedzieć, na czym polega sekret geniuszu. Nie chodzi o intelekt, o wiedzę, o wykształcenie, o wiadomości o faktach, jakimi człowiek może wypełnić swój mózg... — Pokiwał palcem, by podkreślić wagę słów. — Od faktów są książki, zawsze też można wynajść posiwiałych mędrców, którzy życie trawia, grzebiąc w bibliotekach.

Korzenie geniuszu tkwią w umiejętności podejmowania decyzji, w pragnieniu wcielania ich w życie, w stawianiu czoła przeciwnościom i w uporze, silnej woli w osiągnięciu celu bez względu na wszystko.

Brytyjczycy mają takie powiedzenie: bronić własnych armat, czyli trwać przy swoim. Otóż to, moi panowie, trwać przy swoim!

Wyszli z windy, przeszli przez kuluary i znaleźli się w obszernym hallu górskiej rezydencji Hitlera.

Ordynans wziął płaszcz i czapkę Fuhrera i cały orszak skierował się do tak zwanego pokoju

sytuacyjnego, z ogromną mapą na stole. Z okien rozpościerał się widok na skaliste szczyty gór Bawarii.

— Dlatego, moi panowie, moją rzeczą jest rozkazywać, a Paulusa: rozkazy wykonywać — ciągnął

dalej Hitler. — Słabsza wola musi ulec silnej. Takie jest prawo natury. Paulus nie rozumie istoty problemu na Wschodzie. Jego żołnierski umysł obejmuje tylko sytuację taktyczną. By zaś ogarnąć całą strategię, na to trzeba wizji i woli wodza.

— Miał pan rację w sprawie Francji i w sprawie Norwegii — rzekł Goebbels uniżenie. — Teraz zaś okaże się, że ma pan rację także, jeśli chodzi o Rosję.

— Dzwoni dyrektor Mauschellen z „Walhalli” — zameldował adiutant, podając słuchawkę.

— Owszem — Hitler skwitował uwagę Goebbelsa. — Ale ilu z was uważało w czterdziestym

pierwszym, że mam rację w sprawie Rosji? Ilu z was miało odwagę poprzeć mnie, gdy chodziło o plan

„Barbarossa”, wtedy gdy remont był co prawda zakończony, ale maszyna milczała. „Mein Ftihrer —

mówił mi Halder — nie wolno nam ryzykować kampanii przeciwko Rosji bez uruchomienia kanału

»Wal-halli«”. — Hitler naśladował charakterystyczny ton głosu szefa Sztabu Generalnego. —

Brauchitsch też doradzał ostrożność. Widzicie, moi panowie, zawsze jest tak samo. A gdybym ich posłuchał, to ile stracilibyśmy? Dwa lata! — Wziął do ręki słuchawkę. — I tylko ja miałem odwagę ruszyć na Rosję, nie mając gwarancji, że bomba atomowa zostanie rzeczywiście dostarczona w roku 1942. Widzicie, panowie, trwam przy swoim!

Goering pośpieszył z wyrazami poparcia, a zwracając się do pozostałych osób towarzyszących rzekł:

— I oto jesteśmy już nad Wołgą i na Kaukazie. A gdzież byśmy byli, gdybyśmy zwlekali?! Hitler podniósł słuchawkę do ucha.

— I przekonamy się teraz, że nie myliłem się — szepnął, głośno zaś rzekł: — Halo, dyrektor

Mauschellen?... Tak, tu Fiihrer... Ach, naprawdę? Jakie wiadomości? — Słuchał w milczeniu przez chwilę, świta czekała w najwyższym napięciu, gdy zaś w oczach Hitlera pojawiły się triumfalne błyski, wszyscy jęli wymieniać wymowne spojrzenia.

— Tak, jedną chwilę. — Hitler zasłonił dłonią mikrofon i usiadł, obrzucając swoją switę dumnym wzrokiem. — Jest dokładnie tak, jak przewidywałem — oznajmił. — Kanał „Walhalli” aktywizuje się. Trwają przygotowania do translokacji pierwszej przesyłki. — Machnął wymownie ręką. —

Owszem — powiedział — pierwsze bomby nadchodzą z sześciomiesięcznym opóźnieniem. Ale cóż to oznacza według kalendarza po drugiej stronie kanału? Dzień? Mniej niż dzień? — Wzruszył

ramionami. — To naprawdę bez znaczenia. Były pewnie jakieś problemy techniczne. Być może

dywersanci, którzy przedostali się kanałem translokacyjnym do „Suzerena”, spowodowali jakieś drobne kłopoty. Cała tajemnica polega na tym, żeby zdać sobie sprawę z różnicy w biegu czasu i nie popadać w panikę. Oto dlaczego tak istotne jest, aby Paulus utrzymał pozycje, bo teraz, gdy otrzymamy bomby, sprawa Stalingradu zostanie ostatecznie i jednoznacznie rozwiązana. Rychło też pozbędziemy się także samego Stalina.

Goering chichotał. Na tłustym obliczu o rysach dziecka malował się obraz najwyższego zadowolenia.

— To racja. Dwa lata to długo, ale tylko z naszej perspektywy. Czymże są dwa lata po drugiej stronie kanału? Niczym! Absolutnie niczym. Naprawdę, nie było się czym przejmować.

— Dziś każdy z nas może tak powiedzieć — wtrącił Goebbels. — Ale tylko geniusz mógł to przewidzieć.

Również Bormann dołączył do chóru chwalców.

— Być może byłem zbyt pesymistą, ale z drugiej strony... był to tylko wyraz troski. — Chciał

jeszcze coś dodać, lecz zamilkł, widząc wyraz zaskoczenia na twarzy Hitlera. Ustały przekomarzenia i zaległo milczenie, gdy wszyscy zdali sobie sprawę, że dzieje się coś złego.

— Co?! — wykrzyknął. — Co to ma znaczyć! W służbie pojawił się przedmiot? Jaki przedmiot?...

Owalny i duży?... Na wózku?...

Halo... Halo? — Hitler potoczył mętnym wzrokiem i nachylił się nad biurkiem, żeby nacisnąć widełki telefonu. — Halo, halo... Dyrektorze, jest pan tam?

— Centrala, słucham — rozległo się w słuchawce.

— Co się dzieje?! — krzyknął Hitler. — Rozmawiałem właśnie z dyrektorem „Walhalli” i jakiś głupiec przerwał połączenie.

— Sprawdzimy natychmiast. — Zapadła cisza, a po chwili znów zgłosiła się telefonistka. — Przykro, mein Führer — wszystkie łącza z „Walhallą” przerwane!

Mosquito — samolot zwiadowczy Royal Air Force — krążył nad rejonem Lipska na pułapie jedenastu tysięcy metrów. Drugi pilot zrobił wielkie oczy. — Jasna cholera, szefie, niech pan popatrzy! — Głos w interkomie przedzierał się przez warkot dwóch silników Merlina.

— Gdzie?

— Po prawej. Azymut 14.00.

— Jezus Maria! A co to?

— Nie mam pojęcia. Wygląda na eksplozję.

— Na Boga. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

— Niezłe, co?

— A co tam właściwie jest?

— Sekunda, sprawdzę.

Pilot położył maszynę w łagodny zakręt, żeby lepiej widzieć podnoszący się z ziemi słup dymu.

Nawigator sprawdzał mapę.

— To chyba zakłady chemiczne i fabryka amunicji w Weissenbergu, szefie. Wygląda na to, że ktoś tam nieostrożnie zapalił papierosa.

— Coś mi się wydaje, że tej fabryki już nie ma! Krążyli jeszcze przez kilka minut, robiąc zdjęcia.

— Zdaje się, że chłopcy z dowództwa lotnictwa bombowego mogą na zawsze skreślić to z listy celów

— zauważył pilot. — Ale czas położyć nasz autobus na kurs do domu. Pójdziemy na piwo do pubu, George?

— Dobry pomysł, szefie, wchodzę!

ROZDZIAŁ 52

Czy spośród dokonań ekipy „Proteusza” można było wskazać te, które spowodowały tak ogromne zmiany w losach świata? Przecież na splot okoliczności wpływało tak wiele różnych czynników... A jednak, jak wynikało z analizy przedstawionej przez Arthura Banneringa — Proteuszowcy

odpoczywali akurat na Florydzie, gdzie ich wysłano po wizycie w Białym Domu — jądrem zmian

okazały się dwa wydarzenia, których nie notowała historia świata „Proteusza”. Były to: objęcie urzędu premiera Wielkiej Brytanii przez Winstona Churchilla i wybór Roosevelta na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Obie te sprawy łączyły się ze sobą i Anna Kharkiovitch podejrzewała, że ciągle jeszcze jest wiele niejasności dotyczących takiego, a nie innego rozwoju wypadków.

W kwietniu 1940, po znanych wydarzeniach w ośrodku powrotnym i w Weissenbergu, do Norwegii

— zgodnie z planem — wysłano angielsko-francuski korpus ekspedycyjny. Jednocześnie — a miało to związek z przełożeniem terminu rozpoczęcia ofensywy na Zachodzie — do Norwegii wyruszyła także flota niemiecka. Właśnie w kwietniu, a nie w maju, jak zakładano. Doszło oczywiście do konfrontacji i licznych nie planowanych starć w różnych miejscach, wzdłuż całego wybrzeża

Norwegii. Chaos i zamieszanie trwały do maja.

Kampania zakończyła się porażką aliantów, co więcej: potwierdziła w pełni krytyczne prognozy majora Warrena, jeśli chodzi o stan brytyjskich przygotowań do wojny. Nie można też było

wykluczyć poglądu, że alianci wyszli cało z owych pierwszych starć tylko dlatego, iż doradcy po stronie nieprzyjaciela postanowili prowadzić dość ograniczone działania.

Brytyjskie oddziały wysłano do Norwegii bez stosownego wyposażenia. Nie dano im — na przykład

— nart. A zresztą nie przeszli nawet odpowiedniego przeszkolenia. Elitarna jednostka francuskich Chasseurs Alpins* (Strzelcy Alpejscy) dysponowała co prawda nartami, ale bez wiązań. Jednostkę łączności polowej, owszem, wysłano, lecz ludzi ulokowano na jednym statku, a sprzęt na innym. Po drodze zaś nakazano zmianę kursu, ale tylko jednemu ze statków, przez co jednostka stała się hor s de combat, niezdolna do walki, nim jeszcze Niemcy zdołali wystrzelić choćby jeden pocisk. W portach Szkocji bez przerwy załadowywano i wyładowywano wojska, gdy tymczasem Niemcy zajmowali

tereny bez walki. I — oczywiście — całkowicie zapomniano o artylerii przeciwlotniczej.

Największy błąd, popełniony mimo ostrzeżeń, polegał na tym, że dowódcy — mając przeświadczenie, że o potęgę stanowi marynarka wojenna — zwyczajnie nie docenili znaczenia lotnictwa. Luftwaffe błyskawicznie uzyskało przewagę w powietrzu, przejmując bazy w Danii i

Norwegii, i w tej sytuacji los aliantów był już przesądzony. Pod koniec miesiąca rozpoczęto ewakuację wojsk. Wrażenie klęski potęgował fakt, że jeszcze parę tygodni wcześniej premier Chamberlain zapewniał w Izbie Gmin, że Hitler „spóźnił się na ten pociąg”.

— Jeśli to ma być przykład korzyści, jakie możemy czerpać ze znajomości historii naszych czasów —

karcił Churchill Arthura Banneringa, który jako jedyny został na miejscu po wyjeździe Winslade'a i Anny i zbierał teraz wszystkie cięgi — to lepiej damy sobie radę bez tego!

A jednak ostateczny wynik całego zamieszania wcale nie był taki niekorzystny. Po gorącej debacie w Izbie Gmin na początku maja, w której rząd ostro skrytykowano, nie tylko za fiasko w Norwegii, ale za całą strategię prowadzenia wojny, Chamberlain podał się do dymisji. Zrazu wyglądało na to, że jego następcą zostanie lord Halifax, tak jak się stało w świecie „Proteusza”. W tej jednak rzeczywistości postawa i poglądy Halifaxa odbiegały już od powszechnie wyrażanych nastrojów społecznych, z czego Halifax zdawał sobie sprawę. Odmówił więc i zadanie utworzenia nowego rządu król powierzył Churchillowi.

— To Claud z Arthurem nakręcili całą sprawę — upierała się Anna. Dyskutowali, grzejąc się na białych piaskach florydzkiej plaży. — To ich dzieło. Wiedzieli, że kampania w Norwegii zakończy się klęską i że w efekcie rząd upadnie.

— Gdyby nawet tak było — zaproponował Selby — to skąd mogli wiedzieć, że premierem zostanie Churchill?

— A była inna kandydatura? — podpowiedział Scholder.

— Od początku stało się oczywiste, że w Norwegii nie może się udać — rzekł Warren — i że skutkiem tego musi dojść do radykalnych przetasowań w brytyjskim kierownictwie. Nie wiem jednak, nie jestem pewien, czy Claud poszedłby na takie ryzyko?

— A co powiecie o jego drugim wcieleniu? — wtrącił Cassidy. — Ryzykował znacznie więcej, a jednak! To przecież jeden i ten sam facet, prawda?

— Mówię wam, że wiedzieli, co nastąpi — upierała się Anna. — To oni wszystko wyreżyserowali i to oni obalili gabinet Chamberlaina.

Arthur Bannering siedział kilka kroków dalej. Z całą obojętnością studiował gazetę w cieniu pod parasolem. Obok zaś — z miną sfinksa — odpoczywał Winslade i uśmiechał się pod nosem, patrząc gdzieś w dal. Obaj nie powiedzieli ani słowa.

Churchill objął urząd pierwszego ministra Jego Królewskiej Mości 10 maja 1940 roku. Zbiegiem okoliczności tego samego dnia Hitler rozpoczął Blitzkrieg na Zachodzie.

„Nie obiecuję wam nic poza krwią, znojem, łzami i potem” — mówił Churchill w inauguracyjnym przemówieniu w Izbie Gmin. Nie dopuszczał żadnej myśli o rokowaniach z wrogiem, wiedział, do czego może doprowadzić kapitulacja. „Pytacie, jaka jest nasza polityka? Odpowiem: nasza polityka to walka na morzu, na lądzie i w powietrzu, z całym uporem i siłą, jaką Bóg Wszechmogący zechce nas natchnąć. To walka z tyranią groźniejszą i potworniejszą niż cokolwiek, co zapełnia historię zbrodni, jakich dopuszczał się ludzki rodzaj”...

Wtedy to cała sytuacja europejska jęła rozwijać się zupełnie inaczej, niż działo się w historii świata

„Proteusza”, zmiany zaś następowały znacznie szybciej, niż to sobie uświadamiano. Zgodnie z ustaleniami wojska brytyjskie w północnej Francji wkroczyły do Belgii, aby tam stawić czoło spodziewanej ofensywie niemieckiej. Hitler jednak zmienił plany. Główny ciężar uderzenia nastąpił

nie na północy, na kierunku holenderskim i belgijskim, ale znacznie dalej na południe, w Ardenach, gdzie niemieckie dywizje pancerne błyskawicznie przełamały słabo umocnioną obronę francuską, a następnie — zmieniając kierunek uderzenia — w szybkim tempie ruszyły w stronę wybrzeża,

zmierzając w rejon Abbeville. Wojska na północy zostały odcięte i pod koniec miesiąca, kiedy jeszcze trwała ewakuacja z Norwegii, rozpoczęło się ich wycofywanie. W sumie spod Dunkierki ewakuowano ponad trzysta tysięcy wojska.

Hitler nie ogarniał jednak ogromu zmian, jakie pociągała za sobą nominacja Churchilla na szefa rządu. Błyskawiczny upadek Francji mylnie potraktował jako dowód, że alianci pragną jak

najszybciej położyć kres walkom i — manifestując, że wciąż gotów jest do osiągnięcia „porozumienia”

z Anglią — wstrzymał marsz swoich zagonów pancernych na trzy dni, jak się okazało — krytyczne dni. Trwała ewakuacja w rejonie Dunkierki. Hitler tymczasem wyraził publicznie przekonanie, że Brytyjczycy i Francuzi zaczną zabiegać o pokój, a on — wielki zdobywca — gotów był zaoferować im wielkoduszne — przynajmniej pozornie — warunki zawieszenia broni.

Brytyjska odpowiedź zawierała się w radiowym przemówieniu Churchilla. Jego ton był wyzywający, a głos szorstki: „Choć całe obszary Europy i wiele opromienionych historią państw padło od

przemocy i dostało się w ręce Gestapo i całego hitlerowskiego aparatu ucisku, my nie ustąpimy i nie skapitulujemy... Będziemy walczyć na morzach i oceanach, będziemy walczyć ze stale rosnącą wiarą w zwycięstwo i coraz większymi siłami, będziemy bronić naszej Wyspy bez względu na cenę.

Będziemy walczyć na plażach, będziemy bronić przyczółków, będziemy walczyć na polach, na ulicach naszych miast i nigdy się nie poddamy”...

Tymczasem Francji nie udało się już uratować. 14 lipca padł Paryż i w tydzień później podpisano akt zawieszenia ognia. Pozostała już tylko Wielka Brytania. Sama miała stawić czoło podbitej przez nazistów Europie odległej od niej o ledwie trzydzieści dwa kilometry. Nie mogło być wątpliwości, że następnym posunięciem nazistów będzie inwazja. Na swoją obronę Wielka Brytania miała

sześćdziesiąt osiem niszczycieli i trzysta czołgów — tyle tylko znajdowało się ówczesnie na Wyspach.

Gdyby doszło do inwazji, żołnierzami staliby się wszyscy. Mieszkańcy wsi i robotnicy ćwiczyli zajadle, uczyli się strzelać i posługiwać białą bronią. Na dziedzińcu pałacu Buckingham

zaimprovizowano strzelnicę i król wraz z członkami domu panującego wprawiali się w sztuce

obsługi pistoletów maszynowych i rewolwerów. Wobec Churchilla zaś król wyraził uczucie ulgi, że Anglia nie musi już liczyć się z sojusznikami, którzy ograniczali jej pole manewru. Młoda

księżniczka Elżbieta, następczyni tronu, uczyła się prowadzić wojskowe ciężarówki.

Do inwazji nie doszło. Ślubując zemstę za odrzucenie jego „planu pokojowego”, Hitler postanowił

zademonstrować całą potęgę swojej Luftwaffe. W skwarny czas sierpnia i września 1940 roku floty powietrzne Hermanna Goeringa nadlatywały stadami nad Anglię, gdzie... dziesiątkowały je

brytyjskie myśliwce typu Hurricane i Spitfire, których Churchill — pomny ostrzeżeń Banneringa o losach świata „Proteusza” na szczęście nie wystawił do i tak przegranych walk we Francji. Nocami zaś bombowce RAF-u niszczyły uparcie niemiecki sprzęt pływający, gromadzony na potrzeby inwazji w portach nad Kanałem.

We wrześniu ustały wreszcie dzienne naloty Luftwaffe. Wyciągając wnioski z pierwszego

niewpowodzenia, Fiihrer nakazał zmienić taktykę i rozpocząć nocne naloty na Londyn. Trwały aż do następnego roku. Od połowy sierpnia do końca października siedemnaście tysięcy bombowców

Luftwaffe atakowało Londyn. W jednym tylko wrześniu przeprowadzono dwieście sześćdziesiąt

osiem nalotów. Blitzkrieg w powietrzu trwał nieprzerwanie przez dziewięćdziesiąt kolejnych nocy późną jesienią i zimą. Historia jednak nie powtórzyła się. Wielka Brytania trwała.

Do Egiptu dotarł konwój statków z ładunkiem czołgów dla generała Wavella i pod koniec roku

odparto Włochów. Rozgorzały zacięte walki na Pustyni Libijskiej.

W świecie „Proteusza” Halifax podpisał akt kapitulacji Wielkiej Brytanii 1 stycznia 1941 roku. Teraz jednak Brytyjczycy — znękanymi, utrudzonymi i zmęczonymi — mogli się szykować do zupełnie innego

Nowego Roku.

W świetle faktu, że ostatecznym celem „Suzerena” była eliminacja Związku Radzieckiego, pakt Ribbentrop — Mołotow z 1939 roku nie mógł być niczym innym niż tymczasowym rozwiązaniem, i

wiadomo było, że utrzyma się tylko do chwili, gdy Hitler będzie gotów do rozpoczęcia ofensywy. W

świecie „Proteusza” Hitler zaatakował w maju 1941 roku. Churchill i Roosevelt usiłowali ostrzec Stalina kanałami dyplomatycznymi, i jeszcze inną drogą, o grożącym niebezpieczeństwie. Stalin — przynajmniej na zewnątrz tak to wyglądało — nie dawał wiary i nie reagował. W kwietniu i maju Hitler zabezpieczył sobie południową flankę, wkraczając do Jugosławii i na Bałkany. Wyparł pośpiesznie zmontowany brytyjski korpus skierowany do obrony Grecji i desantem z powietrza zajął Kretę.

Następnie zaś, 22 czerwca, trzy grupy armii, liczące trzy miliony żołnierzy i uzbrojone w siedem tysięcy sto dział i trzy tysiące trzysta czołgów rozpoczęły działania na Wschodzie, będące

świadectwem traktowania zasady dobrego sąsiedztwa przez politykę totalitarną. Dopiero nadejście zimy zatrzymało hitlerowską nawałnicę na przedpolach Moskwy i na Krymie. Bezpośrednim jednak skutkiem niemieckiej inwazji było to, że Anglicy znaleźli partnera do wspólnej walki. Był to zaiste przedziwny sojusznik dla kogoś pokroju Churchilla, niemniej jednak — partner. Po roku, w którym obleżona Anglia sama stawiała czoło Hitlerowi, nie można było wybrzydzać.

— Pod pewnym względem była to najgorsza z możliwych wiadomości — mówił Selby do Scholdera, gdy wracali rozklekotanym pociągiem na północ. — Dla nas bowiem oznaczało to, że Hitler musi już mieć w zapasie bomby atomowe, co tym samym dowodziło fiaska Operacji „Łącznik”. Wtedy właśnie Brytyjczycy postanowili włączyć swoje badania atomowe do amerykańskiego programu. No i tak

wróciłem do Stanów. Prezydent Roosevelt polecił, żeby zaprzestać zabawy z projektorem i zająć się wyłącznie sprawą bomby A.

W tym czasie największe niespodzianki notowano na Pacyfiku.

W świecie „Proteusza” wysłannicy „Suzerena” nawiązali stosunki z najbardziej agresywnymi kołami w Japonii, kołami, którym udało się wynieść do władzy ministra wojny Hideki Toja. Przyczyniając się do realizacji wspólnego planu, Japończycy zaatakowali Rosję od wschodu. Krótco po rozpoczęciu niemieckiej kampanii, we wrześniu 1941 roku rozpoczęli ofensywę w Mandżurii. Jednocześnie —

desantem z morza — zaatakowali Malaje i Indie Wschodnie podporządkowując sobie dawne kolonie brytyjskie i holenderskie na Dalekim Wschodzie.

Na początku grudnia pojawiły się meldunki wywiadu, że Japończycy ładują wojska na statki w

portach chińskich i indochińskich. 6 grudnia, gdy Rosjanie rozwijali kontrofensywę na przedpolach Moskwy siłami wycofanymi z dalekiej Syberii, sztaby Roosevelta i Churchilla doszły do przekonania, że lada moment rozpocznie się japońska ofensywa w Mandżurii.

Dzień później, 7 grudnia, amerykańscy specjaliści od łamania szyfrów przechwycili depezę

adresowaną do japońskiej ambasady w Waszyngtonie. Zawierała ona decyzję o zerwaniu stosunków dyplomatycznych ze Stanami. Ambasadzie polecono dostarczyć posłanie do Departamentu Stanu

dokładnie o godzinie 13.00. Amerykanie znaleźli się w kropce. Skąd wzięła się decyzja o zerwaniu stosunków ze Stanami Zjednoczonymi w sytuacji, gdy Japonia szykuje się do napaści na Rosję?

Roosevelt nie rozumiał wtedy, podobnie jak Churchill, kiedy Anglicy ponosili klęskę w Norwegii, że znajomość biegu wydarzeń może mieć obosieczne działanie. Stany Zjednoczone nie poczyniły żadnych kroków zabezpieczających...

Tokio nie poinformowało swojej ambasady w Waszyngtonie o istocie posłania, a dyplomaci z dużym opóźnieniem odczytali szyfr i zalecenie przekazania noty o ściśle określonym czasie. Ponieważ była to niedziela, wystąpiły dodatkowe kłopoty ze zorganizowaniem wizyty u sekretarza stanu Cordella Hulla. Do spotkania doszło wreszcie o 14.30, czyli półtorej godziny po ustalonym terminie.

Godzina 13.00 czasu waszyngtońskiego to świt na Hawajach. I w momencie gdy posłanie zostało przekazane Cordellowi Hullowi, ten już miał pierwsze meldunki z Pearl Harbour.

Było więc za późno. Japończycy popełnili ogromny błąd.

W 1942 roku, gdy Proteuszowcy wrócili wreszcie z roku 2025, szala zaczęła się przechylać na korzyść sojuszników. W wyniku bitwy pod Midway Amerykanie zastopowali dalszą ekspansję japońską na

Pacyfiku. Piechota morska odebrała Guadalcanal. W Afryce Północnej Brytyjczycy pod wodzą

Montgomery'ego zatrzymali Rommla pod El Alamein i przeszli do ofensywy, a na zachodzie Afryki Amerykanie wylądowali w Maroku i Algierii. Pod Stalingradem Rosjanie zatrzymali von Paulusa.

RAF rozpoczął regularne naloty bombowe na Niemcy, a w bazach w Anglii pojawiły się pierwsze liberatory i latające fortece.

2 grudnia Winslade, Gordon Selby i Kurt Scholder przebywali w grupie naukowców zgromadzonych w dawnej sali gimnastycznej Uniwersytetu Chicago. Z napięciem obserwowali jak Fermi z

asystentami wolno usuwają pochłaniające neutrony pręty z reaktora składającego się z trzystu pięćdziesięciu ton grafitu, pięciu ton uranu i trzydziestu sześciu ton tlenku uranu. Reaktor miał

kształt spłaszczonej półkuli o średnicy dwudziestu sześciu stóp, czyli ośmiu metrów. Ponieważ opóźniła się budowa gmachu specjalnie zaprojektowanego na badania atomowe — który wznoszono w Argonne Forest, mniej więcej trzydzieści dwa kilometry od Chicago — więc na razie reaktor umieszczono w piwnicach pod stadionem Stagg Field. Rektor i rada dyrektorów uczelni o niczym nie wiedzieli.

Wskaźniki zaczęły wykazywać, że rośnie liczba wolnych neutronów, że zwiększa się ponad

tysiąckrotnie. Oznaczało to, że pierwszy w świecie reaktor osiągnął moc krytyczną. Wsunęto na powrót pręty pochłaniające i emisja neutronów ustała. A więc reakcję jądrową można było kontrolować.

Doktor Compton zamówił rozmowę telefoniczną z Jamesem B. Conantem, przewodniczącym KKBO w Harvardzie.

— Jim, myślę, że zainteresuje cię wiadomość, iż włoski żeglarz dotarł do brzegów nowego świata.

Tubylcy okazali się życzliwi.

Szale losów wojny jęły się gwałtownie przechylać.

ROZDZIAŁ 53

W styczniu 1943 roku ekipa „Proteusza” zajęła miejsca w przystosowanym do przewozu pasażerów liberatorze B-24 i z lotniska Bolling Field pod Waszyngtonem odleciała na południe, do Brazylii, stamtąd zaś — przez Atlantyk — do Lagos w Nigerii, następnie do Dakaru w Afryce Zachodniej, i wreszcie dotarła do Casablanki na atlantyckim wybrzeżu Maroka. Dwa miesiące wcześniej lądowały tam amerykańskie wojska pod dowództwem generała Pattona. Cały ten obszar został odebrany

francuskiemu reżimowi Vichy. Obecnie w Casablance trwało spotkanie Roosevelta z Churchilllem poświęcone omówieniu bieżącej sytuacji i zarysowaniu przyszłej strategii. Obu mężom stanu towarzyszyli szefowie sztabów.

Po nocnym odpoczynku w hotelu w Anfie, przedmieściu Casablanki, Proteuszowców przewieziono ulicami rozświetlonymi, wysadzonymi palmami i silnie strzeżonymi przez wojska amerykańskie do willi, w której Churchill i Roosevelt spotykali się na gruncie prywatnym, poza sesjami plenarnymi. Nawet teraz, mimo upływu czasu, stosunkowo niewiele osób znało tajemnicę

„Proteusza”. W spotkaniu w willi poza premierem i prezydentem udział wzięli jedynie George C.

Marshall — szef Sztabu Armii Stanów Zjednoczonych i sir Alan Brooke — szef brytyjskiego

Imperialnego Sztabu Generalnego. Uczestnicy spotkali się w przestronnym pokoju. Przez otwarte okna zaglądały do środka drzewa pomarańczowe i cytrynowe, wśród traw błyszczał basen. Widać było strażę rozstawioną wzdłuż wysokiego muru otaczającego cały teren.

Churchill — z nieodłącznym cygarem, w koszuli khaki i luźnych, wygodnych spodniach — oderwał się od mapy leżącej na stole pośrodku pokoju i witał przybyszów niemal po ojcowsku. Ścisnął im rękę, objął i ucałował Annę.

— To prawdziwy cud — powiedział. — To wręcz niemożliwe, a jednak prawda. Są tutaj, wskrzeszeni. A wiecie, że już dawno straciliśmy wszelką nadzieję.

— Poza Mortimerem — rzekł Roosevelt. Zdązał w ich kierunku na swoim wózku inwalidzkim. — On jeden namawiał nas, żeby nie wyłączać maszyny. Rozumiem, że po prostu znał was lepiej niż my.

Przedstawiono Marshalla i Brooke'a.

— Nie wiem, czy potrafię w to wszystko uwierzyć — szczerze przyznał ten pierwszy. — Czytałem meldunki, widzę was tu całych i żywych, a jednak ciągle mam wątpliwości.

Brooke potrząsał głową.

— Nie znajduję słów — mówił. — Opowiadano mi o losach świata, z którego przybywacie i oto na własne oczy mogę się przekonać, jak wiele się zmienia. Doprawdy, nie wiem, co powiedzieć.

— Wystarczy: witajcie w domu — podpowiedział Winslade. Brooke zaśmiał się.

— Jeśli to wystarczy, to witajcie, witajcie wszyscy.

— Nie sędzę, aby wszelkie zmiany można było przypisać nam — wtrąciła Anna. — Sami też mieliście pełne ręce roboty. Roosevelt skinął głową.

— To racja, nie można powiedzieć, żebyśmy leniuchowali pod waszą nieobecność. Myślę, że radziliśmy sobie całkiem, całkiem w tej sytuacji... Nie znaczy to, iż nie popełniliśmy tu i ówdzie pewnych błędów, co można ocenić patrząc wstecz, ale cóż... takie jest życie.

— W porównaniu ze światem, z którego przybyliśmy, dzieją się tu sprawy zadziwiające — odezwał się Winslade.

— Jak twoje rany, Ed? Martwiliśmy się o ciebie — rzekł Churchill. — Wszystko w porządku? A co z tobą, Paddy? A ty, Harry, jak się czujesz?

— Znacznie lepiej, sir — odparł Paddy. — Major Warren twierdzi, że lada dzień odzyskam formę, która kwalifikuje do oddziałów specjalnych. Ryan i Ferracini również zapewnili, że czują się dobrze.

Churchill kiwał głową z zadowoleniem.

— Wspaniale, wspaniale. — Śmiał się i zacierał dłonie. — A teraz chcielibyśmy wam pokazać coś, co, jak sędzę, wielce was zaciekawi. Brooke?

Brooke włączył specjalnie przygotowany rzutnik i włożył pierwsze zdjęcie do ramki. Marshall zaciągnął zasłony w oknach. Było to zdjęcie z lotu ptaka, zrobione ze znacznej wysokości. Ukazywało

ogromny słup dymu unoszący się nad niskimi łagodnymi wzgórzami, tu i ówdzie porośniętymi lasem. Dym dobywał się z krańca wielkich zakładów przemysłowych usytuowanych tuż nad rzeką.

— Poznajecie? — zapytał cicho Churchill. — Mamy całą serię takich zdjęć. Wykonała je jedna z załóg fotozwiadu lotniczego przed paroma ledwie dniami.

— Mogliśmy oczywiście zawiadomić was, jak tylko to się stało, ale nie byłoby wtedy tej niespodzianki — dodał Roosevelt z figlarnym uśmiechem.

Łącznikowcy, którzy przecież znali na pamięć każdy szczegół tego terenu, patrzyli zaskoczeni a zarazem podniesieni wielce na duchu. Cassidy spojrział na Ferraciniego i kręcił głową, jakby chciał usunąć resztki snu spod powiek. Obaj wpatrywali się w ekran.

Winslade mrugał za szklami okularów.

— A jednak zrobił to! — szepnął. — Dotrzymał słowa! Zrobił, jak powiedział!

— Właśnie — szepnęła Anna w zamyśleniu — pytanie tylko za jaką cenę?

Alan Brooke pozwolił im nasycić wzrok, a następnie rzekł:

— Jeśli owa bomba jest tak potężna, jak nas zapewniają naukowcy, to dlaczego efekty wybuchu widoczne na tym zdjęciu są raczej ograniczone. Główny kompleks fabryczny praktycznie jest nietknięty. Widać też, że dym dobywa się tylko z tego przyległego do fabryki terenu, na górze.

— „Obuch” znajdował się głęboko pod ziemią, a sztolnię zabezpieczono grubą warstwą betonu — wyjaśnił Gordon Selby — i to ogranicza skutki eksplozji. W czasie podziemnych wybuchów

nuklearnych eksplozja powoduje najpierw powstanie jakby jaskini, warstwa ziemi powyżej unosi się, a następnie opada, tworząc krater, jak tylko gazy powybuchowe zaczynają się kondensować, a kawerna zapadać. Trzeba by bomby o wyjątkowo wielkiej sile, aby wybuch przebił grubą warstwę ziemi i gazy oraz fala uderzeniowa przedostały się na zewnątrz.

Odpowiadając na pytania, którymi teraz ich zasypano, Łącznikowcy przedstawili szczegóły operacji w Weissenbergu, a Warren pokrótce opisał, jak razem z małżeństwem Knacke przedostał się do

Anglii na pokładzie łodzi podwodnej. Ordynans przyniósł soki i przekąski. Marshall odsłonił okna.

— Oto na czym opierał się Hitler — rzekł Churchill. — Teraz stracił oparcie i to okaże się punktem zwrotnym w tej wojnie. — Starannie obejrzał tacę z przekąskami i zdecydował się na sałatkę z krewetek. — W rzeczy samej przystąpiliśmy już do opracowania planów inwazji na Francję, przez

Kanał. Operacji zaś nadaliśmy kryptonim „Overlord”, czyli „Suzeren”. Jak sądzicie, dobrze dobrana nazwa? Zaśmiali się wszyscy.

— Tak więc „Obuch” został ostatecznie zniszczony — rzekł Scholder. Wybrał z tacy maleńką tartinkę z łososiem i ogórkiem. — Czy możemy jednak założyć, że groźba nazistowskiej bomby A została całkowicie wyeliminowana?

— Nie zakładałbym niczego, dopóki nie skończymy całej sprawy — rzekł Marshall.

— A czy istnieje taka ewentualność, że naziści sami zdołają wyprodukować bombę? — zapytała Anna. — Wiedzą przecież, że można to zrobić.

Wszyscy spojrzeli na Gordona Selby'ego, oczekując odpowiedzi.

— Oparli się całkowicie na „Suzerenie” i przez to ich własny program został praktycznie zawieszony

— rzekł Selby. — Z tego, co dowiedziałem się od naukowców z Europy, z którymi miałem okazję pracować, a także z informacji naszego wywiadu, można wnosić, że Niemcy przyjęli koncepcję użycia ciężkiej wody jako moderatora. Fermi, jak wiadomo, zastosował grafit. A o ciężką wodę wcale nie jest łatwo.

— Jedyne zakłady produkujące ciężką wodę, do jakiego faszyci mają dostęp, znajduje się obok elektrowni wodnej w południowej Norwegii — dorzucił Churchill. — W listopadzie wysłaliśmy tam spadochroniarzy. Ich zadaniem było zniszczenie zakładów, ale operacja się nie udała. Wysyłamy obecnie kolejną grupę, tym razem złożoną z samych Norwegów. Mamy nadzieję, że będą mieli więcej szczęścia.

— Tak, ale najlepszą polisą ubezpieczeniową jest nasz własny program budowy bomby — rzekł

Roosevelt. — Zajmuje się tym wojsko. Generał Groves przenosi właśnie wszystko, co trzeba, do nowych laboratoriów w Los Alamos. Pracami kierować będzie Oppenheimer. Dokładamy wszelkich wysiłków. Nie można przecież wykluczyć, że mylimy się co do Niemców. Jedyne rzeczywiste zabezpieczenie polega na tym, żebyśmy jako pierwsi wyprodukowali bombę.

— Pomyślmy tylko, jak wyglądałby świat, gdyby znalazła się ona w posiadaniu Hitlera — rzekł Churchill.

— Nie trzeba do tego wielkiej wyobraźni — odparł Winslade z całą powagą. — I kto wie, być może bomba okaże się czymś więcej niż polisą ubezpieczeniową, nim to wszystko się skończy.

Churchill z Rooseveltem spojrzeli po sobie.

— Co masz na myśli, Claud? — zapytał Roosevelt. Winslade podszedł wolno do okna i przez chwilę

patrzył na ogród, a potem odwrócił się ku zebranym i zaczął mówić:

— Młodzież, która dziś dorasta w Niemczech, to pokolenie systematycznie indoktrynowane przez nazistów: przez szkoły, organizacje młodzieżowe, środki przekazu. Ideologia faszystowska jest wszechobecna w ich życiu. Wpojono im uwielbienie siły, wychowano w kulcie wojska, przekonano, że potęga i siła to jedyne czynniki stanowiące prawo. Ich nauki głoszą ideał przemocy w celu

podporządkowania sobie słabszych i chwałę brutalnej siły, która ich zdaniem, manifestuje prawa natury. — Winslade wzruszył ramionami i wyciągnął przed siebie dłonie. — Jakie są więc

możliwości wykorzenienia takiego reżimu, jeśli już utrwalił się w świadomości społecznej? Nie da się tego osiągnąć argumentami, ponieważ wszelkie próby dyskusji traktowane są jako przejaw słabości.

Nie da się negocjować, ponieważ wyjaśnianie i układy zakładają równość partnerów, gdy tymczasem system ten uznaje tylko dominację lub podporządkowanie. Nie ma żadnych nadziei na pokojowe

współistnienie, ponieważ samo nasze istnienie traktowane jest jako zagrożenie systemu, którego obsesją jest siła, i tę poddaje się ciągłej próbie. Jeśli więc system wspiera się wyłącznie na przemocy i liczy się tylko z siłą, to być może należy przemawiać doń jego własnym językiem, aby zyskać posłuch i szacunek: zademonstrować siłę, bez półśrodków i ograniczeń, pokonać nazizm na jego własnym gruncie i wedle jego własnych zasad. Krótko mówiąc, panowie, trzeba wypłenić zło z ich umysłów, a obsesji siły przeciwstawić właśnie siłę.

Zapadła cisza. Przerwał ją Churchill.

— Tak, ale za jaką cenę? Czy nie dojdzie do tego, że walcząc ze złem, sami staniemy się źli?

Winslade westchnął ciężko.

— Owszem, to wielkie ryzyko — przyznał — ale czy jest inna możliwość? Te potworności nie

powinny zdarzyć się w tym świecie. Nigdy nie stanowiły części jego historii. To aberracja, którą wywołano poza tym światem, przyniesiono jak zarazę. Bywa, że trzeba poświęcić zdrowe tkanki, by opanować infekcję. Jeśli się uda, organizm sam się zregeneruje.

— To zjawisko wyrasta z kultu władzy, dyktatu — dodała Anna. — Dlatego też „Suzeren”

zdecydował się właśnie na tę epokę i na tę formację. Trzeba to wypłenić raz na zawsze. W 1918 roku Zachód próbował postępować w sposób cywilizowany, ludzki i wszyscy widzą, co się stało.

Churchill popatrzył na swoich trzech towarzyszy.

— Mają rację i ty o tym wiesz, Winstonie — wtrącił cicho Bro-oke. — Chciałbym, żeby istniała inna droga, ale...

— Ja zaś chciałbym znaleźć argumenty przeciwko tej tezie — rzekł Marshall. Wziął głęboki oddech i

dodał: — Ale nie ma takich argumentów.

Roosevelt skinął głową.

Tak więc właśnie w Casablance Stany Zjednoczone i Wielka Brytania uzgodniły, że należy zintensyfikować strategiczne naloty bombowe na Niemcy. Projekt „Manhattan” — jak obecnie nazywano plan budowy bomby A — otrzymał priorytet. Na zakończenie konferencji ogłoszono publicznie, że ostatecznym celem wojny jest bezwarunkowa kapitulacja państw „osi”.

Jedyną ważną sprawą, której nie zdołano rozstrzygnąć do końca, pozostała kwestia maszyny w ośrodku powrotnym.

— Rozumiem, że jeśli nawet ów konkretny świat, z którego właśnie powróciliście, postanowił zaprzestać ingerencji w nasze dzieje, to w dalszym ciągu nie można wykluczyć możliwości, że inne światy mogą świadomie i w sobie wiadomych celach podejmować próby ustanowienia łączności z ośrodkiem, czy jak to nazwać — rzekł Churchill. — Czy dobrze rozumiem? — upewnił się.

— Dokładnie tak — potwierdził Scholder. — Możliwa jest łączność z różnymi światami, częstotliwości mogą się nakładać na siebie. Zresztą doświadczyliśmy tego na sobie.

— Na podstawie waszych słów wnioskuję, że nikt do końca nie jest w stanie wyjaśnić tego zjawiska

— rzekł Roosevelt — nawet Einstein.

— Tak jest — ponownie potwierdził Scholder. Większość czasu po powrocie z Florydy spędził w Princeton.

— Przedyskutujmy to jeszcze raz — zaproponował Marshall. — Maszyna na Brooklynie to obecnie jedyny projektor powrotny, mam rację? Wy przybyliście tu pierwotnie, używając projektora, dzięki któremu można było translokować ludzi i rzeczy niezależnie od tego, czy tu, na miejscu, była już stosowana maszyna, czy nie. Projektor potrzebny jest wyłącznie po to, by umożliwić wam powrót.

— Tak jest — rzekł Scholder. Marshall skinął głową.

— A więc dobrze. Chciałbym teraz wyjaśnić następującą kwestię: czy translokacja urządzeniem znajdującym się w innych światach byłaby możliwa wtedy, kiedy u nas nie byłoby projektora powrotnego, nie byłoby tej swoistej latarni sygnałowej?

Scholder wzruszył ramionami.

— Chodzi o prawdopodobieństwo wybrania właśnie naszego świata spośród istniejących i

powielających się światów? No cóż, powiedziałbym, że możliwość wydarzenia się czegoś takiego jest mniej więcej taka jak szansa odnalezienia igły w stogu siana. — Pokręcił głową. — Praktycznie szansa jest zerowa, co potwierdza fakt, że nie notujemy takich przypadków.

Churchill popatrzył na pozostałych polityków i skinął głową potwierdzająco, tak jakby oczekiwał takiej odpowiedzi. Było oczywiste, że już wcześniej omówili sprawę między sobą.

— Trzeba się tego pozbyć — powiedział.

Proteuszowcy spojrzeli po sobie. Nikt nie był zaskoczony. Sami zadawali sobie dokładnie to samo pytanie. Nie dyskutowali. Było bowiem jasne, że Churchill i Roosevelt podjęli już decyzję.

Zgodnie z przyjętymi postanowieniami nakazano dyskretną likwidację urządzeń w ośrodku powrotnym. Maszynę należy zdemontować, a jej elementy zatopić w głębinach oceanu. Plany konstrukcyjne i opracowania koncepcyjne trzeba spalić, wszelkie zaś wzmianki o misji „Proteusza” usunąć. Ośrodek powrotny stanie się tym, czym był dawniej: jednym z wielu magazynów portowych na Brooklynie.

Do tej pory obecny świat radził sobie nieźle i przyszłość rysowała się pomyślnie. Dość już ingerencji innych światów!

ROZDZIAŁ 54

Wydawało im się, że nic się tu nie zmieniło, gdy schodzili schodami i przeszli korytarzem obok biura Maxa. Tylko podwójne drzwi do klubu były odmalowane. Na ścianach pozostała błyszcząca tapeta, choć po prawdzie należałoby ją zmienić. Natomiast w szatni dyżurowała nowa panienka.

— A cóż taka dama, jak pani, robi w takim miejscu? — zapytał żartobliwie Cassidy, oddając płaszcz.

Szatniarka zrazu spojrzała nań znudzona, ale po chwili zmarszczyła brwi, jakby się zastanawiała.

— Czy dobrze słyszę?

— Nieważne. Nazywam się Cassidy, a pani?

— Lisa. Ja...

— To niemożliwe! — usłyszeli za plecami. — Nie wierzę własnym oczom. Mój Boże, to Cassidy!

— Cześć, Max, ty stary draniu! — ryknął Cassidy. Max stał w drzwiach do biura, cały uradowany.

Sciskał im ręce, jego opalone wysokie czoło błyszczało jak dawniej. — Co u ciebie, Max? Mówiłem właśnie Harry'emu, że... to dziwne... był tu jeszcze przed chwilą. Gdzież on się podział?

Harry tymczasem usłyszał, jak w klubie ktoś śpiewa...

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, stojąc nieruchomo w wejściu. Oświetlały ją reflektory. Włosy spięła wysoko, inaczej niż lubił. Wołał, gdy były rozpuszczone i układały się w loki. Ale wyglądała wspaniale, w sam raz do sytuacji. Wyraźne policzki, drobny podbródek, zadarty nos; dokładnie tak jak pamiętał. Miała na sobie pomarańczową suknię ze złotymi cekinami.

Nie było George'a. Na jego miejscu przy pianinie siedział teraz starszy, dobroduszny mężczyzna, z siwym potarganym wąsem. Ferraciniemu dziwnie skojarzył się z Einsteinem. W lokalu panował

tłok, ale większość twarzy była obca. Mnóstwo mundurów. Za barem stał Lou, nienaganny jak zawsze, w czarnej kamizelce i białej koszuli z wywiniętymi mankietami. Na stołku przy barze siedziała Pearl, Sid rozmawiał z kimś przy stoliku.

— Jak, u diabła, Harry, chcesz się cieszyć życiem, jeśli zawsze od razu się zakochujesz? — zapytał

Cassidy stając obok Ferraciniemu. Harry zaśmiał się.

— Warto wracać do domu, no nie, Cass? — Dopiero teraz zobaczył Maxa. — Hej, Max! Jak leci?

Wyglądasz świetnie.

— Ty też, Harry, ty też. A jak leci? Nie ma o czym mówić... — Max machnął ręką. — Dla jednych wojna to straszna rzecz, ale dla interesu, to całkiem, całkiem. Miło was znowu widzieć. A co z resztą? Jak Floyd i chłopaki? Widujecie się z nimi?

— I nam jest miło. A chłopaki zaraz tu przyjdą. — Ferracini zawahał się, ale zapytał: — A Janet, ciągle jeszcze... Max pokręcił dłońią.

— Wiesz, jak to kobiety. Nigdy nic poważnego. Mają swoją intuicję, Harry. Cały czas wiedziała, że kiedyś wrócicie. Ale, gdzieście się, do cholery, podziewali?

— Ściśle tajne łamane przez poufne. Zadanie zleczone przez samego prezydenta — odparł Cassidy.

— Ach tak, i to przez pełne trzy lata. Ciągle ten sam, stary Cass!

— Poważnie — zapewnił Cassidy.

— Powiem ci coś — przedrzeźniał go Max. — Właśnie wydzierżawiłem most brooklynski, masz jakieś propozycje?

— Daj spokój, Cass. Chodź, napijemy się — mitygował Ferracini. Pearl obróciła się ze swego

miejsca.

— Jezu Chryste, nie wierzę własnym oczom! I jeszcze kilku starych znajomych wyrażało radość z ich powrotu. Sid przeprosił swoje towarzystwo i też podszedł.

— Hej, moje gratulacje! — Cassidy uniósł dłoń Pearl i podziwiał obrączkę. — A kto jest szczęśliwym wybrakiem?

— Życie przynosi wiele niespodzianek — odparła Pearl swoim charakterystycznym, zachrypniętym głosem.

— Ktoś, kogo znam? — pytał Cassidy.

— Pamiętasz Johnny'ego Szóstkę? — wtrącił Max.

— Żartujesz!

— To był mój obywatelski obowiązek — powiedziała Pearl. — Ktoś musiał się poświęcić i wyciągnąć go z rynsztoka. Jedyne problem polega tylko na tym — westchnęła — że czuję się oszukana. Zwykle panny młode występują w welonie, a ja — w masce mafiosa! Takie mam pieskie życie.

Lou przyniósł drinki.

— Na rachunek właściciela — powiedział. Zmarszczył brwi, jakby sobie coś przypomniał i patrząc na Ferraciniego zapytał: — Mówiłem ci, że był tu taki jeden i dopytywał się o was?

Ferracini spojrzał nań zdziwiony.

— Lou, minęły trzy lata, jesteś pewien?

— Na sto procent. Niech no tylko sobie przypomnę... taki raczej niski, blady, z wąsami, w kapeluszu... miał ciemne okulary. Zachowywał się dziwnie... nerwowy jakiś.

Ferracini sięgnął głęboko w pamięć.

— O tak, przypominam sobie... to ten facet, który rozmawiał z George'em, prawda? — Potrząsnął głową pełen wątpliwości. — Tak, mówiłeś nam, ale nie wiemy, kto to był.

Lou odwrócił się i spod kontuaru wyciągnął kartonowe pudło po butach, pełne jakichś skrawków, rachunków i zapisków. Szukał czegoś przez chwilę, wyciągnął kawałek papieru, przeczytał i wrzucił do kosza. Ferracini skinął głową i odwrócił wzrok.

Na estradzie Janet zaczynała ostatnią piosenkę i wtedy właśnie rzuciła okiem w stronę baru.

Dostrzegła znajomą sylwetkę blondyna o słomianych włosach i z wąsem. Rozmawiał z Pearl, Maxem i jeszcze innymi. Zawahała się na ułamek sekundy. Po chwili zaś zobaczyła, kto z nim jest i głos jej się załamał. Pianista powtórzył frazę i przestał grać. Goście przy stolikach spojrzeli na siebie nie rozumiejąc, co się stało. Janet opanowała się i z uśmiechem oznajmiła:

— Panie i panowie — przykro mi i przepraszam. Coś mi nie wyszło. Oskar, możemy zacząć jeszcze raz?

Ciemnowłosy mężczyzna, który stał przy barze, podniósł kieliszek, uśmiechnął się szeroko. Pianista zaczął grać, rozbrzmiały słowa piosenki.

Ferracini usiadł na stołku i wsparł się łokciami o bar. Chyba po raz pierwszy w życiu czuł się swobodnie i nie miał pretensji do świata. Nie słuchał tego, co mówią Cassidy i reszta, i zanurzył się we wspomnieniach. Myślał o tym, co się zdarzyło od czasu, gdy wracał po wykonaniu zadania w roku 1975. Przypomniawszy sobie jak wciągnięto go w ową dziwne misję w Tularosa i wysłano do innego świata. Wspominał montowanie maszyny w ośrodku powrotnym, wyjazd do Anglii, a stamtąd na

kontynent, żeby wykonać zadanie w Weissenbergu. I to raptowne przeniesienie się w jeszcze inny świat, daleko w przyszłość, by wreszcie wrócić. Miał nadzieję, że po tym wszystkim zwykle życie nie będzie wydawać się nudne.

A ludzie? Ludzie, z którymi pracowali i którzy stali się częścią zespołu. Uczni: Einstein, Szilard, Fermi, Teller, Wigner. Politycy, ich doradcy i szefowie sztabów: Roosevelt i Churchill, Eden, Duff Cooper, Lindemann, Hopkins, Ickes, Hull, Brooke, Marshall...

I oczywiście Claud. Clauda zawsze będzie mu brakować. Wspomnienie Clauda wywołało smutek.

Ferracini zapamiętał wyraz jego twarzy, gdy w Casablance pokazywano im owo zdjęcie lotnicze.

Zrozumiał, że właśnie wtedy Claud podjął decyzję. Postanowił wrócić do dwudziestego pierwszego wieku, żeby stanąć jako świadek obrony na procesie swego młodszego alter ego. Chciał spłacić dług, odwdzińczyć się za wszystko swemu młodszemu wcieleniu.

Na procesie wystąpi dwójka koronnych świadków obrony, gdyż wyjechała również Anna

Kharkiovitch. „Przygotowania zaczęli stosunkowo niedawno — wyjaśniał Kurt Scholder

Ferraciniemu — ale oboje byli przecież specjalistami i wiedzieli, jak się do tego zabrać”.

Ponownie skorzystano z alfabetu Morse'a, żeby poprosić o uruchomienie kanału translokacji. Na ostatnią operację przed demontażem maszyny do ośrodka powrotnego przybyli wszyscy. Żegnano

Clauda i Annę.

Namawiali Scholdera, żeby dołączył do nich i wrócił do świata, który opuścił w młodzieńczych latach. Scholder długo się zastanawiał, ale odmówił. Ferracini myślał, że uczynił tak ze względu na

młodego Scholdera i na to, że ma on rodzinę, której on, Kurt Scholder, nigdy nie miał. „Teraz tu jest mój świat, a w ogóle jestem już za stary na wędrówki między różnymi światami — oznajmił

Scholder. — A poza tym Einstein nie jest już tak młody i przyda mu się ktoś na wspólne wycieczki żeglarskie”.

Podszedł Cassidy i wyrwał Ferraciniego z zamyślenia.

— Wydawało mi się — rzekł — że po tylu latach będziecie mieli sobie więcej do powiedzenia.

Obok Cassidy'ego stała Janet. Objęła go w pól i ucałowała w policzek. Patrzyła to na jednego, to drugiego.

— Zdziwiałe — powiedziała — ale nic a nic się nie postarzeliscie.

— Higieniczny tryb życia, zdrowa dieta i modły — poinformował Cassidy.

— A ty wglądasz po prostu wspaniale — rzekł Ferracini. — Jeszcze piękniejsza niż dawniej. Co z Jeffem?

— W porządku, zgodnie z tym, co ostatnio od niego słyszałam — odparła Janet. — Zaciągnął się do marynarki i służy gdzieś na Pacyfiku.

— A nie mówiłem, że była pewna, iż wrócicie — wtrącił Max, dołączając do towarzystwa.

— Jasna sprawa — odparł Ferracini. — Trzeba wierzyć w przeznaczenie. Janet spoglądała nań swoimi jasnymi, zielononiebieskimi oczami.

— A więc macie to już za sobą, cokolwiek to było? — zapytała. — Wyjechałeś, wróciłeś. Na dobre?

Harry Ferracini ogarnął wzrokiem całe otoczenie i pomyślał, że jednak jest tu inaczej niż w czasie ostatniego pobytu w „Tęczy”. Mnóstwo mężczyzn w rozmaitych mundurach — sporo marynarzy i żołnierzy piechoty, trochę lotników. W wejściu pojawiło się właśnie trzech Brytyjczyków i paru Kanadyjczyków. Na końcu baru siedziało kilku Australijczyków. Wśród gości uwijających się na parkiecie byli również Francuzi i Polacy.

Ta wojna stała się wspólną sprawą. Słyszał nawet, że jeden z synów prezydenta Roosevelta jest pilotem eskadry zwiadu lotniczego w Afryce, drugi — pierwszym oficerem na niszczycielu, który brał

udział w desancie w Afryce Północnej, trzeci walczy w piechocie morskiej na Wyspach Salomona, a jeszcze jeden jest chorążym marynarki na lotniskowcu Hornet. Świat, w którym on — Ferracini —

pokładał wiarę, podniósł się i rozpoczął walkę w swojej własnej obronie.

Pomyślał o tym, jak bardzo odbiegało to od obrazów przyszłości, obrazów, które roztaczały się przed nim, gdy stał ponurym, dżdżystym świtem na mostku okrętu podwodnego u brzegów Wirginii.

Spojrzał na Janet i uśmiechnął się.

— Tak — powiedział — nie musisz się już martwić. Wróciłem do domu. Na zawsze.

EPILOG

Ferracini skierował swój nowy samochód marki Ford Mercury V8 — model z 1947 roku — w stronę zjazdu z autostrady i po chwili wjechał na znajome ulice Queensu. Wokół wznosiło się wiele nowych budynków — głównie domki jednorodzinne z niewielkimi ogródkami. Były to mieszkania, które

politycy obiecywali każdej amerykańskiej rodzinie, zwłaszcza teraz, gdy nie sprawdziły się ponure przewidywania powojennego krachu.

Fabryki, które dostarczały bombowce B-17 i czołgi, przestawiły się na produkcję samochodów i lodówek, i nie martwiono się specjalnie przyszłością, w której wszyscy będą już mieli i samochód, i lodówkę. Nadejdzie wtedy pora na to, by każdy miał dwa samochody i dwie lodówki — pomyślał

Ferracini.

W dzienniku radiowym przekazano wiadomość, że Sowieci odrzucili plan zaproponowany przez

Marshalla — obecnego sekretarza stanu — państwom europejskim wraz z Niemcami w celu

ożywienia ich gospodarek. Ferracini zmienił zakres fal i z głośnika zaczęła dobiegać piosenka Binga Crosby: Don't Fence Me In.

W oknach nad sklepem, w którym ciągle jeszcze sprzedawano rowery, stały doniczki z kwiatami, tak jak dawniej. Także sklep żelazny i monopolowy trwały na swoim miejscu. Natomiast spożywczy

rozwinął się, dołączono doń sąsiedni lokal i tak powstał supersam obsługujący całą okolicę.

Ferracini zaparkował przed sklepem, wysiadł i rozejrzał się.

Trochę dalej widok zamykały drzewa, a za nimi wznosił się kościół, a obok — na wzgórzu — szkoła.

Budynek, w którym mieściła się kiedyś pralnia, wyglądał jednak nieco inaczej. Ferracini przeszedł przez ulicę i wszedł do sklepu.

W środku byli nieliczni klienci, a jakieś dzieci buszowały między półkami. Ferracini załatwił sprawunki zlecone przez Janet i podszedł do stoiska z papierosami i gazetami.

— Dobry wieczór — rzekł mężczyzna z czarnym wąsem, w białym fartuchu sprzedawcy. Wystukał

rachunek i zapytał: — Czym jeszcze mogę służyć?

— Informacją — odparł Ferracini i zawiesił głos. Sprzedawca zawahał się na moment, po czym spojrzał pytająco na Harry'ego.

— Więc?

— Czy zna pan może rodzinę o nazwisku Ferracini, czy mieszkają jeszcze tu... za rogiem?

— Ferracini? Ci Włosi? Pewnie, że znam. Ona ciągle tu przychodzi z dziećmi. Tak, mieszkają tutaj. — Sprzedawca obrzucił Harry'ego badawczym wzrokiem. — A pan... może z rodziny? Widzę, że jest pan podobny.

— Daleki krewny, można powiedzieć. Ale niech mi pan powie, czy urodziło im się ostatnio dziecko?

— Pewnie tak. Była już w bardzo zaawansowanej ciąży. Hej, Barb, czy pani Ferracini już urodziła?!

— zawołał głośnie. W drzwiach na zapleczu pojawiła się pulchna kobieta.

— A tak, parę dni temu. Chłopca.

— A jak... jak się czuje? — zapytał Ferracini.

— Panie, a kim pan jest, że się tak dopytuje. Krewny? Nigdy tu pana nie widziałam — rzekła

kobieta. — Pani Ferracini czuje się dobrze. Dziecko też. Mówią, że były pewne kłopoty i lekarze bardzo się obawiali. Ale już jest w porządku. Chce pan coś przekazać?

Ferracini uśmiechnął się z wyraźną ulgą i potrząsnął głową.

— Nie, nie trzeba, dziękuję. Przejeżdżałem tu tylko.

Po drodze na Manhattan zatrzymał się, by kupić benzynę i zadzwonić do Janet, do ich mieszkania na Riverside Drive. Janet jeszcze śpiewała, a firma Capitol Records proponowała jej kontrakt. On zaś, z Cassidym ma się rozumieć, zainwestowali w kilka samolotów z demobilu i prowadzili teraz firmę usług lotniczych.

— Queens! — wykrzyknęła Janet. — Co, na Boga, robisz na Queensie. Wydawało mi się, że masz wolny dzień.

— Moi rodzice tu mieszkali, pamiętasz, mówiłem ci kiedyś.

— Nie rozumiem, przecież właściwie nigdy nie wspominasz o rodzinie.

— Może. Ale tu chodzi o coś innego. To było coś, co musiałem zrobić.

— Bardziej podobne do ciebie byłoby, gdybyś poszedł grać w piłkę z Cassidym i Russem.

— Ale nie tym razem. Musiałem tu przyjechać. Chodziło o czyjeś urodziny, o których nie

powiniennem zapomnieć... Do zobaczenia, kochanie. Zaraz będę... I, oczywiście, kupiłem wszystko, o co prosiłaś.

INFORMACJA TECHNICZNA

Teoria „Wielu Światów” Mechanika kwantowa

Mimo ogromnej wartości praktycznej i pomimo faktu, że teoria kwantów rzeczywiście wyjaśnia zjawiska zachodzące w fizyce to koncepcja ta tak bardzo odbiega od kategorii zdrowego rozsądku, że ciągle jeszcze specjaliści debatują nad jej konsekwencjami, choć od jej powstania minęło ponad pół wieku. Spór dotyczy zwłaszcza kwestii zwanej „obserwacją”. Termin ten oznacza w fizyce zjawisko wzajemnego oddziaływania na siebie poszczególnych elementów danego układu.

Z formalnego punktu widzenia efektem wzajemnego oddziaływania jest wielość funkcji matematycznych, z których każda przedstawia jeden z możliwych wyników. Trudność zaś polega na pogodzeniu mnogości możliwych wyników z faktem, że w praktyce obserwujemy tylko jeden określony wynik. Inaczej mówiąc, kwestia sprowadza się do pytania: w jaki sposób dany układ (a więc oddziałujące na siebie ciała, instrument pomiarowy, przedmiot, obserwator i obiekt obserwacji) „wybiera” jeden z wielu możliwych wyników.

Interpretacja konwencjonalna, zwana również kopenhaską, wyjaśnia, że gdy tylko funkcja falowa staje się wielokrotna, to natychmiast zanika, przybierając jedną jedyną postać. Którą zaś z licznych możliwych postaci przybierze, tego nie da się z góry przewidzieć. Można wszakże określić stopień prawdopodobieństwa uzyskania takiego a nie innego wyniku spośród wielu możliwych. I owo prawdopodobieństwo potwierdza się na drodze eksperymentalnej. To zaś stanowi podstawę statystycznego charakteru mechaniki kwantowej.

Zanik funkcji falowej i określone statystycznie prawdopodobieństwo rezultatu nie wynikają z teorii kwantów jako takiej. Są raczej konsekwencją pewnych apriorycznych założeń. Wniosek, jaki wypływa z tego rozumowania, pozwala na stwierdzenie, że formalizm teorii fizycznej nie jest odbiciem rzeczywistości, ale zbiorem nierzeczywistych stanów, to znaczy, że jego matematyczne ujęcie pełni wyłącznie funkcję wygodnych algorytmów, którymi można wyrażać statystycznie sprawdzalne założenia. Krytycy tego sposobu rozumowania podnoszą jednak następujące zagadnienie: jeśli powyższe jest prawdą, to co zrobić z obiektywnie istniejącą rzeczywistością? Einstein do końca sprzeciwiał się tej metafizycznej teorii stanowiącej jądro szkoły kopenhaskiej i właśnie na podstawie jego poglądów do dziś podaje się w wątpliwość znaczenie konwencjonalnej interpretacji.

W pracy doktorskiej, przedstawionej w Princeton w roku 1957, Hugh Everett III zaproponował inną interpretację, która odrzuca koncepcję istnienia odrębnej, klasycznej rzeczywistości, a jednocześnie przyjmuje, że funkcja falowa jest atrybutem wszechświata. Uniwersalna funkcja falowa nigdy nie zanika, przeto rzeczywistość, jako taka, jest określona i przewidywalna. Ewoluuje w wymiarze

czasu — zgodnie z rachunkiem różniczkowym — uniwersalna funkcja falowa rozkłada się w sposób naturalny na poszczególne elementy składowe. Oznacza to w konsekwencji, że proces ten odzwierciedla ciągłą multiplikację wszechświata, jego podział na nieskończoność równie rzeczywistych układów — światów — które jednak wzajemnie są nieobserwowalne. Jeśli zaś poddać ów model analizie matematycznej, to okaże się, że do każdego z owych światów odnoszą się znane prawa statystyki kwantowej.

Interpretacja Everetta stanowi — w pewnym sensie — nawrót do koncepcji naiwnego realizmu i staroświeckich idei głoszących, że istnieje bezpośredni związek między teoretycznym formalizmem a rzeczywistością — Einstein powitałby to z radością. A jednak — może dlatego, że współcześni fizycy myślą w kategoriach bardziej abstrakcyjnych aniżeli ich poprzednicy, a także dlatego, że implikacje koncepcji Everetta wydają się tak przedziwne — interpretacji tej nie potraktowano z taką uwagą, na jaką, być może, zasługuje.

Jej główną słabością jest to, że prowadzi do identycznych z interpretacją kopenhaską przewidywalnych wyników doświadczeń. A to oznacza, że nie da się określić różnicy między nimi w toku eksperymentów. I rzeczywiście, analiza matematyczna hipotezy o wielości światów dowodzi, że nie jest możliwe eksperymentalne sprawdzenie tego, czy we wszechświecie zachodzi zjawisko multiplikacji układów —

światów. (Z tego właśnie skorzystałem, pisząc Operację „Proteusz” i na tym też polega przewaga autora literatury fantastyczno-naukowej nad uczonymi).

Tymczasem spór między przedstawionymi tu dwiema możliwymi interpretacjami da się, być może, rozstrzygnąć na innym gruncie niż doświadczalny. Nie można wykluczyć bowiem, że — na przykład — na samym początku, u zarania wszechświata, uniwersalna funkcja falowa była koherentna, nie podlegała podziałowi czy multiplikacji na różne jej wersje. Taka pierwotna, koherentna natura funkcji falowej mogłaby mieć pewne sprawdzalne konsekwencje odnoszące się do kosmologii.

Po dalsze szczegóły, łącznie z analizą matematyczną tej teorii, odsyłam do publikacji *The Many-Worlds Interpretation of Quantum Mechanics* pod redakcją Bryce'a S. DeWitta i Neilla Grahama, wydanej przez Princeton University Press.